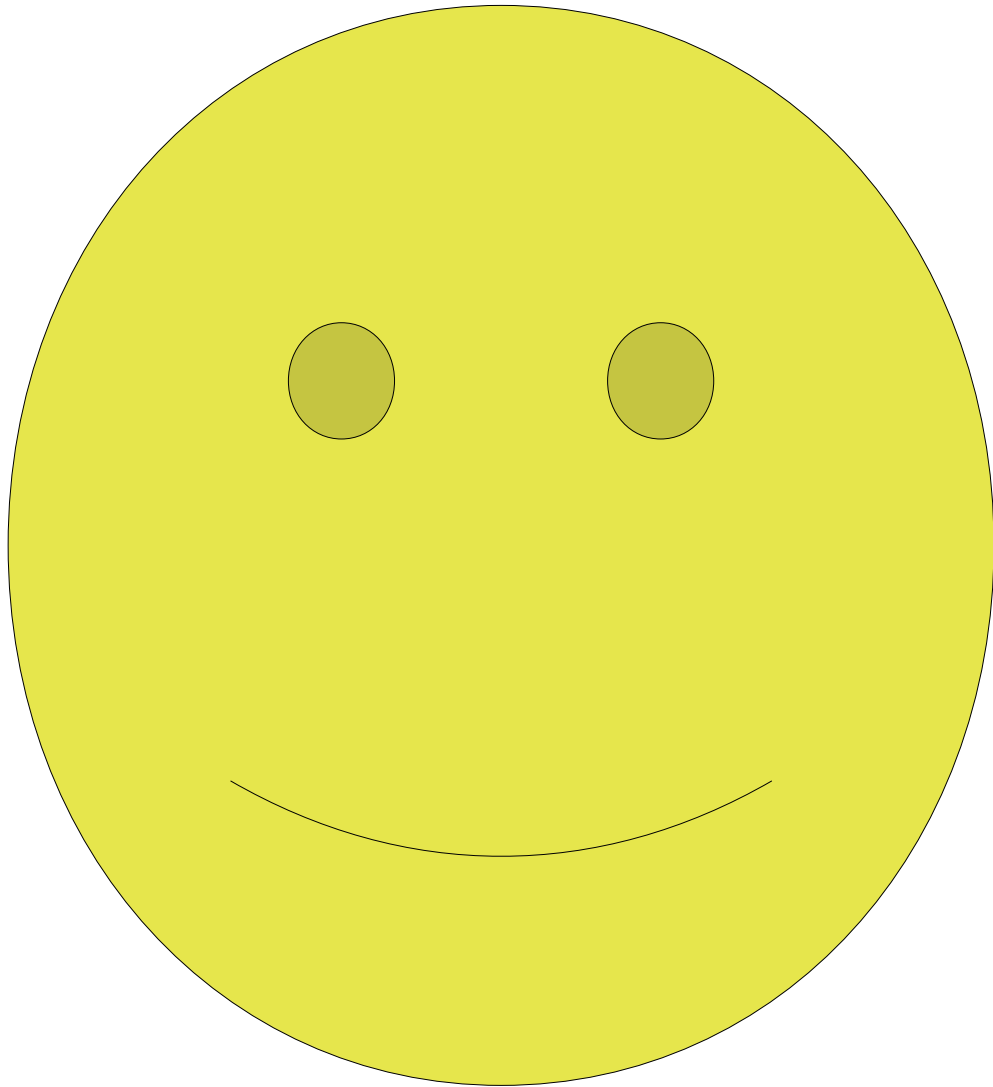
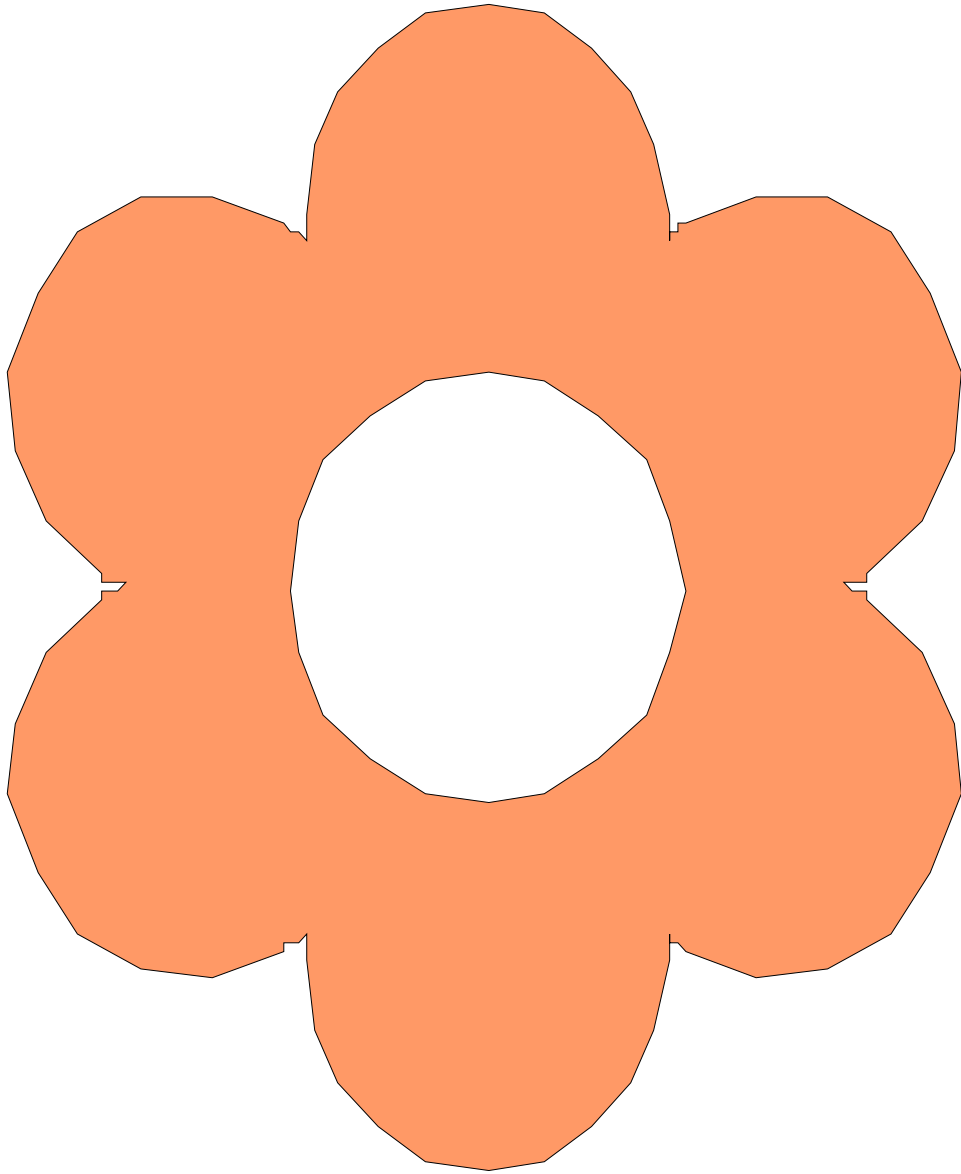


JULIUSZ VERNE

TAJEMNICZA WYSPA



CZĘŚĆ PIERWSZA



ROZDZIAŁ I

Huragan w 1865 r. — Głosy w powietrzu. — Balon porwany trąbą powietrzną. — Powłoka balonu pęka. — Wokół tylko morze. — Pięciu podróżników. — Co się dzieje w koszu? — Ląd na widnokręgu. — Rozwiązanie dramatu.

- Wznosimy się?
- Przeciwnie! Balon się obniża!
- Gorzej, panie Cyrusie, spadamy!
- Trzeba natychmiast wyrzucić balast!
- To już ostami worek!
- Czy balon się unosi?
- Nie!
- Chyba słyszę plusk fal!
- Pod nami morze!
- Nie więcej jak pięćset stóp pod nami! W powietrzu rozległ się donośny głos:
- Wyrzucić wszystko, co ma jakąkolwiek wagę! Wszystko bez wyjątku! I... niech Bóg ma nas w swojej opiece!

Słowa te zabrzmiały w powietrzu, nad niezmiernym obszarem wód Oceanu Spokojnego, około czwartej po południu 23 marca 1865 roku.

W owym roku, w czasie wiosennego zrównania dnia z nocą, rozszalał się straszliwy huragan, trwający bez przerwy od 18 do 26 marca. Wywołał on okropne spustoszenia w Ameryce, Europie i Azji. W klęskach przewyższył orkany, z których pierwszy 25 października 1810 r, drugi 26 lipca 1825 r. spustoszyły Hawanę i Gwadelupę.

Jednocześnie ze straszliwymi katastrofami na lądzie i na morzu równie groźny dramat rozgrywał się w powietrzu, wstrząsanym burzą.

Balon, niesiony jak piłka na grzbiecie trąby, porwany wirem powietrznym, przelatywał przestrzeń z szybkością dziewięćdziesięciu mil na godzinę*, kręcąc się dokoła własnej osi, jak gdyby miotała nim nadprzyrodzona siła.

Pod balonem, przymocowany linami, kołysał się kosz, w którym siedziało pięciu podróżników, ledwie widocznych wśród gęstej mgły.

Skąd się wziął ten balon, ta igraszka straszliwej burzy? Z którego końca świata przyleciał? Nieprawdopodobne, aby to stało się podczas trwania orkanu. Huragan zaś trwał już od pięciu dni, a pierwsze jego zwiastuny pojawiły się 18 marca. Można było przypuszczać, że balon przyleciał z bardzo daleka, gdyż w ciągu doby musiał pokonać co najmniej dwa tysiące mil.

Podróżni nie wiedzieli, jak daleką odbyli drogę, pozbawieni jakiegokolwiek sposobu obliczania odległości. Porwani wiatrem nie czuli nawet gwałtowności burzy, która nimi miotała. Nie byli w stanie przeniknąć wzrokiem mgły, kłębiącej się pod nimi. Chmury były tak gęste, że niemożliwe było rozróżnienie, czy to dzień czy noc.

Tymczasem balon, opróżniony z ciężkich przedmiotów: amunicji, broni i zapasów żywności, wzniósł się znowu w wyższe warstwy atmosfery, do wysokości czterech tysięcy stóp*. Noc upłynęła wśród ciągłego niepokoju, który byłby w stanie przyprawić o śmierć ludzi obdarzonych mniejszym hartem i siłą ducha. O świcie huragan zdawał się tracić nieco ze swej gwałtowności.

* tj. 46 metrów na sekundę albo 166 kilometrów na godzinę (przyp. aut.).

* Stopa — jednostka długości stosowana obecnie w krajach anglosaskich równa 0,3048 m.

Okolo godziny jedenastej wyzsze warstwy powietrza znacznie sie oczyścily. Lecz w tym samym czasie balon zaczął się znowu zniżać. Gaz powoli z niego uchodził. Okolo południa wznosił się już tylko dwa tysiące stóp nad powierzchnią morza.

Wtedy podróżni zaczęli wyrzucać resztę żywności, obciążając jeszcze kosz, chowając po kieszeniach tylko niektóre drobniejsze narzędzia. Niewiele to jednak pomogło, gdyż gazu było coraz mniej. Zguba była więc nieuchronna! Jak daleko sięgał wzrok, nie widać było lądu ani żadnej wyspy. Na całej przestrzeni nie było nawet jednego punktu stałego; ani kawałka ziemi, gdzie mogliby zrzucić kotwicę.

Podróżni jednak byli ludźmi niepospolitego męstwa, umiejącymi patrzeć śmierci w oczy. Ani jedno słowo skargi nie wyrwało się z ich ust. Byli zdecydowani walczyć do ostatniej chwili i użyć wszelkich sposobów dla opóźnienia swej zguby. Prosty kosz, upleciony z łożyny, nie był w stanie utrzymać się na powierzchni wody, gdyby wpadli w morze. O godzinie drugiej balon wznosił się zaledwie czterysta stóp nad morzem.

W tej chwili odezwał się głos męski — głos człowieka, którego serce nie знаło trwogi:

— Wszystko już wyrzucone?

— Nie, jest jeszcze dziesięć tysięcy franków w złocie. Ciężki worek spadł w morze.

— Czy balon się unosi?

— Trochę, lecz wkrótce opadnie znowu!

— Czy mamy coś jeszcze do wyrzucenia?

— Nie!

— Jak to? A kosz?

— Złapmy się sieci! A kosz rzućmy do morza!

Był to ostatni sposób odciążenia balonu.

Pięciu podróżnych wspięło się po sznurach na wierzch obręczy i uczepiwszy się sieci spoglądało w przepaść.

Wiadomo, że każde zmniejszenie ciężaru powoduje zmianę położenia balonu, więc po odcięciu kosza, który stanowił spore obciążenie, balon wzbił się wysoko, lecz po chwili znowu zaczął spadać.

Nagle dało się słyszeć głośne szczekanie. Był to pies, który towarzyszył podróżnym, uczepony siatki balonowej tuż obok swego pana.

— Top coś zobaczył! — zawołał jeden z podróżnych. Po chwili donośny głos zawołał:

— Ziemia! Ziemia!

Balon, popychany nieustannie wiatrem w kierunku południowo-wschodnim, przeleciał od świtu znaczną odległość i wkrótce na horyzoncie ukazał się ląd oddalony o jakieś trzydzieści mil. Potrzeba było okolo godziny, aby do niego dolecieć; i to tylko wtedy, jeśli nie nastąpiłaby żadna zmiana kursu. Ale czy wcześniej nie uleci reszta gazu, która jeszcze pozostała w balonie?

Było to straszne pytanie! Podróżni widzieli w oddali ziemię, do której należało koniecznie dotrzeć. Nie wiedzieli, czy to kontynent stały, czy wyspa; teren zamieszkały, czy bezludny — lecz nie mieli żadnego wyboru.

O czwartej balon nie był już w stanie dłużej się utrzymać. W przelocie muskał powierzchnię morza.

Pół godziny później, gdy ziemia była oddalona już tylko o milę, balon, spłaszczony prawie zupełnie, zachował zaledwie odrobinę gazu w górnej części. Podróżni przyczepieni do sieci stanowili zbyt duży ciężar i wkrótce dotykali powierzchni morza, wystawieni na wściekłość fal. Powłoka balonu wydeła się jak olbrzymia półkolista kieszeń, a wiatr, wiejąc w nią z tyłu, pędził balon niby okręt po morzu ku niedalekiemu wybrzeżu.

Nagle rozpaczliwy krzyk wydobył się jednocześnie z czterech piersi. Balon, który, jak się zdawało, nie mógł się już więcej unieść, popchnięty gwałtownie przez morskie bałwany, poszybował niespodziewanie w górę. Zupełnie jakby w tej chwili pozbył się znacznej części swojego ładunku wzniósł się do wysokości pięciuset stóp, i popchnięty ukośnie, z gwałtownym wstrząsem upadł na nadbrzeżny piasek w miejscu, gdzie już nie sięgały fale morskie.

Podróźni, pomagając sobie wzajemnie, wyplątali się z sieci. Uwolniony balon popędził dalej z wiatrem jak raniony ptak, który na chwilę odzyskał życie i znikł w przestrzeni.

W koszu było pięciu ludzi i pies — lecz balon wyrzucił na brzeg tylko czterech.

Jednego z nich musiała porwać owa gwałtowna fala, która uderzyła w sieć, co sprawiło, że balon, pozbywszy się części swego ciężaru, wzniósł się jeszcze raz, a w kilka minut później upadł na brzeg.

Zaledwie czterej rozbitkowie dotknęli stopą lądu, gdy wtem, spostrzegłszy stratę towarzysza, zawołali jednocześnie:

— Może próbuje przedostać się wpław! Ratujmy go! Ratujmy!

ROZDZIAŁ II

Epizod z wojny amerykańskiej 1865 r. — Inżynier Cyrus Smith. — Gedeon Spilett. — Murzyn Nab. — Marynarz Penkroff. — Młody Harbert. — Niespodziewany projekt. — Spotkanie o godzinie dziesiątej wieczorem. — Odlot w czasie burzy.

Ludzie, których huragan wyrzucił na to wybrzeże, nie byli aeronautami ani miłośnikami wypraw powietrznych. Byli to jeńcy wojenni, którzy dzięki swej odwadze uciekli z niewoli w nadzwyczajnych i wyjątkowych okolicznościach. Ze sto razy zagrażała im śmierć, a rozdarty balon powinien był spaść i pograżyć ich w morskiej głębinie, ale widać Bóg chciał inaczej. 20 marca uciekli z Richmond, oblężonego przez wojska generała Ulyssesa Granta i po pięciodniowej podróży powietrznej znaleźli się blisko siedem tysięcy mil od stolicy Wirginii, głównej twierdzy separatystów.

Ucieczka tych jeńców, zakończona wyżej opisaną katastrofą, nastąpiła wśród dziwnych i ciekawych okoliczności.

W lutym 1865 r, podczas jednej z owych bezowocnych wypraw, jakie przeprowadzał generał Grant w celu zdobycia Richmond, kilku jego oficerów dostało się do niewoli i zostało uwięzionych w mieście. Jednym z najwybitniejszych jeńców był oficer sztabu wojsk federacyjnych — Cyrus Smith.

Cyrus Smith, rodem z Massachusetts, był inżynierem, wybitnym uczonym; rząd federalny powierzył mu w czasie wojny nadzór i kierownictwo nad kolejami żelaznymi, odgrywającymi ważną rolę strategiczną. Był to typ Amerykanina z północy: chudy, kościsty, liczył około czterdziestu pięciu lat, miał włosy i zarost krótko podstrzyżone i już siwiejące oraz gęste wąsy. Miał regularne rysy twarzy, stworzone do tego, by figurować na medalach: oczy ogniste, wyraz ust surowy i poważny. Był to jeden z tych inżynierów, którzy rozpoczęli swą karierę jako zwykli robotnicy, podobni do bohaterów, którzy awansowali od stopnia prostego żołnierza. Genialność umysłu łączył z niepospolitą zręcznością manualną. Był prawdziwym człowiekiem czynu obdarzonym wielką inteligencją. Obok głębokiej i wszechstronnej wiedzy posiadał duże zdolności praktyczne; był to, jak powiadają, człowiek, który wszędzie i zawsze da sobie radę.

Oprócz tytułu przymiotów Cyrus Smith odznaczał się wielką odwagą i brał udział w niemal wszystkich bitwach wojny secesyjnej*. Wiele razy prawie cudem uniknął śmierci, narażając się bardziej niż inni. Szczęście sprzyjało mu do chwili, gdy ranny trafił do niewoli w bitwie pod Richmond.

W tych samych okolicznościach i tego samego dnia, co Cyrus Smith, dostał się do niewoli południowców drugi wybitny człowiek. Był nim pan Gedeon Spilett, reporter dziennika *New York Herald*, wysłany dla relacjonowania przebiegu działań wojennych.

Gedeon Spilett należał do tych godnych podziwu reporterów pism angielskich i amerykańskich, którzy jak Stanley*, nie cofną się przed niczym, gdy chodzi o uzyskanie rzetelnych wiadomości i przekazanie ich swemu dziennikowi w jak najkrótszym czasie.

* Wojna secesyjna — wojna domowa w USA 1861–65 między stanami południowymi (Konfederacja Południa) a północnymi (Unia). W XIX w. zaczęły narastać konflikty między rolniczym Południem a przemysłową Północą, które doprowadziły do secesji 11 stanów Południa (1860–61) i utworzenia przez nie odrębnego państwa, co stało się bezpośrednią przyczyną wybuchu wojny. Dla Konfederacji była to wojna o uznanie jej suwerenności, dla Unii — o ratowanie jedności państwa i zniesienie niewolnictwa. Wojna zakończyła się w 1865 zwycięstwem Północy.

* Henry Stanley, właśc. John Rowlands (1841–1904), brytyjski podróżnik, badacz Afryki; reporter *New York Herald*. Do jego najgłośniejszych wypraw należały poszukiwanie w 1871 innego znanego badacza D. Livingstone'a oraz dotarcie do źródeł Nilu i Konga.

Dzienniki Stanów Zjednoczonych w rodzaju New York Herald stanowią prawdziwą potęgę, a ich wysłannicy są osobami, z którymi należy się liczyć. Gedeon Spilett był jednym z takich reporterów.

Był to człowiek wielkich zasług, energiczny, zręczny, gotów na wszystko; pełen pomysłów podróżnik, który zwiedził cały świat; żołnierz i artysta jednocześnie; prawdziwy mistrz w zdobywaniu informacji; jeden z tych nieustraszonych dziennikarzy, którzy piszą spokojnie wśród gradu kul.

On także brał udział we wszystkich bitwach, zawsze na pierwszej linii, z rewolwerem w jednej ręce, z notatnikiem w drugiej, a wśród huku armat ołowek nie zadrzał mu w rękę. Każda jego wiadomość, krótka, treściwa i jasna, rzucała nowe światło na jakieś ważne wydarzenie.

Gedeon Spilett był wysokiego wzrostu. Liczył około czterdziestu lat. Jego twarz okalały blond bokobrody wpadające w rudawy kolor. Wzrok miał bystry, żywy, jednym rzutem oka oceniał sytuację. Był silnie zbudowany, zahartował się w różnych klimatach jak stal w zimnej wodzie.

Cyrus Smith i Gedeon Spilett, którzy znali się dotąd tylko ze słyszenia, zostali internowani w Richmond. Inżynierowi właśnie zagoiła się rana i w czasie swej rekonwalescencji zetknął się osobiście z dziennikarzem. Wspólna niedola zbliżyła ich. Polubili się i obdarzyli wzajemnym szacunkiem. Wkrótce ożywiała ich obu tylko jedna myśl, jeden cel: wydostać się z niewoli, połączyć z armią Granta i walczyć nadal za jedność federacji.

Postanowili zatem wykorzystać każdą sposobność do ucieczki, ale choć w mieście pozostawiono im zupełną swobodę, to jednak Richmond był tak ściśle strzeżony, że ucieczka była prawie niemożliwa.

W tym czasie do Cyrusa przedostał się nowy sprzymierzeniec w osobie całkowicie oddanego mu sługi. Tym dzielnym człowiekiem był Murzyn urodzony w posiadłościach inżyniera jako syn niewolników, którego jednak Cyrus Smith dawno wyzwolił. Niewolnik ten, choć uzyskał wolność, nie chciał porzucić swego pana. Kochał go tak, że z radością oddałby za niego życie. Był to chłopak trzydziestoletni, dziarski, obrotny, zręczny, inteligentny, łagodny i spokojny, czasem naiwny, zawsze uśmiechnięty, usłużny i poczciwy. Zwał się Nabuchodonozor, lubił jednak, żeby zwracano się do niego: Nab.

Dowiedziawszy się, że jego pan dostał się do niewoli, bezzwłocznie opuścił Massachusetts, przybył pod Richmond i tu podstępem i zręcznością, naraziwszy swe życie najmniej dwadzieścia razy, przedostał się do oblężonego miasta. Trudno byłoby opisać słowami radość Cyrusa Smitha i poczciwego Naba, kiedy się znów spotkali.

Chociaż Nabowi udało się dostać do Richmond, to jednak o wiele trudniej było wydobyć się stamtąd, gdyż jeńcy federalni byli pilnie strzeżeni. Tylko jakiś nadzwyczajny przypadek mógł stworzyć szansę ucieczki, a okazja taka, niestety, nie nadarzała się.

Tymczasem oblężenie trwało nadal; jeńcy gorąco pragnęli uciec i wrócić do armii Granta, niektórzy z oblężonych równie mocno życzyli sobie wydostać się z miasta, by połączyć się z armią separatystów. Należał do nich niejaki Jonatan Forster, południowiec, oddany całym sercem sprawie swego kraju. Lecz tak samo jeńcy federalni jak i federaliści nie mogli opuścić miasta oblężonego przez armię północną. Gubernator Richmond od dawna już nie mógł skontaktować się z generałem Lee, a rzeczą najwyższej wagi było zawiadomienie go o położeniu, w jakim znajdowało się miasto i przyspieszenie odsieczy. Wtedy Jonatan Forster wpadł na pomysł przedostania się do obozu separatystów balonem.

Gubernator zezwolił na realizację projektu. Przygotowano balon i oddano go do dyspozycji Jonatana Forstera, któremu w wyprawie miało towarzyszyć pięciu innych ludzi. Balon zaopatrzone w broń, gdyby na wypadek lądowania byli zmuszeni do obrony i w żywność, na wypadek, gdyby ich lot miał się nieco przedłużyć.

Start balonu wyznaczono na 18 marca. Miało się to stać w nocy, przy średnim wietrze północno–zachodnim, zaś aeronauci spodziewali się w ciągu kilku godzin dotrzeć do kwatery generała Lee.

Niestety, przewidywany wiatr północno–zachodni nie był zwyczajnym wiatrem. Już rankiem 18 marca zauważono, że zmienia się w huragan. Wkrótce burza wzmogła się do tego stopnia, że lot Forstera musiał zostać odłożony, nie można bowiem było narażać balonu i jego załogi na wściekłość rozszalałego żywiołu.

Balon, napełniony gazem, czekał na głównym placu miejskim, gotów do odlotu w każdej chwili, gdyby tylko wichur nieco przycichł.

Upłynęły dni 18 i 19 marca, a burza nie uspokajała się. Z trudem zdołano uchronić od zniszczenia przymocowany do ziemi balon, którym wściekle targały wiatry.

Minęła noc z 19 na 20 marca, ale nad ranem huragan uderzył z jeszcze większą wściekłością. Odlot był niemożliwy.

Tego dnia do Cyrusa Smitha podszedł na jednej z ulic Richmond jakiś człowiek, zupełnie mu nieznany. Był to marynarz nazwiskiem Penkroff, w wieku pomiędzy trzydziestym piątym a czterdziestym rokiem życia, silnie zbudowany, mocno ogorzały, z żywymi, ustawicznie mrugającymi oczami, ale z poczciwym wyrazem twarzy. Penkroff był Amerykaninem z północy, przepłynął wszystkie morza na całej kuli ziemskiej i przeżył wiele przygód. Nie trzeba dodawać, że była to natura przedsiębiorcza, gotowa na wszystko, której nic nie zdołało wprawić w zdziwienie. Penkroff na początku roku udał się w interesach do Richmond w towarzystwie młodego chłopca Harberta Browna z New Jersey; był to sierota, syn kapitana statku, na którym kiedyś pływał Penkroff; marynarz kochał go jak własne dziecko. Obłężenie zastało ich, ku wielkiemu niezadowoleniu Penkroffa, w mieście. W tym położeniu pochłaniała go tylko jedna myśl: wydostać się w jakikolwiek sposób. Inżyniera Cyrusa Smitha znał ze słyszenia. Wiedział, jak niecierpliwie ten śmiały człowiek pragnął wydostać się z niewoli, dlatego też bez ceremonii zagadnął go na ulicy:

— Panie Smith, czy bardzo sprzykrzyło się panu w Richmond? Inżynier spojrzał badawczo na pytającego, a ten, zniżając głos, dodał:

— Panie Smith, chce pan uciekać?

— A kiedy?... — zapytał żywo inżynier i łatwo było zauważyć, że odpowiedź ta wymknęła mu się mimowolnie; lecz zmierzwszy przenikliwym wzrokiem dobroduszną postać marynarza, nie wątpił, że ma do czynienia z uczciwym człowiekiem.

— Kim pan jest? — zapytał krótko.

Penkroff przedstawił się.

— Dobrze — odparł Cyrus Smith — lecz jaki jest sposób ucieczki?

— Za pomocą balonu, który wisi tu beczynn timer i wydaje mi się, że czeka na nas!...

Marynarz nie potrzebował kończyć zdania. Inżynier zrozumiał wszystko od razu. Chwyił Penkroffa pod ramię i zabrał go do swego mieszkania.

Tam marynarz przedstawił swój projekt — w istocie prosty. Narażało się tylko życie... Prawda, że huragan szalał z wielką gwałtownością, ale taki zręczny i śmiały inżynier jak Cyrus Smith potrafiłby przecież kierować balonem. Gdyby Penkroff sam znał tę sztukę, nie wahałby się ani chwili ruszyć w drogę — naturalnie z Harbertem.

Cyrus Smith słuchał marynarza w milczeniu, ale jego wzrok płonął. Nadarzała się możliwość ucieczki, a Cyrus Smith nie miał zamiaru jej stracić. Projekt był wprawdzie bardzo niebezpieczny, lecz mimo to wykonalny. W nocy, pomimo najbardziej czujnej straży, można podkraść się pod balon, wślizgnąć do kosza, a potem odciąć liny, którymi był przywiązany do

ziemi. Prawda, że można zginać, lecz może się także i udać, lecz gdyby nie ta burza balon już odleciałby, a wtedy ucieczka byłaby niemożliwa.

— Nie jestem sam!... — rzekł, kończąc swe rozmyślenia Cyrus Smith.

— Ile osób chce pan zabrać ze sobą? — zapytał marynarz.

— Dwie: mego przyjaciela Spilett i służącego Naba.

— Razem trzy — odparł Penkroff — a ze mną i z Harbertem pięć. Balon miał zabrać sześć...

— Więc lećmy! — rzekł Cyrus Smith.

To słówko „my” dotyczyło także reportera, ale ten nie należał do ludzi, którzy cofają się przed podobnymi przedsięwzięciami i zaledwie przedstawiono mu projekt, zgodził się od razu. Zdziwiło go tylko, że taka prosta myśl jemu samemu nie przyszła dotąd do głowy. Jeśli chodzi o Naba, to ten poszedłby do piekła za swoim panem.

— A zatem dziś wieczór — rzekł Penkroff — spotkamy się tam wszyscy, niby przypadkiem.

— Dziś wieczór, o dziesiątej — odparł Cyrus Smith — i dałby Bóg, aby ta burza nie uspokoiła się przed naszym odlotem!

Penkroff pożegnał inżyniera i wrócił do swego mieszkania, w którym zostawił młodego Harberta Browna. Ten odważny chłopiec znał plan marynarza i pełen niepokoju oczekiwał rezultatu rozmowy z inżynierem.

Tymczasem huragan nie uspokajał się wcale i ani Jonatanowi Forsterowi, ani jego towarzyszom nie przyszło do głowy narażać się na jego wściekłość. Inżynier obawiał się tylko tego, aby balon, przymocowany do ziemi i targany wichrem, nie pękł na tysiące kawałków. Przez kilka godzin wałęsał się po prawie pustym placu, nie spuszczać balonu z oka. To samo robił Penkroff z przeciwnej strony, z rękami w kieszeniach, ziewając od czasu do czasu, jak człowiek, który nie wie, czym zabić czas; on także obawiał się, czy balon nie pęknie lub czy nie zerwie się z więzów i nie uleci w powietrze.

Nadszedł wieczór. Noc była bardzo ciemna. Gęste mgły niby chmury unosiły się ponad ziemią. Padał deszcz ze śniegiem i było przenikliwie zimno. Ulice były puste; wśród tak rozszalałej burzy nikt nie pilnował balonu.

O wpół do dziesiątej Cyrus Smith i jego towarzysze z różnych stron podkradli się aż na sam plac, pogrążony w zupełnej ciemności, gdyż oświetlające go lampy gazowe pogasły od wiatru.

Jeńcy spotkali się przy koszu. Nikt ich nie spostrzegł, a było tak ciemno, że sami siebie nie widzieli.

W głębokim milczeniu Cyrus Smith, Gedeon Spilett, Nab i Harbert wsiedli do środka, podczas gdy Penkroff na rozkaz inżyniera zdejmował kolejno worki z balastem. Trwało to kilka chwil, po czym marynarz zajął miejsce w koszu obok swoich towarzyszy.

Balon przytrzymała jeszcze tylko podwójna lina. Cyrus Smith miał wydać rozkaz odlotu.

Wtedy jakiś pies jednym susem wskoczył do środka. Był to Top, pies inżyniera, który urwawszy się z łańcucha, przybiegł za swoim panem. Cyrus Smith, obawiając się nadmiernego ciężaru, chciał odpędzić biedne zwierzę.

— Jeden mniej, jeden więcej! — rzekł Penkroff i wyrzucił z kosza kolejne dwa worki z balastem.

Następnie popuścił linę, a balon wzniósł się do góry i znikł w obłokach, potrafiwszy koszem dwa kominy, które przewrócił w swym szalonym pędzie.

Huragan rozszalał się wówczas z niesamowitą siłą. Dopóki trwała noc, niemożliwe było opuszczanie się w dół, a gdy dzień zaświtał, gęste mgły zakryły ziemię.

W pięć dni później, gdy się rozjaśniło, ujrzeli pod sobą morze, a wicher pędził balon z przerażającą szybkością.

Pięciu ludzi i pies wzniosło się balonem 20 marca, zaś 24 marca czterech z nich zostało wyrzuconych na puste wybrzeże, sześć tysięcy mil od ich kraju*.

Tym, którego stracili i na którego ratunek pospieszyli natychmiast czterej ocaleni rozbitkowie, był ich przywódca, inżynier Cyrus Smith!...

* Dnia 3 kwietnia miasto Richmond poddało się generałowi Grantowi, powstanie separatystów zostało stłumione, gen. Lee cofnął się w kierunku zachodnim, a zwycięstwo odnieśli walczący o jedność Stanów Zjednoczonych.

ROZDZIAŁ III

Pięta po południu. — Stracony towarzysz. — Rozpacz Naba. — Poszukiwania na północy. — Wysepka. — Noc pełna trosk i udreki. Poranna mgła. — Wyprawa Naba w pław przez morze. — Obraz Ziemi. — Przez kanał w bród.

Sieć rozerwała się pod Cyrusem Smithem i uderzająca fala porwała go ze sobą. Razem z nim zniknął także jego pies. Wierne zwierzę dobrowolnie rzuciło się w morze na pomoc swojemu panu.

— Dalej, naprzód! — zawołał reporter.

I wszyscy czterej: Gedeon Spilett, Harbert, Penkroff i Nab, zapominając o własnym zmęczeniu, rozpoczęli poszukiwania.

Biedny Nab płakał z wściekłości i z rozpacz na myśl, że utracił wszystko, co kochał na świecie.

Między chwilą, kiedy Cyrus Smith zniknął, a chwilą, w której jego towarzysze zostali wyrzuceni na ląd, nie upłynęło więcej jak dwie minuty. Można było mieć nadzieję, że ratunek nie będzie spóźniony.

— Szukajmy go, szukajmy! — krzyczał Nab.

— Dobrze, Nab — odparł Gedeon Spilett. — Znajdziemy go!

— Żywego? — Żywego!

— Czy on umie pływać? — zawołał Penkroff.

— Umie! — odparł Nab. — Zresztą Top jest przy nim! Marynarz, słysząc ryk morza, pokręcił tylko głową.

Inżynier zniknął na północ od wybrzeża, około pół mili od miejsca, w którym wyrzuceni zostali rozbitkowie. Najbliższy punkt wybrzeża, do którego mógłby dopłynąć, odległy był o co najwyżej pół mili.

Było około szóstej; mgła podniosła się znad oceanu i noc stała się ciemniejsza. Rozbitkowie powędrowali północnym brzegiem zupełnie nieznanego lądu, na który wyrzucił ich los. Pod nogami mieli piaszczysty grunt zmieszany z kamykami i pozbawiony, jak się zdawało, wszelkiej roślinności. Grunt ten, nader nierówny i chropowaty, poprzecinany był tu i ówdzie małymi rozpadlinami, które niezmiernie utrudniały posuwanie się naprzód. Z tych rowów zrywały się co chwilę jakieś duże, ciężko latające ptaki. Rozpoznanie ich uniemożliwiała ciemność. Inne, szybsze i mniejsze, wlatywały stadami jak chmury. Marynarzowi zdawało się, że poznaje w nich mewy i drobniejsze ptactwo morskie, którego przeraźliwie ostre krzyki zagłuszały nawet szum fal.

Od czasu do czasu rozbitkowie zatrzymywali się i wołali z całych sił, wyteżając słuch, czy od strony morza nie odezwie się czyjś głos. Przypuszczali słusznie, że zbliżając się do miejsca, w którym wypłynie Cyrus Smith, nawet jeżeli on sam nie będzie w stanie dać znać o sobie, usłyszą szczekanie Topa. Lecz żaden głos nie dochodził spośród ponurego grzmotu morskich fal łamiących się o brzegi. Dlatego szli dalej, przeszukując po drodze wszystkie najmniejsze zakrety nadbrzeża.

Po dwudziestu minutach marszu pochód rozbitków wstrzymała nagle granica spienionych fal.

— To przyłodek — rzekł marynarz. — Skrećmy w prawo i tym sposobem dotrzemy do stałego lądu.

— A jeśli mój pan tam jest? — spytał Nab, wskazując na ocean, którego olbrzymie fale białły w mroku.

— Więc wołajmy go!

I wszyscy czterej zaczęli krzyżeć, jak mogli najgłośniej — żadnej odpowiedzi. Wyczekali chwilę, w której morze, jakby nabierając tchu, przycichło i ponowili okrzyk — na próżno!

Wówczas skierowali się w przeciwną stronę przylądka, po gruncie tak samo piaszczystym i kamienistym. Penkroff zauważył jednak, że brzegi były bardziej urwiste, a grunt stopniowo się podnosił. Po tej stronie wybrzeża było mniej ptactwa. Morze wydawało się nie tak wzburzone, mniej hałaśliwe i nawet prąd fal był o wiele wolniejszy. Zaledwie było słychać, jak uderzały o brzegi. Ta strona przylądka tworzyła małą półkolistą zatokę, zasłoniętą przed naporem otwartego morza.

Lecz idąc dalej w kierunku południowym oddalali się coraz bardziej od tej strony wybrzeża, gdzie Cyrus Smith prawdopodobnie mógł wypłynąć. Po półtorej mili nie napotkali jeszcze takiego zakrętu, który pozwoliłby im zawrócić znowu na pomoc. Byli jednak pewni, że przylądek z tej strony, którą szli, musiał gdzieś łączyć się ze stałym lądem. Rozbitkowie, jakkolwiek znużeni i wycieńczeni, posuwali się mężnie naprzód w nadziei znalezienia zakrętu.

Jakież więc było ich rozczarowanie, gdy po dwóch milach wędrówki znaleźli się niespodziewanie na dość wysokim, śliskim, skalistym szczycie, a przed sobą ujrzeli morze.

— Jesteśmy na jakiejś wyspie! — rzekł Penkroff. — I obeszlśmy ją dookoła. Marynarz miał słusność. Rozbitkowie nie zostali wyrzuceni na stały ląd, ani nawet na wyspę, lecz na malutką wysepkę mającą zaledwie dwie mile długości i zapewne dość wąską.

— Milczenie Cyrusa niczego nie dowodzi — rzekł reporter. — Może zemdłał, może jest ranny i chwilowo niezdolny odpowiedzieć; nie traćmy więc nadziei.

Reporter wpadł na pomysł rozpalenia ognia, który mógłby służyć jako sygnał dla Cyrusa. Lecz nigdzie nie można było znaleźć ani drzewa, ani suchych krzewów. Wszędzie tylko piasek i kamyki.

Łatwo pojąć żal i boleść Naba i jego towarzyszy, którzy żywili dla Cyrusa szczere przywiązanie. Jednak aż do rana nie mogli udzielić mu żadnej pomocy. Trzeba było czekać. Czas oczekiwania był trudny i długi, ale rozbitkowie nie myśleli o odpoczynku, nie czuli dotkliwego zimna, przemierzając we wszystkich kierunkach małą wysepkę, mając nadzieję na jakiś znak życia.

Raz nawet zdawało się, że na krzyk Naba odpowiedziało echo. Harbert zwrócił na to uwagę Penkroffa, dodając:

— To dowodzi, że niedaleko na zachód musi być wybrzeże. Marynarz skinął potakująco. Lecz to dalekie echo było jedyną odpowiedzią na krzyk Naba, a całą wschodnią część wysepki zalegała ponura cisza.

Tymczasem niebo powoli się wypogadzało. Około pomocy zamigotało kilka gwiazdek. Nie było Gwiazdy Polarnej na tym nowym horyzoncie; konstelacje zenitalne były różne od tych, jakie można dostrzec na północy Nowego Świata, a Krzyż Południa jaśniał na biegunie południowym*.

Tak upłynęła noc. Około piątej nad ranem 25 marca mgła była tak gęsta, że nie pozwalała widzieć przed sobą dalej niż na dwadzieścia kroków.

Podczas gdy oczy Naba i reportera błądziły po oceanie, marynarz z Harbertem patrzyli na ową ziemię na zachodzie. Lecz nic nie można było dostrzec. — Mniejsza o to — rzekł Penkroff. — Chociaż nie widzę ziemi, to ją czuję... ona jest... jest... tam... to tak pewne, jak fakt, że nie jesteśmy już w Richmond! Niebawem mgła zaczęła ustępować. Ciepłe promienie słoneczne ogrzały najpierw górne warstwy powietrza, a następnie przedarły się do samej ziemi.

* Krzyż Południa jest taką samą stałą konstelacją nad biegunem południowym jak Mała Niedźwiedzica z Gwiazdą Polarną nad biegunem północnym.

W istocie, około wpół do siódmej, w trzy kwadransy po wschodzie słońca, mgła stała się przezroczysta. Zgęstniała w górze, lecz za to przerzedziła się dołem. Niebawem oczom rozbitków ukazała się cała wysepka, jak gdyby wyłoniła się z chmur; następnie półkolem poczęło odsłaniać się morze, niezmierzone ku wschodowi, za to na zachodzie zarysowało się wyniosłe i urwiste wybrzeże.

Tam jest ziemia! Tam jest przynajmniej czasowe zbawienie! Wysepkę przedzielał od wybrzeża kanał szeroki na pół mili, w którym toczył się bystry prąd morski.

Tymczasem jeden z rozbitków, kierując się wyłącznie głosem swego serca, rzucił się nagle do wody, nie pytając o radę, nie rzekłszy ani słowa. Był to Nab. Spieszno mu było dostać się do tego wybrzeża i dopłynąć do niego od strony północnej. Nikt nie był w stanie go zatrzymać. Penkroff wołał za nim, ale na próżno. Reporter chciał płynąć za Nabem, ale Penkroff powstrzymał go słowami:

— Chce pan przepłynąć ten kanał?

— Tak jest — odparł Gedeon Spilett.

— Więc niech mi pan wierzy i zaczeka trochę — rzekł marynarz. — Nab sobie poradzi i pomoże swemu panu. Płynąc kanałem, narazilibyśmy się tylko na to, że prąd porwałby nas ze sobą. Otóż, jeżeli się nie mylę, prąd ten wywołany jest odpływem morza. Proszę zobaczyć, woda wyraźnie opada. Więc bądźmy cierpliwi; gdy skończy się odpływ, może uda się nam przejść w bród.

— Ma pan słuszność — odparł reporter. — Nie rozłączajmy się, jak długo można...

Tymczasem Nab mężnie walczył z prądem. Za każdym uderzeniem fali widać było jego czarne barki nad powierzchnią wody. Prąd unosił go wprawdzie z olbrzymią szybkością, lecz jednocześnie przybliżał do brzegu. Pół mili, które oddzielało wyspę od ziemi, przepłynął w przeciągu około pół godziny, wyszedł na brzeg, otrząsnął się energicznie; następnie pobiegł pędem i zniknął wkrótce za wierzchołkiem skały, sterczącej ponad morzem na tej samej mniej więcej wysokości, co północny kraniec wysepki.

Towarzysze Naba z niepokojem śledzili jego wyczyn, a gdy już zniknął im z oczu, popatrzyli wokoło na wyspę, na której chcieli szukać schronienia i przytułku. Zjedli także kilka małych rozrzuconych gęsto po piasku — lichego to był posiłek, ale musiał im wystarczyć.

Przeciwnie wybrzeże tworzyło rozległą, ostro zakończoną zatokę, która od strony południowej była zupełnie pozbawiona roślinności. Jednym końcem dotykała olbrzymich, granitowych skał. Na północy zaś tworzyła zaokrąglone wybrzeże; tam, gdzie grunt wznosił się wyżej, nie było ani jednego drzewa; ale na prawo, z przeciwnej strony, nie brakowało zieleni. Łatwo było dostrzec grupy olbrzymich drzew; piękna zieleń nęciła oko. Na dalszym planie, ponad piaszczystą wyżyną, w kierunku południowo-zachodnim błyszczał okryty śniegiem szczyt, ozłocony promieniami słońca.

Niemożliwe było rozstrzygnięcie kwestii, czy ziemia, którą widzieli przed sobą, była wyspą, czy też częścią lądu stałego. Lecz patrząc na te skały piętrzące się po lewej stronie, dziwacznie poszarpane i urwiste, każdy geolog niezawodnie stwierdziłby ich wulkaniczne pochodzenie.

Gedeon Spilett, Penkroff i Harbert uważnie przypatrywali się tej ziemi, na której czekał ich prawdopodobnie długoletni pobyt, a może nawet i śmierć — jeżeli nie leżała przy szlaku odwiedzanym przez okręty.

— No i cóż ty na to, Penkroff? — zapytał Harbert.

— Ha, cóż, widzę w tym dobre i złe strony, jak we wszystkim — odparł marynarz. — Zresztą zobaczymy. Zaczyna się odpływ. Za trzy godziny spróbujemy, czy uda się nam przejść na drugi brzeg, a gdy się już raz tam dostaniemy, będziemy się starali odszukać pana Smitha.

Penkroff nie pomylił się w swych przewidywaniach. Trzy godziny później, gdy morze opadło, odkryła się większa część piaszczystej płaszczyzny, stanowiącej dno kanału. Wysepkę oddzielała od przeciwnego wybrzeża tylko wąska odnoga, łatwa do przebycia.

Dzięki temu około dziesiątej Gedeon Spilett z dwoma towarzyszami, rozebrawszy się i przymocowawszy na głowie zawiniątka z ubraniami, przepłynęli odnogę, której głębokość nie wynosiła więcej jak pięć stóp. Wszyscy trzej dostali się bez trudu na drugą stronę. Tam, osuszywszy się szybko na słońcu i włożywszy z powrotem ubranie, które udało im się uchronić od zmoczenia, rozpoczęli walną naradę.

ROZDZIAŁ IV

Litodomy. — Przy ujściu rzeki. — Kominy górskie. — Dalszy ciąg poszukiwań. — Las zielonych drzew. — Zapas paliwa. — Oczekiwanie na odpływ morza. — Widok ze szczytu wybrzeża. — Splaw drzewa. — Powrót na brzeg.

Reporter uzgodnił z marynarzem, by czekał na niego w umówionym miejscu, po czym nie tracąc czasu udał się, w tę samą stronę wybrzeża, dokąd kilka godzin wcześniej poszedł Nab. Kilka minut później zniknął za zakrętem, chcąc jak najszybciej odnaleźć inżyniera.

Harbert chciał mu towarzyszyć; marynarz jednak powstrzymał go, mówiąc:

— Zostań ze mną, mój chłopcze. Musimy przygotować jakieś obozowisko i pomyśleć, czy nie dałoby się wyszukać dla naszych żołądków czegoś pożywniejszego od małży. Nasi przyjaciele będą potrzebowali posiłku. Niech każdy czyni, co do niego należy.

— Ja jestem gotów — odparł Harbert.

— To dobrze — rzekł marynarz. — Jakoś to będzie. Postępujemy tylko systematycznie. Czujemy znużenie, zimno i głód, trzeba więc poszukać sobie przytułku, ognia i pożywienia. W lesie znajdziemy drewno, w ptasich gniazdach jaja, chodzi więc jeszcze o schronienie.

— Ja poszukam w skałach jakiejś jaskini — odparł Harbert — i pewnie uda mi się znaleźć grootę, w której się wszyscy pomieścimy.

— Dobrze, mój chłopcze — rzeki Penkroff. — Ruszaj naprzód!

I obaj ruszyli w drogę. Szli u podnóża olbrzymiej skalistej ściany po piaszczystej wydminie, którą odkryło opadające z wolna morze. Lecz zamiast iść w górę na północ, oni schodzili w dół na południe. Penkroff odkrył — na kilkaset kroków od miejsca, w którym wylądowali — wrzynającą się w brzeg wąską cieśninę, która, jego zdaniem, była łóżyskiem rzeki lub potoku. Z jednej więc strony było rzeczą bardzo ważną zamieszkać w pobliżu słodkiej wody, z drugiej — istniało prawdopodobieństwo, że prąd morski poniósł Cyrusa w tę stronę.

Powiedzieliśmy już, że owa skalista ściana wznosiła się do wysokości trzystu stóp, ale od góry do dołu była wyciosana jakby z jednego kamienia i nawet u jej podnóża nie było żadnej szczeliny, mogącej służyć za tymczasowe schronienie. Był to prostopadły mur z twardego granitu, którego nigdy nie dotknęło morze. Dookoła szczytu wzlatywały chmary wodnego ptactwa, szczególnie rozmaite rodzaje z rzędu płetwonogich o podłużnych, spłaszczonych i spiczastych dziobach — bardzo krzykliwe i wcale nie zaniepokojone widokiem ludzi, z którymi pewnie zetknęły się po raz pierwszy. Pomiedzy tym płetwonogim ptactwem Penkroff rozpoznał rodzaj mew, które nazywa się czasem wronami morskimi, tudzież małe, drapieżne mewki. Jeden strzał w środek tego ptasiego mrowiska ubiłby ich setki, lecz ani Penkroff, ani Harbert nie posiadali broni. Marynarz pocieszał towarzysza, że w istocie niewiele tracą, gdyż mięso tych ptaków, a nawet ich jaja mają obrzydliwy smak.

Tymczasem Harbert natrafił wkrótce na kilka brył skalnych pokrytych algami*, które przyplw morza za kilka godzin powinien znowu skryć pod wodą. Na tych skałach, wśród wijącego się morskiego ziela, leżały muszle o podwójnej skorupie, którymi nie mógł wzgardzić zgłodniały człowiek. Harbert przywołał zatem Penkroffa, który przybiegł w pośpiechu.

— To nie są ślimaki morskie — stwierdził Harbert, który uważnie przypatrywał się uczeptionym skał mięczakom. — To litodomy.

— A dadzą się jeść? — zapytał Penkroff.

* Gatunek roślin plechowych (przyp. tłum.).

— Oczywiście.

— Więc bierzmy się za nie.

Marynarz mógł w tej mierze polegać na zdaniu Harberta. Chłopak był biegły w naukach przyrodniczych i od najmłodszych lat posiadał namiętne zamiłowanie do tej dziedziny wiedzy. Zmarły ojciec kształcił go więc, posyłając na wykłady najlepszych profesorów w Bostonie, którzy polubili to inteligentne i pracowite dziecko.

Owe litodomy, to zwierzęta bezkręgowce, podłużne, bardzo mocno trzymające się skały. Należą do rodzaju mięczaków świdrujących, które przedziurawiają najtwardsze kamienie, a skorupa ich zaokrągla się na obu końcach, czego nie widać u pospolitych ślimaków.

Penkroff z Harbertem zostawili okropne spustoszenie pomiędzy litodomami, które pootwierały się na słońcu. Jedli je tak, jak ostrygi i przekonali się, że mają ostry smak i nie trzeba było do nich żadnych przypraw.

Tym sposobem zaspokoili głód, lecz za to gwałtowniej zaczęli odczuwać pragnienie. Musieli więc szukać słodkiej wody, a było pewne, że nie może jej brakować na ziemi z tak bogatą przyrodą. Penkroff i Harbert, zaopatrzwszy się w obfity zapas litodomów, którymi napełnili kieszenie i chustki, zeszli z powrotem do podnóża góry.

Po przejściu dwustu kroków dotarli do cieśniny, do której, zgodnie z przypuszczeniami Penkroffa, wpływała mała rzeczka. W tym miejscu przerywała się granitowa ściana, najprawdopodobniej w wyniku jakiegoś dawnego podziemnego wybuchu. U jej podnóża było małe wydrążenie w kształcie zatoki, której dno tworzyło dosyć ostry kąt. W tym miejscu szerokość potoku wynosiła sto stóp, a jego nadbrzeże po obu stronach — zaledwie dwadzieścia. Rzekę otaczały z obu stron prostopadłe, granitowe ściany, które przy ujściu zdawały się nieco obniżać. Dalej strumień zawracał nagle i ginał w zaroślach małego lasu ciągnącego się na przestrzeni pół mili.

— Tu jest woda! Tam las! — rzekł Penkroff. — Brak nam jeszcze tylko mieszkania!

Woda w rzece była przezroczysta. Marynarz stwierdził, że podczas odpływu morza, kiedy fale morskie jej nie mąciły, była słodka. Daremnie jednak szukali jakiegoś wydrążenia w skale, które mogłoby służyć im za schronienie. Skała była wszędzie gładka, równa i prostopadła.

Przy samym ujściu potoku, w miejscu osłoniętym od fal morskich podczas przyptywu, rumowiska skał tworzyły wprawdzie nie pieczarę, lecz stosy olbrzymich brył, jakie często można spotkać w okolicach obfitujących w pokłady granitowe, zwane kominami górskimi.

Penkroff i Harbert zapuścili się dość daleko między skały, w ich korytarze posypane piaskiem, gdzie światło wdzierało się przez szczeliny między bryłami granitu, z których wiele utrzymywało równowagę w sposób niepojęty dla człowieka. Lecz razem ze światłem wkradał się także wiatr — a z wiatrem wnikał z zewnątrz ostry, przenikliwy chłód. Marynarz sądził jednak, że zabezpieczwszy lepiej niektóre części korytarzy przed działaniem zewnętrznej atmosfery, zatykając otwory kamieniami i piaskiem, można owe Kominy uczynić mieszkalnymi.

— Tego nam było trzeba! — zawołał Penkroff — i jeśli kiedyś będziemy znowu mieli przy sobie Smitha, zrobi z tego wygodne mieszkanie.

— Ujrzymy go jeszcze, ujrzymy — zawołał Harbert. — A kiedy wróci, zastanie mieszkanie częściowo urządzone. Doprowadzimy do tego, jeżeli nam się uda w lewym korytarzu urządzić ognisko; lecz trzeba zostawić otwór, przez który będzie wylatywał dym.

Harbert i Penkroff wyszli z Kominów i ruszyli w stronę lewego brzegu rzeki. Prąd był w tym miejscu dość bystry i unosił ze sobą kilka suchych gałęzi. Zauważywszy to marynarz wpadł na pomysł, że można wykorzystać przyptyw i odpływ morza do transportu ciężkich materiałów.

Po kwadransie dotarli do łuku, jaki tworzyła rzeka, skręcając w lewo. Od tego miejsca poczawszy, płynęła środkiem lasu, gdzie rosły wspaniałe drzewa. Pomimo spóźnionej pory roku,

zachowały one swą zielen, należąc do gatunku drzew iglastych, które rodzą się we wszystkich częściach świata. Nasz młody przyrodnik rozróżnił pomiędzy nimi cedry i drzewa himalajskie, roztaczające bardzo przyjemny zapach. Spomiędzy tych pięknych drzew strzelały w niebo grupy sosen. Penkroff wyczuł pod nogami, wśród bujnego zieleń, suche, trzeszczące gałęzie.

— Brawo, chłopcze! — rzekł do Harberta. — Choć nie znam może nazw tych drzew, tyle wiem przynajmniej, że należą do gatunku opałowego; a ten jeden rodzaj obchodzi nas w tej chwili najbardziej.

— Róbmy zapas! — odparł Harbert i natychmiast wziął się do zbierania. Nie trzeba było nawet łamać drzew, gdyż mnóstwo suchych gałęzi leżało pod nogami. Lecz chociaż nie brak było opału, trudności sprawiał jego transport; drewno było bardzo suche i musiało szybko się palić. Dlatego konieczne było sprowadzenie go do Kominów w większej ilości, a dwóch ludzi nie mogło podołać tak znacznemu ciężarowi, jak słusznie zauważył Harbert.

— Musimy znaleźć jakiś sposób przeniesienia tego drewna — odpowiedział marynarz. — Na wszystko jest rada! Gdybyśmy mieli wózek lub łódkę, to byłoby łatwo!

— Mamy za to rzekę! — zawołał Harbert.

— To prawda — odparł Penkroff. — Rzeka będzie dla nas drogą, a nie na darmo wynaleziono tratwy.

— Tak, tylko że rozpoczyna się przyływ, więc nasz ładunek zniesie w przeciwnym kierunku — zauważył Harbert.

— Zaczekamy na odpływ — odparł marynarz — a wtedy morze samo powiezie nasze paliwo do Kominów. Tymczasem przygotujmy tratwy!

Marynarz z Harbertem skierowali się w stronę cypla, jaki krawędź lasu tworzyła z rzeką. Obaj zabrali tyle chrustu, ile mogli udźwignąć. Później okazało się, że na nadbrzeżnym urwisku pomiędzy zaroślami leży duża ilość suchych gałęzi.

Penkroff wziął się natychmiast do budowy tratwy.

W tym celu powybiali duże kawałki drewna, łącząc je ze sobą za pomocą suchej wikliny. W godzinę praca była ukończona, a tratwa, przywiązana do brzegu, czekała na odpływ morza.

Mając do dyspozycji jeszcze kilka godzin, postanowili wyjść na szczyt wyniosłego nadbrzeża i stamtąd rozejrzeć się dokładniej po okolicy.

Stanąwszy na szczycie skierowali wzrok na ocean, który przebyli w tak dramatycznych okolicznościach. Ze wzruszeniem patrzyli na północną stronę wybrzeża, gdzie nastąpiła katastrofa. W tym miejscu zaginął Cyrus Smith. Wypatrywali jakiegoś szczątka balonu, na którym mógłby utrzymać się człowiek. Niestety, wokół rozciągała się tylko pusta przestrzeń oceanu.

— Coś mi mówi — odezwał się Harbert — że tak dzielny człowiek jak pan Cyrus nie mógł pójść na dno, jak ktoś niedoświadczony. Musiał gdzieś przypląć do brzegu. Prawda, Penkroff?

Marynarz smutno pochylił głowę; nie spodziewał się już więcej zobaczyć Cyrusa Smitha, lecz nie chcąc odbierać nadziei Harbertowi, odparł:

— Niezawodnie, niezawodnie, nasz inżynier da sobie radę nawet tam, gdzie każdy inny przepadłby z kretesem!... — zamyślił się głęboko, po czym mruknął do siebie: — Czyżbyśmy znajdowali się na wyspie?...

— W takim razie jest to dość rozległa wyspa — odparł chłopak.

— Największa wyspa zawsze jest tylko wyspą — orzekł ze smutkiem Penkroff.

Tej kwestii nie można było od razu rozstrzygnąć. Sama zaś kraina, czy była wyspą, czy też stałym lądem, wydawała się żyzna, z pięknymi widokami i bogata w różnorodne płody.

— To nasze szczęście — rzekł Penkroff — a w położeniu, w jakim się znaleźliśmy, winni jesteśmy wdzięczność Opatrzności.

— Niechże więc Bogu będzie chwała! — odparł Harbert.

Obejrzawszy dokładnie teren, Penkroff i Harbert zawrócili południowym grzbietem granitowych gór. Tu, w szczelinach skał i w dziurach wyżłobionych w kamieniu, gnieździły się tysiące ptaków. Harbert, skacząc ze skały na skałę, spłoszył jedną skrzydlatą gromadę.

— To nie są mewy! — zawołał.

— A cóż to za ptaki? — zapytał Penkroff. — Na honor! Ja myślałbym, że to gołębie!

— Istotnie — odparł Harbert. — To są gołębie, ale dzikie, zwane skalnymi. Poznają je po podwójnym czarnym pasku na skrzydłach, po białym ogonie i po modropopielatym upierzeniu. A ponieważ sam skalny gołąb jest bardzo smaczny, więc i jego jaja muszą być wyśmienite; a założyłbym się, że znajdziemy ich dosyć w gniazdach.

— Nie pozwolimy im się wylęgnać, chyba że pod postacią jajecznicy! — odparł wesóło Penkroff.

— A w czym usmażysz jajecznicę? — zapytał Harbert. — W kapeluszu?

Penkroff i Harbert przeszukiwali dokładnie szczeliny w skalach i w istocie znaleźli w niektórych gołębie jaja. Zebrali w chustkę kilka tuzinów, a ponieważ zbliżał się odpływ morza, poczuli schodzić w kierunku rzeki.

Kiedy przybyli do miejsca, w którym rzeka tworzyła zakole, była pierwsza. Prąd wody zaczął już zawracać. Trzeba więc było korzystać z odpływu, aby tratwę z drewnem spławić do ujścia rzeki. Penkroff nie chciał jej puścić bez nadzoru, lecz nic miał również ochoty sam na nią wsiąść. Marynarz jednak zawsze umie postarać się o linę lub sznur; Penkroff ukreślił szybko z suchej wikliny spory powróż. Powróż ten przymocowali do tylnej części tratwy, marynarz ujął jeden koniec w rękę, podczas gdy Harbert przy pomocy długiej żerdzi odpychał tratwę od brzegu i w ten sposób kierował ją zgodnie z prądem wody.

Manewr udał się znakomicie. Potężny ładunek z drewnem, wstrzymywany ręką marynarza idącego brzegiem, płynął z prądem. Brzeg był bardzo stromy, nie było niebezpieczeństwa, aby tratwa utknęła na mieliźnie, a mniej więcej dwie godziny później ładunek dotarł do ujścia rzeki, o kilka kroków od Kominów.

ROZDZIAŁ V

Urządzenie Kominów. — Ważna kwestia ognia. — Pudełko zapalek. Poszukiwania na wybrzeżu. — Powrót reportera i Naba. — Tylko jedna zapalka! — Ognisko. — Pierwsza wieczerza. — Pierwsza noc na lądzie.

Gdy tratwa z drewnem została wyladowana, pierwszą troską Penkroffa było urządzenie w Kominach mieszkania, zatykając otwory i dziury, przez które dostawał się wiatr. Przy pomocy piasku, kamyków i splecionych gałęzi zapchali szczelnie wszystkie otwory. Zostawili tylko jedną boczną szczelinę, wąską i krętą, aby dym miał możliwość ujścia, a ognisko potrzebny ciąg. Tym sposobem podzielili Kominy na kilka izb (jeśli można tak je nazwać). Tyle przynajmniej było z nich korzyści, że były suche i że można było w nich stać wyprostowanym; zwłaszcza w głównej izbie, zajmującej środkową część Kominów. Podłogę stanowił drobny piasek i można tam było się schronić do czasu znalezienia czegoś lepszego.

Podczas pracy Harbert i Penkroff rozmawiali ze sobą.

— A może nasi towarzysze — rzekł Harbert — znajdą rezydencję lepszą od naszej?

— Możliwe — odparł marynarz — ale to nic nie szkodzi.

— Mój Boże! — rzeki Harbert. — Żeby tylko przyprowadzili ze sobą pana Smitha, żeby go odszukali, to za to podziękowalibyśmy Bogu!...

— Prawda! Prawda! — mruknął Penkroff. — Był to człowiek, jakich mało!

— Jak to „był...”? Więc sądzisz, że już nie żyje?

— A broń mnie Boże! — odparł marynarz. — Tak mi się tylko powiedziało! Praca była tymczasem skończona i Penkroff był z niej bardzo zadowolony.

— Teraz — rzekł — mogą wrócić nasi przyjaciele. Znajdą wystarczającej schronienie.

Pozostało tylko rozpalenie ogniska i przygotowanie jedzenia. Było to zadanie stosunkowo proste. W głębi lewego korytarza, niedaleko otworu z dopływem powietrza, położyli obszerne płyty kamienne. Należało sprawić, aby dym nie wydmuchiwał całego ciepła na zewnątrz i żeby utrzymywała się przyzwoita temperatura. Jedną z izb przeznaczyci na skład drewna: na kamiennych płytach marynarz położył kilka polan i nieco drobniejszych patyków.

Podczas tych przygotowań Harbert zapytał marynarza, czy ma zapalki.

— Na nasze szczęście mam — odparł Penkroff. — Bez zapalek lub hubki mielibyśmy wielki kłopot!

— Moglibyśmy poradzić sobie, jak dzicy ludzie — rzekł Harbert — pocierając dwa kawałki suchego drewna, jeden o drugi.

— Spróbuj, mój chłopcze — odparł marynarz — a zobaczysz, czy oprócz bąbli na palcach dojdiesz do jakiegoś rezultatu.

— Przecież to bardzo prosty sposób i często używany na wyspach Oceanu Spokojnego!

— Nie przeczę — rzekł Penkroff. — Sądzę jednak, że dzicy muszą mieć jakąś specjalną metodę lub używają szczególnego gatunku drzewa. Ja próbowałem już nieraz rozpalic ogień w ten sposób, lecz zawsze na próżno! Przyznaję więc, że wolę zapalki.

Penkroff sięgnął do kamizelki po pudełko z zapalkami, które jako namiętny palacz, zawsze nosił przy sobie. W kamizelce go nie było. Przetrzęsął kieszenie spodni, lecz ku największemu zdziwieniu i tam go nie znalazł.

— A to straszne! — zawołał, patrząc na Harberta. — Pudełko musiało wysunąć mi się z kieszeni i przepaść gdzieś bez śladu. A ty, Harbercie, nie masz przy sobie ani krzesiwa, ani nic takiego, czym można by rozniecić ogień?

— Nie mam nic.

Była to zguba w tych okolicznościach bardzo dotkliwa i strata niepowetowana.

Penkroff nie ukrywał swego bolesnego rozczarowania. Harbert, chcąc go pocieszyć, zauważył, że prawdopodobnie zapalki byłyby zmoczone przez wodę morską, a tym samym niezdatne do użycia.

— Ależ nie, mój chłopcze — odparł marynarz. — Były w szczelnie zamykanym, mosiężnym pudełku! I co teraz zrobimy?

— Z pewnością znajdzie się jakiś sposób na rozpalenie ognia. Zresztą pan Smith lub pan Spilett na pewno coś wymyślą.

— Możliwe — odparł Penkroff. — Ale tymczasem nie mamy ognia i nasi towarzysze po powrocie zastaną surowy posiłek!

— Ależ to niemożliwe — zawołał żywo Harbert — by nie mieli przy sobie zapalek lub hubki!

— Bardzo wątpię — odparł marynarz, potrząsając głową. — Przede wszystkim ani Nab, ani pan Smith nie palą; a co do pana Spiletta, obawiam się, że prędzej zachował swoje notatki niż pudełko z zapalkami.

Harbert nie odrzekł na to ani słowa. Miał nadzieję, że w jakiś sposób uda się rozpalic ogień. Penkroff, bardziej doświadczony, był innego zdania. Na razie nie pozostawało im nic innego, jak tylko oczekiwać powrotu Naba i reportera. Postanowili poszukać jeszcze między skałami, w piasku nad brzegiem rzeki. Pudełko było mosiężne i powinni je od razu zauważyć.

— Słuchaj, Penkroffie — rzekł Harbert. — Nie wyrzuciłeś przypadkiem tego pudełka z balonu do morza?

— Nie byłbym tak nierozsądny — odparł marynarz. — Ale w momencie, kiedy porwała nas trąba powietrzna, taka mała rzecz łatwo mogła wypaść. Nawet fajka gdzieś przepadła! Przeklęte pudełko! Gdzie ono może być?

— Zaczął się odpływ — rzekł Harbert. — Biegnijmy na miejsce, gdzie wylądowaliśmy.

Gdy Harbert z marynarzem powrócili do Kominów, była piąta po południu. Nie trzeba dodawać, że wszystkie kąty pomieszczenia zostały przeszukane i przetrząśnięte. Należało więc zupełnie pożegnać się z nadzieją posilenia się ciepłą i pożywną kolacją.

Okolo szóstej po południu, w chwili gdy słońce zachodziło za pasmo gór siniejących na zachodzie, Harbert, który tam i z powrotem przechadzał się po piaszczystym wybrzeżu, doniósł, że Nab i Spilett wracają.

Niestety, wracali sami!... Harbertowi serce ścisnęło się niewymownym żalem. Marynarza nie zawiodły przecucia. Inżynier Cyrus Smith zaginął bez wieści!

Reporter, nie mówiąc ani słowa, usiadł na jednej ze skał. Omdlewając ze znużenia, prawie umierając z głodu, nie miał siły wyrzec jednego słowa.

Zaczerwienione od płaczu oczy Naba i świeże łzy, których nie mógł powstrzymać, świadczyły zbyt wyraźnie, że stracił całkowicie nadzieję.

Nagle Nab zerwał się na równe nogi i głosem, który jasno świadczył o walce, jaką w jego piersi toczyło uczucie rozpacz z uczuciem nadziei, zawołał:

— Nie! Nie! On nie zginął! Nie, to nie może być! On, przenigdy! Ja, lub ktokolwiek inny, to co innego! Ale on! Nie, nigdy! To człowiek, który zawsze da sobie radę!...

Po tych słowach osłabł i słaniając się, szepnął:

— A! Nie mam już sił!

Harbert przyskoczył do niego:

— Nab! — zawołał. — Odszukamy go jeszcze! Bóg nam go zwróci! Ale teraz ty jesteś głodny! Jedz, jedz trochę, proszę cię!

I mówiąc to, podał biednemu Murzynowi kilka garści ślimaków. Bardzo marny był to posiłek.

Nab od dawna nie miał nic w ustach, ale mimo to nie chciał nic zjeść. Osierocony przez swojego pana nie mógł i nie chciał dłużej żyć.

Za to Gedeon Spilett połykał chciwie podane mięczaki, po czym położył się na piasku u podnóża skały. Był osłabiony i wycieńczony, ale spokojny.

Wtedy Harbert, przystąpiwszy do niego, chwycił go za rękę i rzekł:

— Kochany panie, znaleźliśmy schronienie, gdzie będzie panu wygodniej niż tu. Zbliża się noc. Proszę odpocząć, a jutro zobaczymy...

Reporter wstał i poszedł za chłopcem do Kominów. W tym momencie Penkroff tonem jak najbardziej naturalnym zapytał go, czy przypadkiem nie ma przy sobie zapalek.

Reporter zatrzymał się, poszukał w kieszeniach, lecz nic nie znalazł.

— Miałem je przy sobie, lecz musiałem razem z innymi rzeczami wyrzucić do morza...

Tę samą odpowiedź otrzymał od Naba.

— Do kroćset diabłów! — zawołał marynarz, nie mogąc dłużej wytrzymać. Reporter usłyszał ten okrzyk i zbliżywszy się do Penkroffa, zapytał:

— Nie ma ani jednej zapalki?

— Ani jednej, a to znaczy, że nic będzie ognia!

— Ach! Gdyby mój pan był tutaj — zawołał Nab — on by coś na to poradził!

— Panie Spilett — rzekł Harbert po chwili milczenia. — Pan pali i ma zawsze przy sobie zapalki! Może pan źle szukał? Proszę poszukać jeszcze raz! Jedna jedyna zapalka wystarczyłaby nam!

Reporter przetrząsnął ponownie wszystkie kieszenie spodni, kamizelki, surduta i palta, i wreszcie, ku wielkiej radości Penkroffa i własnemu zdumieniu, namacał mały kawałeczek drewna wsunięty pod podszewkę kamizelki. Palce dotknęły tego kawałeczka przez sukno, lecz nie mogły go wydobyć. A ponieważ to była jedyna zapalka, jaką posiadali, należało uważać, aby nie zetrzeć z niej ani odrobiny fosforu.

— Proszę pozwolić, że ja ją wydobędę — rzekł chłopiec.

I nader zręcznie wyciągnął w całości zapalkę, to liche, a tak kosztowne źdźbło drewna, które dla tych biednych ludzi miało wartość nieocenioną. Zapalka była nienaruszona i zupełnie sucha.

— Potrzebny jest papier — rzekł marynarz.

— Oto jest — odparł Gedeon Spilett, wydzierając po chwili wahania jedną kartkę ze swojego notesu.

Penkroff wziął papier do ręki i przykucnął przed ogniskiem. Kilka garści zeschniętych ziół, liści i suchego mchu ułożył tak, aby powietrze miało wolny dostęp i mogło szybko zmienić drewno w płomień.

Pierwsze potarcie nie odniosło skutku. Penkroff nie dość silnie przycisnął główkę zapalki, obawiając się zetrzeć z niej fosfor.

— Nie, nie mogę — rzekł po chwili — ręka mi drży... Zapalka gotowa zgasnąć... nie, ja nie mogę, ja nie chcę! — I podnosząc się poprosił Harberta, aby go zastąpił.

Chłopak pewnie w całym swoim życiu nigdy nie był tak wzruszony, jak teraz. Serce biło mu gwałtownie. Prometeusz*, kiedy szedł wykradać ogień z nieba, nie odczuwał silniejszego wzruszenia! Lecz nie wahając się długo, potarł nagle zapalkę o krzemień. Dał się słyszeć najpierw lekki trzask, po czym zamigotał mały, niebieskawy płomyk, wydzielający z siebie gryzący dym. Harbert powoli odwrócił zapalkę, aby podsycić płomień i wsunął ją w papierową trąbkę. Papier zajął się w ciągu kilku sekund.

* Prometeusz — według mitologii greckiej był to tytan, który wykradł bogom ogień i przekazał go ludziom.

W kilka minut później usłyszano trzask suchego drewna i wesoły płomień rozdmuchiwany gorliwie przez marynarza rozjaśnił ponurą ciemność.

Ognisko było dobrze przygotowane. Dym z łatwością ulatywał przez górny otwór, ciąg był dostateczny, a wkrótce zaczęło się rozchodzić przyjemne, ożywcze ciepło.

Penkroff zamierzał przede wszystkim, korzystając z ognia, ugotować posiłek pożywniejszy od mdłych litodomów. Harbert przyniósł dwa tuziny jaj. Reporter, siedząc w kącie, przypatrywał się w milczeniu tym przygotowaniom. Myślał tylko o tym, czy Cyrus jeszcze żyje. A jeśli żyje, gdzie się znajduje? Skoro ocalał, jak wytłumaczyć fakt, że dotychczas nie dał żadnego znaku? Jeśli chodzi o Naba, ten błąkał się po wybrzeżu. Było to ciało bez duszy.

Penkroff znał pięćdziesiąt dwa sposoby przyrządzania jaj, lecz w tej chwili nie miał żadnego wyboru. Włożył więc jaja w gorący popiół i czekał, aż się upieką.

Po kilku minutach jaja były gotowe i marynarz zaprosił reportera na kolację, pierwszą na tej nieznannej ziemi. Jaja były wyborne, a ponieważ posiadały wszystkie odżywcze składniki, więc biedacy czuli się nimi znacznie wzmocnieni.

Tak minął 25 marca. Na dworze świszczał wiatr i słychać było jednostajne rozbijanie się morskich fal o brzegi. Kamienie nadbrzeżne, miotane falami tam i z powrotem, toczyły się z ogłuszającym łoskotem.

Reporter wcisnął się w ciemny kąt jednego z korytarzy, opisał wcześniej krótko zdarzenia ubiegłego dnia: pierwsze pojawienie się nowego łądu, utratę inżyniera, poszukiwania na wybrzeżu, historię z zapalkami i całą resztę. Wkrótce znużenie go uśpiło.

Harbert także niebawem zasnął. Marynarz, drzemiąc, spędził całą noc przy ognisku, dokładając ustawicznie świeżego drewna. Tylko jeden z rozbitków nie położył się na odpoczynek w Kominach. Był to zrozpaczony, niepocieszony Nab, który całą noc błąkał się po wybrzeżu, wołając wciąż swojego pana.

ROZDZIAŁ VI

Inwentarz rozbitków. — Zgoła nic. — Kawalek spalonego płótna. — Wyprawa do lasu. — Roślinność w lesie. — Ślady dzikich zwierząt. — Kuruku. — Cietrzewie. — Osobliwy połów wydr.

Bez trudu można było sporządzić spis rzeczy posiadanych przez rozbitków, wyrzuconych na ziemię, jak się zdawało, nie zamieszkaną przez ludzi.

Słowem, nie posiadali nic, oprócz ubrań, które mieli na sobie w chwili ostatecznej katastrofy oraz notatek i zegarka, który Gedeon Spilett zapewne przez zapomnienie zostawił przy sobie. Nie mieli broni, żadnego narzędzia, ani nawet szczyryka. Wszystko wyrzucili, aby ulżyć balonowi.

Nawet Robinson posiadał więcej rzeczy — mógł zużytkować szczątki rozbitego okrętu, zabrać z niego narzędzia, broń, zapasy zboża, a nawet bydło. Nie był też całkowicie bezbronny. Nasi rozbitkowie musieli od zera rozpocząć nowe życie.

Gdyby chociaż Cyrus Smith był z nimi, gdyby w tym smutnym położeniu; mógł wykorzystać swe wiadomości praktyczne, swe wrodzone umiejętności i dla wspólnego dobra, może jeszcze nie zniknęłaby całkowicie nadzieja. Ale niestety! Cyrus zaginął dla nich bezpowrotnie. Rozbitkowie nie mogli liczyć na nikogo, tylko na siebie samych i na Opatrzność, która nie opuszcza nigdy tych, co Jej szczerze ufają.

Kominy dawały na razie dostateczne schronienie. Ogień był rozpalony i nietrudno było przechowywać żar. Nie brakowało też muszli w mule nadbrzeżnym i jaj na skałach. Może udałoby się zabić za pomocą pałki lub kamienia kilka gołębi, które setkami okręzały szczyty skał? A może drzewa sąsiedniego lasu rodziły jadalne owoce? Wreszcie mieli także słodką wodę. Postanowiono zatem pozostać jeszcze kilka dni w Kominach, aby przygotować się do dłuższej wyprawy wzdłuż wybrzeża lub w głąb kraju.

Projekt ten przypadł szczególnie do gustu Nabowi, który wierzył, że dopóki nie zobaczy na własne oczy ciała swego pana, jest nadzieja, iż człowiek taki jak on potrafił się uratować.

Tego samego dnia, 26 marca o świcie, Nab wybrał się wzdłuż wybrzeża na północ i doszedł aż do miejsca, gdzie morze prawdopodobnie pochłonęło nieszczęsnego Cyrusa.

Śniadanie składało się tego dnia z jaj gołębich i z litodomów. Harbert znalazł w skalnej rozpadlinie sól, która została tam po odparowaniu wody, co wielce uradowało rozbitków.

Po zjedzeniu posiłku Penkroff zapytał reportera, czy nie wybrałby się z nim i Harbertem do lasu, by wypróbować swe myśliwskie umiejętności. Po głębszym zastanowieniu okazało się konieczne, aby ktoś pozostał podtrzymywać ogień i na wypadek, dość zresztą nieprawdopodobny, gdyby Nab potrzebował pomocy. Reporter został.

— A nam, Harbercie, czas na łowy — rzekł marynarz. — Amunicję znajdziemy po drodze, a strzelby wytniemy sobie w lesie.

Odchodząc, Harbert zauważył jednak, że skoro brakuje hubki, roztropnie byłoby zastąpić ją czymś innym.

— A czym? — zapytał Penkroff.

— Kawalkiem spalonego płótna — odparł chłopak. — Zastąpi to hubkę.

Marynarz pochwalił ten projekt. Złą jego stroną była konieczność poświęcenia kawałka chustki. Rzecz jednak była tego warta i wkrótce kawałek kraciastej chustki Penkroffa przemienił się w na wpół spaloną szmatę. Ten zapalony materiał schowany został w średniej izbie w małym wydrążeniu skalnym, bezpiecznym od wiatru i wilgoci.

Gdy przybyli do lasu. Penkroff wyłamał z pierwszego drzewa duże grube gałęzie i zrobił z nich mocne pałki, a Harbert zaostrzył ich końce o skałę. Następnie obaj myśliwi pośpieszyli dalej

wśród wysokich zarośli krajem urwiska. Począwszy od owego zakola, które bieg rzeki zwracało w kierunku południowo-zachodnim, koryto jej zaczęło się z wolna zewężać i zmieniać w głęboką czeluść, porośniętą na brzegach drzewami. Aby nie zabłądzić, Penkroff postanowił trzymać się skraju rzeki, który doprowadziłby ich z powrotem do miejsca, z którego wyruszyli. Droga jednak stawiała przed nimi wielkie przeszkody: drzewa, których giętkie gałęzie spadały do samej powierzchni wody, gęste wikliny, ciernie i głogi, które trzeba było pokonywać przy pomocy kija. Miejscami Harbert przemykał zwinnie jak kot wśród połamanych gałęzi i potrzaskanych pni i znikał w gęstwinie. Lecz Penkroff przywoływał go natychmiast prosząc by zbyt daleko się nie oddalał.

Nie trzeba dodawać, że las ten, podobnie jak część wybrzeża, którą już przebyli, nie zdradzał śladu obecności człowieka. Penkroff spotykał tylko świeże ślady jakichś czworonożnych zwierząt, których gatunku nie znał. Sądził jednak, a zdanie to podzielał także Harbert, że niektóre z tych tropów należały do groźnych bestii, z którymi lepiej byłoby się nie spotkać; lecz nigdzie nie znaleźli śladu człowieka.

Harbert i Penkroff, którym ciągle przeszkody napotykanne na drodze nie pozwalały na swobodniejszą rozmowę, posuwali się bardzo powoli, tak że po godzinie uszli zaledwie jedną milę. Dotąd okolica nie obfitowała w zwierzyne. W gałęziach jednak świergotały ptaki. Wśród różnych gatunków ptactwa Harbert rozpoznał w jednej z bagnistych części lasu ptaka o długim, spiczastym dziobie, podobnego z kształtu do zimorodka, od którego różnił się tylko swoimi szorstkim upierzeniem o metalicznym połysku.

— Miło byłoby się przekonać, jak on smakuje — powiedział marynarz, bacznie obserwując ptaka.

W tej chwili kamyk zręcznie i silnie rzucony ręką Harberta trafił ptaka pod samo skrzydło, lecz uderzenie nie było dość mocne, gdyż ptak zerwał się i całym pędem swych nóg umknął w mgnieniu oka w gęstwinę.

Podążyli dalej w las. W miarę jak szli, drzewa były bardziej rozłożyste; i wspanialsze, lecz żadne nie rodziło jadalnych owoców. Penkroff daremnie szukał drzew palmowych, tak pożytecznych w codziennym życiu, których ojczyzną, według zapewnień przyrodników, są kraje podzwrotnikowe. Las składał się z samych drzew iglastych, z cedrów himalajskich, które poznał Harbert, z sosen „douglasów” i wspaniałych jodeł wysokich na sto pięćdziesiąt stóp.

W tej chwili gromada małych ptaszków, pięknie opierzonych, z długimi mieniącymi się ogonami, rozpierchła się pomiędzy gałęziami, syjąc pióra, które delikatnym puchem pokryty ziemię. Harbert podniósł kilka tych piórek i przypatrzwszy się im dokładnie, rzekł:

— To są ptaki zwane „kuruku”.

— Wolałbym kurkę perłową lub cietrzewia — odparł Penkroff — no, ale można je jeść?...

— Naturalnie — rzekł Harbert. — Mięso ich jest bardzo delikatne. Zresztą, jeśli się nie mylę, dadzą się łatwo podejść i zabić kijem.

Marynarz i Harbert, przemykając chyłkiem między zaroślami, podkradli się aż pod drzewo, którego niskie gałęzie całe były pokryte tymi ptaszkami; kuruku czatowały na robaki, którymi się żywią. Widać było, jak pierzastymi łapkami uczepiły się mocno gałązek, na których siedziały.

Wtedy nasi myśliwi wyprostowali się nagle i zręcznie wymachując pałkami pościnali całe rzędy kuruku, które w niemym osłupieniu, nie myśląc nawet o ucieczce, pozwalały na siebie polować. Gdy już około stu leżało na ziemi, wtedy dopiero reszta zdecydowała się uciekać.

— Wyśmienicie! — zawołał Penkroff. — Zwierzyna jakby stworzona dla takich myśliwych jak my! Można je chwycić ręką!

Marynarz ponawlekał złowione ptaki na pręcik, po czym ruszyli dalej. Brzeg rzeki począł się lekko zaokręgać, tworząc jakby zagięty hak w kierunku południowym; nieprawdopodobne

jednak było, aby w tym kierunku płynął dalej, źródło bowiem musiało wytryskać w górach i zasilać się tam topniejącym śniegiem, który pokrywał boki góry, sterczącej pośrodku w kształcie stożka.

Głównym celem tej wyprawy było dostarczenie mieszkańcom Kominów jak największej ilości zwierzyny. Cel nie został jeszcze do końca osiągnięty. Marynarz prowadził więc dalej gorliwe poszukiwania i zaklął niemiłosiernie, gdy nagle jakieś zwierzę, którego nie rozpoznał, przemknęło wśród bujnych zarośli. Gdyby choć miał przy sobie Topa! Top zniknął jednak razem ze swym panem i zapewne utonął z nim w morzu.

Około trzeciej po południu ujrzeni między drzewami nowe gromady ptaków, które dziobały wonne jagody, między innymi z drzew jałowców. Nagle rozszedł się po lesie głos podobny zupełnie do dźwięku trąbki. Te dziwne, a jednocześnie donośne tony, wydawało ptactwo w rodzaju kur leśnych, które w Stanach Zjednoczonych nazywane są cietrzewiami. Wkrótce ujrzeni kilka takich par. o płowobrunatnym upierzeniu i z brunatnymi ogonami. Harbert poznał od razu samce po dwóch spiczastych skrzydełkach, jakie tworzyły nastroszone na szyi piórka. Penkroff pragnął koniecznie schwytać choćby jednego takiego ptaka, wielkości naszej kury, którego smak może się równać z mięsem jarzątka; jednak było to trudne, gdyż nie pozwalały się do siebie zbliżyć. Po kilku bezowocnych próbach, którymi tylko płoszyli ptaki, marynarz powiedział do Harberta:

- Skoro nie można ubić ich w locie, spróbujemy złowić je na wędkę.
- Jak to, tak jak karpia? — zawołał Harbert, wielce zdumiony tym pomysłem.
- Tak samo — odparł marynarz zupełnie poważnie.

Penkroff znalazł w zaroślach około pół tuzina gniazd cietrzewi, a w każdym były po dwa lub trzy jaja. Starał się działać bardzo ostrożnie, aby nie naruszyć tych gniazd, których właściciele musieli kiedyś powrócić.

Postanowił zarzucić swe sieci w pobliżu gniazd. Nie były to takie sieci jak na przepiórki lub zające, lecz prosta, pospolita wędka. Oddalił się więc z Harbertem na pewną odległość od gniazd i zabrał się za przygotowania do łowów.

Harbert śledził tę pracę z łatwym do zrozumienia zaciekawieniem, powątpiewając jednak w jej pomyślny skutek. Wędka została upleciona z wąskiej, cienkiej wikliny długości piętnastu do dwudziestu stóp. Grube, mocne ciernie z zakrzywionymi końcami, których dostarczył krzak karłowatej akacji, Penkroff przymocował do końca wędki zamiast haczyków. Za przynętę posłużyły dwa czerwone robaki, pełzające po ziemi.

Po tych przygotowaniach Penkroff, podkradłszy się zrećnie w kierunku zarośli, położył jeden koniec wędki opatrzonej kilkoma haczykami tuż przy samych gniazdach, po czym wzięwszy drugi koniec do ręki, skrył się wraz z Harbertem za grubym drzewem.

Po dobrej pół godzinie kilka par cietrzewi, zgodnie z przewidywaniami Penkroffa, powróciło do swoich gniazd. Skacząc i dziobiąc po ziemi, nie domyślały się obecności myśliwych, którzy byli na tyle przezorni, iż stanęli pod wiatr.

Harbert czuł się w tej chwili bardzo podekscytowany. Wstrzymał oddech, a Penkroff, wyężdżając wzrok, też zaledwie oddychał.

Cietrzewie tymczasem przechadzały się między haczykami, nie zwracając na nie uwagi. Wtedy Penkroff kilka razy szarpnął lekko wędką, by wydawało się, że robaki są jeszcze żywe.

Szarpnięcie wędki zwróciło uwagę cietrzewi, które w tej chwili rzuciły się z otwartymi dziobami na haczyki. Trzy ptaki, najżarłoczniejsze zapewne, połknęły przynętę i haczyk. Wówczas Penkroff ściągnął nagle wędkę, a trzepotanie skrzydeł zwiastowało, że ptaki zostały schwytane.

— Wspaniale! — zawołał marynarz, rzucając się na swą zdobycz i chwytając ją w jednej chwili.

Harbert klaskał w dłonie. Pierwszy raz w życiu widział, jak ptaki łapią się na wędkę. Ale marynarz zapewniał skromnie, że to nie jemu należy się zasługa odkrycia tego wynalazku.

— A zresztą — dodał — w położeniu, w jakim się znajdujemy, trzeba uciekać się do najdziwniejszych sposobów.

Powiązali cietrzewie za nogi, a Penkroff był uszczęśliwiony, że nie wracają z pustymi rękami. Zaczęło zmierzchać i należało wracać już do domu.

Bieg rzeki wskazywał im powrotną drogę i około szóstej po południu Harbert i Penkroff, znużeni nieco wyprawą, powrócili do Kominów.

ROZDZIAŁ VII

Naba jeszcze nie ma. — Domysły reportera. — Wieczera. — Złowroga noc. — Straszliwa burza. — Nocna wyprawa. — Walka z wichrem i deszczem. — Osiem mil od pierwszego obozowiska.

Gedeon Spilett stał właśnie nad brzegiem morza, nieruchomy, z rękoma założonymi do tyłu i patrzył na ocean, z którego na widnokręgu wynurzała się wielka czarna chmura i wznosiła się szybko w górę. Wiatr był już dość gwałtowny, a przed wieczorem stawał się coraz chłodniejszy. Pierwsze objawy burzy były widoczne.

Harbert wszedł do Kominów, a Penkroff podszedł do reportera. Ten, zatopiony w myślach, nie spostrzegł zbliżającego się marynarza.

— Będziemy mieli fatalną noc, panie Spilett! — odezwał się marynarz. Obudzony z zamyślenia reporter zwrócił się do marynarza:

— W jakiej odległości od brzegu odcięliśmy balon i pęd wiatru porwał naszego towarzysza?

Marynarz nie spodziewał się wcale podobnego pytania. Po chwili namysłu odparł:

— W odległości paruset sążni*, czyli około tysiąca stóp.

— A zatem Cyrus Smith wpadł do morza najdalej tysiąca stóp od brzegu?

— Mniej więcej — odparł Penkroff.

— Jego pies także?

— Także.

— Jeżeli inżynier utonął, dziwi mnie to, że również Top zginął i że ocean nie wyrzucił na brzeg zwłok Cyrusa Smitha ani jego psa — rzekł Gedeon Spilett.

— Nie ma w tym nic dziwnego przy tak wzburzonym morzu — odparł marynarz. — Zresztą prąd wody mógł ich znieść i wyrzucić gdzieś dalej.

— Więc sądzi pan, że nasz towarzysz utonął? — spytał jeszcze raz reporter.

— Takie jest moje zdanie.

— A ja myślę — rzekł Gedeon Spilett — przy całym szacunku jaki mam dla pańskiego doświadczenia, panie Penkroff, że to niemożliwe, aby Cyrus Smith i jego pies znikli zupełnie bez śladu.

— Chciałbym podzielać pańskie zdanie, panie Spilett — odrzekł marynarz. — Ale wydaje mi się, że jest inaczej.

Powiedziawszy to marynarz powrócił do Kominów. Na ognisku plon ogień. Harbert dorzucił wiązkę suchego drewna i jasny płomień roztozczył blask po ciemnych zakątkach korytarzy.

Penkroff zajął się natychmiast przygotowaniem pożywnej kolacji, bo wszyscy byli wyczerpani. Kurukusy zachował na dzień następny; teraz oskubał z pierza dwa cietrzewie i nadziawszy je na rożen, zaimprovizowany z kawałka patyka, piekł je wolno na ogniu.

Była już siódma wieczorem, a Naba jeszcze nie było. Penkroff zaczął się niepokoić. Obawiał się, czy Nab nie uległ wypadkowi na nieznaną ziemi, alb czy z rozpaczyny odebrał sobie życia. Harbert jednak wyciągał zupełnie przeciwne wnioski. Jego zdaniem, jeżeli Nab dotychczas nie wrócił, to dlatego, że musiała zajść jakaś nowa okoliczność, która skłoniła go do dalszych poszukiwań i zrodziła w jego sercu nadzieję. Może trafił na jakiś znak i na jakiś ślad ludzkiej stopy, może znalazł resztki przedmiotów wyrzuconych przez morze, które wskazały mu dalszą drogę? Może w tej chwili jest już na pewnym tropie? A może znajduje się przy swoim panu?...

* Sążeń — miara długości w krajach anglosaskich równa w przybliżeniu 2 m (7 stóp angielskich lub 84 cale).

Tak wnioskował chłopiec, ale tylko reporter podzielał jego nadzieję. Natomiast Penkroff był przekonany, że Nab tego dnia, zapuścił się w swych poszukiwaniach jeszcze dalej niż poprzednio i dlatego nie mógł do tej por wrócić.

Tymczasem burza rozpuściła się na dobre. Wiatr południowo-wschodni z nieporównaną wściekłością dał od strony morza i hulał po powierzchni ziemi. Morze z szalonym rykiem uderzało o skały sterczące wzdłuż wybrzeża. Deszcz, rozpylony przez huragan na drobniutkie cząsteczki, unosił się jak wilgotna mgła. Piasek miotany wichrem mieszał się z ulewą i siekł jak różga po twarzy.

Penkroff, przerażony siłą żywiołów, przygasił ogień, gdy cietrzewie byty upieczone, przechowując tylko nieco żaru pod popiołem.

Było już po ósmej, a Nab jeszcze nie wrócił. Można było jednak przypuszczać, że to burza wstrzymywała go od powrotu, a schroniwszy się w jakiejś jaskini, czekał, by nawałnica minęła lub przynajmniej pojaśniało.

Cietrzewie stanowiły całą wieczerzę rozbitków. Ich mięso było wyborne. Penkroff i Harbert, których apetyty zaostrzyła dłuższa wycieczka, połknęli je w jednej chwili.

Po wieczerzy udali się na spoczynek. Na dworze trwała noc, a burza była coraz groźniejsza. Stała się podobna do huraganu, który szalał, gdy rozbitkowie uciekali z Richmond.

Na szczęście Kominy były zbudowane z mocnych skał; mimo to zdawały się chwiać w swych podstawach. Penkroff, wsparty ręką o skałę, wyczuwał to nagłe drżenie. Dwukrotnie wstawał i na klęczkach czołgał się do wyjścia Kominów, aby zobaczyć, co dzieje się na dworze, lecz przekonawszy się, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa, wracał znowu i kładł się przy ognisku, na którym syczał tłący się pod popiołem żar.

Pomimo wycia wiatru i grzmotów nawałnicy Harbert spał twardo. W końcu sen zmorzył także Penkroff a, który jako marynarz przyzwyczajony był do tego rodzaju hałasu. Tylko Gedeon Spilett czuwał. Jakiś wewnętrzny niepokój spędzał mu sen z powiek. Czynił sobie wyrzuty, że nie towarzyszył Nabowi w jego wyprawie. Podobnie jak Harbert nie mógł wyrzec się nadziei, że Smith żyje i że go odnajdą. Gdzie jednak podział się Nab? Dlaczego nie wrócił? Przewracał się niespokojnie na swym piaszczystym posłaniu, zaledwie zwracając uwagę na walkę żywiołów. Od czasu do czasu jego ociężałe ze znużenia powieki przymykały się na chwilę, lecz natychmiast myśl jakaś, nagle jak błyskawica, otwierała je z powrotem.

Około drugiej po północy Penkroff, który tymczasem zasnął twardo, poczuł, że ktoś silnie szarpnął go za ramię.

— Co się stało? — zawołał, budząc się i od razu odzyskując właściwą marynarzom przytomność.

Ujrzał pochylonego nad sobą reportera, który rzekł:

— Niech pan słucha, Penkroff!

Marynarz wyteżył słuch, lecz prócz wycia wichru nie słyszał niczego więcej.

— To wicher — rzekł.

— Ależ nie — odparł Gedeon Spilett, wsłuchując się znowu. — Mnie się zdawało, że to...

— Co takiego?

— Że to szczekanie psa!

— Szczekanie psa! — zawołał Penkroff, zrywając się na równe nogi. — Tak jest... szczekanie.

— To nie może być! — odparł marynarz. — A zresztą jakim sposobem wśród ryku nawałnicy...

— Pst... niech pan słucha... — rzekł reporter.

Penkroif wsłuchał się uważniej i w istocie w chwili, gdy burza nieco przycichła, zdawało mu się, że usłyszał dalekie szczekanie.

— I co? — rzekł reporter, ściskając nerwowo rękę marynarza.

— Prawda... ma pan słuszność!... — odparł Penkroff.

— To Top! To Top!... — zawołał Harbert, który tymczasem przebudził się i wszyscy trzej rzucili się w stronę wyjścia.

Z największą trudnością wydostali się na dwór, wiatr bowiem pchał ich do tyłu, a gdy wyszli, musieli oprzeć się o skałę, aby nie upaść. Patrzyli dokoła, lecz żaden nie mógł przemówić.

Gęsta ciemność spowiła razem morze, niebo i ziemię. Zdawało się, że na świecie nie było nawet śladu światła.

Przez kilka minut reporter i jego towarzysze stali na miejscu targani wichrem, przemoczeni deszczem, oślepieni piaskiem. Nagle, podczas chwilowej ciszy, usłyszeli znowu szczekanie z dość znacznej, jak się im zdawało, odległości.

To był Top, z pewnością żaden inny pies, tylko Top. Lecz sam, czy te z kimś jeszcze? Prawdopodobnie sam, bo gdyby Nab był z nim, już przybiegliby do Kominów.

Marynarz, nie mogąc wypowiedzieć słowa, ścisnął reportera za rękę, ja gdyby chciał powiedzieć: „zaczekaj!” i wbiegł do Kominów. Po chwili wróci z pękiem zapalonego chrustu, rzucił go w ciemności i głośno zagwizdał. Na ta znak dało się słyszeć szczekanie i po chwili pies wpadł do Kominów. Penkroff Harbert i Gedeon Spilett weszli za nim.

Pęk suchego drzewa rzucony w ognisko oświetlił jasnym płomieniem korytarz.

— Top! — zawołał Harbert.

W istocie był to Top, wspaniały pies krwi anglonormańskiej, który j swych przodkach odziedziczył nadzwyczajną szybkość i wytrzymałość oraz delikatność węchu.

Był to pies inżyniera Smitha.

Lecz był sam! Ani jego pan, ani Nab mu nie towarzyszyli.

Jakim sposobem instynkt zaprowadził go do Kominów, których nie znaj i w których nigdy nie był? Była to rzecz niepojęta, szczególnie w tak ciemni noc, kiedy szalała burza. Lecz, co dziwniejsze, Top nie był wcale zmęczony ani nawet powalany mułem czy piaskiem!...

Harbert ujął jego łeb w obie ręce, pies dał się pieścić i położył łeb na dłoni Harberta.

— Skoro pies powrócił, znajdzie się teraz i pan! — rzekł reporter.

— Dałby to Bóg! — odparł Harbert. — Chodźmy! Top będzie naszym przewodnikiem.

Penkroff nie sprzeciwiał się. Z przybyciem Topa wróciła wiara w odnalezienie inżyniera.

— W drogę! — zawołał.

Penkroff przykrył troskliwie żar w ognisku. Kilka kawałków drewna włożył w popiół, by po powrocie zastać gotowy ogień. Po czym, zabrawszy z soi resztki wieczerzy, wyruszył w drogę wraz z reporterem i Harbertem. Przed nimi biegł Top, który poszczekując z lekka, zdawał się ich wzywać, aby szli nim.

Burza rozszalała się na dobre. Było to w czasie nowiu księżyca; jego blade promienie nie przebijały chmur, trudno więc było iść po ciemku w proste linii. Postanowili zdać się na instynkt Topa. Reporter z Harbertem szli zaraz z psem, marynarz zamykał pochód. Nie próbowali rozmawiać, ryk burzy zagłuszał każde słowo, każdy dźwięk. Nie padał wprawdzie zbyt rześisty deszcz, gdyż wiatr go rozpraszał na drobne cząsteczki, ale za to szalał potężny orkan.

Jedna tylko okoliczność sprzyjała marynarzowi i jego towarzyszą — wiatr południowo-wschodni wiał im w plecy, a nie w twarz. Piasek, którym miotał z całą gwałtownością, a który inaczej byłby nie do zniesienia, uderzał im w plecy i byle się tylko nie odwracali, mogli iść naprzód dość spokojnie. Szli szybciej niż sami chcieli, musieli przyspieszać kroku, aby wiatr ich nie przewrócił, potężna nadzieja podwajała ich siły i tym razem to nie ślepy traf kierował ich

krokami. Nie wątpili wcale, że Nab odszukał swojego pana i że to on przysłał do nich wiernego psa z tą wieścią. Lecz czy znalazł inżyniera żywego, czy też przysłał po towarzyszy, aby oddali wspólnie ostatnią posługę zwłokom nieszczęśliwego Smitha?

Minąwszy róg skalistej ściany, od której trzymali się ostrożnie z daleka, Harbert, reporter i Penkroff przystanęli, aby zaczerpnąć tchu. Ciężko oddychali po tym kwadransie drogi odbytej w szalonym tempie:

Krawędź ściany osłaniała ich od wiatru i w tej chwili mogli już rozmawiać ze sobą, a gdy Harbert wymówił nazwisko Cyrusa Smitha, Top zaczął z lekka poszczekiwać, jak gdyby chciał dać do zrozumienia, że pan jego jest żywy i zdrowy.

— Top, czy on żyje? — powtarzał Harbert. — Prawda, Top, że żyje?

A pies szczekał, jak gdyby w odpowiedzi na pytania.

Po chwili ruszyli w dalszą drogę. Zbliżała się wówczas trzecia w nocy. Morze zaczęło się podnosić, a przypływ w czasie nowiu i przy takim wichrze był niezwykle silny i groźny.

Gdy marynarz i jego towarzysze opuścili krawędź skalnej ściany, wichur uderzył w nich z podwójną wściekłością. Zgięci, zwracając się tyłem do wiatru, biegli szybko za Topem, który ani razu nie zawahał się nad wyborem kierunku. Szli więc na północ, mając po prawej ręce rozchukane morze a po lewej okolicę pogrążoną w nocnym mroku.

Do czwartej nad ranem przebiegli pięć mil. Chmury podnosiły się z wolna do góry. Huragan zmieniał się w ostry wiatr, suchy i zimny. Nasi wędrowcy, źle okryci, cierpieli z zimna, lecz żaden z nich się nie skarżył. Postanowili iść w ślad za Topem wszędzie, dokąd to rozumne zwierzę ich poprowadzi.

Okolo piątej zaczęło świtać. Początkowo na zenicie nieba, gdzie były mniej gęste mgły, zarysowały się krawędzie chmur i wkrótce na czarnym tle jaśniejszy nieco pas odgraniczył wyraźniej widnokrąg morza. Grzbiety fal zamigotały szarymi światełkami i białą pianą. Równocześnie z lewej strony, części krajobrazu poczęły wolno wynurzać się z ciemności, lecz jeszcze niewyraźne.

O szóstej zupełnie się rozwidniło. Chmury pędziły z niezwykłą szybkością na dużej wysokości. Naszych wędrowców oddzielała wówczas od Kominów odległość sześciu mil. Szli płaskim wybrzeżem, wzdłuż którego po prawej ręce wynurzał się z morza szereg skał, którym — teraz w trakcie przypływu — sta czaty z wody tylko wierzchołki. Po lewej stronie okolica była pusta, piaszczysta, urozmaicona tylko kilkoma wydmami porośniętymi trawą: przedstawiała widok smutny i dziki. Wybrzeże było dość płaskie i jako jedyną zaporę od strony morza posiadało łańcuch nieregularnie porozrzucanych pagórków. Tu i ówdzie rosło kilka wątych drzew. Daleko w tyle, w południowo-zachodniej stronie zaokrąglął się kraniec lasu.

W tej chwili Top wyraźnie zaczął objawiać niepokój. Biegł naprzód, to znów wracał do marynarza, jak gdyby zachęcając go do pośpiechu. Późni zbiegł z brzegu i wiedziony swym nieomylnym instynktem, nie wahając się nawet przez chwilę, popędził między piaszczystymi wydmami.

Wszyscy pospieszyli za nim. Okolica wydawała się zupełnie pusta, nie widać było wokół żadnej żywej istoty.

Wydmy były otoczone szerokim wałem utworzonym z pagórków większych i mniejszych, nieregularnie porozrzucanych.

Pięć minut później marynarz i jego towarzysze stanęli przed jaskinią wydrążoną w wysokiej wydmi. Przed tym otworem zatrzymał się Top i zaczął głośno szczekać. Spilett, Harbert i Penkroff weszli do groty.

Tam ujrzeli Naba klęczącego przy ciele złożonym na posłaniu z trawy i mchu...

Było to ciało inżyniera Cyrusa Smitha.

ROZDZIAŁ VIII

Żyje czy zmarł? — Opowiadanie Naba. — Ślady stóp. — Kwestia nic do rozwiązania. — Pierwsze słowa Cyrusa Smitha. — Sprawdzenie śladów. — Powrót do Kominów. — Nowy cios.

Nab klęczał nieporuszony. Marynarz powiedział do niego jedno słowo:

— Żyje?...

Nab milczał. Gedeon Spilett i Penkroff pobledli. Harbert załamał rece i stał nieruchomo. Widocznie jednak biedny Murzyn, pogrążony w rozpacz, nie widział swych towarzyszy, ani nie słyszał słów marynarza.

Reporter uklęknął przy nieruchomym ciele i przyłożył ucho do obnażoną piersi inżyniera.

Podczas gdy pochylony wyteżał słuch, by usłyszeć bicie serca, upłynęła minuta, która oczekującym wydała się wiekiem. Nab odsunął się nieco i patrzył, nic nie widząc. Gedeon Spilett po długim badaniu wstał wreszcie z ziemi.

— Żyje! — rzekł.

Teraz Penkroff z kolei uklęknął i do jego ucha dotarło słabe bicie serca, a na twarzy poczuł słaby oddech wydobywający się z ust inżyniera.

Harbert czym prędzej wstał i wybiegł na zewnątrz po wodę. W odległości stu kroków od groty trafił na czyste źródło, wezbrane po wczorajszym deszczu. Lecz jak mógł zaczerpnąć wody, jeśli nie miał naczynia, a nie było wśród tych piaszczystych wydm ani jednej muszelki!... Harbert poprzestał na tym, że zmoczył swoją chustkę i szybko wrócił do groty.

Na szczęście ta ilość wystarczyła Spilettowi, aby zwilżyć usta inżyniera. Tych kilka kropel źródlanej wody wywołało natychmiastowy skutek. Już po chwili z piersi Cyrusa wyrwało się westchnienie i zdawało się nawet, że próbował powiedzieć kilka słów.

— Ocalony! — rzekł reporter.

Słowa te napełniły Naba otuchą. Rozebrał swego pana, aby się przekonać, czy nie ma na ciele jakiejś rany lub skaleczenia. Ani na głowie, ani na piersiach, ani na żadnej części ciała nie znalazł uszkodzenia, nawet lekkiego draśnięcia, co było tym dziwniejsze, że ciało Cyrusa zostało wyrzucone między skałami. Nawet ręce miał nie tknięte.

Wyjaśnienie tego wszystkiego trzeba było odłożyć do chwili, gdy Cyrus będzie mógł mówić. Tymczasem chodziło o to, aby przywrócić mu przytomność i zdawało się, że nacieranie zimną wodą powinno w tym pomóc. Inżynier, gdy w jego ciało wstąpiło ożywcze ciepło, poruszył lekko rękami, a jego oddech stawał się coraz regularniejszy. Umierał z wycieńczenia i gdyby nie przybycie reportera i jego towarzyszy, byłoby już niezawodnie po nim.

— Więc ty myślałeś, że twój pan nie żyje? — zapytał Naba marynarz.

— Myślałem, że umarł — odpowiedział Nab — i gdyby was Top nie odszukał i nie przyprowadził tutaj, pochowałbym mojego pana i sam umarł na jego grobie.

Potem Nab opowiedział przebieg zdarzeń. Poprzedniego dnia, ruszywszy o świcie w drogę, udał się w kierunku północnym i doszedł do tej strony wybrzeża, gdzie był już przedtem.

Tam, przeszukawszy najdokładniej cały brzeg, ze szczególną uwagą przyglądał się tej części mulistego wybrzeża, której przypluwające morze nie dosięgało, na samym skraju bowiem przyplływ i odpływ musiały zatrzeć wszelkie ślady Nab nie spodziewał się znaleźć swojego pana żywego. Szukał tylko ciała, aby je pogrzebać własnymi rękami.

Poszukiwał długo i bezowocnie. Zdawało mu się, że tej odludnej ziemi nigdy nie dotknęła noga ludzka. Muszle, których leżały całe stosy, były zupełnie nietknięte. Wokoło na przestrzeni dwustu do trzystu jardów* nie było śladu, by ktoś kiedykolwiek lądował.

Nab postanowił pójść jeszcze kilka mil dalej. Łatwo mogło się zdarzyć, że prąd morski poniósł ciało w jakieś odleglejsze miejsce. Rzadko bywa, aby ciało pływające po morzu niedaleko od płaskiego brzegu prędzej lub później nie zostało wyrzucone na brzeg. Nab wiedział o tym i dlatego nie przerwał poszukiwań.

— Szedłem wzdłuż brzegu jeszcze jakieś dwie mile, szukałem między skałami, które odkrywa odpływające morze, po całym wybrzeżu i straciłem już nadzieję, gdy niespodziewanie, około piątej wieczorem, spostrzegłem na piasku ślady ludzkiej stopy.

— Ślady na piasku? — zawołał Penkroff.

— Tak jest! — odparł Nab.

— I ślady te zaczynały się przy samych skałach? — zapytał reporter.

— Nie — odparł Nab — dopiero od miejsca, gdzie przyplływ morza się kończy; poprzednie ślady musiała zatrzeć woda.

— Mów dalej, Nab — rzekł Gedeon Spilett.

— Na widok tych śladów prawie oszalałem. Były bardzo wyraźne i zmierzały wprost ku tym wydmom. Biegłem ich tropem ćwierć mili, uważając do brzeg, by ich nie zatrzeć. W pięć minut później, gdy noc zaczęła zapadać, usłyszałem szczekanie psa. Był to Top i to on przyprowadził mnie tu, do mojego pana.

Nab zakończył swe opowiadanie opisem rozpaczki, jakiej doznał na widok martwego ciała. Szukał w nim resztek życia. Teraz, gdy znalazł zmarłego pana, oddałby wszystko, aby mieć go żywym. Lecz wszystkie jego usiłowania były bezskuteczne. Nie pozostawało mu nic więcej, jak oddać ostatnią posługę temu, którego tak kochał.

Wtedy pomyślał o swych towarzyszach, którzy na pewno pragnęliby ujrzeć raz jeszcze pana Cyrusa. Top był przy nim. Pomyślał więc, czy nie mógłby zaufać bystremu instynktowi tego wiernego zwierzęcia. Wymówił kilka razy nazwisko reportera, którego Top spośród towarzyszy inżyniera znał najlepiej; potem wskazał ręką na południe i pies popędził jak strzała we wskazanym kierunku.

I widzieliśmy, jak Top, wiedziony nadprzyrodzonym instynktem, przybył do Kominów, gdzie nigdy wcześniej nie był.

Towarzysze Naba z wielką uwagą słuchali jego opowiadania. Było dla nich niepojęte, że Cyrus Smith, po wysiłkach, jakie musiał uczynić, aby wydostać się z morza, przepływając się przez rafy nadbrzeżne, nie miał na ciele ani jednego draśnięcia. Podobną tajemnicą było, jak inżynier mógł dotrzeć do tej groty położonej między wydmami na milę od brzegu morskiego.

— Więc to nie ty, Nab, przyniosłeś swojego pana w to miejsce? — zapytał reporter.

— Nie. to nie ja — odparł Nab.

— Widać zatem, że pan Smith przyszedł tu sam — rzekł Penkroff.

— Wszystko na to wskazuje — odparł Gedeon Spilett — lecz trudno w to uwierzyć!

Tylko inżynier mógł wyjaśnić tę zagadkę. Należało więc czekać, aż będzie w stanie mówić. Na szczęście przychodził do siebie. Nacieranie przywróciło obieg krwi w ciele. Cyrus Smith poruszył znowu rękami, potem głową i kilka niezrozumiałych słów wyniknęło się z jego ust.

Nab. pochylony nad nim, wołał go nieustannie, lecz inżynier zdawał się tego nie słyszeć i nie otwierał oczu.

* Jard — miara amerykańska wynosząca 0,9144 m długości (przyp. aut).

Penkroff żałował, że nie mają ognia, a nie było możliwości rozpalenia go; na nieszczęście bowiem zapomniał zabrać ze sobą owego kawałka spalonej płachty, który łatwo było zatlić przez potarcie dwóch kamyków. Kieszenie inżyniera były puste, z wyjątkiem kieszonki w kamizelce, w której znajdował się zegarek. Wszyscy zgodzili się, że trzeba koniecznie przenieść Cyrusa Smitha do Kominów i to jak najszybciej.

Tymczasem troskliwość, jaką otaczali inżyniera, przywróciła mu przytomność prędzej niż się sami spodziewali. Woda, którą zwilżali usta, ożywiła go powoli. Penkroff wpadł na pomysł, żeby do wody dodać trochę soku z mięsa cietrzewi, które przyniósł ze sobą. Harbert pobiegł aż do brzegu morza i wrócił z dwiema potężnymi muszlami. Marynarz sporządził rodzaj mikstury i wsadził ją w usta inżyniera, który zdawał się połykać płyn z chciwością.

Gdy otworzył oczy, Nab i reporter stali nad nim pochyleni.

— Panie mój! Drogi panie! — zawołał Nab.

Inżynier usłyszał ten krzyk. Poznał najpierw Naba i Spiletta, potem pozostałych towarzyszy, Harberta i marynarza, i słabo uściśnął ich ręce.

I znowu z jego ust wyszło kilka słów, niewątpliwie tych samych co poprzednio. Wskazywały one, jakie myśli go już wtedy nurtowały. Tym razem zrozumieli ich sens.

— Wyspa czy stały ląd? — szepnęła.

— Do krośset diabłów! — zawołał Penkroff. — Co nas to teraz obchodzi, jeże i tylko pan żyje, panie Cyrusie! Czy wyspa, czy stały ląd — to się później okaże.

Inżynier skinął głową potakująco i zdawał się usypiać.

Zachowywano się więc jak najspokojniej, a reporter rozpoczął natychmiast przygotowania do wygodnego przeniesienia inżyniera. Nab, Harbert i Penkroff wyszli z groty i podążyli w stronę wysokiej piaszczystej wydmy, na której szczycie rosło kilka karłowatych drzew; po drodze marynarz, nie mogąc wytrzymać, powtarzał raz po raz:

— Wyspa czy stały ląd! No proszę, komu by to przyszło na myśl, kiedy ledwo żyje. Dziwny człowiek!

Przybywszy na wierzchołek wydmy, Penkroff i jego dwaj towarzysze odłamali kilka gałęzi z usychającej sosny karłowatej i sporządzili nosze, na których, wyścieliwszy je liśćmi i trawą, można było wygodnie przenieść inżyniera.

Cała ta praca trwała czterdzieści minut. Dochodziła już dziesiąta, gdy marynarz, Nab i Harbert powrócili do Cyrusa, którego przez cały ten czas ani na chwilę nie odstępował Gedeon Spilett.

Inżynier przebudził się właśnie ze snu, albo raczej omdlenia, w którym go znaleźli. Rumieńce powróciły znowu na jego twarz, którą dotychczas pokrywała śmiertelna bladeść. Uniósł głowę i popatrzył wokół, jakby pytając, gdzie się znajduje.

— Czy może mnie pan słuchać bez znużenia, panie Cyrusie? — spytał reporter.

— Mogę — odparł inżynier.

— Moim zdaniem — rzekł marynarz — panu Smithowi jeszcze łatwiej będzie pana słuchać, gdy skosztuje tej potrawy z cietrzewi — bo to są cietrzewie, panie Cyrusie — objaśniał, podając mu odrobinę potrawy, do której tym razem dodał kilka cząstek mięsa.

Cyrus Smith spożył swoją porcję potrawy, a reszta rozdzielona została między jego trzech zgłodniałych towarzyszy, którzy uskarżali się na zbyt skąpe śniadanie.

— To nic — rzekł marynarz. — W Kominach czeka na nas lepszy posiłek, bo musi pan wiedzieć, panie Cyrusie, że tam na południu mamy dom z pokojami, łózkami i kuchnią, a w spiżarni kilka tuzinów ptaków, które nasz Harbert nazywa „kuruku”. Pańska lektyka jest już gotowa i skoro się pan poczuję na siłach, przeniesiemy pana do domu.

— Dziękuję ci, przyjacielu — odparł inżynier. — Za godzinę lub dwie będziemy mogli wyruszyć... A teraz proszę mówić, panie Spilett.

Wtedy reporter zaczął relacjonować cały przebieg wypadków. Opowiadał fakty, o których Cyrus nie mógł wiedzieć: o ostatnim upadku balonu, o ich wylądowaniu na nieznaną ziemi, która zdawała się odludna bez względu na to, czy była wyspą, czy stałym lądem, o odkryciu Kominów, o poszukiwaniach zaginionego inżyniera, o poświęceniu Naba, o zasłudze wiernego Topa, który ich przyprowadził do niego.

— Więc to nie wy znaleźliście mnie na morskim brzegu? — zapytał Cyrus osłabionym jeszcze głosem.

— Nie — odparł marynarz.

— I to nie wy przynieśliście mnie do tej jaskini?

— Nie.

— Jak bardzo odległa jest ta grota od nadbrzeżnych raf?

— Około pół mili — odparł Penkroff. — I nie tylko pana to dziwi.

— W istocie — rzekł, ożywiając się coraz bardziej inżynier, którego te szczegóły zaczęły mocno interesować. — W istocie, to coś szczególnego!

— Może pan nam opowiedzieć — zagadnął znowu marynarz — co się stało od chwili, gdy porwała pana owa wielka fala?

Cyrus Smith zamyślił się, lecz niewiele mógł sobie przypomnieć. Fala morska oderwała go od sieci balonu. Zanurzył się najpierw kilka metrów w głąb. Wypłynawszy na powierzchnię morza, poczuł, że w tym półmroku jakaś żywa istota porusza się tuż obok niego. Był to Top, który skoczył mu na ratunek. Podnosząc wzrok w górę nie zobaczył balonu, który, uwolniony od ciężaru jego i psa, zniknął we mgłę. Ujrzał, że znajduje się wśród rozhukanych fal, w odległości nie więcej jak pół mili od brzegu. Usiłował walczyć z falami i płynął, ile sił mu starczyło. Top podtrzymywał go za ubranie, lecz jakiś szalony prąd porwał i uniósł ich na północ, a pół godziny później wciągnął w morską otchłań. Odtąd, aż do chwili, gdy zobaczył swych przyjaciół, nie pamiętał, co się z nim działo.

— Przecież musiał pan zostać wyrzucony na brzeg — zagadnął znowu Penkroff — i musiał pan mieć dość sił, aby dotrzeć sam aż tutaj, skoro Nab znalazł ślady pańskich stóp na piasku!

— Zapewne... że musiałem... — odparł inżynier, zamyślając się. — A nie widzieliście żadnych innych śladów ludzkich na tej ziemi?

— Żadnych — odparł reporter. — A zresztą, gdyby się i znalazł jakiś wybawca, dlaczego potem pana opuścił?

— Masz słuszność, Spilett — dodał inżynier i zwrócił się do swego sługi. — Słuchaj Nab, więc także i ty nie... A może w jakiejś chwilowej nieprzytomności... lecz nie, to nie ma sensu... Czy są jeszcze te ślady? — zapytał w końcu.

— Tak jest, panie — odparł Nab — niedaleko wejścia do groty, z drugiej strony, w miejscu zakrytym od wiatru i deszczu. Resztę śladów zatarła burza.

— Panie Penkroff — rzekł Cyrus Smith. — Będzie pan łaskaw wziąć moje buty i przymierzyć, czy dokładnie pasują do tych śladów.

Marynarz spełnił polecenie. On i Harbert udali się za Nabem na miejsce, gdzie znajdowały się ślady. W tym czasie Cyrus powiedział do reportera:

— Tu stało się coś niepojętego!

— Ja też tak myślę! — odparł Gedeon Spilett.

— Lecz dajmy teraz temu spokój, Spilett, później o tym porozmawiamy. Po chwili wrócili marynarz, Nab i Harbert.

Nie ulegało żadnej wątpliwości. Buty inżyniera pasowały dokładnie do odnalezionych śladów. Więc nikt inny, tylko Cyrus Smith pozostawił je na piasku.

— Co u licha? — rzekł. — Więc to ja musiałem ulec halucynacji, tej nieprzytomności, o którą przed chwilą posądzałem Naba! Szedłem jak lunatyk, nie wiedząc, dokąd idę; więc to Top swoim instynktem zaprowadził mnie tutaj, wyrwawszy wcześniej z toni morskiej... Chodź tu do mnie, Top, chodź tu, mój psie!

Wspaniałe zwierzę jednym susem doskoczyło do swojego pana, głośno szczekając — oczywiście nie szczędzono mu pieśczęt i pochwał.

Trzeba przyznać, że trudno było o inne wytłumaczenie ocalenia Cyrusa Smitha i zrozumiałe jest, że całą zasługę przypisano Topowi.

Okolo południa Penkroff zapytał Cyrusa, czy gotów jest do podróży, na co inżynier, zamiast odpowiedzieć, z wielkim wysiłkiem powstał na nogi. Lecz musiał oprzeć się o ramię marynarza, żeby nie upaść.

— Bravo, bravo! — rzekł Penkroff. — A oto jest lektyka pana inżyniera. Przyniesiono nosze, następnie ułożono Cyrusa na przygotowanym wcześniej pośłaniu.

Mieli przed sobą osiem mil, a ponieważ nie można było iść szybko i trzeba było często się zatrzymywać, więc dopiero za sześć godzin mogli dojść do Kominów. Inżynier leżąc wspierał się na łokciu, bacznie rozglądając się po wybrzeżu. Nie odzywał się, lecz notował dokładnie w pamięci obraz całej okolicy. W końcu po dwóch godzinach znużenie pokonało go i usnął na noszach.

O wpół do szóstej dotarli do Kominów.

Cyrus Smith spał twardo i nie przebudził się, nawet gdy postawili nosze na ziemi.

Wtedy dopiero zauważyli, ku swemu największemu zdumieniu, jakie zmiany poczyniła wczorajsza nawałnica. W wielu miejscach widać było świeże zwałiska skał. Olbrzymie bryły granitu leżały w nadbrzeżnym piasku, a morskie ziele pokrywało gęsto cały brzeg. Widać było, że morze, przelewając się przez wysepkę, dotarło aż do stóp olbrzymiego granitowego przedmurza. Przy wejściu do Kominów podmyty grunt świadczył o gwałtownym naporze morskich fal.

Penkroffa ogarnęło wówczas jakieś złowrogie przecucie i natychmiast wbiegł do wnętrza korytarza. Po chwili wyszedł, stanął milczący i nieruchomy i powiódł wzrokiem po swoich towarzyszach.

Ogień zgasł. Popiół zalany wodą przemienił się w błoto. Ów kawałek spalonej chustki, który miał służyć zamiast hubki, przepadł bez śladu. Morze wtargnęło aż w głąb korytarzy i zniszczyło wszystko we wnętrzu Kominów.

ROZDZIAŁ IX

Cyrus jest z nami! — Próba Penkroffa. — Wyspa czy stały ląd? — Plany inżyniera. — W jakim miejscu Oceanu Spokojnego? — W głębi lasu. — Sosna z migdałami. — Polowanie na kapibarę. — Dym jako znak dobrej wróżby.

W kilku słowach marynarz zawiadomił wszystkich o położeniu, w jakim się znaleźli. Wypadek ten, który mógł pociągnąć za sobą poważne konsekwencje — tak przynajmniej sądził Penkroff — wywarł na towarzyszach marynarza nieco odmienne wrażenia.

Nab, cały w radosnym uniesieniu z powodu odnalezienia swego pana, nie słuchał albo raczej nie chciał zwracać uwagi na to, co mówił Penkroff. Harbert natomiast zdawał się podzielać obawy marynarza.

Jeśli chodzi o reportera, ten na słowa marynarza odpowiedział tylko:

— Słowo ci daję, Penkroffie, że jest mi to zupełnie obojętne!

— Ależ powtarzam panu, że nie mamy ognia!

— O, ba!

— Ani żadnego sposobu rozpalenia go.

— No to co?

— Ależ panie Spilett...

— Przecież Cyrus Smith jest z nami — odparł reporter. — Wszak żyje nasz inżynier! Już on znajdzie jakiś sposób rozpalenia ognia!

— Ale czym?

— Czymkolwiek.

Co miał na to odpowiedzieć Penkroff? Przecież w głębi duszy sam podzielał nieograniczone zaufanie, jakim jego towarzysze darzyli Cyrusa. Inżynier był dla nich największym autorytetem, skarbnicą ludzkiej wiedzy i mądrości. Znaleźć się razem z Cyrusem na odludnej wyspie znaczyło w ich mniemaniu to samo, co żyć w najbardziej uprzemysłowionym mieście Stanów Zjednoczonych. Gdzie on był, czuli się bezpiecznie. Przy nim niepodobna było rozpaczać.

Tymczasem inżynier znowu bardzo osłabł, gdyż podróż bardzo go zmęczyła. Trudno było w takiej chwili korzystać z jego pomysłowości. Trzeba było poprzestać na skąpej wieczerzy. Mięso cietrzewi zostało zjedzone, a nie mieli ognia, by upiec inne zwierzę. Zresztą zapas kuruku gdzieś zniknął. Trzeba było jakoś zaradzić tej sytuacji.

Przed wszystkim zaniecono Cyrusa do środkowej izby Kominów. Tam sporządzono mu posłanie z suchej trawy morskiej. Głęboki sen, który nim zawładnął, mógł wzmocnić jego siły przedziej i lepiej niż najobfitszy posiłek.

Tymczasem zapadła noc i temperatura zaczęła się obniżać. Ponieważ morze zburzyło zbudowane przez Penkroffa przegrody i zasieki, powstały na nowo przeciągi, które pobyt w Kominach czyniły nieznośnym. Tym sposobem położenie inżyniera byłoby dość nieprzyjemne, gdyby towarzysze kamizelkami i kaftanami starannie go nie pookrywali.

Wieczera składała się tego wieczoru z litodomów, których obfity zapas uzbierali Harbert i Nab nad brzegiem morza. Do tych mięczaków dodał Harbert pewną ilość jadalnych glonów, które zebrał na wysokich skałach. Glony te. były rodzajem sargasów*, które wysuszone, dawały sok galaretowaty, dość obfity w pożywne związki. Reporter i jego towarzysze, pochłonawszy sporą ilość litodomów. wysysali następnie glony i uznali, że ich smak był całkiem znośny.

* Sargasy — glony mórz ciepłych, z grupy brunatnic. Tworzą niekiedy ogromne skupiska (jak atlantyckie Morze Sargassowe).

— Niech się dzieje, co chce — rzekł marynarz. — Czas już, żeby Cyrus przyszedł nam z pomocą.

Tymczasem zimno stało się bardzo dotkliwe, a na nieszczęście nie można było się przed nim ochronić.

Marynarz, któremu chłód dokuczał najbardziej, próbował wszelkimi sposobami rozniecić ogień. Nab dopomagał mu w tym, jak umiał. Znalazł trochę suchego mchu i uderzając nad nim dwoma kamykami, wydobywał z nich iskry, ale mech nie był dostatecznie suchy i nie zajął się, a zresztą iskry pochodzące tylko z kamienia nie miały tej siły, co iskry wydobywane się ze stali, w zwykłym krzesiwie. Próba zatem nie powiodła się.

Następnie Penkroff próbował — chociaż nie miał żadnego zaufania do tej metody — trzec dwa kawałki suchego drewna, jeden o drugi, jak zwykli to robić dzicy. Gdyby energia, jaką wraz z Nabem zużyli podczas tej czynności, zamieniła się w ciepło, wystarczyłaby z pewnością do zagotowania kotła parowego. Lecz nie było żadnego rezultatu. Drewno rozgrzało się mniej niż oni.

Po godzinie daremnej pracy Penkroff spociał się jak mysz i z gniewem odrzucił drewnianka.

— Jeżeli mnie ktoś przekona — zawołał — że dzicy tym sposobem rozpalają ogień, uwierzę, że w zimie panują upały! Prędzej bym moje ręce zapalił, trąc jedną o drugą!

Marynarz jednak mylił się. Plemiona żyjące dziko zapalają drewno za pomocą szybkiego i nagłego potarcia. Nie każdy gatunek drzewa nadaje się jednak do tej operacji.

Trzeba się było pożegnać z myślą o rozpaleniu tej nocy ognia. Gedeon Spilett po raz dwudziesty z rzędu powtórzył, że Cyrus o taką drobnostkę nie troszczyłby się wcale. A tymczasem położył się w jednym z korytarzy na piasku Harbert, Nab i Penkroff poszli za jego przykładem. Top spał u nóg swojego pana

Nazajutrz, 28 marca, około ósmej rano, inżynier przebudziwszy się, ujrzał zgromadzonych wokół siebie towarzyszy.

— Wyspa, czy stały ląd? — zapytał po raz kolejny. Jak widać całkowicie go to pochłaniało.

— Tego jeszcze nie wiemy, panie Smith — odparł Penkroff.

— Jeszcze nie wiecie?

— Ale dowiemy się — wtrącił Penkroff — gdy pan zbada ten ląd.

— Spróbuję — rzeki inżynier, wstając powoli.

— Brawo, to mi się podoba! — zawołał marynarz.

— Umierałem przede wszystkim z wycieńczenia i głodu — rzekł Cyrus Smith. — Trochę pożywienia, moi przyjaciele, a zaraz odzyskam siry. Macie ogień?

Pytanie to pozostało przez kilka chwil bez odpowiedzi. Wreszcie odpowiedział Penkroff:

— Niestety, nie mamy ognia, albo raczej już go nie mamy, panie Cyrusie!

I opowiedział wczorajsze wydarzenia. Rozweselił inżyniera historią o owej jedynej zapałce, tudzież o swej niefortunnej próbie rozniecenia ognia sposobem dzikich plemion.

— Pomyślmy, co się da zrobić — rzeki inżynier — a jeśli nie znajdziemy czegoś, co mogłoby zastąpić nam hubkę...

— To cóż wtedy? — zapytał marynarz.

— Ha, to będziemy produkować zapałki.

— Chemiczne?

— Chemiczne!

— Nic łatwiejszego! — zawołał reporter, uderzając marynarza w ramię.

Penkroff miał inne zdanie, lecz nie sprzeciwiał się. Zapanowała piękna pogoda. Jasne, czyste słońce wynurzało się z fal oceanu i tysiącem złocistych iskier posypało chropowatą powierzchnię olbrzymiej ściany skalnej.

Rozejrzawszy się, inżynier usiadł na skalistej bryle. Harbert podał mu kilka garści ślimaków morskich, mówiąc:

— Oto wszystko, co w tej chwili posiadamy, panie Cyrusie.

— Dziękuję ci, mój chłopcze — odparł inżynier. — To wystarczy, przynajmniej na dziś rano.

I z apetytem zjadał tę lichą strawę, skropiwszy ją uprzednio świeżą wodą z rzeki.

Towarzysze spoglądali na niego w milczeniu. Gdy skończył jeść, Cyrus Smith zwrócił się do towarzyszy:

— A zatem, moi przyjaciele, nie wiecie dotąd jeszcze, czy los nas wyrzucił na stały ląd czy też na wyspę?

— Nie wiemy, panie Cyrusie — odrzekł chłopak. .

— Więc dowiemy się jutro — powiedział inżynier. — Do tego czasu nic nie da się zrobić.

— I owszem — odparł Penkroff.

— Cóż takiego?

— Postarać się o ogień — rzekł marynarz, który także miał swoją obsesję.

— Będziemy go mieli, Penkroffie — odparł inżynier. — Wczoraj po drodze spostrzegłem na zachodzie górę, skąd niezawodnie roztacza się widok na całą okolicę.

— Tak jest — rzekł Gedeon Spilett — góra ta zdaje się dość wysoka...

— Otóż jutro — ciągnął dalej inżynier — dostaniemy się na sam szczyt i przekonamy się, czy ta ziemia jest wyspą, czy też stałym lądem. Do jutra, powtarzam raz jeszcze, nic się nie da zrobić.

— Ależ jest co robić, rozpalić ogień — powtórzył uparty marynarz.

— Będziemy go mieli, będziemy — odparł Gedeon Spilett. — Odrobinę cierpliwości, Penkroff!

Marynarz popatrzył na Gedeona Spiletta wzrokiem, który wydawał się mówić: „gdybyś ty się tym zajął, pewnie nie tak prędko pokosztowalibyśmy pieczeni”, lecz nie powiedział ani słowa.

Cyrus Smith milczał także. Kwestia ognia stała się dla niego mało interesująca. Kilka chwil siedział zatopiony w myślach, po czym odezwał się znowu:

— Położenie nasze, moi przyjaciele, może jest opłakane, ale wyjaśnienie naszej sytuacji wydaje mi się bardzo proste. Albo znajdujemy się na stałym lądzie, a w takim razie z większym lub mniejszym trudem dotrzemy wreszcie do miejsca, gdzie mieszkają ludzie, albo też znajdujemy się na wyspie. W tym przypadku czeka nas jedno z dwojga: jeśli ta wyspa jest zamieszkała, spróbujemy dać sobie radę z pomocą jej mieszkańców, jeśli zaś jest bezludna, będziemy musieli radzić sobie sami.

— Rzeczywiście, jest to bardzo proste — odparł Penkroff.

— Ale na wszelki wypadek — zagadnął Gedeon Spilett — jak sądzisz, Cyrusie, dokąd nas mógł ten orkan zapędzić — to ląd stały, czy wyspa?

— Nie potrafię jeszcze tego określić — odparł inżynier. — Istnieje jednak prawdopodobieństwo, że znajdujemy się na którejś z wysp Oceanu Spokojnego. Gdy opuszczaliśmy Richmond, wicher wiał z północnego wschodu i sama jego gwałtowność pozwala przypuszczać, że kierunku nie zmienił. Jeśli więc ten kurs utrzymał się, przelecieliśmy stany Karoliny Północnej, Karoliny Południowej, Georgię, węższą część Zatoki Meksykańskiej, sam Meksyk i część Pacyfiku Odległość, jaką balon przeleciał, oceniani na około sześć tysięcy mil, zakładając że wiatr w tym czasie zmienił nieco kierunek, jesteśmy na Archipelagu Mendany, albo na wyspach Mikronezji, albo nawet na Nowej Zelandii. Gdyby ta ostanta hipoteza okazała się prawdziwa, nie mielibyśmy kłopotów powrotem do domu. I bez względu na to, czy trafilibyśmy na Anglików; czy na Maorysów, zawsze można by się z nimi porozumieć. Jeśli zaś ziemia, na której się znajdujemy, jest jedną z odludnych wysepek jakiegoś małego archipelagu, nie

pozostanie nam nic innego tylko zagospodarować się tak, jak gdybyśmy już nigdy nie mieli się stąd wydostać.

— Nigdy! — zawołał reporter. — Ty powiadasz nigdy, Cyrusie?

— Lepiej od razu przygotować się na najgorsze — odparł inżynier — i liczyć na miłą niespodziankę.

— Racja! — rzekł Penkroff. — A zresztą miejmy nadzieję, że wyspa ta, jeśli to jest wyspa, leży przy szlaku, którym płyną okręty! Inaczej powiem, że uwzięło się na nas licho!

— Dopiero wtedy będziemy wiedzieli czego się trzymać — rzekł inżynier — gdy poznamy okolicę ze szczytu tamtej góry.

— Lecz czy będzie pan miał jutro dość siły, aby znieść trud takiej wyprawy? — zapytał Harbert.

— Zniosę — odparł inżynier — ale pod warunkiem, że pan, mości Penkroffie i ty. moje dziecko, spiszcicie się dziś, jak na prawdziwych myśliwych przystało.

— Panie Cyrusie — odparł marynarz. — Jeśli idzie o zwierzynę, to powiem panu, że gdybym był tak pewny, że po powrocie będę mógł ją upiec przy ogniu, jak jestem pewny, że ją dostarczę...

— Dostarcz nam jej tylko, dostarcz, mości Penkroff — odparł Cyrus Smith. Uzgodniono więc, że inżynier z reporterem spędzą ten dzień w Kominach i rozejrzą się po wybrzeżu i skalistej wyżynie. W tym czasie Nab, Harbert i marynarz mieli wrócić do lasu, odnowić zapas drewna i zwierzyny.

Ruszyli zatem w drogę około dziewiątej rano: Harbert pełen otuchy. Nab wesół i rozradowany, a Penkroff markotny.

Tym razem nasi myśliwi, zamiast iść wzdłuż rzeki, zapuścili się prosto w głąb lasu. Rosły tu te same drzewa, należące do rodzaju iglastych. Ich wspaniałe rozmiary wskazywały, że kraj ten położony był pod wyższym stopniem szerokości geograficznej niż przypuszczał inżynier.

Tu i ówdzie napotykali w lesie małe polanki, na których sterczały pnie wyszczerbione zębem czasu, a na ziemi wokół leżało mnóstwo suchych gałęzi, stanowiących niewyczerpany zapas opalu. Po minięciu polanek las gęstniał coraz bardziej i stawał się prawie nieprzebyty. Wędrowka wśród tych olbrzymich drzew, bez żadnej wytyczonej ścieżki, nie była rzeczą łatwą. Toteż marynarz od czasu do czasu nadłamywał gałęzie, znacząc tym sposobem drogę. Lecz może źle postąpił tym razem, nie idąc — jak to na pierwszym polowaniu uczynili z Harbertem — zgodnie z biegiem rzeki, gdyż po godzinie nie trafili jeszcze na żadną zwierzynę. Top, biegnąc pod niskimi gałęziami, płoszył tylko ptaki, do których nie można było się zbliżyć; kuruku nie było nawet widać, zdawało się więc, że marynarz będzie musiał wrócić w tę bagnistą stronę lasu, gdzie tak pomyślnie wypadł polów na cietrzewie.

— Ano, panie Penkroff! — odezwał się Nab z lekkim szyderstwem. — Jeżeli to ma być ta zwierzyna, którą obiecał pan dostarczyć, to niewiele będzie potrzebował mój pan ognia, aby ją upiec!...

— Trochę cierpliwości, Nab — odparł marynarz. — Co jak co, ale na pewno zwierzyny nie braknie po naszym powrocie!

Tymczasem słońce coraz wyżej wędrowało po niebie. Poszukiwania trwały dalej, a Harbert dokonał niebawem bardzo cennego odkrycia: znalazł bowiem drzewo z jadalnymi owocami. Był to rodzaj sosny rodzącej ziarna podobne do wybornych migdałów, wielce cenione w umiarkowanych strefach Ameryki i Europy. Migdały te były dojrzałe, więc uraczyli się nimi do woli.

— Co robi Top?... — zawołał nagle Nab i podbiegł w stronę gęstwiny, skąd dolatywało szczekanie psa. Ze szczekaniem Topa mieszały się dziwne tony, podobne do kwiku prosięcia.

Kiedy weszli w gęstwinę, ujrzeli Topa walczącego z jakimś zwierzęciem, które przytrzymał zębami za jedno ucho. Czworonożne stworzenie było podobne do wieprza i miało więcej niż dwie i pół stopy długości, o maści ciemnobrunatnej, jaśniejszej na brzuchu. Szczecinę miało twardą i rzadką, a łapy, którymi właśnie z całej siły uczepliło się ziemi, zrosnięte błoną.

Harbert poznał w nim kapibarę — jedną z największych przedstawicielek gatunku gryzoni.

Tymczasem kapibara nie broniła się wcale. Toczyła tylko dookoła swoimi dużymi, ufnymi ślepiami, osadzonymi głęboko wśród grubej powłoki tłuszczu. Być może, że pierwszy raz w życiu widziała ludzi.

Nab zamierzał właśnie uderzyć ją w łeb pałką, gdy nagle zwierzę wyrwało się Topowi, zostawiając mu w zębach kawałek odgryzionego ucha, wydało przeraźliwy kwik, rzuciło się na Harberta, omal nie powaliło go z nóg i zniknęło w gęstwinie.

— A to bestia! — zawołał Penkroff.

Wszyscy trzej popędzili co tchu w ślad za Topem i w chwili, gdy go doganiali, kapibara rzuciła się do dużego bagna ocienionego wokół stuletnimi sosnami i zniknęła pod wodą.

Nab, Harbert i Penkroff stanęli na brzegu jak wryci. Top wskoczył do wody, ale kapibara zanurzyła się w bagnie i nie pokazywała na powierzchni.

— Czekajmy — rzekł Harbert. — Wkrótce będzie musiała wypłynąć, żeby nabrać tchu.

— A nie utonie? — zapytał Nab.

— Nie — odparł Harbert. — Ma płetwy i jest zwierzęciem ziemnowodnym. Czatujmy tu na nią.

Top pływał i węszył. Penkroff i jego dwaj towarzysze rozstawili się dookoła brzegu, żeby odciąć kapibarze drogę ucieczki, a pies szukał jej po całym bagnie.

Harbert miał rację. Po kilku minutach zwierzę wypłynęło znów na powierzchnię wody. Top jednym susem rzucił się na nie i nie pozwolił się więcej zanurzyć. W kilka chwil później kapibara została przyciągnięta do brzegu, a Nab jednym uderzeniem pałki zabił ją na miejscu.

— Hurra! — krzyknął triumfalnie Penkroff. — Dajcie mi tylko jeden żarzący się węgiel, zobaczycie, jak ją smacznie przyrządzę!

Penkroff wziął kapibarę na plecy, a uznając po położeniu słońca, że mogła być druga po południu, dał znak do odwrotu. Instynkt Topa przydał się bardzo myśliwym, którzy dzięki niemu odnaleźli tę samą drogę, którą przyszli. Po pół godzinie przybyli do zakola rzeki.

Podobnie jak za pierwszym razem Penkroff sporządził szybko tratwę, załadował ją drewnem — jakkolwiek wobec braku ognia uważał całą tę pracę za niepotrzebną, po czym, splawiając tratwę z biegiem wody, przybyli do Kominów.

Na pięćdziesiąt kroków przed Kominami marynarz zatrzymał się nagle, po chwili wzniosł grzmiące „hurra!” i wskazując ręką na róg skalnego urwiska, zawołał:

— Harbert! Nab! Widzicie?!

Przed skałą wzbijał się gęstymi kłębam — dym!...

ROZDZIAŁ X

Wynalazek inżyniera. — Pytanie, które nurtuje Cyrusa. — Wyprawa na górę. — Las. — Grunt wulkaniczny. — Bażanty. — Muflony. — Pierwszy stożek. — Nocleg. — Szczyt góry.

W kilka minut później nasi myśliwi stanęli przed płonącym ogniskiem. Znaleźli przy nim Cyrusa Smitha i reportera. Penkroff w milczeniu patrzył to Jednego, to na drugiego, stojąc zdumiony, z kapibarą w ręku.

— A widzisz, mój przyjacielu! — zawołał reporter. — Otóż i ogień, prawdziwy ogień, przy którym wyborne upiecze się ta wspaniała zwierzyna, a później się nią uruczymy!

— Ale kto rozpałił ogień? — zapytał Penkroff.

— Słońce!...

Gedeon Spilett powiedział prawdę. Marynarz nie chciał wierzyć swym oczom i tak był osłupiały z podziwu, że nie przyszło mu nawet na myśl zapytać inżyniera: jakim to się stało sposobem?

— Więc miał pan przy sobie soczewkę? — zagadnął Harbert Cyrusa Smitha.

— Nie. moje dziecko — odparł inżynier — ale ją zrobiłem.

I pokazał urządzenie, które posłużyło za soczewkę. Były to dwa szkiełka, które wyjął z zegarków reportera i swojego. Napelniwszy je wodą i połączywszy ich brzegi za pomocą kilku okruchów glinki, sporządził tym sposobem soczewkę, która koncentrując promienie słoneczne na kupce suchego mchu, spowodowała jego zapalenie.

Marynarz obejrzał najpierw przyrząd, a potem spojrzął na inżyniera i nie powiedział ani słowa. I nie potrzeba było słów, to spojrzenie mówiło wszystko. Dla niego od tej chwili Cyrus, jeżeli nie był bogiem, to w każdym razie był kimś więcej niż człowiekiem. Wreszcie rozwiązał mu się język i zawołał:

— Niech pan to zapisze w swoim notatniku, panie Spilett!

— Już zapisałem — odparł reporter.

Następnie z pomocą Naba marynarz sporządził rożen i wkrótce kapibara, wypatroszona jak należy, smażyła się na wolnym, jasnym ogniu, jak zwyczajne prosię.

Kominy znowu nadawały się do zamieszkania, nie tylko dlatego, że korytarze wyschły grzejąc się od ognia, ale ponieważ dawne zasieki z kamieni i piasku zostały naprawione. Jak widać, inżynier ze swoim towarzyszem nie marnowali czasu. Cyrus Smith odzyskał prawie całkowicie siły i wypróbował je wspinając się na górną płaszczyznę skały. Z tego punktu jego wzrok, przywykły do mierzenia wysokości i odległości, długo zatrzymywał się na owej stożkowej górze, na której szczyt zamierzał wyjść nazajutrz. Góra ta, położona po stronie północno-zachodniej w odległości około sześciu mil, mogła, według jego przypuszczenia, wznosić się na trzy tysiące pięćset stóp ponad powierzchnię morza. Stanąwszy na jej szczycie można więc było ogarnąć wzrokiem widnokrąg w promieniu najmniej pięćdziesięciomilowym. Cyrus Smith był pewny, że będzie mógł stamtąd przekonać się z łatwością, czy znajdują się na stałym lądzie, czy na wyspie.

Później wszyscy ze smakiem spożyli wieczerzę; mięso kapibary okazało się wyśmienite. Głony i sosnowe migdały uzupełniły kolację, podczas której inżynier był dość milczący. Wydawał się cały zaprzątnięty projektami na jutro.

Po wieczerzy dorzucono świeżego drewna do ognia i mieszkańcy Kominów nie pomijając wiernego Topa, zasnęli kamiennym snem. Żaden wypadek nie przerwał spokoju tej nocy i nazajutrz, 29 marca, przebudzili się rześcy i wypoczęci, gotowi do wyprawy, która miała rozstrzygnąć ich los.

Wszystko było gotowe do wędrówki. Resztki kapibary mogły jeszcze przez dwadzieścia cztery godziny wyżywić Cyrusa i jego towarzyszy. Zresztą mieli nadzieję po drodze dodatkowo zaopatrzyć się w żywność. Ponieważ szkiełka od zegarków inżyniera i reportera powkładane zostały z powrotem w miejsce swego przeznaczenia, zatem Penkroff nadpalił trochę tej szmaty, która miała służyć zamiast hubki. O krzemień nie trzeba była się troszczyć; można go było znaleźć na każdym kroku.

Okolo wpół do ósmej nasi podróżni, uzbrojeni w kije, opuścili Kominy. Według Penkroffa, najważniejsze było obranie znanej już drogi przez las, podczas gdy z powrotem można było iść inną trasą. Była to także najkrótsza droga wiodąca do celu ich wyprawy. Skręcili zatem przy południowym krańcu skalnej ściany i podążyli lewym brzegiem rzeki. W miejscu, gdzie rzeka skręcała w kierunku południowo-zachodnim, zeszli w bok, odszukali wydeptaną już pomiędzy drzewami ścieżkę i około dziewiątej przybyli do północnego skraju lasu.

Grunt, dotychczas dość równy, początkowo bagnisty, a później suchy i piaszczysty, okazywał w tym miejscu lekką spadzistość, która od brzegu morza wznosiła się w głąb kraju. W gęstwinie przemknęło kilka spłoszonych zwierząt. Top pobiegł za nimi żwawo, lecz jego pan przywołał go, gdyż nie mieli teraz czasu na polowanie. Inżyniera niełatwo było odwieść od myśli, która go całkowicie pochłaniała. Wyłącznym przedmiotem jego obserwacji była góra, na którą chciał wejść jak najszybciej.

Góra składała się z dwóch stożków. Jeden z nich, ścięty na wysokości dwóch tysięcy pięciuset stóp, podtrzymywany był poprzecznymi pasmami gór, rozgałęzionymi fantastycznie, niby szpony olbrzymiej łapy, zatopione w ziemię. Pomiedzy tymi poprzecznymi pasmami ciągnęło się wiele wąskich czeluści, najeżonych drzewami, których ostatnie grupy wznosiły się aż do krawędzi pierwszego stożka. Roślinność zdawała się uboższa po północno-wschodniej stronie góry, gdzie czerniały przegowate, dość głębokie wyżłobienia, zapewne wystygłe potoki lawy.

Na pierwszym stożku opierał się drugi, na samym szczycie z lekka zaokrąglony i pochylony nieco na bok. Był podobny do olbrzymiego kapelusza zsuniętego na jedno ucho. Wydawał się cały składać tylko z nagiej ziemi, którą xv wielu miejscach przecinały czerwone skały.

Tak wyglądał szczyt drugiego stożka, na który należało się wspinać, a do którego najwygodniejszy dostęp był po grzbietach poprzecznych pasm.

— Znajdujemy się na ziemi wulkanicznej — powiedział Cyrus Smith. Po chwili cała drużyna rozpoczęła powolną wspinaczkę po grzbiecie jednego z poprzecznych pasm, krętych a tym samym wygodniejszych, które sięgały aż do samego szczytu pierwszego wzniesienia. Była to ciężka i nużąca wędrówka. Musieli często nakładać drogi, by ominąć niemożliwe do przebycia miejsca.

Okolo południa, gdy zatrzymali się, żeby zjeść śniadanie pod cieniem rozłożystych sosen, niedaleko strumyka spływającego kaskadą, stwierdzili, iż znaleźli się właśnie w połowie drogi do pierwszego stożka, do którego mogli dotrzeć najszybciej o zmierzchu.

Po całogodzinnym wypoczynku ruszyli dalej. Trzeba było kierować się na południowy zachód i zapuścić się znowu w gęstwinę. Tu wśród rozłożystych drzew fruwało kilka par ptaków podobnych do kur. Były to bażanty; pod szyją miały mięsiste podgardla i dwa cienkie walcowate różki ponad oczami. Samice były koloru jednostajnie brunatnego, podczas gdy samce połyskiwały czerwonym upierzeniem z drobnymi białymi cętkami. Gedeon Spilett trafnym i silnym rzutem kamienia zabił jednego bażanta, a Penkroff, wyglodniały nużącą drogą, spoglądał na niego łakomym wzrokiem.

Opuściwszy zarośla, zaczęli wdrapywać się pod górę. Pomagając sobie nawzajem, weszli na jeden z wyższych poziomów, na którym rosło kilka drzew, a ziemia miała podłoże wulkaniczne. Stąd trzeba było skręcić znowu na wschód i iść zakosami, co ułatwiało wspinanie się po stromej

pochyłości, a każdy musiał ostrożnie wybierać miejsca, gdzie mógł postawić nogę. Straż przednią tworzyli Nab z Harbertem, straż tylną Penkroff; pośrodku szli Cyrus i reporter. Zwierzęta, które chodziły po tych stromiznach — a nie brak było ich tropów — musiały należeć do ras, które natura obdarzyła silnymi nogami i giętkim grzbietem, zapewne do rodzaju dzikich kóz lub izardów*. Spostreżli nawet kilka takich sztuk, lecz Penkroff dał im inną nazwę, zawoławszy nagle:

— Barany!

Na ten okrzyk stanęli wszyscy i pięćdziesiąt kroków przed sobą ujrzeni pół tuzina dużych zwierząt z silnymi rogami zakrzywionymi do tyłu i spłaszczonymi na końcach, o wełnistej, płowej sierści.

Nie były to pospolite barany, lecz podobne do nich muflony* — gatunek rozpowszechniony w górzystych krajach stref umiarkowanych.

— A można z nich robić udźce i kotlety? — zapytał marynarz.

— Można — odparł Harbert.

— A więc to są barany! — rzekł Penkroff.

Zwierzęta te stały nieruchomo wśród bazaltowych odłamów i patrzyły zdumionym wzrokiem, jak gdyby po raz pierwszy widziały dwunożne istoty, p chwili spłoszyły się nagle i skacząc po skałach zniknęły pomiędzy urwiskami.

— Do widzenia! — zawołał Penkroff tonem tak komicznym, że wszyscy wybuchnęli głośnym śmiechem.

Ruszyli dalej. Na pochyłościach zauważali coraz częściej ślady lawy rozlanej w fantastyczne wstęgi.

Im bliżej dochodzili do pierwszego płaskowyżu, który tworzył ścięty słup niższego stożka, tym trud — niej było wdrapywać się pod górę. Około czwartej minęli ostatni pas lasu. Tu i ówdzie sterczało jeszcze kilka pokurczonych i nagich sosen, które musiały być bardzo odporne, skoro opierały się wichrom szalejącym na tak dużej wysokości. Szczęściem dla inżyniera i jego towarzyszy, panowała ładna pogoda, powietrze było spokojne, bowiem silny wiatr na wysokości trzech tysięcy stóp utrudniałby ich marsz. Cisza panowała dokoła. Słońce skryło się właśnie za olbrzymim szczytem wyższego stożka, który zasłaniał połowę zachodniej części nieba i którego olbrzymi cień rozpościerając się aż do brzegu morza, rósł w miarę jak słońce zachodziło. Na wschodzie poczęły wznosić się lekkie mgły, zabarwione pod wpływem promieni słonecznych wszystkimi kolorami tęczy.

Pięćset stóp tylko oddzielało naszych podróżnych od szczytu, na którym zamierzali rozbić obozowisko, lecz zmieniły się w dwie mile z powodu ciągłej konieczności zbaczania to w tę, to w tamtą stronę. Zbocza byty nieraz tak strome, że ślizgali się po pokładach lawy, tam gdzie woda nie wyślubiła bruzd, w których noga znajdowała pewniejszy punkt oparcia. Wreszcie, późnym wieczorem, Cyrus Smith ze swymi towarzyszami, śmiertelnie znużeni siedmiogodzinną wspinaczką, dotarli do szczytu pierwszego stożka.

Chodziło teraz o przygotowanie noclegu i pokrzepienie sił najpierw posiłkiem, a potem snem. Druga kondygnacja góry spoczywała na pokładzie utworzonym z skał, pomiędzy którymi łatwo znaleźli odpowiednie schronienie. Zapas opalu nie był obfity. Można jednak było rozpalić ognisko z mchu i suchych krzaków rosnących w tym miejscu. W czasie, gdy marynarz przygotowywał palenisko na kamieniach, które w tym celu zgromadził, Nab z Harbertem zbierali

* Izardy — kozły skalne.

* Muflony — dziko żyjące owce, spotykane w Europie w lasach Korsyki i Sardynii. Charakteryzują się dużymi, zagiętymi nogami.

opal i wkrótce wrócili z. potrzebnym ładunkiem. Skrzesano ogień, nadpalona płachta zajęła się od iskier padających z krzemienia i po kilku minutach pod osłoną skał zapłonął jasny płomień.

Ogień ten potrzebny był tylko do zabezpieczenia się przed ostrym nocnym chłodem. Bażanta Nab schował na następny dzień. Resztki kapibary i garść sosnowych migdałów stanowiły ich wieczorny posiłek.

Około wpół do siódmej zakończyli wieczerzę.

Cyrus wpadł wtedy na pomysł, by obejść dokoła mimo wieczornego półmroku ową szeroką podstawę ze skał, na której opierał się stożek.

Nie zważając na trud i zmęczenie, inżynier zostawił Penkroffa i Naba zajętych przygotowaniami do noclegu, a Gedeona Spiletta pograżonego w zapisywaniu wypadków minionego dnia, sam natomiast podążył skrajem płaszczyzny w kierunku północnym. W wycieczce tej towarzyszył mu Harbert.

Noc była piękna i pogodna. Cyrus Smith i Harbert szli obok siebie w milczeniu. Gdziekolwiek mieli przed sobą płaski i gładki grunt, po którym szli bez przeszkód. Gdzie indziej nagromadzone rumowiska skał pozostawiały zaledwie wąziutką ścieżynę, po której niepodobna było dwóm osobom iść obok siebie. W końcu po dwudziestu minutach drogi musieli się zatrzymać. Od tego miejsca począwszy, oba stożki zbiegały się ze sobą. Pochyłość stoków była przy tym tak duża, że nie sposób było się na niej utrzymać.

Jednocześnie jednak, gdy inżynier i Harbert musieli zrezygnować z zamiaru okrążenia góry, pojawiła się możliwość dostania się wprost na jej szczyt.

Przed nimi otwierała się głęboka, wydrążona w skale rozpadlina. Był to otwór wyższego krateru, paszcza, przez którą wydostawały się ognistym potokiem roztopione kamienie i lawa, w czasie gdy wulkan był czynny.

Stwardniała lawa i zaskorupiały żużel tworzyły rodzaj szerokich schodów, ułatwiających dostęp do szczytu góry.

Jednym rzutem oka Cyrus Smith ocenił tę możliwość i nie wahając się ani chwilę, wraz z Harbertem zapuścili się w głąb tej olbrzymiej rozpadliny, wśród pogłębiających się ciągle ciemności. Szczyt stożka wznosił się na tysiąc stóp nad ich głowami.

Jeśli chodzi o wulkan, bez wątpienia od dawna był wygasły. Nie widać było ani dymu błakającego się po ścianach, ani ognia na dnie głębokich czeluści. Żaden podziemny grzmot, żaden szum, żadne trzęsienie nie wydobywało się z tego ziemnego lochu, który sięgał być może aż do wnętrza Ziemi. Nawet w powietrzu nie wyczuwało się zapachu siarki. To nie był sen wulkanu, to była jego zupełna śmierć.

Inżynier i Harbert, wspinając się po stokach wulkanu, widzieli jak jego otwór coraz bardziej rozszerzał się nad ich głowami. Kawałek nieba okolonego brzegami krateru powiększał się z każdą chwilą.

Była już ósma, gdy Cyrus i Harbert stanęli na samym szczycie stożka. : Ciemność zupełna nie pozwalała stwierdzić, czy morze otaczało dokoła tę nieznaną ziemię, czy też przylegała ona na zachodzie do jakiegoś lądu Oceanu , Spokojnego. Na zachodzie mglista wstęga rozpostarta na horyzoncie pogłębiała jeszcze ciemność, a wzrok daremnie usiłował dojrzeć, czy w tym miejscu morze łączyło się z niebem.

Lecz nagle w jednym punkcie widnokregu zabłysło mgliste światelko, które zniżało się z wolna, w miarę jak chmury podnosiły się na niebie.

Był to wąski sierp księżycy gasnącego w czasie nowiu. Lecz jego blask wystarczał do oświetlenia widnokregu wolnego od chmur i w tej chwili inżynier dostrzegł jego drżący obraz, odbity w wodnej tafli.

Cyrus Smith chwycił dłoń Harberta i rzekł poważnym głosem.

— To wyspa!...
W tej chwili sierp księżyca zniknął w falach oceanu.

ROZDZIAŁ XI

Na szczycie stoika. — Wnętrze krateru. — Morze dookoła. — Ani śladu ziemi. — Zarys wyspy z lotu ptaka. — Czy wyspa jest zamieszkała? — Nazwy nadawane zatokom, przylądkom, rzekom itd. — Wyspa Lincolna.

W pół godziny później Cyrus Smith i Harbert wrócili do obozowiska. Inżynier powiedział tylko towarzyszący, że ziemia, na którą los ich wyrzucił, jest wyspą i układanie planów na przyszłość trzeba odłożyć do dnia jutrzejszego. Następnie wszyscy ułożyli się do snu i zażywali zasłużonego odpoczynku w tej bazaltowej pieczarze, położonej dwa tysiące pięćset stóp ponad powierzchnią morza, w cichą i spokojną noc.

Nazajutrz, 30 marca, po krótkim śniadaniu złożonym z upieczonego bazylika, inżynier przedstawił swój plan powtórnego wejścia na szczyt wulkanu. Chciał dokładnie przyjrzeć się wyspie, która być może zostanie dożywotnim więzieniem dla niego i jego towarzyszy. Tym razem w wyprawie mieli uczestniczyć wszyscy ciekawi widoku wyspy.

Około siódmej rano opuścili nocny obóz. Nikt nie czuł się zaniepokojony sytuacją, w jakiej się znaleźli. Inżynier wiedział, że potrafi wydrzeć tej dzikiej naturze wszystko, co okaże się potrzebne do życia dla niego i jego towarzyszy; oni zaś byli spokojni, gdyż Cyrus Smith znajdował się z nimi. Szczególnie Penkroff, który odkąd zobaczył rozpalony ręką inżyniera ogień, nie lękałby się pozostać z nim na nagiej skale.

— Co tam! — zawołał. — Opuściliśmy Richmond bez pozwolenia miejscowych władz, więc dlaczego nie mielibyśmy prędzej lub później wydostać się z miejsca, w którym nikt nas nie będzie zatrzymywał?

Cyrus prowadził tą samą drogą, co dnia poprzedniego. Pogoda była piękna Słońce wznosiło się po czystym niebie i złościło swymi promieniami wschodnią stronę góry.

Stanęli nad brzegiem krateru. Jego kształt inżynier ocenił trafnie w nocnym mroku; był to lejkowaty otwór, który rozszerzając się, wznosił się do wysokości tysiąca stóp nad płaszczyznę pierwszego stożka. Wewnętrzne ściany krateru, których nachylenie wynosiło około trzydziestu pięciu do czterdziestu stopni, nie przeszkadzały we wspinaczce.

Widać tam było ślady bardzo zakrzepłej lawy, która musiała zapewne dawniej wylewać się przez otwór na szczycie stożka, zanim ta boczna czeluść nie otworzyła jej nowej drogi.

Jeśli chodzi o głębokość otchłani wulkanicznej, która łączyła podziemie z kraterem, niepodobna było zmierzyć ją wzrokiem, gdyż dno gubiło się w ciemnościach. Ale w całkowite wygaśnięcie wulkanu nie można było wątpić.

Zanim nadeszła ósma Cyrus ze swymi towarzyszami stanęli na szczycie krateru, na stożkowym pagórku, który wyrastał na jego północnym brzegu.

— Morze! Wszędzie morze! — zawołali razem, nie mogąc powstrzymać okrzyku, stwierdzającego ich odosobnienie od reszty świata.

Rzeczywiście, niekończąca się płaszczyzna wody otaczała ich dookoła. Być może, że Cyrus wspinając się powtórnie na szczyt stożka, miał nadzieję zobaczyć w pobliżu jakiś ląd lub wyspę, której nie mógł poprzednio dostrzec wśród nocnych ciemności. Lecz jak daleko sięgał widnokrąg, czyli w promieniu przeszło pięćdziesięciomilowym, nie było nigdzie ani ziemi, ani żagla. Była to pustynia bez końca i granic, a wyspa zdawała się być jej punktem środkowym.

Z oceanu ich wzrok przeniósł się na wyspę, ogarniając ją od końca do końca i pierwsze pytanie, zadane przez Gedeona Spiletta, brzmiało:

— Jak wielka może być ta wyspa?

Cyrus Smith pomyślał chwilę; zmierzył wzrokiem uważnie obwód wyspy, nie pomijając w obliczeniach wysokości, na jakiej się znajdowali, po czym powiedział:

— Przyjaciele, sądząc, że jej obwód wynosi przeszło sto mil.

— A jej powierzchnia?...

— Trudno to obliczyć — odparł inżynier. — Jej brzegi są bardzo nieregularne.

Jeżeli Cyrus obliczył właściwie, wyspa mogła mieć mniej więcej taki sam obszar, co Malta lub Zante na Morzu Śródziemnym, lecz jej kształt był bardziej nieregularny. Jej forma była tak dziwaczna, że gdy Gedeon Spilett na polecenie inżyniera narysował jej kontury, wszyscy uznali, że podobna była do jakiegoś fantastycznego zwierzęcia, rodzaju olbrzymiego płetwonoga, uśpionego na powierzchni Oceanu.

Wschodnia część wybrzeża; ta, na której nasi rozbitkowie wylądowali, zaokrąglą się w duże półkole i tworzyła obszerną zatokę, zakończoną w południowo-wschodniej stronie ostrym przylądkiem. W północno-wschodniej stronie dwa inne przylądki zamykały zatokę, a pomiędzy nimi wciśnięta była wąska cieśnina, podobna do półotwartej paszczy olbrzymiego rekina.

Od strony północno-wschodniej ku północno-zachodniej wybrzeże zaokrąglą się w kształcie czaszki zwierzęcej i tworzyło rodzaj garbu, który czynił niewyraźnym rysunek tej części wyspy, w środku której wznosiła się góra wulkaniczna.

Od tego punktu począwszy wybrzeże ciągnęło się w dość regularnych liniach na północ i południe, z wąską przystanią wydrążoną w dwóch trzecich częściach jego obwodu, a dalej kończyło się długim „ogonem” podobnym do ogona olbrzymiego aligatora.

Ogon ten tworzył półwysep, który począwszy od wyżej wymienionego południowo-wschodniego przylądka wyspy, przedłużał się więcej niż na trzydzieści mil w morze i zaokrąglając się, opasywał szeroko rozwartą, nie osłoniętą przystań, której wewnętrzne linie stanowiły brzegi tej tak dziwnie ukształtowanej ziemi.

W miejscu najwyższym, czyli między Kominami a przystanią na przeciwległym wybrzeżu północnym, szerokość całej wyspy wynosiła tylko dziesięć mil; za to największa długość, od owej „paszczy rekina” w północno-wschodniej części aż do końca języka po południowo-zachodniej stronie, dochodziła do trzydziestu mil.

Wnętrze wyspy przedstawiało ogólnie następujący widok: cała jej południowa część, od góry aż do wybrzeża, była bardzo lesista, natomiast jej północna część sucha i piaszczysta. Pomiędzy wulkanem a wschodnią stroną wybrzeża, Cyrus i jego towarzysze odkryli, ku swemu największemu zdumieniu, jezioro otoczone dookoła zielonymi drzewami. Patrząc z tej wysokości zdawało się, że jezioro to leżało na poziomie morza; lecz po głębszym namyśle inżynier wytłumaczył swoim towarzyszom, że to małe zwierciadło wody musiało znajdować się na wysokości około trzydziestu stóp nad poziomem morza, gdyż jego kotlina była tylko dalszym ciągiem płaszczyzny wybrzeża.

— Zatem woda w tym jeziorze powinna być słodka? — zapytał Penkroff.

— Oczywiście, gdyż zasilają je wody spływające z tej góry — odparł inżynier.

— Widzę wpadającą do niego małą rzeczkę — rzekł Harbert, wskazując na wąski strumień, wypływający ze wzgórz ciągnących się na zachodzie.

— Istotnie — rzekł Cyrus — a ponieważ strumień ten zasila jezioro, musi zatem istnieć od strony morza odpływ, którydy uchodzi zbyteczna woda. Przekonamy się o tym, gdy będziemy wracali.

Jezioro i dawniej już znana rzeka stanowiły zasoby wodne wyspy, przynajmniej według aktualnej wiedzy naszych badaczy. Istniała możliwość, że wśród niedostępnego lasu, zajmującego dwie trzecie wyspy, jeszcze inne strumienie wpływały do morza. A nawet sądząc po żyzności okolicy i wspaniałych okazach roślinności właściwej strefom umiarkowanym, było to

bardzo prawdopodobne. Natomiast po stronie północnej wyspy nie było śladu płynącej wody; bagnista jej część po stronie północno-wschodniej zdradzała obecność wody stojącej, lecz na tym koniec; zresztą świadczyły o tym wydmy, piasek i sucha jałowość, żywo odbijające od bujnej żyzności charakteryzującej większą część wyspy.

Cyrus Smith i jego towarzysze stali blisko godzinę na szczycie góry, skąd mogli dokładnie zobaczyć całą wyspę.

Pozostawało jeszcze znalezienie odpowiedzi na ważne pytanie, które w istotny sposób miało wpłynąć na przyszły los rozbitków. Czy wyspa ta była zamieszkała, czy też nie?

Pytanie to postawił reporter i zdawało się, że można już było odpowiedzieć na nie przecząco, po tak szczegółowym zbadaniu różnych okolic wyspy.

Nie było nigdzie widać śladu obecności ludzi. Nic natrafiono na osadę, samotny szałas, ani na ślad rybaków na wybrzeżu. Dym nie wznosił się w niebo. Prawda, że przestrzeń prawie trzystumilowa oddzielała naszych rozbitków od ostatecznych krańców wyspy, czyli od owego „ogona” ciągnącego się w kierunku południowo-zachodnim i nawet Penkroffowi trudno przysłoby dostrzec z tej odległości osady ludzkie. Niepodobna było także przeniknąć tę zasłonę z bujnej zieloności, która pokrywała dwie trzecie wyspy i przekonać się, czy nie użyczyła schronienia ludziom. Przeważnie jednak mieszkańcy wysp rozsianych po Oceanie osiedlają się raczej na wybrzeżach morza, a wybrzeże zdawało się zupełnie odludne.

Uznano więc, że wyspa była bezludna. Czy była przynajmniej odwiedzana czasami przez mieszkańców wysp sąsiednich? Na to pytanie trudno było odpowiedzieć. W pięćdziesięciomilowym promieniu łatwo mogły przepłynąć i czółenka Malajczyków, i duże łodzie wydrążone z jednej kłody, jakimi posługują się Polinezyjczycy. Wszystko zależało więc od położenia wyspy i od tego, czy była samotna wśród Oceanu, czy też mniej lub bardziej zbliżona do któregoś z archipelagów. W tej niepewności wydawało się właściwe przedsięwziąć środki ostrożności na wypadek możliwego najazdu dzikich krajowców.

Poznali już położenie wyspy, posiadali jej plan narysowany przez reportera, postanowili jeszcze zbadać, jakimi minerałami, roślinnością i zwierzętami obdarzyła ją natura.

Lecz zanim Cyrus Smith dał swoim towarzyszom znak do powrotu, odezwał się do nich swym łagodnym i poważnym głosem:

— Oto jest, moi przyjaciele, mały skrawek ziemi, na który wyrzuciła nas ręka Wszechmocnego. Tu mamy żyć i to może wiele lat. A może też przybędzie nam jakaś niespodziewana pomoc, jakiś statek przypadkiem... Powiadam „przypadkiem”, gdyż wyspa ta jest zbyt mało znacząca. Nie posiada nawet portu, który mógłby służyć statkom za przystań i obawiam się, by nie była położona zbyt daleko od zwykle uczęszczanych szlaków, albo zanadto daleko na południe od drogi, którą płyną okręty odwiedzające archipelagi Oceanu Spokojnego, albo też zbyt na północ od szlaku, którym udają się statki w drodze do Australii po przebyciu przylądka Horn. Nie chcę ukrywać naszego położenia...

— Masz słuszość. Cyrusie — odparł żywo reporter. — Masz do czynienia z ludźmi, którzy ci ufają, ty zaś możesz liczyć na nich.

— Będę panu we wszystkim posłuszny, panie Cyrusie — odezwał się Harbert, chwytając dłoń inżyniera.

— Ty jesteś moim panem, zawsze i wszędzie — zawołał Nab.

— Co do mnie — rzekł marynarz — niech się nie nazywani Penkroff, jeśli nie będę zawsze pracował z ochotą, i jeśli pan sobie tego życzy, panie Smith, zrobimy z tej wyspy małą Amerykę! Pobudujemy w niej miasta, przeprowadzimy koleje żelazne, urządzimy telegrafy i pewnego pięknego poranka, gdy już wyglądać będzie jak należy, zagospodarowana, ucywilizowana, złożymy ją w darze rządowi Stanów Zjednoczonych! Czynię tylko jedno zastrzeżenie.

— Jakie? — zapytał reporter.

— Żebyśmy nie uważali się więcej za rozbitków, lecz za kolonistów, którzy przybyli osiedlić się na tej wyspie!

Cyrus Smith nie mógł powstrzymać lekkiego uśmiechu i wniosek marynarza został przyjęty. Następnie inżynier podziękował swoim towarzyszom za zaufanie i dodał, że liczy na ich energię i na pomoc nieba.

— A teraz wracajmy do Kominów! — zawołał Penkroff.

— Jeszcze troszeczkę cierpliwości, moi przyjaciele — rzekł inżynier. — Myślę, że powinniśmy nadać jakąś nazwę tej wyspie, podobnie jak jej przylądkom, zatokom i strumieniom, które leżą przed nami.

— Bardzo dobrze — rzeki reporter. — Tym sposobem łatwiej będzie nam się porozumiewać wykonując różne czynności.

— W samej rzeczy — rzeki marynarz — to także coś znaczy, jeśli można powiedzieć, dokąd się idzie lub skąd przychodzi. Wtedy wiadomo przynajmniej, że się gdzieś jest.

— W Kominach na przykład — rzekł Harbert.

— Prawda! — odparł Penkroff. — Ta nazwa jest wygodna i mnie samemu przyszła do głowy. Czy zachowamy dla naszej pierwszej siedziby miano Kominów, panie Cyrusie?

— Dobrze Penkroffie, ponieważ tyją tak ochrzciłeś.

— Brawo! Jeśli chodzi o inne miejsca, to nic łatwiejszego — ciągnął dalej z werwą marynarz. — Nazwijmy je tak, jak to czynił Robinson, o którym Harbert czytał mi tyle historii. Lepiej będzie nadać im nazwiska pana Smitha, pana Spiletta, Naba!...

— Jak to, moje nazwisko? — zawołał Nab, wyszczerzając swe białe, lśniące zęby.

— Czemu nie? — odparł Penkroff. — Przystań Naba, to brzmi bardzo pięknie! Albo Przylądek Gedeona...

— Ja wolałbym nazwy miejscowości istniejących w naszej ojczyźnie — rzekł reporter — które by przypominały nam Amerykę.

— Zgadzam się — odezwał się Cyrus Smith — lecz tylko w odniesieniu do miejsc i punktów znaczniejszych, czyli zatok lub jezior. Nazwijmy np. tę dużą zatokę na wschodzie — Zatoką Stanów Zjednoczonych, a to szerokie wcięcie na południu Zatoką Waszyngtona; górę, na której obecnie stoimy — Górą Franklina, jezioro, które się przed nami rozpościera — Jeziorem Granta. Nazwy te przypominają nam będą naszą ojczyznę i naszych wielkich współobywateli, którzy ją wsławili; ale dla rzek, przystani i przylądków, które stąd widzimy, obierzmy raczej nazwy, które przypominałyby nam ich szczególny kształt. Nazwy takie dłużej zachowamy w pamięci i będą praktyczniejsze. Natomiast potoki, których jeszcze nie znamy, rozmaite części lasu, które zwiedzimy później, przystanie, które poodkrywamy w przyszłości, będziemy nazywać w miarę, jak je poznamy. Czy zgadzacie się na to?

Na początku nazwano obie zatoki i górę według propozycji inżyniera — Zatoką Stanów Zjednoczonych, Zatoką Waszyngtona i Górą Franklina.

— A teraz — odezwał się reporter — proponuję nazwać półwysep wzdłuż południowo-zachodniej strony wyspy — Półwyspem Węża, a ogon zakręcony na jego końcu — Jaszczurczym Cyplem, bo naprawdę wygląda jak ogon jaszczurki.

— Zgoda — rzekł inżynier.

— Teraz drugi koniec wyspy — rzekł Harbert. — Tę zatokę tak dziwnie podobną do otwartej paszczy, nazwijmy Zatoką Rekinów.

— Znakomicie! — zawołał Penkroff. — Żeby uzupełnić obraz, nazwijmy obie części tej paszczy Przylądkiem Dwóch Szczęk.

— Ależ tam są dwa przylądki — zauważył reporter.

— Więc dobrze! — odparł Penkroff. — Będziemy mieli Przylądek Górnej Szczęki i Przylądek Dolnej Szczęki.

— Już zapisane — rzeki Gedeon Spilett.

— Pozostaje jeszcze nazwać cypel na południowo-wschodnim krańcu wyspy — rzekł Penkroff.

— Czyli kraniec Zatoki Stanów Zjednoczonych? — zapytał Harbert.

— Przylądek Ostrego Szpona — zawołał w tej chwili Nab, który chciał także zostać ojcem chrzestnym jakiegoś fragmentu swej nowej ojczyzny.

I w istocie, udało się Nabowi znaleźć doskonałą nazwę, przylądek ten bowiem był bardzo podobny do olbrzymich szponów fantastycznego ptaka.

Rzekę, która dostarczała osadnikom wody do picia i niedaleko której spadł balon nazwano Rzeką Miłosierdzia — jako akt wdzięczności dla Opatrzności. Wysepkę, na którą zostali najpierw wyrzuceni, nazwali Wysepką Wybawienia.

Płasczyznę rozpościerającą się na szczycie granitowej ściany, ponad Kominami, skąd był widok na dużą zatokę, ochrzczili mianem Wielkiego Płaskowyzu.

Wreszcie ów nieprzebyty las pokrywający Półwysep Węża otrzymał nazwę Lasu Dalekiego Zachodu.

Wszystko było już ukończone i koloniści mieli właśnie schodzić na dół z Góry Franklina i wracać do Kominów, gdy nagle Penkroff zawołał:

— Ależ jesteście roztrzepani!

— A to dlaczego? — zapytał Gedeon Spilett, który właśnie schował swoje notatki, gotów do drogi.

— A nasza wyspa? Jak to! Zapomnieliśmy ją ochrzcić!

Harbert już chciał zaproponować, ażeby nazwać ją nazwiskiem inżyniera, na co reszta wyspiarzy zgodziłaby się chętnie, gdyby Cyrus Smith nie odezwał się:

— Nazwijmy ją imieniem naszego wielkiego obywatela, który walczy właśnie w obronie jedności Stanów Zjednoczonych! Nazwijmy ją Wyspą Lincolna!

Trzy głośne „hurra!” odpowiedziały na tę propozycję.

Tego wieczoru, nim ułożyli się do snu, koloniści długo rozmyślali o swej dalekiej ojczyźnie. Rozmawiali o wyniszczającej i straszliwej wojnie; wierzyli mocno, że stany południowe wkrótce zostaną pokonane, a sprawa północy, sprawa święta i sprawiedliwa, odniesie triumf dzięki Graniowi i Lincolnowi.

Działo się to 30 marca 1865 roku i rozbitkowie nie domyślali się wcale, że w sześć dni później zostanie popełniona w Waszyngtonie potworna zbrodnia i że w sam Wielki Piątek Abraham Lincoln zginie od kuli szalonego fanatyka...

ROZDZIAŁ XII

Regulowanie zegarków. — Penkroff zadowolony. — Podejrzany dym. Czerwony Potok. — Świat roślinny na Wyspie Lincoln. — Świat zwierzęcy. — Górskie bażanty. — Pogoń za kangurami. — Aguti. — Jezioro Granta. — Powrót do Kominów.

Osadnicy Wyspy Lincoln rzucili jeszcze ostatnie spojrzenie dookoła, po czym obeszlą krater i w pół godziny znaleźli się z powrotem na szczycie niższego stożka, gdzie spędzili noc.

Penkroff przypuszczał, że była już pora na śniadanie i z tego powodu poruszył kwestię uregulowania zegarków należących do Cyrusa Smitha i reportera.

Zegarek Gedeona Spiletta, jak wiadomo, pozostał nietknięty morską wodą, gdyż reporter upadł na suchy piasek. Był to instrument wysmienitej konstrukcji, prawdziwy chronometr kieszonkowy, starannie przez Gedeona Spiletta każdego dnia nakręcany.

Zegarek inżyniera stanął w tym czasie, kiedy jego właściciel leżał wśród piaszczystych wydm.

Cyrus nakręcił go więc i sądząc po wysokości słońca, przesunął wskazówkę na godzinę dziewiątą. Gedeon Spilett chciał uczynić to samo, lecz inżynier przytrzymał jego rękę:

— Zaczekaj, Gedeonie. Zegarek twój idzie dotąd według czasu richmondzkiego — prawda?

— Tak jest, Cyrusie.

— A zatem naregulowany jest według południka, na którym leży to miasto; na tym samym południku mniej więcej znajduje się także Waszyngton?

— Bez wątplenia.

— Zostaw więc twój zegarek na tej godzinie, którą teraz wskazuje. Nakręcaj go regularnie: to nam się może przydać.

— Po co u licha? — pomyślał marynarz.

Śniadanie spożyto z takim apetytem, że nic nie pozostało ze zwierzyny i orzechów. Lecz Penkroffnie troszczył się o to wcale. Spodziewał się uzupełnić po drodze zapasy żywności i nie wątpił, że Top, który także otrzymał swoją porcję, wytropi w gąszczu leśnym nową zdobycz. Zresztą zamierzał prosić inżyniera, ażeby wyprodukował proch i kilka strzelb, nie przypuszczając, aby to mogło być dla niego zbyt trudne.

Po śniadaniu Cyrus Smith zaproponował, aby wracać do Kominów inną drogą. Zamierzał poznać dokładniej Jezioro Grania, ujęte w tak przepiękne ramy z zielonych drzew. Ruszyli więc grzbietem jednego z bocznych pasm, między którymi musiało prawdopodobnie wytryskać źródło, wpadające do jeziora.

Postanowili nie iść gromadą, lecz także nie rozbiegać się zbyt daleko. Mogło się zdarzyć, że w gąszczach, którymi wyspa była zarośnięta, żyły niebezpieczne zwierzęta: roztropnie więc było mieć się na baczności. Najczęściej Penkroff. Harbert i Nab stanowili straż przednią, przed nimi biegł Top, myszkując po wszystkich krzakach. Reporter z inżynierem szli razem, Gedeon Spilett trzymał notatnik w pogotowiu; inżynier milczący, zbaczał tylko czasem z drogi, żeby podnieść i schować do kieszeni interesujący go okaz mineralny lub roślinny, nie czynił jednak przy tym żadnych uwag.

— Co on u licha tak zbiera? — mrucał pod nosem marynarz. — Ja przecież także patrzę, lecz nie widzę nic takiego, po co warto by się było schylać.

Około dziesiątej nasza drużyna schodziła z ostatnich pagórków, stanowiących podnóże Góry Franklina. Ziemia porośnięta była tylko krzakami i z rzadka porozrzucanymi drzewami.

Cyrus Smith był już pewny, że szczęśliwie dotrą do strumyka, który jego zdaniem musiał płynąć między drzewami, na końcu równiny. Wtem ujrzał biegnącego w swoją stronę Harberta, podczas gdy Nab i marynarz skryli się za skały.

— Cóż tam nowego, mój chłopcze? — zapytał Gedeon Spilett.

— Dym!... — odparł Harbert. — Zobaczyliśmy dym wznoszący się między skalami, sto kroków od nas.

— Czy to mogą być ludzie? — zawołał reporter.

— Nie pokazujemy się, dopóki nie dowiemy się, z kim mamy do czynienia — rzekł Cyrus Smith. — Bardziej obawiam się niż pragnę spotkać mieszkańców tej wyspy, jeżeli tylko są tu rzeczywiście.

— Gdzie jest Top?

— Pobiegł naprzód.

— Nie szczeka?

— Nie.

— To dziwne. Spróbujmy go przywołać.

Kilka minut później inżynier, Gedeon Spilett i Harbert połączyli się z towarzyszami i podobnie jak oni ukryli się za odłamami bazaltu.

Z tego miejsca widzieli wyraźnie żółtawy dym wzbijający się kłębami w niebo. Top wrócił na lekkie gwizdnięcie swojego pana, a inżynier dał towarzyszom znak, by czekali na niego i podkraść się między skały.

Koloniści z pewnym niepokojem oczekiwali wyniku tych zwiadów. Wtem usłyszeli wołanie Cyrusa i szybko pobiegli w jego stronę. W miejscu, gdzie stał Cyrus, poczuli przede wszystkim bardzo ostry i nieprzyjemny zapach unoszący się w powietrzu.

Zapach ten był tak łatwy do rozpoznania, że inżynier od razu zrozumiał, że nure mają się czego obawiać.

— Ogień ten — rzekł — albo raczej dym jest wytworem samej przyrody. Pochodzi ze źródła siarkowego, które nam dostarczy skutecznego lekarstwa przeciwko katarowi i chorobom gardła.

— Wspaniale! — zawołał Penkroff. — Żałuję, że nie mam kataru! Osadnicy udali się na miejsce, skąd wznosił się dym. Tu ujrzeni źródło siarkowe, tryskające dość obficie wśród skał. którego wody, pochłaniając tlen z atmosfery, wy dawały silną woń siarkowodoru*.

Cyrus Smith zanurzwszy rękę poczuł, że woda była dość lepka, a spróbawwszy jej przekonał się, że miała słodkawy smak. Temperaturę ocenił mniej więcej na dziewięćdziesiąt pięć stopni Fahrenheita*, a zapytany przez Harberta, na czym opiera to obliczenie, odparł:

— To bardzo proste, moje dziecko: gdy zanurzyłem dłoń w tej wodzie, nie poczułem ani zimna ani ciepła. To dowodzi, że posiada ona tę samą temperaturę, co ciało ludzkie, czyli mniej więcej dziewięćdziesiąt pięć stopni.

Ponieważ źródło siarkowe było dla nich w tej chwili zupełnie bezużyteczne, opuścili je i skierowali się w stronę leśnej gęstwiny, ciągnącej się kilkaset kroków dalej.

Tu, jak słusznie domyślał się inżynier, strumień toczył swe bystre, kryształowe wody. ujęte w wysokie brzegi z czerwonej ziemi, której kolor zdradzał wyraźnie, iż zawierała w sobie tlenek żelaza. Z tego powodu nazwali ten strumień Czerwonym Potokiem.

Był to strumień szeroki, głęboki i przezroczysty, powstały z wód górskich, który miejscami tocząc się leniwie po piasku, a miejscami hucząc po skałach i spadając w kaskadach, płynął do jeziora wstęgą długą na jedną milę, a szeroką od trzydziestu do czterdziestu stóp. Woda jego była

* Siarkowódor - nieorganiczny związek (H_2S), bezbarwny, silnie trujący, palny gaz, powstaje m.in. podczas rozpadu substancji białkowych.

* Około 35° Celsjusza.

słodka, co uzasadniało przypuszczenie, że taka sama musiała być woda w jeziorze. Byłoby to nader ważne odkrycie, gdyby po tej stronie znaleziono mieszkanie wygodniejsze niż Kominy.

Drzewa, które o kilkaset stóp niżej z obu stron ocieniały brzegi strumienia, należały do gatunku bardzo rozpowszechnionego w umiarkowanej strefie Australii i Tasmanii. O tej porze roku, z początkiem kwietnia, który na tej półkuli odpowiada naszemu październikowi, a zatem na początku jesieni, nie opadły jeszcze z nich liście. Były tam kazuaryny* i eukaliptusy*; niektóre z tych drzew powinny na przyszłą wiosnę dostarczyć kolonistom manny cukrowej, pełnie podobnej do manny wschodniej. Na polankach wznosiły się grupy cedrów australijskich, a polanki te porośnięte były wysoką trawą, której gatunek znany jest w Nowej Holandii. Rzecz dziwna, że drzew kokosowych, w które tak obfitują wyspy Oceanu Spokojnego, nie było tu wcale. Może klimat był dla nich za chłodny.

— Jaka szkoda! — rzekł Harbert. — Takie użyteczne drzewa, a jakie wspaniałe rodzą orzechy!

Między cienkimi gałęziami eukaliptusów i kazuaryn gnieździły się różne gatunki ptaków. Kakadu czarne, białe i popielate, papugi różnych odmian i upierzenia, zielone, czerwone i modre, ukazywały się wędrowcom i wśród głośnego pisku i szczebiotania skakały z gałęzi na gałąź.

Nagle wśród gałęzi zabrzmiał dziwny koncert. Osadnicy usłyszeli kolejno śpiewanie ptaków, głosy czworonożnych zwierząt i rodzaj bełkotania, które łatwo można było uznać za mowę dzikich ludzi. Nab i Harbert, zapominając o podstawowych zasadach ostrożności, pobiegli w tamtą stronę. Na szczęście jednak nie było tam ani drapieżnych zwierząt, ani dzikich ludzi, lecz tylko z pół tuzina owych ptaków, które jednocześnie śpiewają i naśladują różne dźwięki; poznali od razu, że były to górskie bażanty. Kilka celnych uderzeń kostura zakończyło tę scenę naśladownictwa i dostarczyło kolonistom paru sztuk znakomitego pieczystego na obiad.

Harbert spostrzegł także piękne gołębie z brązowymi skrzydłami, jedne ze wspaniałymi czubami, inne z zielonym pierzem. Nie sposób było podejść do nich z bliska, tak samo jak do kruków i srok, które zrywały się całymi gromadami. Jeden nabój śrutu pozbawiłby życia wiele z tych ptaków; nasi myśliwi posiadali jednak tylko kamienie i kije.

Braki w uzbrojeniu okazały się jeszcze bardziej dotkliwe, gdy nagle stado zwierząt, podskakując na kilkanaście stóp w górę, przemknęło przez gęstwinę tak prędko i na takiej wysokości, że wyglądały jak wiewiórki przeskakujące z drzewa na drzewo.

— To kangury! — zawołał Harbert.

— Czy nadają się do jedzenia? — zapytał Penkroiff.

— Przyprawione we właściwy sposób są lepsze niż najsmakowitsza dziczyzna — odparł reporter.

Jeszcze Gedeon Spilett nie dokończył tych pełnych zachęty słów, gdy marynarz, Nab i Harbert puścili się w pogoń za kangurami. Cyrus Smith na próżno wołał za nimi. Oni zaś bezskutecznie gonili tę elastyczną i lotną jak piłka zwierzyne; po pięciu minutach zadyszeli się, a kangury zniknęły w gęstwinie. Top był równie nieszczęśliwy, jak jego panowie.

— Panie Cyrusie — rzeki Penkroiff, gdy inżynier i reporter dołączyli do nich — panie Cyrusie, sam pan widzi, że potrzebne są strzelby. Czy udałoby się je zrobić?

— Może — odparł inżynier. — Lecz tymczasem zaczniemy od produkcji łuków i strzał, a nie wątpię, że wkrótce będzie się pan obchodzić z tą bronią równie zręcznie, jak łowcy australijscy

Top, mając na uwadze własny interes, wszędzie biegał i myszkował. Prawdopodobnie, gdyby jakaś zwierzyna wpadła mu w łapy, niewiele przyszkodziłoby z niej myśliwym. Top polował tym razem na własny rachunek, lecz Nab czuwał nad nim i dobrze zrobił.

* Kazuaryna - drzewo typowe dla strefy tropikalnej.

* Eukaliptus - drzewo lub krzew z rodziny mirtowatych, bardzo szybko rosnące.

Około trzeciej pies zniknął w zaroślach i wkrótce przygłuszony pisk dał znać myśliwym, że Top walczył z jakimś zwierzęciem.

Nab pobiegł w tę stronę i zobaczył Topa, który żarłocznie zjadał jakiegoś czworonoga; dziesięć sekund później trudno byłoby już ustalić do jakiego gatunku należało to zwierzę. Na szczęście pies trafił na całe gniazdo i zabił od razu trzy gryzonie — gdyż do tego rzędu należały zwierzęta — dwie sztuki leżały uduszone na ziemi.

Wkrótce pojawił się Nab, trzymając w każdej ręce zwierzątko trochę większe od zająca. Miały żółtą sierść upstrzoną zielonkawymi plamami i krótki ogon. Mieszkańcy Stanów Zjednoczonych nie mieli kłopotu z ustaleniem nazwy tych zwierząt. Były to marasy, rodzaj królików amerykańskich, niewiele większe od gatunku rozpowszechnionego w krajach tropikalnych, z długimi uszami; ich pyszczki uzbrojone były z każdego boku pięcioma trzonowymi zębami, czym głównie odróżniały się od aguti*.

— Wiwat! — zawołał Penkroff. — Otóż mamy piecyste! Teraz możemy wracać do domu!

Poszli dalej. Czerwony Potok toczył bezustannie swe wody pod sklepieniem z kazuaryn, sosen Bańka i olbrzymich drzew gumowych. Wspaniałe rośliny liliowe wznosiły się na dwadzieścia stóp w górę. Inne gatunki drzew i krzewów, nieznanym naszemu młodemu przyrodnikowi, pochylały się nad szemrzącym strumieniem. Tymczasem jego koryto rozszerzało się coraz bardziej i Cyrus spodziewał się dojść wkrótce do ujścia. W istocie, przedarłszy się przez gęstą grupę wspaniałych drzew, zobaczyli nagle brzeg jeziora.

Był to północny brzeg Jeziora Granta. Oczom naszych wędrowców przedstawił się ujmujący widok. Ta wodna płaszczyna, licząca około siedmiu mil obwodu, a dwieście pięćdziesiąt akrów powierzchni, ujęta była w ramy złożone z drzew różnorodnego gatunku. Na wschodzie przez zasłonę zieleni, malowniczo tu i ówdzie ubarwionej, połyskiwała powierzchnia morza. Na północy brzegi jeziora tworzyły lekko zaokrąglony łuk, silnie kontrastujący z ostrymi liniami wewnętrznych krawędzi. O kilkaset stóp od południowego brzegu, ponad wodami jeziora, sterczała duża skała. Żyło na niej, w sąsiedzkiej zgodzie kilka rodzin zimorodków. Siedziały poważnie i nieruchomo na kamykach, czatując na podpływające ryby, nagle zrywały się z ostrym krzykiem, zanurzały w wodę i po chwili wypływały na wierzch, unosząc w dziobach swą zdobycz.

Na brzegach przechadzały się dumnie dzikie kaczory, pelikany, kruki wodne, czerwonodzioby, filidony z języczkami jak pędzle i kilka wspaniałych menurów z ogonami w kształcie liry.

Woda jeziora była słodka, przezroczysta i sądząc po koncentrycznych kręgach, rysujących się na jego powierzchni, jezioro musiało być pełne ryb.

— Śliczne jest to jezioro! — odezwał się Gedeon Spilett. — Chciałbym mieszkać nad jego brzegami!

— Będziemy tu mieszkać! — odparł Cyrus Smith.

Osadnicy, chcąc wrócić do Kominów jak najkrótszą drogą, skierowali się ku południowi i zaczęli przedzierać się przez nietknięte stopą człowieka zarośla. W końcu dotarli do Wielkiego Płaskowyzu.

By dostać się do Kominów trzeba było przejść na ukos całą równinę o odległości mili aż do zakola, jaki tworzyła Rzeka Miłosierdzia na swym pierwszym zakręcie. Inżynier chciał się jednak przekonać, w jaki sposób odpływa woda z jeziora, poszli więc dalej między drzewa, półtorej mili na pomoc. Uszli milę, lecz nie znaleźli odpływu, który jednak musiał istnieć, skoro dotąd woda nie przepelniła brzegów jeziora.

* Aguti — gatunek myszy amerykańskich.

Było wpół do piątej. Przygotowania do obiadu wymagały powrotu do Kominów. Osadnicy zawrócili i idąc lewym brzegiem Rzeki Miłosierdzia, niebawem znaleźli się w Kominach.

Rozpalono ogień, a Nabowi i Penkroffowi powierzono obowiązki kuchmistrzów. Niebawem sporządzili pieczeń z aguti i całe towarzystwo jadło z wielkim apetytem.

Po posiłku, gdy już wszyscy mieli udać się na spoczynek, Cyrus Smith wyjął z kieszeni kilka drobnych minerałów rozmaitego gatunku i odezwał się:

— Moi przyjaciele, tu mamy żelazo, tu piryt*, tu glinę, tu wapno, a tu węgiel. Oto. co daje nam przyroda i to jest jej udział we wspólnej pracy. Jutro przyjdzie kolej na nas!

* Piryt krystaliczny minerał, o silnym metalicznym połysku, surowiec do produkcji kwasu siarkowego.

ROZDZIAŁ XIII

Co Top miał na szyi. — Produkcja łuków i strzał. — Cegielnia. — Piec garncarski. — Rozmaite naczynia kuchenne.. — Pierwszy rosół i pierwsza sztuka mięsa. — Bylica. — Krzyż Południa. — Ważna obserwacja astronomiczna.

— Od czego zaczniemy, panie Cyrusie? — zagadną! nazajutrz rano Penkroff.

— Zaczniemy od początku — odparł Smith.

I rzeczywiście, koloniści zmuszeni byli zaczynać od samego początku.

Początkiem tym, o którym mówił inżynier, miało być zbudowanie urządzenia służącego do przetwarzania substancji naturalnych. Wiemy, jak ważną rolę w tym przetwarzaniu odgrywa ciepło. Materiały opałowe: drzewo lub węgiel mieli gotowe. Potrzebowali więc tylko zbudować piec, aby je zużytkować.

— Do czego ma służyć ten piec? — zapytał Penkroff.

— Do wyrabiania potrzebnych nam naczyń — odparł Cyrus Smith.

— A z czego zbudujemy piec?

— Z cegieł.

— A cegły?

— Z gliny. Dalej, w drogę, przyjaciele. Aby uniknąć niepotrzebnego transportu założymy nasz warsztat w miejscu produkcji. Nab przynosić nam będzie żywność, a do gotowania nie zabraknie nam ognia.

— Zapewne — odparł reporter — lecz jeśli zabraknie żywności z powodu braku broni myśliwskiej?

— Żebyśmy mieli choć jeden nóż! — zawołał marynarz. — Wtedy wystrugałbym czym prędzej łuk i strzały i z pewnością nie zabrakłoby nam zwierzyny.

— Tak, tak — nóż lub coś ostrego... — rzekł inżynier sam do siebie. W tej chwili wzrok jego padł na Topa, biegnącego po wybrzeżu. Wzrok Cyrusa Smitha rozjaśnił się nagle.

— Do nogi, Top! — zawołał.

Pies przybiegł natychmiast na głos swojego pana. Ten wziął jego łeb w obie ręce, zdjął mu obrozę z karku, rozłamał ją na dwa kawałki i rzekł:

— Oto są dwa noże, Penkroffie!

Marynarz odpowiedział podwójnym okrzykiem radości. Obroza Topa była zrobiona z cienkiego kawałka hartowanej stali. Trzeba więc było tylko każdy kawałek zaostrzyć z jednej strony na piaskowcu. Tego rodzaju skał było na wybrzeżu pod dostatkiem i w dwie godziny później warsztat osady składał się z dwóch ostrych kling, które łatwo było można zaopatrzyć w mocne trzonki.

Osadnicy powitali to pierwsze narzędzie z wielkim triumfem. Był to nabytek bardzo cenny i naprawdę potrzebny.

Koloniści przybyli wreszcie na miejsce znane już z dnia poprzedniego. Grunt składał się z gliny używanej pospolicie na cegły i dachówki, a zatem wielce przydatnej ich celowi. Sama praca nie była trudna. Trzeba było tylko wymieszać glinę z piaskiem, wyrobić z niej cegielki i wypalać je w ogniu.

Zazwyczaj cegielki bywają robione w specjalnych foremkach; inżynier jednak postanowił ograniczyć się do pracy ręcznej. Tej pracy poświęcono dwa dni. Glina, zmoczona wodą i wymieszana nogami i rękami robotników, dzielona była następnie na kostki jednakowej wielkości. Jeden wprawny robotnik jest w stanie wykonać około dziesięciu tysięcy cegiełek w

ciągu dwunastu godzin. Lecz nasi ceglarze z wyspy Lincoln nie zdołali podczas tych dwóch dni ulepić więcej jak trzy tysiące sztuk. Poskładali cegły rzędami, jedną przy drugiej, by wysuszyły się zupełnie, po czym należało je wypalać w ogniu; nie prędzej jednak jak za trzy lub cztery dni.

2 kwietnia Cyrus przystąpił do oznaczenia geograficznego położenia wyspy.

Dzień wcześniej określił dokładnie godzinę, w której słońce zachodziło na widnokręgu, biorąc przy tym pod uwagę załamanie światła. Tego dnia z rana ustalił również dokładnie godzinę, w której znów się pojawiło. Pomiedzy zachodem a wschodem słońca upłynęło dokładnie dwanaście godzin i dwadzieścia cztery minuty. A zatem w sześć godzin i dwanaście minut po wschodzie słońce osiągało południe, a punkt nieba, w którym w tej chwili się znajdowało, musiał oznaczać północ*.

Cyrus zaznaczył ten punkt za pomocą dwóch skrzyżowanych tyk i w ten sposób osiągnął stałą linię południkową, która miała mu służyć za podstawę dalszych obliczeń.

Dwa dni, które poprzedzały wypalanie cegieł, koloniści poświęcili na zaopatrzenie się w opał. Dookoła polany ścinali gałęzie z drzew i zbierali suche, spadłe na ziemię. Pracę tę łączyli z polowaniem w okolicznych lasach; tym bardziej, że posiadali już strzały zaopatrzone w ostre groty. Dostarczył je Top, który pewnego razu przyniósł jeża morskiego. Jeż nie nadawał się na pieczone, lecz posiadał nieocenioną wartość z powodu kolców, którymi był pokryty. Kolce zostały mocno przytwierdzone do jednego końca strzały, na drugim zaś, aby nic zmieniały kierunku w locie, przymocowano po kilka piór kakadu. Reporter i Harbert stali się w krótkim czasie bardzo celnymi łucznikami. Nie brakowało więc nigdy w Kominach zwierzyny, tak skrzydlatej jak i kudłatej: kapibar, gołębi, aguti, głuszców i innych.

Zwierzynę tę jedli, póki była świeża, przechowywali tylko szynki z kapibar, uwędzone na wolnym ogniu, rozpalonym z zielonego drzewa i przyprawione wonnymi ziołami. Strawa ta, jakkolwiek bardzo posilająca, była jednak zawsze tylko pieczona lub wędzona, a nasi osadnicy tęsknili z całej duszy za słodkim odgłosem szumiącego garnka z rosółem i sztuką mięs. Lecz na to trzeba było czekać, aż garnki zostaną wykonane, a tym samym, aż zostanie postawiony piec.

W tych wyprawach, ograniczonych do najbliższej okolicy cegielni, spotykali nieraz świeże ślady wielkich zwierząt uzbrojonych w potężne pazury, których gatunku nie mogli rozpoznać. Cyrus Smith zalecał im więc jak największą ostrożność; las ten bowiem według wszelkiego prawdopodobieństwa ukrywał groźne drapieżniki.

W parę dni później Gedeon Spilett i Harbert ujrzeli zwierzę bardzo podobne do jaguara. Szczęściem nie napadło na nich, w przeciwnym bowiem razie prawdopodobnie nie wyszliby bez ciężkiego okaleczenia. Lecz za to Gedeon Spilett poprzysiągł, że gdy będą mieli lepszą broń, czyli przynajmniej jedną taką strzelbę, jakiej domagał się Penkroff, wydadzą zaciętą wojnę wszystkim dzikim drapieżnikom i oczyszczą z nich całą wyspę.

Przez tych kilka dni nie udało się wyszukać, znaleźć lub zbudować stosowniejszego mieszkania. Poprzestano więc tylko na wyścieleniu korytarzy świeżą podściółką z mchu i suchych liści i na tym nieco skromnym posłaniu nasi robotnicy zasypiali twardo i smacznie, zmęczeni całodzienną pracą.

Obliczyli także, ile dni przebywają już na wyspie i postanowili odtąd zapisywać każdy dzień. We środę, 5 kwietnia, upłynęło właśnie dwanaście dni, od chwili, gdy orkan wyrzucił ich na to wybrzeże.

6 kwietnia inżynier i jego towarzysze od samego świtu znajdowali się na polanie, gdzie miało się odbywać wypalanie cegieł. Operacja ta trwała czterdzieści osiem godzin i powiodła się znakomicie.

* O tej porze roku i na tej szerokości słońce wschodziło o godz. 5.33 rano, a zachodziło o godz. 6.17 wieczorem (przyp. aut.).

W efekcie tych prac 9 kwietnia inżynier miał do dyspozycji pewną ilość gotowego wapna i kilka tysięcy cegieł.

Nie tracąc więc czasu przystąpili do stawiania pieca, mającego służyć do wypalania różnych naczyń niezbędnych do domowego użytku. Przedsięwzięcie to powiodło się bez większych trudności. W pięć dni później napelnili piec węglem kamiennym, którego otwarte pokłady odkrył inżynier u ujścia Czerwonego Potoku i z kominą wysoką na dwadzieścia stóp wzbil się po raz pierwszy dym. Polana zamieniła się w zakład garncarski, a Penkroff był pewny, że z tego pieca wyjdą wszystkie produkty nowoczesnego przemysłu.

Na razie jednak osadnicy wykonali tylko pewną ilość naczyń, bardzo potrzebnych do gotowania pożywienia. Wyrobiono je z gliny ziemnej, do której Cyrus Smith dodał nieco wapna i kwarcu. W rzeczywistości masa ta nie była niczym innym, jak prawdziwą gliną używaną do produkcji fajek. Ulepili z niej garnki i miski, następnie talerze, duże konwie i kadzie na wodę. Trzeba dodać, że Penkroff, chcąc się przekonać, czy przyrządzona w ten sposób glina usprawiedliwia swą nazwę „gliny fajkowej”, wykonał z niej dla siebie kilka fajek o dość niewykwintnym kształcie. Wprawdzie zachwycał się nimi, lecz cóż kiedy niestety brakowało do nich tytoniu. Brak ten dawał się bardzo we znaki marynarzowi.

Roboty garncarskie trwały aż do 15 kwietnia i łatwo pojąć, że czas ten został sumiennie wykorzystany. Nazajutrz przypadała niedziela i to Niedziela Wielkanocna, jednogłośnie więc postanowili uczcić ten dzień odpoczynkiem.

Tego wieczoru więc, 15 kwietnia, wrócili do Kominów. Zabrali ze sobą resztę naczyń, a piec wygasili, by potem mógł służyć do innych celów. W drodze powrotnej inżynier zrobił nader pożyteczne odkrycie — zauważył substancję, mogącą zastąpić hubkę. Była to roślina z rodzaju bylic, spokrewniona z piołunem, cytronellą i estragonem. Urwał z niej kilka pęków i pokazując je marynarzowi, powiedział:

— Patrz Penkroffie, to cię z pewnością ucieszy.

Penkroff przyjrzał się uważnie tej roślinie, której liście pokryte były puszkami i po chwili zapytał:

— Cóż to takiego, panie Cyrusie? Na miłość Boga! Czy to tytoń?...

— Nie — odparł Cyrus Smith — to artemiza; uczeni nazywają ją bylicą chińską, a dla nas, zwykłych śmiertelników, jest ona tym, co hubka.

Istotnie, bylica ta po wysuszeniu dała łatwopalną substancję, zwłaszcza gdy później inżynier nasycił ją azotanem potasu, którego pokłady znajdowały się na wyspie, a który był po prostu saletrą.

Tego wieczoru nasi osadnicy, zgromadzeni w środkowej komnacie Kominów, spożyli sutą wieczerzę. Nab ugotował rosół z aguti, szynkę z kapibary, przyprawioną wonnymi ziołami, do której dodał kilka szczypt wygotowanej trawiastej rośliny zwanej *Caladium macrorhizum*, która pod niebem południowym przybiera kształt krzewu. Ma ona smak wyborny i jest bardzo pożywna, przypomina też przyprawę, znaną w Anglii pod nazwą „portlandzkiego sago”. Mogła nawet do pewnego stopnia zastąpić chleb, którego brakowało mieszkańcom Wyspy Lincoln.

Po wieczerzy, przed nocnym spoczynkiem, Cynis Smith wyszedł ze swoimi towarzyszami na brzeg morza odetchnąć świeżym powietrzem. Była wówczas ósma wieczorem. Wieczór był prześliczny. Przed pięcioma dniami była Pełnia; tego dnia księżyc jeszcze nie wzeszedł, lecz już widnokrąg był cały osrebrzony łagodną, bladą poświatą, którą nazwać by można brzaskiem księżyca. Na południowym zenicie jaśniały podbiegunowe konstelacje, a wśród nich najbardziej Krzyż Południa, który inżynier kilka dni wcześniej powitał ze szczytu Góry Franklina.

Zamyślił się, a potem rzekł:

— Harbercie, mamy dziś 15 kwietnia?

— Tak jest, panie Cyrusie — odparł chłopak.

— A więc, jeśli się nie mylę, jutro przypada jeden z tych czterech dni w roku, w których prawdziwy czas obrotu ziemi zgadza się z czasem średnim: to znaczy, moje dziecko, że jutro, pominąwszy kilka sekund różnicy, słońce właśnie w samo południe przejdzie przez południk. Jeśli więc będziemy mieli dobrą pogodę, to mam nadzieję obliczyć w przybliżeniu stopień długości geograficznej, na którym znajduje się nasza wyspa.

— Jak to, bez instrumentów, bez sekstansu? — zapytał Gedeon Spilett.

— Tak jest — odparł inżynier. — A ponieważ noc jest pogodna, spróbuję jeszcze dziś wieczorem oznaczyć szerokość geograficzną wyspy przez obliczenie odległości Krzyża Południa od poziomu. Wszak zrozumiecie to łatwo, moi przyjaciele, że aby na serio zadomowić się tutaj, nie wystarczy stwierdzić, że ziemia ta jest wyspą; potrzeba jeszcze w miarę możliwości zorientować się, jak daleko oddalona jest bądź od kontynentu amerykańskiego, bądź od australijskiego, czy też od głównych archipelagów Oceanu Spokojnego.

— Istotnie — odezwał się reporter — zamiast budować dom, może nam wypadnie wybudować statek, gdyby tylko kilkaset mil oddzielało nas od zamieszkanego lądu.

— Dlatego właśnie — ciągnął dalej Cyrus — spróbuję dziś wieczorem ustalić stopień szerokości, na jakim znajduje się Wyspa Lincoln, a jutro w południe spróbuję określić jej długość geograficzną.

Cyrus Smith powrócił do Kominów. Tam przy świetle ogniska wystrugał dwie jednakowe deszczułki i połączył je ze sobą jednym końcem tak, że tworzyły rodzaj cyrkla z ruchomymi ramionami. Spoił je za pomocą twardego kolca akacji, odnalezionego na składzie suchego drewna.

Sporządziwszy ten instrument, inżynier powrócił znów na wybrzeże.

Ponieważ chciał oznaczyć wysokość bieguna nad poziomem morza, a Przylądek Ostrego Szpona zakrywał mu horyzont od strony południowej, musiał poszukać dogodniejszego miejsca. Po odnalezieniu go dokonał pomiarów, a szczegółowe obliczenia pozostawił na dzień następny.

ROZDZIAŁ XIV

Porządkowanie ubrań. — Stopień szerokości geograficznej wyspy. — Wycieczka na północ. — Ławica ostryg. — Projekty na przyszłość. — Przejście słońca przez południk. — Współrzędne Wyspy Lincoln.

Nazajutrz, 16 kwietnia — w Niedzielę Wielkanocną — osadnicy równo ze wschodem słońca wyszli z Kominów, aby wyprać bieliznę i wyczyścić odzienie. Inżynier spodziewał się, że po uzyskaniu niezbędnych składników: sody lub potasu, tłuszczu lub oleju, potrafi wyprodukować mydło. Również nad kwestią tak ważną, jak odświeżenie garderoby postanowiono się zastanowić we właściwym czasie i miejscu. Ubrania, jakie mieli na sobie, mogły wystarczyć jeszcze na sześć miesięcy, były bowiem trwale i mogły wytrzymać ciężką pracę fizyczną. Wszystko jednak zależało od położenia wyspy w stosunku do łądów zamieszkałych. A to ważne pytanie mieli rozstrzygnąć jeszcze tego samego dnia, jeśli tylko pogoda na to pozwoli.

Słońce wschodzące na widnokręgu zapowiadało cudowny dzień, jeden z tych pięknych dni jesiennych, które są jakby ostatnim pożegnaniem lata.

Postanowiono więc tę niedzielę poświęcić na przechadzkę, albo raczej na zwiedzenie części wyspy między północnym brzegiem jeziora a Zatoką Rekinów, a nawet, gdyby czas na to pozwolił, dotrzeć aż do północnego krańca Przylądka Dolnej Szczęki. Śniadanie postanowiono zjeść pomiędzy wydmami i dopiero wieczorem powrócić do domu.

O godzinie wpół do dziesiątej rano nasza drużyna wyruszyła brzegiem kanału. Po drugiej stronie, na Wysepce Wybawienia spacerowały gromady ptaków. Należały one do rodzaju nurków. Łatwo je poznać po niemiłym krzyku, przypominającym ryk osła. Penkroff, który interesował się nimi z czysto kulinarnego punktu widzenia, przyjął z niemałym zadowoleniem wiadomość, że mięso ich, jakkolwiek czarniawe, jest całkiem smaczne.

Widać było także duże zwierzęta ziemnowodne pełzające po piasku; zapewne foki, które obrały sobie wysepkę za miejsce schronienia. Nie można było traktować ich jako surowca na pieczone, gdyż ich mięso, pełne oleistego tłuszczu, ma nieznośny smak; Cyrus Smith przypatrywał się im jednak z wielką uwagą i, nie wyrażając swych myśli, zapowiedział tylko swoim towarzyszom, że wkrótce muszą ponownie odwiedzić wysepkę.

Brzegi, którymi szli osadnicy, pokryte były mnóstwem muszli, które mogłyby stać się ozdobą najwspanialszych zbiorów. Bardziej pożytecznego odkrycia dokonał Nab. Wśród skał odsłoniętych przez odpływ morza znalazł ogromną ławicę ostryg. Miejsce to było oddalone o cztery mile od Kominów.

— Nab ma dziś szczęśliwy dzień — zawołał Penkroff, patrząc na ławicę.

— Rzeczywiście, jest to szczęśliwe odkrycie — rzekł reporter. — A jeśli prawdą jest, że każda ostryga wydaje rocznie pięćdziesiąt do sześćdziesięciu tysięcy młodych, to będziemy ich mieć niewyczerpany zapas.

— Mam wrażenie, że ostrygi nie są zbyt pożywne — rzekł Harbert.

— Istotnie — odparł Cyrus Smith. — Zawierają bardzo mało białka, a ktoś, kto by się chciał żywić wyłącznie nimi, musiałby ich zjadać najmniej piętnaście do szesnastu tuzinów dziennie.

— Wspaniale! — rzekł Penkroff. — Moglibyśmy je zjadać tuzinami tuzinów zanim by się skończyły. Czy możemy zebrać trochę na dzisiejsze śniadanie?...

I nie czekając na odpowiedź, przewidując z góry aprobatę, marynarz z Nabem oderwali pewną ilość tych mięczaków i włożyli je do siatki uplecionej przez Naba z włóknistego krzewu

hibiscusa, a zawierającej także resztę zapasów żywności. Po czym ruszyli dalej wzdłuż wybrzeża, między wydhami a morzem.

Cała ta część wyspy, aż do punktu, gdzie kończyła się Zatoka Stanów Zjednoczonych, zwanego Przylądkiem Dolnej Szczęki, była sucha i jałowa. Nie widać było nic prócz piasku i muszli, a tu i ówdzie szczątków lawy. Odludne brzegi zamieszkiwały gromady morskiego ptactwa: mewy — , duże albatrosy i dzikie kaczki, które wystawiały łakomstwo Penkroffa na ciężką próbę. Próbował strzelać do nich z łuku, lecz na próżno, gdyż leciały na zbyt dużej wysokości.

W związku z tym marynarz ponowił swoje żądanie:

— . Widzi pan, panie Cyrusie — rzekł — dopóki nie będziemy mieli przynajmniej jednej strzelby, polowanie nie przyjdzie nam łatwo.

— Masz słusność, Penkroffie — odparł reporter — lecz to tylko od ciebie zależy! Wystaraj się o żelazo na lufy, stal na zaniki, saletrę, węgiel i siarkę na proch oraz ołów na kule, a Cyrus zrobi nam strzelby najlepszego gatunku.

— Co się tyczy substancji — odparł inżynier — to nie wątpię, że znajdziemy je na wyspie. Lecz broń palna jest instrumentem nader delikatnym i wymagającym bardzo dokładnych narzędzi. Zresztą pomyślimy o tym później.

— Czemu wyrzuciliśmy całą broń, jaka była w łódce i wszystkie narzędzia, nawet scyzoryki! — zawołał Penkroff.

— Bo w przeciwnym razie — odparł Harbert — balon by nas wyrzucił na dno morza.

— Nie ma o czym mówić, masz słusność, chłopcze! — rzekł marynarz. Potem dodał zmieniając temat rozmowy:

— Wyobrażam sobie, jaką głupią minę musiał zrobić Jonatan Forster i jego koledzy, gdy nazajutrz rano zobaczyli, że plac jest pusty, a balon uleciał w siną dal!

— Jest mi zupełnie obojętne, co oni myśleli lub mówili! — rzekł reporter.

— Trzeba przyznać, że miałem dobry pomysł! — rzekł Penkroff z dumą.

— Wspaniały pomysł. Penkroffie — odparł Gedeon Spilett, śmiejąc się. — Zawdzięczamy mu pobyt na tym pustkowiu.

— Wolę to, niż znajdować się w rękach południowców! — zawołał marynarz — zwłaszcza od kiedy pan Cyrus był łaskaw połączyć się z nami!

— Podzielał to zdanie! — odparł reporter. — Zresztą czego nam tu brakuje? Niczego!

— Z wyjątkiem... wszystkiego! — zawołał Penkroff, wybuchając śmiechem.

— Lecz jeśli nie dziś, to kiedyś zdołamy się stąd wydostać!

— Może nawet prędzej niż się spodziewacie, moi przyjaciele — odezwał się inżynier. — Jeżeli tylko Wyspa Lincoln nie jest zbyt oddalona od któregoś z zamieszkałych archipelagów lub od stałego lądu. Najdalej za godzinę przekonamy się o tym. Nie mam przy sobie mapy Oceanu Spokojnego, lecz pamiętam dość wyraźnie, jak wygląda jego część południowa. Z wczorajszego obliczenia stopnia szerokości wynika, że Wyspa Lincoln leży pomiędzy Nową Zelandią a Chile. Lecz oba te lądy dzieli co najmniej sześć tysięcy mil. Pozostaje nam więc obliczyć, w jakim punkcie tej olbrzymiej przestrzeni znajduje się nasza wyspa, a o tym przekonamy się niebawem.

— Prawda, że pod względem stopnia szerokości najbliższej nas leży Archipelag Paumotu*? — zapytał Harbert.

— Tak jest — odparł inżynier — ale dzieli nas od niego przestrzeń najmniej tysiąca dwustu mil.

* Archipelag Paumotu — inna nazwa Taumotu, archipelag na Oceanie Spokojnym, w Polinezji Francuskiej, składa się z 80 atolów i jednej wyspy koralowej.

— A tam? — zapytał wskazując na południe Nab, który z wielkim zajęciem przysłuchiwał się rozmowie.

— Tam nie ma nic — odparł Penkroff.

— No, a cóż będzie — zapytał reporter — jeżeli Wyspa Lincoln leży tylko dwieście lub trzysta mil od Nowej Zelandii lub od brzegów Chile?

— W takim razie — odparł inżynier — zamiast budować dom, wybudujemy statek, a pan Penkroff obejmie jego ster...

— Jak najchętniej, panie Cyrusie! — zawołał marynarz. — Gotów jestem zostać kapitanem, jeżeli pan wymyśli sposób wybudowania takiego okrętu, który utrzyma nas na morzu!

— Zbudujemy go, jeśli będzie trzeba! — odparł Cyrus Smith.

Zbliżała się godzina przeznaczona na obserwację. Jak Cyrus, nie mając żadnego instrumentu, potrafi ustalić przejście słońca przez południk wyspy? Tego Harbert w żaden sposób nie mógł się domyśleć.

Osadnicy znajdowali się wówczas w odległości sześciu mil od Kominów, niedaleko wydm, wśród których znaleźli inżyniera ocalonego tak zagadkowym sposobem. Zatrzymali się tam, aby przyrządzić śniadanie, gdyż było już wpół do dwunastej. Harbert pobiegł po słodką wodę do pobliskiego strumyka i przyniósł ją w dzbanku, który Nab wziął ze sobą. :

W tym czasie Cyrus Smith rozpoczął przygotowania do swej obserwacji astronomicznej. Wybrał więc na wybrzeżu czyste i równe miejsce, które morze podczas odpływu zupełnie wygładziło. Zresztą było mało ważne, czy powierzchnia ta była całkiem płaska czy nie, podobnie jak obojętne było także, czy długa na sześć stóp tyka, którą osadził w piasku, wznosiła się pionowo. Przeciwnie, inżynier pochylił ją nieco ku południowi, czyli w stronę przeciwną: do słońca, gdyż trzeba pamiętać, że mieszkańcy Wyspy Lincoln z powodu, iż ich wyspa leżała na półkuli południowej, widzieli gwiazdę dzienną zakreślającą swój łuk ponad widnokregiem północnym.

Wtedy dopiero Harbert zrozumiał, w jaki sposób Cyrus zamierzał zbadać moment przejścia słońca przez południk wyspy. Miało to się stać przy pomocy cienia, który tyczka rzucała na piasek.

Rzeczywiście, w chwili, w której cień osiągnął minimalną długość, musiało być samo południe; trzeba więc było śledzić uważnie koniec cienia, aby uchwycić moment, w którym cień, skróciwszy się maksymalnie, zacznie się na nowo wydłużać. Nachylając tyczkę ku południowi Cyrus Smith zwiększył długość cienia, przez co łatwiej było zauważyć wszystkie jego zmiany. Wiemy, że im dłuższa jest wskazówka na zegarze, tym dokładniej można śledzić jej poruszenia. Cień tyczki zastępował wskazówkę na zegarze.

Gdy Cyrus Smith uznał, że nadeszła stosowna chwila, ukłęknął na piasku i przy pomocy drewnianych kołków, które wtykał w ziemię, począł oznaczać stopniowe skracanie się cienia tyki. Dokoła niego zgromadzili się towarzysze, przypatrując się tej czynności z największą uwagą.

Reporter trzymał w pogotowiu swój zegarek, aby oznaczyć dokładnie godzinę, w której cień będzie najkrótszy. Ponieważ było to właśnie 16 kwietnia, w którym to dniu czas rzeczywisty zgadza się z czasem średnim zegarowym, godzina oznaczona przez Gedeona Spiletta musiała być taka sama, jak w Waszyngtonie; miało to znacznie ułatwić obliczenia.

Tymczasem słońce posuwało się powoli; cień tyczki skracał się coraz bardziej, aż wreszcie w chwili, kiedy Cyrusowi wydawało się, że zaczął wzrastać na nowo, zapytał:

— Która godzina?

— Piąta i jedna minuta — odpowiedział natychmiast Gedeon Spilett. Należało teraz natychmiast przystąpić do obliczeń. Był to prosty rachunek,

Różnica między południkiem Waszyngtonu a południkiem wyspy wynosiła, jak widzimy, około pięciu godzin; to znaczy, że na Wyspie Lincoln było południe wtedy, gdy w Waszyngtonie była już godzina piąta po południu.

Cyrus Smith oznajmił wynik obliczeń swoim towarzyszom i dodał, że Wyspa Lincoln była tak odległa od jakiegokolwiek lądu lub archipelagu, że szaleństwem byłoby odważyć się na tak daleką żeglugę w prostej, kruchej łodzi.

Obliczenia inżyniera wykazały, że oddzielało ją od Tahiti i Wysp Archipelagu Paumotu najmniej tysiąc dwieście mil, od Nowej Zelandii przeszło tysiąc osiemset mil, a od wybrzeży amerykańskich około cztery tysiące pięćset mil. Wyspa Lincoln była położona pomiędzy trzydziestym piątym a trzydziestym siódmym równoleżnikiem oraz między sto pięćdziesiątym a sto pięćdziesiątym piątym południkiem na zachód od południka Greenwich.

Cyrus Smith myślał bardzo długo, ale nie mógł sobie w żaden sposób przypomnieć, aby jakakolwiek wyspa zajmowała w tej części Oceanu Spokojnego położenie oznaczone dla Wyspy Lincoln.

ROZDZIAŁ XV

Zapada decyzja o przezimowaniu na Wyspie Lincolna. — Kwestia metalurgiczna. — Wycieczka na Wysepkę Wybawienia. — Polowanie na foki. — Kangury. — Produkcja żelaza. — Jakim sposobem otrzymuje się stal?

Tysiąc dwieście mil dzieliło wyspę od najbliższego archipelagu. Przestrzeni tej nie można było przepłynąć łodzią, zwłaszcza podczas zimowych burz. Oświadczył to stanowczo Penkroff. Postanowili zatem spędzić zimę na Wyspie Lincolna i wyszukać sobie mieszkanie wygodniejsze od Kominów.

Przede wszystkim należało wykorzystać pokłady rudy żelaza, które inżynier zauważył w północno-zachodniej części wyspy i zamienić je w żelazo, bądź w stal.

— A zatem, panie Cyrusie — odezwał się wesoło Penkroff — zabierzemy się teraz do rudy żelaza?

— Tak jest, przyjacielu — odparł inżynier — a rozpoczniemy od polowania na foki na wysepce.

— Od polowania na foki! — zawołał marynarz, zwracając się do Gedeona Spilett. — Więc do produkcji żelaza potrzebne są foki?

— Oczywiście, skoro Cyrus tak twierdzi — odparł reporter.

Gdy wyszli na brzeg, setki pingwinów przypatrywały się im spokojnie. Mogli z łatwością zabić mnóstwo tych ptaków kijami, lecz ponieważ ich mięso jest niesmaczne, a poza tym obawiali się spłoszyć foki leżące na piasku, więc nie uczynili tego.

Na krańcu wysepki widać było duże czarne punkty pływające po powierzchni wody. Wyglądały jak czubki skał poruszające się w morzu.

Były to foki, cel ich łowów. Należało czekać, aż wypłyną na brzeg, gdyż ich wąski tułów, krótka i gęsta sierść, wrzecionowaty kształt, oraz to, że są wybornymi pływakami, powodują, iż trudno je schwytać w morzu, podczas gdy na lądzie z powodu krótkich płetwowształtnych łap zdolne są tylko do powolnego czołgania się.

Penkroff znał ich zwyczaje i radził czekać, aż rozciągną się na piasku, i usną głęboko w promieniach słońca. Myśliwi postanowili odciąć im odwrót od morza i uderzyć na nie z przodu.

Ukryli się więc za skalami wybrzeża, czekając w niczym nie zmałowanej ciszy.

Minęła godzina, zanim foki wyszły na brzeg. Było ich sześć. Wtedy Penkroff z Harbertem odłączyli się od reszty drużyny, aby obejść dookoła kraniec; wysepki i otoczyć foki z dwóch stron, odcinając im drogę do morza. W tym czasie Cyrus Smith, Gedeon Spilett i Nab, czołgając się wzdłuż skał, podkradali się ku miejscu polowania.

Nagle Penkroff krzyknął i podniósł kij. Inżynier ze swymi dwoma towarzyszami rzucili się czym prędzej pomiędzy morze a foki. Dwie sztuki padły trupem na piasku pod silnym uderzeniem kija, lecz reszta zdołała dotrzeć do brzegu i rzucić się w morskie fale.

— Oto są foki, których pan potrzebował! — odezwał się marynarz, podchodząc do inżyniera.

— Dobrze — odparł Cyrus Smith. — Będzie z nich miech kowalski!

— Miech! — zawołał Penkroff. — Szczęśliwe foki!

Inżynier zamierzał zrobić z foczych skór rodzaj miechów niezbędnych przy topieniu rudy.

Marynarz i Nab wywiązali się ze swego zadania bardzo zręcznie i w trzy godziny później Cyrus rozporządzał dwiema skórami fok, które, jak sądził, można było zużytkować i bez garbowania.

20 kwietnia od rana rozpoczęła się „epoka metalurgiczna”, jak nazwał ją w swych zapiskach reporter.

Rankiem ruszyli w drogę. Nab z Penkroffem dźwigali plecionkę, na której; złożono miech oraz pewną ilość zapasów żywności, które miano uzupełnić po drodze.

Droga przez las trwała cały dzień, lecz za to można się było dokładnie przypatrzeć florze i faunie. Top biegał między zaroślami i krzakami i płoszył zwierzęta. Harbert i Gedeon Spilett zabili z łuków dwa kangury i jedno zwierzątko podobne jednocześnie do jeża i mrówkojada. Do pierwszego tym, że zwijało się w kłębek i najeżało kolcami, do drugiego kształtem pazurów*; pyszczkiem długim i spiczastym, zakończonym ptasim dziobem i elastycznym językiem, otoczonym dokoła drobnymi kolcami, na których zatrzymywał owady.

— A w garnku do czego będzie podobny? — zapytał oczywiście Penkroff.

— Do kawałka smacznej wołowiny — odparł Harbert.

— Nie będziemy od niego wymagali nic więcej — odpowiedział marynarz. W czasie tej wyprawy spostrzegli kilka odyńców, które na szczęście nie zaatakowały. Wydawało się, że nigdzie nie napotkają groźnych drapieżników, gdy wtem reporter zauważył pomiędzy gałęziami drzewa, rosnącego kilka kroków dalej, zwierzę, które wziął za niedźwiedzia i zaczął je spokojnie szkicować. Szczęściem jednak dla Gedeona Spiletta zwierzę to nie należało do owego niebezpiecznego rodzaju płaskonogich. Był to tylko leniwiec, posiadający wzrost dużego psa, najeżoną sierść brunatnego koloru, łapy uzbrojone w silne pazury, co ułatwiało mu łażenie po drzewach i żywienie się liśćmi. Po rozpoznaniu gatunku zwierzęcia, nie naruszając jego spokoju, Gedeon Spilett wymazał ze swoich notatek słowo: „niedźwiedź”, a napisał pod rysunkiem „leniwiec”, po czym ruszyli dalej.

O piątej po południu Cyrus Smith zarządził odpoczynek.

Rozłożono natychmiast obozowisko. W niespełną godzinę stanął na skraju lasu, między drzewami, szałas z gałęzi i wikliny, wylepiony gliną, który dawał dostateczne schronienie. Poszukiwania geologiczne odłożono do następnego dnia. Ugotowano wieczerzę, rozpalono przed szałasem jasny ogień, przy którym kręcił się rożen i o ósmej, podczas gdy jeden z osadników czuwał, by podtrzymywać ogień na wypadek napaści jakichś niebezpiecznych zwierząt, reszta spała twardym snem.

Nazajutrz. 21 kwietnia, Cyrus Smith poszedł wraz z Harbertem odszukać miejsce, gdzie znalazł skałę z rudą żelaza. Natrafił na jej pokład na powierzchni ziemi, prawie przy samym źródle Czerwonego Potoku.

Inżynier pokruszył rudę na drobne kawałki, oczyściwszy ją najpierw ze wszystkich naleciałości. Następnie ułożył ją w stos przekładając węglem kamiennym i rozpoczął jej wytapianie.

Miech uszyty ze skóry fok, zaopatrzony na końcu w rurkę z ogniotrwałej gliny, przygotowanej przedtem w piecu garncarskim, ustawiono tuż przy stosie kruszcu. Poruszany za pomocą mechanizmu składającego się z drewnianego stelażu, powrozów z włókna i ciężarków, tłoczył w stos masę powietrza, które Podnosząc temperaturę, przyczyniało się także do reakcji chemicznej, mającej dać czyste żelazo.

Było to trudne przedsięwzięcie i trzeba było wykazać dużo cierpliwości i sprytu, aby doprowadzić je do pożądanego skutku. W końcu jednak udało się, a namacalnym tego rezultatem była bryła żelaza, wyglądająca jak gąbka, którą trzeba było dopiero wykuć, aby oczyścić ją z płynnej rudy. Oczywiście naszym improwizującym kowalom brakowało młota. Znajdowali się w tym samym położeniu, co pierwszy metalurg, postąpili więc tak samo, jak on musiał postąpić.

Pierwsza bryła osadzona w drewnianym trzonku posłużyła za młot do wykucia drugiej na granitowym kowadle. Tyra sposobem otrzymali żelazo wprawdzie bardzo kruche, lecz na pewno bardzo przydatne.

Wreszcie, po tylu staraniach i trudach, udało im się 25 kwietnia wykuć kilka sztab żelaznych i stworzyć z nich rozmaite narzędzia, jak obcęgi, kleszcze, kilofy i motyki, które Penkroff i Nab uważali za istne cacka.

Kruszec ten jednak nie w postaci czystego żelaza, lecz jako stal mógł; przynieść osadnikom największy pożytek. Stal jest stopem żelaza z węglem; a jeśli chodzi o ilość węgla, zajmuje miejsce pośrednie pomiędzy surówką a żelazem; można ją więc otrzymać z surówki przez odebranie części węgla, albo też z żelaza przez dodanie węgla. Kombinacja pierwszego rodzaju, wytworzona przez odwęglenie przetopu, daje stal naturalną; kombinacja zaś drugiego rodzaju, dokonana przy pomocy dowęglenia żelaza, daje stal cementowaną.

Ten ostatni rodzaj najbardziej odpowiadał Cyrusowi, ponieważ posiadał zapas czystego żelaza. Otrzymywane ogrzewając kruszec z rozdrobnionym na proch węglem w tygielku ulepionym ze zbitej gliny.

Następnie stal tę, dającą się na zimno i na gorąco dowolnie giąć i kształtować, obróbił porządnie młotem. Nab i Penkroff pod doświadczonego kierownictwem inżyniera sporządzili kilka siekier, które, rozpalone do czerwoności, a potem raptownie zanurzone do zimnej wody, nabrały niespotykanego hartu.

Takim sposobem sporządzili także inne narzędzia, oczywiście o nieskomplikowanych kształtach, jak: siekiery, toporki, cienkie klingi stalowe, które miały być później przerobione na piły. druta ciesielskie, motyki, rydle, kilofy, młoty i ćwieki.

Wreszcie 5 maja zakończyła się pierwsza „epoka metalurgiczna”, a nasi kowale powrócili do Kominów, by odpocząć przed następnymi pracami.

ROZDZIAŁ XVI

Problem mieszkania staje się znowu ważny. — Fantastyczne projekty Penkroffa. — Wycieczka do północnych brzegów jeziora. — Północna krawędź Wielkiego Płaskowyżu. — Węże. — Brzegi jeziora. — Niepokój Topa. — Top wskakuje do wody. — Walka podwodna. — Krowa morska.

Było to 6 maja, który to dzień na półkuli północnej odpowiada 6 listopadowi. Niebo od kilku dni było zachmurzone, należało więc pomyśleć o cieplejszym schronieniu. Co prawda dotąd miewali jeszcze po dziesięć do dwunastu stopni ciepła, lecz ponieważ wyspa musiała znajdować się w takich samych warunkach klimatycznych jak Sycylia i Grecja, gdzie bywają bardzo silne mrozy, więc i tu można było spodziewać się pory, w której temperatura znacznie się obniży.

Nawet jeśli nie groziły jeszcze mrozy, to niedaleka była pora deszczowa, a na tej samotnej wyspie, wystawionej na słoty i burze wśród rozhukanego Oceanu, burze musiały być częste i groźne.

Należało więc niezwłocznie rozstrzygnąć kwestię znalezienia mieszkania odpowiedniejszego od Kominów, do których już raz wtargnęło morze; niepodobna więc było narażać się na powtórny taki wypadek.

— W końcu — dodał Cyrus Smith, rozmawiając o tym ze swoimi towarzyszami — musimy przedsięwziąć pewne środki ostrożności.

— Dlaczego? — zagadnął reporter. — Przecież wyspa nie jest zamieszkana.

— Być może — odparł inżynier. — Nie zwiedziliśmy jednak jeszcze jej części środkowej. Nawet jeśli nie spotkamy ludzi, lękałbym się dzikich zwierząt. Musimy więc zabezpieczyć się przed napaścią, inaczej co noc jeden z nas musiałby czuwać przy rozpalonym ognisku. A wreszcie, moi przyjaciele, trzeba wszystko przewidzieć. Znajdujemy się w tej części Oceanu Spokojnego, którą często nawiedzają piraci malajscy.

— Jak to? — zapytał Harbert. — W takim oddaleniu od jakiegokolwiek kawałka ziemi?

— Tak jest, moje dziecko — odparł inżynier. — Piraci są równie śmiałymi marynarzami jak niebezpiecznymi złoczyńcami, musimy się zatem mieć na baczności.

— Dobrze więc — odparł Penkroff. — Obwarujemy się tu przed dzikimi jak borsuki w jamach. Lecz czy nie byłoby dobrze, panie Cyrusie, poznać najpierw całą wyspę, zanim podejmiemy jakieś postanowienie?

— Tak byłoby najlepiej — dodał Gedeon Spilett. — Kto wie, czy na przeciwległym wybrzeżu nie znajdziemy jaskini, której daremnie szukaliśmy tutaj?

— To prawda — odrzekł inżynier — lecz nie zapominajcie o tym, moi przyjaciele, że musimy koniecznie zamieszkać w pobliżu słodkiej wody i że patrząc z Góry Franklina, nie dostrzegliśmy na zachodzie żadnego strumienia ani rzeki.

— W takim razie, panie Cyrusie — odezwał się marynarz — wybudujemy dom nad brzegiem jeziora. Przecież nie brak nam teraz ani cegieł, ani narzędzi. Byliśmy już ceglarzami, garncarzami, hutnikami, kowalami, to u licha, potrafimy zostać także murarzami!

— Zapewne, mój przyjacielu; lecz zanim się na to zdecydujemy, trzeba najpierw szukać mieszkania zbudowanego przez samą przyrodę.

— Zastanawiam się — powiedział Penkroff. — A gdybyśmy tak wydrążyli sobie mieszkanie w tej granitowej ścianie, na pewnej wysokości, tak by nie było do niego znikąd dostępu; o, to by było wyśmienicie! Urządzilibyśmy sobie od strony morza pięć lub sześć pokoi.

— Z oknami, które by je oświetlały! — zawołał, śmiejąc się Harbert.

— I ze schodami, którymi by się do nich wchodziło! — dodał Nab.

— Śmiejecie się — zawołał marynarz. — Dlaczego? Czy mój projekt mieści w sobie coś niewykonalnego? Czy nie mamy kilofów i motyk? Albo czy pan Cyrus nie potrafi wyprodukować nam prochu, którym rozsadzimy te skały? Prawda, panie Cyrusie, że wyprodukuje pan proch, jeśli będzie nam potrzebny?

Cyrus Smith słuchał w milczeniu tych nieco fantastycznych projektów Penkroffa. Rozsadzić te masy granitowe, nawet przy pomocy min prochowych, byłoby pracą prawdziwie herkulesową; jednak inżynier w odpowiedzi na pytanie marynarza zaproponował tylko, aby jeszcze dokładniej zbadać granitową ścianę, poczynawszy od ujścia rzeki aż do jej północnej krawędzi.

Rozpoczęto więc dokładne poszukiwania na długości blisko dwóch mil. Lecz wszędzie zbita i gładka ściana nie posiadała nigdzie najmniejszego wydrążenia.

Ukończywszy poszukiwania, nasi koloniści znaleźli się przy północnej krawędzi granitowej ściany, gdzie przechodziła ona w podłużną pochyłość, ginącą z wolna wśród piaszczystego wybrzeża. Poczynawszy od tego miejsca aż do końca zachodniego krańca, ściana ta zmieniała się w rodzaj szańca utworzonego z nagromadzonych stosów kamieni, ziemi i piasku, przetykanego tu i ówdzie krzewami, drzewkami i zaroślami. Nachylenie tego wzniesienia wynosiło tylko czterdzieści pięć stopni. Grupy drzew wznosiły się na stokach pokrytych dość gęsto zaroślami. Lecz tu kończyła się już roślinność i od podnóża szańca rozciągała się długa piaszczysta równina aż do samego wybrzeża.

Cyrus Smith sądził, nie bez podstawy, że z tej właśnie strony powinien znajdować się odpływ wody z jeziora, w kształcie kaskady. W istocie, nadmiar wody napływającej ustawicznie z Czerwonego Potoku musiał koniecznie gdzieś uchodzić. Odpływu tego inżynier nie mógł znaleźć na żadnym ze zwiedzanych już brzegów, to jest poczynawszy od ujścia potoku na zachodzie aż do Wielkiego Płaskowizu.

Inżynier zaproponował zatem towarzyszą, by wspiąć się na szczyt tego szańca, któremu się właśnie przypatrywali i wrócić po jego grzbiecie do Kominów, zwiedziwszy po drodze północne i wschodnie brzegi jeziora.

Propozycja ta została jednomyślnie przyjęta i w kilka minut później Harbert z Nabem stanęli na szczycie wzniesienia, a za nimi wolniejszym krokiem zdążali Cyrus Smith, Gedeon Spilett i Penkroff.

Dwieście kroków przed nimi, w słonecznych promieniach połyskiwała wspaniała tafla wodna. Krajobraz w tym miejscu był cudowny. Drzewa o żółtawych liściach, porostawiane w malowniczych grupach, zachwyciły wzrok. Tu i ówdzie pnie sędziwych drzew, powalonych pod wpływem wieków, odbijały się czarniawą korą od świeżej zieloności. Rozlegał się świergot hałaśliwych kakadu, skaczących z gałęzi na gałąź. Wyglądały jak promienie słońca przedzierające się przez gałęzie i rozpryskujące się w tęczowe barwy.

Cyrus Smith i jego towarzysze poruszali się ostrożnie po tej nieznanym sobie ziemi. Łuki, strzały i kije okute w żelazo stanowiły całe ich uzbrojenie. Nie spotkali jednak żadnego zwierzęcia; widocznie cała zwierzyna kryła się w gęstych lasach rozpościerających się na południu. Doznali jednak niemiłego wrażenia, gdy nagle ujrzeni Topa stojącego nad potężnym wężem, mającym czternaście do piętnastu stóp długości. Nab jednym uderzeniem kija zabił go natychmiast. Cyrus Smith obejrzał gada i oświadczył, że nie był jadowity i należy do rodzaju, którymi żywią się dzicy mieszkańcy Nowej Południowej Walii. Możliwe jednak, że znajdowały się tutaj węże, których ukąszenie było śmiertelne; należało więc zachować ostrożność.

Wkrótce dotarli do ujścia Czerwonego Potoku w miejscu, w którym wpadał do jeziora. Cyrus Smith przekonał się, że przyływ wody był dość znaczny, nie ulegało zatem wątpliwości, że przyroda musiała stworzyć gdzieś także odpływ, którym uchodził nadmiar wody. A chodziło

właśnie o to, aby odszukać ten upust, gdyż musiał on niezawodnie tworzyć silny spad, którego siłę mechaniczną można by spożytkować.

Koloniści szli teraz wzdłuż brzegów jeziora, obfitującego, jak się zdawało, w ryby. Penkroff postanowił zrobić wędkę i w chwilach wolnych od innych zadań zająć się rybołówstwem.

Przede wszystkim trzeba było obejść ową ostrą krawędź w północno-wschodniej stronie. Słusznie bowiem można było przypuszczać, że w tym miejscu znajdował się odpływ, gdyż powierzchnia jeziora sięgała tu prawie aż do samego brzegu. Oczekiwania jednak zawiodły i koloniści podążyli dalej.

Brzegi jeziora ciągnące się równolegle do wybrzeża wyspy były mniej lesiste, lecz porozrzucane tu i ówdzie grupy drzew dodawały krajobrazowi malowniczości. Jezioro Granta ukazywało się stąd w całej swej okazałości, a żaden podmuch wiatru nie poruszał gładkiej powierzchni wody. Top, nurkując między krzakami, płoszył gromady różnego ptactwa, a Gedeon Spilett i Harbert strzelali do nich z łuków. Jeden z tych ptaków raniony celnym strzałem Harberta spadł w bagniste zarośla. Top rzucił się w tę stronę i przyniósł po chwili pięknego ptaka z rodzaju pływaków, barwy popielatej, z krótkim dziobem. Była to łyska, wielkości dużej kuropatwy. Zwierzyna to licha i smak jej pozostawia wiele do życzenia. Top jednak był mniej wybredny od swoich panów, postanowiono więc uraczyć go łyską na kolację.

W pewnej chwili pies, dotąd całkiem spokojny, zaczął okazywać silne zaniepokojenie. Biegał tam i z powrotem wzdłuż brzegu; nagle stanął i wlepił wzrok w powierzchnię wody, podniósłszy jedną łapę do góry, jak gdyby wietrzył jakąś niewidzialną zwierzynę, po czym zaczął szczekać zapalczywie, jak gdyby wytropił zdobycz.

Początkowo ani Cyrus Smith, ani jego towarzysze nie zwracali uwagi na zachowanie psa, lecz w końcu coraz zacieklejsze ujadanie zwróciło uwagę inżyniera.

— Co tam widzisz, Topie? — zapytał.

Pies zawrócił kilkoma susami do swojego pana, zdradzając widoczne zaniepokojenie, lecz wnet popędził znowu nad brzeg jeziora. Nagle rzucił się do wody. Zaniepokojony Cyrus przywołał go ponownie.

Top zawrócił na głos swojego pana i wylazł na brzeg; lecz żadną miarą nie mógł się uspokoić. Skakał pomiędzy wysokie zarośla i wiedziony instynktem zdawał się gonić za jakimś niewidzialnym stworzeniem, płynącym pod wodą wzdłuż brzegów jeziora. Powierzchnia wody była jednak całkiem gładka, bez żadnej zmarszczki. Koloniści kilkakrotnie zatrzymywali się nad brzegiem, przypatrując się bacznie wodzie. Lecz nic nie zauważyli. Tkwiła w tym jakaś tajemnica.

Zbliżała się piąta po południu, gdy nagle Top zaczął się znowu niepokoić. Szczekał zajadle i zanim jego pan zdołał go powstrzymać, wskoczył po raz drugi do jeziora.

Wszyscy podbiegli do brzegu. Pies tymczasem odpłynął już na jakieś dwadzieścia stóp i Cyrus wołał na niego niecierpliwie, gdy nagle olbrzymi łeb wynurzył się z wody, która w tym miejscu wydawała się głęboka.

Harbert poznał od razu, do jakiego gatunku ziemnowodnego należy właściciel tego spiczastego łba z wielkimi oczami i gęstymi, długimi wąsami.

— To krowa morska — zawołał.

Olbrzymie to zwierzę rzuciło się na psa, który na próżno usiłował uciec przed nim na brzeg. Jego pan nie mógł mu pomóc i zanim Spilett lub Harbert zdążyli naciągnąć łuki, Top już zniknął pod wodą pochwycony przez krowę.

Nab ze swą okutą maczugą chciał się rzucić na ratunek psu, gotów ścigać potwora w jego własnym żywiole.

— Daj spokój. Nab — rzekł inżynier, wstrzymując śmiałka.

Tymczasem pod wodą toczyła się walka, walka niepojęta, gdyż w tych warunkach Top nie mógł żadną miarą stawiać oporu. Walka ta musiała być straszliwa; widać to było po spienionej powierzchni wody, a nie mogła zakończyć się inaczej, jak tylko śmiercią psa! Nagle wśród wzburzonych fal pojawił się Top. Wyrzucony w powietrze jakąś niewiadomą siłą, wyleciał dziesięć stóp ponad powierzchnię wody, wpadł w nią z powrotem i wkrótce przyplął do brzegu, cudem ocalony.

Cyrus Smith i jego towarzysze patrzyli zdumieni, nie pojmując co się stało. Walka pod wodą wciąż jeszcze trwała. Zapewne krowa morska, napadnięta przez innego olbrzymia, wypuściła psa i walczyła teraz o własne życie.

Niedługo to jednak trwało. Woda zabarwiła się na czerwono i nieżywy potwór wynurzył się z krwawej topieli. Wkrótce potem woda wyrzuciła go na piasek na południowym końcu jeziora.

Koloniści pobiegli w to miejsce. Krowa morska już nie żyła. Było to olbrzymie zwierzę, długie na piętnaście do szesnastu stóp i musiało ważyć od trzech do czterech tysięcy funtów. Na karku miało szeroką ranę, zadaną jak gdyby ostrzem topora.

Jakież to potwór powalił olbrzymią krowę morską, zadając jej tak dotkliwą ranę? Nikt tego nie mógł odgadnąć i dość przejęci tym zdarzeniem koloniści powrócili do Kominów.

ROZDZIAŁ XVII

Wycieczka nad jezioro. — Prąd wody przewodnikiem. — Projekty Cyrusa Smitha. — Tłuszcz krowy morskiej. — Użytek z pirytów łupkowych. — Siarczan żelaza. — Jak wyrabia się glicerynę? — Mydło. — Saletra. — Kwas siarkowy i kwas azotowy. — Nowy wodospad.

Nazajutrz, 7 maja, gdy Nab przyrządzał śniadanie, a Penkroff i Harbert udali się w górę rzeki po drewno, Cyrus Smith i Gedeon Spilett wyruszyli Przez płaskowyż i niebawem dotarli do małej mielizny, gdzie woda wyrzuciła krowę morską.

Gromady ptactwa obsiadły już to cielsko i trzeba je było odpędzać kamieniami — Cyrus Smith chciał bowiem zabezpieczyć tłuszcz i użytkować go na potrzeby osady. Także i mięso zwierzęcia powinno być smaczne, w niektórych bowiem okolicach Malajów podawane bywa wyłącznie na stołach książąt. Lecz sprawami kuchni zajmował się Nab.

Cyrusa w tej chwili zajmowały inne myśli. Wczorajszy wypadek utkwiał mu głęboko w pamięci. Chciał przeniknąć tajemnicę podwodnej walki i przekonać się, jaki to potwór ocalił Topa.

Stał więc nad brzegiem jeziora, spoglądając uważnie na spokojną i gładką wodę, połyskującą w porannych promieniach słońca.

Na mieliznie, gdzie leżało ciało krowy, woda była dość płytka, lecz dalej dno jeziora pogłębiało się coraz bardziej i prawdopodobnie na samym środku głębia musiała być znaczna.

— A zatem, Cyrusie — zagadnął reporter — raczej nie ma nic podejrzanego w tej wodzie?

— Rzeczywiście nic, Gedeonie — odparł inżynier — i doprawdy nie wiem, jak sobie wytłumaczyć wczorajszy wypadek.

— Przyznaję — ciągnął dalej Gedeon Spilett — że rana, jaką otrzymał potwór, jest co najmniej zadziwiająca. Nie potrafię także wytłumaczyć, co było powodem, że Top został z taką siłą wyrzucony ponad wodę. Zdawałoby się, że to jakaś potężna ręka wyrzuciła go na wierzch i że ta sama ręka uzbrojona w sztylet zadała następnie śmierć krowie morskiej.

— Tak — odparł inżynier zamyślony. — Jest w tym coś, czego w żaden sposób nie mogę zrozumieć. Lecz czy bardziej zrozumiałe jest dla ciebie, Gedeonie to, jakim sposobem ja sam zostałem ocalony, wydobyty z fal morskich i przeniesiony pomiędzy wydmy? Trudno to pojąć? Otóż i w tym widzę jakąś tajemnicę, którą kiedyś odkryjemy. Zwracajmy na wszystko baczną uwagę, ale wobec naszych towarzyszy bądźmy cicho. Zachowajmy dla siebie nasze wątpliwości.

Inżynier, jak wiemy, nie odkrył jeszcze miejsca, którym woda odpływała z jeziora. Był więc bardzo zdziwiony, gdy zauważył dość wyraźny prąd. Wrzucił kilka drewnienek do wody i przekonał się, że patyki popłynęły w kierunku południowym. Poszedł więc wzdłuż brzegu w ślad za prądem i dotarł do południowego krańca jeziora.

Tu powierzchnia jeziora charakteryzowała się pewną wklęsłością, jak gdyby woda w tym miejscu odpływała wartkim strumieniem przez szczelinę ukrytą w ziemi.

Cyrus Smith, przyłożywszy ucho do ziemi, usłyszał wyraźnie szum podziemnej kaskady.

— W tym miejscu — powiedział — istnieje upust wody, tędy niezawodnie woda podziemnym kanałem, wyłobionym w granicie, odpływa do morza.

Inżynier uciął długą gałąź i oberwawszy z niej liście, zanurzył w wodzie jeziora. Natrafił na szeroki otwór, położony tylko jedną stopę pod powierzchnią wody. Był to ów odpływ, którego na próżno dotąd szukał, a prąd wody był tak silny — że wyrwał gałąź z rąk Cyrusa i pochłonął ją w swych nurtach.

— Teraz me ma już żadnej wątpliwości — powtórzył Cyrus Smith. — W tym miejscu jest odpływ wody. a jego otwór muszę odsłonić.

— Jakim sposobem? — zapytał Gedeon Spilett.

— Obniżając poziom jeziora o trzy stopy.

— Poziom jeziora? Jak to możliwe?

— Dam wodzie inny odpływ, szerszy od tego.

— W którym miejscu, Cyrusie?

— W tej części brzegów, która jest położona najbliżej morza.

— Ale z tej strony brzegi są granitowe! — zauważył reporter.

— A zatem wsadzimy ten granit — odparł Cyrus Smith. — Tym sposobem woda opadnie i odsłoni otwór...

— I spływając stamtąd, utworzy wodospad — dodał reporter.

— Z którego potrafimy skorzystać! — odparł Cyrus. — A teraz wracajmy.

W Kominach Harbert i Penkroff byli zajęci wyładowywaniem przywiezionego drewna.

— Drwale już skończyli pracę, panie Cyrusie — rzekł, śmiejąc się marynarz — a jeżeli potrzeba panu będzie murarzy...

— Murarzy nie, lecz chemików — odparł inżynier.

— Tak jest — dodał reporter. — Wsadzimy wyspę w powietrze...

— Wsadzić wyspę! — zawołał Penkroff.

— Przynajmniej jej część! — odparł Gedeon Spilett.

Inżynier pokrótce powiadomił ich o swoich spostrzeżeniach. Według niego, musiało istnieć w granitowej płaszczyźnie mniejsze lub większe wydrążenie, do którego zamierzał dotrzeć. W tym celu należało przede wszystkim odsłonić otwór, którym odpływa woda, a zatem obniżyć znacznie poziom jeziora, wydrążywszy nowy odpływ z szerszym otworem. W tym celu należy przygotować materiał wybuchowy, przy pomocy którego można utworzyć obszerną służę w innym miejscu. Nie trzeba mówić, z jakim entuzjazmem wszyscy, a szczególnie Penkroff, przyjęli ten projekt. Używać silnie działających środków, przewiercać granity, tworzyć wodospady — to zachwycało marynarza.

Nab z Penkroffem otrzymali polecenie zebrania tłuszczu z krowy morskiej i przechowania jej mięsa. Bez zadawania dalszych pytań przystąpili do pracy.

Wkrótce potem Cyrus Smith, Harbert i Gedeon Spilett, zabrawszy ze sobą plecionkę, wyruszyli brzegiem rzeki w stronę pokładów węgla kamiennego, w których znajdowała się wielka ilość pirytu łupkowego.

Cały dzień minął na gromadzeniu pewnej ilości tego pirytu i transportowaniu go do Kominów. Wieczorem posiadali już kilka beczek zapasu.

Następnego dnia inżynier zabrał się do pracy.

W tym celu wybrał stosowne miejsce poza Kominami i wyrównał tam starannie ziemię. Ustawił stos z gałęzi i zrąbanego drewna, a na nim poukładał kawałki pirytu, jeden obok drugiego; następnie pokrył całą tę masę cienką warstwą pirytu potłuczonego na kawałki wielkości orzecha włoskiego.

Po tych przygotowaniach podłożono ogień pod drewno. Żar przeniósł się na łupki pirytowe, a te, zawierające w sobie węgiel i siarkę, rozpały się silnym płomieniem. Wtedy dołożono nowe warstwy tłuczonego pirytu, a z wierzchu pokryto cały ten olbrzymi stos ziemią i trawą, pozostawiając tylko kilka otworów dla przewiewu, podobnie jak się postępuje przy zwęglaniu drewna.

Następnie należało czekać, aż dokona się reakcja chemiczna, a trzeba było nie mniej niż dziesięć do dwunastu dni, aby siarczek żelaza zmienił się w siarczan żelaza, a glin w siarczan

glinu; obydwie te ciała są topliwe, podczas gdy reszta, mianowicie krzem, węgiel i popiół właściwości tej nie posiadają.

Tymczasem Cyrus i jego towarzysze przystąpili do innych prac.

Nab i Penkroff zebrali tłuszcz z krowy morskiej w duże kadzie z wypalanej gliny. Chodziło teraz o to, aby wydzielić z niego jeden jego składnik, mianowicie glicerynę*.

Tymczasem z otrzymanego w wyniku reakcji chemicznej siarczanu żelaza Cyrus Smith wyprodukował kwas siarkowy*, a z niego przy pomocy saletry*, której spore pokłady odkrył Harbert u stóp Góry Franklina — kwas azotowy*.

Koloniści nie wiedzieli jeszcze, do czego Cyrus Smith potrzebował kwasu azotowego, jednakże pomagali przy jego produkcji.

Połączywszy kwas azotowy z gliceryną, skoncentrowaną najpierw przez zanurzenie naczynia w ciepłej wodzie, inżynier otrzymał bez użycia mieszaniny oziębiającej kilka kieliszków oliwkowego, żółtawego płynu.

Ostatniej operacji Cynis dokonał własnoręcznie, na uboczu, z dala od Kominów, gdyż zachodziło niebezpieczeństwo eksplozji. A przynosząc z sobą flakonik tego płynu, powiedział do przyjaciół:

— Oto mamy nitroglicerynę*!

Był to w istocie ten groźny związek chemiczny, którego siła wybuchu jest dziesięciokrotnie większa od pospolitego prochu i który był już powodem tylu wypadków!

— Więc ten płyn ma rozsadzić skały? — zapytał Penkroff niedowierzająco. — Tak jest, mój przyjacielu — odparł inżynier. — A ta nitrogliceryna działać będzie tym potężniej, że granit jest bardzo twardy i stawia wielki opór.

— A kiedy to zobaczymy, panie Cyrusie?

— Jutro, po wydrążeniu otworu — odparł inżynier.

Nazajutrz, 21 maja, o świcie wszyscy udali się na wschodni brzeg jeziora Granta.

Penkroff, pod kierownictwem inżyniera, uzbrojony w kilof zaczął kuć granitową skałę. Dziura, którą zamierzał wydrążyć, rozpoczynała się na poziomej krawędzi brzegu i powinna była zagłębiać się skośnie, tak aby jej koniec leżał znacznie poniżej poziomu wody w jeziorze. Tym sposobem siła eksplozji, rozsadzivszy skały, pozwoliłaby wodzie wylać się szerokim potokiem, co wywołałoby znaczne obniżenie wody w jeziorze.

Praca trwała długo; inżynier bowiem, chcąc spowodować potężny wybuch, zamierzał użyć co najmniej dziesięciu litrów nitrogliceryny. Lecz Penkroff z Nabem pracowali na przemian tak dzielnie, że około godziny czwartej wieczorem otwór na ładunek był gotowy.

Teraz trzeba było jeszcze zapalić substancję wybuchową. Zazwyczaj nitroglicerynę zapala się przy pomocy lontu. Cyrus Smith mógł wprawdzie sporządzić lont, wiedział jednak, że nitrogliceryna posiada właściwość eksplodowania wskutek silnego uderzenia. Postanowił więc z tego skorzystać, gotów zresztą użyć innego środka, skoro ten by go zawiódł.

Uderzenie młota w kilka kropeł nitrogliceryny rozlanej na twardym kamieniu wystarcza, aby wywołać eksplozję. Lecz robotnik, który podjąłby się tego uderzenia, musiałby sam paść ofiarą wybuchu. Cyrus Smith wymyślił zatem inny sposób. Na grubej linie ukreconej z włókien roślinnych Cyrus przymocował wysoko ponad otworem kawał żelaza, ważący kilka funtów.

* Gliceryna — bezbarwna gęsta ciecz o słodkim smaku, stosowana m.in. do wyrobu nitrogliceryny.

* Kwas siarkowy — bezbarwna, bezwonna oleista ciecz, działa żrąco na skórę, stosuje się go m.in. do wyrobu materiałów wybuchowych.

* Saletra — minerał, dawniej stosowany do wyrobu dymnego prochu strzelniczego.

* Kwas azotowy — bezbarwna dymiąca w powietrzu ciecz, rozpuszcza prawie wszystkie metale.

* Nitrogliceryna — bezbarwna, oleista ciecz o słodkawym i piekącym smaku, ma silne właściwości wybuchowe.

Drugi zaś podobny powróż, znacznie jednak dłuższy, nasączony siarką, przywiązał jednym końcem do środka pierwszego powrozu, podczas gdy drugi koniec ciągnął się PO ziemi kilkanaście stóp od otworu miny. Po zapaleniu lina będzie się palić aż połączenia z pierwszą, przepali ją, a wtedy żelazo spadając na nitroglicerynę wywoła wybuch.

Gdy wszystko przygotowano, inżynier napełnił otwór nitrogliceryną i puścił kilka jej kropeł na skalę, tuż pod zawieszonym ciężarem. Następnie chwycił koniec nasiarkowanej liny, zapalił i pobiegł do ukrycia, gdzie czekali już przyjaciele.

Lina miała spalać się przez dwadzieścia pięć minut i w istocie, po upływie czasu nastąpił wybuch, którego nie sposób opisać. Zdawało się, że cała wyspa zadrżała w swych posadach. Olbrzymi stos kamieni został wyrzucony w powietrze jak gdyby podziemną siłą wulkanu. Drżenie powietrza spowodowane wybuchem było tak silne, że skały Kominów zachwiały się. Koloniści, mimo że oddaleni całe dwie mile od eksplodującej miny, padli na ziemię.

Kiedy wszystko ucichło, pobiegli na płaskowyż do miejsca, gdzie brzeg jeziora został rozsadzony przez eksplozję.

Trzykrotny wiwat wydarł się z ich piersi! Ściana granitowa była szeroko rozwartą, a spieniona woda wylewała się przez otwór i z wysokości trzystu stóp spadała na wybrzeże.

ROZDZIAŁ XVIII

Penkroff przestaje wątpić. — Dawny kanał odpływowy. Wyprawa w głąb ziemi. — Korytarz we wnętrzu granitu. — Top znika. — Środkowa pieczara. — Podziemna studnia. — Nowa zagadka. — Przewiercenie ściany granitowej. — Powrót.

Zamiary Cyrusa Smitha powiodły się zupełnie, lecz sam ich twórca, jak to miał w zwyczaju, bez emocji patrzył na swoje dzieło. Harbert był zachwycony, Nab skakał z radości, zaś Penkroff kiwał dużą głową i mruczał pod nosem.

— Dla naszego inżyniera nie ma nic trudnego!

Nitrogliceryna spowodowała w istocie potężny wybuch. Nowo utworzona śluza była tak wielka, że ilość wody odpływającej przez nią obecnie przewyższała trzy razy tę, która wydostawała się przez dawny upust. Z tego wynikało, że poziom jeziora musiał wkrótce obniżyć się co najmniej o dwie stopy.

Nasi koloniści pospieszyli do Kominów po kilofy, oszczepy okute w żelazo, postronki z łyka, krzesiwo i hubkę, po czym powrócili znów na płaskowyż. Towarzyszył im Top.

Po drodze marynarz, który nie mógł powstrzymać się dłużej, odezwał się do inżyniera.

— A wie pan, panie Cyrusie, że tą prześliczną miksturą, którą pan sporządził, można całą tę wyspę wysadzić w powietrze?

— Bez wątpienia — odparł Cyrus Smith — wyspę i wszystkie lądy, i nawet całą Ziemię; zależy to tylko od ilości.

— Czy ta nitrogliceryna nie mogłaby służyć za nabój do broni palnej? — zagadnął marynarz.

— Nie, Penkroffie, gdyż mogłaby rozerwać strzelbę. Moglibyśmy jednak z łatwością wyprodukować bawełnę strzelniczą, a nawet proch, posiadając kwas azotowy, saletrę, siarkę i węgiel. Lecz niestety nie posiadamy broni — w tym sęk.

— O, panie Cyrusie! — odparł marynarz. — Troszkę dobrej woli!...

Koloniści stanęli niebawem przy dawnym odpływie i od pierwszego rzutu oka przekonali się, że ich cel został osiągnięty.

W granitowej ścianie jeziora, która wznosiła się tuż nad poziomem wody, ukazało się poszukiwane tak długo ujście. Inżynier przekonał się wówczas, że dno upustu nie obniżało się zbyt stromo, i że jeśli pochyłość będzie dalej jednakowa, uda się zejść aż do samego poziomu morza.

— A zatem, panie Cyrusie, nic nam nie przeszkadza! — odezwał się marynarz, który chciał jak najszybciej zbadać podziemny korytarz. — I tak Top nas wyprzedził!

— Dobrze — odparł inżynier. — Lecz nie możemy iść po omacku. Nab, przynieś nam smolnych gałęzi.

Nab z Harbertem pobiegli szybko do miejsca, gdzie sosny i inne zielone drzewa ocieniały brzegi jeziora i powrócili wkrótce z gałęziami powiązаныmi w kształcie pochodni. Zapalono te pochodnie za pomocą krzesiwa i koloniści na czele z Cyrusem zapuścili się w ów ciemny korytarz, który niedawno jeszcze wypełniała woda.

Wbrew przypuszczeniom, szerokość i wysokość podziemnego kanału zwiększała się i wkrótce mogli już iść wyprostowani. Ściany granitowe, od wieków zalane wodą były śliskie, trzeba więc było schodzić bardzo ostrożnie. Koloniści poprzywiązywali się linkami jeden do drugiego tak, jak to czynią turyści w górach. Na szczęście wyźłobienia w granicie skarpy tworzyły rodzaj schodów. Kropelki wody połyskiwały tysiącem barw przy blaskach pochodni; zdawało się, że ściany pokryte są nieprzeliczoną ilością stalaktytów. Inżynier przypatrywał się bacznie

szczerniałemu granitowi. Była to jednolita, jakby z jednej bryły wykuta masa. Znaczyło to, że kanał ten istniał na wyspie od samego jej początku. To nie działanie wody wydrążyło go wolno i stopniowo.

Koloniści schodzili bardzo wolno. Opanowało ich wzruszenie, widzieli tajemnicze głębie, w których nigdy jeszcze nie powstała noga ludzka. Milczeli i rozmyślali, a niejednemu z nich przyszło na myśl pytanie, czy jakiś potwór morski nie zamieszkuje wnętrza tej pieczary połączonej z morzem. Należało więc postępować naprzód z wielką ostrożnością.

Top biegi na czele tego małego orszaku i można było zaufać jego węchowi, który w razie jakiegoś niebezpieczeństwa na pewno by ich ostrzegł.

Gdy zeszli w dół około stu stóp dość krętym korytarzem, Cyrus Smith, ty prowadził, zatrzymał się, a inni poszli za jego przykładem. Ze sklepienia spadały krople wody, a powietrze, z lekka wilgotne, nie zdradzało żadnych szkodliwych wyziewów.

— Cóż tedy, Cyrusie? — odezwał się Gedeon Spilett. — Oto mamy schronienie ciche i głęboko ukryte, a jednak mieszkać w nim nie można.

— Dlaczego nie można? — zapytał marynarz.

— Bo jest za małe i za ciemne.

— Czy nie możemy go rozszerzyć, powiększyć, wydrążyć, wybić otwory, którymi wchodziłoby powietrze i słońce? — odparł Penkroff, który teraz nie wątpił w nic.

— Chodźmy dalej — odezwał się Cyrus Smith. — Może niżej okaże się, że sama przyroda oszczędziła nam tej pracy.

— Znajdujemy się dopiero w jednej trzeciej części wysokości — zauważył Harbert.

— Mniej więcej w jednej trzeciej — odparł Cyrus Smith. — Opuściliśmy się bowiem o jakieś sto stóp od otworu, może więc okazać się, że sto stóp poniżej...

— Gdzie jest Top? — zapytał Nab, przerywając swojemu panu. Przeszukano pieczarę. Psa nie było.

— Pewnie pobiegł naprzód — rzekł Penkroff.

— Spieszmy za nim — odparł Cyrus Smith.

Inżynier przypatrywał się uważnie wszystkim odnogom kanału i pomimo tylu rozmaitych zakrętów zapamiętał z łatwością ogólny kierunek, prowadzący do morza.

Gdy opuścili się jeszcze jakieś pięćdziesiąt stóp niżej, dobiegły ich jakieś; oddalone głosy, pochodzące z głębi. Zatrzymali się, wyęzając słuch. Głosy te, ' dochodząc z korytarza niby z tuby akustycznej, słyhać było coraz wyraźniej,

— To szczekanie Topa! — zawołał Harbert.

— Rzeczywiście — odparł Penkroff. — I to bardzo gniewne szczekanie!

— Mamy przy sobie oszczepy — rzekł Cyrus Smith. — Uwaga więc i dalej naprzód!

Cyrus Smith z towarzyszami pospieszyli na pomoc psu. Szczekanie Topa stawało się coraz wyraźniejsze. W jego urywanym głosie wyczuwało się nadzwyczajną wściekłość. Może walczył z jakimś zwierzęciem, które wypłoszył z kryjówki? Niepohamowana ciekawość opanowała osadników, tak że zapomnieli zupełnie o niebezpieczeństwie, na jakie się narażali. Już nie schodzili, lecz ześlizgiwali się po stokach kanału i w kilka minut później, o sześćdziesiąt stóp niżej, dotarli do miejsca, gdzie znajdował się Top.

Tu korytarz nagle się rozszerzał i tworzył obszerną, wspaniałą pieczarę. Biegał po niej Top, zajadle szczekając. Penkroff i Nab, pochyliwszy w doł pochodnie, oświetlili chropowate granitowe ściany, a Cyrus Smith, Gedeon Spilett i Harbert z przygotowanymi oszczepami stali na wszelki wypadek w pogotowiu.

Olbrzymia pieczara była jednak całkiem pusta. Koloniści przeszukali ją bardzo starannie. Nie było w niej nic, ani zwierzęcia, ani żadnej innej żywej istoty! A jednak Top nie przestawał szczekać i ani prośby, ani groźby nie zdołały go uciszyć.

— Musi tu być gdzieś szczelina lub otwór, przez który woda odpływała do morza — rzekł inżynier i dodał:

— Szukaj, Top, szukaj!

Pies zachęcony tymi słowami pobiegł na sam koniec pieczary i tu zaczął szczekać jeszcze głośniejsze.

Wszyscy poszli za nim i ujrzeli przy świetle pochodni otwór studni, wydrążonej w granicie. Właśnie tędy odpływała woda do morza, lecz nie był to już spadzisty korytarz, po którym można by chodzić, lecz prostopadła studnia, w którą zapuszczenie się było niemożliwe.

Pochylono pochodnie nad otworem, lecz nic nie było widać. Cyrus Smith odłamał palącą się drzazgę i rzucił ją w przepaść. Żywica, spadając zapłonęła jeszcze jaśniejszym płomieniem i oświetliła wnętrze studni, ale prócz gładkich ścian nic nie zdołali dostrzec. Wreszcie płomień zgasł z lekkim sykiem, co świadczyło, że gałąź wpadła do wody, osiągając poziom morza.

Inżynier po obliczeniu czasu jej spadania określił w przybliżeniu głębokość studni na dziewięćdziesiąt stóp.

Z tego wynikało, że jaskinia, w której się znajdowali, położona była dziewięćdziesiąt stóp nad poziomem morza.

— Oto nasze mieszkanie — rzekł Cyrus Smith.

— Zamieszkiwane przedtem przez jakieś stworzenie — odparł Gedeon Spilett, którego ciekawość nie została jeszcze zaspokojona.

— Jakiegokolwiek to było stworzenie — odparł inżynier — dość, że uniknęło tym otworem i ustąpiło nam miejsca.

— Bądź co bądź — dodał marynarz — chciałbym być Topem kwadrans temu, bo przecież nie szczekał bez przyczyny!

Pragnienia kolonistów zostały zatem w znacznej mierze zaspokojone. Szczęśliwy traf połączony ze sprytem ich przywódcy oddał im ważną przysługę. — Znajdowali się teraz w posiadaniu obszernej jaskini, której wszystkich zalet nie byli jeszcze w stanie ocenić przy słabym świetle pochodni, lecz zapewne nietrudno byłoby podzielić ją na izby za pomocą ścianek z cegieł i zamienić ją, jeśli już nie na porządny dom, to przynajmniej na obszerne mieszkanie — nie było się zatem czego obawiać.

Pozostawały jeszcze dwie trudności; pierwszą z nich stanowiło oświetlenie pieczary wydrążonej wśród jednolitej granitowej masy, drugą zaś ułatwienie o niej dostępu. Jeśli chodzi o oświetlenie, to niemożliwe było dostarczenie go z góry, gdyż granitowe sklepienie było w tym miejscu niesłychanie grube natomiast dałoby się może przebić boczną ścianę, wychodzącą na morze. Cyrus Smith, który obliczył w przybliżeniu nachylenie oraz długość kanału, by przekonany, że przednia część granitowej ściany nie była zbyt gruba. Rozwiązanie problemu światła pozwoliłoby jednocześnie uporać się z dostępem do jaskini: równie łatwo jak okna, można przebić drzwi, co pozwoliłoby wchodzić do środka za pomocą drabinki.

Cyrus Smith podzielił się swoimi pomysłami z towarzyszami.

— A zatem, panie Cyrusie, do dzieła! — zawołał Penkroff. — Spróbuję przebić ten granit kilofem. Gdzie trzeba zacząć?

— Tu — odparł inżynier, wskazując dzielnemu marynarzowi dość znaczną wklęsłość w granicie, która znacznie zmniejszała jego grubość.

Penkroff przez pół godziny pracował przy świetle pochodni tak, że odłamki granitu leciały dokoła. Skała pod ciosami kilofa sypała skry. Na zmianę z nim kuli także Nab i Gedeon Spilett.

Pracowali już dwie godziny i zaczęli się obawiać, czy grubość skały nie jest w tym miejscu zbyt duża jak na możliwości ich kilofa. Na szczęście po kolejnym uderzeniu, wykonanym przez Gedeona Spiletta, narzędzie przebił na wylot ścianę i przeleciało na drugą stronę.

— Hurra! I jeszcze raz hurra! — zawołał Penkroff. Grubość muru wynosiła w tym miejscu tylko trzy stopy.

Cyrus Smith wyrzwał przez otwór — przed nim rozpościerały się wybrzeże, wysepka, a dalej za nią nieskończony ocean.

Jednocześnie przez ten dość szeroki otwór wpłynęła struga światła i oświetlając tę wspaniałą pieczarę, odsłoniła czarodziejski widok! Podczas gdy lewa strona jaskini nie posiadała więcej jak trzydzieści stóp wysokości i szerokości przy stu długości, prawa była olbrzymich rozmiarów, a sklepienie jej wznosiło się na wysokość dziewięćdziesięciu stóp. Sklepienie to, oparte w niższych częściach na granitowych filarach jak nawa kościoła, tworzyło raz łuki, raz arkady znikające w ciemnych krużgankach, których fantastyczne kształty majaczyły w cieniu, ozdobione licznymi gzymsami tworzącymi wiszące ornamenty. Stanowiły dziwnie malowniczą mieszaninę wszystkiego, co architektura bizantyńska, romańska i gotycka wytworzyły ręką ludzką. A jednak było to dzieło samej tylko natury.

Koloniści oniemieli z zachwytu. Tam, gdzie spodziewali się znaleźć wąską, ciasną czeluść, znaleźli czarowny pałac. Nab odkrył głowę, jak gdyby przebywał w świątyni.

— Przyjaciele! — zawołał Cyrus Smith, oświetliwszy dostatecznie wnętrze grotty. — Przeznaczając jedną część na izby mieszkalne, magazyny i spichlerze, pozostanie nam jeszcze ta wspaniała grotta, w której zrobimy salę naukową i muzeum.

— A jak ją nazwiemy? — zapytał Harbert.

— Nazwiemy ją Granitowym Pałacem — odparł Cyrus Smith, a towarzysze powitali tę nazwę nowymi triumfalnymi okrzykami.

Pochodnie dopalały się, a ponieważ, aby dostać się na szczyt płaskowyżu, trzeba było przechodzić z powrotem przez kanał, postanowili odłożyć na następny dzień pracę przy urządzeniu nowego mieszkania.

Wychodząc, Cyrus Smith pochylił się jeszcze raz nad otworem ciemnej studni i zaczął przysłuchiwać się z wielką uwagą. Nie słyszał jednak żadnego szelestu, nawet szmeru fal, które wzburzone morze musiało rozkołysać w tych głębinach. Wrzucił jeszcze jedną palącą się gałązkę. Ściany studni oświetliły się na chwilę, ale nie dostrzegł więcej niż za pierwszym razem; nie było tam nic podejrzanego. Jeśli jakiś potwór morski został tu zniemacka zaskoczony przez odpływ wody, musiał już zapewne uciec do morza podziemnym kanałem ciągnącym się pod wybrzeżem.

Inżynier stał nieruchomo, wyciągając słuch, wpatrzony w otchłań, nie mówiąc ani słowa.

Marynarz zbliżył się do niego i dotykając jego ramienia rzekł:

— Panie Smith!

— Czego sobie życzysz, mój przyjacielu? — odparł inżynier, wyglądając tak, jakby jego duch powrócił z krainy marzeń.

— Pochodnie niebawem pogasną.

— A więc w drogę! — odparł Cyrus Smith.

Mały orszak opuścił pieczarę i zaczął wspinać się w górę ciemnym korytarzem. Top zamykał pochód, warcząc jeszcze od czasu do czasu. Droga była dość uciążliwa.

Wkrótce zaczęło do nich dochodzić świeże powietrze. Kropelki wody, osuszone przez powiew, nie błyszczały już na ścianach. Światło pochodni bladło coraz bardziej. Ta, którą niósł Nab, zgasła zupełnie i nie chcąc błądzić wśród ciemności, musieli się spieszyć.

Tak też właśnie uczyniono i przed samą czwartą, w chwili gdy z kolei zgasła pochodnia marynarza, Cyrus Smith z towarzyszami stanęli przy wyjściu z podziemia.

ROZDZIAŁ XIX

Plan Cyrusa Stnitha. — Fasada Granitowego Pałacu. — Sznurowa drabina. — Marzenia Penkroffa. — Ziola aromatyczne. — Naturalna królikarnia. — Doprowadzenie wody. — Widok z okien Granitowego Pałacu.

Nazajutrz, 22 maja, rozpoczęto prace przy urządzeniu nowego mieszkania. Kolonistom spieszyło się, by zamienić niewygodne schronienie w Kominach na to mieszkanie, obszerne i zdrowe, wydrążone we wnętrzach granitu, zabezpieczone tak od wody morskiej jak i od deszczu. Jeśli chodzi o Kominy, nie zamierzano ich całkiem porzucać, lecz według projektu inżyniera zamienić na warsztat do wykonywania najcięższych prac.

Pierwszą troską inżyniera było przekonanie się, w którym miejscu znajdowała się fasada Granitowego Pałacu. Udał się więc na wybrzeże do samego podnóża granitowej ściany, a ponieważ kilof, który wypadł reporterowi z ręki, musiał spaść pionowo, trzeba więc było odszukać go, aby znaleźć zarazem miejsce, w którym przebito ścianę.

Kilof znaleźli z łatwością i rzeczywiście, pionowo nad nim czerniał otwór, blisko dziewięćdziesiąt stóp nad wybrzeżem.

Plan inżyniera zakładał, by prawą część pieczary podzielić na kilka izb z przedsionkiem i oświetlić pięcioma oknami i drzwiami wykutymi w fasadzie. Penkroff rozumiał użyteczność okien, lecz nie pojmował potrzeby sporządzenia drzwi, skoro dawny kanał odpływowy tworzył naturalne schody, którymi łatwo można było dostać się do Granitowego Pałacu.

— Mój przyjacielu — odparł na to Cyrus Smith. — Skoro nam jest łatwo wejść do mieszkania tym kanałem, to z równą łatwością może to zrobić także ktoś inny. Ja, przeciwnie, mam zamiar zamknąć zupełnie otwór tego kanału, zamurować go szczelnie, a nawet, gdy zajdzie taka potrzeba, zasłonić go całkowicie, podnosząc poziom wody w jeziorze za pomocą tamy.

— A jak będziemy wchodzić? — zapytał marynarz.

— Zewnętrzna drabinka — odparł Cyrus Smith. — Drabinką sznurową, dzięki której, po wyciągnięciu jej do góry, dostęp do naszego mieszkania stanie się dla innych niemożliwy. Musimy ciągle pamiętać o piratach, grasujących w tej części Oceanu Spokojnego. Przygotujmy się więc na wszelki wypadek!

Według planu Cyrusa Smitha mieszkanie miało być podzielone na pięć pomieszczeń z widokiem na morze: po prawej stronie sien z drzwiami, do których miano przystawiać drabinkę, dalej kuchnia szeroka na trzydzieści stóp, pokój jadalny o szerokości czterdziestu stóp, pokój sypialny tej samej szerokości, a w końcu, uwzględniając żądanie Penkroffa, pokój bawialny przylegający do dużej sali.

Pokoje te, albo raczej szereg pokoi, stanowiących część mieszkalną Granitowego Pałacu, nie zajmowałyby całej szerokości pieczary. W tyle za nimi oddzielony korytarzem, miał ciągnąć się długi magazyn do przechowywania narzędzi, zapasów żywności i innych rupieci. Nie brakowało miejsca i każda rzecz mogła być starannie rozmieszczona. Zresztą koloniści posiadali jeszcze do dyspozycji ową małą grocie, położoną powyżej głównej pieczary, która mogła w nowym mieszkaniu zastąpić spiżarnię.

Nakreśliwszy plan, nie pozostawało nic, jak tylko go wykonać. Koloniści znowu zabrali się do wyrobu cegieł, które składali u podnóża Granitowego Pałacu.

Dotychczas Cyrus Smith i jego towarzysze mieli tylko jeden dostęp do pieczary: przez dawny kanał odpływowy. Obok znacznego trudu chodzenie tamtędy pociągało za sobą wielką stratę

czasu. Cyrus Smith postanowił zatem przystąpić bezzwłocznie do wykonania mocnej drabinki sznurowej, po usunięciu której Granitowy Pałac stawałby się absolutnie niedostępny.

Drabinka sporządzona została z wielką starannością, a jej wiązania, uplecione z sitowia, były tak wytrzymałe, jak grube liny. Materiału na szczeble dostarczył rodzaj cedru czerwonego o lekkich i trwałych gałązkach, a całe urządzenie wykonane zostało po mistrzowsku przez Penkroffa.

Przygotowano więcej takich lin z włókien roślinnych i przy drzwiach Granitowego Pałacu sporządzono rodzaj zaimprovizowanej windy. Tym sposobem wyciągano z łatwością cegły do góry aż do samych drzwi Pałacu. Transport materiałów został przez to znacznie uproszczony, niezwłocznie też przystąpiono do urządzania wnętrza nowego mieszkania.

Różnorodne te prace postępowały szybko pod kierownictwem inżyniera, który własnoręcznie dzierżył młot i kielnię. Żadna praca fizyczna nie była obca Cyrusowi, a miał do pomocy inteligentnych i gorliwych pracowników. Penkroff pracując w charakterze: czy to cieśli, czy powoźnika, czy też murarza zawsze miał uśmiech na ustach, a jego dobry humor udzielał się także reszcie mieszkańców tego małego światka. Jego zaufanie do inżyniera nie miało granic i nic nie zdołało go zachwiać. Marzył już o kanałach wodnych ułatwiających przewóz ziemiopłodów, o eksploatacji kopalń i minerałów podziemnych, o maszynach do produkcji wyrobów przemysłowych, ba, o kolejach żelaznych.... Tak jest? O kolejach, które gęstą siecią miały kiedyś pokryć Wyspę Lincoln.

Drabina była gotowa 28 maja. Miała przeszło sto szczebli. Koloniści szybko przywykli do używania jej, a Penkroff, który jako marynarz przyzwyczajony był do biegania po sznurowych drabinkach i linach okrętowych, mógł udzielać lekcji. Były one potrzebne przede wszystkim Topowi. Biedne psisko ze swymi czterema łapami nie było stworzone do tego rodzaju akrobatycznych ćwiczeń. Penkroff jednak był tak upartym nauczycielem, że pies w końcu poddał się swemu losowi i wlaził po drabinie tak sprawnie jak jego bracia w cyrkach. Trudno powiedzieć, czy marynarz był zadowolony ze swego ucznia. Pewne jest tylko, że nieraz dźwigał go pod górę na plecach, na co Top nigdy się nie uskarżał.

Podczas tych prac, wykonywanych z wielkim pośpiechem, gdyż zbliżał się czas słońca, nie zaniedbywano problemu pożywienia. Codziennie reporter z Harbertem, mianowani dostawcami osady, spędzali kilka godzin na polowaniu. Dotychczas polowali tylko w lesie, po lewej stronie rzeki, bowiem z braku mostu lub czółna niemożliwe było przeprawienie się na drugi brzeg. Nie poznali, więc do tej pory olbrzymich borów, nazwanych przez nich Lasem Dalekiego Zachodu. Ważną tę wyprawę odłożono do następnej wiosny. Ale i dostępny las obfitował w zwierzyne, pełno w nim było kangurów i dzików, a okute żelazem oszczepy, łuki i strzały dokonywały cudów. Co więcej, Harbert odkrył w południowo-zachodniej stronie lasu naturalną królikarnię — rodzaj nieco wilgotne łączki, porośniętej wierzbami i wonnymi ziołami, rozlewającymi w powietrzu balsamiczną woń.

Reporter zauważył, że skoro stół jest tak hojnie zastawiony dla królików, dziwne by było, gdyby nie znajdowały się gdzieś w pobliżu. Obaj myśliwi zaczęli uważnie rozglądać się po łące. Rosło na niej mnóstwo pożytecznych roślin. Harbert zerwał po kilka gałązek bazylii, rozmarynu, miodownika i bukowicy, posiadających różnorodne właściwości lecznicze.

Oprócz ziół leczniczych Harbert znalazł także pewną ilość dwulistnej roślinki, znanej w Ameryce Pomocnej pod nazwą „herbaty oswego”, dającej wyborny napój.

Wreszcie, po drugich poszukiwaniach, trafili na prawdziwą królikarnię. Ziemia podziurawiona była w tym miejscu jak sitko.

— To nory! — zawołał Harbert.

— Widzę je — odparł reporter.

— Ale czy zamieszkane?

— To inna kwestia.

Rozstrzygnięcie nastąpiło niebawem, bo oto setki zwierzątek podobnych do królików rozbiegły się w najrozmaitsze strony z taką szybkością, że sam Top nie mógłby ich dopędzić. Myśliwi jednak postanowili nie wracać do domu, nie schwytawszy przynajmniej pół tuzina tych czworonogów. Gdyby rozłożyli; kilka siatek na otworach nor, mogliby liczyć na pewny połów. W tej chwili jednak nie posiadali siatek, ani też możliwości ich sporządzenia. Musieli więc poprzestać na rozkopywaniu kijem pojedynczych nor i cierpliwością starać się dopiąć tego, czego nie można było dokonać innym sposobem.

Wreszcie, po całogodzinnym kopaniu, schwytali cztery zwierzątka. Były króliki zwane amerykańskimi, dość podobne do swych europejskich współplemieńców.

Zakończywszy urządzenie wnętrza Pałacu, inżynier zabrał się do zatkania otworu dawnego kanału odpływowego tak, aby uniemożliwić jakikolwiek dostęp z tej strony. Przywalono więc otwór olbrzymimi blokami skalnymi i spojono je mocno ze sobą. Cyrus Smith na razie nie zrealizował zamiaru zatopienia otworu przez podniesienie poziomu jeziora. Zasłonił tylko miejsce, gdzie był dawny upust zielskiem, krzewami i krzakami posadzonymi w szparach między blokami skał, które na wiosnę powinny się bujnie porozrastać i zakryć szczelinę.

Aby dostarczyć do nowej siedziby słodką wodę, Cyrus zostawił w dawnym upuście mały otwór, trochę poniżej poziomu jeziora. Ta wąziutka struga czystej i nigdy nie wysychającej wody dostarczała dwadzieścia pięć do trzydziestu galonów* dziennie. Wody więc nie powinno w Granitowym Pałacu nigdy zabraknąć.

Wreszcie wszystko było gotowe i to w ostatniej chwili, gdyż nadchodziła pora deszczowa. Zrobiono nawet grube okiennice do zamykania frontowych otworów.

Dzielni koloniści mieli prawo do zadowolenia, a Penkroff nie szczędził pochwał nowemu mieszkaniu, które żartobliwie nazywał „swoim apartamentem na piątym piętrze”...

* Jeden galon zawiera 4½ naszych kwart (czyli około 1 litra).

ROZDZIAŁ XX

Pora deszczowa. — Kwestia ubrania. — Polowanie na fokę. — Produkcja świec. — Domowe roboty w Granitowym Pałacu. — Dwa mostki. — Wyprawa po ostrygi. — Co Harbert znalazł w kieszeni.

Pora zimowa rozpoczęła się w czerwcu, któremu na półkuli pomocnej odpowiada grudzień. Zaczęła się ulewą i następującymi po sobie wichrami. Dopiero wtedy mieszkańcy Granitowego Pałacu mogli ocenić korzyści mieszkania osłoniętego od burz i słoty.

Cyrus Smith zabezpieczył także umieszczoną w Kominach kuźnię i piec.

Cały czerwiec upłynął na różnego rodzaju pracach, przy których nie zaniebawiano także polowania ani rybołówstwa, tak że spiżarnia była zawsze obficie zaopatrzona. Penkroff postanowił codziennie łapać kilka królików. Nab prawie cały czas spędzał na soleniu i wędzeniu mięsa, wskutek czego konserwowało się wybornie.

Należało także pomyśleć o ubraniu. Koloniści posiadali tylko to ubranie, w którym balon wyrzucił ich na wysepkę. Było ono ciepłe i trwałe, dbali o nie i utrzymywali je we wzorowej czystości; mimo to trzeba je było już czymś załapać. Na wypadek ostrej zimy, groziło im dotkliwe zimno.

W tym względzie pomysłowość zawiodła Cyrusa. Zmuszony był on myśleć o pilniejszych potrzebach; tym sposobem mrozy mogły ich zaskoczyć, zanim problem odzieży zostałby załatwiony. Trzeba więc było uzbroić się w cierpliwość i spędzić zimę bez nowego odzienia. Z nadejściem wiosny postanowili zorganizować wielkie polowanie na muflony, które pokazały się im podczas wycieczki na górę Franklina. Z nagromadzonej wełny inżynier będzie mógł sporządzić ciepłe i trwałe materiały... Jak? — to już było jego tajemnicą.

— No cóż, wynagrodzimy to sobie, grzejąc nasze łydki przy ogniu w Granitowym Pałacu! — rzekł Penkroff. — Opału mamy dość, nie ma więc powodu, go oszczędzać.

— Zresztą — odparł Gedeon Spilett — Wyspa Lincoln nie leży zbyt wysoko, więc prawdopodobnie zimy nie są tu zbyt ostre. Wszak powiedziałeś, Cyrusie, że ten trzydziesty piąty równoleżnik odpowiada mniej więcej położeniu Hiszpanii na tamtej półkuli?

— Bez wątplenia — odparł inżynier. — Jednak i w Hiszpanii bywają czasem ostre zimy! Nie brak wtedy ani śniegu, ani mrozów; więc i wyspa Lincoln może być także na nie narażona. W każdym razie jest to zawsze wyspa, i jako taka powinna, mieć klimat bardziej umiarkowany.

— Dlaczego, panie Cyrusie? — zapytał Harbert.

— Ponieważ morze, moje dziecko, można uważać za rodzaj olbrzymiego zbiornika przechowującego w sobie ciepło nagromadzone latem. W zimie zwraca to ciepło, więc w krajach nadmorskich panuje zawsze umiarkowana temperatura, niezbyt wysoka w lecie i niezbyt niska w zimie.

— Przekonamy się o tym — odparł Penkroff. — Nie zamierzam łamać sobie głowy nad tym, czy będzie zimno, czy nie. To jednak pewne, że dni są już krótkie, a wieczory długie. Dlatego warto by się zastanowić nad kwestią oświetlenia.

— Nic łatwiejszego — odparł Cyrus Smith.

— Kiedy się do tego zabierzemy?

— Jutro! A zaczniemy od polowania na fokę.

— Aby produkować z nich świece łojowe?

— Wstydź się Penkroffie, świece woskowe!

Taki był rzeczywiście projekt inżyniera. Dał się on łatwo zrealizować, łąszczą że posiadali wapno i kwas siarkowy, a foki miały im dostarczyć potrzebnego do tej produkcji tłuszczu.

Był 4 czerwca i niedziela Zielonych Świąt. Uchwalili zatem jednogłośnie, by obchodzić to święto uroczystie. Zaprzestali wszystkich prac i modlili się gorliwie. Lecz były to modlitwy dziękczynne. Koloniści Wyspy Lincoln nie byli bowiem nędznymi rozbitkami, wyrzuconymi na odludną wyspę. Nie prosili już o nic, lecz dziękowali.

Nazajutrz. 5 czerwca, przy dość niepewnej pogodzie wyruszyli na wysepkę Trzeba było skorzystać z odpływu, aby przejść w bród kanał. Przy tej okazji postanowili także wybudować czółno, które ułatwiałoby im w przyszłości komunikację i na którym by mogli popłynąć Rzeką Miłosierdzia w głąb kraju.

Fok było pod dostatkiem i nasi myśliwi, uzbrojeni w okute żelazem oszczepy, z łatwością ubili pół tuzina. Nab z Penkroffem oprawili je na miejscu i zabrali ze sobą tylko tłuszcz i skóry, które miały im służyć do wyrobu obuwia.

Efektom polowania było około trzysta funtów tłuszczu, który mieli wykorzystać do produkcji świec.

Operacja ta nie przedstawiała najmniejszych trudności. Otrzymany produkt nie był wprawdzie zupełnie doskonały, lecz na pewno użyteczny. Gdyby Cyrus Smith nie posiadał nic więcej prócz kwasu siarkowego, to zmieszawszy go z tłuszczem takim, jak np. tłuszcz fok i rozgrzawszy tę mieszaninę przy ogniu, mógł wydzielić z niej glicerynę, a następnie oleinę, margarynę i stearynę. Dla uproszczenia tego procesu wołał zmydlać tłuszcz przy pomocy wapna. Dzięki temu otrzymał mydło wapienne, które pod wpływem kwasu siarkowego dało się łatwo rozkładać: wapno osiadło na spodzie jako siarczan, a kwasy tłuszczowe zostały uwolnione.

Z tych trzech kwasów: oleinowego, margarynowego i stearynowego pierwszy, będący cieczą, został usunięty na skutek wyciskania. Dwa pozostałe utworzyły substancję, z której mieli formować świece.

Cała praca nie trwała dłużej jak dwadzieścia cztery godziny. Knoty sporządzono po kilku próbach z włókien roślinnych. Zamaczane zaś w owym płynie zmieniły się w prawdziwe świece stearynowe, którym prócz białości i politory nie brakowało nic więcej. Nie posiadały zapewne tych zalet, co świece maczane w kwasie bornym, które w miarę jak się palą, nabierają pewnej szklistości, a wypalają się całe aż do najmniejszego kawałeczka. Cyrus Smith jednak sporządził bardzo dobre szczypce do ich przycinania. I tym sposobem świece te oświetlały im długie wieczory spędzane w Granitowym Pałacu.

Przez cały ten miesiąc nie brakowało również pracy w nowym mieszkaniu, przede wszystkim pracy stolarskiej; oprócz tego ulepszyli narzędzia, które miały prymitywny kształt i powiększyli ich zasób.

Między innymi zrobiono także nożyczki, którymi nasi koloniści mogli wreszcie obciąć sobie włosy, a brody, jeżeli nie ogolić, to przynajmniej przystrzyć według upodobania. Harbert nie posiadał brody, Nab miał niewielką; lecz ich towarzysze mieli zarost, który w zupełności usprawiedliwiał potrzebę wykonania nożyczek.

Sporządzenie piły ręcznej kosztowało ich bardzo wiele trudu, ostateczniej jednak otrzymali produkt, którym przy pewnym wysiłku można by ciąć drzewo. Korzystając z niego zrobili stoły, ławki, szafy, którymi umeblowali główne pokoje; wreszcie łóżka, których całą pościel stanowiły materace z ziół i trawy. Kuchnia z półkami, na których stały naczynia z wypalanej gliny, i z piecem ceglany wyglądała doskonale, a Nab urzędował w niej z taką powagą, jak w jakimś laboratorium chemicznym.

Po robocie stolarskiej przyszedł czas na ciesielską. Nowy kanał odpływowy wymagał koniecznie dwóch mostów, z których jeden musiał być postawiony na Wielkim Płaskowyżu, a

drugi na samym wybrzeżu. Obecnie bowiem tak Płaskowyż jak i wybrzeże przecinał potok, który trzeba było przebyć, chcąc dotrzeć w północne okolice wyspy. Aby go ominąć, trzeba było chodzić daleko na zachód, aż za źródła Czerwonego Potoku. Należało więc zbudować dwa mosty: jeden na płaskowyżu, drugi na wybrzeżu, długie od dwudziestu do dwudziestu pięciu stóp i składające się z kilku ociosanych z gałęzi drzew. Cała ta praca trwała kilka dni. Z postawionych w ten sposób mostów skorzystali od razu Nab z Penkroffem, udając się do owych ławic ostryg, które odkryli wśród nadbrzeżnych wzgórz. Wzięli ze sobą coś w rodzaju niekształtnego wózka, który miał zastąpić dawniejszą plecionkę, zbyt niewygodną. Przywieźli ze sobą kilka tysięcy ostryg, które osiedliły się od razu wśród skał, tworząc naturalne ławice przy ujściu Rzeki Miłosierdzia. Mięczaki były doskonałe i prawie codzienne służyły za danie.

Jeden tylko brak dawał się odczuć osadnikom. Mieli pod dostatkiem pożywienia mięsnego i roślinnego; korzonki ze smokowców, należycie sfermentowane, dostarczały im kwaskowatego napoju, czegoś w rodzaju piwa, daleko lepszego od czystej wody. Wyprodukowali nawet cukier i to bez trzciny cukrowej i bez buraków, zbierając w naczynia ciecz, którą wydzielają z siebie drzewa należące do rodziny klonów, zwane przez botaników: *Acer saccharinum*, rosnące we wszystkich krajach strefy umiarkowanej, a których wielką ilość posiadała także wyspa. Z dziko rosnących ziół przyrządzali wyborną herbatę. Wreszcie posiadali także pod dostatkiem soli, która jest jedynym minerałem wchodzącym w skład pożywienia. Czego im brakowało? Otóż chleba! Może później uda się zastąpić ten artykuł czymś innym, np. mąką z sago lub mączką z drzewa chlebowego; może drzewa te znajdują się w lesie na południu wyspy — jednak dotąd ich nie znaleziono.

Opatrzność jednak miała przyjść im z pomocą; prawda, że tylko w drobnej części lecz bądź co bądź Cyrus Smith z całą swą pomysłowością i inteligencją je zdołałby nigdy wyprodukować tego, co Harbert pewnego dnia przez czysty przypadek znalazł w podszewce swej kamizelki, którą właśnie naprawiał.

Tego dnia — deszcz lał wtedy strumieniami — koloniści zgromadzeni byli dużej sali Granitowego Pałacu, gdy nagle Harbert zawołał:

— Proszę spojrzeć, panie Cyrusie. Oto ziarnko zboża!

I pokazał towarzyszom ziarno, jedyne ziarno, które przez dziurawą kieszeń kamizelki dostało się za podszewkę.

Przypadek ten miał bardzo łatwe wytłumaczenie Harbert, będąc jeszcze w Richmond, miał zwyczaj karmić kilka dzikich gołębi grzywaczów, które mu podarował Penkroff.

— Co. ziarno zboża? — zapytał żywo inżynier.

— Tak, panie Cyrusie, ale tylko jedno, jedyne!

— E! Mój chłopcze — zawołał, śmiejąc się Penkroff — nie ma o czym mówić. Cóż poczęlibyśmy z jednym ziarnkiem zboża?

— Będziemy z niego mieli chleb — odparł inżynier.

— Chleb? Może ciastka i torty! — zaśmiał się marynarz. — No, no! Żebyśmy tylko nie pochorowali się z przejedzenia.

Harbert, nie przywiązując większej wagi do swojego odkrycia, chciał już wyrzucić ziarnko, gdy Cyrus Smith wziął je do ręki, przypatrzył mu się dokładnie, a przekonawszy się, że jest jeszcze w dobrym stanie, utkwiał wzrok w marynarzu i odezwał się spokojnie:

— Wiesz, Penkroffie, ile jedno ziarnko może zrodzić kłosów? — Przypuszczam, że jeden kłos! — odparł marynarz, zdziwiony tym pytaniem.

— Dziesięć kłosów. A wiesz, Penkroffie, ile jeden kłos może zrodzić ziarenek?

— Przyznam się, że nie wiem..

— Przeciętnie osiemdziesiąt — rzekł Cyrus Smith. — Otóż, pierwszy plon z niego przyniósłby nam osiemset ziaren, drugi plon zasadzony z tych ziaren przyniósłby dwieście czterdzieści tysięcy ziaren, trzeci plon pięćset dwanaście milionów, czwarty plon przeszło czterysta miliardów ziaren. Taka jest proporcja.

Towarzysze Cyrusa słuchali go w milczeniu. Liczby te zdumiewały ich, a Jednak były dokładne.

— Tak, moi przyjaciele — ciągnął dalej inżynier. — Tak wielka jest płodność natury. A czymże jest to rozmnażanie się ziarenka zboża, którego jeden kłos wydaje tylko osiemdziesiąt ziaren w porównaniu z jedną torebką maku, która wydaje trzydzieści dwa tysiące ziaren; lub z laską tytoniu, która wydaje ich trzysta sześćdziesiąt tysięcy? Gdyby nie rozliczne przyczyny, które hamują jej rozrost i płodność, rośliny te w przeciągu kilku lat opanowałyby całą ziemię.

— A teraz powiedz mi jeszcze, Penkroffie — kontynuował inżynier — ca wiesz ile korców* zboża można otrzymać z czterystu miliardów ziaren?

— Nie wiem — odparł marynarz. — Wiem tylko tyle, że jestem głupi!

— Otóż przeszło trzy miliony, licząc sto trzydzieści tysięcy ziaren na je korzec.

— Trzy miliony korców! — zawołał Penkroff.

— Trzy miliony.

— W ciągu czterech lat?

— Tak jest — odparł Cyrus Smith. — A nawet tylko przez dwa lata, jeśli, jak sędzę po geograficznym położeniu naszej wyspy, będziemy mieli w roku dwa razy żniwa.

— Otóż zrobiłeś dziś, Harbercie, odkrycie niezmiernie dla nas ważne — dodał inżynier. — Wszystko, mój przyjacielu, wszystko może się nam przydać w położeniu, w jakim się znajdujemy. Proszę was, pamiętajcie o tym.

— Tak, panie Cyrusie, nie zapomnimy o tym na pewno — odparł Penkroff — a jeśli znajdę kiedyś ziarnko tego tytoniu, co to się mnoży trzysta sześćdziesiąt tysięcy razy, to zapewniłbym pana, że go nie rzucę na wiatr! A teraz wiecie, przyjaciele, co nam wypada zrobić?

— Zasadzić to ziarnko — odparł Harbert.

— Tak jest — dodał Gedeon Spilett — i to z całą pieczołowitością, na jaką zasługuje, gdyż ziarnko to ukrywa w sobie nasze przyszłe żniwo.

— Oby tylko wzeszło! — zawołał marynarz.

— Wzjedzie — odparł Cyrus Smith.

Było to 20 czerwca, a zatem właśnie w porze sposobnej do zasadzenia tego jedyne, a tak drogiego ziarenka. Początkowo chcieli go zasadzić w garnku napełnionym ziemią; po namyśle jednak postanowili zaufać naturze i powierzyć je ziemi. Stało się to jeszcze tego samego dnia, a zbyteczne byłoby dodawać, że nie pominięto przy tym żadnego środka, mogącego zapewnić pomyślny plon.

Niebo rozjaśniło się nieco, a koloniści wspięli się na sam szczyt Granitowego Pałacu. Tu znaleźli miejsce dobrze zakryte od wiatru, a jednocześnie wystawione na pełne działanie południowych promieni słońca. Oczyścili to miejsce, wyplewili z niego troskliwie chwasty, skopali je nawet, aby wypłoszyć z niego robactwo, położyli na nim warstwę czarnej ziemi zmieszanej trochę z wapnem, ogrodzili je — po czym złożyli ziarenko w wilgotny grunt.

Można powiedzieć, że koloniści położyli kamień węgielny pod przyszłą budowę. To przypominało Penkroffowi ów dzień, kiedy to zapalił jedyną zapałkę, jaką wtedy posiadał i trud, jaki kosztowała go ta operacja. Tym razem jednak była to rzecz o wiele większej wagi. Ostatecznie rozbitkowie mogliby zawsze jakimś sposobem zdobyć w końcu ogień, lecz żadna

* Korzec — dawna jednostka objętości, o bardzo zróżnicowanej wielkości: od 43 do 128 litrów.

ludzka potęga nie zdołałaby oddać im tego ziarnka zboża, gdyby nieszczęśliwym trafem miało zaginać.

ROZDZIAŁ XXI

Kilka stopni poniżej zera. — Wyprawa do bagien na południowym wschodzie. — Widok morza. — Rozmowa o przyszłości Oceanu Spokojnego. — Nieustanna praca wymoczków. — Co się stanie z naszą ziemią? — Polowanie. — Kacze Błota.

Od tej chwili nie było dnia, żeby Penkroff nie odwiedzał miejsca, które nazywał „łanem zboża”. A biada owadom, które się tam zapędziły! Nie było dla nich łaski ani przebaczenia.

Pod koniec czerwca, po nieskończone długich deszczach, powietrze się stanowczo oziębiło i 29 termometr Fahrenheita wskazałby niezawodnie tylko kilkanaście stopni powyżej zera.

Nastaly ostre mrozy. Lodowce nagromadziły się przy ujściu Rzeki Miłosierdzia i wkrótce jezioro zamarzło na całej powierzchni.

Musieli kilkakrotnie odnawiać zapas opalu. Oprócz drewna gromadzili także torf, po który trzeba było chodzić aż do podnóża Góry Franklina. Silne ciepło, jakie daje torf, docenili koloniści, gdy 4 lipca temperatura spadła do ośmiu stopni Fahrenheita. Urządzono drugi komin w jadalni i tam wszyscy razem pracowali.

W tym okresie Cyrus Smith mógł być zadowolony, że doprowadził do Granitowego Pałacu mały strumyczek wody z jeziora Granta. Woda ta, wypływająca spod lodowej skorupy, przechodząc przez dawny upust bezpośrednio pod zamrażającą taflą jeziora, płynęła do wewnętrznego zbiornika, skąd znowu jej nadmiar odpływał przez studnię do morza.

W tym czasie, korzystając z suchego powietrza, koloniści ubrani jak można było najcieplej, postanowili poświęcić jeden dzień na zbadanie wyspy, w części południowo-wschodniej, pomiędzy Rzeką Miłosierdzia a Przylądkiem Ostrego Szpona. Była to obszerna, bagnista przestrzeń, na której spodziewał się znaleźć mnóstwo wodnego ptactwa.

Należało liczyć osiem do dziewięciu mil drogi tam i tyle samo na powrót, dzień był więc bardzo pracowity. Ponieważ chodziło także o zbadanie nieznannej części wyspy, w tej wyprawie miała wziąć udział cała osada. 5 lipca o szóstej rano, gdy ledwie zaświtało, Cyrus Smith, Gedeon Spilett, Harbett Nab i Penkroff, uzbrojeni w oszczepy, okute kije, łuki i strzały i zaopatrzeni w wystarczające zapasy żywności, opuścili Granitowy Pałac, poprzedzani przez Topa, podskakującego wesoło przed nimi.

Wybrano najkrótszą drogę, czyli przejście Rzeką Miłosierdzia po lodach, którymi wtedy była skuta.

Pierwszy raz koloniści postawili nogę na prawym brzegu Rzeki Miłosierdzia i zapuścili się pomiędzy owe wielkie i okazałe drzewa iglaste, pokryli wtedy śniegiem.

Nie uszli jeszcze mili, gdy nagle z gęstych zarośli wyskoczyła wystraszona ujadaniem Topa cała rodzina jakichś czworonogów, która widocznie tam mieszkała.

— Ach!... Wydaje mi się, że to lisy! — zawołał Harbert, widząc całą gromadę umykającą w pośpiechu.

Były to rzeczywiście lisy, dosyć duże, które wyły tak okropnie, że przeraziły Topa. Pies zatrzymał się i tym sposobem pozwolił uciec tym szybkim zwierzętom.

— Czy ich mięso jest jadalne? — zapytał Penkroff, który tylko z tego jednego punktu oceniał wszystkich przedstawicieli fauny na wyspie.

— Nie — odrzekł Harbert. — Choć właściwie można spróbować! Zoologia wciąż zastanawia się czy nie zaliczyć ich do gatunku psów.

Cyrus Smith nie mógł powstrzymać uśmiechu, słysząc uwagę młodego chłopca, dowodzącą jak doskonale znał się na wszystkim. Natomiast marynarz, od chwili kiedy dowiedział się, że

lisów nie można zaliczyć do gatunku jadalnych, stracił dla nich całe zainteresowanie. W każdym jednak razie — zauważył — gdy w Granitowym Pałacu rozpocznie się chów drobiu, trzeba będzie zabezpieczyć się przeciwko odwiedzinom tych rabusiów na czterech łapach: Nikt nie odmówił słuszności tej uwadze.

Była ósma rano. Niebo było bardzo czyste, jak to się zdarza przy silnych, i długotrwałych mrozach, ale rozgrzani pochodem Cyrus Smith i jego towarzysze nie odczuwali zbytnio mroźnego i ostrego powietrza; poza tym nie było wcale wiatru. Morze było zupełnie spokojne, jego fal nie mąciło żadne podwodne wzniesienie, wody miały jednostajny kolor, co dowodziło, że wybrzeże jest urwiste, a Ocean kryje w tym miejscu głębokie otchłanie.

Z tyłu na zachodzie rozpościerały się w odległości czterech mil pierwszej linie drzew Lasu Dalekiego Zachodu.

Koloniści rozpalili ogień z chrustu i suchych zielsk morskich, a Nab przygotował śniadanie złożone z zimnego mięsa, do którego wypili kilka szklanek herbaty oswego. Jedząc, rozglądali się wokoło. Ta część Wyspy Lincoln była jałowa i pusta.

Reporter zauważył, że gdyby przypadek rzucił ich najpierw na tę część wybrzeża, mieliby jak najgorsze wyobrażenie o swojej przyszłej siedzibie.

— Dosyć dziwne jest to — zauważył Gedeon Spilett — że wyspa ta, stosunkowo mała, odznacza się taką różnorodnością warunków. Taka różnaitość bywa zazwyczaj właściwością lądów stałych i to w dodatku bardzo rozległych. Można by założyć, że część zachodnia Wyspy Lincoln, tak bogata i żyzna, znajduje się w zasięgu wód Zatoki Meksykańskiej, a wybrzeża północne i południowo-wschodnie rozciągają się nad Morzem Arktycznym.

— Masz słuszność, Gedeonie — odrzekł Cyrus Smith. — Ja także to zauważyłem. Ta wyspa wydaje się bardzo dziwna; tak ze względu na jej kształt, jak i szatę roślinną. Zastanawiam się, czy nie była kiedyś stałym lądem...

— Jak to możliwe! Stały ląd pośrodku Oceanu Spokojnego?! — wykrzyknął Penkroff.

— Dlaczego nie? — odparł Cyrus Smith. — Czemu Australia, Nowa Zelandia, to wszystko, co angielscy geografowie nazywają Australazją, w połączeniu z archipelagami Oceanu Spokojnego, nie miałyby kiedyś stanowić szóstą częśći świata, równie ważnej jak Europa lub Azja; jak Afryka, lub obie Ameryki? Możliwe, że wszystkie te wyspy wyłonione z Oceanu są tylko szczytami lądu, obecnie zatopionego, ale górującego nad wodami w epokach prehistorycznych.

— Takiego, jak niegdyś Atlantyda — wtrącił Harbert.

— Tak jest, moje dziecko — jeżeli tylko rzeczywiście istniała.

— I Wyspa Lincoln miałaby stanowić częśćkę tego lądu? — spytał Penkroff.

— Jest to możliwe — odparł Cyrus Smith. — To wyjaśniałoby jednocześnie tę różnorodność ukształtowania powierzchni i różnaitość roślinności.

— I znaczną ilość zwierząt, które ją zamieszkują — dodał Harbert.

— Tak jest, moje dziecko — odrzekł inżynier. — Dostarczasz mi nowego argumentu na poparcie mojej tezy.

— A więc pewnego pięknego dnia — rzekł Penkroff, nie będący jeszcze zupełnie przekonany — to, co pozostało z owego starego kontynentu, może z kolei fiknąć i me będzie już nic pomiędzy Ameryką i Azją?

— Wręcz przeciwnie — odparł Cyrus Smith. — Będą nowe lądy stałe, nad których zbudowaniem pracują w tej chwili miliardy miliardów zwierzątek.

— A kim są ci murarze? — zapytał Penkroff.

— To wymoczki koralowe — odrzekł Cyrus Smith. — One to nieustanną pracą utworzyły wyspę Clermont Tonnere i inne niezliczone wyspy koralowe rozrzucone po Oceanie Spokojnym.

Potrzeba czterdzieści siedem milionów tych wymoczków na jeden gran* ciężaru, a jednakże z soli morskiej, którą pochłaniają i z jonów stałych cząsteczek wody, te zwierzątka produkują wapń, a wapń tworzy budowy podmorskie, których siła i trwałość dorównują budowlom granitowym. Kiedyś, w początkowych epokach istnienia świata, działały się to za pomocą ognia; teraz zaś to samo robią mikroskopijne zwierzęta. I wierzę, że po wielu wiekach dzięki pracy tych wymoczków Ocean Spokojni może się zmienić w obszerny ląd stały, który zamieszkają i ucywilizują nowe generacje.

— Ale po co są potrzebne jeszcze nowe lądy? — spytał Harbert. — Wydaje mi się, że obecny obszar zamieszkałych lądów całkowicie wystarcza ludzkości. A natura nie robi nic bezużytecznego.

— Rzeczywiście, nic bezużytecznego — odrzekł inżynier. — Ale jest przyczyna, którą można wytłumaczyć konieczność utworzenia na przyszłość nowych lądów i to właśnie w tym pasie tropikalnym, zajęтым przez wyspy koralowe. Przynajmniej mnie to tłumaczenie przekonuje.

— Słuchamy pana, panie Cyrusie — rzekł Harbert.

— A więc słuchajcie: uczeni przyjmują ogólnie, że pewnego dnia nasz świat przestanie istnieć, albo raczej, że życie roślinne i zwierzęce zaniknie na] skutek znacznego oziębienia. Trudno ustalić tylko, jaka będzie przyczyna tego oziębienia. Jedni uczeni sądzą, że wyniknie ono z obniżenia temperatury Słońca; inni, że ze stopniowego wygaśnięcia wewnętrznych ogni naszego globu. Co do mnie, jestem za tą ostatnią hipotezą, opierając się na fakcie, że Księżyc jest istotnie wyziębioną gwiazdą, która nie nadaje się do zamieszkania, chociaż Słońce ciągle posyła na jej powierzchnię tę samą ilość ciepła. Jeżeli więc nastąpiło oziębienie Księżyca, to dlatego, iż jego ognie wewnętrzne, którym jak i inne gwiazdy zawdzięcza swój początek, kompletnie wygasły. Nie znamy przyczyny, lecz pewne jest, że nasza kula ostygnie pewnego dnia, ale stygnięcie to przyjdzie powoli. Cóż się wówczas stanie? Strefy umiarkowane będą tak samo niezamieszkałe jak obecnie okolice podbiegunowe. A wtedy ludzie i gromady zwierząt przemieszczą się ku szerokościom bardziej nasłonecznionym. Ogromna emigracja stanie się faktem. Europa, Azja Środkowa, Ameryka Północna zostaną powoli wyludnione tak jak Australia i części nizinne Ameryki Południowej. Podobnie będzie ze światem roślinnym. Flora cofnie się ku równikowi razem z fauną. Środkowe części Ameryki Południowej i Afryki staną się lądami zamieszkałymi. Lapończycy i Samojedzi odnajdą warunki klimatyczne Morza Polarnego na wybrzeżach Morza Śródziemnego. Kto nam zaręczy, że w tej epoce okolice równikowe nie będą zbyt małe, by pomieścić i wyżywić całą ludność Ziemi? Dlaczego więc przewidująca natura, chcąc stworzyć schronienie dla emigracji roślinnej i zwierzęcej, nie miała już dzisiaj zakładać pod równikiem fundamentów nowego lądu stałego i powierzyć wymoczkom jego budowy? Zastanawiałem się nad tym wielokrotnie, moi przyjaciele, i mocno wierzę, że powierzchnia Ziemi zmieni się pewnego dnia zupełnie, że na skutek podwyższenia nowych kontynentów morza zaleją dawne lądy. Potem także te nowe lądy staną się bezludne; ciepło z nich ucieknie, jak ciepło ciała, które opuściła dusza i życie zniknie z naszego globu jeżeli nie ostatecznie, to co najmniej chwilowo. Może wtedy kula ziemską odpocznie sobie a później zmartwychwstanie w lepszych warunkach. Ale to wszystko, moi przyjaciele, jest tajemnicą Twórcy Wszechrzeczy, a z powodu pracy wymoczków dałem się wciągnąć za daleko w rozpatrywaniu sekretów przyszłości.

— Mój drogi Cyrusie — odpowiedział Gedeon Spilett. — Uważam te teorie za prorocstwa i sądzą, że spełnią się niezawodnie.

— To tajemnica Boża — rzekł inżynier.

— Wszystko to dobrze i pięknie — odezwał się Penkroff, słuchający dotąd niezwykle zachłannie. — Ale może mi pan powiedzieć, panie Cyrusie, czy Wyspa Lincoln zbudowana była także przez takie wymoczki?

— Nie — odrzekł Cyrus Smith. — Ona ma początek czysto wulkaniczny.

— A więc zniknie pewnego dnia? — Bardzo możliwe...

— Spodziewam się, że nas tu już nie będzie.

— O nie, bądź spokojny Penkroffie, nie będzie nas już tutaj, nie mamy przecież najmniejszej ochoty tu umierać i niewątpliwie znajdziemy w końcu jakiś sposób na wydostanie się z tego miejsca.

Na tym skończyła się rozmowa, a wraz z nią i śniadanie. Koloniści powrócili do badania okolicy i wkrótce dotarli do miejsca, od którego rozpoczynały się bagna. Były to właściwie błota, których przestrzeń, ograniczająca wyspę od południowego-wschodu, mogła wynosić dwadzieścia mil kwadratowych. Grunt składał się z mułu gliniasto-krzemienistego, pomieszanego ze szczątkami roślinnymi. Kilka zamarzniętych kałuż błyszczało, odbijając promienie słoneczne. Tych małych zbiorników wody nie mogła utworzyć ani wezbrana rzeka, ani deszcze. Należało wnioskować, iż bagnisko to zasilala woda sącząca się z ziemi — i tak też było w istocie. Można się nawet było obawiać, aby w czasie upałów powietrze nie przesiąkło wyziewami, powodującymi zaraźliwe gorączki.

Ponad zielskiem wodnym i nad powierzchnią stojących wód unosiły się stada ptaków. Dzikie kaczki, kurki, cyranki, kszuki żyły tu gromadnie i nie zdradzając najmniejszej obawy pozwalały się z łatwością podejść. Jeden strzał z broni palnej niewątpliwie położyłby kilka tuzinów tego ptactwa, tak zbite były jego gromady; ale za to strzelając z łuku nie płoszyło się ich hukiem. Strzelcy poprzestali więc tym razem na tuzinie białych kaczek z przepaską barwy cynamonowej, z głową zieloną i spłaszczonym dziobem. Top z poświęceniem aportował zabite sztuki. Koloniści zamierzali z czasem oswoić kilka gatunków tego ptactwa.

Około piątej po południu Cyrus Smith i jego towarzysze zawrócili ku domowi i przebywszy Kacze Błota, bo taką nadali tym terenom nazwę, przeszli Rzeką Miłosierdzia po moście z lodu.

O ósmej wieczorem znajdowali się już w Granitowym Pałacu.

ROZDZIAŁ XXII

Wilcze doły. — Lisy. — Pękań. — Zmiana wiatru na północno-zachodni. — Zawieja śnieżna. — Wyrabianie koszyków. — Najsilniejsze mrozy. — Krystalizacja cukru klonowego. — Tajemnicza studnia. — Planowana wycieczka. — Ziarnko śrutu.

Silne mrozy trwały aż do 15 sierpnia. Gdy powietrze było spokojne, można było łatwo znieść tak niską temperaturę; ale gdy wiatr się rozhułał, dawała się ona we znaki ludziom pozbawionym ciepłego okrycia. Penkroff żałował, że na wyspie nie żyło kilka rodzin niedźwiedzi, zamiast lisów i fok, których futro wiele pozostawiało do życzenia.

Ale te groźne drapieżniki nie zamieszkiwały wyspy lub przynajmniej dotychczas się nie pokazywały.

Na wszelki wypadek Penkroff i reporter zajęli się urządzeniem wilczych dołów na płaskowyżu i w pobliżu lasu. Pułapki te miały bardzo prostą konstrukcję: doły wykopane w ziemi, przykryte trawą i gałęziami, wewnątrz jakaś przynęta, której zapach mógł przyciągnąć zwierzynę — otóż i wszystko. Dołów nie kopano na chybił trafił, ale w pewnych oznaczonych miejscach, gdzie liczniejsze tropy wskazywały obecność zwierząt. Codziennie odwiedzano te zasadzki i trzykrotnie w ciągu pierwszych dni znaleziono w nich lisy, które koloniści widzieli już na prawym brzegu Rzeki Miłosierdzia.

— Ach! Do kroćset! Więc tylko same lisy są w tym kraju!... — wykrzyknął Penkroff, wydobywając po raz trzeci jednego z tych nieboraków z dołu, gdzie siedział z bardzo kiepską miną. — Te zwierzaki na nic się nie przydadzą!...

— Ależ przeciwnie — odpowiedział mu Gedeon Spilett. — Przydadzą się, nawet bardzo!

— Ciekawy jestem na co?

— Na przynętę.

Reporter miał rację i odtąd w dołach kładziono na przynętę zabite lisy.

Oprócz tego marynarz zrobił sidła z włókien sitowia, które okazały się użyteczniejsze niż doły. Prawie codziennie wpadał w nie jakiś królik. Oznaczało to jednak, że ciągle trzeba było jeść króliki, bez żadnego urozmaicenia. Nab jednak umiał przyrządzać różne sosy, więc biesiadnikom nie przychodziło nawet na myśl uskarżać się.

W drugiej połowie sierpnia do dołów wpadło kilka dzików, które zauważono już w okolicach jeziora. Penkroff tym razem nie potrzebował pytać, czy ta zwierzyna jest jadalna. Można było to poznać od razu po jej podobieństwie do świni amerykańskiej i europejskiej.

Były to pekari, żyjące zwykle stadami i było prawdopodobne, że znajdowały się również w lesistych częściach wyspy.

Około 15 sierpnia pogoda zmieniła się nagle z powodu północno-zachodniego wiatru. Temperatura podniosła się o kilka stopni i spadł śnieg. Śnieg sypał obficie przez kilkanaście dni i wkrótce jego wysokość doszła do dwóch stóp.

Wkrótce też zaczął dąć gwałtowny wiatr i z wysokości Granitowego Pałacu słychać było morze z hukiem rozbijające się o skały. W niektórych miejscach śnieg tworzył pod wpływem wiatru wirujące kolumny, podobne do trąb powietrznych towarzyszących huraganom. Na szczęście wichur idący od północnego-zachodu uderzał w wyspę z tyłu, co ratowało Granitowy Pałac od bezpośredniego naporu. Jednakże w czasie tej śnieżycy, równie gwałtownej, jak w rejonach polarnych, koloniści nie mogli wychodzić na zewnątrz i pozostali w zamknięciu przez pięć dni: od 20 do 25 sierpnia.

W ciągu tych kilku dni zamknięcia, koloniści nie odpoczywali. Ponieważ nie brakowało desek w składzie, powoli wykonano bardzo mocne stoły i krzesła, na które nie oszczędzano materiału. Meble te, choć o niezbyt wyszukanych kształtach, były dumą Naba i Penkroffa, którzy nie zamieniliby ich na cacka z drewna różanego.

Następnie ze stolarzy zmienili się w wikliniarzy i wcale nieźle udawała im się ta nowa produkcja. W pomocnej części jeziora odkryli miejsce, gdzie rosło mnóstwo purpurowej trzciny. Przed porą dżdżystą Harbert i Penkroff zebrali znaczną ilość tych pożytecznych krzewów i obecnie ich gałęzie, dobrze przygotowane, mogły zostać z powodzeniem użyte. Pierwsze kosze były niekształtne, ale dzięki zręczności i inteligencji robotników, naradzających się i przypominających sobie widziane wzory, kosze i koszyki najrozmaitszych rozmiarów zaopatrzyły magazyn osady.

W ostatnim tygodniu sierpnia pogoda zmieniła się kolejny raz. Temperatura obniżyła się nieco i burza ucichła, więc koloniści mogli wyjść na zewnątrz.

Na ziemi leżały dwie stopy śniegu, ale po jego stwardniałej powierzchni można było iść bez większej trudności. Cyrus Smith i jego towarzysze weszli na Wielki Płaskowyż.

Co za zmiana! Te lasy, które pamiętali w zieleni, szczególnie w części sąsiadującej z gajem sosnowym, znikły obecnie pod jednostajną barwą. Wszystko było białe, od szczytu Góry Franklina aż do wybrzeża: lasy, łąka, jezioro, rzeka. Fale Rzeki Miłosierdzia toczyły się pod powierzchnią lodu, który z każdym przyptywem i odpływem tajał i łamał się z trzaskiem. Mnóstwo ptaków wlatywało ponad zamrożoną powierzchnią jeziora: kaczki i ksyki, łyski i nurki. Było ich tysiące tysięcy. Spojrzeli na las pokryty kobiercem śniegu. Szkód, jakie wyrządził w nim huragan, nie sposób było jeszcze obliczyć. Trzeba było czekać, aż stopnieją śniegi.

Gedeon Spilett, Penkroff i Harbert nie zaniechali okazji odwiedzenia swoich pułapek. Z trudnością odnaleźli je pod śniegiem. Musieli uważać, aby nie wpaść w któryś z dołów, a byłoby to rzeczą niebezpieczną i upokarzającą zarazem, złapać się we własną zasadzkę!

Uniknęli jednakże szczęśliwie tej nieprzyjemności i znaleźli doły zupełnie nie naruszone. Żadne zwierzę nie złapało się, jednakże widać było naokoło mnóstwo tropów, między innymi wyraziście zarysowane ślady pazurów. Harbert bez wahania stwierdził, że przeszedł tędy jakiś mięsożerny z rodziny kotów. Potwierdzało to zdanie inżyniera o istnieniu na Wyspie Lincoln zwierząt drapieżnych i niebezpiecznych. Niewątpliwie zamieszkiwały one gęste Lasy Dalekiego Zachodu, ale gnane głodem zapędziły się aż do Wielkiego Płaskowyżu. Kto wie, może zwęszyły mieszkańców Granitowego Pałacu?

— No, ale koniec końców, co to za zwierzęta? — zapytał Penkroff.

— Tygrysy — odpowiedział Harbert.

— Myślałem, że mieszkają tylko w krajach gorących?

— Na nowych łądach — odrzekł młody chłopiec — można je spotkać od Meksyku do pampasów lub Buenos Aires. A ponieważ Wyspa Lincoln znajduje się prawie na tej samej szerokości, co prowincje La Platy, nic dziwnego! że i tu trafiają się tygrysy.

— Dobrze!... będziemy się mieć na baczności — rzekł Penkroff. Koloniści odwiedzili również Kominy i widząc je, pogratulowali sobie, że nie było ich tu w czasie burzy. Morze po raz kolejny spustoszyło to miejsce! Pędzone gwałtownym wiatrem fale morskie wdarły się do korytarzy i zasypały je do połowy piaskiem.

Około 25 sierpnia, po nowych śniegach i deszczach, wiatr zmienił się na południowo-wschodni i nagle zrobiło się bardzo zimno. Koloniści musieli znowu zamknąć się w Granitowym Pałacu i pozatykać dokładnie wszystkie frontowe otwory, pozostawiając tylko maleńkie przejścia dla dostępu powietrza. Świec zużyto dużo. Żeby ich zaoszczędzić, koloniści poprzestawali często na świetle ogniska, któremu nie żalowano opału.

Trzeba było czymś zagospodarować czas tego przymusowego zamknięcia w Granitowym Pałacu. Cyrus Smith wymyślił zajęcie, które można było wykonywać bez wychodzenia z domu.

Wiemy, że koloniści nie mieli cukru, który zastępowali syropem klonowym. Płyn ten zbierali w naczynia i używali go do różnych celów kuchennych, tym łatwiej, że po dłuższym staniu stawał się bielszy i gęstszy.

Substancję tę można było jeszcze ulepszyć, na dowód czego Cyrus Smith pewnego dnia oznajmił swoim towarzyszom, że zajmą się rafinacją cukru.

— Rafinacja cukru! — odrzekł Penkroff — to rzemiosło wymagające dużego ognia, nieprawdaż?

— Nawet bardzo — odpowiedział Cyrus...

— A więc przychodzi w samą porę, będzie nam ciepło! — zawołał marynarz.

Rafinacja, którą zaplanował inżynier, nie wymagała skomplikowanej fabryki i wielkiej ilości robotników. Aby skrzystalizować sok klonowy wystarczyło oczyścić go przy pomocy niezmiernie łatwego działania.

Po kilku godzinach wrzenia na dużym ogniu sok klonowy zamienił się w gęsty syrop. Syrop ten wlewano w gliniane formy, wypalone poprzednio w tym celu w piecu kuchennym. Nazajutrz oziębiony płyn utworzył głowy i tabliczki. Był to cukier, koloru trochę czerwonego, ale prawie przezrysty i bardzo smaczny.

Zimno nie ustępowało aż do połowy września i mieszkańcy Granitowego Pałacu zaczęli już narzekać na długotrwałość swojej niewoli. Prawie co dzień próbowali wycieczek na zewnątrz, ale tylko na chwilę. Zresztą pracowali bezustannie nad urządzeniem i zaopatrzeniem we wszystko swego mieszkania. Przy pracy Cyrus Smith uczył swoich towarzyszy tysięcy ważnych zagadnień i objaśniał im szczegółowo praktyczne zastosowania wiedzy.

Koloniści nie mieli biblioteki, ale inżynier był encyklopedią, zawsze otwartą na potrzebnej stronie; księgą, która rozstrzygała wszystkie ich wątpliwości. Tak mijał czas; koloniści oswajali się ze swoją sytuacją i nie lękali się przyszłości. Czas był jednak najwyższy na zakończenie tego przymusowego zamknięcia. Wszyscy pragnęli, jeżeli już nie idealnej pogody, to przynajmniej ustania tego nieznośnego zimna. Najniecierpliwszym jednak ze wszystkich — rozumie się po Penkroffie — był Top. Wiernemu psisku było zbyt ciasno w Granitowym Pałacu. Przebiegał z jednego pokoju do drugiego i zdradzał na swój sposób niezadowolenie z tak długiej niewoli.

Cyrus Smith zauważał nieraz, że ilekroć Top zbliżał się do ciemnej studni, łączącej się z morzem, a której otwór znajdował się w głębi magazynu, tylekroć warczał w osobliwy sposób. Nieraz biegał naokoło tej dziury zasłoniętej drewnianą pokrywą. Niekiedy nawet próbował wcisnąć łapy pod pokrywę, jakby chciał ją podnieść. Poszczekiwał przy tym w pewien szczególny sposób, wyrażający zarazem gniew i niepokój.

Inżynier zwracał baczną uwagę na te manewry Topa. Co mogło być w tej przepaści, co tak niepokoiło to pojęte zwierzę? Studnia dochodziła do morza — to był pewnik. Czy było możliwe, że łączyła się pod ziemią z innymi pieczarami?

Wreszcie mrozy ustały. Zaczęły się deszcze, ulewy ze śniegiem, ulewy z gradem, gwałtowne wiatry — ale wszystko to trwało niedługo.

Lody ustąpiły, śniegi stopniały — płaskowyż, wybrzeża Rzeki Miłosierdzia i las stały się znowu dostępne. Powrót wiosny zachwycił mieszkańców Granitowego Pałacu; wkrótce też spędzali w nim tylko godziny snu i posiłków.

W drugiej połowie września rozpoczęły się częste polowania — przypomniało to Penkroffowi o upominaniu się o broń palną, którą, jak twierdził, Cyrus Smith mu obiecał. Inżynier, wiedząc dobrze, że bez specjalnych narzędzi skonstruowanie strzelby jest rzeczą prawie niemożliwą, wymawiał się zawsze i odkładał to na później. Tłumaczył Penkroffowi, że Harbert i Gedeon

Spilett stali się biegłymi łucznikami, którzy przynoszą tyle smacznej zwierzyny, że broń palna jest niepotrzebna. Ale uparty marynarz nie dał się niczym przekonać i wciąż niepokoił inżyniera.

W tym jednak czasie Cyrusa Smitha zajmował głównie problem odzieży. Dotychczasowe odzienie osadników wytrzymało tę zimę, ale do przyszłej nie mogło dotrzeć. Trzeba było zdobyć za wszelką cenę skórę lub wełnę, a ponieważ muflonów nie brakowało, należało pomyśleć o sposobie utworzenia z nich stada na potrzeby osady. Ogrodzenie dla zwierząt domowych, kurniki dla drobiu, jednym słowem założenie folwarku w jakiejś części wyspy — było najważniejszymi planami na lato.

Koloniści oczekiwali z niecierpliwością nadejścia cieplejszych dni, gdy nagle zdarzył się wypadek, który wzbudził w nich jeszcze większą niż dotychczas żądzę zbadania wyspy.

Było to 24 października. Penkroff wybrał się do pułapek i w jednej z nich znalazł samice pekari z dwoma małymi.

Powrócił do Granitowego Pałacu, zachwycony swoją zdobyczą i jak zwykle, zaczął się nią głośno chlubić.

— No, będziemy wreszcie mieli wyborny obiad, panie Cyrusie — zawołał. — I pan, panie Spilett, skosztuje tego...

— Czemu nie — rzekł reporter. — Ale najpierw chciałbym wiedzieć — czego?

— Młodego prosiątka!

— Co? Młodego prosiątka? Nic więcej, Penkroffie? Słyszac twoją radość, sądziłem, że przynosisz co najmniej kuropatwę z truflami.

— Jak to? — wykrzyknął Penkroff. — Jest pan tak wybredny, że gardzi pan młodym prosięciem? A siedem miesięcy temu, gdy wylądowaliśmy na tej wyspie byłby pan szczęśliwy, napotkawszy taką zwierzynę...

— Tak, tak — odrzekł reporter. — Człowiek nigdy nie jest ani doskonały, ani zadowolony.

O piątej podano obiad w sali Granitowego Pałacu. Zupa z kangura parowała na stole. Uznano ją za doskonałą.

Po zupie nadeszła pora na pekari. Penkroff chciał sam je pokroić i dużymi porcjami poobdziałać współbiedniaków.

Mięso było rzeczywiście doskonałe i Penkroff zjadał swoją część z wielkim apetytem, gdy naraz krzyknął.

— Co się stało? — spytał Cyrus Smith.

— Stało się... stało się... że sobie złamałem ząb — odpowiedział marynarz.

— Czyżby były kamienie w twoich pekari?... — zapytał Gedeon Spilett.

— Chyba!... — odpowiedział Penkroff, wyjmując z ust przedmiot, który go przyprawił o utratę zęba.

Nie był to jednak kamień... Było to ziarnko śrutu...

CZEŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ I

Z powodu ziarnka śrutu. — Budowa łodzi. — Łowy. — Na wierzchołku drzewa. — Nie ma dowodu na obecność człowieka. — Wyprawa Naba z Harbertem na ryby. — Przewrócony żółw. — Zniknięcie żółwia. — Objaśnienia Cyrusa Smitha.

Siedem miesięcy minęło od dnia, gdy koloniści dotarli na Wyspę Lincolna. Przez cały ten czas, mimo wielu poszukiwań, nie napotkali istoty ludzkiej. Najmniejszy obłoczek dymu nie zdradził obecności człowieka na terenie wyspy; żadne ślady pracy nie dowodziły, że ktoś tu przebywał. Wyspa Lincolna nie tylko wydawała się nie zamieszkała, ale należało sądzić, że nigdy nią nie była. A oto nagle całe to rozumowanie legło w gruzach wobec maleńkiego ziarnka śrutu, znalezionego w ciele niewinnego gryzonia.

Gdy Penkroff położył ziarnko śrutu na stole, jego towarzysze popatrzeli na nie z najgłębszym zdziwieniem. Cyrus Smith odezwał się pierwszy; pochwycił ziarenko śrutu, obrócił je na wszystkie strony, dotykał, trzymając pomiędzy wielkim a wskazującym palcem i wreszcie zapytał Penkroffa:

— Czy jesteś pewien, że pekari raniony tym ziarnkiem śrutu miał zaledwie trzy miesiące?

— Tak jest, panie Cyrusie, zaledwie trzy miesiące — odpowiedział Penkroff. — Ssał jeszcze matkę, gdy go znalazłem.

— Dowodzi to więc — rzekł inżynier — że najwyżej przed trzema miesiącami na Wyspie Lincolna padł strzał z broni palnej.

— I że jedno ziarnko ołowiu — dodał Gedeon Spilett — zraniło, ale nie śmiertelnie, to małe zwierzątko.

— Tak, to nie ulega wątpliwości — ciągnął dalej Cyrus Smith — a przypuszczenia, jakie można oprzeć na tym wypadku, są następujące: albo wyspa ta była zamieszkała przed naszym przybyciem, albo ludzie wylądowali na niej przed trzema miesiącami. Czy przybyli tutaj dobrowolnie, czy też wbrew swojej woli; wylądowali, czy rozbili się? Sądzę, iż osoby, które znalazły się na wyspie, albo wylądowały na niej niedawno, albo tylko ją odwiedzały; gdyby bowiem ludzie znajdowali się tutaj w czasie naszej wycieczki na Górę Franklina, to my ich, lub oni nas musieliby zobaczyć.

— Panie Cyrusie — spytał marynarz. — Czy nie należałoby przede wszystkim zbudować łodzi, przy pomocy której moglibyśmy popłynąć w górę rzeki lub okrążyć wybrzeże? Powinniśmy być przygotowani na wszystko.

— Doskonały pomysł — odrzekł inżynier — ale lepiej nie zwlekać i wybrać się na zwiady jak najprędzej. A tymczasem potrzeba co najmniej miesiąca na zbudowanie łodzi...

— Prawdziwej łodzi, niewątpliwie — odparł marynarz — ale nam potrzeba tylko jakiegokolwiek łódki, która utrzymałaby się na wodzie, a taką mogę zbudować w ciągu pięciu dni; wystarczy do żeglugi po Rzece Miłosierdzia.

Obiad zakończył się mniej wesoło niż Penkroff się spodziewał.

Tak więc wyspa ta miała obecnie lub w przeszłości innych mieszkańców oprócz naszych osadników. Od czasu znalezienia ziarnka śrutu był to fakt niezaprzeczalny, a odkrycie to obudziło żywy niepokój w umysłach kolonistów.

Następnego dnia Penkroff zabrał się do pracy. Nie chodziło tu o zbudowanie prawdziwej łodzi, ale o proste, płaskodenne czółno unoszące się na wodzie, przeznaczone do żeglugi po Rzece Miłosierdzia, szczególnie w pobliżu jej źródeł, gdzie woda była bardzo płytka.

Konieczne było wyszukanie drzew, których kora giętka a mocna najlepiej nadawałaby się do takiego zastosowania. Szczęśliwie ostatni huragan powalił pewną ilość jodeł, odpowiadających zupełnie temu celowi.

Gdy marynarz przy pomocy inżyniera zajmował się pracą przy budowie łodzi, Gedeon Spilett i Harbert także nie próżnowali, dostarczając żywności dla osady. Często podczas tych łowów Harbert wdawał się w rozmowę z Gedeonem Spilettem o ziarnku śrutu i o wnioskach, jakie z tego zdarzenia wyciągnął inżynier.

— Czy nie wydaje się panu dziwne, że rozbitkowie — jeżeli wylądowali na naszej wyspie nie pokazali się dotychczas w okolicach Pałacu Granitowego?

— Rzeczywiście, to bardzo dziwne — odparł reporter — jeżeli się tu jeszcze znajdują; ale nie zdziwiłbym się, gdyby ich tu już dawno nie było! Gdyby przebywali tu przez dłuższy czas, zdradziliby w końcu swą obecność. Możliwe, że burza wyrzuciła ich na tę wyspę, nie uszkodziwszy statku i że po jej ustaniu wyruszyli znowu na morze.

— Przyznać trzeba jedno — rzekł Harbert — że pan Smith zawsze bardziej obawiał się niż pragnął spotkania z ludźmi na wyspie.

— Tak, gdyż przypuszcza, że prócz groźnych Malajczyków nikt nie zapuszcza się na te odległe wody.

— Przychodzi mi jedna myśl, panie Gedeonie — rzekł Harbert. — Gdybym wszedł na wierzchołek jednego z otaczających nas drzew, mógłbym rozejrzeć się po okolicy na znacznej przestrzeni.

— Myśl jest dobra — odrzekł reporter — czy tylko potrafisz wdrapać się aż na sam szczyt któregoś z tych olbrzymów?

— Spróbuję — odparł Harbert.

Zwinny i zręczny chłopak, chwytając za dolne gałęzie, w ciągu kilku chwil dostał się na wierzchołek sterczący nad tą niezmierną płaszczyzną zieleni, którą tworzyły zaokrąglone korony drzew.

Harbert z wysokości swego obserwatorium mógł rozejrzeć się dokładniej tej nieznannej części wyspy, dającej lub mogącej dawać schronienie obcym, których obecność podejrzewano.

Rozglądał się z dużą uwagą. Najpierw po morzu, ale na jego powierzchni nie było nic widać. Żadnego żagla, ani na widnokręgu, ani w punktach umożliwiających wylądowanie na wyspie. Ponieważ jednak gęstwina drzew zasłaniała częściowo wybrzeże, było możliwe, iż okręt, szczególnie zaś okręt pozbawiony ożaglowania, przybił blisko do lądu i tym sposobem był niewidoczny dla Harberta.

W pobliżu Lasu Dalekiego Zachodu także nic nie było widać. Harbert zszedł więc z drzewa i obaj myśliwi powrócili do Granitowego Pałacu. Tam Cyrus Smith, wysłuchawszy opowiadania chłopca, potrząsnął głową i nic nie odpowiedział.

W dwa dni później miało miejsce inne wydarzenie. Błądząc po wybrzeżu, o dwie mile od Pałacu Granitowego, Harbert i Nab szczęśliwie trafili na cenną zdobycz. Był nią żółw z gatunku olbrzymich, o skorupie mieniającej się zielonkawymi odcieniami.

Harbert spostrzegł go w chwili, gdy żółw pełznął w stronę morza.

— Na pomoc, Nabie, na pomoc! — zawołał. Nab przybiegł.

— Co za piękny okaz! — rzekł. — Ale jak sobie z nim poradzić...

— Nic łatwiejszego, Nabie — odrzekł Harbert. — Przewróćmy go na grzbiet i dzięki temu już nam nie zdoła uciec. Weź oszczep i pomóż mi.

Gad, czując niebezpieczeństwo, schował się do swojej skorupy. Nie widać mu już było głowy ani nóg i leżał nieruchomy jak skała.

Harbert i Nab nie bez trudności zdołali go przewrócić na grzbiet. Żółw, długi na trzy stopy, musiał ważyć co najmniej czterysta funtów.

— Świetnie! — zawołał Nab. — Penkroff będzie zadowolony.

W istocie, Penkroff na pewno by się ucieszył, ponieważ mięso tych żółwi, żywiących się ziołami, ma doskonały smak.

— A teraz co zrobimy z tą naszą zwierzyną? — zapytał Nab. — Nie zdołamy jej przecież zaciągnąć aż do Granitowego Pałacu.

— Toteż zostawimy ją tutaj — odparł Harbert — i pewni, że nie ucieknie, bo me może się obrócić, powrócimy po nią z wózkiem.

— Tak będzie najlepiej.

Nim jednak odeszli, dla większego bezpieczeństwa Harbert podparł zwierzę wielkimi głazami. W dwie godziny później wrócili z wózkiem na miejsce, gdzie leżał żółw. Niestety, już go tam nie było!

— Cóż to?... Więc te stworzenia umieją obrócić się same — rzekł Nab.

— Tak się zdaje — odrzekł Harbert, nie pojmując tego zdarzenia i przypatrując się głazom rozrzuconym po piasku.

Po przybyciu do warsztatu, gdzie pracowali marynarz i inżynier, Harbert opowiedział o tajemniczym zniknięciu żółwia.

— Ach! Niezdary! — zawołał marynarz. — Wypuścili z rąk co najmniej pięć, dziesiąt żup!

— Ależ Penkroffie — odciął się Nab. — To nie z naszej winy zwierzę uciekło: przewróciliśmy je na grzbiet!...

— W takim razie nie było wystarczająco przewrócone — powiedział żartobliwie marynarz.

— Wystarczająco — zaprotestował Harbert.

I opowiedział o tym, jak podparł żółwia głazami.

— Wiec to chyba cud! — zawołał Penkroff.

— Zdawało mi się, panie Cyrusie — rzekł Harbert — że żółwie raz przewrócone na wznak nie mogą o własnych siłach powstać na nogi, szczególnie jeżeli są tak duże.

— I słusznie ci się zdawało, moje dziecko — odpowiedział Cyrus Smith. — W jakiej odległości od morza zostawiliście tego żółwia?

— Około piętnastu stóp — odpowiedział Harbert. — I było to w czasie odpływu?

— Tak jest, panie Cyrusie.

— No więc, czego żółw nie mógł zrobić na piasku, prawdopodobnie dokonał w wodzie. Gdy go uniósł odpływ, obrócił się i popłynął najspokojniej ni szerokie morze...

— Ach, jakie z nas niezdary! — zawołał Nab.

— To właśnie miałem zaszczyt już wam powiedzieć — rzekł Penkroff. Cyrus Smith podał to objaśnienie, niewątpliwie możliwe. Czy był jednak sam przekonany o jego prawdziwości? Nie zaręczilibyśmy o tym.

ROZDZIAŁ II

Pierwsza próba łodzi. — Skrzynia na wybrzeżu. — Holowanie do Granitowego Pałacu. — Zawartość skrzyni. — Czego brak Penkroffowi? — Ewangelia. — Werset z Pisma Świętego

29 października łódka z kory była gotowa. Penkroff dotrzymał słowa. W ciągu pięciu dni sporządził rodzaj czółna, wplecionego z giętkich pręcików krzewu. Jedna ławka umieszczona była z tyłu, druga pośrodku, aby nadać łodzi większą trwałość, trzecia na przodzie; długość statku wynosiła dwanaście stóp, a ciężar nie dochodził do dwustu funtów. Spuszczenie łodzi na wodę odbyło się bez trudu. Zaniesiono lekkie czółenko nad sam brzeg morza i postawiono je na piasku, a przyływ wody pochwycił je i unióś. Penkroff wskoczył do niego natychmiast i zaczął sterować.

— Hurra! — krzyknął, nie wahając się tym sposobem uczcić swego dzieła. — Tą łódką możemy opłynąć dookoła...

— Cały świat? — zapytał Gedeon Spilett.

— Nie, wyspę. Kilka kamyków na dno jako balast, jeden maszt z przodu i kawałek żagla, który nam kiedyś sporządzi pan Cyrus, a popłyniemy daleko!

Penkroff jednym poruszeniem steru przybił czółnem do brzegu przez wąski przesmyk pomiędzy skałami. Pogoda była wspaniała, morze tak spokojne, jak gdyby jego wody ujęte były w ciasne brzegi jeziora, a łódka mogła pruć fale tak bezpiecznie, jakby to były spokojne wody Rzeki Miłosierdzia.

Nab chwycił za jedno wiosło, Harbert za drugie, a Penkroff pozostał w tyle czółna przy sterze.

Po trzech kwadransach żeglugi, gdy łódź zbliżała się już prawie do zakrętu, a Penkroff chciał opłynąć go dookoła, Harbert podniósł się w łodzi i wskazał na jakąś czarną plamę, mówiąc:

— Coś czarnego leży tam na brzegu!

Oczy wszystkich zwróciły się we wskazanym kierunku.

— Faktycznie — odezwał się reporter — coś tam musi być. Sądzę, że są to szczątki z jakiegoś rozbitego okrętu, zagrzebane do połowy w piasku.

— Aha! — zawołał Penkroff. — Wiem już, co to jest! Beczułki, beczułki; i to Pewnie nie próżne!

— Przybij do brzegu, Penkroffie! — rzekł Cyrus Smith.

Po kilku uderzeniach wiosel łódka przybiła do małej przystani, a żeglarze wyskoczyli na brzeg.

Penkroff nie mylił się. Były to dwie beczułki zagrzebane do połowy w piasku, lecz przymocowane dokładnie do szerokiej skrzyni, którą utrzymywały na powierzchni wody, dopóki nie została wyrzucona na brzeg.

— Czy to oznacza, że jakiś okręt rozbił się w okolicach wyspy? — zapytał Harbert.

— Oczywiście — odparł Gedeon Spilett.

— Ale co może być w tej skrzyni? — zawołał Penkroff z niecierpliwością. — Co jest w tej skrzyni? Ze wszystkich stron jest zamknięta, a nie ma czym rozbić wieka! Aha, spróbuję kamieniem...

I chciał już rozbić jedną ze ścian skrzyni kamieniem, ale inżynier, wstrzymując go za rękę, powiedział:

— Szkoda niszczyć skrzynię, gdyż może okazać się nam potrzebna. Zabierzmy ją ze sobą do Granitowego Pałacu, tam ją łatwiej otworzymy bez uszkodzenia. Skoro dopłynęła tutaj, dopłynie i do ujścia rzeki.

Rada inżyniera była dobra. Łódź nie byłaby w stanie unieść przedmiotów zawartych w skrzyni, która musiała być ciężka, skoro dla utrzymania jej na wodzie użyto dwóch pustych beczulek. Lepiej więc było zaciągnąć ją do Granitowego Pałacu.

Skąd jednak wzięła się ta skrzynia? Cyrus Smith ze swymi towarzyszami rozglądali się uważnie dokoła, lecz nie znaleźli żadnego śladu.

A jednak nie było żadnej wątpliwości, że jakiś okręt musiał się rozbić w pobliżu; a może nawet wypadek ten był związany ze znalezionym ziarnkiem śrutu?

Koloniści zgromadzili się dookoła skrzyni, która była długa na pięć stóp, a szeroka na trzy. Zrobiona była z dębiny, starannie ze wszystkich stron zamknięta, obciążona grubą skórą, obita mosiężnymi gwoździami. Obie brzuchate beczułki, hermetycznie zamknięte, które po otwarciu okazały się puste; przymocowane były do niej za pomocą sznurów zawiązanych w węzły, które Penkroff rozpoznał od razu jako marynarskie. Skrzynia była w dobrym stanie, gdyż została wyrzucona na piaszczysty brzeg, a nie na rafy. Można było z całą pewnością stwierdzić, że znajdowała się w wodzie od niedawna i świeżo przybiła do brzegu.

Tymczasem przyływ morza zaczął dosięgać skrzyni i należało się spieszyć z wydobyciem jej. Penkroff z Nabem poruszyli wiosłami piasek wokół, żeby łatwiej było ruszyć skrzynię z miejsca i wkrótce łódź, ciągnąc za sobą skrzynię, wyruszyła do Granitowego Pałacu.

Gdy już tam dotarli, wyciągnęli łódź i skrzynię na piasek, a Nab pobiegł po narzędzia, aby odbić wieko.

Wnętrze skrzyni miało drugą powłokę z blachy cynkowej, by zawarte w niej przedmioty w każdych okolicznościach były zabezpieczone od wilgoci.

Pokrywą cynkową rozcięto wszcz, odgięto ją po obu bokach, po czym stopniowo zaczęto wyciągać z niej bardzo różne przedmioty i składać je na piasku. Znajdowały się tam między innymi książki, na których widok Harbert omal nie oszalał z radości i narzędzia kuchenne, które z kolei bardzo ucieszyły Naba.

Faktycznie, koloniści mieli powody do radości — skrzynia zawierała bowiem rozmaite narzędzia, broń, przyrządy, odzież, książki, których dokładny spis przytaczamy według notatek Gedeona Spiletta:

Narzędzia: 3 noże. każdy o kilku ostrzach; 2 siekiery do rąbania drzewa; 2 siekiery do robót ciesielskich; 3 heble; 2 toporki; 1 dłutko obosieczne; 6 par nożyc; 2 pilniki; 3 młoty; 3 wiertła; 2 świdy; 10 woreczków gwoździ i śrubek; 3 piły rozmaitej wielkości; 2 pudełka igieł.

Broń: 2 strzelby skałkowe; 2 strzelby kapslowe; 2 karabiny iglicowe; 5 noży myśliwskich; 4 szable używane w walkach okrętowych; 2 beczułki prochu, każda po dwadzieścia pięć funtów; 12 pudełek kapsli.

Przyrządy: 1 sekstans; 1 lornetka kieszonkowa; 1 luneta; 1 pudełko z kompasem; 1 busola kieszonkowa; 1 termometr Fahrenheita; 1 barometr; 1 pudełko z wszystkimi przyrządami fotograficznymi: obiektywami, płytami, substancjami chemicznymi itp.

Odzież: 2 tuziny koszul z oryginalnej tkaniny podobnej do wełny; 3 tuziny pończoch z tej samej tkaniny.

Naczynia: 1 dzbanek żelazny; 6 rondli mosiężnych pobielanych; 3 talerze żelazne; 10 kompletnych nakryć składających się z łyżek, noży i widelców; 2 samowary; 1 piecyk przenośny; 6 noży stołowych.

Książki: 1 Biblia zawierająca Stary i Nowy Testament; 1 atlas geograficzny; 1 słownik różnych narzeczy polinezyjskich; 1 słownik przyrodniczy w sześciu tomach; 3 ryzy białego papieru; 2 nie zapisane książki rejestrowe.

— Trzeba przyznać — rzekł reporter, gdy ukończono spis rzeczy — że właściciel tej skrzyni był człowiekiem praktycznym! Narzędzia, broń, przyrządy, odzież, naczynia, książki — niczego nie brak! Wydaje się, że z góry miał zamiar zostać rozbitkiem i dlatego tak się przygotował!

— Rzeczywiście, nie brak niczego — mruknął Cyrus Smith, zatopiony w myślach.

— Można być pewnym — dodał Harbert — że okręt, który wiozł tę skrzynię i jej właściciela, nie należał do rozbójników malajskich.

— Chyba, że jej właściciel popadł w niewolę piratów... — rzekł Penkroff.

— To raczej niemożliwe — odparł reporter. — Prawdopodobniejsze jest, że jakiś amerykański lub europejski okręt zapędził się w te strony i podróżni, chcąc ocalić niezbędne przedmioty, zapakowali tę skrzynię i spuścili ją w morze.

— Czy i pan jest tego zdania, panie Cyrusie? — zapytał Harbert.

— Tak — odparł inżynier — to się mogło tak wydarzyć. Może przewidując rozbicie statku pasażerowie zebrali do tej skrzyni najpotrzebniejsze przedmioty, w nadziei odszukania jej później na wybrzeżu...

— Nawet pudełko z przyrządami fotograficznymi! — zauważył niedowierzającym tonem marynarz.

— Co do tego przyrządu — odparł Cyrus Smith — to nie rozumiem jego użyteczności, ponieważ zarówno dla nas jak i dla innych rozbitków, bardziej potrzebny jest większy zapas odzieży lub broni!

— Może znajdziemy na tych przedmiotach jakiś znak lub napis, według którego moglibyśmy poznać ich pochodzenie? — zapytał Gedeon Spilett.

Obejrzano więc starannie każdy przedmiot z osobna, zwłaszcza książki, przyrządy i broń. Niestety, wbrew przyjętemu zwyczajowi nie posiadały one znaków producenta; znajdowały się w dobrym stanie i wydawało się, że nie były jeszcze używane. To samo można powiedzieć o narzędziach i naczyniach, każdy przedmiot był zupełnie nowy, co dowodziło, że nie wrzucano ich do skrzyni na chybił trafił, lecz przeciwnie, obmyślono starannie dobór przedmiotów i starannie je uporządkowano. Świadczyła o tym również druga powłoka metalowa, zabezpieczająca je przed wilgocią, której nie sposób było pospieszenie zlutować.

Jeśli chodzi o słownik przyrodniczy i słownik narzeczy polinezyjskich, były one drukowane w języku angielskim, lecz nie było na nich ani nazwiska wydawcy, ani daty wydania.

Podobnie rzecz się miała z Biblią; było to wydanie angielskie, godne uwagi ze względu na technikę drukarską i najwyraźniej było często czytane.

Atlas geograficzny stanowił bardzo wartościowy egzemplarz z nazewnictwem w języku francuskim — nie posiadał jednak także ani daty wydania, ani nazwiska wydawcy.

Znaleziona skrzynia była prawdziwym skarbem dla mieszkańców Wyspy Lincoln. Do tej pory musieli wszystko zdobywać ciężką pracą, teraz sama Opatrzność zdawała się hojnymi darami wynagradzać ich trudy. Dlatego też z wdzięcznością skierowali dziękczynne modły ku niebu.

Mimo to ktoś nie był zupełnie zadowolony... Penkroff. Skrzynia nie zawierała jednej rzeczy, która miałaby dla niego największą wartość i, w miarę jak wydobywano z niej różne przedmioty, jego „hurra!” stawało się coraz słabsze, a po ukończeniu spisu zawartości słychać było, jak mruknął pod nosem:

— Wszystko to piękne i dobre, lecz zobaczcie, że dla mnie w tym pudle nie ma nic!

To sprowokowało Naba do zapytania:

— A czego, przyjacielu Penkroffie, się spodziewałeś?

— Pół funta tytoniu! — odparł poważnie Penkroff — wtedy niczego by mi więcej do szczęścia nie brakowało!

Na tę uwagę marynarza jego towarzysze nie mogli powstrzymać śmiechu. Znaleziona skrzynia była wymownym świadectwem obecności człowieka na wyspie, którą należało teraz jak najspieszniej zwiedzić. Postanowiono zatem nazajutrz skoro świt ruszyć w drogę korytem Rzeki Miłosierdzia w górę, by dotrzeć do zachodnich wybrzeży. Jeśli przypadkiem kilku rozbitków znajdowało się po tej stronie wyspy, mogło się zdarzyć, że byli pozbawieni wszelkich środków do życia, a w takim razie należało niezwłocznie przyjść im z pomocą.

Cały ten dzień upłynął na znoszeniu znalezionych przedmiotów do Granitowego Pałacu i ich systematycznym porządkowaniu w wielkiej sali.

Tego dnia — 29 października — była właśnie niedziela. Harbert przed spoczynkiem zagadnął inżyniera, czy nie chciałby przeczytać im jakiegoś fragmentu z Ewangelii.

— Z ochotą — odparł Cyrus Smith.

Wziął więc do rąk tę świętą księgę i już zamierzał ją otworzyć, gdy Penkroff poprosił go, by wybrał na „chybił trafił” cytat, inżynier otworzył Ewangelię w przypadkowym miejscu i trafił na ósmy ustęp siódmego rozdziału Ewangelii św. Mateusza. Przeczytał: *Proście, a będzie wam dane, szukajcie, a znajdziecie.*

ROZDZIAŁ III

Wyprawa. — Przyptyw. — Wiązy. — Inne rośliny. — Eukaliptusy, nazywane „drzewami gorączkowymi”. — Wodospad. — Nocleg.

Nazajutrz, 30 października, ukończono przygotowania do wyprawy, przyspieszanej z powodu ostatnich zdarzeń na wyspie. Postanowiono płynąć w górę Rzeki Miłosierdzia tak długo, aż będzie to możliwe. Należało zabrać broń i zapasy żywności, zakładając, że na wyspie znajdują się ludzie, którzy przeżyli katastrofę okrętu.

Zapasy żywności, które Nab spakował do czółna, miały starczyć na trzy dni i składały się z konserw mięsnych i z kilku galonów piwa.

Koloniści zabrali ze sobą dwie siekiery do rąbania drzewa, które miały służyć do torowania drogi w leśnych gąszczach oraz lunetę i busolę kieszonkową.

Z broni wybrano: dwie strzelby skałkowe, zapas prochu, jeden karabin i pięć noży myśliwskich, opatrzonych skórzanymi pochwami. Tak zaopatrzeni i uzbrojeni mogli się zapuścić w głąb tych nieprzebranych borów, z pewną otuchą, że w każdym przypadku potrafią sobie poradzić.

O szóstej rano wypchnięto łódkę na morze. Zajęli w nim miejsce wszyscy wraz z Topem i popłynęli w stronę ujścia Rzeki Miłosierdzia.

Brzegi Rzeki Miłosierdzia przedstawiały cudowny widok. Cyrus Smith ze swoimi towarzyszami mogli podziwiać owe wspaniałe efekty, jakie natura wydobywa tak łatwo przy pomocy wody i drzew. W miarę jak płynęli ukazywały się im coraz to nowe gatunki drzew.

Od czasu do czasu, w miejscach gdzie łatwiej było wydostać się na brzeg, łódkę zatrzymywano. Wówczas Gedeon Spilett, Harbert i Penkroff ze strzelbami w rękach i z Topem na czele szli wzdłuż brzegu. Młody przyrodnik był szczęśliwy, gdyż odkrył dziki szpinak oraz mnóstwo innych pożytecznych roślin, takich jak rzezucha, rzodkiew i rzepa. W końcu natknął się na małe bujnie, rozgałęzione łodygi, z lekka kosmate, wysokości jednego metra, wydające ziarna prawie brązowego koloru.

— Wiesz, jaka to jest roślina? — zapytał Harbert marynarza.

— Tytoń! — zawołał Penkroff, który prawdopodobnie widział ulubioną roślinę tylko w fajce.

— Nie, Penkroffie! — odparł Harbert. — To nie tytoń, to musztarda!

— Niech będzie i musztarda! — odrzekł marynarz. — Ale jeśli przypadkiem znajdziesz gdzieś żdźbło tytoniu, to proszę cię, nie gardź nim.

— Znajdziemy go kiedyś! — rzekł Gedeon Spilett.

Różne te rośliny powyrywane starannie z korzeniami, zaniesiono do łódki, której nie opuszczał Cyrus Smith, zatopiony ustawicznie w rozmyślaniach.

Podczas jednej z wycieczek na brzeg Gedeonowi Spilettowi udało się schwytać dwie pary dzikich kur. Były to ptaki z długimi i cienkimi dziobami, i smukłymi szyjami, krótkimi skrzydłami i bez ogona; postanowiono je udomowić.

Była już dziesiąta rano, gdy łódka dopłynęła do drugiego kolana Rzeki Miłosierdzia, oddalonego około pięć mil od jej ujścia. Zatrzymano się w tym; miejscu na śniadanie, a postój pod sklepieniem rozłożystych, pięknych drzew trwał pół godziny.

Szerokość rzeki wynosiła w tym miejscu jeszcze sześćdziesiąt do siedemdziesięciu stóp, głębokość łożyska pięć do sześciu stóp. Lasy rozciągały się wokół nich na niezmierzonej przestrzeni; nigdzie nie było widać śladów obecności człowieka.

Inżynier spieszył się z dotarciem do zachodnich wybrzeży Wyspy Lincoln, oddalonych wedle jego obliczenia najmniej o pięć mil, wyruszyli więc w drogę. Wkrótce jednak ustał przypyw; Nab z Harbertem zajęli swe miejsca i chwycili za wiosła. Penkroff zasiadł przy sterze i popłynęli dalej korytem rzeki.

Zobaczyli wówczas, że las począł z wolna rzednieć, a drzewa, mając więcej powietrza i miejsca, rozrastały się niezwykle bujnie.

— Eukaliptusy! — zawołał nagle Harbert.

Były to naprawdę te piękne drzewa, olbrzymy stref podzwrotnikowych, krewne eukaliptusom rosnącym w Australii i w Nowej Zelandii. Niektóre miały ponad dwieście stóp wysokości. Pień ich posiadał u samego podnóża dwadzieścia stóp obwodu, a kora, pokryta siecią żył napełnionych wonną żywicą, miała do pięciu cali grubości.

— O, to są drzewa! — zawołał Nab — lecz czy przydadzą się na coś?

— Ba! — odparł Penkroff. — Tak jak mamy olbrzymów wśród ludzi, tak samo muszą być także i olbrzymy roślinne. Lecz to się nie przyda na nic; chyba tylko, aby je pokazywać na jarmarkach!

— Zdaje mi się, że jesteś w błędzie Penkroffie — odparł Spilett. — Słyszałem, że drzewo eukaliptusowe zaczyna być teraz używane do robót stolarskich.

— A ja dodam — odezwał się Harbert — że eukaliptusy te zalicza się do rodziny mirtowatych, do której należy wiele innych pożytecznych gatunków i tak: drzewo goździkowe, dostarczające goździków; drzewo granatowca, rodzące granaty i *Eugenia cauliflora*, której owoce służą do produkcji niezłego wina; Mirt *ugni* zawierający wyborny ekstrakt alkoholowy; Mirt *cinnamomum*, którego kora po wysuszeniu dostarcza cenionego cynamonu; krzew pimentowy *Eugenia pimenta*, dający pieprz jamajski; mirt właściwy, którego jagody zastąpić mogą pieprz; *Eucalyptus robusta*, dostarczający wybornej manny; *Eucalyptus Gunei*, którego sok dzięki fermentacji zamienia się w piwo; wreszcie wszystkie owe drzewa znane pod nazwą „drzew życiodajnych” lub „drzew żelaznych”, należące do rodziny mirtowatych, których liczymy czterdzieści sześć rodzajów i tysiąc trzysta gatunków.

— Dobrze więc, Harbercie — rzekł Penkroff — ale ja przysięgłbym, że wszystkie te pożyteczne okazy, które tu wyliczyłeś, nie są wcale takimi olbrzymami jak te!

— To prawda.

— To także potwierdza zdanie, które właśnie wypowiedziałem: te olbrzymy są nic nie warte!

— Mylisz się Penkroffie — odezwał się na to inżynier. — Właśnie te olbrzymie eukaliptusy, pod których sklepieniem spoczywamy, służą do czegoś.

— Do czego?

— Oczyszczają powietrze w krajach, w których rosną. Wiesz, jak je nazywają w Australii i Nowej Zelandii?

— Nie wiem, panie Cyrusie.

— Nazywają je „drzewami gorączkowymi”.

— Dlatego, że sprowadzają gorączkę?

— Nie, dlatego, że przed nią chronią! Jest prawie dowiedzione, że obecność eukaliptusów wystarcza do zneutralizowania wpływu szkodliwych wyziewów. Próbowano tego naturalnego środka zapobiegawczego w kilku krajach południowej Europy oraz północnej Afryki, gdzie środowisko było bardzo szkodliwe dla zdrowia; po jego zastosowaniu zaobserwowano postęp w zwalczaniu niektórych chorób. W okolicach gdzie rosną, nie panuje febra. Fakt ten nie ulega żadnej wątpliwości i jest to okoliczność nader korzystna dla nas, mieszkańców Wyspy Lincoln.

Płynęli jeszcze co najmniej dwie mile wśród okolicy porośniętej eukaliptusami górującymi ponad wszystkimi drzewami tej części wyspy. Słońce zachodziło już na widnokręgu i na ziemi

widać było olbrzymie cienie drzew. Cyrus Smith widząc, że nie dotrą tego dnia do zachodnich wybrzeży wyspy, postanowił urządzić nocleg w miejscu, w którym płytki woda uniemożliwi dalszą żeglugę.

Łódź mknęła wśród lasu, który z wolna gęstniał znowu i zdawał się nawet bardziej tętnić życiem, gdyż jeśli marynarza nie mylił wzrok, udawało mu się dostrzec gromady małych skaczących przez zarośla.

Okolo czwartej żegluga stała się bardzo uciążliwa, łozysko rzeki tamowały bowiem wodne zielska i skały. Brzegi stawały się coraz wyższe i rzeka torowała sobie drogę wśród pierwszych pasm Góry Franklina. Niedaleko już zatem musiało być do jej źródeł, gdyż były one zasilane przez potoki spadające z południowych stoków góry.

Niebawem łódź poczęła trącać o kamieniste dno rzeki; w tym miejscu nie była szersza niż dwadzieścia stóp. Zielone sklepienie, które tworzyły gałęzie drzew, było tak gęste, że niemal nie przepuszczało promieni słonecznych. Słychać było dość wyraźny szmer wodospadu, który świadczył, że kilkaset kroków dalej znajdowała się naturalna zaporą.

Faktycznie, gdy minęli ostatni zakręt rzeki, ukazał się im wśród zarośli i drzew szumiący wodospad. Łódka utknęła na dnie i w kilka minut później została przymocowana do pąła przy prawym brzegu rzeki.

Była wtedy mniej więcej piąta. Ostatnie promienie słońca przedzierały się przez gąszcz i padały ukośnie na wodospad, który połyskiwał tęczowymi barwami. Poza nim łozysko rzeki gubiło się wśród zarośli, podsycane zapewne przez jakieś ukryte źródło. Rozliczne strumyki, które po drodze wpadały do niej, wzbierały bardzo znacznie, lecz w tym miejscu rzeka była tylko przezroczystym, płytkim potoczkiem.

W tym cudownym miejscu rozbito obóz, rozniecono ogień pośród grupy rozłożystych wiązów, w których gałęziach Cyrus Smith wraz z swoimi towarzyszami mogli znaleźć w razie potrzeby schronienie na noc.

Wygłodniali koloniści spożyli kolację z wilczym apetytem, należało tylko pomyśleć o noclegu. Ponieważ jakieś podejrzané ryki dały się słyszeć wieczorem dołożono drew do ognia na noc, aby migocące płomyki ochraniały śpiących. Nab z Penkroffem czuwali kolejno, nie szcędząc opału; noc minęła bez żadnego wydarzenia i nazajutrz, 31 października, o piątej rano wszyscy byli gotowi do dalszej podróży.

ROZDZIAŁ IV

W drodze na wybrzeże. — Gromady małp. — Nowy potok. — Nadbrzeżny las. — Jaszczurczy Cypel. — Gedeon Spilett wzbudza zazdrość Harberta. — Bambusowe petardy.

Była szósta rano, gdy koloniści ruszyli dalej w drogę z postanowieniem dotarcia jak najkrótszą trasą do zachodnich wybrzeży wyspy. Ta część Lasu Dalekiego Zachodu była olbrzymim gąszczem najróżnorodniejszej roślinności. Pojawiła się więc konieczność torowania sobie drogi przez zarośla, krzaki i liany z siekierą w rękę, a przy tym i ze strzelbą, zważywszy na ryki zwierząt, słyszane w nocy.

Przed wyruszeniem przywiązano silniej łódkę do drzewa. Penkroff z Nabem zabrali zapasy, mogące wyżywić naszą drużynę co najmniej przez dwa dni. O polowaniu nie było już mowy, a inżynier zalecił swoim towarzyszom zaniechanie wszelkiego niepotrzebnego hałasu, by w okolicy wybrzeża nie zdradzić swej obecności.

Pierwsze uderzenia siekiery rozległy się między krzakami drzew mastyksowych, nieco powyżej wodospadu; po czym Cyrus Smith z busolą w dłoni wskazał dalszy kierunek drogi.

Napotykali często gromady małp, które były bardzo zdumione, patrząc na zupełnie nie znane im istoty. Spotkali także kilka dzików, aguti, kangurów i innych gryzoni oraz dwa lub trzy misie koala, na które Penkroff z wielką ochotą by zapolował.

— Cóż, kiedy polowanie wzbronione! — powtarzał. — Skaczcie więc, moi przyjaciele, biegnijcie i latajcie sobie w spokoju! W drodze powrotnej zamienimy z sobą słóweczko!

O wpół do dziesiątej rano wstrzymał ich nagle w drodze, którą postępowali prosto w kierunku południowo-zachodnim, jakiś nieznaną potok szerokości około czterdziestu stóp, który płynąc wartko spadzistym korytem i objijając się o niezliczone skały, pędził z głośnym łoskotem. Potok ten był głęboki i przejrzysty, lecz do żeglugi zupełnie nieprzydatny.

— Jesteśmy więc odcięci! — zawołał Nab.

— Nie! — odparł Harbert. — Wszak to niewielki potoczek, potrafimy go przebyć wplaw!

— Nie trzeba — odrzekł Cyrus Smith. — Potok ten płynie widocznie do morza. Ruszajmy więc jego brzegiem, a na pewno zawiedzie nas na wybrzeże. Dalej, w drogę!

— Jeszcze chwileczkę! — odezwał się Penkroff.

— Co się stało? — zapytał reporter.

— Chociaż polowanie jest wzbronione, rybołówstwo, jak sędzę, jest dozwolone — rzekł marynarz.

— Nie mamy czasu do stracenia — odparł inżynier.

— O! Tylko pięć minut! — rzekł Penkroff. — Proszę tylko o pięć minut zwłoki.

Penkroff, położywszy się na brzegu, zanurzył ręce w bystry prąd wody i wyciągnął wkrótce kilka tuzinów pięknych raków, jakich mnóstwo ukrywało się pomiędzy skałami.

— Wspaniale! — zawołał Nab, przychodząc z pomocą marynarzowi.

Ruszyli dalej. Droga nad brzegiem nowo odkrytego potoku była łatwiejsza. Brzegi nie zdradzały żadnego śladu człowieka. Od czasu do czasu spotykali tylko ślady dużych zwierząt, które przychodziły do strumienia, by ugasić pragnienie.

Tymczasem widok tego wartkiego strumienia, pędzącego w stronę morza, nasunął Cyrusowi Smithowi przypuszczenie, że znajdowali się w większym oddaleniu od wybrzeży zachodnich niż początkowo sądził. O tej godzinie morze przybierało i powinno cofnąć bieg potoku, gdyby do jego ujścia było bardzo blisko. Jednak potok płynął naturalnym spadkiem łożyska. Inżynier,

bardzo zdziwiony, spoglądał często na busolę, aby się upewnić, czy przypadkiem jakaś odnoga rzeki nie poprowadziła ich w głąb Lasu Dalekiego Zachodu.

Tymczasem potok rozszerzał się coraz bardziej, a jego prąd stawał się słabszy. Zarówno na prawym jak i na lewym jego brzegu ciągnął się gęsty las, który uniemożliwiał obserwację. Gęstwiny te były jednak niezamieszkane, gdyż czujny Top nie szczekał.

O wpół do jedenastej, ku wielkiemu zdumieniu Cyrusa Smitha, Harbert, który wyprzedził resztę swych towarzyszy, zatrzymał się nagle i zawołał:

— Morze!

W kilka minut później koloniści dotarli na skraj lasu i ujrzeli zachodnie wybrzeże wyspy, całkiem odmienne od tego, na które rzucił ich los.

Nie było tu ścian granitowych, żadnych raf na morzu, nigdzie nawet mielizny. Brzeg morza stanowił las, a drzewa rosnące z samego skraju, uderzane przez morskie fale zwisały nad wodą. Nie było to wybrzeże morskie, piaszczyste lub skaliste, jakie najczęściej tworzyła natura, lecz wspaniałe pasmo najpiękniejszych w świecie drzew.

Osadnicy zatrzymali się przy małej zatoce, niezdolnej pomieścić więcej jak dwie lub trzy łodzie rybackie; przez nią spływały do morza wody nowo odkrytego potoku — nie po lekkiej pochyłości, lecz spadały gwałtownie z wysokości czterdziestu stóp. Stało się więc jasne, dlaczego przyływ morza nie oddziaływał na bieg rzeki, której koryto tak znacznie wznosiło się nad poziom oceanu. Dlatego też nazwali ją Rzeką Kaskady.

Ku północy leśny pas wybrzeża ciągnął się około dwie mile, potem drzewa były coraz rzadsze, a dalej zarysowały się malownicze wzgórza.

Śniadanie spożyli w pośpiechu i o wpół do dwunastej Cyrus Smith dał znak do wyruszenia w drogę. Zamiast iść grzbietem wzgórza, czy też piaszczystą płaszczyzną, koloniści postanowili podążać wśród szpalerów drzew, wzdłuż brzegu morza.

Do tej pory nie zauważyli niczego, co świadczyłoby o niedawnym rozbiciu się statku na tych wybrzeżach. Prawda, że jak to zauważył Gedeon Spilett, morze mogło ze sobą unieść wszystko, i że brak jakichkolwiek śladów nie świadczył o tym, że nie miała tu miejsca jakaś katastrofa.

Była już piąta, a koniec Półwyspu Gada oddalony był jeszcze dwie mile od miejsca, w którym znajdowali się koloniści. Po dotarciu do Jaszczurczego Cypla Cyrus Smith ze swoimi towarzyszami zdecydowali się tam przenocować. Zresztą mieli ze sobą dość żywności, co było wielkim szczęściem, gdyż na krawędzi lasu nie pokazała się czworonożna zwierzyna. Za to ptactwa było co niemiara.

Około siódmej wieczorem koloniści, znużeni trudną drogą, przybyli do Jaszczurczego Cypla. Tu kończył się nadbrzeżny las półwyspu, a całe wybrzeże w stronie południowej przybrało zwykłą formę brzegu morskiego ze skałami, rafami i mieliznami. Mógł tam wylądować ów nieznany okręt, lecz noc już zapadała i trzeba było odłożyć poszukiwania do dnia następnego.

Penkroff z Harbertem natychmiast zaczęli szukać miejsca na nocleg. Na krańcu wyspy rosły ostatnie drzewa Lasu Dalekiego Zachodu, a pomiędzy nimi Harbert rozpoznał gęste grupy drzew bambusowych.

— Brawo! — zawołał. — Oto cenne odkrycie!

— Cenne, dlaczego? — zapytał Penkroff.

— Bez wątpienia — odparł Harbert. — Nie wspomnę już o tym, panie Penkroffie, że kora bambusowa pokrojona w paski służy do wyplatania koszyków. Poza tym kora ta zmiażdżona i wymoczona służy do wyrobu papieru chińskiego; z łodygi bambusowej, stosownie do jej grubości, robi się laski, cybuchy i rury do przepływu wody; duże bambusy dają doskonały materiał budulcowy, lekki i trwały, nie uszkodzany przez owady. Nie będę także dodawał, że

ucinając część łądygi między dwoma kolankami, można otrzymać mocne i wygodne naczynia, często używane w Chinach. Nie! — to wszystko nie zadowoliliby ciebie. Ale... — Ale?...

— Ale pouczę cię, jeśli o tym nie wiesz, że w Indiach jedzą bambusy zamiast szparagów.

— Szparagi o długości trzydziestu stóp! — zawołał marynarz. — A czy są dobre?

— Wyborne! — odparł Harbert. — Tylko że nie je się tych wysokich łądyg, lecz młodziutkie pędy bambusa.

— Wyśmienicie, mój chłopcze, wyśmienicie! — odparł Penkroff.

— Dodam jeszcze, że rdzeń z młodych łądyg, marynowany w occie, daje bardzo cenną przyprawę.

— Coraz lepiej, Harbercie.

— A w końcu, że te bambusy posiadają między kolankami płyn cukrowy, z którego można przyrządzić niezwykle smaczny napitek.

— I na tym koniec? — zapytał marynarz.

— Koniec!

— A czy nie dałoby się z nich sporządzić czegoś podobnego do tytoniu?

— Niestety, mój biedny panie Penkroffie!

Harbert z marynarzem nie potrzebowali długo szukać odpowiedniego miejsca na nocleg. Skały nadbrzeżne — poszarpane różnorodnie, gdyż pod wpływem wichrów południowo-zachodnich były poddawane gwałtownym atakom fal morskich — posiadały wyżłobienia zdolne ochronić ich w nocy od złej pogody. W chwili jednak, gdy zamierzali wejść do jednej z tych jaskiń, powstrzymał ich nagle straszliwy ryk wydobywający się z wnętrza.

— W tył zwrot! — zawołał Penkroff. — Mamy strzelby nabite tylko drobnym śrutem!

Mówiąc to, marynarz chwycił Harberta za rękę i pociągnął go ze sobą za skałę; w tej samej chwili ukazało się przy wejściu do jaskini wspaniałe zwierzę.

Był to jaguar wielkości co najmniej takiej, jak jego współplemieńcy w Ameryce, to znaczy, że od głowy do ogona mierzył przeszło pięć stóp. Jego płowe futro zdobiły duże czarne cętki, które odbijały się wyraźnie od białej sierści na brzuchu.

Jaguar postąpił naprzód i spoglądał dookoła, z najeżoną sierścią i z roziskrzonym wzrokiem, jak gdyby nie po raz pierwszy przyszło mu się spotkać z człowiekiem.

W tej chwili reporter wyłonił się spoza wysokiej skały, a Harbert w mniemaniu, że nie dostrzegł jaguara, chciał mu biec na pomoc, lecz Gedeon Spilett dał znak ręką i szedł naprzód. Nie pierwszy raz miał do czynienia z takim dranieżnikiem; zbliżywszy się na dziesięć kroków do zwierzęcia stanął nieruchomy z karabinem na ramieniu i ani jeden mięsień mu nie drgnął.

Jaguar, sprężywszy się, rzucił się na myśliwego, lecz już w czasie skoku otrzymał kulę między oczy i padł martwy.

Harbert z Penkroffem podskoczyli do jaguara. Nab z Cyrusem Smithem nadbiegli ze swej strony i kilka minut stali pełni podziwu, przypatrując się rozciągniętemu na ziemi zwierzęciu, którego wspaniała skóra miała służyć za ozdobę wielkiej sali w Granitowym Pałacu.

— A teraz — rzekł Gedeon Spilett — gdy nie potrzebujemy się już obawiać jaguara, nie widzję powodu, aby jego kryjówka nie posłużyła nam za nocleg.

— Mogą przyjść inne jaguary! — rzekł Penkroff.

— Wystarczy, jeśli rozpalimy ogień przy wejściu do jaskini — rzekł reporter — a pewnie żaden z nich nie odważy się przestąpić progu.

— A zatem do groty jaguarów! — odparł marynarz, ciągnąc za sobą zwłoki zwierzęcia.

Chwilę później Nab ściągał skórę z jaguara, zaś reszta jego towarzyszy gromadziła przy wejściu stopy suchego drzewa, którego obficie dostarczał las.

Natomiast Cyrus Smith, spostrzegłszy grupę drzew bambusowych, udał się w to miejsce i po ucięciu pewnej ilości tego drzewa, dorzucił je do reszty opału.

Zjedzono kolację, a gdy przyszedł czas na spoczynek, zapalono ognisko u wejścia do jaskini.

W tej samej chwili rozległ się w powietrzu trzask i urywany huk. Były to bambusy, które po zapaleniu wydawały huk podobny do wypuszczanych rac. Już sam ten dźwięk był w stanie odstraszyć najzuchwalsze bestie!

Nie był to wcale wynalazek inżyniera, gdyż jak twierdzi Marco Polo*, Tatarzy już przed wiekami używali tego sposobu z powodzeniem dla odstraszenia od swych obozowisk groźnych bestii w puszczach środkowej Azji.

* Marco Polo (1254–1324) — podróżnik wenecki. W swoim dziele *Opisanie świata* zawarł wiele cennych informacji na temat Bliskiego i Dalekiego Wschodu.

ROZDZIAŁ V

Zwiedzanie południowego wybrzeża. — Wygląd wybrzeża. — Poszukiwania domniemanych rozbitków. — Szczątki w powietrzu. — Odkrycie małej, naturalnej przystani. — O północy nad brzegiem Rzeki Miłosierdzia. — Nadpływająca łódka.

Noc minęła spokojnie, a o wschodzie słońca wszyscy znajdowali się już nad brzegiem morza, na samym końcu przylądka. Ani gołym okiem, ani przez lunetę nie mogli dostrzec żadnych szczątków rozbitego statku. Pozostawało im zatem zbadać jeszcze południowe wybrzeże wyspy.

Gedeon Spilett zaproponował, by nie odkładać poszukiwań, gdyż w grę mogło wchodzić życie ludzkie.

Wniosek reportera, tak żywo poparty przez marynarza, uzyskał ogólną przychylność, każdemu bowiem zależało na tym, aby ostatecznie rozstrzygnąć wszystkie wątpliwości. Nie było jednak czasu do stracenia, bo czterdzieści mil, na jakie obliczono odległość, to spory kawałek drogi, a należało wrócić do Granitowego Pałacu przed nocą.

O szóstej rano drużyna ruszyła w drogę. Na wypadek jakiegoś spotkania z dwu lub czworonożnymi zwierzętami ponabijano strzelby kulami, a Top, który miał biec na czele pochodu, otrzymał rozkaz przeszukiwania zarośli na skraju lasu.

Począwszy od końca przylądka, tworzącego jakby ogon półwyspu, wybrzeże zaokrąglano się na długość pięciu mil, którą to odległość przebyto bardzo szybko; pomimo najskrupulatniejszego poszukiwania nie odkryto nigdzie najmniejszych śladów bytności człowieka, żadnych szczątków, resztek obozu, ani popiołów z wygasłego ogniska.

Po dwudziestu pięciu milach wybrzeże kończyło się Przylądkiem Ostrego Szpona, który zaledwie majaczył w porannej mgle i na skutek dziwnego złudzenia optycznego zdawał się jakby zawieszony pomiędzy niebem i ziemią. Między punktem, w którym znajdowali się wówczas koloniści a środkiem olbrzymiej zatoki rozciągało się wybrzeże: z przodu piaszczysta plaża bardzo gładka i jednostajna, obwiedziona w dalszym planie konturem drzew; następnie zarys wybrzeża stawał się coraz bardziej nieregularny i wybiegał w morze tysiącem spiczastych języków, dalej piętrzyły się w malowniczym nieładzie czarniawe skały, które kończyły się Przylądkiem Ostrego Szpona.

Taki był kształt tej części wyspy, którą koloniści widzieli po raz pierwszy. Zatrzymali się chwilę i przebiegli wzrokiem po horyzoncie.

— Okręt, zagnany w tym miejscu do brzegu — odezwał się Penkroff — musiałby niechybnie zginąć. Z tej strony znajdują się ławice piaszczyste sięgające daleko w morze, a z tamtej rafy! Niebezpieczna okolica!

— W każdym razie pozostałyby przynajmniej szczątki rozbitego okrętu — zauważył reporter.

— Na rafach zostałyby z niego drzazgi, a na piaskach nic — odparł marynarz.

— A to dlaczego?

— Ponieważ piaski są bardziej niebezpieczne niż skały; pochłaniają wszystko, co na nie padnie i kilka dni wystarczy, aby kilkutonowy okręt pogrążył się w nich bez śladu!

— A zatem, Penkroffie — zapytał inżynier. — Utrzymujesz, że te ławy piasku mogły pochłonąć cały statek?

— Bez wątpienia, panie Smith, zwłaszcza przy złej pogodzie i burzach. Jednak i w takim razie byłoby dziwne, że szczątki masztów i lin nie zostały wyrzucone na brzeg.

— Szukajmy więc dalej — odparł Cyrus Smith.

O pierwszej koloniści stanęli nad Zatoką Waszyngtona. Zatrzymali się, aby zjeść śniadanie.

Od tego miejsca zmieniał się kształt wybrzeża; było ono dziwacznie poszarpane i pokryte drugą linią raf, których wierzchołki zaczynał odsłaniać odpływ.

Po półgodzinnym odpoczynku koloniści ruszyli w dalszą drogę i bardzo dokładnie przyglądali się wybrzeżu. Penkroff z Nabem zapędzali się nawet pomiędzy skały, ilekroć jakiś przedmiot zwrócił ich uwagę. Nie znajdowali jednak nic i tylko dziwaczne kształty skał daremnie łudziły ich wzrok.

Około trzeciej Cyrus Smith ze swoimi towarzyszami przybyli do wąskiej zatoczki, do której nie wpadał żaden potok. Tworzyła ona rodzaj małej, naturalnej przystani, zakrytej od strony morza, a łączył się z nią wąski przesmyk pozostawiony między skałami.

Gedeon Spilett zaproponował swoim towarzyszom, by zatrzymali się w tym miejscu. Wniosek przyjęto, wędrowka bowiem zaostriżyła wszystkim apetyt i chociaż to jeszcze nie była pora obiadowa, każdy chciał posilić się kawałkiem dziczyzny. Ta przekąska miała im wystarczyć aż do wieczery w Granitowym Pałacu.

W kilka minut później koloniści, siedząc pod pięknym sklepieniem morskich sosen, spożywali zapasy, które Nab zabrał na drogę.

Miejsce to wznosiło się od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu stóp nad poziomem morza; mogli objąć wzrokiem znaczną przestrzeń, lecz i stąd nic nie dostrzegali.

— Cóż — rzekł Gedeon Spilett. — Choć poszukiwania nasze były bezskuteczne, możemy się pocieszyć tym, że przynajmniej nikt nas nie będzie niepokoić na Wyspie Lincolna!

— Ale to ziarno śrutu! — zawołał Harbert. — Wiemy, że nie było wcale urojeniem!

— Oczywiście, że nie! — zawołał Penkroff, pamiętając o straconym zębie.

— Jaki stąd wniosek? — zapytał reporter.

— Taki — odparł inżynier — że trzy miesiące temu lub więcej, jakiś okręt dobrowolnie lub zepchnięty burzą dotarł do naszego brzegu...

— Jak to, przypuszczasz Cyrusie, że zaginął bez śladu?! — zawołał reporter.

— Nie, mój drogi Gedeonie; zechciej jednak zauważyć, że jeśli jest pewne, iż jakiś człowiek był na wyspie, to wydaje się być równie pewne, że ją już opuścił.

— Więc, jeśli pana dobrze rozumiem, panie Cyrusie — rzekł Harbert — okręt, który tu przybił, już odpłynął?...

— Oczywiście.

— A my straciliśmy bezpowrotnie możliwość zobaczenia kiedykolwiek naszej ojczyzny? — zapytał Nab.

— Obawiam się, że tak.

— A zatem, skoro sposobność nas ominęła, wracajmy do domu! — rzekł Penkroff, który odczuwał już tęsknotę za Granitowym Pałacem.

Lecz zaledwie powstał, odezwało się nagle głośnie szczekanie Topa i pies wybiegł po chwili z lasu, trzymając w pysku kawałek jakiegoś materiału unurzanego w błocie.

Nab wydarł psu szmatę z pyska. Był to kawałek mocnego płótna.

Top szczekał nieustannie i biegając wciąż tam i z powrotem, zdawał się zachęcać swego pana, aby szedł za nim do lasu.

— Jest tam coś, co może nam wyjaśni pochodzenie owego ziarnka śrutu! — zawołał Penkroff.

I wszyscy pobiegli za psem, lecz przez ostrożność mieli przygotowaną nabitą broń.

Musieli zapuścić się dość daleko w las, lecz ku swojemu wielkiemu rozczarowaniu nie spostrzegli żadnego śladu ludzkiej stopy. Krzaki i liany były nietknięte, trzeba się nawet było przerażać przez nie siekierą, tak jak to czynili wśród gęstwiny w głębi boru. Trudno więc było przypuścić, aby przechodził tędy człowiek, a jednak Top uparcie prowadził ich w coraz większy gąszcz.

Wreszcie pies zatrzymał się. Koloniści wyszli na polankę otoczoną wysokimi drzewami, rozejrzeli się dokoła, lecz nie spostrzegli jednak nic między krzakami i drzewami.

— Cóż to znaczy, Top? — zapytał Cyrus Smith.

Top począł szczekać jeszcze głośniejsze i skakać dokoła olbrzymiej sosny. Nagle Penkroff zawołał:

— A to wyborne! A to wyśmienite!

— Co takiego? — zapytał Gedeon Spilett.

— Szukamy szczątków okrętu na morzu i lądzie, a one znajdują się w powietrzu!

I marynarz pokazał ręką ogromną białą szmatę zawieszoną na szczycie sosny.

— Ależ to nie są szczątki okrętu! — zawołał Gedeon Spilett.

— O, za pozwoleniem! — odparł Penkroff. — To są szczątki naszego statku powietrznego, naszego balonu, który zawisł wysoko, na wierzchołku tego drzewa!

Penkroff nie mylił się, wzniosł wspaniałe „hurra!” i dodał:

— Teraz mamy doskonałe płótno! Będziemy mieli z niego bieliznę na całe lato! Jest z czego szyć chustki i koszule! Panie Spilett, co pan powie o takiej wyspie, gdzie koszule rosną na drzewach?...

Był to w istocie bardzo szczęśliwy traf, że balon spadł na wyspę, a przypadek pozwolił go odnaleźć. Mogli więc: albo zachować powłokę balonu w takim stanie jakim była, gdyby zamierzali spróbować nowej powietrznej żeglugi, albo też zużyć tych kilkaset łokci płótna dobrego gatunku na swoje potrzeby.

Trzeba było najpierw zdjąć powłokę balonu z drzewa, na którym wisiała, a była to praca niełatwa. Nab, Harbert i marynarz wdrapali się na wierzchołek drzewa i musieli wykazać się dużą zręcznością, by zrzucić z niego olbrzymi balon razem z linami i kotwicą. Powłoka, oprócz sporego pęknięcia, znajdowała się w dobrym stanie i tylko jej dolna część była podarta.

— Bądź co bądź, panie Cyrusie — odezwał się marynarz — jeśli zdecydujemy się kiedyś opuścić wyspę, to nie balonem, prawda? Te statki powietrzne nie lecą nigdy tam, dokąd człowiek chciałby dotrzeć; mieliśmy możliwość przekonania się o tym! Widzi pan, jeśli mnie pan posłucha, zbudujemy porządną szalupę. Z tego płótna można zrobić żagle, a reszta pójdzie na bieliznę!

— Zastanowimy się później, Penkroffie — odparł Cyrus Smith.

— Tymczasem trzeba to wszystko bezpiecznie ukryć — rzekł Nab.

Rzeczywiście, niemożliwe było przeniesienie do Granitowego Pałacu, takiej ilości płótna, powrozów i lin, gdyż ich ciężar był znaczny, a do czasu zorganizowania transportu nie można było zostawić tych bogactw na łasce burzy. Koloniści wspólnymi siłami zaciągnęli więc cały balon na brzeg morza, gdzie odkryli dość obszerną jaskinię, zabezpieczoną dzięki swemu położeniu od wichru, deszczu i morza.

O szóstej wieczorem balon był już ukryty, a koloniści nadali małej zatoce nazwę Przystani Balonowej i ruszyli dalej w drogę. Penkroff z inżynierem idąc obok siebie roztrząsali, czym należy się zająć w pierwszej kolejności. Przede wszystkim trzeba było wybudować most na Rzece Miłosierdzia, następnie przewieźć balon; w końcu zbudować szalupę, w której można by opłynąć wyspę.

Koloniści przeszli jeszcze cztery mile, aż dotarli do miejsca, gdzie Rzeka Miłosierdzia przecięła im drogę. Musieli zatrzymać się i czekać aż Penkroff zbuduje tratwę, by ułatwić przeprawę. Marynarz i Nab zajęli się ścinaniem drzew, a Harbert wędrował brzegiem rzeki.

— Co tam płynie? — zawołał nagle chłopak.

Penkroff przerwał swą pracę i dostrzegł jakiś ruchomy, majacący w nocnym mroku przedmiot.

— To jakaś łódka! — rzekł po chwili.

Wszyscy podbiegli do brzegu i ku swemu największemu zdziwieniu ujrzeli łódź, pędzącą z prądem rzeki.

— Ahoj! Tam na łodzi! — zawołał marynarz.

Nikt nie odpowiadał. Łódź płynęła dalej i gdy zbliżyła się na dziesięć kroków, marynarz zawołał:

— Przecież to nasze czółno! Urwało się z cumy i popłynęło z wodą! Trzeba przyznać, że pojawiło się w odpowiedniej chwili.

Penkroff miał słuszość. Była to rzeczywiście łódka, którą prąd przyniósł w to miejsce. Nab z Penkroffem schwytała łódź bardzo zręcznie, przy pomocy długiej żerdzi.

Łódka przybiła do brzegu. Inżynier wskoczył do niej pierwszy, obejrzał cumę i stwierdził, że przetała się o skały.

— To się nazywa — rzekł do niego reporter — szczęśliwy wypadek...

— Dziwny! — dodał Cyrus Smith.

Nie zastanawiając się dłużej koloniści wskoczyli do łodzi; dziwili się tylko, że łódka nadpłynęła właśnie w chwili, gdy była najbardziej potrzebna. Był to wyjątkowy zbieg okoliczności!

Po kilku uderzeniach wiosłem dopłynęli do ujścia Rzeki Miłosierdzia. Wyciągnęli czółno na brzeg niedaleko Kominów i poszli wszyscy do drabinki prowadzącej do Granitowego Pałacu.

Lecz w tej chwili Top zaszczekał gniewnie, a Nab, który szukał pierwszego stopnia drabinki, krzyknął...

Drabinka zniknęła.

ROZDZIAŁ VI

*Wołanie Penkroffa. — Noc w Kominach. — Strzała Harberta. — Projekt Cyrusa Smitha. —
Niespodziewane rozwiązanie. — Co się działo w Granitowym Pałacu? — Nowy.*

Cyrus Smith zatrzymał się, nie mówiąc ani słowa. Jego towarzysze zaczęli po omacku szukać drabiny to w powietrzu, to na ziemi, przypuszczając, że może wiatr ją strącił lub tylko przesunął... Wszelkie poszukiwania okazały się bezskuteczne.

— Przecież dzisiaj nie było nawet wiatru! — powiedział Harbert.

— Dochodzę do wniosku, że na Wyspie Lincolna dzieją się dziwne rzeczy! — rzekł Penkroff.

— Dziwne? — zapytał Gedeon Spilett. — Nie widzę w tym nic dziwnego. Ktoś przyszedł podczas naszej nieobecności, wziął w posiadanie nasz pałac i ściągnął drabinę!

— Ktoś! — zawołał marynarz. — Ale kto taki?...

— Nikt inny, tylko myśliwy, z którego strzelby pochodzi ziarnko śrutu — odparł reporter.

— Dobrze więc — odparł zniecierpliwiony Penkroff. — Jeśli tam jest ktoś na górze, trzeba zawołać; może nam odpowie.

Mówiąc to, krzyknął głośno.

Osadnicy wyteżyli słuch i zdawało im się, że z wyżyn Granitowego Pałacu doszedł ich jakiś szyderczy śmiech, lecz z czyich ust, tego rozpoznać nie mogli. Nikt jednak nie odpowiedział na wołanie Penkroffa.

Gdy tak stali bezradni u podnóża Granitowego Pałacu, Cyrus Smith powiedział:

— Pozostaje nam tylko jedno: czekać cierpliwie, aż się rozwidni, a potem postąpić stosownie do okoliczności. Na razie chodźmy do Kominów. Tam będziemy bezpieczni, a nie mając nic do jedzenia, przynajmniej prześpimy się.

Koloniści, pomimo znużenia, nie spali dobrze na piasku w Kominach. Byli bardzo zaniepokojeni faktem, że ich mieszkanie w Granitowym Pałacu było zajęte.

Granitowy Pałac był dla nich więcej niż schronieniem, był ich składem, ich magazynem. W jego murach złożone były wszystkie zapasy osady, broń, narzędzia, amunicja, żywność... Gdyby ktoś pozbawił ich tego, musieliby na nowo zaczynać od początku, znaleźliby się w takim położeniu, jak po wylądowaniu na wyspie. Dręczeni niepokojem, jeden po drugim wychodzili co chwilę, aby przekonać się, czy Top pilnie czuwa. Nie ulegało wątpliwości, że wyspa ta kryła jakąś tajemnicę, ale jak ją odgadnąć? Harbert, który gubił się w domysłach, chętnie zapytałby Cyrusa Smitha. Najbardziej ze wszystkich złościł się Penkroff:

— To figiel — mówił — ktoś nam spletał figla! Ale ja nie lubię figlów i biada figlarzowi, jeśli wpadnie w moje ręce!

O wschodzie słońca koloniści, należycie uzbrojeni, udali się na brzeg morza. Skoro tylko pierwsze promienie wschodzącego słońca oświetliły Granitowy Pałac przekonali się, że okna są dobrze zabezpieczone okiennicami — tak jak je zostawili.

Z tej strony wszystko było w porządku, lecz wkrótce krzyknęli na widok otwartych na oścież drzwi, które zamknęli wychodząc. Nie mogli wątpić, że ktoś był w środku.

Górna drabinka wisiała na swoim miejscu, lecz dolna była wciągnięta aż do samego progu. Oczywiście było, że nieproszeni goście chcieli się zabezpieczyć przed niespodziewanym nadejściem właścicieli. Kim byli ci ludzie i ilu ich było?

Penkroff krzyknął. Żadnej odpowiedzi.

Harbert wpadł na pomysł, aby przywiązać sznurek do strzały i wycelować ją tak, by przeleciała pomiędzy pierwszymi drążkami drabinki wiszącej u progu drzwi, a później,

chwyciwszy sznurek, pociągnąć drabinę w dół i odzyskać dostęp do Granitowego Pałacu. Innego sposobu nie było, a przy odrobinie zręczności zamiar ten mógł się powieść. Na szczęście łuki i strzały złożone były w jednym z korytarzy Kominów, gdzie znajdowało się także jakieś dwadzieścia sążni lekkiego sznura, uplecionego z włókna hibiskusa. Penkroff rozwiniął sznur i jeden koniec przymocował do starannie wybranej strzały. Harbert, naciągnął łuk, mierzył z wielką uwagą w sam zwisający koniec drabinki.

Wszyscy pozostali cofnęli się nieco, żeby zobaczyć, czy ktoś pokaże się w oknach Granitowego Pałacu. Reporter, przyłożywszy strzelbę do oka, mierzył prosto w drzwi.

Po chwili strzała świsnęła, pociągając za sobą sznur i przeleciała pomiędzy ostatnimi dwoma szczeblami drabinki.

Plan powiódł się całkowicie.

Harbert chwycił natychmiast za koniec sznura, lecz w chwili, gdy szarpnął nim, by strącić na dół drabinę, jakaś ręka pojawiła się w drzwiach, chwyciła drabinę i wciągnęła ją do środka Pałacu.

— A to łotr nad łotrami! — zawołał marynarz. — Zasłużyłeś na to, by poczęstować cię kulką, i niedługo będziesz na nią czekał.

— Ale kto to taki? — zapytał Nab.

— Kto? Nie poznałeś?... — Nie.

— Ależ to małpa, makak czy szympan, koczokodan czy orangutan, pawian, Oryl czy mandryl! Dom nasz najechały małpy, wdrapawszy się po drabinie podczas naszej nieobecności!

W tej samej chwili, jakby na potwierdzenie słów marynarza, odsunęły się okiennice i w oknach pokazały się trzy lub cztery małpy, które powitały prawowitych właścicieli tysiącem wykrzywień i grymasów.

— Ja wiedziałem, że to figle! — zawołał Penkroff — ale przynajmniej jeden z figlarzy musi zapłacić za resztę!

Mówiąc to wymierzył do małp i dał ognia. Uciekły wszystkie prócz jednej, która spadła na piasek ugodzona śmiertelnie.

Trudno było stwierdzić, do jakiego gatunku należała ta małpa — a ponieważ wzrostem przypominała ludzi, niewątpliwie był to jeden z gatunków małp naczelnych.

Harbert jako dobry zoolog oświadczył od razu, że był to orangutan.

— Piękne zwierzę — powiedział Nab.

— Może i piękne — odparł Penkroff — ale dalej nie wiem, jakim sposobem wejdziemy do domu!

— Harbert ma celne oko — rzekł reporter. — Oto jest łuk! Niech spróbuje jeszcze raz.

— Małpy to sprytnie stworzenia! — zawołał Penkroff — i nie pokażą się po raz drugi w oknach; a kiedy sobie pomyślę, jakie szkody mogły zrobić w pokojach i w magazynie, to...

— Cierpliwości — odparł Cyrus Smith. — Te zwierzęta nie mogą długo triumfować nad nami!

— Co do mnie, nie będę tego pewien, dopóki nie ujrzę ich na ziemi — odparł marynarz. — A zresztą czy pan wie, panie Smith, ile tuzinów tych psotników znajduje się na górze?

Trudno było odpowiedzieć na to pytanie. Koloniści spróbowali jeszcze raz pociągnąć za sznurek przywiązany do strzały, ale zerwał się, a drabinka pozostała na miejscu.

Minęły dwie godziny, a małpy nie pokazywały się; kilka razy przez drzwi lub okna wysunęła się łapa śmielszej małpy, witana za każdym razem strzałami.

— Ukryjmy się — rzekł inżynier. — Niech małpy pomyślą, że odeszliśmy i pokażą się znowu. Trzeba, aby Spilett z Harbertem zaczęli się za skałami i czekali, aż się któraś pojawi.

Zastosowano się do rady inżyniera i podczas gdy reporter z Harbertem, najlepsi strzelcy osady, zajęli dobre pozycje obserwacyjne, inni poszli do lasu, by ubić jakąś zwierzynę, gdyż czas śniadania już nadszedł, a nie mieli zapasów żywności.

Pół godziny później myśliwi powrócili, niosąc kilka gołębi skalnych, które: wkrótce upieczono. Przez ten czas nie pokazała się ani jedna małpa.

Upłynęły dwie godziny, a położenie nie zmieniło się ani na jotę. Małpy siedziały tak cicho, jakby ich wcale nie było. Koloniści podejrzewali, że przestraszone śmiercią jednej z nich i spłoszone strzałami siedziały cicho w kątach, a może i w magazynie. To przypuszczenie nappełniło ich zrozumiałym niepokojem — w magazynie złożyli bowiem wszystkie swoje skarby.

— Doprawdy, nasze położenie jest trudne — rzekł wreszcie reporter — i nie ma nadziei, że w najbliższym czasie coś się zmieni.

— Trzeba koniecznie przepędzić te zwierzaki z naszego domu! — zawołał Penkroff. — Czy nie ma żadnego sposobu, żeby się do nich dostać?

— Jest jeden — odparł nagle inżynier, któremu jakaś myśl zaświtała w głowie.

— Jeden? — zapytał Penkroff. — Więc dobry ten, jeśli nie ma innych! A cóż i to za sposób?

— Spróbujmy dostać się do Granitowego Pałacu przez dawny upust od; strony jeziora — odparł inżynier.

— A, do stu tysięcy diabłów! — zawołał marynarz. — Że mnie to nie przyszło do głowy!

Rzeczywiście, był to jedyny sposób dostania się do Granitowego Pałacu! i wypędzenia stamtąd nieproszonych gości. Prawda, że otwór kanału odpływowego był zamurowany i mur ten trzeba było rozebrać, lecz można go było później naprawić. Na szczęście Cyrus Smith nie zrealizował jeszcze swego projektu zalania muru wodą, gdyż w takim razie nie mogliby tak prędko dotrzeć do niego.

Minęło już południe, gdy koloniści dobrze uzbrojeni i zaopatrzeni w kilofy oraz motyki opuścili Kominy i przeszli pod okna Granitowego Pałacu. Topowi rozkazali pozostać na straży i wyruszyli w drogę, aby lewym brzegiem Rzeki Miłosierdzia dostać się na Wielki Płaskowyż.

Zaledwie uszli kilka kroków, gdy usłyszeli wściekłe ujadanie psa. Był to rodzaj rozpaczliwego alarmu. Zatrzymali się.

— Biegnijmy! — zawołał Penkroff.

Wszyscy popędzili co tchu w stronę wybrzeża i wkrótce przekonali się, że — : położenie odmieniło się całkowicie.

Małpy, zdjęte nagłą trwogą z nieznaney przyczyny, usiłowały uciekać. Dwie lub trzy z nich biegały i skakały pomiędzy oknami ze zwinnością cyrkowych klaunów. Nie próbowały nawet spuścić drabinki, po której łatwiej by im było zbiec na dół, a może i w popłochu zapomniały o tym środku. Wkrótce kilka z nich tak się wysunęło, że dosięgły ich strzały kolonistów. Niektóre z nich, ranione lub zabite, wpadały z powrotem do środka lub wypadały na zewnątrz.

W kilka minut później w całym Granitowym Pałacu nie było ani jednej żywej małpy.

— Hurra! — zawołał Penkroff. — Hurra! I jeszcze raz hurra!

— Trochę za wcześnie na twoje okrzyki — powiedział Gedeon Spilett.

— Dlaczego? Przecież wybiliśmy wszystkie co do jednej — odparł marynarz.

— Być może, lecz mimo to nie dostaniemy się jeszcze do domu.

— Więc chodźmy przez kanał odpływowy! — odparł Penkroff.

— Tak, chodźmy — rzekł inżynier. — Lecz byłoby lepiej...

W tej chwili, jak gdyby w odpowiedzi na uwagę Cyrusa Smitha, ujrzeli jak drabinka prześlizgnęła się przez próg, rozwinęła i zsunęła do samej ziemi.

— A! Do tysiąca beczek! To dziwna rzecz! — zawołał marynarz, patrząc na Cyrusa Smitha.

— Aż nadto dziwna! — bąknął inżynier i wskoczył pierwszy na drabinkę.

— Proszę uważać, panie Cyrusie! — zawołał Penkroff. — Jeśli tam jest jeszcze któryś z tych pawianów...

— Zaraz zobaczymy — odparł inżynier, nie zatrzymując się. Towarzysze pospieszyli za nim i w minutę później stanęli wszyscy na progu.

Mimo poszukiwań nie znaleziono żadnej małpy.

— A drabinka? — zawołał marynarz. — Gdzież jest ten, kto ją nam spuścił? Lecz w tej chwili dał się słyszeć krzyk i duża małpa, która ukryła się w korytarzu, wpadła do sali, ścigana przez Naba.

— A! Wreszcie mamy rozbójnika! — zawołał Penkroff.

I zamierzył się siekierą, by roztrzaskać łeb zwierzęciu, lecz w tej chwili Cyrus Smith przytrzymał go za rękę i rzekł:

— Daruj jej życie, Penkroffie.

— Co, ułaskawić tego rabusia?

— Tak! To on nam zrzucił drabinę! Po krótkiej walce skrepowano małpę.

— Uff!... — zawołał Penkroff. — I co teraz z nią pocznjemy?

— Przyjmiemy ją na służbę! — odparł Harbert.

Mówiąc to Harbert wcale nie żartował, wiedział bowiem, że małpy można przyuczyć do wykonywania różnych posług.

Schwytany osobnik był orangutanem. Małpy te wyróżniają się ludzką prawie inteligencją. Używane do pomocy w domu potrafią podawać do stołu, zamiatać pokoje, czyścić ubrania, szcietkować buty, obchodzić się zręcznie z nożem, łyżką i widelcem, a nawet pić wino... Małpa, która leżała skrepowana w sali Granitowego Pałacu, był to duży samiec niezwykle kształtnej budowy, o szerokiej piersi, z głową średniej wielkości, z zaokrągloną czaszką, wystającym nosem, ze skórą pokrytą gładkim, miękkim i połyskującym włosiem. Oczy jego, niniejsze nieco od ludzkich, były inteligentnie ruchliwe; pod wąsami błyszczały dwa rzędy śnieżnych zębów, prócz tego miał małą kędzierzawą brodę orzechowego koloru.

— Piękny z niego chłop! — rzekł Penkroff. — Gdybym znał jego język, rozmówiłbym się z nim!

— Więc to nie jest żart? — zapytał Nab. — Naprawdę przyjmujemy go na służbę?

— Tak jest, Nabie — odparł inżynier z uśmiechem. — Lecz nie bądź zazdrosny — zostanie twoim pomocnikiem!

— I spodziewam się, że będzie doskonałym sługą — dodał Harbert. — Jest jeszcze młody, więc łatwo go będzie wytresować, nie uciekając się do drastycznych metod. On może się przywiązać tylko do dobrych i łaskawych panów.

— Będzie z nas miał takich panów — odparł Penkroff, który zapomniał już całkiem o swej urazie do „figlarzy”.

Po czym, przystąpiwszy do orangutana, zapytał:

— Jak się masz, mój chłopcze?

Orangutan odpowiedział lekkim mručeniem, które oznaczało dobry humor.

— Więc chcesz należeć do osady? — zapytał marynarz. — Wstąpisz na służbę do pana Cyrusa Smitha?

Po raz drugi odezwało się potakujące mruczenie.

— I będziesz się zadowalać samą strawą, bez innej zapłaty?

Trzecie mruczenie potakujące.

— Rozmowa z nim nie jest zbyt zajmująca — zauważył Gedeon Spilett.

— To dobrze! — odparł Penkroff. — Najlepsi są ci służący, którzy najmniej gadają. A poza tym nie żąda pensji!

Tym sposobem osada zyskała nowego mieszkańca, który miał jej później oddać niejedną przysługę. Co do imienia, Penkroff prosił, ażeby go nazwano na pamiątkę innej małpy, którą znał dawniej, Jupiterem, czyli w skrócie Jupem.

ROZDZIAŁ VII

Nowe projekty. — Most na Rzece Miłosierdzia. — Przemiana Wielkiego Płaskowyżu w wyspę. — Most zwodzony. — Żniwo. — Potok. — Mostki. — Podwórko. — Gołębnik. — Dwa onagry. — Zaprzęg. — Wyprawa do Przystani Balonowej.

Resztę tego dnia przeznaczono na przeniesienie ciał zabitych małąp do lasu i pogrzebanie ich. Następnie koloniści zabrali się do sprzątanía, bo choć małypy niczego nie uszkodziły, to poprzewracały wszystko. Nab rozpałił znowu ogień na kuchni, a spizarnia dostarczyła sutego posiłku, który wszyscy zjedli z apetytem.

Nie zapomniano także o Jupie i uraczono go hojnie sosnowymi migdałami i korzonkami, które mu bardzo smakowały. Penkroff rozwiązał mu ręce, lecz uznał za stosowne pozostawić mu jeszcze pęta na nogach aż do nabrania pewności, że pogodził się ze swym losem.

Następnie Cyrus Smith z towarzyszymi, zanim udali się na spoczynek, omówili projekty, które należało zrealizować jak najszybciej.

Najważniejszym i najpilniejszym z nich było postawienie mostu na Rzece Miłosierdzia w celu połączenia wyspy z Granitowym Pałacem oraz zbudowanie zagrody dla muflonów.

Oba te przedsięwzięcia zmierzały do rozwiązania najistotniejszego w tym czasie problemu odzieży. Most miał ułatwić transport powłoki balonu przeznaczonej na bieliznę, a zagroda miała dostarczyć wełny na sporządzenie ubrań zimowych.

Zagroda miała się znajdować przy źródłach Czerwonego Potoku, gdzie zwierzęta mogły znaleźć świeżą i bujną paszę. Droga do potoku była już częściowo utorowana, a za pomocą udoskonalonego wózka transport byłby stosunkowo łatwy, zwłaszcza gdyby udało się oswoić jakieś zwierzę pociągowe.

O ile zagroda mogła być oddalona nieco od Granitowego Pałacu, to inaczej miała się sprawa z kurnikiem, którego bardzo potrzebował Nab.

Byłoby praktyczniej i wygodniej, gdyby drób znajdował się blisko kucharza i dlatego postanowiono założyć kurnik na brzegu jeziora, niedaleko dawnego kanału odpływowego. Pierwszymi mieszkańcami kurnika miały być kusaki schwymane podczas ostatniej wyprawy.

Nazajutrz, 3 listopada, osadnicy zabrali się do budowy mostu. Piły, siekiery, dłuta i młoty załadowano na plecy i koloniści, przemienieni w cieśli, ruszyli w dół ku piaszczystemu wybrzeżu.

Pamiętając o przygodzie z małpami, zabezpieczyli drabinę, następnie udali się lewym brzegiem Rzeki Miłosierdzia do pierwszego zakrętu. Było to najlepsze miejsce do postawienia mostu — do Przystani Balonowej było stąd około czterech mil angielskich.

Zanim przystąpili do pracy, Cyrus Smith zapoznał ich ze swym planem. Inżynier zamierzał oddzielić Wielki Płaskowyż od reszty wyspy, aby dzięki temu zabezpieczyć Granitowy Pałac, kurniki. Kominy i całą wyższą część terenu przed napaścią dzikich zwierząt. Obecnie woda otaczała Płaskowyż z trzech stron, szło więc tylko o jego część zachodnią, ciągnącą się między jeziorem a Rzeką Miłosierdzia na przestrzeni nie większej niż mila. Trzeba było wykopać szeroki i głęboki rów, tak aby z jednej strony wpadała do niego woda z jeziora, a z drugiej uchodziła do rzeki — unikając w ten sposób przepelnienia fosy.

— Tak więc — dodał inżynier — Wielki Płaskowyż stanie się prawdziwą wyspą, oblaną ze wszystkich stron wodą, a z resztą ładu łączyć ją będzie tylko; most, który wybudujemy na Rzece Miłosierdzia oraz dwa istniejące już mostki, położone powyżej i poniżej wodospadu. Trzeba też będzie postawić kolejne dwa mostki: jeden na fosie, którą proponuję wykopać, a drugi na lewym

brzegu Rzeki Miłosierdzia. Otóż jeśli te mosty i mostki będzie można podnosić w razie potrzeby, zabezpieczymy Wielki Płaskowyż od jakiegokolwiek napadu.

Najpilniejszą pracą było postawienie głównego mostu. Wybierano więc przydatne do tego drzewa, potem je ścinano, ogoławano z gałęzi i przerabiano na belki, tarcice i deski. Most ten miał być nieruchomy od prawego brzegu Rzeki Miłosierdzia, zaś zwodzony do lewego brzegu. Łatwo zrozumieć, że była to praca niemała i nawet najzręczniejszemu poprowadzona wymagała sporo czasu, szerokość rzeki wynosiła bowiem w tym miejscu około osiemdziesięciu stóp.

Budowa mostu na Rzece Miłosierdzia trwała trzy tygodnie, które upłynęły wśród wyętej pracy. Śniadanie spożywano zawsze w miejscu, gdzie pracowano, a ponieważ pogoda była wspaniała, dopiero na kolację koloniści powracali do Granitowego Pałacu.

Przez ten czas Jup przyzwyczajał się coraz bardziej do nowego miejsca i spoufalął się ze swymi panami, na których spoglądał zawsze z wielkim zdziwieniem. Jednak przez ostrożność Penkroff nie pozostawiał mu jeszcze całkowitej swobody, odkładając to do czasu, gdy Płaskowyż zostanie oddzielony wodą od reszty wyspy. Top i Jup żyli ze sobą w najlepszej zgodzie i chętnie bawili się razem, ale Jup postępował zawsze bardzo poważnie.

20 listopada ukończono budowę mostu. Jego część zwodzona poruszała się z łatwością i trzeba było niewielkiej siły, żeby ją podnieść do góry.

Cyrus Smith zdecydował, by odłożyć na później sprowadzenie powłoki balonu, gdyż trzeba było jechać po nią wózkami, co wymagało wycięcia kawałka lasu. Penkroff i Nab wybrali się więc na zwiady do przystani, a gdy się przekonali, że złożone w jaskini płótno znajdowało się w zupełnie dobrym stanie postanowiono nie przerywać dalszych robót przy oddzieleniu Wielkiego Płaskowyżu od reszty lądu.

— To nam pomoże lepiej zorganizować nasz kurnik — zauważył Penkroff. — Nic będziemy się obawiali odwiedzin ze strony lisów, ani też napadów innych drapieżników.

— Nie mówiąc już o tym — dodał Nab — że będziemy mogli wykarczować część płaskowyżu i stworzyć tam ogród warzywny...

— I przygotować pole pod drugi zasiew! — zawołał triumfalnie marynarz.

Rzeczywiście, pierwsze pole, zasiane jednym ziarnem, wydało dzięki staraniom Penkroffa wspaniałe plon. Ziarenko zrodziło bowiem zapowiedziane przez inżyniera dziesięć kłosów, a ponieważ każdy kłos zawierał osiemdziesiąt ziaren, osada znalazła się w posiadaniu ośmiuset ziaren, i to w przeciągu sześciu miesięcy. Dawało to nadzieję na dwa zbiory rocznie.

Z uzyskanych ośmiuset ziaren, pięćdziesiąt postanowili zachować na wszelki wypadek, a resztę zasiał na nowym polu, z nie mniejszą troskliwością, jak owe jedyne ziarnko.

Przygotowano zatem pole pod zasiew i otoczono je dokoła wysokim i spiczastym częstokołem dla ochrony przed dzikimi zwierzętami.

21 listopada Cyrus Smith rozpoczął odmierzanie rowu, który miał zamykać płaskowyż od zachodu. W przeciągu piętnastu dni, używając do tego nitrogliceryny, wydrążono w twardym gruncie płaskowyżu rów szeroki na dwanaście stóp, a głęboki na sześć. Po wysadzeniu skały nad brzegiem jeziora, woda przelała się do nowego łożyska i utworzyła mały strumień nazwany Potokiem Glicerynowym. Rzeką Miłosierdzia zyskała dzięki temu nowe ramię. Tak jak przewidział inżynier, poziom jeziora obniżył się dzięki temu, lecz bardzo nieznacznie.

W pierwszej połowie grudnia zakończono wszystkie prace, a Wielki Płaskowyż, otoczony dokoła wodą, został tym sposobem zabezpieczony przed nieproszonymi gośćmi.

Przez cały miesiąc panowały nieznośne upały. Ponieważ jednak koloniści nie chcieli zwlekać z założeniem kurnika, przystąpiono więc do tego nowego przedsięwzięcia.

Od momentu, gdy Wielki Płaskowyż otoczyła woda, Jup odzyskał wolność.

Nie opuszczał jednak na krok swych panów i nie zdradzał żadnej skłonności o ucieczki. Było to zwierzę łagodne, a przy tym o niepospolitej sile i zdumiewającej zręczności. Wykonywał rozmaite prace: ciągnął ładunki z drzewem i Woził kamienie, które wydobywano z koryta Potoku Glicerynowego.

Podwórko przeznaczone dla drobiu zajmowało piaszczystą przestrzeń Powierzchni dwustu jardów kwadratowych przy południowo-wschodnich brzegach jeziora. Otoczono je dookoła palisadą i postawiono chatki z chrustu dla ptactwa, które je miało zamieszkiwać.

Pierwszymi mieszkańcami kurnika była para kusaków, która wkrótce doczekała się liczego potomstwa. Towarzystwa dotrzymywało jej sześć kaczek i zamieszkujących wcześniej brzegi jeziora. Jeśli chodzi o pelikany, zimorodki, i kury wodne, te same przychodziły do kurnika.

Cyrus Smith wystawił w jednym rogu podwórka gołębnik i umieścił w nich sześć par tych ptaków gnieźdzących się dotąd na wierzchołkach skał Wielkiego Płaskowyżu. Gołębie przywykły wkrótce do nowego mieszkania i pozwoliły się oswoić.

Wreszcie nadszedł czas, aby spożytkować powłokę balonu i uszyć z niej potrzebną wszystkim osadnikom bieliznę. Najważniejszym zadaniem było przewiezienie powłoki balonu do Granitowego Pałacu; w tym celu koloniści udoskonalili ciężki wózek. Brakowało jednak zwierzęcia, którego można by użyć do ciągnięcia wozu.

— Rzeczywiście — rzekł Penkroff — przydałoby nam się jakieś zwierzę pociągowe, zanim pan Cyrus zechce zaprojektować wóz parowy albo lokomotywę, bo z pewnością będziemy mieli kiedyś kolej żelazną z Granitowego Pałacu do Przystani Balonowej, z linią boczną prowadzącą do Góry Franklina!

Zacny marynarz wierzył w to całkowicie, ale na razie zadowoliliby go jakiegokolwiek zwierzę nadające się do zaprzęgu. I ponieważ Opatrzność jak zwykle była dla niego łaskawa, nie dała mu długo czekać.

23 grudnia koloniści usłyszeli nagle jednoczesne krzyki Naba i szczekanie Topa. Spodzielając się jakiegoś nieszczęścia, porzucili swoje zajęcia i pobiegli w stronę głosów. Ujrzeni dwa piękne, duże zwierzęta, które nieroztropnie zapędziły się aż na płaskowyż, przechodząc po opuszczonym mostku. Wyglądały prawie jak konie lub jak osły o smukłych kształtach. Szły spokojnie, nie zdradzając najmniejszego niepokoju i bystrymi oczami spoglądały na ludzi.

— To onagry! — zawołał Harbert.

— Dlaczego by nie nazwać ich osłami? — zapytał Nab.

— Ponieważ nie mają długich uszu, a ich kształty są zgrabniejsze! Marynarz, nie płosząc zwierząt, przekradł się wśród zarośli do mostka na Potoku Glicerynowym, podniósł go i odciął onagrom możliwość ucieczki. Przez kilka dni onagry przechadzały się swobodnie po płaskowyżu porośłym bujną paszą, a tymczasem inżynier zaczął budować obok podwórka stajnię.

Sporządził także uprzęż z włókien roślinnych, a w kilka dni po złapania onagrów nie tylko wózek był przygotowany, lecz także wykarczowano drogę przez las do samej Przystani Balonowej.

Penkroff oswoił zwierzęta do tego stopnia, że jadły mu z ręki i pozwalały zbliżać się do siebie, ale zaprzężone po raz pierwszy stawały dęba i z trudem można je było utrzymać. Wkrótce jednak przyzwyczały się do nowej służby. Onagry oswajają się bardzo szybko i jako mniej narowiste od zebr, używane są często w zaprzęgach w górzystych krajach południowej Afryki. Udało się je nawet zaaklimatyzować w Europie, w stosunkowo zimnym klimacie.

Tego dnia wszyscy oprócz Penkroffa, prowadzącego onagry, wsiedli na wózek i ruszyli do Przystani Balonowej. Choć świeżo wykarczowana droga była mało wygodnym traktem, dotarli bez przeszkód do celu i jeszcze tego samego dnia załadowali na wózek powłokę balonu. O ósmej

wieczorem wózek minąwszy most na Rzece Miłosierdzia, stoczył się wzdłuż lewego brzegu rzeki i zatrzymał na wybrzeżu. Wyprężono onagry i odprowadzono je do stajni.

ROZDZIAŁ VIII

Bielizna. — Obuwie ze skóry fok. — Produkcja bawełny strzelniczej. — Zasiwy. — Rybołówstwo. — Jaja żółwie. — Postępy Jupa. — Zagroda. — Polowanie na muflony. — Nowe bogactwa roślinne i zwierzęce. — Wspomnienie dalekiej ojczyzny.

Pierwszy tydzień stycznia poświęcono na szycie bielizny, tak potrzebnej mieszkańcom osady. Dzięki igłom, znalezionym w skrzyni, szyto trwale, choć niezbyt zręcznie.

Nici także nie brakowało, dzięki szczęśliwemu pomysłowi Cyrusa Smitha, by ponownie zużytkować te, którymi zszyta była powłoka balonu. Gedeon Spilett i Harbert wypruli je dokładnie z cierpliwością godną podziwu; Penkroff musiał zrezygnować z tej pracy, ponieważ okropnie go drażniła, jakkolwiek w szyciu nikt nie potrafił mu dorównać.

Następnie przyrządzono z popiołu ług, w którym wyprano z tłuszczu powłokę balonową, a płótno, oczyszczone z werniksu, odzyskało z powrotem swą miękkość i naturalną elastyczność, a poddane następnie odbarwiającemu działaniu słońca, nabrało śnieżnobiałego koloru.

Tym sposobem uszyto kilka tuzinów koszul i skarpetek — te ostatnie nie były oczywiście robione na drutach, lecz szyte z płótna. Z wielką radością osadnicy wkładali na siebie świeżą bieliznę, co prawda dość grubą i szorstką, i przykrywali posłania prześcieradłami.

W tym samym czasie koloniści zajęli się szyciem obuwia ze skór fok, które miało zastąpić buty przywiezione z Ameryki.

Mimo że od początku roku 1866 trwały nieustanne upały, Gedeon Spilett Warbert chodzili codziennie na polowania i przynosili nową zwierzynę.

Cyrus Smith zalecał im zawsze oszczędzanie amunicji, sam zaś myślał o tym, aby zastąpić innymi substancjami proch i ołów znalezione w skrzyni, które pragnął przechować na przyszłość. Należało być przygotowanym na wszelkie nieprzewidziane wydarzenia i oszczędzać amunicję, używając zamiast niej innych substancji, dających się łatwo produkować.

Zamiast ołowiu, którego śladów nie odkryto na wyspie, inżynier postanowił używać siekańców z żelaza, które łatwo było uzyskać. Jeżeli zaś chodzi o proch, Cyrus Smith, mając pod ręką saletrę, siarkę i węgiel, mógł go wyprodukować; przedsięwzięcie to wymagało jednak wielkich starań i ostrożności, i a nie mając potrzebnych narzędzi, niemożliwe było uzyskanie dobrego gatunku.

Cyrus Smith wolał zatem uzyskać bawełnę strzelniczą, substancję, w skład której bawełna wchodzi jako włókno. Włókno takie, czyli zwykła tkanka roślinna, w stanie zupełnie czystym znajduje się nie tylko w bawełnie, lecz także w konopiach i lninie. W papierze, w starym płótnie, w rdzeniu bzu itp. Bzu było na wyspie pod dostatkiem; zwłaszcza przy ujściu Czerwonego Potoku, a koloniści używali już przedtem jagód z tych krzewów zamiast kawy. Wystarczyło nazbierać rdzenia bzu, by mieć pierwszą potrzebną substancję; drugą, czyli kwas azotowy dymiący, inżynier mógł łatwo otrzymać, gdyż nie brakowało saletry.

Pozostawało więc tylko sfabrykować bawełnę strzelniczą i choć pod wieloma względami ustępuje ona prochowi, wkrótce koloniści mieli jej pod dostatkiem.

W tym samym czasie osadnicy wykarczowali na Wielkim Płaskowyżu trzy akry ziemi, pozostawiając resztę na pastwisko dla onagrów. W okolicznych j lasach zebrano znaczną ilość dziko rosnących jarzyn: szpinaku, rzeżuchy, rzodkwi, rzepy, które zamierzano uszlachetnić za pomocą racjonalnej hodowli i uzupełnić nimi pożywienie, składające się dotychczas prawie wyłącznie z mięsa. Zwieziono także zapas drewna i węgla. Każda taka wycieczka służyła zarazem do ulepszenia dróg, które pod kołami wozu wyrównywały się z wolna.

Królikarnia zasilala kuchnie Granitowego Palacu odpowiednim zapasem miesa. Takze i lawica ostryg, rozciagajaca sie wsród nadbrzeżnych raf, dostarczala codziennie wymienionych mięczaków. Wkrótce jadłospis wzbogacil sie o ryby, które Penkroff łowil na zrobione przez siebie zelazne haczyki w jeziorze i Rzece Milosierdzia.

W tym czasie urzadzono rowniez polowanie na zółwie morskie, odwiedzajace wybrzeze na Przyladku Szczeki. W tym miejscu ziemia pokryta byla i malymi wypuklościami, kryjacymi jaja z biala, twarda skorupa, ktorych bialko posiadalo te wlasciwosc, ze nie scinalo sie tak, jak to bywa u jaj ptasich.

— To istna grzadka z jajami — zauwazyl Gedeon Spilett. — Tylko je zbierac!

Nie poprzestajac na jajach, zorganizowano polowanie na zółwie, a skutek byl taki, ze przyniesiono do Granitowego Palacu caly tuzin tych zwierzat, które pod wzgledem kulinarnym byly istotnie drogocenne. Zupa zółwiowa zaprawiona aromatycznymi ziolami i urozmaicona przyjemnym smakiem niektorych roslin krzyzowych, byla wyjatkowo smaczna.

Znaleziono takze inne zrodlo uzupelnienia zapasow zywnosci — w Rzece Milosierdzia pojawily sie gromady lososi. Byla to wlascnie pora, w ktorej samice, szukajac miejsc sposobnych do tarla, wyprzedzaly samcow. Wystarczylo w kilku miejscach zastawic rzeka, aby zlowic kilkaset ryb, które po nasoleniu przechowano na zimę, kiedy mrozy zimowe, scinajac powierzchnie wody, uniemozliwia dalsze rybolowstwo.

W tym czasie Jup przygotowywal sie do funkcji sluzacego. Wystrojono go w kurtke, w krotkie spodniki z bialego plotna i w fartuch z kieszeniami, które go niewymownie uszczesliwialy — wkladal w nie rece i gniewal sie, gdy ktos inny mu w nich szperal. Zwinny orangutan otrzymywal od Naba znakomita edukacje i patrzac na nich obu widać bylo, ze sie miedzy soba idealnie porozumiewali.

Latwo wiece wyobrazic sobie zadowolenie mieszkancow Granitowego Palacu, gdy pewnego dnia Jup z serwetą na rece zaczal im podawac do stolu. Zgrabny, uwazajacy, pelnil swą sluzbę z nieslychaną zręcznością, zmieniajac talerze, przynoszac polmiski, nalewajac wode do szklanek, i to wszystko z powaga i godnoscia, która nieskonczenie bawila wszystkich, a Penkroffa wprawiala w uniesienie.

Nie trzeba dodawac, ze Jup zaaklimatyzowal sie przez ten czas calkowicie w Granitowym Palacu, nieraz towarzyszył swym panom do lasu, nie przejawiajac nigdy zamiaru uciezki. Warto go bylo wtedy widziec, jak dumnie kroczył z laska, która mu wystrugal Penkroff, niosac ja na ramieniu niczym strzelbę. Gdy trzeba bylo zerwac jakis owoc z samego wierzchołka drzewa, Jup jednym susem byl juz na gorze. Gdy ugrzelo koło, Jup jednym pchnięciem wydobywal je z blota.

Z koncem stycznia kolonisci rozpozceli na wielka skale prace w srodkowej czesci wyspy. Postanowili zalozyc niedaleko zrodla Czerwonego Potoku, a u stop Gory Franklina, zagrode dla muflonow, majacych dostarczyc wełny potrzebnej na odziez zimowa.

Co rano osada, czasem w komplecie, ale najczesciej reprezentowana tylko przez Cyrusa Smitha, Harberta i Penkroffa, udawala sie do zrodla Czerwonego otoku. Tam upatrzono rozlegle miejsce na poludniowym stoku gory. Byla to 3czka porośnięta swieżą trawą, a porozrzucane tu i ówdzie drzewa pozostawialy swobodny przewiew powietrza. Maleńki strumyczek, wytryskajacy na stokach gory, przecinal teren w poprzek i wpadal do Czerwonego Potoku, wiece bylo tylko otoczyc te lake palisada przylegajaca z obu stron do gory, a tak wysoka, by najzwinniejsze nawet z tych zwierzat nie moglo sie przez nia wydostac.

Budowa zagrody wymagalala najmniej trzech tygodni; oprócz palisady Cyrus Smith wystawil obszerne szopy z desek będace schronieniem dla zwierzat. Zreszta cala zagroda musiala byc

niezmiernie trwała, gdyż muflony obdarzone są niezmierną siłą i z początku należało się obawiać ich gwałtowności.

Po ukończeniu zagrody zrobiono wielką obławę u podnóża Góry Franklina, na łąkach zamieszkałych przez muflony. Plan ten wykonano 7 lutego w piękny i letni dzień i wszyscy wzięli w nim udział. Oba onagry, dość dobrze już ułożone, a powożone przez Gedeona Spiletta i Harberta, okazały się bardzo użyteczne.

Polowanie wcale nie było łatwe. Ze stu muflonów, które spędzono w jedno miejsce, schwytano około trzydziestu i dziesięć dzikich kóz. Ostateczny rezultat był zadowalający. Większą część schwytanych zwierząt stanowiły samice, z których kilka niebawem miało mieć młode. Nie trzeba było zatem wątpić, że trzoda chować się będzie dobrze i że nie tylko wełny, ale i skór z czasem będzie pod dostatkiem.

Tego wieczoru nasi myśliwi wrócili do Granitowego Pałacu ogromnie zmęczeni. Nazajutrz pospieszyli zobaczyć, co się dzieje w zagrodzie. Zwierzęta próbowały wprawdzie rozwalić częstokół, lecz widząc, że jest to bezskuteczne, uspokoiły się nieco.

W lutym nie wydarzyło się nic poważniejszego. Ulepszano dotychczasowe drogi i wytyczono nową, prowadzącą od zagrody do zachodniego wybrzeża. Ta część wyspy była dotąd najslabiej zbadana; w lasach pokrywających Półwysep Gada zamieszkiwały drapieżniki, z których Gedeon Spilett zamierzał oczyścić wyspę.

Zanim nastąpiła pora zimowa zajmowano się hodowlą dzikich warzyw, przesadzonych z lasu na Wielki Płaskowyż. Harbert z każdej wycieczki przynosił jakiś pożyteczny krzew. Ogród warzywny, dobrze utrzymywany, podlewany i chroniony przed ptactwem, podzielony był na małe kwadratowe grządki, na których rosły: sałata, szczaw, rzepa, rzodkiew i inne rośliny krzyżowe. Ziemia na płaskowyżu była żyzna i można się było spodziewać obfitych zbiorów.

Przyrządzano także najróżnorodniejsze napoje: prócz herbaty dostępny był napój z korzeni draceny i piwo, które Cyrus Smith wyrabiał z młodych pędów pewnego gatunku świerku.

Z końcem lata stado drobiu powiększyło się o parę pięknych dropi i kilka innych ptaków z gatunku grzebiących.

Tak więc, dzięki niezmordowanej pracy tych pełnych odwagi i inteligencji ludzi, wszystko im się udawało.

Podczas gorących letnich dni, wieczorem, po skończonej pracy, gdy wietrzyk zawiewał od morza, lubili siadywać na brzegu Wielkiego Płaskowyżu, pod werandą z wijących się bluszczów, którą zbudował Nab. Siedząc tak rozmawiali, uczyli się wzajemnie, snuli rozmaite plany, a dobry humor marynarza rozweselał nieustannie ten mały świat, w którym panowała nie zmacona nigdy harmonia.

Rozmawiano dużo o ojczyźnie, o tej Ameryce ukochanej i wielkiej. Jak się zakończyła wojna secesyjna? Przecież dłużej trwać już nie mogła! Zajęcie stolicy konfederatów przez generała Granta musiało zakończyć tę krwawą wojnę. A teraz triumfuje słuszna sprawa Północy. W takich momentach marzyli o gazecie z najświeższymi wiadomościami. Właśnie minęło jedenaście miesięcy, jak zostali odcięci od świata, a niebawem, 24 marca, miała nadejść rocznica tego dnia, w którym balon wyrzucił ich na te nieznane wybrzeża. Cyrus Smith rzadko brał udział w rozmowach towarzyszy. Czasem tylko jakaś uwaga Harberta lub dowcip Penkroffa wywołały uśmiech na jego twarzy, ale ciągle i bez przerwy myślał o tych nie wyjaśnionych zdarzeniach, które miały miejsce na wyspie i których na razie nie mógł rozwiązać.

ROZDZIAŁ IX

Burze. — Winda hydrauliczna. — Produkcja szyb i naczyń szklanych. — Drzewo chlebowe. — Odwiedziny w zagrodzie. — Powiększenie stada. — Pytanie reportera. — Dokładne oznaczenie położenia Wyspy Lincoln. — Propozycja Penkroffa.

W pierwszym tygodniu marca zmieniła się pogoda. Na początku miesiąca była pełnia i trwały ciągle nieznośne upały. Wyczuwało się, że atmosfera naładowana jest elektrycznością i słusznie należało się obawiać zbliżającej się dłuższej lub krótszej pory burz.

Rzeczywiście, 2 marca rozległy się niezwykle silne grzmoty. Wicher dał od wschodu, a grad bił prosto we front Granitowego Pałacu z trzaskiem podobnym do wystrzałów karabinowych. Trzeba było szczelnie pozamykać drzwi i okiennice, aby uniknąć powodzi w pokojach.

Na widok ziaren gradu, niekiedy tak wielkich jak jaja gołębie, Penkroff zaczął się lękać o swój łan zboża. Pobiegł więc do uprawy, gdzie kłoski zaczęły już podnosić swe zielone główki i grubym płótnem nakrył przyszły plon.

Burza trwała osiem dni, a przez cały ten czas bez ustanku rozlegały się grzmoty. Pomiędzy pierwszą a drugą burzą słychać było ich głucho huczenie na krańcach widnokregu. Niebo rozjaśniało się co chwilę wstęgami błyskawic, a pioruny powaliły kilka drzew na wyspie. Dwa lub trzy razy piorun uderzył w piasek nadbrzeżny i stopił go, przemieniając w szklistą masę. Ten widok nasunął inżynierowi myśl, że może dałoby się wprawić w okna Pałacu grube i trwałe szyby, zdolne wytrzymać uderzenia wichru, deszczu i gradu.

Osadnicy, nie mając żadnej pilnej pracy poza domem, korzystając z brzydkiej pogody, pracowali w Granitowym Pałacu, którego wewnętrzne wyposażenie z każdym dniem udoskonalało się i uzupełniało. Inżynier postawił tokarnię, za pomocą której wykonano kilka narzędzi kuchennych oraz guziki, których brak dawał się dotkliwie odczuwać.

Nie zapomniano przy tym i o Jupie; zajmował osobny pokój koło głównego magazynu, rodzaj małej izdebki z legowiskiem zaopatrzonym zawsze w świeżą podściółkę. Był bardzo zadowolony ze swego lokum.

Jup nabierał coraz większej wprawy w pracach domowych. Trzepał ubrania, obracał rożen, zamiatał pokoje, usługiwał do stołu, składał drzewo i — co najbardziej zachwycało Penkroffa — co dzień, zanim sam położył się spać, przychodził do zacnego marynarza i otulał go do snu.

Stan zdrowia osadników nie pozostawiał nic do życzenia. Żyli wciąż na świeżym powietrzu, w zdrowym kraju, w klimacie umiarkowanym, przy ciągłej pracy umysłowej i fizycznej, nie byli więc narażeni na żadne choroby. Harbert przez ten rok urósł o dwa cale. Twarz jego nabrała wyrazu bardziej męskiego. Było pewne, że wyrośnie na człowieka dzielnego; tak pod względem fizycznym jak i umysłowym. Prócz tego, korzystając z wolnych chwil, uczył się, czytał wielokrotnie książki znalezione w skrzyni, a oprócz nauki praktycznej, wynikającej z codziennych zajęć, miał jeszcze dwóch doskonałych nauczycieli: w dziedzinie nauk ścisłych inżyniera, a pod względem języków obcych Gedeona Spiletta.

Inżynier pragnął przekazać całą swą wiedzę chłopcu, kształcić go zarówno słowem jak i przykładem, a Harbert w pełnej mierze korzystał z nauk mistrza. — Gdy umrę — myślał nieraz Cyrus Smith — on mnie zastąpi. W tym czasie w stajni przybyła mała onagra, a w zagrodzie kilka jagniąt. Beczały pod szopą, ku wielkiej uciechu Naba i Harberta, którzy mieli pomiędzy nowo narodzonymi swoich ulubieńców.

Zdołano także oswoić pekari. Koło podwórka postawiono ogrodzenie, które niebawem zapełniło się małymi, wzrastającym pod troskliwą pieczą Naba. Jup w ramach swych

obowiązków nosił im codziennie pożywienie, czyli resztki z kuchni; wywiązywał się sumiennie z tego zadania. Prawda, że czasem pozwalał sobie na żarty kosztem swych małych podopiecznych i ciągnął je za ogony, nie czynił tego jednak ze złości, ale dlatego, że kręcone ogonki bawiły go niezmiernie.

Pewnego dnia Penkroff, rozmawiając z inżynierem, przypomniał mu obietnicę której Cyrus dotychczas nie miał czasu zrealizować.

— Wspomniał pan raz, panie Cyrusie — rzekł marynarz — o urządzeniu, którym można zastąpić długą drabinę, wiodącą do Granitowego Pałacu.

— Chodzi zapewne o windę hydrauliczną? — zapytał Cyrus Smith.

— Jeśli pan chce, może się nazywać i hydrauliczna — odparł marynarz. — Mniejsza o nazwę, byle nas tylko wygodnie podnosiła aż do drzwi mieszkania.

— Nic łatwiejszego, Penkroffie; ale czy to koniecznie potrzebne?

— Bez wątpienia, panie Cyrusie. Zaspokoiwszy nasze najważniejsze potrzeby, pomyślmy trochę o wygodzie. Zresztą dla nas samych może to i zbytek, ale dla wnoszenia ciężarów jest to niezbędne. Trudno jest wchodzić na tak wysoką drabinę z dużym ciężarem.

— Spróbuję cię zadowolić, Penkroffie — odparł Cyrus Smith.

— Ależ nie ma pan maszyny do poruszania takiego urządzenia. — Zrobimy ją.

— Maszynę parową?

— Nie, maszynę wodną.

Rzeczywiście, inżynier dysponował naturalną siłą zdolną do poruszania maszyny, którą bez wielkiej trudności można było zużytkować. W tym celu należało tylko poszerzyć otwór, przez który woda z jeziora dochodziła do wnętrza Granitowego Pałacu. Rozszerzono zatem upust, osłonięty kamieniem i zielskiem, przez co poniżej utworzył się dość silny spadek wody, której nadmiar wypływał przez studnię podziemną. Poniżej tego wodospadu inżynier ustawił koło ze skrzydłami, połączone na zewnątrz z drugim kołem owiniętym grubą liną, do której końca przywiązany był kosz. Tym sposobem, za pomocą długiego sznura spadającego aż do ziemi, można było zatrzymywać bądź wprawiać w ruch windę hydrauliczną, i podnosić się w koszu aż do drzwi Granitowego Pałacu.

17 marca odbyła się pierwsza próba windy hydraulicznej i wypadła pozytywnie. Odtąd przewożono nią wszystkie ciężary, drewno, węgiel, żywność; a i sami koloniści wnosili się do góry przy pomocy tego urządzenia, które całkowicie zastąpiło drabinę. Szczególnie zachwycony tym ulepszeniem był lop. który, nie posiadając zwinności Jupa, musiał nieraz na plecach Naba, albo i na grzbiecie orangutana, wędrować do Granitowego Pałacu.

W tym czasie Cyrus Smith postanowił także wyrabiać szkło. Przede wszystkim trzeba było odpowiednio przerobić dawny piec garncarski. Przedstawiało to wiele trudności, jednak po kilku próbach inżynierowi udało się wreszcie postawić hutę szklaną. Podstawowymi materiałami służącymi do wyrobu szkła są: piasek, kreda i soda. Piasku było dosyć na plaży, kredę produkowano z wapna, rośliny morskie dawały sodę, piryty dostarczały kwasu siarkowego, a węgla do ogrzewania pieca hutniczego — kopalnie węgla kamiennego. Tak więc Cyrus Smith posiadał wszystkie materiały potrzebne do produkcji szkła.

Najwięcej trudności przedstawiało wykonanie narzędzia, zwanego „cybuchem”. Jest to rura żelazna, długa od pięciu do sześciu stóp, przy pomocy której nabiera się stopionej masy szklanej. Penkroffowi po kilku próbach udało się z długiej i cienkiej blachy żelaznej, zwiniętej w kształcie lufy, sporządzić taki cybuch, który okazał się bardzo przydatny.

28 marca rozgrzano silnie piec. Sto części piasku, trzydzieści pięć części kredy, czterdzieści siarczanu sody zmieszane z dwiema lub trzema częściami sproszkowanego węgla stanowiły materiał, który wsypano do tygli z ogniotrwałej gliny. Gdy pod wpływem temperatury

mieszanina przeszła w stan płynny, Cyrus Smith nabrał cybuchem pewną ilość tej masy, która przypominała kulkę, po czym oddał cybuch Harbertowi, rozkazując mu dmuchać w nie drugim końcem.

— Jak przy puszczeniu baniek mydlanych? — zapytał chłopak.

— Zupełnie tak samo — odparł inżynier.

Harbert wydał policzki i dmuchał w cybuch, jednocześnie obracając nieustannie, dopóki na skutek dmuchania kulka się nie rozszerzyła. Następnie dodano jeszcze więcej stopionej masy, tak że wkrótce utworzyła się bańka szklana, mająca stopę średnicy. Wtedy Cyrus Smith wziął z powrotem cybuch z rąk Harberta i wprawiwszy go w ruch wahadłowy, wydłużył mięką jak ciasto bańkę i nadał jej kształt podłużny.

Bańkę następnie obcięto za pomocą noża zwilżonego zimną wodą. Tym samym sposobem rozcięto walec wzdłuż i, rozmiękczywszy go przez powtórne ogrzanie, rozciągnięto na płycie i rozprostowano za pomocą drewnianego wałka.

Dzięki tej metodzie zrobiono pierwszą szybę, a powtórzywszy tę samą operację pięćdziesiąt razy, otrzymano pięćdziesiąt szyb.

Wydmuchiwanie naczyń, szklanek i butelek, było dużo łatwiejsze. Poprzestawano na kształcie, jakiego nabierały na końcu cybucha. Tą czynnością zajął się Penkroff, który robił to z wielką przyjemnością ale dmuchał tak silnie, że wyroby jego przybierały najzabawniejsze kształty i samego wprawiały w podziw.

W tym samym czasie odkryto nowe drzewo, którego owoce powiększyły jeszcze zasoby żywności osady. Harbert, idąc przez las z inżynierem, zatrzymał się niespodziewanie z radosnym okrzykiem:

— Panie Cyrusie, widzi pan to drzewo?

Mówiąc to wskazał na drzewo podobne raczej do krzewu, składające się tylko z pojedynczej łodygi, pokrytej łuskowatą korą, z liśćmi prążkowanymi w małe równoległe żyłki.

— Cóż to za drzewo podobne do małej palmy? — zapytał Cyrus Smith.

— Jest to sagowiec, którego opis i zdjęcie znajdują się w naszym słowniku historii naturalnej!

— Lecz gdzie są owoce tego krzewu?

— Nie ma ich, panie Cyrusie — odparł Harbert — ale za to sama łodyga zawiera wewnątrz mąkę, którą natura daje nam całkiem zmieloną.

— Więc to jest drzewo chlebowe?

— Tak! Identyczne jak w naszej książce.

— A więc, moje dziecko — odparł inżynier — zanim doczekamy się chleba z naszej pszenicy, jest to odkrycie bardzo cenne. Do dzieła więc, a dałby Bóg, żebyś się me mylił!

Harbert nie pomylił się wcale. Rozłamał łodygę jednego z sagowców i przekonał się, że rdzeń zawiera mączkę przesiąkniętą kleistym sokiem o nieprzyjemnym smaku, który jednak łatwo było wycisnąć używając prasy.

Cyrus Smith i Harbert przyjrzeni się dokładnie części lasu, w której rosły sagowce i zaznaczywszy drogę, powrócili do Granitowego Pałacu, by obwieścić towarzyszom radosne odkrycie. Nazajutrz wszyscy się tam udali.

Wrócili do Granitowego Pałacu z obfitym zbiorem łodyg sagowca. Inżynier sporządził prasę do wyciskania niepotrzebnego soku roślinnego, po czym otrzymał znaczną ilość wartościowej mąki, która w rękach Naba zmieniała się w ciastka i puddingi. Nie był to jeszcze chleb, lecz przynajmniej coś bardzo zbliżonego.

Tak więc wszystko na wyspie przebiegało pomyślnie, i zaiste, gdyby nie oddalenie od ojczyzny, koloniści nie mieliby powodów do narzekania. Byli jakby stworzeni do podobnego

trybu życia, a zresztą przyzwyczaili się już tak do tej wyspy, że z żalem opuszczaliby jej gościnną ziemię.

Ale przywiązanie do ojczyzny jest tak silne w sercu człowieka, że gdyby niespodziewanie zjawił się w pobliżu wyspy jakiś okręt, osadnicy natychmiast przywołałoby go znakami i odpłynęli do swego kraju...

Wyspa, którą koloniści zamieszkiwali już przeszło od roku, nieraz stanowiła przedmiot ich rozmów, a pewnego dnia uczynili spostrzeżenie, które pociągnęło za sobą w przyszłości poważne następstwa.

Było to 1 kwietnia, w Niedzielę Wielkanocną, którą Cyrus Smith ze swoimi towarzyszami święcili odpoczynkiem i modlitwami. Dzień był tak pogodny, jak bywają czasem na półkuli północnej dni październikowe.

Wieczorem po obiedzie zgromadzili się wszyscy na werandzie, nad brzegiem Wielkiego Płaskowyzu i przypatrywali się nocnym ceniom, wędrującym, a Włdnokręgu. Nab podał kilka filiżanek napoju, przyrządzonego z ziarenek bzu, zastępującego czarną kawę. Rozmawiano o wyspie i jej osamotnionym położeniu wśród wód Oceanu Spokojnego, gdy nagle odezwał się Gedeon Spilett:

— Cyrusie, czy od czasu kiedy posiadamy sekstans, który znaleźliśmy w skrzyni, określałeś na nowo położenie naszej wyspy?

— Nie, nie robiłem tego — odparł inżynier.

— Lecz może należałoby zrobić to teraz, gdy posiadamy urządzenie doskonalsze od tego, którym wówczas się posługiwałeś.

— A to po co? — zapytał Penkroff. — Przecież wyspa leży tam, gdzie i wówczas leżała!

— Bez wątpienia — ciągnął dalej Gedeon Spilett. — Jednak na skutek niedoskonałości urządzenia mogła zajść niedokładność w obliczeniu, a ponieważ teraz łatwo możemy to sprawdzić...

— Masz słuszość, Spilettcie — odparł inżynier. — Powinienem był już dawniej to sprawdzić, chociaż, nie sądzę, że pomyliłem się więcej niż o pięć stopni.

— Ba, kto to wie? — ciągnął dalej reporter. — Kto wie, czy nie znajdujemy się bliżej ziemi zamieszkałej niż sami sądzimy?

Następnego dnia inżynier przeprowadził więc przy pomocy sekstansu odpowiednie badania, by sprawdzić otrzymane już wcześniej współrzędne wyspy. W rezultacie okazało się, że istotnie, pomyłka poprzedniego pomiaru wynosiła pięć stopni.

— A teraz — rzekł Gedeon Spilett — ponieważ oprócz sekstansu posiadamy także atlas geograficzny, okreśmy dokładnie położenie Wyspy Lincoln na Oceanie Spokojnym.

Rozłożono mapę Oceanu Spokojnego, a inżynier z kompasem w ręku zaczął oznaczać położenie wyspy.

Nagle zatrzymał rękę z kompasem i zawołał:

— Ależ w tej części Oceanu Spokojnego leży już jedna wyspa!

— Wyspa? — zawołał Penkroff.

— Prawdopodobnie nasza! — odparł Gedeon Spilett.

— Wcale nie — ciągnął dalej Cyrus Smith. — Wyspa ta położona jest o dwa i pół stopnia dalej na zachód, a o dwa stopnie dalej na południe niż Wyspa Lincoln.

— Cóż to za wyspa? — zapytał Harbert.

— Wyspa Tabor.

— Czy duża?

— Nie; jest to mała wysepka, położona samotnie wśród Oceanu Spokojnego, zapewne mało znana.

— A więc my ją poznamy — rzekł Penkroff. — My?

— Tak, panie Cyrusie. Zbudujemy łódź żaglową, a ja podejmuję się nią sterować. Jak daleko stąd do wyspy Tabor?

— Około stu pięćdziesięciu mil w kierunku północno-zachodnim — odparł Cyrus Smith.

— Sto pięćdziesiąt mil! To fraszka! — odparł Penkroff. — Przy pomyślnym wietrze przełyniemy je w czterdzieści osiem godzin!

— Ale po co? — zapytał reporter.

— Nie wiem. Zobaczymy.

Na żądanie Penkroffa postanowiono zbudować łódź, aby w październiku, kiedy powróci pogodna pora, można było wypłynąć w morze.

ROZDZIAŁ X

Budowa statku. — Drugi zbiór zboża. — Wieloryb. — Harpun. Ćwiartowanie wieloryba. — Zastosowanie fiszbinów. — Koniec maja. — Spełnione marzenie Penkroffa.

Gdy Penkroff raz coś postanowił, nie spoczął i nie dał innym spokoju, póki tego nie wykonał. Tym razem zapragnął odwiedzić wyspę Tabor, a ponieważ był do tego niezbędny statek określonej wielkości, trzeba więc było zbudować taką łódź.

Po naradzie z marynarzem inżynier zdecydował, że zbudują statek mający trzydzieści pięć stóp długości, a dziewięć szerokości; przez całą jego długość miał ciągnąć się pokład, z dwoma kajutami, przedzielony trójkątnym żaglem, słowem z ożaglowaniem łatwym do manewrowania.

Wahali się tylko, jakiego drzewa użyć do budowy: jodły czy wiązu. W końcu zdecydowali się na jodłę, drzewo łatwe do obróbki i znoszące równie dobrze jak wiąz zanurzenie w wodzie.

Natychmiast po wybraniu drzew ścięto je, oczyszczono i pocięto dokładnie na deski. W osiem dni później, we wgłębieniu znajdującym się pomiędzy Kominami a skalną ścianą, stanął warsztat okrętowy.

Cyrus Smith nie przystąpił do tego zadania na ślepo. Budowa okrętów była mu znana, jak prawie wszystkie inne rzeczy — i na początku narysował plan statku. Zresztą miał pomoc w osobie Penkroffa, który będąc niegdyś przez kilka lat robotnikiem w warsztatach okrętowych w Brooklynie, znał praktyczną stronę tego zawodu. Po ścisłym obliczeniu i dokładnym namyśle przystąpili do realizacji swego przedsięwzięcia.

Penkroff zapalił się do tej pracy i nie opuszczał jej ani przez chwilę.

Jedna tylko sprawa mogła oderwać go od warsztatu i to tylko na jeden dzień. Był to drugi zbiór zboża, wyznaczony na 15 kwietnia. Udał się on tak dobrze, jak pierwszy i przyniósł przewidzianą ilość ziarna.

— Mamy już półtorej ćwiartki, panie Cyrusie! — rzekł Penkroff po skrupulatnym odmierzeniu swoich zasobów.

— Półtorej ćwiartki — odpowiedział inżynier. — Licząc więc dwieście sześćdziesiąt tysięcy ziaren na ćwiartkę, mamy już sześćset pięćdziesiąt tysięcy ziaren. Tak!...

— No, to zasiejemy tym razem wszystko — zawołał marynarz — z zachowaniem jednakże małego zapasu.

— Słusznie, Penkroffie; a jeżeli przyszedł zbiór przyniesie podobną proporcję, co dzisiaj, będziemy mieli pięćset korców pszenicy.

— I będzie chlebek?

— Będzie.

— Więc musimy wybudować młyn!

— Wybudujemy go.

Trzeci zagon pod zboże był rozleglejszy od dwóch poprzednich i ziemia, przygotowana jak najstaranniej, przyjęła drogocenne nasiona. Uczyniwszy to, Penkroff powrócił do pracy przy statku.

Przez ten czas Gedeon Spilett i Harbert polowali w okolicy, a także wyprawiali się dosyć daleko w nieznaną część Lasu Dalekiego Zachodu. Podczas jednej z takich wycieczek Gedeon Spilett dokonał cennego odkrycia.

Było to 30 kwietnia. Dwaj myśliwi zapuścili się w południowo-wschodnią stronę Lasu Dalekiego Zachodu, gdy nagle reporter, wyprzedzający Harberta o pięćdziesiąt kroków, doszedł do polanki, na której rzadziej rosnące drzewa pozwalały przedrzeć się promieniom słońca.

Pierwszą rzeczą, która zwróciła uwagę Spiletta, był dziwny zapach wydzielany przez rośliny o łodygach prostych, cylindrycznych i rozgałęzionych, na których wisały kwiaty w gronach i bardzo małe ziarenka. Wyrwał kilka z nich i wróciwszy do swego towarzysza spytał:

— Zobacz, Harbercie, co to takiego?

— A gdzie znalazł pan tę roślinę, panie Spilett?

— Tam, na polance, gdzie rośnie ich dużo.

— Panie Gedeonie — rzekł Harbert — to odkrycie zapewni panu wieczystą wdzięczność Penkroffa!...

— Więc to tytoń?

— Tak jest. Chociaż nie pierwszego gatunku, ale zawsze tytoń!...

— Ależ się ucieszy nasz poczciwy marynarz! A dla nas to także będzie dodatkowa przyjemność, bo przecież nie wypali wszystkiego sam.

— Mam pomysł, panie Spilett — zawołał Harbert. — Nie mówmy nic Penkroffowi, zanim nie przyrządzimy tych liści, a pewnego pięknego poranka podamy mu nabitą fajkę.

— Zgoda, Harbercie; a w tym dniu nasz zacny towarzysz niczego już więcej nie będzie potrzebował do szczęścia!

Reporter i Harbert zrobili znaczny zapas drogocennej rośliny i powrócili do Granitowego Pałacu, kryjąc swoją zdobycz tak starannie, jak gdyby to była kontrabanda, a Penkroff najokrutniejszym z celników.

Cyrusa Smitha i Naba dopuszczono do tajemnicy. Marynarz nie podejrzewał niczego, a oni tymczasem suszyli owe cienkie listki, siekali je i opalali na gorących kamieniach. Trwało to dwa miesiące i nie zwróciło uwagi Penkroffa, który tak był zajęty pracą przy budowie statku, iż powracał do Granitowego Pałacu tylko w porach posiłków.

Raz jeszcze jego ulubiona praca została przerwana przez przygodę rybacką, w której wzięli udział wszyscy koloniści.

Od kilku dni widzieli na morzu, w odległości trzech lub czterech mil od brzegu, olbrzymie zwierzę: był to wielki wieloryb.

— Cóż to byłaby za gratka dostać go w swoje ręce! — zawołał marynarz. — Ach, gdybyśmy mieli jakiś statek i harpun w dobrym stanie, chętnie bym na niego zapolował.

— Jaka szkoda, Penkroffie — rzeki Gedeon Spilett. — I ja byłbym rad widzieć cię używającego harpuna. To musi być ciekawe polowanie.

— Ciekawe i dość niebezpieczne — rzekł inżynier — ale jak na razie ponad nasze możliwości.

— Dziwię się — odezwał się reporter — że można spotkać wieloryba na takiej szerokości geograficznej.

— A cóż w tym dziwnego, panie Spilett — odrzekł Harbert. — Znajdujemy się właśnie w tej części Oceanu Spokojnego, którą rybacy angielscy i amerykańscy nazywają Polem Wielorybów i tutaj to właśnie, pomiędzy Nową Zelandią a Ameryką Południową, spotyka się najliczniejsze stada wielorybów półkuli południowej.

— Prawda — rzekł Penkroff. — Właściwie dziwi mnie, że nie widzieliśmy ich do tej pory więcej.

I marynarz powrócił do swojej pracy z uczuciem rozczarowania. Podobna zdobycz przyniosłaby dużą korzyść mieszkańcom osady, oliwa bowiem, tłuszcz i fiszbiny przydałyby się do wielu rzeczy!

Tymczasem zwierzę nie oddalało się od wyspy i koloniści mogli ciągle śledzić jego ruchy. Wieloryb, głęboko zapędziwszy się w rozległą Zatokę Stanów Zjednoczonych, przemierzał ją szybko od Przylądka Szczęki aż do Przylądka Ostrego Szpona. Czasami zbliżał się do wysepki i

można mu się było przyjrzeć dokładnie. Był to rzeczywiście wieloryb australijski, całkiem czarny, z głową bardziej spłaszczoną niż u wielorybów północnych.

3 maja Nab stojący przy oknie w kuchni krzyknął, że wieloryb osiadł na piaszczystym brzegu wyspy.

Na tę wiadomość wszyscy porzucili swoje zajęcia i razem pobiegli ku wybrzeżu.

Wieloryb osiadł na piasku o trzy mile od Granitowego Pałacu i to przy wysokim poziomie morza. Jego położenie było bardzo trudne. W każdym jednak razie należało się spieszyć z przecięciem mu odwrotu.

Biegli więc co tchu z drągami i oszczepami, przekroczyli most na Rzece Miłosierdzia, weszli na nadmorskie piaski i po dwudziestu minutach znaleźli się przy olbrzymim zwierzęciu, nad którym unosiły się już całe stada ptactwa.

— Co za potwór! — zawołał Nab.

I wyrażenie to było całkiem usprawiedliwione — był to bowiem olbrzym ważący co najmniej sto pięćdziesiąt tysięcy funtów! Co jednak dziwne — nie poruszał się i nie próbował dostać się do wody, korzystając z przyływu. Zagadka ta wyjaśniła się wkrótce, gdy po odpływie osadnicy mogli zbliżyć się do zwierzęcia.

Wieloryb już nie żył. Z prawego boku wystawał mu harpun.

— Czyżby w tych stronach znajdowały się statki wielorybnicze? — zapytał Gedeon Spilert, ujrawszy harpun.

— Z czego pan to wnosi?... — spytał marynarz.

— Ponieważ harpun ten trzyma się dotąd jeszcze w boku zwierzęcia.

— E! Panie Spilert, to niczego nie dowodzi — odparł Penkroff. — Widziano wieloryby wędrujące tysiące mil z harpunem w boku i nawet jeśli ten został ugodzony na północy Atlantyku, a przyplłynął zginąć tutaj, na południu Oceanu Spokojnego, to nie ma w tym nic dziwnego.

— To możliwe — rzekł Cyrus Smith. — Obejrzyjmy jednak ten harpun. Prawdopodobnie, wedle powszechnego zwyczaju, wycięto na nim nazwę statku. Penkroff wyciągnął harpun z boku wieloryba i odczytał na nim następujący napis:

*Maria Stella
Vineyard**

— Statek z Vineyard! Statek z mojego stanu! — zawołał marynarz. — Maria Stella! Wspaniały wielorybnik, piękny statek, który dobrze znam. Ach, moi przyjaciele, statek z Vineyard, wielorybnik z Vineyard!

I poczciwy Penkroff, potrząsając harpunem, powtarzał nie bez wzruszenia to imię bliskie jego sercu, imię swojej rodzinnej ziemi!...

Ponieważ trudno było przypuszczać, aby Maria Stella przybyła upomnieć się o swoją zdobycz, postanowiono poćwiartować zwierzę, zanim zacznie się rozkładać.

Penkroff służył kiedyś na statku wielorybniczym, mógł więc kierować ćwiartowaniem. Choć jest to bardzo nieprzyjemne zajęcie, wszyscy wzięli w nim udział.

Tłuszcz, pocięty na płaty grube na dwie i pół stopy, a potem podzielone na części, mogące ważyć każda około tysiąc funtów, stopiono w wielkich glinianych naczyniach sprowadzonych na wybrzeże. Sam język dostarczył sześć tysięcy funtów tłuszczu, czyli tranu. Oprócz tłuszczu, który zapewniał na długo zapas stearyny i gliceryny, znalazły się jeszcze i fiszbiny, mogące

* Port w stanie Nowy Jork.

przydać się w przyszłości. Są to listwy rogowe, znajdujące się w górnej części paszczy wieloryba, bardzo elastyczne i wyglądające jak dwa wielkie grzebienie.

Gdy po ukończeniu tej pracy koloniści wrócili do domu, Cyrus Smith wziął kilkanaście kawałków fiszbinu, pociął je na sześć równych części i zaostrzył na końcach.

— A to, panie Cyrusie — spytał Harbert — do czego będzie służyło?...

— Do zabijania wilków, lisów i nawet jaguarów — odpowiedział inżynier.

— Teraz?

— Nie, w zimie, gdy będziemy mieli już lód.

— Nie rozumiem — rzekł Harbert...

— Zaraz zrozumiesz, moje dziecko — odrzekł inżynier. — Pułapka ta nie jest moim wynalazkiem. Używają jej bardzo często myśliwi aleuccy* na Alasce. Gdy przyjdzie mróz, zegnę mocno każdy fiszbin, poleję wodą i wystawię na mróz, aby gruba warstwa lodu nie pozwoliła im się wyprostować. Potem rozrzucę je po śniegu, pokrywszy uprzednio warstwą tłuszczu. Co się stanie, jeżeli zgłodniałe zwierzę połknie jeden z tych wynalazków? Ciepło w jego żołądku roztopi lód, a nagle wyprężony fiszbin, swymi zaostrozonymi końcami przebije wnętrzności.

— To mi pomysł, co się zowie! — zawołał Penkroff.

— I który zaoszczędzi nam kul i prochu — odrzekł Cyrus Smith.

— To więcej warte niż doły!... — dodał Nab.

Budowa statku postępowała wciąż naprzód i przy końcu miesiąca można było już poznać, że statek na pewno utrzyma się na wodzie.

Penkroff pracował niezmiernie ciężko i potrzeba było naprawdę żelaznego zdrowia marynarza, aby wytrzymać te wszystkie trudy. Towarzysze przygotowali mu w tajemnicy nagrodę za jego wysiłki i 31 maja marynarz miał doznać jednej z największych rozkoszy w swoim życiu.

Tego dnia, pod koniec obiadu, w chwili gdy Penkroff podnosił się od stołu, Gedeon Spilett położył mu dłoń na ramieniu:

— Nie śpiesz się tak, Penkroffie — tak się nie odchodzi. Nie pamiętasz o deserze?

— Dziękuję, panie Spilett — odrzekł marynarz. — Czas wracać do pracy.

— No!... Jeszcze filiżankę kawy, przyjacielu... — Dziękuję...

— A może fajeczkę?...

Penkroff podniósł się nagle i jego szeroka pocziwa twarz pobladła, gdy reporter podał mu nabitą fajkę, a Harbert żarzący się węgiel.

Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł, tylko nagle pochwycił fajkę, podniósł ją do ust, a potem położywszy na niej węgiel, zaciągnął się raz po raz, pięć czy sześć razy.

Błękitny i wonny dym rozpląnął się w powietrzu, a spoza jego kłębu dało się słyszeć drżący ze wzruszenia głos:

— Tytoń! Prawdziwy tytoń!

— Tak jest, Penkroffie — odrzekł Cyrus Smith — i nawet wyborny tytoń!

— O Boska Opatrzności! Stwórco potężny wszystkich rzeczy! — zawołał marynarz. — Teraz już niczego nie brakuje na naszej wyspie!... I palił, palił, palił!

— Kto zrobił to odkrycie? — spytał wreszcie. — Ty zapewne, Harbercie?

— Nie, panie Penkroffie — to pan Spilett.

— Pan Spilett! — wykrzyknął marynarz, przyciskając reportera do piersi, jakby go chciał udusić.

* Myśliwi aleuccy — Aleuci; tubylczy mieszkańcy Wysp Aleuckich i zachodniej Alaski, blisko spokrewnieni z Eskimosami.

— Uff... Penkroffie — zawołał Gedeon, chwytając utracony oddech. — Udziel części swojej wdzięczności Harbertowi, który rozpoznał tę roślinę, Cyrusowi, co ją przyrzadził i Nabowi, któremu tak trudno było utrzymać tę całą sprawę w tajemnicy...

— Odpłacę wam się za to kiedyś, moi przyjaciele! — odrzekł marynarz. — Gotów jestem oddać za was ostatnią kroplę krwi!

ROZDZIAŁ XI

*Zima. — Folusz. — Młyn. — Mania Penkroffa. — Fiszbiny. — Na co się może przydać albatros?
— Opał przyszłości. — Top i Jup. — Burze. — Szkody w kurnikach. — Wycieczka do błot. —
Cyrus Smith pozostaje sam. — Badanie studni.*

Zima rozpoczęła się w czerwcu, który na półkuli północnej odpowiada listopadowi — trzeba więc było przede wszystkim sporządzić trwałą i ciepłą odzież. Barany ostrzyżono już i umieszczono w zagrodzie; chodziło tylko o przetworzenie ich wełny w materiał.

Zrozumiałe, że Cyrus Smith, nie mając do dyspozycji maszyn do gręplowania, czesania i przędzenia wełny, ani warsztatu tkackiego, musiał poprzestać na bardziej prymitywnym wyrobie. Postanowił wykorzystać tę właściwość włókien wełny, że ściśnięte bardzo mocno zbijają się i tworzą materiał zwany filcem. Filc można otrzymać przez folowanie, to jest zgniecenie wełny, która to operacja, jakkolwiek zmniejsza elastyczność tkaniny, zwiększa za to jej właściwość zatrzymywania ciepła. Inżynier sporządził rodzaj folusza, następnie oczyścił wełnę z tłuszczu poprzez zanurzenie jej na dwadzieścia cztery godziny w bardzo gorącej wodzie, a w końcu wyprał w wodzie z sodą. Po wyschnięciu uzyskał mocny materiał, pospolity niewątpliwie i nie mający żadnej wartości w jakimkolwiek okręgu przemysłowym Europy lub Ameryki, ale wysoko ceniony na rynkach Wyspy Lincolna.

Wielkie mrozy zaczęły się około 20 czerwca i Penkroff, ku swemu wielkiemu niezadowoleniu, musiał przerwać budowę statku, który miał zostać skończony na wiosnę.

Największym marzeniem marynarza stała się podróż na wyspę Tabor — pomimo iż Cyrus Smith nie popierał tego zamiaru, wypływającego z samej tylko ciekawości, gdyż raczej nie można było się spodziewać znalezienia pomocy na tej samotnej i na pół pustynnej skale.

— Jedno mnie tylko dziwi — rzekł pewnego dnia inżynier — że właśnie ty, który do tej pory tak chwaliłeś sobie życie na Wyspie Lincolna, obecnie pierwszy pragniesz ją opuścić.

— Opuścić tylko na kilka dni — odparł Penkroff. — Żeby się przekonać, co to za wysepka!

— Na pewno nie jest tak piękna jak Wyspa Lincolna!

— Z góry jestem tego pewien!

— Po cóż więc ryzykować?

— A jeżeli zaskoczy cię burza?...

— Nie obawiam się tego w lecie — odrzekł Penkroff. — Ponieważ jednak, panie Cyrusie, należy przewidywać wszystko, będę pana prosił o pozwolenie zabrania w tę podróż tylko Harberta.

— Penkroffie — odpowiedział inżynier, kładąc rękę na ramieniu marynarza — czy sądzisz, że gdyby się przytrafiło jakieś nieszczęście tobie i temu dziecku, które przypadek uczynił naszym synem — pocieszylibyśmy się kiedykolwiek?

— Panie Cyrusie — odparł Penkroff z niewzruszonym przekonaniem — nie sprawimy wam nigdy takiego zmartwienia. Zresztą pomówimy jeszcze o tej podróży, gdy przyjdzie na nią czas. Wyobrażam sobie, że skoro pan zobaczy nasz statek tak pięknie zaopatrzone we wszystkie urządzenia, tak wspaniale osprzętowany, gdy opłyniemy na nim naszą wyspę — nie będzie się pan wahał pozwolić mi na tę podróż.

Pierwszy śnieg spadł pod koniec czerwca. Zagroda dla bydła została już wcześniej zaopatrzona w obfite zapasy żywności i przestała wymagać codziennego dozoru; postanowiono więc, że tylko raz w tygodniu ktoś ją będzie odwiedzał.

Wykopano doły i zrobiono próbę z pułapkami wymyślonymi przez Cyrusa Smitha. Zgięte fiszbiny, zatopione w lodzie i okryte z wierzchu grubą warstwą tłuszczu, rozrzucono na skraju lasu w miejscu, którym zwykle przechodziły zwierzęta idące do wodopoju.

Ku wielkiemu zadowoleniu inżyniera, ten zapożyczony od myśliwych aleuckich pomysłów, sprawdził się doskonale; złapano z tuzin lisów, kilka dzików, a nawet jaguara.

W tym czasie koloniści podjęli pierwszą próbę skomunikowania się z innymi ludźmi. Gedeon Spilett nieraz już myślał bądź o wrzuceniu w morze listu, zamkniętego w butelce, którą prądy mogły zanieść do jakiegoś zamieszkałego wybrzeża, bądź też o powierzeniu go gołębiom. Trudno jednak było wierzyć, że gołębie lub butelka zdołają przebyć przestrzeń oddzielającą wyspę od jakiegokolwiek stałego lądu — tysiąc dwieście mil.

30 czerwca schwytano nie bez trudności cenną zdobycz, albatrosa, ranionego lekko w nogę strzałem Harberta. Był to wspaniały ptak, którego rozpiętość skrzydeł wynosiła dziesięć stóp, mógł więc przelecieć nad Oceanem Spokojnym. Harbert chciał zatrzymać tego pięknego ptaka. Rana albatrosa szybko się bowiem wygoiła i chłopiec twierdził, że potrafi go oswoić. Ale Gedeon Spilett wytłumaczył mu, że nie można zaniedbać sposobności przesłania wieści o sobie mieszkańcom ziem położonych przy Oceanie; jeżeli bowiem albatros przybył z jakichś stron zamieszkałych, na pewno do nich powróci, skoro uzyska wolność — i Harbert musiał ulec.

Być może, w głębi duszy Gedeon Spilett, w którym dziennikarz brał niekiedy górę nad rozbitkiem liczył, że wysłany na los szczęścia w świat interesujący artykuł o przygodach osadników Wyspy Lincoln trafi do gazety! Cóż to byłby za sukces dla stałego reportera *New York Herald* i dla numeru zawierającego podobne sprawozdanie, gdyby kiedykolwiek dotarł do rąk dyrektora, pana Johna Bennetta!

Gedeon Spilett zredagował więc treściwą notatkę, z prośbą do każdego, kto ją znajdzie, aby ją odesłał do redakcji *New York Herald*, i umieścił ją w woreczku z gumowanego płótna. Woreczek ten przywiązano albatrosowi do szyi, nie do nogi, ponieważ ptaki te mają zwyczaj odpoczywać na powierzchni morza. Po czym uwolniono tego szybkiego powietrznego posłańca — i nie bez pewnego wzruszenia koloniści patrzyli na niego, gdy zniknął we mgle.

Z nadejściem zimy zabrano się znowu do robót wewnątrz Granitowego Pałacu, do naprawy odzieży i do innych spraw — a między innymi do uszycia żagli dla statku. Wykrojono je ze stanowiącej niewyczerpane źródło płótna powłoki balonu.

Przez cały lipiec trwały silne mrozy.

Wieczorami, w dobrze ogrzanej sali, przy świetle świec koloniści rozmawiali często o swoim kraju, o przyjaciółach, których tam zostawili, o wielkości amerykańskiej republiki, której wpływ mógł tylko wzrastać — a Cyrus Smith, zaangażowany w wiele spraw Unii, wzbudzał żywe zainteresowanie słuchaczy swymi opowiadaniem, spostrzeżeniami i prognozami.

Pewnego dnia zdarzyło się, że Gedeon Spilett w czasie rozmowy zapytał go:

— Koniec końców jednak, mój drogi Cyrusie, czy całemu temu ruchowi przemysłowemu i handlowemu, któremu wróżysz nieustający rozwój, nie grozi prędzej lub później zahamowanie?

— Zahamowanie?... A to dlaczego?

— Przez brak węgla, który słusznie można nazwać najcenniejszym z minerałów!

— Tak, w istocie jest on najcenniejszy — odpowiedział inżynier — i zdaje się, że nawet sama przyroda chciała potwierdzić jego wielką wartość, tworząc diament, który jest niczym innym tylko czystym, skryształizowanym węglem.

— Nie chce pan przecież powiedzieć, panie Cyrusie — wtrącił Penkroff — że można palić w piecach diamentem zamiast węglem?

— Nie, mój przyjacielu — odpowiedział Cyrus Smith.

— Mimo wszystko dalej jestem pewny swego zdania — podjął znowu Gedeon Spilett. — Nie zaprzeczysz przecież, że pewnego dnia węgiel wyczerpie się zupełnie?

— Och! Pokłady węgla ziemnego są jeszcze znaczne i sto tysięcy robotników, wydobywających z nich corocznie sto milionów cetnarów*, nie byłoby w stanie ich wyczerpać!

— Ale przy rosnącym zużyciu węgla ziemnego — odparł Gedeon Spilett — przewidzieć można, że z tych stu tysięcy zrobi się wkrótce dwieście i że wydobyć się podwoi?

— Bez wątplenia. Jednakże, oprócz pokładów europejskich, których eksploatację ułatwią wkrótce nowe maszyny, kopalnie Ameryki i Australii wystarczą jeszcze na długo.

— Jak długo mniej więcej? — spytał reporter.

— Przynajmniej na dwieście pięćdziesiąt lub trzysta lat.

— No, dla nas jest to uspokajające — wtrącił znowu Penkroff — ale wielce niepokojące dla naszych praprawnuków!

— Znajdzie się coś innego — rzekł Harbert.

— Tak się należy spodziewać — odparł Gedeon Spilett — w końcu bowiem, bez węgla nie ma maszyn, a bez maszyn nastąpiłby koniec kolei żelaznych, parowców, hut, kres wszystkiego, czego wymaga postęp współczesnego życia!

— Ale co powstanie na to miejsce? — spytał Penkroff. — Czy pan sobie to wyobraża, panie Cyrusie?...

— Prawie, mój przyjacielu.

— A więc czym będzie się palić zamiast węgla?

— Wodą — odpowiedział Cyrus Smith.

— Wodą! — krzyknął Penkroff. — Wodą będą rozgrzewać parowce i lokomotywy, wodą grzać wodę?...

— Nie inaczej, ale wodą rozłożoną na pierwiastki składowe — odpowiedział Cyrus Smith — a rozłożoną bez wątplenia przez elektryczność, która będzie wówczas siłą potężną i łatwą w użyciu. Tak, moi przyjaciele, sądzę, że wody używać będą kiedyś jako opału, że wodór i tlen, z których się składa, wykorzystywane osobno lub łącznie, staną się źródłem ciepła i światła, o sile, jakiej węgiel ziemny mieć nie może. Tak więc, nie ma się o co lękać. Woda jest węglem przyszłości.

— Chciałbym to widzieć — rzekł marynarz.

— Niestety urodziłeś się za wcześnie, Penkroffie — wtrącił milczący dotąd Nab.

Rozmowę przerwało szczekanie Topa, który, jak mu się to już dawniej zdarzało, zaczął biegać wkoło studni.

— Dlaczego Top tak szczeka? — spytał Penkroff.

— A Jup z kolei tak dziwnie mruczy? — dodał Harbert.

Rzeczywiście, orangutan, podbiegł także do studni przy czym — rzecz dziwna — obydwie zwierzęta zdawały się być raczej zaniepokojone niż rozdrażnione.

— Widocznie — odezwał się Gedeon Spilett — studnia ta ma bezpośrednie połączenie z morzem i jakieś zwierzę morskie musi tu od czasu do czasu przyplływać.

— To jasne — odrzekł marynarz. — Inaczej nie można tego wyjaśnić. No, cicho. Topie — dodał Penkroff, zwracając się do psa — a ty, Jupie, wracaj do swego pokoju!

Małpa i pies ucichły. Jup wrócił do swego posłania, ale Top pozostał w sali i nie przestawał warczeć przez cały wieczór.

Wkrótce zapomniano o tym zdarzeniu, zaniepokoiło ono jednak inżyniera.

* Cetnar — 100 kilogramów (200 funtów).

Przez resztę lipca deszcz przeplatał się z mrozem. Chociaż zima ta była mniej ostra niż w poprzednim roku, ciągle burze i wichry były bardzo przykre. Zdarzyły się także gwałtowne sztormy, które kilkakrotnie uszkodziły Kominy. Mimo to koloniści co tydzień odwiedzali zagrodę dla bydła. Na szczęście zagroda ta, zasłonięta od południowego wschodu Górą Franklina, nie ucierpiała bardzo z powodu wiatru, który oszczędził tutaj drzewa, szopy i ostrokół. Natomiast kurniki, znajdujące się na Wielkim Płaskowyzu, a więc wystawione bezpośrednio na uderzenia wschodniego wichru, zostały bardzo dotkliwie uszkodzone. Z gołębnika wiatr dwukrotnie zerwał dach i przewrócił ogrodzenie. Wszystko to trzeba było gruntownie naprawić.

W ciągu pierwszego tygodnia sierpnia zawieruchy trochę się uspokoiły. Wraz z nastaniem ciszy temperatura spadła i zrobiło się znowu bardzo zimno. 3 września koloniści wyruszyli na planowaną wycieczkę na południowy wschód wyspy, do Kaczycz Błot; nęciło ich wodne ptactwo.

W polowaniu wzięli udział wszyscy z wyjątkiem inżyniera, który pod pozorem jakiejś ważnej pracy pozostał w Granitowym Pałacu.

Myśliwi ruszyli drogą przez Port Balonowy, kierując się ku błotom; obiecali powrócić wieczorem. Top i Jup im towarzyszyli. Gdy tylko przeszli most na Rzece Miłosierdzia, inżynier podniósł go i zabrał się do realizacji swego planu. Zamierzał bowiem drobiazgowo zbadać wewnętrzną studnię, której otwór ciemniał na poziomie korytarza Granitowego Pałacu i która połączona była bezpośrednio z morzem. Cyrusa interesowało, dlaczego Top tak często krążył koło tego otworu. Czemu również Jup był zaniepokojony? Studnia mogła mieć liczne podziemne rozgałęzienia, być może rozciągała się dalej pod powierzchnią wyspy. Inżynier, nie chcąc niepokoić swoich towarzyszy, postanowił rozwiązać tę zagadkę sam.

Łatwo było zejść aż na sam dół studni przy pomocy drabinki sznurowej, nie używanej już od czasu zamontowania windy, a której długość była wystarczająca. Po jej zamocowaniu inżynier, zapaliwszy latarnię, z rewolwerem za pasem, zaczął schodzić po szczeblach.

Ściany studni były gładkie, tylko gdzieniegdzie widniały występy skalne, dzięki którym można się było wspiać aż do samego otworu studni.

Nic jednak podejrzanego nie spostrzegł. Opuścił się aż do poziomu wody, spokojnej i gładkiej jak stół; nigdzie nie zauważył żadnego korytarza, żadnego bocznego przejścia. Mur, w który Cyrus Smith uderzył ręką swego kordelasa, wydał pełny dźwięk. Był to lity granit, przez który żadna żyjąca istota nie byłaby zdolna się przebić. Inżynier stwierdził, że do otworu studni można było się dostać tylko przez ten pionowy korytarz, zawsze zalany wodą i bezpośrednio połączony z morzem.

Cyrus Smith, skończywszy swoje badania, powrócił na górę, zdjął drabinkę, zakrył z powrotem otwór studni i wrócił zamyślony do wielkiej sali Granitowego Pałacu, mówiąc do siebie:

— Nic nie znalazłem, a jednak tam coś jest!

ROZDZIAŁ XII

Ożaglowanie statku. — Napad lisów. — Jup ranny. — Leczenie Jupa. — Rekonwalescencja. — Wykończenie statku. — Triumf Penkroffa. — „Bonawentura”. — Pierwsza próba. — Niespodziewany dokument.

Tego samego wieczoru myśliwi powrócili z udanego polowania dosłownie obciążeni zdobyczą, tak iż każdy dźwigał za czterech ludzi. Top miał naszyjnik z kszyców, a Jup był opasany sznurkiem, na którym wisiały cyranki i nurki.

— To mi się nazywa robota — zawołał Nab. — Będzie czym zając czas! Narobi się konserw, pasztetów i innych smacznych zapasów! Ale ktoś mi musi w tym pomóc. Może pan Spilett?

— Bardzo chętnie, Nabie — odpowiedział reporter. — Uprzedzam cię tylko, że skoro mi zdradzisz swoje sekretne przepisy, ogłoszę je publicznie!

— Jak się panu podoba, panie Spilett — odparł Nab.

W taki sposób następnego dnia Gedeon Spilett, który został pomocnikiem Naba, zaczął pracować w kuchni. Przedtem jednak inżynier opowiedział mu o swoich wczorajszych poszukiwaniach w studni i obaj doszli do wniosku, że choć nic nie odkryto, tkwi tam jakaś tajemnica.

Mrozy trzymały jeszcze przez cały tydzień i koloniści opuszczali Granitowy Pałac tylko w celu zaopatrzenia kurników. Całe mieszkanie nappełniło się smakowitymi zapachami, pochodzącymi z kuchni, w której uwijali się Nab i reporter. Wszystkich ptaków upolowanych na błotach nie przerobiono na konserwy, a ponieważ zwierzyna z powodu tak silnych mrozów była długo świeża, dzikie kaczki i inne ptactwo znalazły się na stole i całe grono uznało je za smaczniejsze od wszystkich wodnych ptaków na świecie.

W ciągu tego tygodnia Penkroff, przy pomocy Harberta, posługującego się zręcznie igłą, pracował z takim zapałem, że ożaglowanie statku zostało ukończone. Lnianego materiału zabrakło dzięki siatce odnalezionej razem z pokryciem balonu. Żagle zostały obrębione silnymi sznurami i pozostało jeszcze dosyć materiału na fały*, liny idące w drabinę od wierzchu masztu, sztagi* i inne.

Bloki, kierując się wskazówkami Penkroffa, wykonał na tokarskim kole Cyrus Smith.

Penkroff sam uszył banderę błękitno — czerwono — białą. Barwniki te uzyskano z roślin, wystepujących obficie na wyspie. Do trzydziestu siedmiu gwiazd, przedstawiających Stany Zjednoczone i błyszczących na flagach amerykańskich, marynarz dodał jeszcze trzydziestą ósmą gwiazdę „Stanu Lincolna”; uważał bowiem wyspę za terytorium Ameryki. Taką właśnie flagę wywieszono z głównego okna Granitowego Pałacu i koloniści powitali ją trzykrotnym „hurra!

Powoli zbliżał się koniec pory chłodnej i zdawało się, że ta druga zima minie bez ważnego wydarzenia, gdy naraz w nocy 11 sierpnia, Wielki Płaskowyż zagrożony został zupełnym spustoszeniem.

Koloniści spali głęboko po bardzo pracowitym dniu, gdy nagle, około czwartej nad ranem, zbudziło ich gwałtowne szczekania Topa.

Tym razem pies nie czekał przy otworze studni, ale przy drzwiach i rzucał się na nie, jakby chciał je otworzyć. Jup także wydawał dzikie okrzyki.

— Cóż to takiego? — spytał Cyrus Smith, zrywając się z posłania.

* Fały — liny służące do podnoszenia żagli.

* Sztagi — liny zabezpieczające maszt przed ruchami: przód — tył.

I wszyscy, ubrawszy się szybko, rzucili się do okien i otworzyli je. Przed nimi roztaczała się śnieżna płaszczyna, ledwo mająca w ciemnościach. Koloniści nic nie zobaczyli, ale usłyszeli dziwne odgłosy, dobiegające z mroku. Wydawało się, że wybrzeże zostało opanowane przez jakieś zwierzęta, których nie można było rozpoznać.

— Co to jest? — wykrzyknął Penkroff.

— Wilki, jaguary lub małpy! — odpowiedział Nab.

— Do licha! Przecież one mogą dostać się na płaskowyż! — rzekł reporter.

— A nasze kurniki — zawołał Harbert. — A nasze plantacje?

— Jak one się tu dostały? — spytał Penkroff.

— Przez mostek od strony wybrzeża — odparł inżynier — widocznie zapomnieliśmy go zamknąć.

— W istocie — rzekł Gedeon Spilett — przypominam sobie, że sam go zostawiłem otworem.

— A to się pan pięknie spisał, panie Spilett! — krzyknął marynarz.

— Trudno, to się już stało — odrzekł Cyrus Smith. — A teraz pomyślmy, co zrobić!

Nie ulegało wątpliwości, że wybrzeże opanowały jakieś zwierzęta, które mogły po lewym brzegu Rzeki Miłosierdzia dostać się na Wielki Płaskowyż. Należało więc uprzedzić je i pokonać w razie potrzeby.

— Co to za zwierzęta? — odezwało się po raz drugi pytanie, w chwili gdy ponownie odezwało się tajemnicze wycie.

Harbert przypomniał sobie, że słyszał je już w czasie swojej pierwszej wizyty u źródeł Czerwonego Potoku. — To lisy! — zawołał.

— Naprzód! — krzyknął marynarz.

I wszyscy, pochwycając za topory, strzelby i rewolwery, rzucili się do windy, stając wkrótce na wybrzeżu.

Lisy w wielkim stadzie i rozdrażnione głodem są bardzo niebezpieczne, jednak koloniści nie zawahali się wskoczyć w sam środek gromady i pierwsze strzały z rewolwerów zmusiły napastników do odwrotu.

Najważniejszym zadaniem było uniemożliwienie tym rabusiom przedostania się aż do Wielkiego Płaskowyżu, gdyż plantacje osadników i kurniki byłyby wtedy zagrożone. Dostać się na Płaskowyż mogły tylko lewym brzegiem Rzeki Miłosierdzia, należało więc zatarasować im drogę na owym wąskim kawałku wybrzeża, pomiędzy rzeką a granitową ścianą.

Zrozumieli to wszyscy dobrze i na rozkaz Cyrusa pobiegli na oznaczone miejsca i rozstawili się tak, aby utworzyć linię nie do zdobycia, podczas gdy gromada lisów szamotała się i skakała w ciemności.

Top ze swoją otwartą, przerażającą paszczą poprzedzał osadników, a za nim postępował Jup uzbrojony w sękatą pałkę, którą potrząsał jak maczugą.

Noc była tak ciemna, że tylko przy błysku wystrzałów spostrzegano napastników. Była ich zapewne co najmniej setka, a ich oczy świeciły jak żarzące węgle.

— Nie wolno ich tu wpuścić! — zawołał Penkroff.

— I nie wpuścimy ich! — odpowiedział inżynier.

Lisy wtargnęły na płaskowyż, choć usilnie próbowano temu zapobiec.

Ostatnie szeregi pchały nieustannie pierwsze i choć wiele ciał musiało zaścielać ziemię, gromada nie zmniejszała się. Wydawało się, że wciąż jej przychodzą z pomocą nowe posiłki od strony mostka.

Wkrótce zwierzęta zaczęły z wściekłością rzucać się na kolonistów. Harbert strzałem z rewolweru uratował Naba, któremu na plecy skoczył jeden lis jak tygrys. Top bił się z prawdziwą

zaciekłością, skacząc lisom do gardła i dusząc je gwałtownie. Jup, uzbrojony w swoją pałkę, tłukł na ślepo, gdyż jego wzrok nie przebijał ciemności.

Po dwóch godzinach walka zakończyła się zwycięstwem osadników. Pierwsze przebłyski świtu skłoniły napastników do odwrotu; lisy pomknęły na północ przez mostek, który Nab podniósł natychmiast.

Gdy światło dzienne dostatecznie rozjaśniło pole walki, koloniści naliczyli około pięćdziesięciu lisów zabitych i rozrzuconych po wybrzeżu.

— A Jup? — zawołał Penkroff. — Gdzie jest Jup?

Jup gdzieś zniknął. Jego przyjaciel Nab wołał go, ale po raz pierwszy Jup nie odpowiedział na to wezwanie.

Wszyscy ruszyli na poszukiwanie Jupa, drżąc, czy nie zginął. Znalezione go wśród zabitych lisów, których pogruchothane czaszki i żebra świadczyły, z czyjej padły ręki. Biedny Jup trzymał jeszcze w ręku szczątek swej złamanej pałki. Widocznie pozbawiony broni, przygnieciony został przez przeważającą ilość napastników i padł. Głębokie rany czerniały mu na piersiach.

— Żyje! — zawołał Nab, pochylony nad nim.

— Uratujemy go — odrzekł marynarz. — Będziemy go pielęgnować, gdyż jest jednym z nas.

Zdawało się, że Jup rozumiał te słowa, bo schylił głowę na ramię Penkroffa, jakby chciał mu podziękować. Nab i Penkroff przenieśli go na rękach aż do windy. Wciągnięto go ostrożnie do Granitowego Pałacu. Tu złożono Jupa na materacu i obmyto jak najstaranniej jego rany. Nie wydawało się, aby został naruszony któryś z organów wewnętrznych, jednak orangutan utracił bardzo dużo krwi i wkrótce dostał wysokiej gorączki.

Po opatrzeniu ran położono go i zaordynowano surową dietę, następnie podano mu kilka filiżanek napoju chłodzącego i obchodzono się z nim — wedle słów Naba — jak z najznamienitszym pacjentem.

Tego samego poranka przystąpiono do usunięcia padliny, którą przetransportowano aż do Lasu Dalekiego Zachodu i tam zakopano głęboko.

Wydarzenie to, które mogło mieć poważne konsekwencje dla osadników, było dla nich nauką; od tego czasu nie położyli się, zanim jeden z nich nie przekonał się, iż wszystkie mosty są podniesione, a jakakolwiek napaść niemożliwa:

Po kilku dniach wysokiej gorączki Jup zaczął przychodzić do siebie. Jego silny organizm zwyciężył, gorączka zaczęła spadać i Gedeon Spilett, znający się trochę na medycynie, oświadczył, że niebezpieczeństwo minęło.

Po dziesięciu dniach choroby Jup wstał z łóżka. Rany się zabiły i widać było, iż wkrótce powróci mu zwykła zręczność i siła. Jak wszyscy rekonwalescenci poczuł ogromny apetyt. Reporter pozwolił mu jeść, co zechce, a Nab, podsuwając smakowite kąski, tak przemawiał do małpy:

— Przelewałś za nas krew, więc my postaramy się, aby ci przybyło nowej. 28 sierpnia usłyszano głos Naba, przywołujący resztę towarzyszy.

— Panie Cyrusie, panie Gedeonie, panie Harbercie, Penkroffie, chodźcie, chodźcie!

Na to wołanie wszyscy się zerwali i pobiegli do izby Jupa.

— Co się stało? — spytał reporter.

— Patrzcie! — odrzekł Nab, wybuchając śmiechem.

I co ujrzeli? Jupa, który palił spokojnie i poważnie fajkę, przykucnąwszy po turecku w drzwiach Granitowego Pałacu.

— Moja fajka! — zawołał Penkroff. — On wziął moją fajkę! Ach, mój dzielny Jupie, ofiaruję ci ją w podarunku! Pal, mój przyjacielu, pal!

A Jup puszczał gęste kłęby dymu, co zdawało się sprawiać mu nieporównaną przyjemność. Cyrusa Smitha nie zdziwił ten wypadek; znał liczne przykłady oswojonych małp, dla których palenie tytoniu stało się nałogiem.

Odtąd Jup miał swoją własną fajkę i swój własny tytoń. Sam go nakładał, zapalał od zarzącego się węgla i zdawał się być najszcześliwszym z czwororęcznych stworzeń.

Z nastaniem września zima się całkowicie skończyła i rozpoczęto z nowym zapalem prace poza domem. Budowa statku posuwała się naprzód. Pomost został skończony całkowicie, zaczęto pokrywać szkielet statku klepkami, które zmiękczano parą wodną.

Ponieważ drewna było pod dostatkiem, Penkroff zaproponował inżynierowi wyłożenie wnętrza deskami, dla ochrony i przeciw wilgoci. Pomysł ten gwarantował statkowi trwałość i bezpieczeństwo. Cyrus Smith, nie wiedząc, co czeka ich w przyszłości, zgodził się na pomysł marynarza, by jak najbardziej umocnić łódź.

Wszystkie, nawet najmniejsze szpary, zatkało pakułami, które wbito młotkiem pomiędzy klepki ściany wewnętrznej i pokładu. Następnie zaś zalano jeszcze te szpary gorącą smołą, której dostarczyły w obfitości sosny z lasu.

Urządzenie wewnętrzne statku było proste. Przede wszystkim napełniono go balastem, składającym się z ciężkich kawałów granitu połączonych z sobą wapnem; ich waga ogólna wynosiła około dwunastu tysięcy funtów. Następnie balast ten pokryto pokładem, a wnętrze statku podzielono na dwie kajuty, wzdłuż których ciągnęły się ławy, służące zarazem za skrzynie. Penkroff nie miał trudności w znalezieniu drzewa odpowiedniego na maszty. Wybrał w tym celu młodą jodłę, prostą, bez sęków, którą trzeba było tylko ociosać w kwadrat u dołu, a zaokrąglić u góry. Okucia masztów, steru i całego kadłuba statku, niezgrabnie, ale gruntownie wyrobiono w kuźni w Kominach. Wreszcie reje i maszt strzałkowy zostały ukończone w pierwszym tygodniu października i uzgodniono, że statek zostanie zwodowany w pobliżu wyspy, aby przekonać się, jak się będzie zachowywał na morzu.

10 października zepchnięto łódź na wody Oceanu. Penkroff promieniał. Operacja udała się doskonale. Statek w pełnym ożaglowaniu został pochwycony przez przypływ morza i popłynął na falach, przy wtórze oklasków osadników, a szczególnie Penkroffa, który był bardzo dumny ze statku, którego miał być kapitanem

Aby zadowolić kapitana Penkroffa, trzeba było natychmiast nadać imię nowej jednostce, co wywołało długie rozprawy i propozycje. Wreszcie jednak wszyscy zgodzili się na imię „Bonawentura”, będące zarazem chrzestnym imieniem zacnego marynarza.

O wpół do jedenastej wszyscy znaleźli się na pokładzie, nawet Jup i Top. Nab i Harbert podnieśli kotwicę, wywieszono flagę amerykańską i „Bonawentura”, sterowany przez Penkroffa, wypłynął na morze.

Pasażerowie „Bonawentury” byli zachwyceni. Mieli dobry statek, który w razie konieczności mógł oddać im wielkie przysługi; a poza tym, w dniu tak pogodnym i przy tak pomyślnym wietrze przejazdka sprawiała im prawdziwą przyjemność.

Penkroff skierował się na pełne morze, trzy lub cztery mile od wybrzeża, przez Port Balonowy. Wtedy wyspa ukazała się im w całej krasie z rozległą panoramą wybrzeży i Przylądka Ostrego Szpona do Przylądka Węża; z przepięknymi lasami, w których drzewa iglaste wyróżniały się wśród innych drzew, z Górą Franklina wreszcie, panującą nad krajobrazem, z ośnieżonym szczytem.

— Jakie to piękne! — zawołał Harbert.

— O tak, nasza wysepka jest piękna i dobra — odpowiedział Penkroff. — Kocham ją, jak kochałem moją biedną matkę. Przyjęła nas ubogich i pozbawionych wszystkiego — a teraz czego brakuje pięciorgu dzieciom, które jej spadły z nieba?

— Niczego! — odrzekł Nab. — Niczego, kapitanie!

W tym czasie Gedeon Spilett oparty o podstawę masztu szkicował ołówkiem widok wybrzeża. Cyrus Smith rozglądał się w milczeniu.

— No, panie Cyrusie — odezwał się do niego Penkroff — co pan powie o naszym statku?...

— Wydaje się sprawny — odrzekł inżynier.

— Doskonale. Jest pan więc przekonany, że można by na nim zaryzykować dłuższą podróż?

— Jaką podróż, Penkroffie?

— Do wyspy Tabor, na przykład.

— Mój przyjacielu — odpowiedział Cyrus Smith. — Wydaje mi się, że w razie konieczności bez wahania można by odbyć na „Bonawenturze” nawet dłuższą podróż — ale po co to robić, gdy nic nas do tego nie zmusza?

— Warto znać swoich sąsiadów — odparł Penkroff. — Wyspa Tabor to nasza jedyna sąsiadka! Sama grzeczność nakazuje, aby ją odwiedzić!

— Do licha — odezwał się Gedeon Spilett. — Nasz przyjaciel Penkroff najwyraźniej uparł się przy swoim pomysłe!

Uparty marynarz nie odpowiedział na to nic, ale zamierzał podjąć tę rozmowę później. Nie przypuszczał jednak, że przyjdzie mu wkrótce z pomocą zdarzenie, dzięki któremu jego zamiar, który początkowo był tylko zachcianką, zamieni się w akt miłosierdzia...

Po dość długiej żegludze na pełnym morzu „Bonawentura” zbliżył się do brzegu, zmierzając do Portu Balonowego. Koloniści chcieli dokładnie zbadać przejścia między ławami piasku a rafami i w razie potrzeby ustawić znaki ostrzegawcze, gdyż zatoczka miała być przystanią dla statku.

O pół mili od brzegu wiatr, powstrzymywany przez wzgórze, ucichł prawie zupełnie i statek płynął dość wolno. Harbert stał na dziobie i wskazywał drogę między przesmykami, gdy nagle odwrócił się i krzyknął:

— Skręć z wiatrem, Penkroffie, skręć z wiatrem!

— Czemu? — spytał marynarz, wstając. — Płyniemy na skały?

— Nie... zaczekaj... — odrzekł Harbert — nie widzę jeszcze dobrze... skręć jeszcze... dobrze... trochę bliżej...

Mówiąc to, Harbert wyciągnął się jak długi na pokładzie, zanurzył szybko rękę w wodę i podniósł się, wołając:

— Butelka!

W ręce trzymał zakorkowaną butelkę, którą zaraz oddał inżynierowi. Cyrus Smith wziął ją do ręki. Nie mówiąc ani słowa, wyciągnął korek, wydobyl z niej wilgotny papier i przeczytał:

Rozbitek... Wyspa Tabor... 153° dług. zach. — 37° 11' szer. pd.

ROZDZIAŁ XIII

Podróż postanowiona. — Przypuszczenia. — Przygotowania. — Trzej pasażerowie. — Pierwsza noc. — Druga noc. — Wyspa Tabor. — Poszukiwania na wybrzeżu. — W lesie. — Nie ma nikogo. — Zwierzęta. — Rośliny. — Chata.

— Rozbitek! — zawołał Penkroff. — Opuszczony na wyspie Tabor, tylko kilkaset mil od nas! Panie Cyrusie, teraz już się pan nie będzie sprzeciwiał mojemu projektowi.

— Nie, Penkroffie — odparł Cyrus Smith. — Płyn i to jak najprędzej.

— Więc jutro?

— Niech będzie jutro.

Inżynier trzymał w ręku papier wydobyty z butelki; przyglądał mu się przez chwilę i powiedział:

— Z dokumentu tego, przyjaciele moi, należy wnosić, że po pierwsze: rozbitek znajdujący się na wyspie Tabor posiada podstawową znajomość nawigacji, jeśli podaje stopień szerokości i długości geograficznej wyspy; po drugie, jest z pochodzenia Anglikiem lub Amerykaninem, ponieważ dokument napisany jest w języku angielskim.

— To wniosek całkiem logiczny — odezwał się Gedeon Spilett. — Z drugiej strony obecność tego rozbitka wyjaśnia nam, skąd się wzięła znaleziona przez nas skrzynia. Ponieważ istnieje rozbitek, musiała także nastąpić katastrofa. Swoją drogą człowiek ten ma szczęście, że Penkroff uparł się, by wybudować statek i wypróbować go właśnie dziś, bo jutro butelka mogłaby rozbić się o skały.

— Tak — powiedział Harbert. — To szczęśliwy traf, że „Bonawentura” nadpłynął właśnie w chwili, gdy butelka unosiła się jeszcze po wodzie!

— Czy to nie dziwne? — zapytał Cyrus Smith Penkroffa.

— Bynajmniej — odparł marynarz. — Dlaczego uważa pan to za dziwne, panie Cyrusie? Ja uważam to za szczęśliwy przypadek.

— Czy nie ma jakiegoś śladu, po którym można by ocenić, jak długo pływała po morzu? — zapytał Harbert.

— Żadnego — odparł Gedeon Spilett — ale dokument wydaje się świeżo napisany. Co ty o tym sądzisz, Cyrusie?

— Trudno to ocenić, zresztą dowiemy się o tym wkrótce! — odparł Cyrus Smith.

Podczas tej rozmowy Penkroff nie próżnował. Zmienił bieg statku, a „Bonawentura” z rozpiętymi żaglami, prując fale, mknął do Przylądka Ostrego Szpona. Każdy myślał czy rozbitek z wyspy Tabor jeszcze żyje. Uważali, że ich obowiązkiem było pospieszyć z pomocą nieszczęśliwemu.

Opłynęli dokoła Przylądka Ostrego Szpona i o czwartej „Bonawentura” zarzucił kotwicę u ujścia Rzeki Miłosierdzia.

Tego dnia omówiono szczegóły wyprawy; zdecydowano, że Penkroffowi będzie towarzyszył tylko Harbert, jako najbardziej po marynarzu znający się na żeglowaniu.

Wyruszając nazajutrz, 11 października, będą mogli dotrzeć na miejsce 13. Jeśli pozostaną tylko jeden dzień na wyspie, to można było założyć, że 17 października będą z powrotem na Wyspie Lincolna.

Postanowiono, że Cyrus Smith, Nab i Gedeon Spilett pozostaną w Granitowym Pałacu, ale Gedeon Spilett, pamiętając o swojej funkcji reportera dziennika *New York Herald*, oświadczył, że

raczej uda się wplaw za okrętem, niż opuści podobną okazję. Pozwolono mu więc wziąć udział w wyprawie.

Jeszcze tego wieczoru przeniesiono na pokład „Bonawentury” kilka kompletów pościeli, narzędzia, broń, amunicję, busolę i żywność na osiem dni, a po zakończeniu tej pracy koloniści powrócili do Granitowego Pałacu.

Nazajutrz o piątej rano pożegnali się. Penkroff, rozpiąwszy żagle, skierował statek ku Przylądkowi Ostrego Szpona; po jego opłynięciu należało skierować się w kierunku południowo-zachodnim.

„Bonawentura” oddalił się już ćwierć mili od brzegów, gdy jego pasażerowie ujrzeli na szczycie Granitowego Pałacu dwóch ludzi dających im znaki pożegnalne. Był to Cyrus Smith i Nab. Po raz pierwszy przyjaciele się rozstawali.

Przez pierwsze kilka godzin „Bonawentura” płynął równoległe z południowymi brzegami Wyspy Lincolna, około czwartej wyspa zniknęła im z widnokregu.

„Bonawentura” sprawował się doskonale. Unosił się lekko na falach i szybko sunął naprzód. Penkroff rozwinął wszystkie żagle i płynął kursem wskazanym przez busolę.

Od czasu do czasu zastępował go przy sterze Harbert, który wywiązywał się ze swego zadania tak dobrze, że nie można mu było niczego zarzucić. Gedeon Spilett także nie wymawiał się od pracy.

Wieczorem Penkroff przez ostrożność zwinął żagiel strzałkowy, nie chcąc narazić się na jakiś niespodziewany podmuch wiatru. Może nie było to konieczne przy tak pogodnej nocy, ale Penkroff był przezornym marynarzem i nikt go za to nie zganił.

Noc i następny dzień minęły bez żadnego wypadku. Przez cały dzień trzymano się ściśle kierunku południowo-zachodniego; wszyscy mieli więc nadzieję, że jeśli tylko jakiś nieznany prąd nie zniesie okrętu, „Bonawentura” musi wylądować wprost na wyspie Tabor. Spodziewali się tego następnego ranka, więc w nocy z 12 na 13 października żaden z nich nie zmrzył oka.

— Ziemia! — zawołał Penkroff około szóstej rano.

Łatwo można wyobrazić sobie radość małej załogi „Bonawentury”. Za kilka godzin mieli wylądować! Wyspa Tabor, mająca kształt płaskiego wybrzeża, wynurzającego się lekko z fal morza, nie była oddalona bardziej niż o piętnaście mil.

— To wysepka o wiele mniejsza od Wyspy Lincolna — zauważył Harbert. — i podobnie jak ona zawdzięcza swe istnienie procesom wulkanicznym.

O jedenastej rano „Bonawentura” oddalony był od wyspy nie więcej jak o dwie mile, a Penkroff, szukając miejsca do wylądowania, sterował po tych nieznanach wodach z ogromną ostrożnością. Koloniści widzieli wyraźnie całą wysepkę, porośłą zielonymi klombami gumowców i innych dużych drzew z tego samego gatunku co na Wyspie Lincolna. Ale, rzecz dziwna, nigdzie nie wznosił się dym świadczący o obecności ludzi ani też na wybrzeżu nie ukazał się żaden znak!

A jednak znaleziony dokument wspominał wyraźnie o rozbitku i rozbitek ten powinien się tu znajdować!

Tymczasem „Bonawentura” wpłynął w dziwaczne przesmyki wśród skał, które Penkroff śledził z największą uwagą. Harberta posadził przy sterze; sam zaś, stojąc na dziobie okrętu, wpatrywał się w wodę, gotów w każdej chwili zwinąć żagiel, od którego linę trzymał w ręku. Gedeon Spilett obserwował wybrzeże, nie dostrzegając jednak nic szczególnego.

Wreszcie około południa dziób „Bonawentury” uderzył o piaszczyste wybrzeże. Wyrzucono kotwicę, zwinęto żagle i cała załoga okrętu udała się na ląd. Postanowili zbadać okolicę ze szczytu wzgórza, wysokiego na mniej więcej trzysta stóp, a odległego o pół mili od brzegu.

— Ze szczytu tego pagórka — rzekł Gedeon Spilett — będziemy mogli bez trudu zobaczyć całą wyspę, co ułatwi poszukiwania.

Szli skrajem łąki kończącej się u stóp wzgórza. Przed nimi przelatywały gromady gołębi skalnych i morskich jaskółek, podobnych do tych, jakie widywali na Wyspie Lincolna. W lesie, który ciągnął się wzdłuż lewego krańca łąki, słyszeli szelesty w krzakach i widzieli kołyszące się zarośla, co zdradzało obecność jakichś bardzo płochliwych zwierząt; lecz dotychczas nic nie wskazywało, aby wyspa była zamieszkała przez ludzi.

Bez trudu wdrapali się na szczyt wzgórza i rozejrzawszy się bacznie, stwierdzili, że znajdują się na wysepce posiadającej nie więcej jak sześć mil obwodu. Dokoła rozlewała się zupełnie pusta płaszczyna morza, ciągnąca się aż po krańce widnokregu. Nigdzie lądu, nigdzie statku!

Wysepka, porośnięta całkowicie lasem, nie posiadała tak urozmaiconego krajobrazu jak Wyspa Lincolna; tu widzieli przed sobą tylko jednostajną masę zieleni, spomiędzy której wyrastały dwa lub trzy niewielkie wzgórza. Wysepkę ukośnie przecinał strumień, płynący przez szeroką łąkę i wąskim ujściem wpadający do morza na wybrzeżu północnym.

Marynarz z towarzyszami powrócili na brzeg morza, gdzie zostawili „Bonawenturę”. Postanowili zwiedzić najpierw dokładnie brzegi wyspy, a potem dopiero zapaść się w głąb.

Podróżnicy skierowali się w stronę południową, płosząc po drodze liczne gromady morskiego ptactwa i stada fok, które na ich widok już z daleka rzucały się w morze.

— Te zwierzęta — zauważył reporter — nie pierwszy raz widzą ludzi, ponieważ boją się nas.

W ciągu czterech godzin obeszlą całą wysepkę i nigdzie nie znaleźli śladu obecności człowieka. Nasi podróżnicy zaczęli zastanawiać się, czy przypadkiem znaleziony dokument nie został napisany przed kilkanaście lub kilkunastoma laty i czy rozbitek nie umarł już dawno temu.

Penkroff, Gedeon Spilett i Harbert, snując różne przypuszczenia, zjedli szybko obiad na pokładzie „Bonawentury”, by natychmiast przed zapadnięciem nocy wyruszyć na dalszą wycieczkę.

O piątej po południu weszli w głąb lasu. Na ich widok liczne zwierzęta rzuciły się do ucieczki, a zwłaszcza kozy i świnie, które, jak łatwo było rozpoznać, należały do gatunku europejskiego. Bez wątpienia jakiś okręt, który wypłynął na połów wielorybów, zostawił je na wyspie, gdzie się szybko rozmnożyły. Harbert postanowił schwytać kilka tych zwierząt i zabrać na Wyspę! Lincolna.

Nie ulegało wątpliwości, że ludzie kiedyś przebywali na tej wyspie. Świadczyły o tym wydeptane wśród boru ścieżki, drzewa poćcinane siekierami i widoczne wszędzie ślady ludzkiej pracy; ale te drzewa dziś już gnijące, ścięte zostały przed wieloma laty, a wysokie i gęste zarośla zarastały ścieżki, które ledwie można było rozpoznać.

— Dowodzi to jednak — zauważył Gedeon Spilett — że ludzie nie tylko wylądowali kiedyś na tej wysepce, aleją przez jakiś czas zamieszkiwali. Pytanie tylko: kim byli ci ludzie? Ilu ich było? Ilu ich jeszcze zostało?

— Dokument — odezwał się Harbert — wspomina tylko o jednym rozbitku.

— Musimy go więc odszukać, o ile jeszcze znajduje się na wyspie! Wyruszyli więc w dalszą drogę. Nie tylko zwierzęta pochodzące z Europy świadczyły o pobycie tu człowieka — również liczne okazy świata roślinnego; w wielu miejscach w lesie odnajdywano poletka z warzywami. Niemala była radość Harberta, gdy rozpoznał między nimi kartofle, cykorię, szczaw, marchew, kapustę, rzepę, których nasiona trzeba było zebrać, by wzbogacić nimi Wyspę Lincolna.

Stan plantacji wskazywał, że wyspa od dawna nie była zamieszkała.

— Nasz rozbitek odpłynął!... Wszystko na to wskazuje... — stwierdził Penkroff.

— Więc musimy uznać, że dokument pochodzi sprzed kilku lat?

— Widocznie.

— I butelka długo błąkała się po morzu, zanim dopłynęła do Wyspy Lincoln?

— Najprawdopodobniej — odparł Penkroff. — Ale ponieważ noc już zapada, sądzę, że lepiej będzie przerwać nasze poszukiwania.

Postanowili więc wrócić na pokład, odkładając dalsze poszukiwania do następnego dnia, gdy nagle Harbert, wskazując na coś w rodzaju budynku majaczące między drzewami, zawołał:

— Dom!

Wszyscy trzej pobiegli w stronę wskazanej chaty. W wieczornym mroku można było rozpoznać, że była zbudowana z desek pokrytych grubym płótnem oblepionym smołą.

Penkroff popchnął drzwi i wszedł pośpiesznie do środka. Chata była pusta!

ROZDZIAŁ XIV

Co znaleziono. — Noc. — Kilka liter. — Dalsze poszukiwania. — Rośliny i zwierzęta. — Harbert w wielkim niebezpieczeństwie. — Na pokładzie. — Odpływ. — Burza. — Przebłysk instynktu. — Zabłąkani na morzu. — Światło zapalone w sarnę porę.

W chacie było ciemno, podróżni stali chwilę w milczeniu, po czym Penkroff zawołał głośno:
— Jest tu ktoś?

Żadnej odpowiedzi. Marynarz skrzesał ogień, zapalił kawałek gałązki. Ogień oświetlił przez chwilę niewielką izbę, jak się zdawało zupełnie pustą. W głębi stał ulepiony niezgrabnie komin, na nim leżał wyziębiony popiół i wiązka suchego drewna. Penkroff rzucił na nie zapaloną gałązkę i wkrótce drzewo buchnęło jasnym płomieniem.

W świetle ognia ujrzeli łóżko, którego poślanie wilgotne i pozółkłe świadczyło, iż od dawna nikt na nim nie spał. W jednym kącie komina stały dwa żelazne garnki pokryte rdzą i wywrócony kociołek, pod ścianą szafa z resztkami zbutwiałej odzieży marynarskiej; na stole leżało nakrycie, cynowa miska i zwilgotniała Biblia. W kącie stało kilka narzędzi: rydel, motyka, kilof, dwie strzelby myśliwskie, w tym jedna złamana; na półce zrobionej z deski nie tknięta jeszcze baryłka prochu, baryłka śrutu i kilka pudełek kapsli; wszystko to było pokryte grubą warstwą kurzu, nagromadzoną przez drugie lata.

— Nie ma nikogo — odezwał się reporter.

— Panie Spilett — odezwał się Penkroff. — Zamiast wracać na pokład, sędzę, że lepiej będzie spędzić noc w tej chacie.

— Masz słuszość, Penkroffie — odparł Gedeon Spilett. — A jeśli jej właściciel powróci, to sędzę, że nie będzie się gniewał, gdy nas tu zobaczy!

— Nie wróci! — rzekł marynarz, przecząco potrząsając głową.

— Sędzisz, że opuścił wyspę? — zapytał reporter.

— Gdyby ją opuścił, zabrałby ze sobą broń i narzędzia — odparł Penkroff. — Przecież pan wie, jaką wartość rozbitkowie przywiązują do przedmiotów, które zdołali ocalić.

— Nie! Nie! — powtórzył marynarz głosem pełnym głębokiego przekonania. — On nie opuścił wyspy! Gdyby odpłynął stąd na czólnie, które sobie sam sporządził, tym bardziej nie zostawiłby tu tych przedmiotów tak bardzo niezbędnych! Nie! On tu jest, na wyspie!

— Żywy?... — zapytał Harbert.

— Żywy albo martwy. Lecz jeżeli umarł, to przecież sam siebie nie pochował — odparł Penkroff — i w takim razie znajdziemy przynajmniej jego zwłoki!

Postanowili więc spędzić tę noc w opuszczonej chacie, korzystając z zapasu drzewa znalezionej w kącie. Noc wydawała się marynarzowi i jego towarzyszom bardzo długa. Tylko Harbert spał przez dwie godziny, bo w jego wieku sen jest koniecznością. Wszystkim trzem spieszo było rozpocząć rano na; nowo poszukiwania i przetrząsnąć dokładnie wysepkę. Wnioski Penkroffa były zupełnie słuszne i nie ulegało żadnej wątpliwości, że skoro chata była pusta, a naczynia, broń i narzędzia dotąd się w niej znajdowały, jej mieszkaniec musiał zginąć. Należało więc odszukać jego zwłoki i pochować go przynajmniej po chrześcijańsku.

Nastał dzień. Penkroff i jego towarzysze mogli wreszcie obejrzeć dokładnie chatę. Zbudowana była w dobrym miejscu, za niewielkim wzniesieniem, które zasłaniało pięć lub sześć dużych drzew. Przed frontem domu wykarczowana była szeroka polana, odsłaniająca widok aż na morze. Mały trawnik, otoczony drewnianą, zrujnowaną poręczą, prowadził do brzegu, skąd na lewo znajdowało się ujście strumienia.

Chata zbudowana była z desek i nietrudno się było domyślić, że deski te pochodziły z kadłuba lub pokładu statku. Wynikało stąd, że jakiś strzaskany okręt wyrzucony został na brzeg wyspy, a przynajmniej jeden człowiek z załogi ocalał i mając potrzebne narzędzia, ze szczątków okrętu wybudował ten dom.

Przypuszczenie to przerodziło się w pewność, gdy Gedeon Spilett, obszedłszy dokoła całą chatę, dostrzegł na jednej z desek na wpół zatarte litery:

BR.TAN..A

— „Britannia” — zawołał przywołany tam Penkroff. — Nazwę tę nosi wiele statków i nie jestem w stanie stwierdzić, czy ten okręt był angielski, czy amerykański! Zanim jednak rozpoczniemy dalsze poszukiwania, wróćmy do „Bonawentury”!

Penkroffa ogarnął jakiś niepokój o los statku. A jeśli wyspa mimo wszystko była zamieszkała i jeśli któryś z mieszkańców odpłynął na ich statku... Choć myśl ta była dość nieprawdopodobna, marynarz chciał zjeść śniadanie na pokładzie statku. Prowadziła do niego droga utworzona i niedaleka — zaledwie mila Ruszono więc natychmiast, obserwując pilnie las i zarośla, przez które setkami uciekały kozy i świnię.

W dwadzieścia minut później Penkroff i jego towarzysze ujrzeli wschodnie wybrzeża wyspy i „Bonawenturę”, stojącego na kotwicy. Penkroff mimo woli odetchnął całą pierśią.

Na pokładzie zjedli obfite śniadanie, by długo obchodzić się bez kolejnego posiłku, po czym wyruszyli na dalsze poszukiwania.

Były one jednak daremne i pół dnia na próżno przetrząsali gęstwiny, którymi porosła wysepka. Należało więc przypuścić, że jeśli rozbitek zmarł, to jakieś zwierzę pożarło jego kości.

— Jutro o świcie odpłyniemy — rzekł Penkroff do swoich towarzyszy, gdy około drugiej po południu położyli się pod grupą sosen, by chwilę odpocząć.

— A ja sądzę — dodał Harbert — że możemy bez skrupułów zabrać z sobą narzędzia, które kiedyś należały do tego rozbitek.

— I ja tak sądzę — odparł Gedeon Spilett — a te narzędzia i broń uzupełnią sprzęty Granitowego Pałacu. Jeśli się nie mylę, zapas prochu i śrutu jest znaczny.

— Tak — odparł Penkroff — lecz nie zapomnijmy schwytać paru świń, których nie ma na Wyspie Lincolna...

— I pozbierać nasiona — dodał Harbert — z których będziemy kiedyś mieli wszystkie warzywa Starego i Nowego Świata.

— W takim razie — odezwał się reporter — może lepiej zatrzymać się jeden dzień dłużej na wyspie Tabor, aby zabrać wszystko, co może nam być potrzebne.

— Nie, panie Spilett — odparł Penkroff. — Proszę pozwolić nam odpłynąć jutro wcześniej rano. Wiatr zmienia kierunek na zachodni i tak, jak tu płynęliśmy z wiatrem, tak z wiatrem będziemy mogli wrócić.

— Zatem nie traćmy czasu! — rzekł Harbert.

— Nie traćmy czasu — powtórzył Penkroff. — Ty, Harbercie, zbierz nasiona, bo znasz się na nich lepiej od nas. Tymczasem ja z panem Spilettem zapolujemy na świnię i chociaż nie ma Topa, mam nadzieję, że uda nam się schwytać kilka sztuk.

Harbert poszedł ścieżką wiodącą do uprawianej kiedyś części wysepki, natomiast marynarz z reporterem zapuścili się w las.

Po półgodzinnym pościgu myśliwym udało się schwytać jedną parę, która zaplątała się w gęstwinie, gdy nagle dał się słyszeć głośny krzyk, w oddaleniu kilkuset kroków po północnej

stronie wyspy. Z krzykiem tym łączyły się jakieś chrapliwe tony, nie mające nic wspólnego z ludzką mową.

Penkroff i Gedeon Spilett zerwali się na równe nogi, a prosiaki, korzystając z tego, uciekły.

— To głos Harberta! — rzekł reporter.

— Biegnijmy czym prędzej! — zawołał Penkroff.

Mieli rację, że się spieszyli; na zakręcie ścieżki, w pobliżu polany, ujrzeli jakiegoś dzikiego potwora, o kształcie olbrzymiej małpy, który powalił Harberta na ziemię, jakby chciał go udusić. W jednej chwili Penkroff i Gedeon Spilett rzucili się na olbrzyma, obalili go na ziemię, wydarli mu Hart i przytrzymali go mocno. Marynarz miał bowiem herkulesową siłę, reporter był także krzepki i pomimo oporu napastnika skrzepowali go dokładnie powrozami, tak że nie mógł się ruszyć.

— Nie zrobił ci nic złego, Harbercie? — zapytał Gedeon Spilett.

— Nie! Nic!

— A! Gdyby cię tylko zraniła ta małpa!... — zawołał Penkroff.

— Ależ to nie małpa! — odparł Harbert.

Na te słowa Penkroff i Gedeon Spilett przyjrzeni się bliżej tej dziwnej istocie, leżącej na ziemi. To nie była małpa! Była to istota ludzka, to był człowiek! Ale co za człowiek! Dzikie, w najgorszym znaczeniu tego słowa, człowiek, który doszedł do najwyższego stopnia zezwierzecenia.

Włosy miał najeżone, zapuszczona broda spadała mu na piersi, był nagi, z wyjątkiem kawałka płachty, opasującej biodra, wzrok miał dziki, ręce olbrzymie, paznokcie niezmiernie długie, cerę czarną jak mahoń, skórę na nogach twardą, jak gdyby utoczoną z rogu: tak wyglądała ta nieszczęsna istota, która pomimo wszystko była człowiekiem! Lecz zaiste słusznie można było zapytać, czy w ciele tym mieszkała jeszcze dusza?

— Czy jest pan pewny, że to był kiedyś człowiek, panie Spilett? — zapytał Penkroff.

— Niestety! Nie można o tym wątpić — odparł reporter.

— Więc to on jest rozbitkiem, którego szukamy? — zapytał Harbert.

— Tak — odparł Gedeon Spilett. — Ale ten nieszczęśnik nie ma już w sobie nic ludzkiego!

Reporter miał słuszność. Widoczne było, że jeśli rozbitek był kiedyś istotą j cywilizowaną, długa samotność uczyniła z niego człowieka dzikiego, i co gorsze może, prawdziwego człowieka leśnego. Chrapliwe tony dobywały się z jego gardła przez zaciśnięte zęby, które były tak ostre, jak u zwierząt mięsożernych i służyły tylko do żucia surowego mięsa. Pamięć musiała go już pewnie dawno opuścić i długo nie używał narzędzi, broni, nie umiał też rozniecić ognia! Widać było, że jest krzepki i zwinny, lecz wszystkie przymioty fizyczne rozwinęły się u niego kosztem przymiotów duchowych.

Gedeon Spilett przemówił do niego. Zdawał się nie rozumieć i nawet nie słyszeć... A jednak, gdy bystro wpatrzył się w oczy reportera, można było sądzić, że rozum w nim jeszcze nie wygasł.

Tymczasem więzień nie miotał się już wcale i nie próbował rozerwać swych więzów. Czy taki wpływ wywierał na niego widok ludzi, trochę do niego podobnych? Czy może w jakimś zakątku mózgu odezwało się przelotne wspomnienie, że i on kiedyś był człowiekiem? Gdyby go uwolniono, czy uciekałby czy został przy nich? Nie wiedzieli; lecz nie uczynili tej próby, a przypatrzwszy się uważnie nieszczęśliwemu, Gedeon Spilett powiedział:

— Kimkolwiek on jest, kimkolwiek był i kimkolwiek będzie, naszym obowiązkiem jest zabrać go z sobą na Wyspę Lincolna!

Było to ich powinnością jako ludzi cywilizowanych i chrześcijan. Wszyscy trzej to zrozumieli i byli pewni, że Cyrus Smith pochwali ich postępek.

— Czy zostawimy mu więzy? — zapytał marynarz.

— Może pójdzie dobrowolnie, gdy rozwiążemy mu nogi? — rzekł Harbert.

— Spróbujmy — odparł Penkroff.

Zdjęto więc pęta z nóg więźnia, lecz ręce pozostawiono mocno związane. Wstał dobrowolnie i nie okazywał żadnej chęci do ucieczki. Jego wzrok rzucał ostre spojrzenia na tych trzech ludzi, idących obok niego i niczym nie zdradzał, że przypomina sobie, iż jest lub był kiedyś do nich podobny.

Za radą reportera przyprowadzono nieszczęśliwca do domu, który zajmował. Może widok przedmiotów należących do niego wywoła jakieś wspomnienia?

Do chaty było niedaleko; lecz po przybyciu do niej więzień nie poznał niczego, zdawało się, że utracił świadomość wszystkiego, co go otaczało. Nasuwało się przypuszczenie, że jego pobyt na tej wysepce trwał już bardzo długo i że przez odosobnienie od świata doszedł do takiego stanu.

Reporter chciał jeszcze sprawdzić, czy może widok ognia zwróci jego uwagę, lecz płomień tylko początkowo zainteresował dzikiego, który po chwili odsunął się od ogniska obojętnie.

Nie pozostawało w tej chwili nic innego, jak tylko odprowadzić go na pokład „Bonawentury”, co też uczyniono, powierzając go straży Penkroffa.

Tymczasem Harbert i Gedeon Spilett wrócili na wysepkę po różne rzeczy i w kilka godzin później powrócili na brzeg, przynosząc narzędzia, broń, zbiór nasion warzywnych, kilka sztuk zwierzyny i dwie paty świń. Załadowano to wszystko na statek i „Bonawentura” czekał już tylko na przyływ, by podnieść kotwicę.

Więźnia umieszczono w przedniej kajucie, gdzie zachowywał się spokojnie i cicho. Penkroff dał mu jeść, lecz dzikus nie chciał tknąć gotowanego mięsa, które mu podano; widocznie odwykł już od niego. Faktycznie, kiedy Penkroff pokazał mu dziką kaczkę, którą zastrzelił Harbert, rzucił się na nią ze zwierzęcą zachłannością.

— Sądzi pan, że jeszcze kiedyś przyjdzie do siebie? — zapytał Penkroff, podając z powątpiewaniem głowę.

— Mam nadzieję — odparł reporter. — Może nasze starania podziałają niego; przecież to samotność doprowadziła go do tego stanu, a od tej chwili przestanie być samotny!

— Ile może mieć lat? — zapytał Harbert.

— Trudno to osądzić — odparł reporter — nie można bowiem rozpoznać rysów twarzy pod gęstym zarostem, który ją pokrywa; lecz młody już nie je sędzę, że liczy co najmniej pięćdziesiąt lat.

— Zauważył pan, panie Spilett, jak głęboko ma osadzone oczy? — Harbert.

— Zauważyłem, Harbercie; mimo to powtarzam, że oczy jego mają wyraz bardziej ludzki, niż można by sądzić po jego powierzchowności.

— Zobaczmy — odparł Penkroff. — Bardzo jestem ciekawy, co powie Cyrus o naszym dzikusie. Popłynęliśmy po człowieka, a przywieziemy potwora! Ha, każdy robi, co może!

Minęła noc. Następnego dnia, 15 października, o wschodzie słońca nastąpiła przewidywana przez Penkroffa zmiana pogody. Wiatr nadszedł od strony północno-zachodniej, pomyślnej dla „Bonawentury”, lecz jednocześnie stał i ostrzejszy, co mogło utrudnić żeglugę.

O piątej rano podniesiono kotwicę i Penkroff skierował statek w stronę północno-wschodnią, sterując wprost na Wyspę Lincoln.

Pierwszy dzień żeglugi upłynął bez żadnego ważniejszego zdarzenia. Więzień siedział spokojnie w przedniej kajucie, a ponieważ dawniej był marynarzem, kołysanie fal zdawało się wpływać na niego korzystnie.

Nazajutrz, 16 października, wiatr stał się ostrzejszy i wykręcił bardziej na północ, a tym samym w kierunku mniej pomyślnym dla „Bonawentury”. Penkroff nie spuszczał steru z oka i

choć nic nie mówił, czuł się mocno zaniepokojony tym stanem morza, gdyż fale uderzały gwałtownie o dziób okrętu.

Marynarz zdawał sobie sprawę, że jeżeli wiatr się nie zmieni, to nie zdołają dopłynąć na Wyspę Lincoln w oznaczonym czasie.

17 października rano minęło czterdzieści osiem godzin od wypłynięcia „Bonawentury”, a jeszcze nic nie wskazywało, że znajdują się w pobliżu Wyspy Lincoln. W dwadzieścia cztery godziny później dalej nie było widać śladu ziemi. Wicher dał z całej siły, a morze było burzliwe. 18 października fale, morskie zalały nawet pokład „Bonawentury” i gdyby pasażerowie przedtem nie poprzywiązywali się przez ostrożność do pokładu, porwałyby ich ze sobą.

Penkroff z towarzyszami otrzymali w tym ciężkim położeniu niespodziewaną pomoc ze strony więźnia, który wybiegł nagle na pokład i kilka potężnymi ciosami siekiery rozbił deski burty, aby woda zalewająca pokład mogła spływać prędzej. Później, nie powiedziawszy ani słowa, powrócił kajuty.

Penkroff, Gedeon Spilett i Harbert, osłupiawszy ze zdziwienia, nie sprzeciwiali się mu.

Tymczasem położenie stawało się coraz groźniejsze. Marynarz doszedł do wniosku, że zabłądzili na tym ogromnym obszarze, bez możliwości znalezienia prawidłowego kierunku!

Noc z 18 na 19 października była ciemna i chłodna. Jednak około jedenastej wiatr trochę przycichł, morze się uspokoiło i „Bonawentura”, mniej miotany falami, nabrał szybkości.

Żaden z podróżników nie zmrużył oka przez całą noc. Czuwali wszyscy, gdyż albo Wyspa Lincoln była niedaleko, o czym o świcie można się było przekonać, albo też „Bonawentura”, porwany prądami morskimi, zboczył z drogi, a w takim razie niemożliwe byłoby skorygowanie jego kursu.

Penkroff nie rozpacział jednak i nie tracił nadziei; siedząc za sterem usiłował przeniknąć wzrokiem otaczające go ciemności. Około drugiej nad ranem zerwał się nagle i zawołał:

— Ogień! Ogień!

I naprawdę ukazało się jasne światło w kierunku północno-wschodnim. Była to Wyspa Lincoln, a ogień, zapalony przez Cyrusa Smitha, wskazywał im drogę.

Penkroff, który przekonał się wtedy, że statek zboczył na pomoc, skorygował kierunek i płynął prosto na to światło, jaśniejące ponad widnokregiem jak gwiazda.

ROZDZIAŁ XV

Powrót. — Rozmowa. — Cyrus Smith i nieznajomy. — Przystań Balonowa. — Starania inżyniera. — 'Wzruszające doświadczenie. — Kilka łez.

Nazajutrz, 20 października, o siódmej rano, po czterodniowej żegludze, „Bonawentura” osiadł lekko na piasku przy ujściu Rzeki Miłosierdzia.

Cyrus Smith z Nabem, mocno zaniepokojeni burzą i tym, że ich towarzysze nie wracali tak długo, wyszli o świcie na szczyt Wielkiego Płaskowyżu i stamtąd ujrzeli tak długo oczekiwany statek.

— Chwała Bogu! To oni! — zawołał Cyrus Smith.

Inżynier policzył osoby na pokładzie „Bonawentury” i stwierdził, że albo Penkroff nie znalazł rozbitka, albo rozbitek nie chciał zamieniać jednego więzienia na inne.

Gdy statek przybijał do brzegu, inżynier i Nab już tam byli i zanim pasażerowie wyskoczyli na piasek, Cyrus Smith stwierdził:

— Bardzo się o was martwiliśmy! Przytrafiło się wam jakieś nieszczęście?

— Nie — odparł Gedeon Spilett — przeciwnie, wszystko powiodło się doskonale. Opowiemy ci to zaraz.

— Chyba jednak nie aż tak doskonale — rzekł Cyrus Smith — skoro wracacie we trzech, jak wypływaliście?

— Za pozwoleniem, panie Cyrusie — odparł marynarz. — Jest nas tu czterech!

— Więc znaleźliście rozbitka?

— Znaleźliśmy.

— I przywieźliście go?

— Przywieźliśmy.

— Żywego?

— Żywego.

— Gdzie jest? Kim on jest?

— Jest to, albo raczej był to człowiek! — odparł reporter. — Więcej nie możemy ci o nim powiedzieć, Cyrusie.

I opowiedział dokładnie inżynierowi o poszukiwaniach na wyspie Tabor i odnalezieniu tego człowieka, który teraz był podobny raczej do zwierzęcia niż do ludzkiej istoty.

— I dotąd nie wiem — dodał Penkroff — czy dobrze zrobiliśmy, że go tu ze sobą przywieźliśmy.

— Oczywiście, że dobrze zrobiliście, Penkroffie! — odparł żywo inżynier.

— Ale ten nieszczęśnik jest całkiem pozbawiony rozumu!

— Być może — odparł Cyrus Smith. — Ale kilka miesięcy temu był człowiekiem takim jak ja lub ty. I kto wie, co by się z każdym z nas stało, gdyby dłuższy czas przeżył samotnie na tej wyspie.

— Lecz dlaczego pan twierdzi, panie Cyrusie — zapytał Harbert — że ten stan nie trwa dłużej, niż kilka miesięcy?

— Z tego, że dokument, który znaleźliśmy, był świeżo napisany — odparł inżynier — i że tylko rozbitek mógł go napisać.

Harbert opowiedział w kilku słowach o przebiegu żeglugi, podkreślając dziwny fakt chwilowego oprzytomnienia więźnia, gdy na moment, podczas najgroźniejszej burzy, przypomniał sobie, że jest marynarzem.

— Masz słuszość, Harbercie, przywiązując do tego faktu tak wielką wagę — odparł inżynier.
— Ten nieszczęśnik może jeszcze wyzdrowieć, to rozpacz wtrąciła go w taki stan. Tutaj znajdzie ludzi mu życzliwych, a ponieważ ma jeszcze duszę, więc tę duszę ocalimy!

Wtedy wydobyto mieszkańca wyspy Tabor z przedniej kajuty. Inżynier okazywał mu wielką litość, a Nab wielkie zdumienie. Nieszczęśnik, skoro tylko dotknął stopą ziemi, okazał natychmiast chęć ucieczki. Lecz Cyrus Smith, zbliżywszy się do niego, położył mu rękę na ramieniu i patrzył na niego z czułością. Rozbitek, jak gdyby ulegając nieprzepartej sile, uspokoił się z wolna, spuścił w dół oczy, pochylił czoło i nie stawiał więcej żadnego oporu.

— Biedny samotnik! — szepnęła inżynier.

Cyrus Smith przypatrywał mu się uważnie. Na pozór ta nieszczęśliwa istota nie miała w sobie nic ludzkiego, lecz Cyrus Smith, tak jak poprzednio reporter, odkrył w jego wzroku przelotny błysk rozumu.

Koloniści postanowili, że nieznajomy będzie z nimi mieszkał w Granitowym Pałacu, skąd nie ucieknie. Poszedł bez oporu; przy ciągłej opiece i staraniu, można było mieć nadzieję, że kiedyś osadnikom Wyspy Lincoln przybędzie w jego osobie nowy towarzysz.

Cyrus Smith podczas śniadania, które Nab czym prędzej przygotował, kazał sobie opowiedzieć ze wszystkimi szczegółami wyprawę i pobyt na wyspie Tabor. Zgodził się zupełnie z przyjaciółmi, że nieznajomy musiał być z pochodzenia Anglikiem lub Amerykaninem; myśl tę nasuwała nazwa okrętu „Britannia”; prócz tego zdawało się inżynierowi, że spod zarostu i długich włosów przebijają charakterystyczne rysy Anglosasów.

— Lecz wracając do rzeczy — rzekł Gedeon Spilett do Harberta — nie opowiedziałeś nam jeszcze dotąd, jakim sposobem spotkałeś się z tym dzikim człowiekiem. Na razie wiemy tylko, że pewnie by cię udusił, gdyby się nam nie udało przybiec ci na czas z pomocą.

— Właściwie trudno mi opowiedzieć, jak się to stało — odparł Harbert. — Zbierałem właśnie nasiona, gdy nagle usłyszałem jakby łoskot lawiny spadającej z wysokiego drzewa. Zaledwie miałem czas odwrócić się... Ten nieszczęśnik, który zapewne siedział ukryty na drzewie, rzucił się na mnie. Wszystko to razem nie trwało tak długo, jak tu opowiadam i gdyby nie pan Spilett i Penkroff...

— Moje dziecko! — rzekł Cyrus Smith. — Byłeś istotnie w niebezpieczeństwie; lecz gdyby nie to, może ten człowiek ukrywałby się przed wami i nie mielibyśmy jednego towarzysza więcej?

— Więc masz nadzieję, Cyrusie, że on odzyska rozum? — zapytał reporter.

— Mam — odparł inżynier.

Po śniadaniu Cyrus Smith z towarzyszami powrócili na brzeg morza. Tu przystąpiono do wyciągania z okrętu przywiezionych przedmiotów. Inżynier Przejrzał dokładnie całą broń i narzędzia, nie znalazł jednak najmniejszej wskazówki co do osoby nieznajomego.

Gdy wyładowywano okręt, Penkroff stwierdził:

— Sądzę, panie Cyrusie, że powinniśmy umieścić „Bonawenturę” w bezpiecznym miejscu.

— Przecież jest mu dobrze przy ujściu Rzeki Miłosierdzia! — powiedział Cyrus Smith.

— Wcale nie, panie Cyrusie — odparł marynarz. — Połowę czasu stoi na piasku i to nie wpływa na niego korzystnie. A to dobry statek i dzielnie się trzymał podczas burzy, która nas dopadła na morzu.

— Więc gdzie go chcesz umieścić, Penkroffie?

— W Przystani Balonowej — odparł marynarz. — To mała przystań, ze wszystkich stron zasłonięta skałami i wydaje się jakby stworzona dla niego.

— Dobrze więc, Penkroffie; odprowadź „Bonawenturę” na jego miejsce — odparł inżynier — chociaż ja wolałbym go mieć bliżej pod ręką.

Harbert z marynarzem wsiedli więc znów na „Bonawenturę”, podnieśli kotwicę, rozpięli żagiel i pędzeni wiatrem pomknęli szybko w stronę Przylądka Ostrego Szpona. W dwie godziny później okręt zacumowano na spokojnych wodach Przystani Balonowej.

Koloniści bacznie obserwowali nieznanego. Z początku, przyzwyczajony do nieograniczonej swobody na wyspie Tabor, miotał się gniewnie w swym pokoju, tak że obawiano się, by nie wyskoczył przez okno Granitowego Pałacu. Z wolna jednak uspokajał się coraz bardziej i można mu było pozwolić swobodnie się poruszać.

Była więc nadzieja i to niemała. Zaczął także używać mniej zwierzęcych pokarmów, a mięso gotowane nie budziło w nim już wstrętu.

Cyrus Smith, wykorzystując chwilę, kiedy nieznanomy spał, ostrzygł mu włosy i gęsty zarost na twarzy. Zdjął z niego także szmatę, którą się opasywał i ubrał go przyzwoicie. Dzięki tym staraniom, nieznanomy odzyskał z powrotem twarz ludzką i zdawało się nawet, że jego wzrok złagodniał. Widoczne było, że twarz tego człowieka, gdy ją ożywiał promień inteligencji, musiała być nawet piękna.

Cyrus Smith postanowił spędzać codziennie kilka godzin w jego towarzystwie. Pracował przy nim i zajmował się różnymi rzeczami w ten sposób, aby zwrócić jego uwagę. Przecież jeden błysk mózgu wystarczył, aby rozpałcić na nowo tę duszę, jedno wspomnienie, aby wskrzesić rozum w jego umyśle.

Inżynier rozmawiał głośno z towarzyszami, aby oddziaływać na niego wzrokiem i słuchem; liczył bowiem, że jeden impuls może przywrócić do życia ten odrętwiały umysł. Najczęściej rozmawiali o rzeczach dotyczących żeglarstwa, które bardziej niż inne musiały go obchodzić. Chwilami zdawało się, że nieznanomy zwracał uwagę na to, co mówiono i wkrótce koloniści zaczęli mieć nadzieję, że ich częściowo rozumie. Czasami nawet jego twarz przybierała wyraz niezmiernie bolesny, co świadczyło o wewnętrznym cierpieniu; mimo to milczał ciągle, chociaż kilka razy zdawało się, że z jego ust wymknęło się kilka słów.

Najwyraźniej inżynier wywierał na nieznanego duży wpływ i cieszył się jego zaufaniem; Cyrus Smith postanowił zatem podjąć próbę i przenieść go w inne miejsce, pokazując mu morze i lasy, które znał kiedyś tak dobrze.

— Lecz czy możemy być pewni — spytał Gedeon Spilett — że wypuszczony na wolność nie ucieknie nam?

— Jest to próba, którą trzeba podjąć — odparł inżynier.

Tego dnia, a było to 30 października, upłynęło właśnie dziewięć dni, odkąd rozbitek z wyspy Tabor przebywał w Granitowym Pałacu. Na dworze panował upał i słońce rzucało na ziemię jaskrawe promienie.

Cyrus Smith z Penkroffem udali się do izby zamieszkaanej przez nieznanego i zastali go leżącego przy oknie i patrzącego w niebo.

— Chodź, przyjacielu — rzekł do niego inżynier.

Nieznanomy powstał natychmiast z ziemi. Popatrzył na Cyrusa Smitha i poszedł za nim, podczas gdy marynarz, który niewiele obiecywał sobie po tej całej próbie, krok w krok postępował za nimi. Kiedy tylko znaleźli się na dole, odstąpili trochę od nieznanego, by dać mu poczucie swobody. Nieznanomy postąpił kilka kroków naprzód, w stronę morza i oczy jego zapłonęły nagle żywym blaskiem, lecz nie próbował wcale ucieczki. Patrzył tylko na fale morskie.

— To tylko morze — zauważył Gedeon Spilett. — Łatwo przypuścić, że nie budzi w nim chęci ucieczki!

— Tak jest — odparł Cyrus Smith. — Trzeba go zaprowadzić na brzeg lasu. Zaprowadzono go teraz w stronę ujścia Rzeki Miłosierdzia i lewym brzegiem rzeki weszli wszyscy na Wielki Płaskowyż.

Gdy doszli do miejsca, gdzie zaczynały się pierwsze wspaniałe drzewa boru, nieznajomy zdawał się wdychać chciwie ten przejmujący zapach rozlany w powietrzu i głębokie westchnienie wydarło się z jego piersi. Osadnicy stali z tyłu, gotowi zatrzymać go przy pierwszej próbie ucieczki. W pewnym momencie mieli wrażenie, że rozbitek z wyspy Tabor chce się rzucić do strumienia oddzielającego ich od lasu, lecz w tej samej prawie chwili cofnął się z powrotem, uklęknął i duża łza spłynęła mu po twarzy.

— A! Płaczesz! — zawołał Cyrus Smith. — Więc jesteś znowu człowiekiem!

ROZDZIAŁ XVI

Niewyjaśniona tajemnica. — Pierwsze słowa nieznajomego. — Dwanaście lat na wysepce. — Wyznanie. — Ucieczka. — Ufność Cyrusa Smitha. — Budowa młyna. — Pierwszy bochenek chleba. — Akt poświęcenia. — Uczciwe ręce.

Tak, ten nieszczęśliwy płakał! Zapewne jakieś wspomnienie przemknęło przez jego umysł i, według słów Cyrusa Smitha, łązy przemieniły go na nowo w człowieka.

Osadnicy pozostawili go samego na płaskowyżu, oddalili się nawet trochę, tak by się poczuł wolnym; lecz on nie myślał wcale korzystać ze swej wolności i Cyrus Smith uznał wkrótce za właściwe, by odprowadzić go do Granitowego Pałacu.

Dwa dni po tym wydarzeniu nieznajomy zaczął powoli brać udział we wspólnym życiu. Widoczne było, że słyszał i rozumiał wszystko, lecz dalej z dziwnym uporem nie chciał rozmawiać z osadnikami; pewnego wieczoru bowiem Penkroff, przyłożywszy ucho do drzwi jego izby, usłyszał następujące słowa:

— Nie! Ja tutaj? Przenigdy!

Marynarz powtórzył te słowa towarzyszom.

— Jest w tym jakaś bolesna tajemnica! — rzekł Cyrus Smith.

Nieznajomy zaczął z własnej woli pracować w ogrodzie. Często się zdarzało, że przerywając pracę stał skupiony i zatopiony w myślach. Inżynier jednak polecił szanować samotność, której nieszczęśnik zdawał się pragnąć. Gdy któryś z osadników zbliżył się do niego, usuwał się na bok i bolesne łkanie wydobywało się z jego piersi.

Czy to wyrzuty sumienia tak go przygnębiały? Przypuszczenie to nasuwało się mimowolnie i Gedeon Spilett pewnego dnia, nie mogąc się powstrzymać, rzekł:

— Wydaje mi się, że skoro do nas nie mówi, to dlatego, że miałby zbyt dużo do powiedzenia!

Nie pozostawało nic innego jak czekać cierpliwie.

W kilka dni później, było to 3 listopada, nieznajomy, pracując na płaskowyżu, zatrzymał się nagle, wypuścił z rąk rydel i Cyrus Smith, który stojąc niedaleko patrzył na niego, ujrzał po raz kolejny łązy w jego oczach. Zdjęty litością podszedł do niego, dotknął lekko jego ramienia i rzeki:

— Przyjacielu mój!

Nieznajomy usiłował uniknąć wzroku inżyniera, a gdy Cyrus Smith chciał go wziąć za rękę, odskoczył gwałtownie.

— Mój przyjacielu — rzekł bardziej stanowczym głosem Cyrus Smith — chcę, abyś patrzył mi w oczy!

Nieznajomy podniósł wzrok na inżyniera i zdawał się pozostawać pod jego wpływem jak zahipnotyzowany urokiem magnetyzera. Chciał uciekać. Lecz wtedy jego twarz dziwnie się zmieniła. Wzrok miotał błyskawice. Słowa tłoczyły mu się do ust. Nie mógł się dłużej powstrzymać!... Wreszcie, skrzyżowawszy ręce na piersiach, przytłumionym głosem odezwał się do Cyrusa Smitha:

— Kim jesteście?

— Rozbitkami, tak jak ty — odparł inżynier, głęboko wzruszony. — Przywieźliśmy cię tutaj między twoich bliźnich.

— Moich bliźnich!... Nie mam żadnych bliźnich!

— Znajdujesz się między przyjaciółmi...

— Przyjaciółmi!... Moimi przyjaciółmi! — zawołał nieznajomy, kryjąc twarz w dłoniach — Nie... przenigdy... puście mnie! Puście!

Po tych słowach uciekł w stronę morza i tam stał długo nieruchomy. Cyrus Smith udał się do swoich towarzyszy i opowiedział im, co się stało.

— Jest jakaś tajemnica w życiu tego człowieka — stwierdził Gedeon Spilett — i zdaje się, że jeżeli powrócił do człowieczeństwa, to drogą przez wyrzuty sumienia...

— Bóg wie, co za człowieka przywieźliśmy — rzekł marynarz.

— Jego tajemnicę będziemy musieli szanować — przerwał mu żywo Cyrus Smith. — Jeśli popełnił jakiś błąd, odpokutował go srogo i w naszych oczach jest rozgrzeszony.

Przez dwie godziny nieznajomy pozostawał samotnie nad brzegiem morza, widocznie pod wpływem bolesnych wspomnień z przeszłości — a koloniści, nie spuszczać go z oczu, nie przerywali mu tej samotności. Następnie zbliżył się do Cyrusa Smitha. Oczy miał zaczerwienione od łez, lecz już nie płakał. Na jego twarzy malował się wyraz głębokiej pokory. Zdawał się lękać, wstydić, korzyć i oczy miał nieustannie spuszczone ku ziemi.

— Panie — rzekł do Cyrusa. — Czy pan i pańscy towarzysze jesteście Anglikami?

— Nie — odparł inżynier. — Jesteśmy Amerykanami.

— Ach, to lepiej! — szepnął nieznajomy.

— A ty, przyjacielu? — zapytał inżynier.

— Jestem Anglikiem — odparł spieszenie.

I jak gdyby tych kilka słów sprawiło mu ogromną trudność, oddalił się i długo chodził nad brzegiem morza w stanie najwyższego wzruszenia. Po czym, mijając Harberta, zatrzymał się na chwilę i przytłumionym głosem zapytał:

— Który to miesiąc?

— Grudzień — odparł Harbert.

— A rok?

— 1866.

— Dwanaście lat! Dwanaście lat! — zawołał i odszedł pospiesznie. Harbert powtórzył to towarzyszom.

— Ten człowiek musiał stracić rachubę miesięcy i lat! — zauważył Gedeon Spilett.

— Mnie się zdaje — odezwał się Penkroff — że ten człowiek nie z powodu rozbicia okrętu dostał się na wyspę Tabor, lecz że go tam osadzono za jakąś zbrodnię...

— Możliwe, że masz słuszość, Penkroffie — odparł reporter. — Lecz jeśli tak jest, wtedy ci, którzy go zostawili na wyspie, mogą pewnego dnia po niego powrócić!

— I nie znajdą go — rzekł Harbett.

— Ale w takim razie — ciągnął dalej Penkroff — wypadaloby tam powrócić, i...

— Moi przyjaciele — rzekł Cyrus Smith. — Dajmy spokój tej kwestii, dopóki nie będziemy wiedzieli czegoś pewnego. Ja sądzę, że ten nieszczęśliwy wiele wycierpiał, że ciężko odpokutował za swe winy, jakiegokolwiek one były i że chęć wyznania się i opowiedzenia nam wszystkiego pali mu piersi. Nie naciskajmy na niego. Sam postanowi, kiedy opowiedzieć nam swoją historię, a my będziemy wiedzieli, jak wtedy postąpić.

— Dlaczego? — zapytał reporter.

— Dlatego, że gdyby był pewny, że po jakimś określonym czasie odzyska wolność, nie wrzuciłby do morza tego dokumentu. Nie, prawdopodobne jest raczej, że był skazany na dożywotnie wygnanie na tę wysepkę i że nigdy już nie miał ujrzeć swoich rodaków!

— Jednak jest w tym coś, czego nie umiem sobie wytłumaczyć — zauważył marynarz.

— Co takiego?

— Jeżeli ten człowiek już od dwunastu lat przebywał na wyspie Tabor, to można śmiało przypuścić, że od kilku lat znajduje się w tym stanie zdziczenia, w jakim go znaleźliśmy!

— Być może — odparł Cyrus Smith.

— A w takim razie musiałby ten dokument napisać już kilka lat temu!

— Bez wątplenia... a jednak dokument wydaje się świeżo napisany!...

— Zresztą to niemożliwe, aby butelka zawierająca ów dokument, płynęła kilka lat z wyspy Tabor do Wyspy Lincoln.

— Zupełnie niemożliwe to nie jest — odparł reporter. — Mogła już od dawna krążyć w pobliżu wyspy.

— Nie — odparł Penkroff — bo ciągle unosiła się na wodzie. Nie można także sądzić, że po wyrzuceniu na brzeg morze uniosło ją powtórnie, całe bowiem wybrzeże południowe najeżone jest skałami, o które na pewno by się roztrzaskała.

— Oprócz tego — dodał marynarz — gdyby dokument ten już kilka lat był zamknięty w butelce i unosił się na wodzie, zbutwiałyby od wilgoci. A przecież nie był zbutwiały, wręcz przeciwnie, znajdował się w zupełnie dobrym stanie.

— Jest w tym, powtarzam raz jeszcze, coś tajemniczego — rzekł inżynier — lecz nie zmuszajmy naszego nowego towarzysza do zwierzeń. Gdy sam zechce mówić, wtedy będziemy gotowi go wysłuchać!

Przez kilka następnych dni nieznajomy nie wyrzekł ani jednego słowa i nie wyszedł ani razu poza obręb ogrodu warzywnego. Pracował nieustannie, bez chwili odpoczynku, lecz zawsze sam, na uboczu. Nie wracał na posiłki ani na noclegi do Granitowego Pałacu. Żył więc całkiem tak samo, jak na wyspie Tabor, gdy lasy były jego jedynym schronieniem i wszelkie nalegania, aby zmienił tryb życia, były daremne; koloniści jednak czekali cierpliwie. Lecz wreszcie nadeszła chwila, gdy pod naciskiem sumienia, mimowolnie prawie, wydarło mu się z ust straszne wyznanie.

10 listopada, około ósmej wieczorem, nieznajomy stanął niespodziewanie przed osadnikami zgromadzonymi na werandzie. Wzrok jego pałał dziwnym ogniem, a cała postać przybrała z powrotem ów wyraz dzikości z dawnych, złych czasów.

Cyrus Smith i jego towarzysze z przerażeniem patrzyli, jak pod wpływem wielkiego wzruszenia jego zęby szczękają jak w febrze. Co mu się stało? Czy widok ludzi był dla niego tak nieznośny? Czy znowu opętały go dawniejsze przyzwyczajenia? — Tak można było sądzić, słysząc z jego ust te urywane, pozbawione związku słowa:

— Dlaczego ja tu jestem?... Jakim prawem porwaliście mnie z mej wysepki?... Czy może istnieć jakaś więź między mną a wami?... Czy wiecie kim jestem... co uczyniłem... dlaczego byłem tam... sam jeden? A kto wam powiedział, czy mnie tam nie porzucono umyślnie... czy nie byłem skazany na to, aby tam zginąć?... Czy znacie moją przeszłość?... Skąd wiecie czy nie kradłem, nie mordowałem... czy nie jestem nędznikiem... istotą przeklętą na wieki... godną żyć między dzikimi zwierzętami... z dala od całego świata... mówcie... czy wiecie?...

Osadnicy słuchali, nie przerywając tych wyznań, które mimowolnie niejako cisnęły mu się na usta. Cyrus Smith chciał go wtedy uspokoić i podszedł do niego, ale on żywo odskoczył i zawołał:

— Nie, nie! Jedno słowo tylko... Czy jestem wolny?

— Jesteś wolny — odparł inżynier.

— Więc żegnam was! — zawołał i wybiegł jak szalony.

Nab, Penkroff i Harbert pobiegli natychmiast w stronę lasu, lecz powrócili sami.

— Trzeba mu pozwolić robić, co zechce! — rzekł Cyrus Smith.

— On już nie wróci nigdy... — zawołał Penkroff.

— Powróci — odparł inżynier.

I odtąd upłynęło wiele dni, lecz Cyrus Smith trwał niezachwianie w przekonaniu, że nieszczęśnik prędzej lub później powróci.

— To ostatni bunt tej nieokrzesej natury, którą napadły wyrzuty sumienia; ponowna samotność przejęłaby go strachem i przerażeniem — twierdził inżynier.

Tymczasem wszystkie prace toczyły się zwykłym trybem. Nasiona, zebrane przez Harberta na wyspie Tabor, zostały troskliwie zasadzone; tym sposobem znacznie powiększony ogród warzywny, porządnie ogrodzony i utrzymany, wymagał sporo pracy. W miarę jak wzrastała ilość roślin warzywnych, trzeba było rozszerzać grządki i przenosić łąki w inne miejsca. 15 listopada rozpoczęto trzecie żniwo. Przez osiemnaście miesięcy, od chwili gdy zasadzono pierwsze ziarno, obszar pola znacznie się powiększył. Powtórny siew przyniósł pięćset korców zboża i trzeba było koniecznie postawić młyn, by zmielić je na mąkę. Cyrus Smith chciał początkowo zbudować młyn wodny; po krótkiej naradzie postanowiono jednak, aby na Wielkim Płaskowyżu postawić zwyczajny wiatrak.

Przystąpiono więc zaraz do pracy i wybrano potrzebny budulec, tak na zewnętrzną klatkę młyńską, jak i jego wnętrze. Kilka dużych głazów, znalezionych na północnym brzegu jeziora, dało się łatwo zamienić na kamienie młyńskie, a jeśli chodzi o skrzydła, to potrzebnego płótna dostarczyła niewyczerpana powłoka balonowa.

Wszyscy członkowie osady pracowali nad budową młyńską i 1 grudnia był już gotowy.

Koloniści chcieli jak najprędzej skosztować prawdziwego chleba, więc jeszcze tego samego dnia zmielili pierwszy korzec zboża i nazajutrz na śniadanie pojawił się na stole w Granitowym Pałacu wspianały bochen chleba, może trochę zanadto ciężki i zbity, ale smakujący wszystkim.

Tymczasem nieznajomy nie wracał. Kilkakrotnie Gedeon Spilett z Harbertem przemierzali okolice odległe od Granitowego Pałacu lecz ani jego samego, ani jego śladów nie spotkali nigdzie. To długie ukrywanie się bardzo ich niepokoiło. Zapewne dziki mieszkaniec wyspy Tabor mógł z łatwością wyżywić się w obfitującym w zwierzynę borze, lecz czy nie należało się obawiać, że znów powróci do dawnych obyczajów, i że to wolne, koczownicze życie wzbudzi w nim na nowo dzikie instynkty? Cyrus Smith, wiedziony zapewne jakimś wewnętrznym przecuciem, trwał ciągle w przekonaniu, że zbieg powróci dobrowolnie. Wypadki dowiodły, że miał rację.

3 grudnia Harbert opuścił Wielki Płaskowyż i udał się na południowy brzeg jeziora na połów ryb. Nie wziął ze sobą broni, ponieważ dotychczas drapieżne zwierzęta nie pojawiały się wcale po tej stronie wyspy.

Penkroff z Nabem krzżeli się właśnie na podwórku, a Cyrus Smith z reporterem zajęci byli produkcją sody, gdyż zaczęło brakować mydła, gdy nagle odezwał się krzyk:

— Na pomoc! Ratunku!

Wszyscy natychmiast pobiegli, ale uprzedził ich nieznajomy, którego obecności nikt się nie mógł spodziewać w tym miejscu. Przebył wąwóz Potok Glicerynowy, oddzielający płaskowyż od lasu i wyskoczył na przeciwny brzeg. Tam Harbert stał oko w oko z olbrzymim jaguarem, podobnym do tego, który został zabity na Jaszczurzym Cyplu. Zaskoczony Harbert próbował ukryć się za drzewem, podczas gdy zwierzę, przysiadłszy na ziemi, już gotował się do skoku... Lecz w tej chwili nieznajomy, nie mając innej broni prócz noża, rzucił się na drapieżnika, który natychmiast zaatakował nowego napastnika.

Walka trwała krótko. Nieznajomy posiadał niezwykłą siłę i zręczność. Chwycił jaguara za gardło jakby kleszczami i nie troszcząc się wcale o to, że zwierzę zatapiał mu w ciało pazury, pchnął go nożem w samo serce.

Jaguar padł. Nieznajomy odepchnął go nogą i chciał uciekać w chwili, gdy koloniści dotarli na pole walki, lecz Harbert, tuląc się do niego, zawołał:

— Nie! Nie! Pan tak nie odejdzie!

Cyrus Smith przystąpił do nieznajomego, który zmarszczył brwi na jego widok. Krew mu ciekła z ramienia spod potarganej odzieży, lecz on nie zważał na to.

— Przyjacielu — rzekł do niego Cyrus Smith. — Mamy wobec ciebie dług wdzięczności. Żeby ocalić życie naszego dziecka, naraziłeś swoje własne!

— Moje życie! — szepnął nieznajomy. — Co ono jest warte? Mniej niż nic!

— Jesteś ranny?

— Mniejsza z tym.

— Czy mogę uścisnąć rękę, która uratowała mi życie? — poprosił Harbert. Nieznajomy skrzyżował obie ręce, z piersi wydarło mu się westchnienie, oczy zaszkły łzami, zdawało się, że chce uciekać, lecz przewyciężywszy się gwałtem, zapytał szorstkim głosem:

— Kim wy jesteście? I czym chcecie być dla mnie?

Cyrus Smith w kilku słowach opowiedział koleje ich losu od chwili, gdy opuścili Richmond oraz jakim sposobem zapewnili sobie tak dostatni byt.

Nieznajomy słuchał z napiętą uwagą, lecz gdy inżynier dodał, że największą radością, jakiej doznali od przybycia na Wyspę Lincoln, było spotkanie z nim, nieznajomy zarumienił się, opuścił głowę na piersi i z całej jego postaci przebijał wyraz wstydu i zmieszania.

— A teraz, skoro nas już znasz, chcesz podać nam rękę? — zapytał Cyrus Smith.

— Nie — odparł nieznajomy przytłumionym głosem. — Nie! Wy, wy jesteście uczciwymi ludźmi! A ja!...

ROZDZIAŁ XVII

Wciąż na uboczu. — Prośba nieznajomego. — Chata przy ogrodzie. — Przed dwunastu laty! — Bosman z „Britanii”. — Wygnaniec z wyspy Tabor. — Ręka Cyrusa Smitha. — Tajemniczy dokument.

Te ostatnie słowa nieznajomego potwierdziły przecucia osadników. W przeszłości nieszczęśnika musiała kryć się jakaś zbrodnia, odpokutowana może w oczach ludzkich, lecz z której nie rozgrzeszyło go jeszcze własne sumienie. Jakaż to tajemnica kryła się w jego życiu? Czy ją wyjawি kiedyś? Przyszłość miała to pokazać.

Wszystko wróciło do dawnego porządku. Nieznajomy pracował zawsze na uboczu i wrócił na nowo do swych dawnych zwyczajów: nie brał udziału we wspólnych posiłkach, sypiał pod drzewami na płaskowyżu, nie szukał nigdy ich towarzystwa.

10 grudnia, w tydzień po powrocie do Granitowego Pałacu, nieznajomy stanął nagle przed Cyrusem i rzekł do niego łagodnym i pokornym głosem:

— Panie, miałbym do pana prośbę.

— Mów, przyjacielu — odparł inżynier — lecz przedtem pozwól mi zadać ci jedno pytanie.

Na te słowa nieznajomy splonął rumieńcem i już chciał odejść. Cyrus Smith zrozumiał, co się działo w duszy winowajcy, który obawiał się zapewne pytania o przeszłość.

Cyrus Smith powstrzymał go ręką.

— Kolego — rzekł do niego — jesteśmy nie tylko twoimi towarzyszami, ale i przyjaciółmi. Chciałem ci to powiedzieć, a teraz słucham cię.

Nieznajomy otarł oczy ręką. Opanowało go drzenie i stał tak kilka chwil, nie mogąc wymówić słowa. Wreszcie powiedział:

— Panie, chcę prosić pana o jedną łaskę.

— Jaka?

— Cztery lub pięć mil stąd, u podnóża góry, macie panowie zagrodę przeznaczoną dla zwierząt domowych. Zwierzęta te potrzebują starania i opieki. Czy pozwoli mi pan mieszkać tam razem z nimi?

Cyrus Smith patrzył na nieznajomego kilka chwil z wyrazem najgłębszej litości, potem rzekł:

— Mój przyjacielu, w zagrodzie tej znajdują się tylko szopy, zaledwie dobre dla zwierząt...

— Będą dobre i dla mnie.

— Mój przyjacielu — ciągnął dalej Cyrus Smith — nie będziemy ci się nigdy w niczym sprzeciwiali. Chcesz mieszkać ze zwierzętami, dobrze. Zresztą będziesz zawsze mile widziany w Granitowym Pałacu. Lecz ponieważ chcesz mieszkać w zagrodzie, więc urządzimy tam dla ciebie odpowiednie mieszkanie.

— To niepotrzebne, mnie zawsze będzie dobrze.

— Mój przyjacielu — odparł Cyrus Smith, kładąc umyślnie nacisk na to serdeczne nazwanie — pozostaw nam decyzję, co w tej sytuacji mamy zrobić.

— Dziękuję ci, panie — odrzekł nieznajomy i odszedł.

Inżynier zawiadomił natychmiast towarzyszy o propozycji nieznajomego i postanowiono wybudować na terenie zagrody dom z drzewa.

Jeszcze tego samego dnia koloniści udali się do zagrody z niezbędnymi narzędziami i po tygodniu stanął dom, gotów na przyjęcie nowego gościa. Postawiono go w oddaleniu dwudziestu stóp od szopy, tak że łatwo było stamtąd czuwać nad trzodą muflonów, liczącą już wówczas

przeszło osiemdziesiąt sztuk. Wykonano trochę mebli: łóżko, stół, ławkę, szafę, kufer i przeniesiono do obory broń, amunicję i rozmaite narzędzia.

Nieznajomy nie przyszedł przez ten czas ani razu do swego nowego mieszkania i nie mieszał się wcale do pracy osadników, sam zajęty bez przerwy na płaskowyżu, chcąc najwyraźniej ukończyć swoją pracę. Rzeczywiście, dzięki niemu cały grunt był uprawiony i gotowy pod zasiew, na który zbliżał się czas.

20 grudnia ukończono prace w zagrodzie. Inżynier zawiadomił nieznajomego, że mieszkanie czeka na jego przyjęcie, a ten odparł, że przeniesie się tam wieczorem.

Tego wieczora koloniści zgromadzili się w wielkiej sali Granitowego Pałacu. Była właśnie ósma — godzina, w której nowy towarzysz miał ich opuścić. Nic chcąc mu się naprzykrzać i zmuszać swoją obecnością do pożegnania, które mogło być dla niego nieprzyjemne, zostawili go samego.

Rozmawiali już od kilku minut w wielkiej sali, gdy nagle rozległo się pukanie do drzwi. W tej samej prawie chwili wszedł do sali nieznajomy i bez wstępów rzekł:

— Moi panowie, zanim panów opuszczę, muszę wam opowiedzieć swoją historię.

Te proste słowa wywarły wielkie wrażenie na Cyrusie i jego towarzyszach. Inżynier powstał ze swego miejsca.

— Nie pytaliśmy cię o nic, mój przyjacielu — rzeki. — Masz więc prawo milczeć.

— Mam obowiązek mówić.

— Więc usiądź.

— Wolę stać.

— Słuchamy cię więc — odparł Cyrus Smith.

Nieznajomy stanął w kącie sali, w lekkim półcieniu. Głowę miał odkrytą, obie ręce skrzyżował na piersi i głosem przytłumionym, jakby się zmuszał do mówienia, rozpoczął następujące opowiadanie, którego żaden ze słuchaczy nie przerwał ani razu:

— „20 grudnia 1854 roku parowy jacht, jakich używają do przejażdżek spacerowych, o nazwie »Duncan«, własność pewnego szkockiego arystokraty, lorda Glenarvan, zarzucił kotwicę u Przylądka Bernouilli, na zachodnich wybrzeżach australijskich, na wysokości trzydziestego siódmego równoleżnika. Na statku tym znajdowali się: lord Glenarvan, jego żona, major armii angielskiej, geograf francuski i dwoje dzieci. Były to dzieci kapitana Granta, którego okręt »Britannia« rok wcześniej zatonął z całą załogą i z całym ładunkiem. »Duncan« pływał pod rozkazami kapitana nazwiskiem John Mangles i posiadał załogę złożoną z piętnastu ludzi.

Sześć miesięcy wcześniej »Duncan« wyłowił z Morza Irlandzkiego butelkę, zawierającą dokument spisany w języku angielskim, niemieckim i francuskim. Z dokumentu wynikało, że z rozbitego statku »Britannia« pozostało przy życiu jeszcze trzech ludzi, mianowicie sam kapitan Grant i dwóch członków załogi oraz że znaleźli schronienie na jakimś lądzie, którego stopień szerokości geograficznej podany był w dokumencie, a stopień długości, zamazany przez wodę morską, był zupełnie nieczytelny.

Stopień szerokości południowej wynosił 37°11' i płynąc wzdłuż tego równoleżnika przez morza i lądy, można było odszukać ziemię zamieszkaną przez kapitana Granta i jego dwóch towarzyszy.

Gdy admiralicja angielska ociągała się z podjęciem poszukiwań, lord Glenarvan postanowił za wszelką cenę odnaleźć kapitana; w podróży mieli uczestniczyć także Mary i Robert Grant. »Duncan« został dobrze przygotowany do dalekiej podróży i opuściwszy Glasgow, skierował się ku Atlantykowi, przepłynął Cieśninę Magellana i przez Ocean Spokojny dotarł aż do Patagonii, gdzie, według pierwotnego tłumaczenia dokumentu, kapitan Grant znajdował się w niewoli krajowców.

»Duncan« zostawił więc swoich pasażerów na zachodnich wybrzeżach Patagonii, a sam odpłynął, aby ich zabrać z powrotem ze wschodnich wybrzeży, na Przylądku Corrientes.

Lord Glenarvan przemierzył całą Patagonię wzdłuż trzydziestego siódmego równoleżnika i nie znalazłszy nigdzie śladu kapitana, wrócił na pokład jachtu 13 listopada, by prowadzić dalej swe poszukiwania na Oceanie.

Zwiedziwszy bezskutecznie wyspy Tristan d'Acunha i Amsterdam, położone po drodze, »Duncan«, jak to już wspominałem, przybył do Przylądka Bernouilli na wybrzeżu australijskim, dnia 20 grudnia 1854 roku.

Zamiarem lorda Glenarvan było przemierzyć wzdłuż całą Australię, tak jak przebył Patagonię i w tym celu wylądował. Kilka mil od brzegu stał folwark należący do pewnego Irlandczyka, który ofiarował podróżnym gościnne przyjęcie. Lord Glenarvan wyjawił mu powód, który go sprowadził w te strony i zapytał, czy trójmasztowiec angielski »Britannia« rozbił się przed dwoma laty przy zachodnim wybrzeżu Australii.

Irlandczyk nigdy nie słyszał o tym zdarzeniu; lecz ku wielkiemu zdumieniu wszystkich obecnych jeden ze służących Irlandczyka, wtrąciwszy się do rozmowy, powiedział:

— Milordzie, dziękuj Bogu i sław Jego imię! Jeśli kapitan Grant żyje jeszcze, to tylko na ziemi australijskiej.

— Któż ty jesteś? — zapytał lord Glenarvan.

— Szkot z rodu, tak jak i ty, milordzie — odparł ów człowiek — i jestem jednym z towarzyszy kapitana Granta, jednym z rozbitków »Britannii«.

Człowiek ten nazywał się Ayrton. Był on bosmanem na okręcie »Britannia«, jak o tym świadczyły jego dokumenty. Bosman sądził dotychczas, że kapitan Grant utonął wraz z całą załogą, i że tylko jemu jednemu z »Britannii« udało się ocalić życie.

— Tylko że okręt »Britannia« — dodał — nie rozbił się u wybrzeży zachodnich, lecz wschodnich Australii; i jeśli kapitan Grant jeszcze żyje, jak tego dowodzi dokument, pozostaje w niewoli u dzikich krajowców australijskich, i nie po tej, lecz po przeciwnej stronie należy go szukać.

Człowiek ten mówił głosem pełnym szczerości, a wzrok jego był pewny i wzbudzający ufność. Nie można było wątpić w prawdziwość jego słów. Irlandczyk, u którego służył od przeszło roku, ręczył za niego. Lord Glenarvan uwierzył w prawość tego człowieka i idąc za jego radą, postanowił przemierzyć całą Australię wzdłuż trzydziestego siódmego równoleżnika. Lord Glenarvan, jego żona, dwoje dzieci kapitana, major, Francuz, kapitan Mangles i kilku majtków mieli podróżować łądem pod przywództwem Ayrtona, podczas gdy »Duncan« pod komendą porucznika Toma Austina, odpłynąć miał do Melbourne, gdzie powinien czekać na dalsze rozkazy lorda Glenarvan. 23 grudnia 1854 roku wyruszono w drogę.

Czas teraz wyjawić, że Ayrton był zdrajcą. Służył on rzeczywiście na statku »Britannia«, lecz pokłóciwszy się ze swym kapitanem, usiłował skłonić załogę do buntu i gwałtem opanować okręt, za co kapitan Grant kazał wysadzić go na zachodnim wybrzeżu Australii i pozostawić własnemu losowi; była to kara słuszną i sprawiedliwą.

Tak więc nędznik nie wiedział nic o rozbięciu »Britannii«. Dowiedział się o nim dopiero z opowiadania lorda Glenarvan! Od czasu, gdy go pozostawiono na lądzie, został przywódcą zbiegłych skazańców pod nazwiskiem Ben Joyce i dlatego jedynie twierdził, że okręt rozbił się u wschodnich wybrzeży i nakłaniał lorda Glenarvan do udania się w tym kierunku, ponieważ miał nadzieję tym sposobem odciągnąć go od jachtu, opanować »Duncana« i zrobić z niego statek korsarski...”

Tu nieznamy zatrzymał się chwilę. Głos jego zadrżał, lecz ciągnął:

— „Wyprawa ruszyła wzdłuż ziemi australijskiej. Jak łatwo się domyślić, nie przyniosła oczekiwanych rezultatów, kierował nią bowiem Ayrton i dodać należy, że krok w krok szli za nią podwładni Bena Joyce’a, zbiegli zbrodniarze, gotowi przyjść mu w każdej chwili z pomocą.

Tymczasem »Duncana« wysłano do Melbourne, gdyż potrzebował naprawy. Chodziło teraz o to, ażeby skłonić lorda Glenarvan, do wydania dowodzącemu okrętem rozkazu opuszczenia Melbourne i udania się do wschodnich wybrzeży Australii, gdzie łatwo było opanować jacht. Doprowadziwszy podróżnych blisko wschodnich wybrzeży, w głąb dziewiczej puszczy, gdzie brakowało wszelkich środków do życia, Ayrton skłonił lorda do wydania rozkazu i sam ofiarował się go dostarczyć do porucznika Toma Austina. List zawierał rozkaz, by jacht przyplłynął natychmiast w stronę wybrzeży wschodnich, do zatoki Twofold, oddalonej kilka dni drogi od miejsca, w którym zatrzymali się podróżni. Właśnie tam Ayrton wyznaczył swym współnikom miejsce spotkania.

W chwili, gdy oddawano mu list, wykryła się jego zdrada i musiał ratować się ucieczką. Mimo to Ayrtonowi udało się wykraść list i w dwa dni później przybył do Melbourne.

Dotychczas jego zbrodnicze zamiary wiodły się znakomicie. Wkrótce miał zwabić »Duncana« do owej zatoki Twofold, gdzie złoczyńcy opanowaliby go z łatwością i wymordowali całą załogę... Lecz Bóg miał go zatrzymać u samego końca zbrodniczego przedsięwzięcia.

Ayrton, przybywszy do Melbourne, wręczył list porucznikowi Tomowi Austinowi, a ten, przeczytawszy go, rozkazał natychmiast rozwinąć żagle; lecz łatwo sobie wyobrazić rozpacz i wściekłość Ayrtona, gdy drugiego dnia żegluga dowiedział się, że jacht płynie nie do wschodnich wybrzeży Australii, do zatoki Twofold, lecz do wschodnich wybrzeży Nowej Zelandii. Dziwnym zrządzeniem Opatrzności, przez przypadkową omyłkę geografa Francuza, który ten list pisał, wskazano w nim jako cel podróży wschodnie wybrzeża Nowej Zelandii.

Wszystkie plany Ayrtona przepadły! Chciał wywołać bunt. Uwięziono go.

Popłynął do wybrzeży Nowej Zelandii, nie mając pojęcia ani o tym, co się stanie z jego współnikami, ani jaki los spotka lorda Glenarvan.

»Duncan« krążył w pobliżu wybrzeży Nowej Zelandii aż do 3 marca. Tego dnia Ayrton usłyszał huk. To armaty »Duncana« dawały ognia, i wkrótce lord Glenarvan z całą drużyną przybyli na okręt.

Zanim do tego doszło, po niezliczonych trudach i niebezpieczeństwach, lord Glenarvan przybył wreszcie do celu swej podróży, do wschodnich wybrzeży Australii, do zatoki Twofold. Ani śladu »Duncana«! Zatelegrafował do Melbourne. Odpowiedziano stamtąd: »Duncan« odpłynął 18. Miejsce przeznaczenia nieznanne.

Lord Glenarvan był przekonany, że jacht wpadł w ręce Bena Joyce’a i został statkiem korsarskim. Postanowił jednak nie dawać za wygraną. Był to mężczyzna o nieustraszonej odwadze i wspaniałym sercu. Wsiadł więc na jeden z kupieckich statków, przyplłynął do zachodniego wybrzeża Nowej Zelandii, przeszedł ją całą wzdłuż trzydziestego siódmego równoleżnika, nie napotkawszy ani śladu kapitana Granta; ale na przeciwległym wybrzeżu, ku swemu wielkiemu zdumieniu, za wolą nieba, odnalazł »Duncana«, który oczekiwał go już od pięciu tygodni.

Ayrton stanął przed obliczem lorda, który chciał wydobyć z niego wszystko o losie kapitana Granta. Ayrton nie chciał mówić. Wtedy lord Glenarvan oświadczył mu, że odda go w ręce władz angielskich w najbliższym porcie. Ayrton milczał uporczywie.

W końcu lady Glenarvan przełamała opór zbójcy i Ayrton zaproponował lordowi, aby w zamian za to, co miał do powiedzenia, wysadził go na jednej z wysp Oceanu Spokojnego. Lord Glenarvan, który gotów był uczynić wszystko, byle się dowiedzieć czegoś o losie kapitana Granta, zgodził się na układ.

Wówczas Ayrton opowiedział historię całego swego życia, z której okazało się, że od dnia, w którym kapitan Grant wysadził go na wybrzeża australijskie, nie wiedział o nim nic.

Mimo to lord Glenarvan dotrzymał danego słowa. »Duncan«, płynąc dalej wyznaczonym szlakiem, przybył do wyspy Tabor. Tu miano zostawić Ayrtona; i tutaj także, iście cudownym trafem, znaleziono kapitana Granta z dwoma towarzyszami, właśnie pod trzydziestym siódmym równoleżnikiem. Skazaniec miał zająć ich miejsce na tej odludnej wysepce i gdy opuszczał jacht, tak przemówił do niego lord Glenarvan:

— Ayrtonie, pozostaniesz tutaj z dala od świata, z dala od ludzi, z którymi nie będziesz mógł się porozumiewać. Nie będziesz mógł uciec z tej wysepki, na której zostawi cię »Duncan«. Pozostaniesz sam, pod okiem Boga, który czyta w najgłębszych skrytościach ludzkiego serca, lecz nie przepadniesz bez wieści jak kapitan Grant. Choć jesteś tak niegodny ludzkiej pamięci, ludzie będą przecież o tobie pamiętali. Wiem gdzie jesteś, Ayrtonie; i będę wiedział, gdzie cię szukać. Nie zapomnę o tym nigdy!

Po tych słowach »Duncan« rozwinął żagle i zniknął wkrótce sprzed oczu wygnańca.

Było to 18 marca 1855 roku*.

Ayrton pozostał sam, lecz nie brakowało mu amunicji, broni, narzędzi i zboża na zasiew. Do użytku skazańca pozostał dom zbudowany przez zacnego kapitana Granta. mógł więc myśleć jedynie o tym, by szczerą skruchą odpokutować za zbrodnię.

Panowie, żałował szczerze, wstydził się swoich zbrodni i był bardzo nie4 szczęśliwy! Powiedział sobie, że jeśli kiedyś ludzie przybędą po niego, powinien stać się godny ich towarzystwa. Jak cierpiał ten nieszczęśliwy! Jak gorąco się modlił, żeby przez modlitwę odrodzić się na nowo!

Trwało to dwa, trzy lata; lecz Ayrton, przygnębiony ciągłą samotnością, wypatrywał nieustannie, czy jakiś okręt nie pojawi się na widnokręgu, pytał sam siebie, jak długo będzie trwała pokuta i cierpiał okropne męki. Nie ma nic gorszego niż samotność dla duszy trawionej wyrzutami sumienia.

Jednak widać, że cierpienia te nie były dostateczną karą za jego winy, czuł bowiem, że z każdym dniem coraz bardziej dziczeje. Czuł, jak z wolna popada w stan zezwierzęcenia. Czy to się stało po dwóch, czy po czterech latach samotności, dość, że w końcu stał się ową nędzną istotą, którą napotkaliście na wyspie.

Nie potrzebuję dodawać, że Ayrton, czyli Ben Joyce i ja, to jedna i ta sama osoba.”

Gdy Ayrton skończył swe opowiadanie, Cyrus Smith i jego towarzysze powstali z miejsc. Trudno wyrazić ich wzruszenie. Jakiż obraz nędzy, cierpienia i rozpacz roztoczył się przed ich oczami!

— Ayrtonie — rzekł Cyrus Smith — byłeś wielkim zbrodniarzem, lecz niebo osądziło wyraźnie, że już odpokutowałeś za swe zbrodnię, skoro pozwoliło ci na powrót między bliźnich. Ayrtonie, twoje grzechy są ci odpuszczone! A teraz chcesz zostać naszym towarzyszem?

Ayrton na te słowa cofnął się.

— Oto moja ręka! — rzekł inżynier.

Ayrton rzucił się do podanej ręki i duże łzy pociekły mu po twarzy.

— Chcesz żyć razem z nami? — zapytał Cyrus Smith.

— Panie Smith — odparł Ayrton — proszę zostawić mi jeszcze trochę czasu, pozwolić mieszkać samemu w zagrodzie.

* Wypadki opowiedziane tutaj w skrócie cytowane są z dzieła znanego zapewne niejednemu z Czytelników pt. „Dzieci kapitana Granta”. I tu, i dalej zauważą Czytelnicy pewne różnice w datach, lecz dalej dowiedzą się także, dlaczego pierwotnie nie mogły być podane prawdziwe daty (przyp. aut.).

— Niech tak będzie, skoro tego chcesz, Ayrtonie — odparł Cyrus Smith. Ayrton chciał się już oddalić, lecz inżynier zadał mu jeszcze ostatnie pytanie:

— Słówek jeszcze, przyjacielu. Jeżeli chciałeś żyć samotnie, dlaczego wrzuciłeś do morza dokument, który nas naprowadził na twój trop?

— Jaki dokument? — zapytał Ayrton, jak gdyby nie wiedział, o czym mowa.

— Dokument zamknięty w butelce, który znaleźliśmy i który dokładnie oznaczał położenie wyspy Tabor.

Ayrton przyłożył rękę do czoła. Po chwili namysłu odparł:

— Nie wrzucałem nigdy żadnego dokumentu do morza!

— Nigdy? — zawołał Penkroff.

— Nie, nigdy — rzekł Ayrton, odwrócił się ku drzwiom i odszedł.

ROZDZIAŁ XVIII

Rozmowa. — Cyrus Smith i Gedeon Spilett. — Pomysł inżyniera. — Telegraf. — Druty. — Baterie. — Rozwój osady. — Fotografia. — Dwa lata na Wyspie Lincoln.

— Biedny człowiek! — rzekł Harbert, kiedy Ayrton zniknął w ciemnościach.

— Powróci do nas — rzekł Cyrus Smith.

— Co to wszystko ma znaczyć? — zawołał Penkroff — Jak to! Więc to nie Ayrton wrzucił do morza butelkę? Kto więc to zrobił?

To pytanie nasuwało się każdemu.

— To on — odparł Nab — tylko że biedak był już wtedy na wpół szalony.

— Tak — rzekł Harbert — nie wiedział już wtedy, co robi.

— Zapewne, bo tylko w ten sposób można to wytłumaczyć — odparł żywo Cyrus Smith — i teraz pojmuję, dlaczego Ayrton mógł podać dokładnie położenie geograficzne wyspy Tabor! Znał je doskonale jeszcze zanim wysadzono go na wyspę.

— Jeżeli jednak — zauważył Penkroff — nie zdziaczał jeszcze zupełnie w chwili, gdy spisywał ten dokument i jeżeli już siedem lub osiem lat temu wrzucił go do morza, jakim sposobem papier pozostał nie uszkodzony?

— To dowodzi — odparł Cyrus Smith — że Ayrton o wiele później postradał rozum, niż sam sądzi.

— Ale czy powiedział prawdę? — zapytał marynarz.

— Niewątpliwie — odparł reporter. — Historia, którą opowiedział, jest ze wszystkimi szczegółami prawdziwa. Przypominam sobie bardzo dokładnie, że dzienniki podały swego czasu wiadomość o przedsięwzięciu lorda Glenarvan i o jego rezultacie.

— Na pewno powiedział prawdę — stwierdził Cyrus Smith. — W to nie ma co wątpić, Penkroffie, prawda ta była dość straszna dla niego samego. A prawdę mówi ten, kto się sam tak oskarża!

Nazajutrz, 21 grudnia, koloniści zeszli nad brzeg morza, lecz nie znaleźli tam Ayrtona. W nocy powrócił do swego mieszkania w zagrodzie i koloniści postanowili zostawić mu zupełną swobodę, licząc, że czas dokona reszty. Harbert, Penkroff i Nab powrócili do zwykłych zajęć, inżynier z reporterem pracowali w Kominach.

— Wiesz co, Cyrusie — rzekł Gedeon Spilett. — Twoje wczorajsze wyjaśnienia, co do butelki nie zadowolily mnie zupełnie! Czy można przypuścić, żeby ten biedak mógł napisać ten dokument i wrzucić butelkę do morza, zupełnie o tym nie pamiętając?

— Bo też nie on ją wrzucił, Gedeonie.

— Więc twierdzisz...

— Niczego nie twierdę, bo nic nie wiem! — odparł Cyrus Smith, przerywając reporterowi. — Wypadek ten zaliczam do rzędu tych, których dotychczas nie potrafiłem sobie wytłumaczyć i na tym poprzestaję!

— W istocie, Cyrusie — rzekł Gedeon Spilett — to trudno zrozumieć! Twoje ocalenie, owa skrzynia wyrzucona na brzeg, przygody Topa, wreszcie ta butelka... Czyż nigdy nie rozwiążemy tych zagadek?

— Rozwiążemy! — odparł żywo inżynier — choćby trzeba było rozkopać całą wyspę!

Nadszedł styczeń, a wraz z nim zaczął się rok 1867. Harbert z Gedeonem Spilettem, udali się do zagrody i przekonali się, że Ayrton zajął przygotowane dla niego mieszkanie. Zajmował się

liczną trzodą powierzoną jego opiece i tym sposobem oszczędzał trudu pozostałym kolonistom. Aby jednak zbyt długo nie zostawał sam, koloniści odwiedzali go dość często.

Ponadto—ze względu na pewne podejrzenia, które mieli inżynier i Gedeon Spilett — polecono Ayrtonowi zwracać szczególną uwagę na tę część wyspy, którą zamieszkiwał, a w razie jakiegoś wypadku natychmiast zawiadomić mieszkańców Granitowego Pałacu.

Mógł się jednak zdarzyć jakiś nagły wypadek, o którym należałoby natychmiast zawiadomić inżyniera. Gdyby na przykład na horyzoncie pojawił się okręt, nastąpiła katastrofa lub nadpłynęli piraci, wszyscy mieszkańcy wyspy powinni o tym wiedzieć.

Dlatego też Cyrus Smith postanowił wprowadzić błyskawiczną komunikację między zagrodą a Granitowym Pałacem.

10 stycznia przedstawił swój zamiar towarzyszom.

— Jak się pan zabierze do tego, panie Cyrusie? — zapytał Penkroff. — Czyżby pan myślał o założeniu telegrafu?

— Owszem — odparł inżynier. — Mamy wszystko, Czego trzeba do zrobienia baterii elektrycznej; najtrudniej będzie o druty żelazne, ale i temu można zaradzić.

— Jeśli tak — odparł marynarz — to możliwe, że pewnego dnia będziemy jeździć po naszej wyspie pociągiem!

Przystąpiono więc zaraz do pracy, zaczynając od najtrudniejszej rzeczy, czyli od zrobienia drutów. Żelazo na Wyspie Lincoln było, jak wiemy, w dobrym gatunku, a tym samym łatwo dawało się rozciągać. Cyrus Smith przygotował najpierw płytę stalową z otworami różnego rozmiaru, które miały stopniowo nadawać drutowi pożądaną grubość. Zahartowaną blachę przymocowano do mocno osadzonego w ziemi podmurowania, w odległości tylko kilku stóp od wodospadu, którego siłę chciał inżynier wykorzystać.

Na wykonanie drutów potrzeba było kilku dni i zaraz potem inżynier zabrał się do sporządzania baterii o dość prostej konstrukcji.

Dnia 6 lutego zaczęto ustawiać słupy, zaopatrzone w szklane izolatory. W kilka dni później przeciągnięto drut.

Wykonano dwie baterie, jedną dla Granitowego Pałacu, drugą dla zagrody, tak aby w każdej chwili można było komunikować się ze sobą.

12 lutego wszystko było gotowe. Tego dnia Cyrus Smith mógł zapytać telegraficznie, czy wszystko idzie dobrze w zagrodzie i po kilku chwilach otrzymał od Ayrtona zadowolającą odpowiedź.

Penkroff nie posiadał się z radości; co rano i co wieczór wysyłał telegram do zagrody, na który zawsze otrzymywał odpowiedź.

Ten rodzaj komunikacji przedstawiał dwie oczywiste korzyści: po pierwsze mogli zawsze wiedzieć, czy Ayrton jest w zagrodzie, a po drugie nie zostawiali go dzięki temu w zupełnej samotności. Oprócz tego Cyrus Smith odwiedzał go co tydzień, a i Ayrton od czasu do czasu przychodził do Granitowego Pałacu, gdzie zawsze był mile widziany.

Piękna pora roku upływała wśród zwyczajnych zajęć. W owym czasie malej osadzie powodziło się znakomicie. Zapasy jarzyn i zboża, powiększały się z każdym dniem, a nasiona przywiezione z wyspy Tabor przyjęły się wyśmienicie. Podwórko roiło się od drobiu, świnie miały już prosięta. Onagry także doczekały się potomstwa, które służyło za wierzchowce Gedeonowi Spilettowi i Harbertowi; zaprzęgano je także do wozu, czy to dla zwiezienia drewna i węgla do Granitowego Pałacu, czy też różnych kruszców, używanych przez inżyniera.

W tym samym czasie zorganizowano kilka wycieczek w głąb Lasu Dalekiego Zachodu. Koloniści mogli bezpiecznie zapuszczać się w te lasy nie obawiając się wysokiej temperatury, gdyż promienie rzadko przebijały się przez gęste listowie.

W czasie tych wycieczek osadnicy byli zawsze dobrze uzbrojeni, czasami bowiem napotykali po drodze wyjątkowo groźne dziki, z którymi musieli staczać poważne walki.

Podczas tego lata Gedeon Spilett i Harbert rozpoczęli prawdziwą wojnę z jaguarami.

Byli dobrze uzbrojeni i nie lękali się wcale spotkania z tymi zwierzętami. Harbert wyróżniał się nadzwyczajną odwagą, a reporter zdumiewająco zimną krwią. Tym sposobem około dwudziestu wspaniałych skór zdobiło już wielką salę Granitowego Pałacu.

Inżynier kilka razy uczestniczył w wyprawach prowadzących w nieznaną dotąd okolice wyspy, które badał z największą uwagą. Szukał innych tropów niż zwierzęce, nigdy jednak nie zobaczył nic podejrzanego. Ani Top, ani Jup, którzy mu towarzyszyli, nie zdradzali swym zachowaniem, że odkryli coś nadzwyczajnego, a jednak pies kilka jeszcze razy szczekał nad otworem studni w Granitowym Pałacu.

W owym czasie przydał się również znaleziony w skrzyni aparat fotograficzny — Gedeon Spilett przy pomocy Harberta utrwalił na kliszy kilka widoków najpiękniejszych części wyspy. Aparat ten miał silny obiektyw i był całkowicie kompletny. Reporter i Harbert stali się wkrótce biegłymi fotografami i zrobili kilka pięknych zdjęć, jak na przykład: widok całej wyspy, uchwyconej ze szczytu Wielkiego Płaskowyzu, z Górą Franklina na widnokręgu, z ujściem Rzeki Miłosierdzia, z łąką i zagrodą opierającą się o pierwsze łańcuchy góry; widok na cały Przylądek Ostrego Szpona, widok Przylądka Rozbitków oraz wiele innych.

Fotografowie nie zapomnieli także o portretach wszystkich bez wyjątku mieszkańców wyspy. Szczególnie zachwycony swoim portretem był marynarz; uważał go za bardzo wiernie oddany. Trzeba jednak przyznać, że najlepiej udał się portret Jupa. Orangutan przybrał pozę pełną nieopisaną powagi i zdjęcie było tak podobne do modelu, iż wszyscy pokładali się ze śmiechu.

Letnie upały skończyły się w marcu. Od czasu do czasu padał deszcz, lecz powietrze było jeszcze ciepłe. Marzec, odpowiadający wrześniowi na półkuli pomocnej, nie był tak piękny, jak w poprzednim roku; zwiastował wczesną i ostrą zimą.

Pewnego poranka, było to 21 marca, kolonistom zaczęło się wydawać, że spadł już pierwszy śnieg. Harbert wstał wcześniej i wyglądając przez okno Granitowego Pałacu, zawołał:

— Patrzcie! Wysepka jest przykryta śniegiem!

— Śniegiem? O tej porze? — zapytał reporter, podchodząc do Harberta. Zdumieni stwierdzili, że wszędzie jest biało.

— Dalibóg, to śnieg! — rzeki Penkroff.

— Lecz termometr wskazuje pięćdziesiąt osiem stopni (14°C powyżej zera) — zauważył Gedeon Spilett.

Cyrus Smith w milczeniu spoglądał na ten biały całun, gdyż trudno mu było zrozumieć to zjawisko.

— Do stu diabłów! — zawołał Penkroff. — Nasze plantacje pomarzną!

I marynarz już chciał zejść na dół, lecz ubiegł go Jup, który szybciej opuścił się po linie do sieni.

Lecz zanim jeszcze orangutan dotknął stopą ziemi, cała ta olbrzymia płaszczyzna śnieżna wzbijała się do góry i zatrzepotała w powietrzu taką niezliczoną ilością białych ptaków, że na kilka minut zasłoniła słońce.

— To ptaki! — zawołał Harbert.

Były to rzeczywiście morskie ptaki o śnieżnych, połyskujących piórach. Chmarą obsiadły wysepkę i brzeg morza, a teraz znikwały w oddali, co wyglądało jak zmiana dekoracji — zima stawała się nagle latem. Niestety, stało się to tak szybko, że ani reporter, ani Harbert nie mieli czasu upolować żadnego z tych ptaków, a tym samym przekonać się, do jakiego gatunku należały.

Kilka dni później, 26 marca, koloniści mieli obchodzić drugą rocznicę pobytu na wyspie.

ROZDZIAŁ XIX

*Wspomnienia. — Co będzie dalej? — Projekt zwiedzenia brzegów wyspy. ~ Odjazd 16 kwietnia.
— Widok od strony morza na Półwysep Węża. — Bazalty wybrzeża zachodniego. — Burza. —
Noc. — Kolejna zagadka.*

Upłynęły dwa lata! Od dwóch lat koloniści byli pozbawieni kontaktu z ludźmi. Nie mieli żadnych wieści z cywilizowanego świata i żyli na tej odludnej wyspie zapomniani, jak na jakiejś małej planecie Układu Słonecznego.

Co w tym czasie działo się w ich ojczyźnie? Zawsze mieli przed oczami obraz rodzinnego kraju rozdartego wojną domową. Często o tym rozmawiali, nie wątpiąc jednak nigdy, że sprawa Północy w końcu zwycięży. :

W ciągu tych dwóch lat ani jeden okręt nie pojawił się w pobliżu wyspy,; nie dostrzeżono żadnego żagla. Widocznie Wyspa Lincoln leżała z dala od uczęszczanych szlaków.

Był jednak jeszcze jeden środek ratunku i właśnie o nim osadnicy dyskutowali na początku kwietnia.

— Jedynym pewnym sposobem, jaki nam pozostaje, by szczęśliwie wrócić do domu — mówił Gedeon Spilett — jest zbudowanie okrętu tak dużego, aby mógł wytrzymać kilkusetmilową podróż morską. Uważam, że skoro potrafiliśmy zbudować statek, potrafimy zbudować i okręt!

— I skoro dopłynęliśmy do wyspy Tabor, dopłyniemy i do wysp Paumotu! — dodał Harbert.

— Nie zaprzeczę — odparł Penkroff, który we wszystkich kwestiach marynarskich miał zawsze głos decydujący. — Nie zaprzeczę, chociaż to nie to samo popłynąć blisko, a popłynąć daleko! Gdy nieprzyjazne wichry zagrażały naszej szalupie podczas podróży na wyspę Tabor, wiedzieliśmy o tym, że z jednej i z drugiej strony niedaleko był port, ale przepłynąć tysiąc dwieście mil, to kawał drogi, a w takiej odległości leży najbliższy ląd!

— Nie zapomnijmy jednak o tym, że mamy teraz jednego marynarza więcej — zauważył Nab.

— Kogo? — zapytał Penkroff.

— Ayrtona.

— To prawda — odparł Harbert.

— Jeżeli zechce popłynąć z nami! — zauważył Penkroff.

— Myślę, że tak, gdyż lękałby się pozostać sam. Lecz nie o to chodzi. Ważne jest raczej to, czy możemy liczyć na powrót okrętu szkockiego. Przecież lord Glenarvan obiecał Ayrtonowi powrócić po niego, skoro osądzi, że dawny pirat już wystarczająco odpokutował za swe zbrodnie; a ja wierzę, że powróci.

— A ja dodam, że powróci niedługo — rzekł reporter. — Przecież Ayrton pokutuje już dwanaście lat!

— Zgadzam się z wami, że lord powróci, i to wkrótce — odparł Penkroff. — Lecz w takim razie dokąd się uda? Na wyspę Tabor, a nie na Wyspę Lincoln.

— I to tym pewniej, że Wyspy Lincoln nie ma nawet na mapie — odparł Harbert.

— Dlatego — rzekł inżynier — musimy postarać się, aby wiadomość o naszym i Ayrtona pobycie na Wyspie Lincoln dotarła do lorda Glenarvan.

— Oczywiście — odparł reporter — i nic łatwiejszego jak w tej chacie, którą zamieszkiwali kapitan Grant, a później Ayrton, zostawić wskazówkę o położeniu geograficznym naszej wyspy; wskazówkę, którą lord Glenarvan i jego ludzie na pewno odnajdą.

— Złość mnie bierze — odezwał się marynarz — że zapomnieliśmy to uczynić podczas naszej pierwszej podróży na wyspę Tabor.

— A dlaczego mielibyśmy to wtedy uczynić? — zapytał Harbert. — Przecież nie znaleźliśmy wówczas historii Ayrtona; nie wiedzieliśmy o tym, że kiedyś po niego przypląną, a gdy opowiedział nam wszystko, pora roku była już zbyt późna, by wrócić na wyspę Tabor.

— Tak jest — odparł Cyrus Smith. — Była już późna jesień, trzeba było więc tę podróż odłożyć do następnej wiosny.

— A gdyby jacht szkocki przypląnął wcześniej? — zapytał Penkroff.

— Bardzo w to wątpię — odparł inżynier. — Lord Glenarvan nie wybrałby pory zimowej, aby płynąć tak daleko. Albo więc był już na wyspie w ciągu tych pięciu miesięcy, kiedy Ayrton jest z nami i odpłynął, albo przybędzie później i dość będzie czasu, by w pierwszych pogodnych dniach października udać się na wyspę Tabor i zostawić tam wiadomość o nas.

— Trzeba przyznać — rzekł Nab — że byłoby to niepomysłne dla nas, gdyby „Duncan” odwiedził już wyspę Tabor.

— Mam nadzieję, że tak nie było — odparł Cyrus Smith — i że niebo nie pozbawiło nas tego jedyne go środka wybawienia, jaki nam pozostał!

— Sądę — rzekł reporter — że po naszym powrocie na wyspę Tabor będziemy wiedzieli, czego się trzymać; jeśli bowiem Szkoci już tam byli, to na pewno pozostawili ślady swojej obecności.

— W każdym razie — rzekł Penkroff — jeżeli opuścimy Wyspę Lincoln, to nie dlatego, że nam tu było źle!

— Wcale nie, Penkroffie — odparł inżynier — ale dlatego, że jesteśmy tu z dala od wszystkiego, co człowiek najbardziej na świecie powinien kochać: od rodziny, przyjaciół, ojczyzny.

Zaniechawszy pomysłu budowy dużego okrętu, postanowiono przed rozpoczęciem zimy opłynąć naokoło wyspę dla dokładniejszego zbadania jej zachodniego i północnego wybrzeża, od ujścia Rzeki Kaskady aż do Przylądka Obu Szczęk.

Pogoda była wówczas zmienna, barometr jednak nie robił zbyt gwałtownych skoków, można się więc było spodziewać znośnych warunków atmosferycznych.

Dzień odpłynięcia wyznaczono na 16 kwietnia a „Bonawenturę”, stojącego na kotwicy w Przystani Balonowej, zaopatrzone we wszystkie przyrządy potrzebne do dłuższej podróży.

Cyrus Smith uprzedził Ayrtona o zamierzonej wyprawie i zaproponował mu, by wziął w niej udział; lecz ponieważ Ayrton wolał zostać na lądzie, postanowiono, że podczas nieobecności towarzyszy zamieszka w Granitowym Pałacu. Jup miał mu dotrzymywać towarzystwa.

16 kwietnia rano koloniści w towarzystwie Topa wsiedli na okręt. Silny wiatr wiał od strony południowo-zachodniej i „Bonawentura”, wypłynąwszy z Przystani Balonowej, musiał lawirować, aby dostać się do Jaszczurczego Cypla. Z owych dziewięćdziesięciu mil, które wyspa liczyła w obwodzie, około dwadzieścia przypadło na wybrzeże południowe, od portu aż do przylądka. Stąd wynikała konieczność, żeby tych dwadzieścia mil przebyć jak najszybciej ze względu na bardzo silny wiatr.

Niestety, potrzeba było całego dnia, żeby dotrzeć do przylądka, statek bowiem, wypływając z portu, mógł tylko przez dwie godziny korzystać z odpływu, aż przypląwem musiał walczyć sześć godzin, co niezmiernie utrudniało żeglugę. Noc więc już zapadła, gdy opłynęli przylądek.

Cyrus Smith kazał zarzucić kotwicę o kilkadziesiąt sążni od lądu, chciał bowiem jeszcze raz zbadać tę część wybrzeża. Ponieważ chodziło o szczegółowe poznanie wybrzeży wyspy, postanowiono zatrzymać się na noc, nawet gdyby pomyślny wiatr zachęcał do dalszej podróży.

Nazajutrz, 17 kwietnia, Penkroff wczesnym rankiem rozwinął żagle, i korzystając umiejętnie z wiatru, prowadził statek prawie przy samych brzegach.

Koloniści znali już te wspaniałe wybrzeża, przebyli je bowiem pieszo, lecz mimo to wzbudziły w nich nowy podziw. Kilkakrotnie zarzucali kotwicę i Gedeon Spilett fotografował widoki tych wspaniałych okolic.

Okolo południa „Bonawentura” przybył do ujścia Rzeki Kaskady. Na prawym jej brzegu widać było znów drzewa, ale już rzadsze, a trzy mile dalej tworzyły one tylko pojedyncze grupy rozrzucone pomiędzy zachodnimi pasmami góry, której nagi grzbiet ciągnął się do samego wybrzeża.

„Bonawentura” płynął wzdłuż tych brzegów w oddaleniu pół mili. Łatwo było rozpoznać, że wybrzeże składało się z brył różnej wielkości. Lodowce mórz północnych w swej wspaniałej grozie nie mogły mieć dziwniejszych kształtów! Najkapryśniejsze wymysły natury, stokroć dziwniejsze niż zdołałaby wytworzyć wyobraźnia ludzka, spotykały się tu na tych wspaniałych brzegach, ciągnących się na przestrzeni ośmiu lub dziewięciu mil.

Cyrus Smith i jego towarzysze spoglądali na skały z wyrazem zdumienia graniczącego z przestachem. Milczeli jednak wszyscy; Top tylko, nie troszcząc się o to, co się wokoło niego działo, poszczekiwał głośno, a szczekaniu jego odpowiadały tysięcznym echem bazaltowe ściany. Inżynier zauważył, że pies szczekał podobnie, jak nad otworem studni w Granitowym Pałacu i powiedział:

— Przybij do brzegu.

„Bonawentura” zbliżył się jak można było najbardziej do skał nadbrzeżnych. Nie sposób jednak było wylądować; Cyrus Smith nie dostrzegł żadnej jaskini ani wklęsłości, która mogłaby służyć za schronienie jakiegokolwiek stworzeniu, bowiem skały wynurzały się z wody. Wkrótce Top przestał szczekać i statek oddalił się znów kilkadziesiąt sążni od brzegów.

W północno-zachodniej części wyspy brzegi zaczęły robić się znowu płaskie i piaszczyste. Gdzieś na moczarowatej nizinie, którą już przedtem poznali koloniści, rosły rzadko drzewa. W przeciwieństwie do tamtych regionów, tak odludnych i pustych, tutaj chmary morskiego ptactwa ożywiały okolicę.

Wieczorem „Bonawentura” rzucił kotwicę w lekkim wgłębieniu, które tworzył w tym miejscu brzeg, na północy wyspy przy samej plaży, ponieważ morze było tu dość głębokie. Noc upłynęła w miarę spokojnie, wiatr bowiem zamierał z ostatnim promieniem słońca i ożywał się na nowo dopiero z pierwszym brzaskiem dnia.

Ponieważ łatwo było przybić, więc tego poranka najlepsi myśliwi osady, to znaczy Harbert z Gedeonem Spilettem, wyszli na dwugodzinną przechadzkę, z której powrócili obładowani dzikimi kaczkami i bekasami. Top dokazywał cudów i dzięki jego gorliwości i zręczności ani jedna sztuka zwierzyny nie przepadła.

O ósmej rano „Bonawentura” rozwinął żagle i pomknął w stronę Przylądka Górnej Szczęki, bowiem z tyłu wiał coraz silniejszy wiatr.

— Nie dziwiłbym się wcale — rzekł Penkroff — gdyby zerwał się wichur od zachodu. Wczoraj słońce zaszło czerwono na widnokręgu, a dziś rano te drobne chmurki nie wróżą nam nic dobrego.

Chmurki, o których wspominał Penkroff, snują się zwykle na wysokości nigdy nie mniejszej jak pięć tysięcy stóp nad poziomem morza. Wyglądają jak lekkie płatki waty i zwiastują zwykle burzę.

— Rozwińmy więc wszystkie żagle i szukajmy schronienia w Zatoce Rekinów — rzekł Cyrus Smith. — Sądzę, że „Bonawentura” będzie tam bezpieczny.

— Proszę być spokojnym, panie Cyrusie — odparł marynarz. — Nie będę narażał nas bez potrzeby! Wolałbym, żeby mi ktoś wepchnął nóż w serce, niż żeby jakaś rafa przedziurawiła „Bonawenturę”! Która godzina, panie Spilett?

— Dziesiąta — odparł reporter.

— A jak daleko mamy stąd do przylądka?

— Około piętnastu mil — odpowiedział inżynier.

— W ciągu dwóch i pół godziny — rzekł marynarz — znajdziemy się naprzeciwko przylądka. Na nieszczęście przyływ o tej godzinie ustanie, a zacznie się odpływ. Obawiam się więc, że będzie bardzo trudno dopłynąć do zatoki, mając wiatr i morze przeciw sobie.

— Tym bardziej że mamy dziś pełnię — dodał Harbert — a przyływy i odpływy kwietniowe bywają bardzo silne.

— Czy nie można rzucić kotwicy na cyplu przylądka? — zapytał Cyrus; Smith.

— Co? Rzucać kotwicę przy samym lądzie, kiedy zanosi się na burzę! — ; oburzył się marynarz. — Co pan myśli, panie Cyrusie? To znaczyłoby dobrowolnie wystawić statek na pewne rozbicie!

— Więc co zrobisz?

— Będę się starał wytrwać na pełnym morzu aż do nadejścia przyływu, to, jest do siódmej wieczorem, a jeśli będzie jeszcze trochę jasno, spróbuję wpłynąć do zatoki; gdyby to się nie udało, będziemy krążyć całą noc i jutro o wschodzie słońca wpłyniemy do przystani.

— Powiedziałem ci już raz, Penkroffie, że zdajemy się zupełnie na ciebie — odparł Cyrus Smith.

— Ba! Szkoda, że nie mamy tu latarni morskiej! — rzekł Penkroff.

— To prawda — odparł Harbert — ale tym razem inżynier, nie zapalił nam ognia, by wskazać drogę do portu!

— Aha, dobrze że sobie przypomniał, Cyrusie — rzekł Gedeon Spilett. — Nie podziękowaliśmy ci nawet za to; gdyby nie twój ogień, zabłądzilibyśmy.

— Jaki ogień?... — zapytał Cyrus Smith, mocno zdumiony słowami reportera.

— Ten, panie Cyrusie — odparł Penkroff — który zapalił pan w nocy z 19 na 20 października na płaskowyżu Granitowego Pałacu i dzięki któremu znaleźliśmy drogę do portu.

— Tak, tak!... To była szczęśliwa myśl! — odparł inżynier.

— Ale tym razem — dorzucił marynarz — nie będzie nikogo, kto oddałby nam tę małą przysługę, chyba że Ayrton wpadłby na ten pomysł!

— Tak! Nikogo nie będzie! — odparł Cyrus Smith.

W kilka minut później, inżynier znalazł się sam na sam z reporterem na dziobie okrętu i szepnął do niego cicho:

— Słuchaj, przyjacielu; mogę ci zaręczyć, że nie zapaliłem żadnego ognia owej nocy z 19 na 20 października, ani na płaskowyżu Granitowego Pałacu, ani w jakimkolwiek innym punkcie wyspy!

— Więc kto go rozniecił?

— Nie mam pojęcia; to kolejna niewyjaśniona zagadka!

ROZDZIAŁ XX

Noc na morzu. — Przystań Rekina. — Zwierzenia. — Przygotowania do zimy. — Wielkie mrozy. — Prace wewnątrz. — Po sześciu miesiącach. — Klisza fotograficzna. — Niespodziewany wypadek.

Stało się tak, jak przepowiedział Penkroff, jego doświadczenie nie mogło go omylić. Wiatr wzmagał się i w końcu przeszedł w gwałtowny wicher. Ponieważ „Bonawentura” dopiero około szóstej zbliżył się do przystani, a odpływ się już zaczął, niemożliwe było wpłynięcie do zatoki. Należało pozostać na pełnym morzu; Penkroff bowiem, choćby nawet chciał, nie był w stanie dotrzeć do ujścia Rzeki Miłosierdzia. Rozpiąwszy więc na wielkim maszcie trójkątny żagiel, czekał spokojnie, zwracając dziób statku w stronę lądu.

Rano wiatr powoli się uspokoił, zmienił w dwóch czwartych kierunek, co ułatwiło Penkroffowi prześlizgnięcie się przez wąski przesmyk, a następnie dotarcie do przystani.

Okolo czwartej, omijając lewy róg wysepki, wpłynął do kanału dzielącego ją od wybrzeża i o piątej „Bonawentura” stanął na kotwicy u ujścia Rzeki Miłosierdzia. Ayrton oczekiwał na brzegu, a Jup wyszedł naprzeciwko, mruczając radośnie na powitanie.

Gedeon Spilett z inżynierem postanowili zwrócić uwagę towarzyszy na owe dziwne fakty, które miały miejsce na wyspie, a z których ostatni był najbardziej zagadkowy.

Cyrus Smith, wracając raz jeszcze do owego ognia, który zapaliła jakaś nieznana ręka, po raz dwudziesty już może zapytał reportera:

— Czy jesteś pewny, że widziałeś ten ogień? Może to był jakiś częściowy wybuch wulkanu lub meteor?

— Nie, Cyrusie — odparł reporter. — Był to z pewnością ogień zapalony ludzką ręką. Zresztą zapytaj Penkroffa i Harberta. Oni widzieli to samo co ja i potwierdzą moje słowa.

W wyniku tej rozmowy kilka dni później, 25 kwietnia wieczorem, gdy wszyscy koloniści zgromadzeni byli na Wielkim Płaskowyżu, Cyrus Smith odezwał się w te słowa:

— Przyjaciele, czuję się w obowiązku zwrócić waszą uwagę na niektóre wypadki, które miały miejsce na naszej wyspie, a o których chciałbym usłyszeć wasze zdanie. Wypadki te są, że się tak wyrażę, nadprzyrodzone...

— Nadprzyrodzone! — zawołał marynarz, puszczając z fajki kłęb dymu. — i o może nasza wyspa jest także nadprzyrodzona?

— Nie, Penkroffie, ale z pewnością tajemnicza — odparł inżynier — chyba, że ty potrafisz nam wytłumaczyć to, czego ani ja, ani Spilett dotychczas nie potrafiliśmy zrozumieć.

— Proszę mówić, panie Cyrusie — odparł marynarz.

— Dobrze więc! Czy wiesz — ciągnął dalej inżynier — jakim sposobem po katastrofie balonu zostałem znaleziony o cztery mile w głębi wyspy, nie wiedząc sam, jak się tam dostałem?

— Może, w stanie nieprzytomności... — rzekł Penkroff.

— Nie, to się w żaden sposób nie da wytłumaczyć — odparł inżynier. — Następnie: jakim sposobem Top zdołał odszukać wasze schronienie, pięć mil od pieczary, w której leżałem?

— Wrodzony instynkt psa... — odparł Harbert.

— Nadzwyczajny instynkt! — rzekł reporter. — Zwłaszcza, że pomimo deszczu i wichru, jaki szalał tej nocy. Top przybył do Kominów całkiem suchy i nie zabłocony!

— Mówmy dalej — rzekł inżynier. — Czy rozumiesz jakim sposobem nasz pies został wyrzucony z wody po owej walce w jeziorze z krową morską?

— Tak, to bardzo trudno pojąć — odparł Penkroff. — Podobnie trudno jest wytłumaczyć pochodzenie owej dziwnej rany, którą potwór miał na boku.

— Idźmy jeszcze dalej — rzekł Cyrus Smith. — Czy zrozumieliście, przyjaciele, jakim sposobem owo ziarno śrutu dostało się do mięsa pekari; jakim sposobem skrzynia z niezbędnymi narzędziami została wyrzucona na brzeg, pomimo że nigdzie nie było śladu po rozbitym okręcie; jakim sposobem nasza łódka, zerwawszy cumę, przyplęła sama z prądem rzeki właśnie w chwili, gdy jej potrzebowaliśmy; w jaki sposób podczas napadu małp drabina tak szczęśliwie zsunęła się na dół z okna Granitowego Pałacu; jakim sposobem wreszcie, dokument, którego Ayrton, jak twierdzi, nigdy nie pisał, dostał się w nasze ręce?

Harbert, Penkroff i Nab patrzyli po sobie, nie wiedząc, co na to odpowiedzieć; dotąd przypisywali wszystkie te zdarzenia szczęśliwemu zbiegowi okoliczności.

— A teraz, moi przyjaciele — kontynuował inżynier — do tych wypadków przyłączył się nowy, równie niepojęty, jak tamte!

— Jakiż to wypadek, panie Cyrusie? — zapytał żywo Harbert.

— Twierdzisz Penkroffie — ciągnął dalej inżynier — że gdy wracaliście z wyspy Tabor, ujrzeście ogień na Wyspie Lincoln?

— Nie inaczej — odparł marynarz.

— Czy jesteś pewny, że widziałeś ten ogień?

— Tak, jak pana widzę.

— I ty także, Harbercie?

— I ja tak samo, panie Cyrusie — zawołał Harbert. — Ogień ten jaśniał jak gwiazda pierwszej wielkości!

— A może to w istocie była gwiazda? — zapytał inżynier.

— Nie — odparł Penkroff. — Całe niebo pokryte było gęstymi chmurami, a gwiazda w żadnym razie nie może świecić tak nisko na widnokręgu. Przecież pan Spilett widział to samo, co my, może więc potwierdzić nasze słowa!

— Ja dodam — powiedział reporter — że ogień ten błyszczał bardzo jaskrawo i sprawiał wrażenie światła elektrycznego.

— Tak! Tak! Zupełnie tak samo... — odparł Harbert — i świecił z pewnością z wyżyny Granitowego Pałacu.

— Otóż, moi przyjaciele — odparł Cyrus — tej nocy z 19 na 20 października, ani ja, ani Nab nie zapaliliśmy żadnego ognia na wyspie.

— Jak to? Nie zapaliliście... — zawołał Penkroff w najwyższym zdumieniu, które nie pozwoliło mu nawet dokończyć zdania.

— Nie wychodziliśmy wcale z Granitowego Pałacu — odparł Cyrus Smith — a jeśli rzeczywiście ogień pojawił się na wyspie, musiała go rozniecić inna ręka!

Penkroff, Harbert i Nab nie mogli już powątpiewać, że na wyspie znajdowała się jakaś istota, bardzo tajemnicza, ale sprzyjająca kolonistom.

Cyrus Smith przypomniał swoim towarzyszom, z jakim dziwnym niepokojem Top i Jup krążyli dokoła otworu studni łączącej Granitowy Pałac z morzem i dodał im, że choć badał tę studnię od wewnątrz, nie odkrył w niej nic podejrzanego. Na skutek tej rozmowy koloniści postanowili, że po nadejściu wiosny przeszukają bardzo dokładnie całą wyspę, aby rozwiązać te liczne zagadki.

Od tego dnia Penkroff stał się niespokojny. Zaczęło mu się wydawać, że ta wyspa, którą uważał za swą osobistą własność, nie należała już odtąd całkowicie do niego i że panowanie nad nią dzielił z jakimś władcą, którego obecność była ciągle zauważalna. Rozmawiał o tym często z

Nabem, a ponieważ obaj byli skłonni do wiary w cudowne rzeczy, zaczęli myśleć, że Wyspa Lincolna znajduje się w mocy sił nadprzyrodzonych.

Tymczasem w maju — któremu w strefach północnych odpowiada listopad — nadeszły słotne dni. Wszystko zapowiadało ostrą i wczesną zimę. Toteż niezwłocznie rozpoczęto prace przygotowawcze przed nadejściem mrozów.

Osadnicy mogli przetrzymać zimę, chociażby najostrożniejszą. Nie brakowało im filcowej odzieży, a muflony, już bardzo liczne, dostarczyły obficie wełny potrzebnej do wyrobu ciepłych tkanin.

Ayrtona również zaopatrzone w wygodną i ciepłą odzież. Cyrus Smith zaproponował mu, aby zimę spędził razem z nimi w Granitowym Pałacu, gdzie mu będzie lepiej niż w zagrodzie i Ayrton zgodził się na przenosiny po zakończeniu swoich prac. Miało to miejsce w połowie kwietnia. Odtąd Ayrton zamieszkał wspólnie z osadnikami i uczestniczył we wszystkich pracach; lec zawsze był przygaszony i smutny i nie brał udziału w rozrywkach towarzyszy. Większą część tej trzeciej z kolei zimy, którą koloniści spędzali na Wyśpi Lincolna, przetrwali zamknięci w Granitowym Pałacu. Cały czas szalały potworne burze i wichry, które zdawały się wstrząsać skały w posadach. Morą zagrażało zalaniem całej wyspie i najprawdopodobniej okręt, stojący na kotwicy w pobliżu lądu, poszedłby na dno wraz z całym ładunkiem i załogą. Dwukrotnie podczas jednej z tych nawałnic, Rzeka Miłosierdzia wezbrała do tęgi stopnia, że obawiano się, by nie pozrywała mostów, a nawet trzeba było wzmocnić je przy nabrzeżu, które woda zalewała całkowicie, gdy morze biło o brzegi.

Łatwo się domyślić, że te straszne wichry, podobne do trąb powietrznych, musiały wyrządzić niemałe szkody na Wielkim Płaskowyżu. Najbardziej ucierpiały młyn i szopy dla drobiu. Koloniści musieli często wykonywać najpilniejsze naprawy, inaczej bowiem drób byłby skazany na zagładę.

Podczas tych słoń, kilka jaguarów i gromada małp zapędziły się aż na granice Płaskowyżu i ciągle trzeba się było obawiać, aby zwinniejsze i śmielsze z nich, wiedzione głodem, nie przeszły przez potok, który zamrożony, stał się łatwiejszy do przebycia. Koloniści musieli dzień i noc odstraszać wystrzałami tych nieproszonych gości, aby uchronić od śmierci zwierzęta domowe i zabezpieczyć uprawy przed zniszczeniem. Jak widać naszym osadnikom nie brakowało obowiązków, bowiem oprócz zajęć poza domem trafiały się zawsze pilne prace w samym Granitowym Pałacu.

Podczas wielkich mrozów urządzono także kilka polowań na Kaczycach Błotach. Gedeon Spilett z Harbertem nie oddali tam ani jednego niecelnego strzału.

Tak upłynęły cztery miesięcy największych mrozów, to jest czerwiec, lipiec, sierpień i wrzesień. W czasie zimy nie wydarzył się żaden nowy zagadkowy wypadek; nawet Top z Jupem nie biegali już dokoła studni i nie zdradzali żadnego niepokoju. Chwilowo jednak wydarzenie większej wagi, mogące mieć zgubne następstwa, skupiło uwagę Cyrusa Smitha i jego towarzyszy.

Było to w październiku. Wiosna zbliżała się szybkimi krokami. Natura ożywiała się pod wpływem promieni słonecznych, a między wiecznie trwającą zielenią drzew iglastych, otaczających dokoła las, pojawiały się świeże listki.

Przypominamy sobie zapewne, że Gedeon Spilett i Harbert nieraz fotografowali widoki z rozmaitych okolic Wyspy Lincolna.

Otóż 17 października, około trzeciej po południu, Harbert, urzeczony piękną pogodą, wpadł na pomysł, aby zrobić zdjęcie całej Zatoki Stanów Zjednoczonych.

Widok krąg rysował się cudownie, a morze, lekko kołysane wietrzykiem, było nieruchome jak jezioro, tu i ówdzie tylko migocząc złocistymi cętkami.

Harbert umieścił obiektyw w jednym z okien dużej sali Granitowego Pałacu, by objąć całe wybrzeże wraz z zatoką; po naświetleniu zanurzył kliszę w utrwalaczu. Kiedy przypatrzył się jej dokładnie, dostrzegł małą plamkę, zaledwie widoczną na samym horyzoncie. Usiłował kilkakrotnie ją zmyć, lecz to mu się nie udawało.

— To zapewne jakaś wada w szkłe — pomyślał.

Z ciekawości zaczął ją badać przy pomocy szkła powiększającego, które wyjął z lunety.

Zaledwie jednak rzucił nań wzrokiem, wydał głośny krzyk i klisza omal nie wypadła mu z ręki. Pobiegł natychmiast do pokoju, w którym znajdował się Cyrus Smith, podał inżynierowi kliszę wraz ze szkłem powiększającym i pokazał małą plamkę.

Cyrus Smith spojrział na punkcik, potem zerwał się i chwyciwszy lunetę, podbiegł do okna. Dokładnie obejrzał cały widnokrąg, zatrzymał się na wskazanym punkcie, następnie odejmując lunetę od oka, wyrzekł tylko to jedno słowo: „Okręt”!

CZEŚĆ TRZECIA

ROZDZIAŁ I

Zguba czy ocalenie? — Ayrton wezwany. — Ważne pytanie. — To nie „Duncan”! — Podejrzany statek. — Środki ostrożności. Okręt się zbliża. — Strzał armatni. — Dwumasztowiec zarzuca kotwicę w pobliżu wyspy. — Nadchodzi noc.

Od dwóch i pół roku, to jest od chwili, w której nasi rozbitkowie zostali wrzuceni na Wyspę Lincoln, nie zdołali jeszcze nawiązać kontaktu z resztą świata. Wprawdzie reporter próbował porozumieć się z zamieszkanymi krajami za pomocą krótkiej notatki z informacją o ich dramatycznym położeniu, przywiązanej do szyi albatrosa. Nie można było jednak liczyć na szczęśliwy wynik takich usiłowań. Teraz nagle, 17 października, w pobliżu wyspy niespodziewanie pojawił się statek, na morzu zawsze dotąd pustym. Nie można było mieć wątpliwości — to był okręt! Lecz czy popłynie dalej, czy się zatrzyma? Na to pytanie osadnicy nie potrafili jeszcze odpowiedzieć.

Cyrus Smith z Harbertem, przywołali Gedeona Spilett, Penkroffa i Naba do dużej sali Granitowego Pałacu i zawiadomili ich o tym nadzwyczajnym zdarzeniu. Penkroff chwytając lunetę podbiegł do okna i po chwili zawołał głosem nie zdradzającym większego entuzjazmu:

— Do licha! To rzeczywiście okręt!

— Czy zbliża się do nas? — zapytał Gedeon Spilett.

— Trudno to jeszcze stwierdzić — odparł Penkroff — bo dotąd widać nad horyzontem tylko maszty i żagle, lecz ani kawałka kadłuba.

— Co mamy teraz robić? — zapytał Harbert.

— Czekać — odparł Cyrus Smith.

I przez dość długi czas osadnicy milczeli, pełni obawy i nadziei. Bez wątpienia nie znajdowali się wcale w rozpaczliwym położeniu rozbitków wyrzuconych na jałową wysepkę, walczących z wrogą przyrodą o utrzymanie się przy życiu, tęskniących nieustannie za światem i ludźmi. Okręt ten wiozł ludzi podobnych do nich, więc łatwo zrozumieć, że na jego widok żywiej zabiły im serca.

Penkroff od czasu do czasu brał lunetę do ręki, stawał przy oknie i z niezmierną uwagą śledził okręt, oddalony jakieś dwadzieścia mil na wschód. Osadnicy nie mogli dotąd żadnym znakiem zwrócić na siebie uwagi. Wywieszonej flagi nie dostrzeżono by z okrętu, nie usłyszano huku strzelby, nie zauważono zapalonego ognia. Nie ulegało wątpliwości, że wyspa, posiadająca wysoką górę, na pewno nie ujdzie uwagi dyżurnego marynarza, ale czy pomimo to okręt nie popłynie dalej? Przecież tylko ślepy przypadek mógł go zapędzić w tę część Oceanu Spokojnego.

W odpowiedzi na dręczące wszystkich wątpliwości Harbert zapytał:

— Czy to jest może „Duncan”?

„Duncan”, jak wiemy, był jachtem lorda Glenarvan, który wysadził Ayrtona na wyspie Tabor i miał kiedyś po niego wrócić. Wyspę Tabor dzieliło tylko sto pięćdziesiąt mil od Wyspy Lincoln, więc statek płynący po Ayrtona mógł być widoczny z Granitowego Pałacu.

— Trzeba uprzedzić Ayrtona — powiedział Gedeon Spilett — i natychmiast go tutaj wezwać. Tylko on może stwierdzić, czy jest to „Duncan”.

To zdanie poparli wszyscy, więc reporter zatelegrafował do zagrody: „Przyjdź, jak możesz najszybciej!”

W kilka minut później odezwał się młotek telegraficzny. Ayrton odpowiedział:

„Przychodzę!”

Osadnicy nadal obserwowali manewry okrętu.

— Jeżeli to jest „Duncan” — powiedział Harbert — to Ayrton pozna go bez trudu, gdyż dość długo na nim pływał.

— A kiedy go pozna — dodał Penkroff — na pewno bardzo się wzruszy!

— Zapewne — odparł Cyrus Smith — lecz Ayrton zasłużył sobie, by wrócić na pokład „Duncana”, a dałby Bóg, żeby to rzeczywiście był jacht lorda Glenarvan. Każdy inny okręt uznałbym za podejrzany! Te strony Oceanu bywają rzadko uczęszczane, a ja się zawsze boję odwiedzin malajskich korsarzy!

— Będziemy się bronić! — zawołał Harbert.

— Oczywiście — odparł z uśmiechem inżynier. — Lepiej jednak, by nie było takiej potrzeby.

— Pozwólcie na jedną uwagę — rzekł Gedeon Spilett. — Wyspa Lincoln jest nieznaną żeglarzom, gdyż nie ma jej nawet na najnowszych mapach. Czy więc nie sądzisz, Cyrusie, że jest to jeszcze jeden powód, by okręt, który niespodziewanie odkryje nowy ląd, zbliżył się do niego i zwiedził go, zamiast minąć obojętnie?

— Naturalnie — odparł inżynier.

— Dobrze — powiedział Penkroff. — Przypuśćmy, że okręt tu przybije, że zarzuci kotwicę kilkaset sążni od wyspy; co wtedy zrobimy?

Na to pytanie, postawione tak niespodziewanie, początkowo nikt nie znalazł odpowiedzi. Dopiero Cyrus Smith po pewnym namyśle odparł swym zwyczajnym, spokojnym tonem.

— Postąpimy tak, jak powinniśmy: skontaktujemy się z okrętem, wejdziemy na jego pokład i opuścimy tę wyspę, wzięwszy ją uprzednio w posiadanie w imieniu Stanów Zjednoczonych Ameryki. Później powrócimy tu z ludźmi, którzy będą chcieli ją skolonizować.

— A jeśli ktoś tu osiadzie podczas naszej nieobecności? — zapytał Gedeon Spilett.

— Do kroćset diabłów! — zawołał marynarz. — Raczej sam tu zostanę na straży i, jakem Penkroff, nikt mi jej nie ukradnie!

Przez całą godzinę trudno było stwierdzić, czy okręt zbliża się do Wyspy Lincoln, czy nie. Jednak zbliżał się faktycznie, ale dokąd był kierowany, tego Penkroff nie mógł rozpoznać. Ponieważ wiatr wiał od strony północno-wschodniej, można było z pewnym prawdopodobieństwem przypuszczać, że żagle były zwrócone ku prawej stronie okrętu. Pomyślny wiatr ułatwiał zbliżanie się do wyspy, a przy tak spokojnym morzu można to było uczynić bez ryzyka, pomimo że głębokość wody nie była oznaczona na mapie.

Okolo czwartej — w godzinę po otrzymanym wezwaniu — przybył do Granitowego Pałacu Ayrton. Wszedł do dużej sali i rzekł:

— Jestem na wasze rozkazy, panowie.

Cyrus Smith jak zwykle wyciągnął do niego rękę i prowadząc go do okna, powiedział:

— Wezwaliśmy cię tu, Ayrtonie, z bardzo ważnego powodu. Jakiś okręt znajduje się w pobliżu wyspy.

Ayrton niezmiernie pobrał i bardzo się zmieszał. Następnie, wychyliwszy się przez okno, przebiegł wzrokiem widnokrąg, lecz niczego nie dostrzegł.

— Weź do ręki lunetę — rzekł Gedeon Spilett — i patrz uważnie; być może to „Duncan” wraca, by zabrać cię do ojczyzny.

— „Duncan”? — wyszeptał Ayrton. — Tak szybko?

To ostatnie słowo jakby mimowolnie wyniknęło się z ust Ayrtona, który, wsparł głowę na obu rękach i stał nieruchomo. Więc dwanaście lat na bezludnej wysepce nie wydawało mu się jeszcze dostateczną karą? Najwyraźniej nie czuł się jeszcze rozgrzeszony we własnych oczach i w oczach innych!

— Nie! — zawołał. — Nie! To nie może być „Duncan”!

— Patrz uważnie, Ayrtonie — rzekł na to inżynier. — Musimy wiedzieć, jak postępować.

Ayrton wziął lunetę i zwrócił ją we wskazaną stronę. Przez kilka minut śledził widnokrąg nie poruszając się, nie mówiąc ani słowa. Następnie odezwał się:

— Jest to na pewno okręt, ale ja wątpię, czy to „Duncan”.

— Dlaczego? — zapytał Gedeon Spilett.

— Dlatego, że „Duncan” jest jachtem parowym, a nigdzie nie dostrzegłem śladu dymu, ani nad okrętem, ani obok niego.

— A może on płynie tylko za pomocą żagli? — zauważył Penkroff. — Wiatr ma pomyślny, a będąc tak daleko od jakiegokolwiek znanego łądu, stara się oszczędzać węgiel.

— Może pan ma słuszość, panie Penkroffie — odparł Ayrton. — Być może zgasili paleniska. Niech więc okręt zbliży się trochę do brzegów, a wtedy będziemy wiedzieli, czego się mamy spodziewać.

Tymczasem okręt zbliżył się nieco do wyspy. Przy pomocy lunety można było poznać, że był to dalekomorski statek, a nie jedna z owych łodzi malajskich, jakich używają zazwyczaj korsarze na Pacyfiku. Pozwalało to sądzić, że obawy inżyniera były bezpodstawne i że przyplłynięcie tego statku nie groziło żadnym niebezpieczeństwem. Penkroff, nie spuszczać zeń oka, stwierdził, że jest to dwumasztowy okręt żaglowy i że zaczyna omijać wyspę; potwierdził to Ayrton.

— Co zrobimy w nocy? — zapytał Gedeon Spilett. — Czy zapalimy ogień, aby dać znak naszej obecności?

Była to bardzo ważna kwestia; pomimo swoich podejrzeń i przeczuć, inżynier rozstrzygnął ją twierdząco. W ciągu nocy okręt mógł zniknąć, odplynać na zawsze, a czy drugi statek zbliży się kiedykolwiek do Wyspy Lincoln?

Postanowiono zatem, że Nab i Penkroff udadzą się do Przystani Balonowej i gdy noc zapadnie, rozpalą wielki ogień, którego blask będzie musiał zwrócić uwagę załogi dwumasztowca. Lecz właśnie w chwili, gdy Nab z marynarzem przygotowywali się do drogi, okręt nagle zmienił kurs i zwrócił się prosto w stronę wyspy, w kierunku Zatoki Stanów Zjednoczonych.

Nab i Penkroff pozostali, a lunetę powierzono Ayrtonowi, żeby mógł z całą pewnością przekonać się, czy ten statek to „Duncan”, czy nie.

Widnokrąg był zupełnie czysty. Wkrótce Ayrton opuścił lunetę i powiedział:

— Nie, to nie „Duncan”! To nie może być on!...

Penkroff wziął od niego lunetę i zaczął się przyglądać; poznał, że jest to doskonale zbudowany statek, odznaczający się dużą szybkością. Lecz do jakiego państwa należał — trudno było określić.

— A jednak na jego maszcie powiewa jakaś bandera — rzekł Penkroff — lecz nie mogę rozróżnić jej barwy.

Wieczór zaczął zapadać, a wraz z nim ustawał wiatr. Flaga okrętowa, nie poruszana wiatrem, zaplatała się między sznury żaglowe i coraz trudniej było ją obserwować.

— Nie, to nie jest amerykańska flaga — powtarzał od czasu do czasu Penkroff — ani angielska, której czerwony kolor zaraz zwracałby uwagę; to nie są także barwy francuskie ani niemieckie, ani biała flaga rosyjska, ani żółta hiszpańska... Zdaje się, że jest jednego koloru... zaraz, zaraz... jakie statki na tych morzach można spotkać najczęściej?... Może to flaga chilijska? Ale ona jest trójkolorowa... Może brazylijska? Zielona... Japońska? Czarno-żółta... podczas gdy ta...

W tej chwili wiatr rozwinął niewidoczną dotąd flagę. Ayrton pochwycił lunetę, którą marynarz opuścił, przyłożył ją do oka i zawołał głuchym głosem: — To czarna flaga!...

Rzeczywiście, ciemna płachta powiewała ponuro na maszcie okrętu. Słusznie można było spodziewać się najgorszego. Czyżby przeczucia inżyniera sprawdziły się? Więc to był okręt

piracki? Może na tej nieznannej wyspie chciał znaleźć wygodne schronienie na zrabowane towary? Może szukał u jej brzegów przystani, aby spędzić w niej zimowe miesiące? Uczciwa osada miałyby się zmienić w schronienie zbójców — coś w rodzaju korsarskiej stolicy?

Nie można było dłużej tracić czasu.

— Przyjaciele — rzekł Cyrus Smith. — Może ten statek chce tylko zbadać wybrzeża wyspy? Może jego załoga wcale tu nie wylądowała? To rzecz możliwa. Jednakże powinniśmy starać się ukryć naszą obecność. Młyn postawiony na Wielkim Płaskowyżu najbardziej zwraca uwagę. Niech więc Ayrton z Nabem zdejmą z niego skrzydła. Przysłońmy także okna Granitowego Pałacu gęstymi gałęziami. Wszystkie ognie trzeba pogasić, aby nic nie zdradzało obecności ludzi na tej wyspie.

— A nasz statek? — zapytał Harbert.

— Och! On jest bezpiecznie ukryty w Przystani Balonowej — odparł Penkroff. — Te łotry nigdy go nie znajdą!

Polecenia inżyniera spełniono natychmiast. Nab i Ayrton udali się na płaskowyż i starali się zatrzeć wszelkie ślady. W czasie, gdy byli zajęci tą pracą, ich towarzysze na skraj lasu, skąd przynieśli wielki stos gałęzi i wikliny, które miały zamaskować otwory w granitowej ścianie. Równocześnie przygotowano broń i amunicję, szykując się na niespodziewany atak.

Kiedy ukończono przygotowania, Cyrus Smith zapytał:

— Przyjaciele — w jego głosie można było zauważyć wzruszenie. — Gdy ci nędznicy będą chcieli opanować Wyspę Lincolna, będziemy jej bronić, prawda?'

— Tak jest, Cyrusie — odparł reporter — a gdy trzeba będzie, zginiemy w jej obronie!

Inżynier wyciągnął rękę, którą uścisnęli serdecznie.

Tylko Ayrton, siedząc w kącie, nie przyłączył się do osadników. Może dawny przestępca nie czuł się jeszcze ich godny? Cyrus Smith zrozumiał, co działo się w duszy Ayrtona; podszedł więc do niego i zapytał:

— A ty co będziesz robił, Ayrtonie?

— Spełnię swoją powinność — odparł Ayrton, po czym stanął przy oknie i zaczął wpatrywać się w morze.

Było wtedy wpół do ósmej. Niebo na wschodzie powoli ciemniało. Dwumasztowiec zbliżał się tymczasem do Zatoki Stanów Zjednoczonych.

Był oddalony o jakieś osiem mil. Czy wpłynie do zatoki i rzuci tam kotwice. A może poprzestanie na zbadaniu wybrzeży i nie wysadzając na ląd załogi — wypłynie znów na pełne morze? Osadnikom nie pozostawało nic innego, jak tylko cierpliwie czekać.

Cyrus Smith był bardzo zaniepokojony czarną banderą statku. Czyżby korsarze znali już wcześniej wyspę? Może mieli tu swoje kryjówki, może poprzez ich obecność dałoby się wyjaśnić zagadkowe wypadki?

Zapadła noc. Księżyc nic było na niebie, był właśnie czas nowiu. Głęboka ciemność pokryła wyspę i morze. Ciężkie chmury nagromadzone na widnokręgu nie przepuszczały najbledszego światła. Po zapadnięciu zmroku wiatr ustał całkowicie. Okreću nie było zupełnie widać, widocznie wszystkie światła na nim zostały pogaszone, a jeśli znajdował się jeszcze blisko wyspy, nie można było nawet stwierdzić, w którym miejscu.

— Kto wie? — rzekł Penkroff — Może ten przeklęty statek odpłynie sobie w nocy i jutro nie znajdziemy po nim śladu?

Jakby w odpowiedzi na te słowa jaskrawe światło rozlało się nagle po morzu, a potem zahuczał strzał armatni.

Okreć znajdował się więc już w zatoce i miał na pokładzie działa. Sześć sekund upłynęło między błyskiem a hukami. Można było z tego wywnioskować, że dwumasztowiec oddalony był

o półtorej mili od wybrzeży. Jednocześnie dał się słyszeć głuchy zgrzyt łańcucha, przesuwającego się przez otwór na dziobie okrętu.

Statek zarzucił kotwicę na wprost Granitowego Pałacu.

ROZDZIAŁ II

Narady. — Przeczucia. — Propozycja Ayrtona. — Propozycja przyjęta. — Ayrton i Penkroff udają się na wysepkę Granta. — Więźniowie z Norfolk. — Ich plany. — Bohaterski czyn Ayrtona. — Powrót. — Sześciu przeciw pięćdziesięciu!

Nie było już najmniejszej wątpliwości co do zamiarów korsarzy. Zarzucili kotwicę w pobliżu wyspy i było jasne, że zamierzali nazajutrz przybić do jej brzegów.

Cyrus Smith i jego towarzysze byli gotowi na wszystko. Mieli nadzieję, że ich obecność ujdzie uwagi piratów, jeżeli wylądują tylko na brzegu i nie będą się zapuszczali w głąb wyspy. Być może mieli tylko zamiar uzupełnić swój zapas słodkiej wody z Rzeki Miłosierdzia.

Lecz co znaczyła ta flaga wywieszona na dziobie okrętu? Co znaczył ten strzał armatni? Mogła to być tylko zabawa, lecz mogło to także znaczyć, że zamierzali objąć wyspę w posiadanie! Cyrus Smith wiedział teraz, że okręt był dobrze uzbrojony. A czym mogli osadnicy Wyspy Lincolna odeprzeć atak dział? Kilkoma strzelbami.

— Mimo wszystko — zauważył Cyrus Smith — Granitowy Pałac jest nie do zdobycia. Nieprzyjaciel nie będzie mógł znaleźć otworu kanału odpływowego, ponieważ jest teraz ukryty w trzcinie i zaroślach.

— Ale nasze plantacje, nasze kurniki, nasza zagroda, w ogóle wszystko! — zawołał Penkroff, tupiąc nogą. — W kilka godzin mogą to wszystko spustoszyć, zniszczyć!

— Mogą, Penkroffie — odparł Cyrus Smith — i my nie potrafimy im w tym w żaden sposób przeszkodzić.

— Ilu ich jest? — spytał reporter. — Jeśli nie więcej niż kilkunastu, potrafimy ich odeprzeć, lecz jeśli jest ich czterdziestu, pięćdziesięciu lub więcej!...

— Panie Smith — rzekł na to Ayrton, podchodząc do inżyniera. — Pozwoli mi pan uczynić jedną rzecz?

— Jaką, przyjacielu?

— Chcę wejść na okręt, aby się przekonać o sile załogi.

— Ależ, Ayrtonie... — odparł, wahając się inżynier. — Narazisz swe życie...

— Dlaczego nie, panie Smith?

— To byłoby więcej niż wymaga twój obowiązek.

— Bo ja mam do spełnienia coś więcej, niż tylko obowiązek — odparł Ayrton.

— Chcesz dopłynąć czółnem aż do samego okrętu? — zapytał Gedeon Spilett.

— Nic, panie, popłynę wplaw. Czółno nie przepłynęłoby tam, gdzie może przepłynąć człowiek.

— Czy wiesz o tym, że okręt jest oddalony o półtorej mili od brzegu? — zapytał Harbert.

— Jestem dobrym pływakiem, panie Harbercie.

— Powtarzam ci, że narażasz się na śmierć — rzekł po raz drugi inżynier.

— Mniejsza o to — odparł Ayrton. — Panie Smith, proszę pana o to, jak o łaskę. Tylko w ten sposób będę mógł nabrać szacunku dla siebie.

— Idź więc, Ayrtonie — odparł inżynier, czując, że odmowa zasmuciłaby głęboko dawnego przestępcę, który teraz został uczciwym człowiekiem.

— Pójdę z tobą — rzekł Penkroff.

— Nie dowierzacie mi? — zawołał żywo Ayrton. Następnie dodał pokornie: — Niestety!

— Nie! Nie! — odparł żywo inżynier. — Nie, Ayrtonie! Penkroff nie wątpi w ciebie! Żle zrozumiałeś jego słowa.

— Tak jest — powiedział marynarz. — Chciałem cię tylko odprowadzić do wysepki. Być może, chociaż nie jest to prawdopodobne, któryś z tych łotrów wylądował już na niej, a w takim razie przyda się dwóch ludzi, aby przeszkodzić mu w zaalarmowaniu pozostałych. Będę czekał na wysepce; na okręt udasz się sam, skoro tego chcesz.

Po zapadnięciu decyzji Ayrton zaczął przygotowywać się do wyprawy. Zamiar jego był zuchwały, ale w ciemnościach mógł się udać. Podpłynąwszy do okrętu Ayrton mógł, uwiesiwszy się na drabince sznurowej, zorientować się w ilości ludzi, a może nawet dowiedzieć się i o zamiarach korsarzy.

Ayrton z Penkroffem, odprowadzeni przez resztę towarzyszy, zeszli na brzeg morza. Ayrton zrzucił z siebie ubranie i natarł ciało tłuszczem, aby złagodzić tym sposobem zimno wody. Należało liczyć się z tym, że mógł pozostać w niej kilka godzin.

Penkroff i Nab udali się tymczasem po czołno przycumowane przy brzegu Rzeki Miłosierdzia, a gdy wrócili, Ayrton był już gotowy Zarzucono mu okrycie na plecy, po czym wszyscy osadnicy po kolei uścisnęli mu dłoń. Ayrton i Penkroff wsiedli do czołna.

Było wpół do jedenastej w nocy, gdy zniknęli w ciemnościach. Reszta towarzyszy udała się do Kominów, aby tam na nich czekać.

Kanał przebyli z łatwością i czołno dopłynęło do przeciwległego brzegu wysepki. Zrobili to z wielką ostrożnością na wypadek, gdyby korsarze zaczęli się w tym miejscu. Wkrótce jednak przekonali się, że wysepka była pusta. Ayrton i Penkroff przeszli ją więc szybko wzdłuż, płosząc po drodze ptactwo gnieźdzące się na skałach, po czym Ayrton bez wahania rzucił się w morze i cicho, bez najmniejszego szmeru, płynął w stronę okrętu, którego położenie zdradzało kilka świateł.

Penkroff ukrył się na brzegu w wydrążeniu skalnym i oczekiwał powrotu towarzysza.

Ayrton płynął lekko, bez najmniejszego szmeru. Głowę zaledwie wychylał z wody, a oczy utkwiał w ciemnej bryle okrętu, którego światła odbijały się w morzu. Pół godziny później, nie dostrzeżony przez nikogo, dopłynął do statku i chwycił się jedną ręką drabinki sznurowej. Odpoczął chwilę, po czym wspinając się po łańcuchach, dostał się na burtę. Tu suszyło się kilka par spodni marynarskich. Ubrał jedno z nich i z ukrycia zaczął się przysłuchiwać.

Na pokładzie okrętu nikt jeszcze nie spał. Rozmawiano, śpiewano, śmiano się. Do Ayrtona dotarła następująca rozmowa:

- Dobry nabytek, ten nasz dwumasztowiec!
- Dzielnie pływa nasz „Speedy”*, nie ma co mówić! Zasługuje na swą nazwę!
- Cała marynarka z Norfolk może puścić się za nim w pogoń i nie dopędzi go!
- Hurra! Niech żyje nasz dowódca!
- Hurra! Niech żyje Bob Harvey!

Łatwo sobie wyobrazić jakie wrażenie wywarł na Ayrtonie ten podsłuchany urywek rozmowy, gdy przypomnimy, że ów Bob Harvey był jego dawnym towarzyszem z Australii, zuchwałym marynarzem, który wstąpił na drogę pirackich rozbojów. Bob Harvey zdobył w okolicach wyspy Norfolk ten statek naładowany bronią, amunicją i różnymi narzędziami, które miały być przewiezione na jedną z wysp Sandwich.

Jego banda dostała się na okręt i zmieniawszy się ze skazańców w korsarzy grasowała po Oceanie Spokojnym, napadając na statki i mordując załogi. Byli bardziej dzicy i okrutniejsi od Malajczyków.

Zbrodniarze rozprawiali głośno, chwając się swymi zbrodniami i pijąc bez miary, i oto, co dalej Ayrton podsłuchał z ich rozmowy:

* Speedy (ang.) — szybki.

Załoga „Speedy’ego” składała się z samych skazańców angielskich, zbiegłych z Norfolk.

Norfolk jest małą, skalistą wysepką, mającą sześć mil obwodu; znajduje się tam więzienie, w którym zostają osadzeni najbardziej niebezpieczni zbrodniarze angielscy. Jest ich tam około pięciuset, poddanych żelaznej dyscyplinie; strzeże ich stu pięćdziesięciu żołnierzy i stu pięćdziesięciu urzędników pod rozkazami gubernatora. Trudno sobie wyobrazić, jak strasznych zbrodni dopuścili się ci skazańcy. Czasami — jakkolwiek rzadko — pomimo nadzwyczaj ścisłego dozoru, kilku z nich udaje się uciec na okrętach, które opanowują podstępem; wówczas krążą po archipelagach polinezyjskich.

Tak właśnie postąpił Bob Harvey i jego towarzysze; podobnie chciał niegdyś zrobić Ayrton. Bob Harvey opanował dwumasztowiec „Speedy”, stojący na kotwicy koło wyspy Norfolk; załogę zabito i już od roku okręt ten jako statek korsarski grasował po Pacyfiku pod dowództwem Harveya, niegdyś kapitana statku dalekomorskiego, a dziś korsarza.

Większa część piratów zebrała się w kajucie oficerskiej na rufie okrętu; niektórzy jednak, leżąc na pokładzie, głośno rozmawiali z sobą.

Z rozmowy tej, przerywanej głośnymi okrzykami i toastami, dowiedział się Ayrton, że tylko przypadek sprowadził „Speedy’ego” w okolice Wyspy Lincolna. Bob Harvey nigdy dotąd na niej nie był, lecz jak to przewidział Cyruss Smith, napotkawszy po drodze nieznaną wyspę, której żadna mapa nie uwzględniała, postanowił ją zwiedzić, i w przypadku gdyby okazała się przydatna, uczynić z niej bazę i port dla swojego statku.

Posiadłościom naszych osadników zagrażało wielkie niebezpieczeństwo. Nie było wątpliwości, że wyspa ze swymi źródłami słodkiej wody, małą przystanią, różnorodnymi bogactwami naturalnymi, które tak umiejętnie wykorzystywali osadnicy oraz kryjówkami w głębi Granitowego Pałacu, mogła przypaść do gustu korsarzom; w ich rękach stałaby się doskonałym schronieniem, a to, że była nieznaną, zapewniałoby im na długi czas bezkarność i bezpieczeństwo. Oczywiście rzeczą było także, że nie oszczędziliby osadników i że pierwszym krokiem Boba Harveya i jego wspólników byłoby wymordowanie wszystkich bez litości. Cyrusowi Smithowi i jego towarzyszącej nie pozostawała nawet możliwość ucieczki i ukrycia się w głębi wyspy, zbójcy bowiem mieli zamiar na niej osiąść. Nawet w wypadku, gdyby „Speedy” odpłynął, to i wówczas pozostawiliby na wyspie część załogi. Trzeba więc było z nimi walczyć.

Lecz czy możliwy był opór, a wreszcie zwycięstwo? Zależało to od uzbrojenia okrętu i od liczebności jego załogi.

O tym postanowił się przekonać Ayrton. Gdy po godzinie krzyki zaczęły się uciszać, a większa część korsarzy pogrążona już była w pijackim śnie, Ayrton, nie wahając się ani chwili, wszedł na pokład „Speedy’ego”, na którym z powodu pogaszonych latarni panowała całkowita ciemność.

Wdrapał się na burtę i po przednim maszcie dostał się na podwyższenie, znajdujące się na dziobie okrętu. Opuściwszy się stamtąd pomiędzy śpiących piratów, obszedł dokoła cały okręt i spostrzegł, że „Speedy” uzbrojony był w cztery działa, strzelające jak się zdawało ośmio- do dziesięciofuntowymi kulami. Dotykając ich przekonał się, że były to działa nabijane od tyłu, nowoczesne, których obsługa jest łatwa, a skutki groźne.

Piratów leżących na pokładzie było około dziesięciu, ale reszta prawdopodobnie musiała spać w środku. Sądząc po głosach, Ayrtonowi wydawało się, że było ich pięćdziesięciu. Na sześciu osadników Wyspy Lincolna to za dużo! Lecz dzięki poświęceniu Ayrtona Cyrus Smith będzie dokładnie powiadomiony o sile nieprzyjaciela i może zaplanować dalsze działania.

Mógł więc wracać do towarzyszy i zdać relację ze swojej wycieczki. W tym momencie człowiekowi temu, który — jak sam powiedział — chciał spełnić coś więcej, a nie tylko wykonać obowiązek, przyszła myśl, aby poświęcić życie dla ocalenia wyspy i kolonistów.

Oczywiste było, że Cyrus Smith nie mógł stawić oporu pięćdziesięciu zbójcom, posiadającym różnorodną broń i że ci, wtargnąwszy do Granitowego Pałacu lub wzięwszy głodem oblężonych tam osadników, musieli w końcu odnieść nad nimi zwycięstwo. I wtedy wyobraził sobie swoich zbawców, tych, którzy uczynili go na powrót człowiekiem i to człowiekiem uczciwym wymordowanych bez litości, ich pracę obróconą w perzynę, wyspę zamienioną w zbójcką fortecę! Powiedział sobie, że w rezultacie on jest główną przyczyną całego tego nieszczęścia, ponieważ jego dawny towarzysz, Bob Harvey, został tylko wykonawcą jego własnych pomysłów. Na tę myśl ogarnęło go uczucie grozy. Owładnęła nim niepokohamowana ochota wysadzenia w powietrze okrętu ze wszystkim, co się na nim znajdowało. Wiedział, że zginie w tym wybuchu, lecz czuł, że spełni swój obowiązek.

Nie wahał się więc ani chwili. Nietrudno było dostać się do składów prochu położonych zawsze na rufie okrętu. Prochu na pewno było pod dostatkiem na statku trudniącym się podobnym procederem, a malutka iskierka wystarczała, aby go w jednej chwili wysadzić w powietrze.

Ayrton ześliznął się ostrożnie na międzypokład, na którym leżało kilku śpiących korsarzy, obezwładnionych bardziej pijaństwem niż snem. Latarnia paliła się u stóp wielkiego masztu, dokoła którego wisiała wszelkiego rodzaju broń palna.

Ayrton zdjął jeden rewolwer i zabrał go, przekonawszy się, że był nabity. To mu wystarczało do spełnienia dzieła zniszczenia. Poczłogał się więc w stronę rufy okrętu, aby dostać się pod kajutę oficerską, gdzie musiał się znajdować skład z prochem.

Na pokładzie panowała prawie zupełna ciemność i Ayrton musiał przekradać się ostrożnie, uważając, by nie potrącić kogoś z korsarzy. Kilkakrotnie musiał się zatrzymywać. W końcu jednak dotarł do ściany oddzielającej rufę i odnalazł drzwi prowadzące do składów prochu. Musiał je natychmiast otworzyć. Trudno to było zrobić bez hałasu, gdyż trzeba było rozbić kłódkę. Lecz w silnej dłoni Ayrtona kłódka pękła i drzwi się otworzyły...

W tej samej chwili Ayrton poczuł czyjaś rękę na ramieniu.

— Co tu robisz? — zapytał Bob Harvey, chwytając Ayrtona za pasek od spodni.

Lecz Ayrton, nie odpowiedziawszy ani słowa, silnym pchnięciem odtrącił herszta piratów, a sam usiłował wtargnąć do prochowni. Jeden strzał rewolwerowy pomiędzy beczki z prochem i wszystko by się skończyło!...

— Do mnie, chłopcy! — huknął Bob Harvey.

Dwóch lub trzech przebudzonych piratów, zerwało się na nogi i rzuciwszy się na Ayrtona, próbowało go powalić; Ayrton potężnym ciosem uwolnił się z ich rąk. Zagrzmiały dwa strzały rewolwerowe i dwóch zbójców upadło na ziemię, lecz w tej samej chwili pchnięcie noża, przed którym nie mógł się uchylić, zraniło Ayrtona w ramię. Zrozumiał, że nie wykona swojego zamiaru. Bob Harvey zamknął z powrotem drzwi od prochowni, a na pomoście zaczął się ruch, świadczący o przebudzeniu się zbójców. Ponieważ nie mógł zginąć waz z okrętem, Ayrton postanowił walczyć przy boku Cyrusa Smitha. Pozostawała mu więc tylko ucieczka. Ale ucieczka była nader trudna.

Pozostały mu jeszcze cztery kule. Dwie już wystrzelił, jedną z nich w kierunku Boba Harveya, lecz albo go wcale nie trafił, albo tylko niegroźnie. Korzystając z chwilowego cofnięcia się nieprzyjaciół, wskoczył na drabinę, chcąc dostać się na pokład okrętu. Biegając koło latarni, stłukł ją uderzeniem kolby, przez co zapanowała zupełna ciemność, która pomogła mu w ucieczce.

Zbudzeni odgłosem strzałów rozbójnicy zaczęli wchodzić na drabinę, strzał oddany z rewolweru przez Ayrtona strącił jednego z nich na dół, a reszta rozpierzchnęła się, nie pojmując co się dzieje. Ayrton w dwóch susach znalazł się na pokładzie okrętu, a w trzy sekundy później,

wypaliwszy ostatni strzał w głowę pirata, który go chwycił za kark, wdrapał się po linie i rzucił w morze.

Zaledwie odpłynął sześć sążni od statku, posypał się za nim grad kul. Wyobraźmy sobie, jaki niepokój odczuwał Penkroff, ukryty między skałami na wysepce, a także Cyrus Smith, reporter, Harbert i Nab, schowani w Kominach, gdy usłyszeli huk strzałów na pokładzie statku! Wszyscy wybiegli na brzeg morza ze strzelbami na ramieniu, gotowi odeprzeć każdy atak. Nie wątpili, że Ayrton został schwytany i zamordowany przez korsarzy i że zbójcy, korzystając z ciemności, próbują wylądować na wyspie.

Upłynęło pół godziny wśród śmiertelnej trwogi. Strzały ucichły, lecz ani Ayrton, ani Penkroff nie wracali. Może korsarze zaatakowali wysepkę? Może należało biec na pomoc Ayrtonowi i Penkroffowi? Ale jak? Zaczął się przyływ; nie można więc było przebyć kanału wpław. Drugiego czołna nie mieli. Łatwo więc zrozumieć okropny niepokój Cyrusa Smitha i jego towarzyszy.

Wreszcie około wpół do pierwszej w nocy przybiło do brzegu czołno z Ayrtonem, lekko rannym w ramię i Penkroffem, który na szczęście był zdrow i cały. Wszyscy weszli do Kominów. Tu Ayrton opowiedział szczegóły swej wyprawy, nie tając także zamiaru wysadzenia okrętu w powietrze.

Położenie kolonistów było bardzo groźne; korsarze zostali zaalarmowani. Wiedzieli już teraz, że Wyspa Lincoln jest zamieszkana. Można się było spodziewać, że wylądują w znacznej liczbie i dobrze uzbrojeni i że nie będą oszczędzać nikogo i niczego. Osadnicy nie mogli liczyć na ich litość.

— Więc dobrze! Potrafimy umrzeć! — rzekł reporter.

— Wróćmy zatem i czuwajmy — odparł inżynier.

— Czy jest jakaś nadzieja ocalenia, panie Cyrusie? — zapytał marynarz.

— Jest, Penkroffie.

— Hm!... Sześciu na pięćdziesięciu!

— Tak, sześciu... nie licząc...

— Kogo? — zapytał Penkroff.

Cyrus zamiast odpowiedzi wskazał tylko ręką na niebo.

ROZDZIAŁ III

Mgła opada. — Zarządzenia inżyniera. — Trzy posterunki. — Ayrton i Penkroff. Pierwsza łódź. — Dwa inne czółna. — Na wysepce. — Korsarze na lądzie. Statek podnosi kotwice. — Strzały „Speedy’ego”. — Rozpaczliwe położenie. — Niespodziewany koniec.

Noc upłynęła bez żadnego wydarzenia. Osadnicy ciągle byli w pogotowiu i nie opuszczali Kominów. Korsarze na razie nie próbowali lądować. Od chwili, gdy przestali strzelać za Ayrtonem, żaden huk, żaden hałas nie zdradzał obecności pirackiego statku w pobliżu wyspy. Mogło się wydawać, że korsarze w przekonaniu, że mają do czynienia ze zbyt silnym nieprzyjacielem, podnieśli kotwicę i opuścili te strony.

Rzecz przedstawiała się jednak inaczej i gdy zaczęło świtać, osadnicy ujrzeni z dala, wśród mgły porannej, niewyraźny kształt. Był to „Speedy”.

— Przyjaciele — rzeki inżynier. — Zanim mgła zupełnie opadnie, musimy się odpowiednio przygotować. Teraz mgła zasłania nas przed oczami korsarzy, możemy więc działać, nie zwracając na siebie ich uwagi. Przede wszystkim trzeba wzbudzić w tych zbójach przekonanie, że mieszkańcy wyspy są liczni, a tym samym zdolni stawić im opór. Proponuję zatem, abyśmy się rozdzielili na trzy grupy, z których jedna zajmie stanowisko w samych Kominach, a druga przy ujściu Rzeki Miłosierdzia. Jeśli chodzi o trzecią grupę, najlepiej będzie umieścić ją na wysepce, aby zapobiec lub przynajmniej opóźnić wylądowanie tam korsarzy. Mamy do dyspozycji dwa karabiny i cztery strzelby. Każdy z nas będzie więc uzbrojony, a ponieważ mamy pod dostatkiem prochu i kul, nie będziemy oszczędzać amunicji. Nie potrzebujemy się obawiać ani ich ręcznej broni, ani nawet armat. Cóż one zrobią tym skalom? Ponieważ nie będziemy strzelać z okien Granitowego Pałacu, piratom nie przyjdzie na myśl rzucać tam granaty. Najgroźniejsza dla nas jest walka wręcz, ponieważ korsarze przewyższają nas liczebnie. Trzeba więc tylko nie dopuścić do ich wylądowania, nie odsłaniając zarazem siebie. A więc nie szcędźmy prochu. Strzelajmy często, ale strzelajmy celnie. Każdy z nas musi zabić ośmiu do dziesięciu nieprzyjaciół, niech więc stara się to zrobić!

Cyrus Smith dokładnie określił sytuację, a mówił to wszystko głosem tak spokojnym, jak gdyby chodziło o wykonanie zwykłej pracy, a nie o plan bitwy. Towarzysze w milczeniu słuchali jego rozkazów i zbierali się objąć wyznaczone im stanowiska.

Nab i Penkroff natychmiast udali się do Granitowego Pałacu po potrzebne zapasy amunicji. Gedeona Spiletta i Ayrtona (obaj byli doskonałymi strzelcami) uzbrojono w celne karabiny, które niosły na miłę angielską. Cztery strzelby rozdzielono między Cyrusa Smitha, Naba, Penkroffa i Harberta. j

Cyrus Smith i Harbert ukryli się w Kominach, skąd mogli ostrzeliwać całą nadbrzeże w dość szerokim promieniu. Gedeon Spilett z Nabem zaczęli się pomiędzy skałami u ujścia Rzeki Miłosierdzia, na której podniesiono wszystkie mosty i kładki aby przeszkodzić zbliżeniu się łodzi i udaremnić wylądowanie na przeciwległym brzegu. Ayrton z Penkroffem spuścili czółno na wodę: aby przepłynąć kanał i zająć dwa oddzielne posterunki na wysepce. Na wypadek gdyby nie można było przeszkodzić wylądowaniu korsarzy lub gdyby łódź; wysłana z okrętu zagrażała im odcięciem, Penkroff z Ayrtonem mieli powrócić czółnem na wyspę i udać się w najbardziej zagrożone miejsce.

Zanim zajęli swoje posterunki osadnicy uścisnęli się po raz ostatni. W chwilę później Cyrus Smith z Harbertem z jednej strony, a reporter z Nabem z drugiej, zniknęli między skałami, a w

pięć minut później Ayrton z Penkroffem,; przepłynąwszy szczęśliwie kanał, wylądowali na wysepce i ukryli się na wschodnim brzegu w parowach.

Żadnego z nich nie można było zobaczyć, było bowiem tak ciemno, że oni sami zaledwie rozróżniali statek majaczący w mgle.

Dochodziło wówczas wpół do siódmej rano. Wkrótce mgła zaczęła się powoli rozrzedzać i wynurzyły się z niej szczyty masztów okrętowych. Przez kilka chwil mgła wisiała jeszcze na powierzchni morza, po czym zerwał się wiatr i całkowicie ją rozpędził. „Speedy” ukazał się w całej okazałości; był oddalony od brzegu, jak to prawidłowo obliczył Cyrus Smith, o półtorej mili.

Na dziobie okrętu powiewała ponuro czarna bandera.

Inżynier zdołał przy pomocy lunety dostrzec, że cztery działa stanowiące artylerię okrętową wymierzone były prosto w wyspę. Widocznie czekały na rozkaz, aby dać ognia.

Tymczasem jednak „Speedy” milczał. Na pokładzie widać było około trzydziestu krzątających się korsarzy. Kilku z nich znajdowało się na dachu kajuty oficerskiej, dwaj inni, wdrapali się na gniazdo bocianie i bardzo uważnie przyglądali się wyspie przez lunety.

Rzecz pewna, że Bob Harvey i jego towarzysze z trudnością mogli zrozumieć, co się wydarzyło tej nocy na okręcie. Czy ten na pół nagi człowiek, który sześć razy strzelał do nich z rewolweru, który jednego z nich zabił, a dwóch innych ranił, czy ten człowiek jeszcze żyje? Czy zdołał wplaw przedostać się do brzegu? Skąd się wziął? Dlaczego przybył na okręt? Czy istotnie miał zamiar wysadzić okręt w powietrze, jak to przypuszczał Bob Harvey? Wszystko to było dla zbójców nie rozwiązana zagadką. Nie mogli tylko wątpić, że ta nieznaną wyspą, u brzegów której „Speedy” zakotwiczył, była zamieszкана i że posiadała najprawdopodobniej liczną kolonię, gotową do jej obrony. Lecz i na wybrzeżu, ani na nadbrzeżnych wzgórzach nie było widać żywej duszy. Czyżby mieszkańcy schronili się w głębi wyspy?

Upłynęło półtorej godziny, a na pokładzie okrętu nie widać było żadnych przygotowań ani do napaści, ani do lądowania. Bob Harvey widocznie się wahał. Przez najlepsze lunety nie mógł dostrzec żadnego z osadników ukrytych między skałami. Również okna Granitowego Pałacu, przysłonięte lianami i gałęziami, me zwróciły jego uwagi.

Okolo ósmej osadnicy zauważyli ruch na pokładzie „Speedy’ego”. Spuszczono na morze jedną szalupę, do której wsiadło siedmiu ludzi. Uzbrojeni byli w strzelby; jeden z nich stanął przy sterze, czterech usiadło przy wiosłach, a dwaj inni, przykucnąwszy na dziobie szalupy, gotowi do strzału obserwowali wyspę. Najprawdopodobniej wypłynęli tylko na rekonesans, gdyż w przypadku lądowania byłoby ich zapewne więcej.

Korsarze siedzący na szczycie głównego masztu mogli łatwo dostrzec, że wybrzeże zasłania wysepka oddzielona kanałem szerokim na około pół mili. Cyrus Smith, śledząc bieg szalupy, zauważył, że piraci przed wplynięciem do kanału chcieli wylądować na wysepce, co było zresztą z ich strony zrozumiałą ostrożnością.

Penkroff z Ayrtonem, ukryci w ciasnych parowach między skałami, ujrzeli czółno z korsarzami płynące wprost do nich; czekali jednak, aż się zbliży na odległość strzału.

Czółno zbliżało się bardzo ostrożnie. Widać było, że jeden ze zbójców siedzących na przodzie trzymał w ręku sondę i starał się zmierzyć głębokość koryta Rzeki Miłosierdzia. Oznaczało to, że Bob Harvey miał zamiar przybić do wybrzeży. Okolo trzydziestu korsarzy śledziło każde poruszenie czółna i wyszukiwało na wybrzeżach znaki ułatwiające wylądowanie.

Szalupa, zbliżyła się kilkadziesiąt sażni do wysepki i zatrzymała się. Człowiek siedzący przy sterze szukał najbardziej odpowiedniego miejsca do wylądowania.

Nagle zagrzmiały jednocześnie dwa strzały. Pirat siedzący przy sterze i jeszcze drugi padli na wznak na dno łodzi. Kule Ayrtona i Penkroffa dosięgły ich obu naraz.

W tej samej prawie chwili rozległ się silniejszy huk i kula armatnia roztrzaskała wierzchołek skały zasłaniającej Ayrtona i Penkroffa, żadnego z nich jednak nie trafiając.

Okropne przekleństwa dały się słyszeć z szalupy, która natychmiast odpłynęła. Inny zbój zastąpił u steru zabitego kolegę i wiosła żwawo zapluskały w wodzie.

Zamiast powrócić jednak do okrętu, jak się można było spodziewać, szalupa popłynęła dalej wzdłuż wysepki, aby okrążyć ją z południowego krańca i dotrzeć do ujścia Rzeki Miłosierdzia. Korsarze wiosłowali z całych sił, aby jak najprędzej znaleźć się poza zasięgiem strzałów.

Łatwo było poznać, że korsarze zamierzali tą drogą wpłynąć do kanału i odciąć drogę osadnikom znajdującym się na wysepce, a później wziąć ich w dwa ognie — z szalupy i z okrętu.

Przez kwadrans czołno posuwało się w tym kierunku. Cisza i spokój panowały na morzu i na niebie. Penkroff i Ayrton, pomimo że wiedzieli o zamiarach korsarzy, nie porzucili swoich stanowisk; częściowo dlatego, że nie chcieli się jeszcze pokazywać i narażać na kule, częściowo zaś, ponieważ liczyli na Naba i Gedeona Spilettę zaczajonych u ujścia rzeki oraz na Cyrusa Smitha i Harberta ukrytych za skalami Kominów.

W dwadzieścia minut po pierwszych strzałach łódź z piratami zbliżyła się do ujścia Rzeki Miłosierdzia na odległość kilkudziesięciu sążni. Ponieważ zaczął się właśnie przypływ, jak zwykle gwałtowny z powodu ciasnego ujścia rzeki, korsarze z trudnością utrzymywali się na środku kanału. Lecz gdy zbliżyli się na odległość strzału do ujścia Rzeki Miłosierdzia, świsnęły dwie kule i dwóch piratów padło na dno łodzi. Tak celnie strzelili Nab i Spilett. Statek odpowiedział salwą z działa, która na szczęście wyszczerbiła tylko wierzchołki skał.

W tej chwili w łodzi znajdowało się tylko trzech zdolnych do walki ludzi. Szalupa porwana przez prąd pomknęła z ogromną szybkością kanałem, minęła Cyrusa Smitha i Harberta, lecz ci nie zaryzykowali strzału z tak dużej odległości; następnie łódź, okrążywszy północny kraniec wysepki, zawróciła ku okrętowi.

Jak dotąd koloniści nie mieli powodu do uskarżania się, żaden z nich nie był ranny, nawet nie zmarnowali ani jednego strzału. Pierwsze starcie wypadło niekorzystnie dla nieprzyjaciela, którego straty wynosiły już czterech ciężko rannych, a może nawet zabitych. Gdyby korsarze nadal prowadzili walkę w ten sposób i jeszcze kilka razy próbowali wylądować czołnem, łatwo byłoby ich wystrzelać. Okazało się, jak słuszne były rozporządzenia inżyniera. Piraci musieli sądzić, że mają do czynienia z licznym i dobrze uzbrojonym przeciwnikiem i że nie tak łatwo dadzą sobie z nim radę.

Upłynęło pół godziny zanim łódź, walcząca z silnym prądem morza, dotarła do okrętu. Odezwały się głośnie krzyki, gdy wynoszono rannych na pokład, oddano jeszcze trzy lub cztery strzały armatnie, oczywiście bez żadnego skutku. Dwunastu zbójców, nieprzytomnych z wściekłości, wskoczyło do łodzi. Spuszczono zaraz potem drugą szalupę, do której wsiadło ośmiu ludzi; i podczas gdy pierwsza skierowała się ku wysepce, aby wyprzeć z niej osadników, druga zamierzała opanować ujście Rzeki Miłosierdzia.

Położenie Penkroffa i Ayrtona stawało się coraz groźniejsze. Zmuszeni byli cofnąć się na wyspę. Zaczekali jednak do chwili, gdy pierwsza łódź zbliżyła się na odległość strzału i dwie celne kule sprawiły popłoch wśród jej załogi. Penkroff i Ayrton opuścili swoje stanowiska wśród gradu kul nieprzyjacielskich, przebiegli wysepkę, wskoczyli do swego czołna i przepłynęli kanał w chwili, gdy druga szalupa korsarska dotarła do południowego cypla.

Zaledwie znaleźli się w Kominach wraz z Cyrusem Smithem i Harbertem, wysepka została opanowana przez korsarzy znajdujących się w pierwszej szalupie; piraci przebiegali ją wzdłuż, szukając nieprzyjaciela.

W tej samej prawie chwili zagrzmiały nowe strzały u ujścia Rzeki Miłosierdzia, gdzie zbliżała się druga łódź z korsarzami. Na ośmiu piratów, którzy stanowili jego załogę, dwóch zostało

śmiertelnie ranionych przez Gedeona Spiletta i Naba, a sama szalupa, pędzona prądem rzeki, wpadła na skały i rozbiła się u ujścia rzeki. Sześciu pozostałych przy życiu zbrodniarzy, unosząc broń ponad wodę, by ją uchronić od zamoczenia, zdołało wdrapać się na prawy brzeg rzeki. Widząc jednak, że są zbyt narażeni na kule, pobiegli w stronę Przylądka Rozbitków, poza zasięg strzałów.

Sytuacja wyglądała następująco: na wysepce znajdowało się dwunastu korsarzy, w tym niezawodnie kilku rannych, którzy jednakże posiadali szalupę; dodatkowo na samej wyspie wylądowało sześciu, lecz ci nie zagrażali Granitowemu Pałacowi, gdyż wszystkie mostki na Rzece Miłosierdzia były podniesione.

— Doskonale idzie! — rzekł Penkroff, wbiegając do Kominów. — Doskonale idzie, panie Cyrusie! A jak pan myśli?

— Ja myślę — odparł inżynier — że walka przybierze teraz inny obrót; nie można bowiem posądzać korsarzy o tak wielki nierozsądek, aby chcieli ją dalej prowadzić w tak niekorzystnych dla siebie warunkach!

— Na pewno nie przepłyną kanału — rzekł marynarz. — Ayrton i Spilett nie dopuszczą do tego. Ich strzały sięgają bardzo daleko.

— Bez wątpienia — odparł Harbert — ale co znaczą dwa karabiny przeciw działom okrętowym?

— O! Przecież okręt nie wpłynął jeszcze do kanału! — odparł Penkroff.

— A jeśli to nastąpi? — zapytał Cyrus Smith.

— To niemożliwe. Osiadłby na mieliźnie lub rozbiłby się o skały.

— Przeciwnie, jest to bardzo możliwe — odparł Ayrton. — Korsarze mogą wpłynąć do kanału, korzystając z przypływu, a wtedy pod ostrzałem ich dział me moglibyśmy utrzymać się na naszym stanowiskach.

— Do stu tysięcy diabłów! — zawołał Penkroff. — Zdaje się, że ci niegodziwcy podnoszą kotwicę!

— Może będziemy zmuszeni schronić się w Granitowym Pałacu? — zauważył Harbert.

— Czekajmy jeszcze — odparł Cyrus Smith.

— Lecz co stanie się z Nabem i Spilettem? — zapytał Penkroff.

— Zdołają dołączyć do nas, gdy będzie to konieczne. Bądź w pogotowiu, Ayrtonie. Teraz kolej na wasze strzały, twoje i Spiletta.

Przypuszczenie Cyrusa wydawało się słuszne: „Speedy” zaczął zbliżać się do wysepki. Przypływ miał trwać jeszcze półtorej godziny, a ponieważ fale nie podnosiły się gwałtownie, więc łatwo było kierować statkiem. Minio to Penkroff, wbrew zdaniu Ayrtona, nie przypuszczał, aby korsarze ośmielili się wprowadzić statek do kanału.

Tymczasem piraci, którzy opanowali wysepkę, tak zbliżyli się do brzegu, że tylko kanał oddzielał ich od wyspy. Uzbrojeni tylko w ręczną broń, nie mogli uczynić szkody osadnikom ukrytym w Kominach i przy ujściu Rzeki Miłosierdzia, a nie wiedząc, że przeciwnicy mają do dyspozycji dalekosiężne karabiny, sądzili, że nic im nie grozi. Przebiegali więc swobodnie wysepkę i śmiało postępowali wzdłuż jej brzegów. Złudzenie to nie trwało jednak długo — nagle odezwały się karabiny Ayrtona i Gedeona Spiletta i dwóch korsarzy upadło na ziemię. Na wysepce zapanowało zamieszanie; reszta zbrojów uciekła co tchu na drugi brzeg wysepki i wskoczywszy do szalupy, odpłynęła w kierunku statku.

— Ośmiu mniej! — zawołał Penkroff.

— Panowie — odparł Ayrton, nabijając na nowo karabin. — Sytuacja staje się groźna. Okręt rozwija żagle!

Słychać było wyraźnie szczęk łańcucha i zgrzyt windy. „Speedy” zaczął zbliżać się do wysepki. Z posterunków osadników, ustawionych przy ujściu Rzeki Miłosierdzia i w Kominach, śledzono każde poruszenie okrętu.

Położenie osadników stawało się bardzo trudne: byli narażeni na ogień dział, a nie mogli skutecznie odpowiedzieć. Czy mogli przeszkodzić korsarzom? Cyrus Smith zastanawiał się, co należy czynić w tej sytuacji. Decyzja nie była łatwa; można było zamknąć się w Granitowym Pałacu, i korzystając z zapasów żywności, wytrzymać długie oblężenie. Ale co później? Rozbójnicy i tak zostaną panami wyspy, zniszczą owoce ich pracy, a wreszcie z czasem zmuszą oblężonych do poddania się.

— Nie, nigdy, przenigdy! — powtarzał Penkroff. — Bob Harvey, jeśli jest dobrym marynarzem, nie wpłynie do kanału! Przecież wie o tym, że na wypadek burzy naraziłby okręt na zgubę! A co zrobi bez okrętu?

Tymczasem jednak okręt zbliżył się do wysepki i widać było, że sterował ku jej cypłowi. Szalupy wysłane poprzednio wskazały mu drogę do kanału, toteż zuchwale płynął w jego kierunku. Zamiar kapitana był jasny: chciał zakotwiczyć okręt naprzeciw Kominów i stamtąd kulami i granatami odpowiedzieć na strzały kolonistów.

— Korsarze zbliżają się do nas! — zawołał Penkroff.

W tej chwili Nab i Gedeon Spilett przyłączyli się do Cyrusa Smitha, Ayrtona, marynarza i Harberta. Opuścili swój posterunek przy ujściu Rzeki Miłosierdzia, skąd nie mogli nic więcej zdziałać przeciw okrętowi i przekradli się do towarzyszy.

— Co zamierzasz zrobić, Cyrusie? — zapytał reporter.

— Musimy schronić się w Granitowym Pałacu, póki jeszcze piraci nas nie widzą.

Nie było chwili do stracenia; osadnicy opuścili Kominy. Wystające skały chroniły ich przed wzrokiem korsarzy, lecz dwa lub trzy wystrzały i świst kul roztrzaskujących skały zwiastowały, że „Speedy” znajdował się już niedaleko.

W jednej chwili wskoczyli do windy, wzniesli się do drzwi Granitowego Pałacu i wpadli do głównej sali, gdzie siedzieli zamknięci Top z Jupem.

Uciekli w samą porę, gdyż prawie jednocześnie ujrzeni przez gałęzie zasłaniające okna Granitowego Pałacu, jak „Speedy” w chmurze dymu wpływał do kanału. Musieli nawet usunąć się na bok, ponieważ strzelano bez przerwy, a kule dział biły na ślepo w opuszczony dopiero co posterunek u ujścia Rzeki Miłosierdzia i w Kominy. Od pocisków pękały skaty, a każdemu wystrzałowi towarzyszyły dzikie okrzyki.

Można się było jednak spodziewać, że korsarze oszczędzą Granitowy Pałac dzięki pomysłowi Cyrusa, który kazał pozasłaniać okna gałęziami, gdy tymczasem przez otwór wejściowy wpadła do środka kula.

— Przekleństwo! Odkryli nas! — zawołał Penkroff.

Być może Bob Harvey tylko na chybił trafił kazał strzelać do ściany przysłoniętej gałęziami; po kilku jednak strzałach odsłoniły się wybite w skale otwory, a wtedy na Granitowy Pałac posypał się grad kul. Położenie osadników było rozpaczliwe. Nie byli w stanie stawić oporu tym pociskom ani uniknąć kamieni, sypiących się wokół nich. Nie zostawało im nic, jak tylko schronić się w górnej części Granitowego Pałacu, gdy wtem usłyszano jakiś huk, a po nim przeraźliwe krzyki. Cyrus Smith i jego towarzysze podbiegli do okien.

Okręt podniósł się w górę na czymś w rodzaju trąby wodnej, rozpadł się na dwie połowy i w ciągu dziesięciu sekund morskie fale pochłonięły go wraz z całą jego zbrodniczą załogą.

ROZDZIAŁ IV

Na wybrzeżu. — Cyrus i Penkroff ratują szczątki. — Rozmowa podczas śniadania. — Badanie wraku. — Nowe bogactwa. — Ostatnie szczątki. — Kawalek żelaznej rurki.

— Wylecieli w powietrze! — zawołał Harbert.

— Rzeczywiście! Jakby Ayrtonowi udało się zapalić skład prochu! — wykrzyknął Penkroff, wskakując do windy wraz z Nabem i Harbertem.

— Ale co się stało? — zapytał Gedeon Spilett, nie mogąc jeszcze ochłonąć ze zdumienia, w jakie wprawiło go niespodziewane zakończenie walki.

— Później się nad tym zastanowimy. Teraz chodź ze mną, Gedeonie. Najważniejszą w tej chwili rzeczą jest sprawdzenie, czy któryś z piratów jeszcze żyje.

Po tych słowach Cyrus Smith wraz z reporterem i Ayrtonem pospieszyli na wybrzeże.

Okręt zniknął pod wodą, tak że nie było widać nawet jego masztów. Podniesiony w górę przechylił się na bok i w tej pozycji zatonął. Ponieważ w tym miejscu kanał miał nie więcej jak dwadzieścia stóp głębokości, nie ulegało wątpliwości, że szkielet zatopionego okrętu wynurzy się znowu spod wody w czasie odpływu.

Na powierzchni morza pływały różne przedmioty pochodzące z rozbitego statku: klatki z drobiem, skrzynie i beczułki, które powoli wydobywały się na powierzchnię; nie widać było jednak żadnych szczątków samego okrętu — ani belek z pokładu, ani części kadłuba. Czyniło to jeszcze bardziej tajemniczym nagłe zatopienie „Speedy’ego”.

Nie można było jednak pozwolić unieść odpływowi tych wszystkich skarbów, toteż Ayrton i Penkroff wskoczyli natychmiast do czółna, aby wyłowić owe przedmioty i wyciągnąć je na brzeg. Gdy już wsiadali do czółna, zatrzymała ich uwaga Gedeona Spiletta:

— A tych sześciu zbójów, którzy wylądowali na prawym brzegu Rzeki Miłosierdzia?

Osadnicy spojrzeli w tę stronę, lecz nie dostrzegli nigdzie żadnego zbiega. Prawdopodobnie na widok tonącego okrętu wszyscy uciekli w głąb wyspy.

— Zajmiemy się nimi później — rzekł Cyrus Smith. — Mogą być teraz jeszcze niebezpieczni, bo są dobrze uzbrojeni, lecz w końcu jest ich tylko sześciu, szansę są równe. Zajmijmy się więc tym, co pilniejsze.

Ayrton z Penkroffem odpłynęli. Morze było gładkie, a stan wody wysoki. Szczątki okrętu mogły wynurzyć się spod wody dopiero za godzinę. Ayrton i Penkroff mieli dość czasu, aby przyciągnąć do brzegu maszty z żaglami i inne przydatne przedmioty.

Morze wyrzuciło także kilka trupów. Między nimi Ayrton rozpoznał zwłoki Boba Harveya i wskazując je marynarzowi, rzekł wzruszonym głosem:

— Oto, kim byłem dawniej, Penkroffie!

— Lecz dziś nim już nie jesteś, mój zacy Ayrtonie! — odparł marynarz.

Przez dwie godziny Cyrus Smith ze swoimi towarzyszami zajęci byli wyłącznie holowaniem masztów na piasek nadbrzeżny, odczepianiem rei i wyciąganiem na ląd żagli, zresztą nienaruszonych. Rozmawiali mało, bo praca całkowicie ich zaprzętała, lecz ile myśli krążyło w ich głowach! Statek ten, albo raczej to, co w nim się znajdowało, stanowił dla nich prawdziwy skarb.

Właściwie, myślał w duchu Penkroff, dlaczego nie można wydobyć tego okrętu na powierzchnię i naprawić go? Jeśli ma w sobie tylko dziurę, to przecież dziurę można zatkać, a okręt o pojemności trzystu do czterystu ton jest u porównaniu z «Bonawenturą» statkiem co się

zowie — można daleko na mm popłynąć. Pan Cyrus, Ayrton i ja musimy tę rzecz należycie zbadać! Dalibóg warta jest tego!”

Po wyłowieniu wszystkich wartościowych przedmiotów i złożeniu ich u bezpiecznym miejscu. Cyrus Smith ze swoimi towarzyszami zjedli śniadanie. Podczas jedzenia nie rozmawiano o niczym innym, jak tylko o niespodziewanym zdarzeniu, które w sposób tak cudowny ocaliło osadę.

— Trzeba się zgodzić z powiedzeniem „cudowny” — powtarzał Penkroff — bo muszę przyznać, że ci niegodziwcy w odpowiednim czasie wylecieli w powietrze! Dłużej trudno by było wytrzymać w Granitowym Pałacu.

— A jak sądzisz, Penkroffie — zapytał reporter — co mogło spowodować wysadzenie okrętu w powietrze?

— O! To rzecz bardzo prosta — odparł Penkroff. — Na statku pirackim nie ma nigdy takiego porządku jak na okręcie wojennym. Ci zbójce nie są marynarzami. Nie ma wątpliwości, że skład prochu był otwarty, bo strzelano do nas bez ustanku, a wystarczy jedna iskra, by wszystko wysadzić w powietrze!

— Jedno mnie dziwi, panie Cyrusie — odezwał się Harbert. — Wybuch spowodował bardzo mały skutek. Detonacja nie była silna i na morzu nie widać szczątków statku. Wydawałoby się, że okręt raczej zatonął niż został wysadzony.

— Mnie to także dziwi, Harbercie — odparł inżynier. — Skoro się jednak przyjrzymy z bliska okrętowi, może rozwiążemy tę zagadkę.

— Ależ, panie Cyrusie — rzekł Penkroff. — Chyba nie zamierza pan utrzymywać, że „Speedy” zatonął na skutek uderzenia o skałę?

— Dlaczego nie — zauważył Nab — jeżeli w kanale są jakieś skały?

— Wyborny jesteś, Nabie — odparł Penkroff. — Widać, że nie patrzyłeś dobrze. Ja widziałem wyraźnie, jak okręt na chwilę przed zatonięciem podniósł się na olbrzymiej fali, a potem przechylił na bok. Gdyby po prostu uderzył o skałę, zatonąłby spokojnie...

— Wkrótce przekonamy się o tym, Penkroffie — powiedział inżynier.

— Na pewno się przekonamy — dodał marynarz — ale ja stawiam głowę, że nie ma żadnych skał w tym kanale. Ciekawi mnie, panie Cyrusie, czy i w tym zdarzeniu upatruje pan coś tajemniczego?

— Nie mam o tym wyrobionego zdania — odrzekł po namyśle inżynier.

Odpowiedź ta nie zadowoliła jednak Penkroffa. Twierdził, że była to eksplozja i nie chciał w żaden sposób zmienić swego zdania. Zresztą w chwili, gdy okręt zatonął był przypływ, statek nie mógł więc zawadzić o żadną skałę. Wobec tego nie rozbił się, lecz został wysadzony w powietrze.

Około wpół do drugiej po południu osadnicy wsiedli do czółna i popłynęli do miejsca zatonięcia okrętu. W tej chwili kadłub „Speedy’ego” zaczął wynurzać się z wody. Osadnicy okrążyli go dookoła, a w miarę jak woda opadała, widzieli zniszczenia coraz wyraźniej. Obie burty w części dziobowej były tak poszarpane, że nie można było nawet myśleć o naprawieniu ich. Wzdłuż całego kadłuba aż do rufy okrętu puściły wszystkie klamry. Maszt został wyrwany z niepojętą siłą, a sam dziób statku pękł na pół.

— Do licha! — zawołał Penkroff. — Trudno będzie naprawić ten okręt!

— To niemożliwe — rzekł Ayrton.

— Jednak — rzekł Gedeon Spilett do marynarza — jeśli to naprawdę była eksplozja, wywołała dziwne skutki. Rozsadziła dolne części kadłuba okrętowego, nie wysadzając pokładu i górnej części statku. Te szerokie pęknięcia pochodzą raczej od uderzenia o skałę niż od wybuchu prochu.

— Przecież nie ma skał w kanale — odparł marynarz.

— Postarajmy się wejść do wnętrza statku — rzekł na to inżynier. — Tym sposobem może dowiemy się, jaka była przyczyna jego zatonięcia.

Była to najlepsza rada, tym bardziej, że chodziło także o uratowanie znajdujących się na okręcie przedmiotów. Wejście do wnętrza było łatwe. Woda wciąż opadała, a po dolnej części pokładu, która po wywróceniu statku znalazła się na wierzchu, można było wygodnie chodzić.

Koloniści weszli do środka z siekierami w rękę. Znaleźli tam mnóstwo przydatnych przedmiotów, a ponieważ pozostawały one niezbyt długo pod wodą, można było liczyć, że nic nie uległo uszkodzeniu.

Odplyw miał potrwać jeszcze kilka godzin. Penkroff i Aytron przymocowali przy jednym z otworów coś w rodzaju bloku, z pomocą którego podnosili do góry paki i baryłki, a następnie opuszczali je ostrożnie do oczekującej łodzi. Aby nie tracić czasu, zabierano wszystko bez wyboru i przewożono na ląd.

Wkrótce osadnicy przekonali się, ku swojemu wielkiemu zadowoleniu, że ładunek złożony był z najrozmaitszych narzędzi, wyrobów przemysłowych i przyrządów, jakimi zwykły dysponować statki podejmujące daleką żeglugę.

Cyrus Smith zauważył, że nie tylko kadłub okrętowy, jak to przewidywał, lecz także całe wewnętrzne urządzenie statku, zwłaszcza z przodu, zostało zniszczone. Ściany i przegrody były zdruzgotane, jakby wewnątrz eksplodowała bomba.

Osadnicy przedostali się aż na rufę okrętu, do miejsca, gdzie znajdowała się dawniej kajuta oficerska. Według wskazówki Aytrona tu należało szukać składów prochu. Cyrus Smith, wnioskując z tego, co widział, był pewny, że to nie wybuch spowodował katastrofę statku; wobec tego miał nadzieję na uratowanie kilku beczulek z prochem. Tak istotnie było. Wśród stosów kul i pocisków znaleziono około dwudziestu beczulek zabezpieczonych wewnątrz blachą miedzianą i wyciągnięto je z jak największą ostrożnością. Penkroff przekonał się teraz naocznie, że „Speedy” nie został zniszczony przez eksplozję. Właśnie ta część kadłuba, w której znajdowały się składy prochu, ucierpiała najmniej.

Poszukiwania zabrały kilka godzin i przyplływ dawał się już odczuwać; trzeba więc było zakończyć prace.

Minęła piąta po południu. Był to ciężki dzień dla osadników. Z wielkim apetytem zjedli więc obiad, po czym, pomimo znużenia, zaczęli przeglądać zawartość skrzyń. Większa ich część zawierała ubrania, które bardzo przypadły im do gustu. Było ich tyle, że można by teraz ubrać i zaopatrzyć w obuwie nawet wielką osadę.

— Jesteśmy teraz bogaczami! — zawołał Penkroff. — Co my zrobimy z tym wszystkim?

Marynarz co chwilę wydawał zachwycone okrzyki na widok beczulek z rumem, fasek z tytoniem, broni palnej i ręcznej, całych bel bawełny, narzędzi roboczych, ciesielskich, stolarskich, skrzyń ze zbożem różnego gatunku i tym podobnych rzeczy, którym krótki pobyt w wodzie wcale nie zaszkodził. Jakże pożądane byłyby te przedmioty dwa lata temu!

W składach Granitowego Pałacu nie brakowało miejsca; tego dnia jednak nie było już czasu na zmagazynowanie wszystkiego. Trzeba było pamiętać, że owych sześciu piratów z załogi „Speedy’ego” znajdowało się ciągle na wyspie; byli na pewno groźni i trzeba było mieć się przed nimi na baczności. Pomimo że most na Rzece Miłosierdzia i wszystkie mostki były podniesione, trudno było liczyć na to, że zbójców odstraszy rzeka lub potok.

Później odbyła się narada, jak wobec nich postąpić i koloniści zdecydowali, że będą czuwać całą noc przy skrzyniach i pakach zgromadzonych koło Kominów. Noc upłynęła jednak spokojnie, korsarze nawet się nie pojawili, gdyż Jup i Top, strzegący Granitowego Pałacu, na pewno oznajmiliby o ich przybyciu.

Przez trzy następne dni, podczas odpływu, wyładowywano okręt. W czasie przyływu składano uratowane przedmioty do magazynu. Udało się także oderwać znaczną część blachy miedzianej pokrywającej kadłub statku, który z każdym dniem zapadał się w piasek. Zanim jednak piasek pochłoniął cięższe przedmioty leżące na dnie kanału, Ayrton i Penkroff, opuściwszy się kilkakrotnie na dno, wydobyli na powierzchnię łańcuchy i kotwice okrętowe, żelazne bryły balastu, a nawet cztery działa.

Jeśli chodzi o papiery i dokumenty okrętowe, pomimo najstaranniejszego przeszukania wszystkich szaf i schowków w kajucie oficerskiej, Cyrus Smith nigdzie ich nie znalazł. Korsarze na pewno zniszczyli wszystko, co dotyczyło kapitana lub właściciela „Speedy’ego”.

Tajemnica zagłady okrętu pewnie nigdy by się nie wyjaśniła, gdyby Nab, nie znalazł przypadkiem na wybrzeżu kawałka żelaznej pokrzywionej i poszarpanej rurki, na której widoczne były ślady eksplozji. Nab przyniósł ten fragment żelaza swemu panu. Cyrus Smith przyjrzał się uważnie rurce, następnie, zwracając się do Penkroffa, powiedział:

— Więc ty, mój przyjacielu, ciągle obstajesz przy tym, że „Speedy” nie zatonął wskutek rozbicia?

— Tak jest, panie Cyrusie — odparł marynarz. — Zresztą pan wie tak samo dobrze jak ja, że w kanale nie ma skał.

— A jeżeli statek rozbił się o ten kawałek żelaza? — zapytał inżynier, pokazując złamaną rurkę.

— Co, o tę rurkę? — zawołał Penkroff tonem pełnym niedowierzania.

— Przyjaciele — rzekł na to Cyrus Smith. — Czy przypominacie sobie, że okręt, zanim zatonął, został porwany w górę przez rodzaj trąby wodnej?

— Tak jest, panie Cyrusie! — odparł Harbert.

— Dobrze, a chcecie wiedzieć, co wywołało powstanie owej trąby? Ten kawałek żelaza! — rzekł inżynier, wskazując na rurkę.

— To? — zapytał Penkroff.

— Tak jest! Ta rurka jest pozostałością torpedy!

— Torpedy! — zawołali wszyscy ze zdziwieniem.

— Ale kto jej użył? — zapytał Penkroff, nie chcąc się jeszcze poddać.

— Na pewno nie ja! — odparł Cyrus Smith. — Ale była tam z pewnością i sami mogliście ocenić siłę jej wybuchu.

ROZDZIAŁ V

Twierdzenie inżyniera. — Hipotezy Penkroffa. — Bateria. — Cztery wystrzały. — Rozmowa o piratach. — Ayrton się waha. — Wspaniałomyślność Cyrusa Smitha. — Penkroff ustępuje z żalem.

Tak więc wszystko wyjaśnił podwodny wybuch torpedy. Cyrus Smith, który często podczas wojny miał okazje wypróbowania tego straszliwego narzędzia zniszczenia, nie mógł się mylić w tym względzie. Wszystko się więc wyjaśniało, wszystko... oprócz tego, w jaki sposób torpeda znalazła się w kanale.

— Moi przyjaciele — zaczął po chwili Cyrus Smith. — Nie możemy już dłużej wątpić o obecności na tej wyspie jakiejś tajemniczej osoby, być może jakiegoś podobnego do nas rozbitka, opuszczonego przez swoich. Kim jest ten nieznajomy, który tyle razy udzielił nam pomocy — tego nie mogę sobie wyobrazić. Co go skłania do takiego postępowania, do ukrywania się po tyłu oddanych nam przysługach? Niemniej jednak dobrodziejstwa te są faktem i tylko człowiek rozporządzający prawie nieograniczoną władzą mógł nam je oddać. Ayrton powinien być mu wdzięczny tak samo jak my, bo jeżeli to ów tajemniczy nieznajomy uratował mnie po katastrofie balonu, to widocznie także on napisał pamiętny dokument i rzucił butelkę na wody kanału, powiadamiając nas o położeniu naszego towarzysza. Dodam i to, że skrzynię, tak obficie zaopatrzoną we wszystko, czego nam brakowało, on musiał nam posłać; że ów ogień, dzięki któremu zdołaliśmy dopłynąć do wyspy zapalony był jego ręką; że ziarnko śrutu znalezione w ciele pekari pochodziło z jego broni; że tę torpedę, która zniszczyła bryg, on musiał wystrzelić; słowem, że te wszystkie niepojęte zdarzenia, których nie mogliśmy zrozumieć, może wyjaśnić obecność tej tajemniczej osoby. Kimkolwiek więc jest ten człowiek, rozbitkiem czy wygnańcem, byłoby źle, gdybyśmy choć przez chwilę nie poczuli się do wdzięczności wobec niego. Zaciągnęliśmy dług — i mam nadzieję, że kiedyś go spłacimy.

— Słusznie mówisz, drogi Cyrusie — odpowiedział Gedeon Spilett. — Tak, na tej wyspie znajduje się istota, prawie wszechmocna, której dobroczynny wpływ wielokrotnie odczuwaliśmy. Myślę, że zbliża się do nas potajemnie przez studnię w Granitowym Pałacu i tym sposobem dowiaduje się o wszystkich naszych zamiarach.

— Tak — powiedział Cyrus. — Nie możemy już powątpiewać, że jakiś człowiek znajduje się na wyspie i trzeba przyznać, że rozporządza on środkami przechodzącymi zwykle ludzkie możliwości. W tym właśnie tkwi tajemnica: czy powinniśmy uszanować wolę tej wspaniałomyślnej osoby i nie szukać jej, czy też rozpocząć poszukiwania? Jakie macie zdanie w tym względzie? ‘

— Ja sędzę — odrzekł Penkroff — że musi to być zacy człowiek i szanuję go bardzo, nie pytając o to, kim jest.

— Zgoda — odezwał się Cyrus Smith — ale to jeszcze nie jest odpowiedź, Penkroffie.

— Mój panie — wtrącił w tym miejscu Nab. — Mnie się wydaje, że możemy szukać ile nam się podoba pana, o którym mowa, ale nie znajdziemy go, aż do chwili, kiedy on sam nie zechce się pokazać.

— Podzielim zdanie Naba — odezwał się Gedeon Spilett — ale nie powinno to powstrzymać nas przed poszukiwaniami. Czy odnajdziemy, czy też nie, naszego dobrodzieja, spełnimy przynajmniej nasz obowiązek względem niego.

— A ty, moje dziecko, co o tym sądzisz? — rzekł inżynier, zwracając się do Harberta.

— Ach! — zawołał Harbert żarliwie. — Pragnę podziękować człowiekowi, który uratował najpierw pana, a potem nas wszystkich.

— Bardzo dobrze, mój chłopcze — odparł Penkroff. — I ja także, i my wszyscy!... Wydaje mi się, że ten człowiek musi być piękny, wysoki, silny i niezwykle rozumny.

— A jakie jest pańskie zdanie w tym względzie, Ayrtonie? — spytał inżynier.

— Panie Smith — odparł Ayrton. — Ja nie mam tutaj zdania. Co pan zrobi, będzie dobre. Jeżeli pozwoli mi pan wziąć udział w waszych poszukiwaniach, pójdę z wami wszędzie.

— Dziękuję za tę gotowość, Ayrtonie — odparł Cyrus Smith — lecz chciałbym usłyszeć od ciebie jaśniejszą odpowiedź na moje pytanie. Jesteś naszym towarzyszem i już nieraz narażałeś się dla nas, jak wszyscy, więc i ty masz prawo zabrać głos skoro idzie o podjęcie ważnego postanowienia. Mów więc.

— Panie Smith — odezwał się na to Ayrton. — Co do mnie, sędzę, że powinniśmy starać się ze wszystkich sił, by odnaleźć tego nieznanego dobroczyńcę. Kto wie, może jest samotny, może cierpi? Ja także, jak sam pan wspomniał, zaciągnąłem wobec niego dług wdzięczności. To on bowiem musiał przybyć na wyspę Tabor, gdzie znalazł nędzarza, którego poznaliście, i dał wam znać o nieszczęśliwym, potrzebującym ratunku. Jemu więc zawdzięczam, że znów jestem człowiekiem. O nie, nigdy tego nie zapomnę!

— Więc postanowione — odezwał się Cyrus Smith. — Zaczniemy poszukiwania, jak można najszybciej. Przeszukamy wyspę bardzo dokładnie, zbadamy nawet najbardziej niedostępne zakątki.

Przez kilka następnych dni osadnicy zajmowali się zbiorem siana i zboża. Przed wyruszeniem na wyprawę badawczą postanowili ukończyć wszelkie niezbędne prace. Była to także pora zbioru rozmaitych jarzyn pochodzących z wyspy Tabor. Chodziło już tylko o rozmieszczenie zbiorów w magazynach, gdzie na szczęście nie brakowało miejsca. Wszystkie bogactwa wyspy można byłoby tam z powodzeniem zmieścić. Złożono więc produkty w ścisłym porządku i zabezpieczono przed szkodami, tak ze strony ludzi, jak i zwierząt.

Jeśli chodzi o armaty pochodzące z brygu, wywindowano je na natarczywe żądania Penkroffa do Granitowego Pałacu; następnie urządzono strzelnicę między oknami i wkrótce można było ujrzeć błyszczące lufy tych dział, wychylające się z granitowego muru. Z tej wyżyny armaty panowały rzeczywiście nad całą Zatoką Stanów Zjednoczonych i każdy niepożądany okręt, który starałby się zbliżyć do wysepki, był niechybnie wystawiony na ogień dział Granitowego Pałacu.

— Panie Cyrusie — odezwał się pewnego dnia Penkroff. — Teraz, kiedy już ustawiliśmy armaty, warto by je wypróbować.

— Czy sądzisz, że to potrzebne? — zapytał inżynier.

— Czy potrzebne? Niezbędne! Bez tego nie dowiemy się na jaką odległość będzie można wysłać jedną z tych pięknych kul, w które jesteśmy zaopatrzeni.

— Zróbmy więc próbę, Penkroffie — odrzekł inżynier — ale z dużą ostrożnością.

Tego samego dnia w obecności wszystkich mieszkańców, z Jupem i Topem włącznie, wypróbowano kolejno celność czterech armatek. Nabito je bawełną strzelniczą, biorąc pod uwagę siłę jej wybuchu, która, jak to już wspomnieliśmy, jest cztery razy większa od siły zwyczajnego prochu. Pocisk przeznaczony do próby był stożkowy.

Na znak dany przez Cyrusa Smitha zagrzmiał wystrzał; kula skierowana na morze przeleciała nad wysepką i wpadła w fale w odległości, której ściśle nie można było określić. Drugą armatę Harbert wycelował w kierunku najdalszych skał Cypla Skrzyni, a kula, uderzywszy w ostry głaz w odległości blisko trzech mil od Granitowego Pałacu, roztrzaskała go na części.

Trzeci pocisk skierowany został prosto w wydmy, tworzące część wybrzeża Zatoki Stanów Zjednoczonych, uderzył w piasek w odległości co najmniej czterech mil; potem odbiwszy się, przepadł w morzu.

Gdy przysła kolej na czwarte działo, Cyrus Smith powiększył nieco nabój, aby wypróbować najwyższą siłę armaty. Następnie, gdy wszyscy odsunęli się na bok, obawiając się pęknięcia działa, zapalono długi lont.

Dał się słyszeć gwałtowny huk, ale działo nie pękło, a osadnicy, rzuciwszy się do okna, mogli obserwować kulę, która wyszczerbiła skałę na odległym o pięć mil przylądku i zniknęła w zatoce.

— No i cóż, panie Cyrusie — zawołał Penkroff, którego głośnie „hurra!” mogło rywalizować z hukiem wystrzałów. — Co pan powie o naszym uzbrojeniu? Nawet gdyby wszyscy piraci Oceanu Spokojnego chcieli opanować naszą wyspę, teraz żaden nie zdoła wylądować bez naszego pozwolenia.

— Wierz mi, Penkroffie — odrzekł inżynier — że lepiej unikać takich sytuacji.

— Ale — ciągnął dalej marynarz — co zrobimy z sześcioma łotrami, którzy ukrywają się na wyspie? Pozwolimy im bezkarnie biegać po naszych lasach, polach i łąkach? Ci rozbójnicy nie są lepsi od jaguarów i sądzę, że powinniśmy obejść się z nimi podobnie! Co o tym myślisz, Ayrtonie? — dodał Penkroff, zwracając się do swego towarzysza.

Ayrton milczał przez chwilę, a potem odrzekł pokornie:

— I ja byłem jednym z takich jaguarów, panie Penkroffie, nie mogę więc ich osądzać...

I oddalił się wolnym krokiem.

Penkroff teraz dopiero pojął swój nietakt.

— Ależ głupiec ze mnie! — wykrzyknął. — Biedny Ayrton! Przecież miał prawo wyrazić swoje zdanie jak każdy z nas!

— Niewątpliwie — rzekł Gedeon Spilett — ale ta pokora przynosi mu zaszczyt i godzi się uszanować jego wspomnienia smutnej przeszłości.

— Zrozumiałem, panie Spilett — odpowiedział marynarz — i nigdy już nie popełnię takiej gary. Wróćmy jednak do rzeczy. Myślę, że ci zbóje nie mają prawa do naszej litości i że należałoby jak najszybciej uwolnić od nich wyspę...

— Czy to twoje ostateczne zdanie, Penkroffie? — spytał inżynier.

— Ostateczne.

— I chciałbyś, abyśmy ścigali ich bez litości, za nim rozpoczną przeciwko nam nieprzyjacielskie kroki?

— Jak to? Więc nie wystarczą ich dotychczasowe sprawki? — spytał Penkroff, nie rozumiejąc tych wahań.

— Mogli się przecież zmienić, odczuć skruchę — rzekł Cyrus Smith.

— Odczuć skruchę? Oni? — zawołał marynarz, wzruszając ramionami.

— Penkroffie, wspomnij Ayrtona — zawołał Harbert, biorąc marynarza za rękę. — Nie stał się znowu uczciwym człowiekiem?

Penkroff popatrzył po kolei na towarzyszy. Nigdy by mu nawet do głowy nie przyszło, że odrzucą jego propozycję.

— Co? — rzekł. — Co to znaczy? Mam wszystkich przeciwko sobie? Chcecie bawić się we wspaniałomyślność wobec tych nędzników? Więc niech i tak będzie. Obyśmy tego nigdy nie pożałowali!

— Jakie nam może grozić niebezpieczeństwo — spytał Harbert — jeżeli zachowamy ostrożność?

— Hm! — odezwał się reporter, który nie wypowiedział jeszcze swego zdania. — Jest ich sześciu i to dobrze uzbrojonych. Niech tylko każdy z nich zaczai się w innym miejscu i strzeli do jednego z nas, a w krótkim czasie staną się panami wyspy.

— Dlaczego dotąd tego nie zrobili? — zapytał Harbert. — Bez wątpienia dlatego że nie było to w ich interesie. Zresztą nas też jest sześciu.

— Dobrze! Dobrze! — zniecierpliwiał się Penkroff. — A więc czekajmy i dopóki złoczyńcy me naruszają naszego spokoju, nie myślmy o nich.

— No, no, Penkroffie — rzekł Nab. — Nie udawaj tak złego człowieka! Gdyby jeden z tych nieszczęśliwych stał tu przed tobą na odległość strzału, nie strzeliłbyś do niego.

— Wypaliłbym jak do wściekłego psa, Nabie — odrzekł zimno Penkroff.

— Penkroffie — odezwał się inżynier. — Zawsze polegałeś na moim zdaniu. Czy nie chciałbyś i w tej sprawie zdać się na mnie?

— Zrobię co pan uzna za właściwe, panie Smith — odrzekł marynarz, bynajmniej nie przekonany.

— A więc czekajmy i nie atakujmy, dopóki na nas nie uderzą.

Postanowiono więc nie atakować, ale zachować ostrożność. W końcu, jeżeli jakaś resztką uczciwości została na dnie duszy tych nędzników, nadarzała się im sposobność poprawy. Czyż nie leżało w ich interesie, by w tych nowych warunkach zacząć uczciwe życie? Zresztą wyspa była tak rozległa, że samo poczucie człowieczeństwa nakazywało kolonistom czekać, dopóki nie zostaną zaczepieni. Penkroff zgodził się z towarzyszami, choć nie podzielał ich zdania. Czy miał rację? To się dopiero okaże.

ROZDZIAŁ VI

Projekt wyprawy. — Ayrton w zagrodzie. — Odwiedziny w Przystani Balonowej. — Uwagi Penkroffa. — Depesza do zagrody. — Brak odpowiedzi od Ayrtona. — Wyprawa. — Czemu telegraf nie funkcjonuje? — Wystrzał.

Cyrus chciał jak najszybciej zrealizować swój zamiar szczegółowego zbadania wyspy, ponieważ jednak wyprawa miała zająć wiele dni, trzeba było przygotować wóz z zapasami. Tymczasem jeden z onagrów zranił się w nogę i był niezdatny do zaprzęgu przez co najmniej kilka dni. Koloniści odłożyli więc wyjazd do 20 listopada.

Listopad na tej długości geograficznej odpowiada majowi w strefach północnych. Była to najpiękniejsza pora roku. Słońce dochodziło do znaku Koziorożca, zaczynały się najdłuższe dni w roku. Był to więc okres najzupełniej pomyślny dla planowanej wyprawy.

W ciągu dziewięciu dni poprzedzających wyjazd postanowiono skończyć wszystkie prace na Wielkim Płaskowyzu.

Konieczne jednak było, żeby Ayrton powrócił do zagrody, gdzie zwierzęta wymagały jego opieki. Zdecydowano więc, że spędzi tam dwa dni i powróci do Granitowego Pałacu dopiero po zaopatrzeniu zwierząt w paszę.

W chwili, gdy wyruszał w drogę, Cyrus Smith przypomniał mu, że z powodu obecności piratów wyspa stała się dziś mniej bezpieczna niż była dawniej i zapytał go, czy nie życzy sobie, aby ktoś z nich mu towarzyszył.

Ayrton odrzekł, że da sobie radę sam, a zresztą niczego się nie boi. Gdyby zaś w zagrodzie lub w jej pobliżu zdarzył się jakiś wypadek, obiecał niezwłocznie zawiadomić o tym telegraficznie.

Po takim uzgodnieniu Ayrton wyruszył o świcie z Granitowego Pałacu[^] zabrawszy ze sobą wózek zaprzężony tylko w jednego onagra, a w dwie godziny później telegraf oznajmił, że w zagrodzie jest wszystko w porządku.

Przez dwa dni Cyrus Smith zajmował się realizacją pewnego projektu,; mającego ostatecznie zabezpieczyć Granitowy Pałac od niespodziewanej napaści. Chodziło mianowicie o podwyższenie o parę stóp poziomu jeziora, by całkowicie zakryć zamurowany obecnie otwór dawnego upustu. Po skończeniu tej pracy nikt nawet nie podejrzewałby, że istniał tu kiedyś jakiś podziemny kanał, odprowadzający nadmiar wody z jeziora.

Następnie Penkroff, Spilett i Harbert wybrali się na wycieczkę do Przystani Balonowej. Marynarz pragnął dowiedzieć się, czy rozbójnicy nie odnaleźli przypadkiem małej zatoki, w której stał „Bonawentura”. Wyruszyli dobrze uzbrojeni. Nab odprowadził ich aż do zakola Rzeki Miłosierdzia, a kiedy przeszli na drugą stronę, podniósł za nimi most. Umówili się, że wystrzałem dadzą znać o swoim powrocie, a na ten znak Nab przywróci połączenie między dwoma brzegami rzeki.

Mała gromadka ruszyła drogą wiodącą do portu znajdującego się na południowych wybrzeżach wyspy. Cała odległość wynosiła tylko trzy i pół mili, ale Gedeon Spilett z towarzyszami przebyli ją dopiero w ciągu dwóch godzin. Przeszukali bowiem cały skraj drogi, tak od strony gęstego lasu, jak i od Kaczycz Błot. Nigdzie nie znaleźli ani śladu zbiegów, którzy niewątpliwie, nie mając jeszcze pewności co do ilości osadników i ich środków obrony, musieli ukryć się w bardziej nieprzystępnych częściach wyspy.

Gdy mała gromadka przybyła do Przystani Balonowej, Penkroff z niezmierną radością ujrzał „Bonawenturę”, spokojnie stojącego na kotwicy w wąskiej zatoczce.

Cała trójka weszła na pokład „Bonawentury” i rozejrzała się po nim. Nagle marynarz, obejrawszy blok, wokół którego okrecona była lina kotwicy, zawołał:

— A to co znowu! Nie, tego już za wiele!

— Co takiego, Penkroffie? — spytał reporter.

— To nie ja wiązałem ten węzeł!

I mówiąc to, wskazał na linę przytrzymującą kotwicę.

— Jak to, me ty? — zapytał Gedeon Spilett.

— Nie ja! Gotów jestem przysiąc. Ten węzeł jest płaski, a ja zawsze robię podwójny*.

— Czy to oznacza, że byli tutaj piraci?

— Nie wiem — odrzekł Penkroff — ale jest pewne, że ktoś podniósł kotwicę Bonawentury”, a potem opuścił ją na nowo. O, patrzcie! Nowy dowód! Widocznie ściągano linę, bo zdjęto płótno, którym ją owinałem, żeby się nie przetarła..

— Ale gdyby to byli piraci, po prostu by uciekli...

— Uciekli! A gdzie?... Na wyspę Tabor?... — odparł Penkroff. — Myślisz więc, że odważyliby się płynąć na tak małym statku?

— Prócz tego musieliby znać położenie wyspy Tabor — zauważył reporter.

— Mimo wszystko — rzekł marynarz — jakem Bonawentura Penkroff z Vineyard, tak nasz „Bonawentura” odbył rejs bez nas.

— Czy moglibyśmy jednak nie zauważyć „Bonawentury” przepływającego koło wyspy? — spytał reporter, wyrażając wątpliwości wszystkich.

— Ech! Panie Spilett — odparł marynarz. — Wystarczyłoby wypłynąć nocą przy pomyślnym wietrze, a w dwie godziny później jest się już poza zasięgiem wzroku!

— Zgoda — ciągnął dalej Gedeon Spilett — ale w takim razie pytam raz jeszcze, w jakim celu korsarze wypłynęli i dlaczego później odprowadzili go z powrotem do portu?...

— Ha! Panie Spilett — rzekł marynarz. — Zaliczmy to do rzeczy niemożliwych do wyjaśnienia i nie myślmj już o tym. Najważniejszą sprawą było znalezienie „Bonawentury” na swoim miejscu i znaleźliśmy go! Jedno mnie tylko niepokoi: dopóki złoczyńcy znajdują się na wyspie, ciągle musimy uważać, by nie zabrali lub nie zniszczyli nam statku.

— Masz rację! A teraz wracamy do domu — zakończył reporter.

Tego samego wieczoru wysłano do Ayrtona telegram z prośbą, aby sprowadził z zagrody parę kóz, które Nab zamierzał oswoić. Rzecz jednak dziwna: od Ayrtona nie nadeszła odpowiedź, wbrew przyjętemu przez niego zwyczajowi. Obudziło to niepokój kolonistów. Co się stało? Czyżby Ayrtona nie było „iux. w zagrodzie, czyżby stało się coś złego? Czy należało pospieszyć do zagrody pomimo ciemnej nocy? Poddano tę kwestię pod dyskusję. Jedni chcieli wyruszać, drudzy radzili jeszcze się wstrzymać.

— Kto wie — rzekł Harbert. — Może telegraf się popsuł i dlatego Ayrton nie odpowiada?

— To bardzo możliwe — odparł reporter.

— Zaczekajmy więc do jutra — powiedział Cyrus Smith. — Może rzeczywiiście Ayrton nie otrzymał naszej depeszy, albo też jego telegram nie dotarł do nas.

Czekali więc z wielkim niepokojem do następnego dnia.

Gdy tylko wzeszło słońce, 11 listopada Cyrus Smith ponownie zatelegra fował do Ayrtona i nie otrzymał żadnej odpowiedzi; powtórzył to samo po raz drugi — z identycznym skutkiem.

— W drogę, do zagrody! — zawołał wówczas. — I to porządnie uzbrojeni! — dodał Penkroff.

* Rodzaj węzła właściwego Penkroffowi i posiadającego tę wyższość, że nie zsuwał się tak szybko.

Postanowiono nie zostawiać Granitowego Pałacu bez obrony i powierzyć straż Nabowi. Odprowadziwszy towarzyszy aż do Potoku Glicerynowego; miał on podnieść most i za drzewem oczekiwać na powrót ich lub Ayrtona.

W przypadku gdyby piraci zjawili się i próbowali przeprawy przez potok, miał starać się powstrzymać ich strzałami, a gdyby mu się to nie udało, powinien wycofać się do Granitowego Pałacu, gdzie po podniesieniu windy byłby zupełnie bezpieczny.

Cyrus, Gedeon, Harbert i Penkroff udali się prosto do zagrody. Każdy z nich niósł na ramieniu gotową do strzału strzelbę, a Top biegł przed nimi myszkując po lesie; nie szczekając jednak i nie zdradzając zaniepokojenia. Idąc drogą, osadnicy sprawdzali jednocześnie linię telegraficzną łączącą zagrodę z Granitowym Pałacem. Na długości blisko dwóch mil wszystko było w najlepszym porządku. Słupy znajdowały się w dobrym stanie, izolatory były nienaruszone; lecz dalej inżynier zauważył, że drut nie był już tak dobrze naciągnięty, a gdy przybyli do słupa nr 74, Harbert wyprzedzając resztę, zatrzymał się wołając:

— Linia jest przerwana!

Towarzysze przyspieszyli kroku i wkrótce ujrzeni wywrócony słup leżący w poprzek drogi; to wyjaśniało brak odpowiedzi z zagrody.

— A jednak to nie wiatr wywrócił ten słup — zauważył Penkroff.

— O nie! — odrzekł Gedeon Spilett. — Ktoś podkopał go od dołu.

— A co więcej, drut jest zerwany — dodał Harbert, pokazując dwa kawałki żelaznej nici, noszące ślady gwałtownego szarpnięcia.

— Czy ślad zerwania jest świeży? — zapytał Cyrus Smith.

— Tak — odpowiedział Harbert. — Niewątpliwie stało się to bardzo niedawno.

— Do zagrody! Do zagrody! — zawołał inżynier.

W tej chwili osadnicy znajdowali się w połowie drogi między Granitowym Pałacem a zagrodą. Mieli więc tylko dwie i pół mili do przebycia. Puścili się biegiem.

W pobliżu zagrody zwolnili, żeby odpocząć przed bliską i być może nieuniknioną walką. Broń trzymali odbezpieczoną i bacznie obserwowali las. Top głucho warczał, co nie wróżyło nic dobrego.

Wreszcie pomiędzy drzewami pokazał się płot otaczający zagrodę. Nigdzie nie było widać śladu jakichkolwiek zniszczeń. Brama była zamknięta jak zwykle. W zagrodzie panowała głęboka cisza; nie było słyhać ani zwykłego beczenia muflonów, ani głosu Ayrtona.

— Wejdźmy! — rzekł Cyrus Smith.

Inżynier podniósł wewnętrzną zasuwę drzwi i chciał je otworzyć, gdy w tej chwili Top zaszczekał wściekle. Ponad ogrodzeniem zagrzmiał wystrzał i odpowiedział mu okrzyk bólu.

Harbert, ugodzony kulą, leżał na ziemi!...

ROZDZIAŁ VII

Reporter i Penkroff w zagrodzie. — 'Przeniesienie Harberta. — Rozpacz marynarza. — Narada. — Sposób leczenia. — Nadzieja. — Jakim sposobem zawiadomić Naba? — Pewny i iwersny posłaniec. — Odpowiedź Naba.

Na krzyk Harberta Penkroff rzucił broń i podbiegł do niego.

— Zabili go! — zawołał. — Zabili moje najdroższe dziecko!

Cyrus Smith i Gedeon Spilett również pospieszyli do Harberta. Reporter pochylił się, aby usłyszeć, czy serce biednego chłopca jeszcze bije.

— Żyje! — zawołał wreszcie. — Ale trzeba go przenieść.

— Do Granitowego Pałacu? Ależ to niemożliwe — odpowiedział inżynier.

— A więc do zagrody — zawołał Penkroff.

— Zaczekajcie chwilę! — rzekł Cyrus Smith.

I pobiegł na lewo z zamiarem okrażenia plotu. Nagle ujrzał przed sobą jednego ze zbiegów, który wycelowawszy, przeszył mu kulą kapelusz. Zanim jednak strzelił po raz drugi, padł ugodzony w samo serce sztyletem Cyrusa, jeszcze pewniejszym od jego strzelby.

Tymczasem Gedeon Spilett i marynarz przeszli na drugą stronę ogrodzenia, usunęli rygle i wpadli do domku. Nie było tam nikogo. W kilka minut później Harbert leżał już na posłaniu Ayrtona.

Rozpacz marynarza była trudna do opisania. Na próżno reporter i inżynier usiłowali go uspokoić. Robili wszystko, co było w ich mocy, aby wydrzeć śmierci biedne dziecko, konające na ich oczach. Gedeon Spilett miał pewną wiedzę medyczną i chirurgiczną, toteż z pomocą Cyrusa Smitha zajął się Harbertem. Chłopiec był bardzo blady i miał tak słaby puls, że Gedeon Spilett ledwo wyczuwał tętno; był nieprzytomny i zdawało się, że czucie opuściło zupełnie.

Spilett odsłonił pierś Harberta i po zatamowaniu krwi obmył ją zimną wodą. Wówczas ukazała się rana. Był to spory otwór między trzecim a czwartym zębem. Cyrus Smith i Gedeon Spilett przewrócili na drugi bok biednego chłopca, z którego piersi wydobył się wtedy tak słaby jęk, iż można było sądzić, że to ostatnie tchnienie. Druga rana znajdowała się na plecach Harberta, a krew płynęła z niej bardzo obficie.

— Dzięki Bogu! — zawołał reporter. — Kula nie pozostała w ciele, nie potrzeba jej więc będzie wydobywać.

— A serce? — spytał Cyrus Smith.

— Jest nietknięte; inaczej Harbert byłby nieżywy.

— Nieżywy! — zawołał Penkroff z rozpaczą.

Usłyszał tylko ostatnie słowa reportera.

— Nie, Penkroffie, nie! — zawołał Cyrus Smith. — On żyje! Tętno wciąż jest wyczuwalne! Wydał nawet jęk przed chwilą! Ale błagam cię: przez wzgląd na Harberta, uspokój się. Musimy panować nad sobą. Nie wytrącaj nas z równowagi, przyjacielu.

Nazajutrz, 24 listopada, Cyrus Smith i jego towarzysze zaczęli mieć słabą nadzieję. Harbert dał znak życia. Otworzył oczy i poznał Cyrusa Smitha, reportera i Penkroffa. Wymówił nawet dwa czy trzy słowa. Nie wiedział jednak jeszcze, co się z nim stało. Gedeon Spilett zawiadomił go o wszystkim, zaklinając zarazem, aby się wystrzegął najmniejszego wzruszenia, a z drugiej strony zapewnił go, że jego życie nie znajduje się już w niebezpieczeństwie i że rany niedługo się zabliznią. Harbert nie czuł prawie żadnego bólu, a woda, którą bezustannie skrapiano okłady, zapobiegała zakażeniu. Gojenie przebiegało całkiem normalnie, gorączka nie zwiększała się,

można więc było się spodziewać, że groźna rana nie pociągnie za sobą poważnych skutków. Penkroff czuł, jak powoli spada mu kamień z serca. Czuwał jednak wciąż nad Harbertem jak siostra miłosierdzia.

Jak łatwo się domyślić, przez pierwsze dwadzieścia cztery godziny pobytu w zagrodzie osadnicy zajmowali się tylko Harbertem. Zapomnieli zupełnie o grożącym im w razie powrotu korsarzy niebezpieczeństwie i nie pomyśleli o środkach ostrożności. Ale tego dnia, gdy chory wreszcie spokojnie zasnął, a Penkroff czuwał przy jego łóżku, Cyrus Smith i reporter postanowili naradzić się, co wypada czynić dalej.

Przede wszystkim obeszlą całą zagrodę. Nigdzie nie było śladów pobytu Ayrtona. Czy uprowadzili go dawni wspólnicy? Czyżby napadli go zniemacka w zagrodzie? A w takim razie może walczył i zginął? To ostatnie przypuszczenie było bardzo prawdopodobne. Gedeon Spilett, przeskakując przez ogrodzenie, widział wyraźnie pirata uciekającego w stronę Góry Franklina, za którym rzucił się Top.

Co do zagrody, nie uległa ona żadnemu spustoszeniu. Drzwi od obór były zamykane, a więc zwierzęta nie mogły rozbiec się po lesie. Nie można było także znaleźć najmniejszych śladów walki, żadnego uszkodzenia ani w ogrodzeniu, ani w domu mieszkalnym.

— Nieszczęśliwy! — rzekł Cyrus Smith, myśląc o Ayrtonie. — Musieli go niespodziewanie zaskoczyć, a że na pewno nie chciał się poddać, więc go zamordowali.

— I ja się tego obawiam! — odpowiedział reporter. — Potem zaś ci zbrodniarze osiedlili się w domku Ayrtona, gdzie znaleźli wystarczające zapasy i dopiero nasze zjawienie się zmusiło ich do ucieczki. W każdym razie to pewne, że w owej chwili Ayrtona tu nie było.

— Należałoby przeszukać las — rzekł inżynier — i uwolnić wyspę od tych nędzników. Penkroff miał rację, gdy chciał zrobić na nich obławę jak na dzikie bestie. Iluż by to nieszczęść nam oszczędziło!

— To prawda — odrzekł reporter — ale za to teraz uzyskaliśmy prawo postępowania bez litości!...

— W każdym razie — zauważył inżynier — musimy pozostać w zagrodzie aż do chwili, kiedy będzie można bezpiecznie przenieść Harberta do Granitowego Pałacu.

— A co z Nabem? — spytał reporter.

— Nab jest całkowicie bezpieczny.

— A jeżeli zaniepokojony naszą nieobecnością pospieszy tu do nas?...

— Trzeba temu zapobiec — odpowiedział żywo Cyrus Smith. — Zabito by go w drodze. Gdyby telegraf jeszcze funkcjonował, moglibyśmy go uprzedzić. Ale to jest niemożliwe! O zostawieniu zaś tutaj Penkroffa i Harberta samych nie godzi się nawet myśleć!... Ha!... Więc ja sam pójdę do Granitowego Pałacu

— O nie! Nie, Cyrusie — zawołał reporter. — Nie wolno ci się w ten sposób narażać. Na nic by się nie przydała twoja odwaga. Ci nędznicy pilnują widocznie zagrody — założyłbym się, że siedzą w okolicznych lasach — gdybyś więc sam wyruszył w drogę, wkrótce mielibyśmy kolejne nieszczęście.

— Co jednak stanie się z Nabem?... — powtórzył inżynier. — Minęła już doba, jak nie miał od nas żadnych wieści. Gotów do nas wyruszyć.

Kiedy inżynier rozmyślał o tym, jego wzrok padł na Topa, który kręcił się, jakby chciał coś powiedzieć.

— Top! — zawołał Cyrus Smith. Zwierzę podskoczyło na głos swego pana.

— O tak! Top pójdzie! — zawołał reporter, zrozumiałwszy od razu myśl inżyniera. — Zaniesie do Granitowego Pałacu wiadomość z zagrody i wróci z odpowiedzią

— Prędzej! — odrzekł Cyrus Smith. — Spieszmy się!

Gedeon Spilett szybko wyrwał kartkę ze swojego notatnika i napisał:

„Harbert ranny. Jesteśmy w zagrodzie. Miej się na baczności. Nie opuszczaj Granitowego Pałacu. Czy piraci pojawili się gdzieś w pobliżu? Odpowiedz przez Topa.”

Spilett złożył kartkę i przymocował do obroży Topa.

— Topie, mój piesku — powiedział wówczas inżynier, głaszcząc wierny zwierzę. — Nab, Topie! Nab! Ruszaj! Naprzód!

Top, słysząc te słowa, pobiegł szybko. Droga do Granitowego Pałacu i z powrotem była mu doskonale znana. Mógł ją przebyć w niespełna pół godziny, a przemykając wśród wysokich traw lub skrajem lasu, pozostawał niedostrzeżony.

— Która godzina? — spytał Gedeon Spilett.

— Dziesiąta.

— Za godzinę może już być tutaj z powrotem. Czekałmy.

Bramę zagrody zamknięto. Inżynier i reporter powrócili do mieszkania i z wielkim niepokojem czekali na powrót Topa. Na kilka chwil przed jedenastą Cyrus Smith i reporter z bronią w ręku zaczęli się za bramą, gotowi otworzyć ją przy pierwszym szczeknięciu wiernego psa. Stali tak już około dziesięciu minut, gdy naraz zabrzmiał strzał, a po nim rozległo się gwałtowne szczekanie.

Inżynier otworzył bramę tak szybko, że dostrzegł jeszcze resztki dymu unoszące się w odległości stu kroków na skraju lasu i wystrzelił w tym kierunku.

Jednocześnie Top wpadł do zagrody i natychmiast brama zamknęła się za nim z trzaskiem.

— Topie! Topie! — zawołał z niepokojem inżynier, przyciskając do siebie ogromny łeb dzielnego psa.

Przy obroży znajdowała się kartka, na której Nab napisał:

„Ani śladu piratów koło Granitowego Pałacu. Nie ruszę się z miejsca. Biedny pan Harbert!”

ROZDZIAŁ VIII

Piraci w pobliżu zagrody. — Tymczasowe zakwaterowanie. — Dalsze leczenie Harberta. — Radość Penkroffa. — Rozmyślania Cyrusa.

Tak więc piraci znajdowali się w pobliżu, obserwując zagrodę, zdecydowani wymordować osadników jednego po drugim. Pozostawało więc walczyć z nimi jak z dzikimi bestiami. Należało zachować niezwykle środki ostrożności, oczekując sposobnej chwili do ataku. Cyrus Smith zarządził więc, by korzystając z zapasów żywności, osadnicy starali się przetrwać w zagrodzie. Mieszkanie Ayrtona zaopatrzone było we wszystkie niezbędne do życia rzeczy, których rozbójnicy, przerażeni niespodziewanym zjawieniem się kolonistów, nie mieli czasu zrabować.

— Czekać!... To jedno nam pozostaje w tej chwili! — powtarzał Cyrus Smith. — Jeżeli Harbert wyzdrowieje, będziemy mogli urządzić obławę na całym obszarze wyspy i poradzimy sobie z tymi nędznikami. To powinno być głównym celem naszej wielkiej wyprawy, podobnie jak...

— Odszukanie naszego tajemniczego opiekuna — dodał Gedeon Spilett, kończąc myśl inżyniera. — Trzeba przyznać, mój drogi Cyrusie, że tym razem zapomniał o nas właśnie w chwili, gdy go najbardziej potrzebowaliśmy!

— Kto wie? — zamyślił się inżynier.

— Jak to rozumiesz? — spytał reporter.

— Może nasze utrapienia jeszcze się nie skończyły i może jeszcze wiele razy będzie miał sposobność do udzielenia nam pomocy? Ale nie o to teraz chodzi. Życie Harberta to dla nas najważniejsza sprawa.

I w istocie była to największa troska osadników. Minęło kilka dni i stan biednego chłopca na szczęście nie pogorszył się. Było to już bardzo wiele. Harbert począł powracać do sił, gorączkując coraz mniej. Pomimo to wciąż jeszcze pozostawał na diecie, co go niezmiernie osłabiało; ponieważ jednak nie brakowało mu ziółek ani spokoju — stan jego stale się poprawiał.

Po upływie kilkunastu dni stan Harberta znacznie się polepszył. Chłopiec zaczął nawet przyjmować małe ilości pokarmu. Rumieńce powracały mu na policzki i zaczynał się uśmiechać do przyjaciół. Mógł wypowiedzieć już kilka słów i od razu zapytał o Ayrtona, którego nieobecność bardzo go dziwiła. Marynarz jednak, nie chcąc smucić młodzieńca, poprzestał na odpowiedzi, że Ayrton udał się do Naba i razem pilnują Granitowego Pałacu.

Wszystko zdawało się lepiej układać i wyłączwszy jakąś niespodziewaną komplikację, wyleczenie Harberta można było uważać za pewne.

Poza tym inżynierowi wydawało się, że po tak szczęśliwych dniach, zbliża się dla nich czas cierpień. Od przeszło dwóch lat, od kiedy uciekli z Richmond, wszystko układało się dobrze. Osada kwitła, mieli pod dostatkiem wszelakich dóbr; osiągnęli to dzięki własnej pracy i pomysłowości. Co więcej, w pewnych okolicznościach przychodziła im z pomocą jakaś niepojęta siła... Ale wszystko mogło się teraz skończyć!

Okręt piratów pojawił się na wodach wyspy — i chociaż zbrodniarze zginęli w tajemniczych okolicznościach, sześciu z nich uniknęło katastrofy. Ayrton został niewątpliwie zamordowany przez tych nędzników, posiadających broń palną i władających nią tak dobrze, że omal nie zabili Harberta. Czy był to pierwsze ciosy złego losu? To pytanie wciąż zadawał sobie Cyrus Smith i nie mógł znaleźć na nie odpowiedzi. Nie myślmy jednak, że Cyrus Smith i jego towarzysze

poddali się rozpacz. Bynajmniej! Rozumieli doskonale swoje położenie, starali się przewidzieć wszystkie możliwe wypadki i przygotował na każdą ewentualność.

ROZDZIAŁ IX

Nie ma wiadomości od Naba. — Propozycja Penkroffa i reportera odrzucona. — Kawalek tkaniny. — Wiadomość. — Pospieszny odjazd. — Przybycie na Wielki Płaskowyż.

Harbert powoli wracał do zdrowia. Teraz więc chodziło jedynie o to, aby jego stan pozwolił na przeniesienie do Granitowego Pałacu. Jakkolwiek dom mieszkalny w zagrodzie był dobrze zagospodarowany i zaopatrzony, znacznie lepsze warunki panowały w Granitowym Pałacu. Prócz tego zagroda nie zapewniała takiego bezpieczeństwa jak Pałac, w którego grubych i masywnych murach nie musieli się niczego obawiać. Toteż z niecierpliwością oczekiwali na właściwy moment, by przenieść Harberta bez zagrożenia dla jego zdrowia, i zdecydowani byli go przetransportować, pomimo że droga przez las przedstawiała wiele trudności.

Od Naba nie było wprawdzie wiadomości, ale nie budziło to niepokoju kolonistów. Odważny Murzyn, ukryty w głębi Granitowego Pałacu, nie dałby się znieścacka zaskoczyć. Cyrus nie posłał do niego więcej Topa, nie chcąc narażać wiernego psa na strzały zbrodniarzy.

Inżynier ubolewał, że ich siły są rozdzielone, co dawało przewagę piratom. Od czasu zniknięcia Ayrtona osadników było już tylko czterech na pięciu korsarzy, Harberta bowiem nie można było jeszcze liczyć. Biedny chłopiec wyczuwał to i rozumiał kłopot, którego stał się niewinną przyczyną.

Decyzja, jak należy w obecnych warunkach postępować z rozbójnikami, podjęta została ostatecznie w dniu 29 listopada przez Cyrusa Smitha, Gedeona Spiletta i Penkroffa, w chwili gdy Harbert, pogrążony w drzemce, nie mógł ich słyszeć.

— Moi przyjaciele — rzekł reporter. — Podzielim wasze zdanie, że wyjść z zagrody znaczy tyle, co wystawić się na strzały, bez możliwości odwrotu. Czy nie wydaje wam się jednak, że najwłaściwszą rzeczą w obecnej chwili byłoby po prostu ruszyć w pogoń za tymi nędznikami?

— Właśnie o tym myślałem — odpowiedział Penkroff. — Żaden z nas nie obawia się kulki — i co do mnie, jeżeli pan Cyrus się zgadza, gotów jestem natychmiast wyruszyć do lasu.

— I ja się przyłączę do Penkroffa — odrzekł reporter. — A we dwóch, dobrze uzbrojeni, mając z sobą Topa...

— Moi drodzy przyjaciele — odpowiedział Cyrus Smith. — Zechciejcie pomyśleć bez emocji. Gdybyśmy wiedzieli, gdzie znajdują się piraci i gdyby chodziło tylko o wyparcie ich stamtąd, popierałbym atak wprost. Czy jednak nic należy się obawiać, że oni obserwują nasze ruchy i zaczną strzelać pierwsi?

— Ech, panie Cyrusie! Nie każda kula trafia!

— Ta, która ugodziła Harberta, nie chybiła, Penkroffie — odpowiedział inżynier. — Zresztą, jeżeli obaj opuścicie zagrodę, do jej obrony zostaną tylko ja. A czy możecie zapewnić, że rozbójnicy nie obserwują nas i korzystając z waszej nieobecności nie uderzą na zagrodę, widząc, że znajdą tam tylko ranne dziecko i jednego obrońcę?

— Ma pan słuszość, panie Cyrusie — zawołał Penkroff, ogarnięty gniewem. — Ma pan słuszość. Gotowi to zrobić, żeby dostać się do zagrody, w której znajdują zapasy i wygodne schronienie. A sam nie zdołałby się pan im oprzeć. Ach! Czemuż nie jesteśmy w Granitowym Pałacu!

— Gdybyśmy byli w Granitowym Pałacu — odpowiedział inżynier — sytuacja byłaby zupełnie inna! Tam nie obawiałbym się zostawić Harberta pod opieką jednego z nas, a pozostali mogliby ścigać złoczyńców. Ale jesteśmy w zagrodzie i dlatego wypada pozostać w niej do chwili, gdy będziemy mogli opuścić ją razem.

Gedeon i Penkroff przyznali inżynierowi słuszość.

— Gdyby przynajmniej Ayrton był z nami! — zawołał Gedeon Spilett. — Biedny człowiek! Niedługo cieszył się powrotem do życia między ludźmi!

— Jeżeli nie żyje... — dodał Penkroff z osobliwym naciskiem.

— Ma pan nadzieję, że ci niegodziwcy darowali mu życie?... — zapytał Gedeon Spilett.

— Niewątpliwie — jeżeli to było w ich interesie.

— Jak to!... Przypuszcza pan, że Ayrton, odnalazszy swoich dawnych współników, zapomniał o wszystkim, co jest nam winien... :

— Kto to może wiedzieć?... — odpowiedział marynarz z wahaniem.

— Penkroffie — odezwał się Cyrus Smith. — Ta myśl jest zła i odrzuć ją od siebie. Ja ręczę za wierność Ayrtona.

— I ja również — dorzucił żywo reporter.

— No tak... tak! Panie Cyrusie... zawiniłem — odpowiedział Penkroff. — Była to w istocie zła myśl, której nic nie usprawiedliwia. Ale cóż, nie wiem już, dalibóg, co się ze mną dzieje. To uwięzienie w zagrodzie bardzo mnie męczy i nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek był tak rozdrażniony, jał teraz.

Pogoda była śliczna i zbliżał się czas zbiorów. Po powrocie na Wielki Płaskowyż osadnicy natychmiast powinni rozpocząć prace rolnicze, z przerwą tylko na zamierzoną wycieczkę w głąb wyspy.

Kilka razy reporter odważył się wyjść za bramę zagrody i okrążyć palisadę. Towarzyszył mu Top, a on sam z odbezpieczoną bronią zachowywał ostrożność. Nigdy nie miał żadnego niemiłego spotkania, nie spostrzegł także wokoło zagrody jakichkolwiek podejrzanych śladów. Zresztą pies zachowywał się spokojnie, z czego można było wnioskować, że piraci się oddalili.

Podczas drugiej wycieczki, 27 listopada, Gedeon Spilett, zapuściwszy się ze ćwierć mili w las, zauważył, że Top coś wywęszył. Pies był zaniepokojony, biegał tam i z powrotem, wietrząc po zaroślach i krzakach.

Gedeon Spilett ruszył pod osłoną krzaków za psem, zachęcając go głosem, a jednocześnie uważnie się rozglądając, czy się ktoś nie zbliża. Było mało prawdopodobne, aby Top poczuł obecność człowieka, gdyż w takim przypadku oznajmiłby ją szczekaniem. Tymczasem teraz nie warknął, a więc znaczyło to, że niebezpieczeństwo nie jest bliskie.

Przez prawie pięć minut Top ciągle węszył i szukał, a reporter szedł za nim ostrożnie, gdy nagle pies podskoczył do gęstego krzaka i wyciągnął stamtąd strzęp materiału.

Był to kawałek ubrania, poplamiony i podarty. Gedeon Spilett zaniósł go natychmiast do zagrody. Osadnicy rozpoznali w nim kawałek kamizelki Ayrtona z filcu, wyrabianego jedynie w Granitowym Pałacu.

— Widzisz, Penkroffie — powiedział Cyrus Smith. — Oto dowód oporu nieszczęśliwego Ayrtona. Piraci porwali go siłą! Wątpisz jeszcze w jego uczciwość?

— Nie, panie Cyrusie — odpowiedział marynarz. — Nie i już dawno przestałem go posądzać. Ale jak mi się wydaje, ten kawałek materiału może służyć za dowód, że Ayrtona nie zabito w zagrodzie. Uprowadzono go żywego! Być może wciąż żyje i czeka na naszą pomoc!

— Tak, może tak być — odpowiedział inżynier, zamyśliwszy się.

Był jeszcze cień nadziei, że któryś z korsarzy rozpoznał w Ayrtonie dawnego Bena Joyce'a i próbuje go teraz przeciągnąć na swoją stronę. Koloniści byli pewni, że jeżeli Ayrton żyje, na pewno będzie próbował uciec i przedostać się do Granitowego Pałacu.

29 listopada trzech osadnicy rozmawiali przy łóżku Harberta, gdy nagle usłyszeli żywe poszczekiwanie Topa. Na ten dźwięk Cyrus Smith, Penkroff i Gedeon Spilett chwycili zawsze gotowe do strzału strzelby i wybiegli z domu.

Top biegał wzdłuż ogrodzenia, skacząc i poszczekując, ale najwyraźniej z radości, a nie z gniewu.

— Ktoś nadchodzi!

— Z pewnością!

— Ale to me wróg!... Może Nab? Albo Ayrton?

Ledwie inżynier i jego towarzysze zdążyli zamienić tych kilka słów, jakaś postać przeskoczyła ogrodzenie i stanęła przed nimi. Był to Jup.

— Jup! — zawołał Penkroff.

— To Nab nam go przysła! — stwierdził reporter.

— Jeśli tak — odezwał się inżynier — to musi być przy nim jakiś list.

Penkroff zbliżył się do orangutana. Niewątpliwie, jeżeli Nab musiał przesłać jakąś ważną wiadomość, to nie mógł znaleźć pewniejszego i szybszego posłańca od Jupa, mogącego przejść takimi drogami, którymi nikt inny nie zdołałby się przedostać.

Faktycznie, na szyi Jupa wisiał maleńki woreczek, w którym znajdowała się karteczka, napisana przez Naba.

Wyobraźcie sobie rozpacz Cyrusa Smitha i jego towarzyszy, gdy przeczytali następujące słowa:

„Piątek, szósta rano. Piraci opanowali płaskowyż. Nab”

Osadnicy spojrzeli po sobie w milczeniu i wrócili do domu. Co mieli uczynić? Piraci na płaskowyżu to była kłeska, spustoszenie, ruina!

Harbert, ujrawszy ich, natychmiast odgadł, że sytuacja musiała się pogorszyć, a spostrzegłszy Jupa nie wątpił już, że jakieś nieszczęście zagraża Granitowemu Pałacowi.

— Panie Cyrusie — zawołał. — Chcę wyruszyć w drogę. Czuję, że zniosę jej trudy!... Ja chcę jechać!

Gedeon Spilett zbliżył się do chłopca, przyglądał mu się przez chwilę, a potem powiedział:

— Jedźmy więc!

Szybko zdecydowano, że Harbert pojedzie na wozie, dzięki czemu wszyscy osadnicy będą się mogli w razie konieczności bronić.

Cyrus Smith i Gedeon Spilett szli po obu stronach wózka, gotowi odeprzeć każdy napad. Było jednak bardzo mało prawdopodobne, aby zbiegowie opuścili już Wielki Płaskowyż. Nab napisał swą wiadomość o szóstej rano, gdy tylko się tam pokazali, a teraz było zaledwie wpół do ósmej; droga była całkowicie bezpieczna, należało uważać dopiero w okolicach Granitowego Pałacu.

Wóz toczył się powoli. Wyruszyli z zagrody o wpół do ósmej. W godzinę później przebyli już większą część drogi i to bez żadnej przygody. Droga była pusta, jak również i cała ta część lasu, rozciągająca się pomiędzy Rzeką Miłosierdzia a jeziorem. Gęstwiny krzaków wyglądały dokładnie tak samo jak w dniu lądowania osadników na wyspie.

Płaskowyż był już blisko. Jeszcze mila i zobaczą mostek na Potoku Glicerynowym. Wreszcie pomiędzy drzewami zabłysnęło morze.

Nagle Penkroff, zatrzymując onagra ciągnącego wózek, zawołał straszliwym głosem:

— Ach, nędznicy!

I ręką wskazał na gęste kłęby dymu, unoszące się nad młynem, stajniami i zabudowaniami dla ptactwa. Jakiś człowiek kręcił się wśród zgliszczy; był to Nab. Towarzysze zaczęli go wołać. Usłyszeli i pobiegł w ich stronę.

Piraci spustoszyli płaskowyż i opuścili go pół godziny wcześniej.

— A pan Harbert? — zawołał Nab.

Gedeon pobiegł do wozu: Harbert leżał nieprzytomny!

ROZDZIAŁ X

Przeniesienie Harberta do Granitowego Pałacu. — Opowiadanie Naba. — Wyprawa Cyrusa na płaskowyż. — Spustoszenia. — Bezradność wobec choroby. — Kora wierzbowa. — Śmiertelna gorączka. — Top znowu szczeka.

Zapomniano o piratach, o grożącym ciągle niebezpieczeństwie, o zniszczeniach na płaskowyżu — liczył się tylko stan zdrowia Harberta.

Penkroff doprowadził wóz do zakrętu rzeki. Tu na noszach zrobionych z kilku gałęzi ułożono chłopca. W dziesięć minut później Cyrus Smith, Gedeon Spilett i Penkroff byli już pod murami Pałacu, powierzwszy Nabowi odprowadzenie wozu na Wielki Płaskowyż.

Starania, których Harbertowi nie szczędzono, przywróciły go do życia. Uśmiechnął się lekko, gdy zobaczył, że jest w swoim pokoju, jednak mógł wyszeptać zaledwie kilka słów, ponieważ był tak osłabiony.

Gedeon Spilett zbadał go w obawie, czy szwy się nie otworzyły. Nic takiego się jednak nie stało. Skąd więc pochodził ten nagły ubytek sił i odrętwienie? Czemu stan Harberta się pogorszył?

Wkrótce chłopiec zapadł w gorączkowy sen. Penkroff i reporter pozostali przy jego łóżku.

Tymczasem Cyrus Smith opowiedział Nabowi o wszystkich wypadkach, które wydarzyły się w zagrodzie, a Nab zrelacjonował zdarzenia, których był świadkiem w Granitowym Pałacu.

Dopiero ubiegłej nocy zbiegowie pokazali się na skraju lasu, w pobliżu strumienia. Nab, który znajdował się wtedy przy kurnikach, natychmiast strzelił do pirata, zamierzającego przejść w bród strumień, ale ponieważ noc była bardzo ciemna, nie wiedział, czy trafił tego nędznika. W każdym razie strzał wystarczył do powstrzymania całej bandy i dał Nabowi czas na wycofanie się w głąb Granitowego Pałacu, gdzie był bezpieczny.

„Co robić?” — zadawał sobie pytanie Nab. Nie musiał się martwić o swoje bezpieczeństwo, rozbójnicy bowiem nie mogli się dostać do Granitowego Pałacu. Wypadało jednak koniecznie zawiadomić towarzyszy o grożącym niebezpieczeństwie.

Wówczas Nab wpadł na pomysł wysłania wiadomości przez Jupa. Znana mu była nadzwyczajna inteligencja tego zwierzęcia, niejednokrotnie już wypróbowana. Jup rozumiał słowo „zagroda”, tak często przy nim powtarzane. Słońce jeszcze nie wzeszło. Szybki orangutan mógł więc prześlizgnąć się niepostrzeżenie przez lasy.

Nab dłużej już się nie wahał. Napisał kartkę, przywiązał ją do szyi Jupa, przyprowadził go do drzwi Granitowego Pałacu, z których spuścił długą linę sięgającą aż do ziemi i zawołał do niego kilkakrotnie:

— Jupie! Zagroda, zagroda!

Zwierzę pojęło, o co chodzi, pochwyciło za sznur, zsunęło się błyskawicznie i zniknęło w ciemnościach, nie budząc podejrzeń rozbójników.

— Dobrze zrobiłeś, Nabe — powiedział Cyrus Smith — ale może lepiej by było, gdybyś nas nie zawiadamiał.

Mówiąc tak, Cyrus Smith miał na myśli Harberta, któremu przewiezienie z zagrody bardzo zaszkodziło.

Nab dodał jeszcze, że piraci nie pokazali się wcale na wybrzeżu przed Pałacem. Ponieważ podczas ataku statku korsarskiego strzały rozległy się z tylu miejsc naraz, mogli sądzić, iż Granitowego Pałacu broni znaczna załoga. Ale Wielki Płaskowyż, znajdujący się poza zasięgiem strzałów, stał przed nimi otworem, więc to na nim dokonali bezmyślnych zniszczeń.

Zaraz po ich odejściu Nab opuścił swoje schronienie. Wybiegł na płaskowyż i narażając się na zbłąkaną kulę, usiłował stłumić pożar, trawiący właśnie kurniki. Walczył jednak na próżno z ogniem aż do chwili, w której wóz ukazał się na skraju lasu. Takie były najważniejsze wypadki. Obecność piratów stanowiła bezustanne zagrożenie dla osadników Wyspy Lincoln, tak szczęśliwych do tej pory.

Inżynier chciał zbadać rozmiar strat, więc udał się z Nabem na płaskowyż. Skierowali się ku Rzece Miłosierdzia i przeszli jej lewym brzegiem, nie zdując nigdzie śladu rozbójników. Na drugim brzegu rzeki w gęstwinie również nie natrafili na nic podejrzanego.

Nasuwały się dwa prawdopodobne wytłumaczenia: albo rozbójnicy dostrzegli z daleka wracających kolonistów i natychmiast udali się do opuszczonej zagrody, bądź też, nic nie wiedząc o ich powrocie, natychmiast po spustoszeniu płaskowyżu uciekli do swej kryjówki w lesie, by przygotować się nowej napaści. Należało więc ich uprzedzić; jednak wszelkie próby wyparcie rozbójników z wyspy były uzależnione od stanu zdrowia Harberta, który razie nie pozwalał na podjęcie stanowczych kroków.

Inżynier i Nab przybyli na płaskowyż. Był to smutny widok: zdeptane i stratowane łąny. Dojrzałe kłosa, przedmiot przyszłego żniwa, leżały na ziemi; Inne plantacje również ucierpiały. Ogród jarzynowy był doszczętnie zdewastowany. Na szczęście Granitowy Pałac posiadał zapasy nasion, wystarczające do naprawienia tych szkód.

Co do młyna, kurników i stajni dla onagrów, pożar zniszczył je doszczętnie. Kilka spłoszonych zwierząt błądziło po płaskowyżu, a ptactwo, które w czasie pożaru szukało schronienia na wodach jeziora, powracało już powoli do swej siedziby i zaczynało się pluskać przy brzegach. Na szczęście wszystko można było odbudować.

Twarz Cyrusa Smitha, bledsza niż zazwyczaj, zdradzała z trudem hamowany gniew — z ust inżyniera nie wydobyło się jednak ani jedno gwałtowne słowo. Raz jeszcze spojrzął na spustoszone pola, na kłęby dymu unoszące się jeszcze nad zgłiszczami i powrócił do Granitowego Pałacu.

Następnie dni należały do najsmutniejszych, jakie osadnicy przeżyli do tej pory. Harbert wyraźnie tracił siły. Zdawało się, że zagraża mu jakaś bardzo ciężka choroba, będąca następstwem głębokiego wstrząsu, jakiemu uległ. Gedeon Spilett przeczuwał, że nadejdzie chwila, w której wycieńczony organizm nie będzie mógł dłużej walczyć.

Gedeon Spilett rozpoznał chorobę 6 grudnia. Palce, nos i uszy biednego chłopca nagle posiniały, a wkrótce dostał też dreszczy. Puls miał słaby i nierówny, skórę suchą, wielkie pragnienie. Później nastąpił silny atak gorączki; twarz się ożywiła, skóra poczerwieniała, tętno przyspieszyło. Był to atak febry. Odkrycie to było pewne i najważniejszą sprawą stało się przerwanie tej niszczącej choroby, zanim przybierze groźniejsze rozmiary.

— Aby tego dokonać — rzekł Gedeon Spilett do Cyrusa Smitha — niezbędny jest jakiś środek antymalaryczny.

— Środek antymalaryczny! — odpowiedział inżynier. — Niestety, nie mamy ani grama chininy.

— To prawda — odezwał się Gedeon Spilett — ale mamy wierzby nad jeziorem których kora może niekiedy zastąpić chininę.

— Spróbujmy więc, nie tracąc ani chwili! — zawołał Cyrus Smith.

I w istocie, kora wierzbową słusznie bywa uważana za środek zastępujący chininę. Należało więc spróbować tej substancji, jednakże nie dorównującej w działaniu chininie.

Cyrus Smith odciął od pnia wierzby kilka kawałków kory, które przyniósł do Granitowego Pałacu i sproszkował, a następnie, jeszcze tego wieczoru, proszek ten podano Harbertowi.

Noc przeszła bez komplikacji. Harbert miał małą gorączkę, ale atak febry nic pojawił się ani w nocy, ani w ciągu następnego dnia.

Penkroffowi zaczęła powracać nadzieja. Gedeon Spilett był ciągle zaniepokojony. Przerazało go zwłaszcza to, że Harbert oprócz osłabienia cierpiał na dokuczliwe drgawki i łamanie w kościach. Wkrótce potem nastąpił obrzęk wątroby. Gedeon Spilett odprowadził inżyniera na stronę.

— To żółta febra! — powiedział.

— Żółta febra!? — zawołał Cyrus Smith. — Musisz się mylić, Spilett. Żółta febra nie objawia się samorodnie.

— Nie myślę się — odpowiedział reporter. — Harbert musiał nabawić się jej na bagnach — a to całkowicie wystarcza. Pierwszy atak już miał. Jeżeli przyjdzie drugi, a trzeciemu nie zdołamy zapobiec, nasze dziecko będzie zgubione!...

— A kora wierzbowa?...

— Obecnie już nie wystarcza — a trzeci atak żółtej febry, jeżeli nie zostanie powstrzymany chininą, bywa zawsze śmiertelny!

Na szczęście Penkroff nie słyszał tej rozmowy. Inaczej oszalałby.

Łatwo więc pojąć w jakim niepokoju reporter i inżynier przeżyli dzień 6 grudnia i następną noc. Mniej więcej w południe przyszedł drugi, bardzo silny atak. Harbert sam czuł, że umiera! Wyciągnął ręce do Cyrusa Smitha, do Spiletta, do Penkroffa!... Chciał żyć!... Był to widok rozdzierający serca. Penkroffa trzeba było wyprowadzić.

Atak trwał pięć godzin. Widoczne było, że trzeciego, podobnego Harbert nie przetrzyma. Noc była okropna. Harbert bredził w gorączce: walczył z rozbójnikami, przywoływał Ayrtona. Błagał o pomoc ową tajemniczą istotę, owego protektora... Po tym wszystkim zapadał w stan głębokiego odrętwienia... Kilka razy Gedeon Spilett myślał, że biedny chłopiec już nie żyje.

Następnego dnia, 8 grudnia, Harbert jeszcze silniej majaczył. Wychudłe Jego ręce ścisnęły prześcieradło. Dano mu nową dawkę sproszkowanej kory, ale reporter niczego się już po tym środku nie spodziewał.

— Jeżeli przed jutrzejszym porankiem — rzekł — nie użyjemy silniejszego antymalarycznego środka, Harbert umrze!

Nadeszła noc, zapewne ostatnia dla tego chłopca odważnego, mądrego dobrego, poważnego jak na swój wiek, który był dla wszystkich towarzyszy jak rodzony syn. Chininy, jedyne istniejącego środka przeciw żółtej febrze na Wyspie Lincolna nie było!

Tej nocy z 8 na 9 grudnia Harbert nie poznawał już nikogo. Czy doczeka ranka i owego trzeciego ataku, który go na pewno zabije? Nawet za to już nie można było ręczyć. Siły jego wyczerpały się, a w przerwach pomiędzy atakami leżał jak martwy.

Około trzeciej nad ranem Harbert krzyknął. Można było sądzić, że się wije w ostatnich konwulsjach. Nab, znajdujący się właśnie przy nim z wyrazem najwyższej trwogi wpadł do sąsiedniego pokoju, gdzie czuwała reszta towarzyszy. W tej chwili Top dziwnie zaszczekał.

Koloniści wbiegli i ledwie zdołali powstrzymać konającego młodzieńca; który koniecznie chciał wyskoczyć z łóżka. Była piąta rano — Promienie wschodzącego słońca zaczynały oświetlać pokoje Granitowego Pałacu. Jeden z nich padł na stolik, stojący obok łóżka; Penkroff krzyknął, a jego ręka wskazała na jakiś przedmiot leżący na stoliku.

Było to maleńkie, podłużne pudełeczko, na którym znajdował się napis:

Siarczan chininy.

ROZDZIAŁ XI

Niepojęta tajemnica. — Powrót Harberta do zdrowia. — Dalsze zwiedzanie wyspy. — Przygotowania do wyprawy. — Pierwszy dzień — Noc. — Drugi dzień. — Para kazuarów. — Ślady w lesie. — Przybycie do Przylądka Węża.

Gedeon Spilett otworzył pudełko i znalazł około dwustu gramów białego proszku; skosztował go. Nadzwyczajna gorycz tej substancji nie pozostawiała wątpliwości. Była to istotnie drogocenna chinina.

Należało niezwłocznie podać lekarstwo Harbertowi, nie zastanawiając się, kto je dostarczył.

— Kawy! — zawołał Gedeon Spilett.

Po kilku chwilach Nab przyniósł filiżankę gorącego napoju. Gedeon Spilett wrzucił tam około osiemnastu gramów chininy i lekarstwo to zdołano wlać w usta Harbertowi. Był najwyższy czas, gdyż trzeci atak mógł nastąpić w każdej chwili.

Po kilku godzinach Harbert spał już o wiele spokojniej. Wówczas mogli pomówić o tym zdarzeniu. Pomoc nieznanego nie pozostawiała tym razem żadnych wątpliwości. Ale jakim sposobem przedostał się nocą do Granitowego Pałacu? Tego nie można było w żaden sposób wyjaśnić.

Przez cały ten dzień mniej więcej co trzy godziny podawano Harbertowi chininę. Od następnego dnia zaczął już odczuwać pewną poprawę i nadzieja nappełniła wszystkim serca. Nie była ona daremna. W dziesięć dni później 20 grudnia, Harbert zaczął przychodzić do siebie. Czuł jeszcze wielkie osłabienie, ale żaden nowy atak nie nastąpił.

Penkroff przypominał człowieka wydobytego z samego dna przepaści. Chwilami radość jego dochodziła prawie do szału. Skoro groźba trzeciego ataku została zażegnana, uścisnął reportera tak mocno, że mało go nie udusił. Od tej pory nazywał go nie inaczej, jak tylko „doktorem Spilettem”.

Skończył się grudzień, a wraz z nim i rok 1867, w ciągu którego osadnicy Wyspy Lincoln doświadczyli tylu ciężkich przejść. Rok 1868 zaczął się prześliczną pogodą, ciepłem, tropikalną temperaturą, na szczęście chłodzoną wiatrem od morza.

Harbert wracał do zdrowia i z łóżka umieszczonego przy jednym z okien Granitowego Pałacu, wdychał krzepiące powietrze, przesycone zapachami i solą, które mu przynosiło zdrowie. Zaczynał już jeść, a Nab przyrządzał mu same dietetyczne i smakowite potrawy.

Przez cały ten czas piraci ani razu nie pokazali się w okolicach Granitowego Pałacu. Od Ayrtona także nie było wiadomości. Tylko inżynier i Harbert żywili jeszcze niewielką nadzieję na odnalezienie go, ale reszta towarzyszy nie miała już wątpliwości, że nieszczęśnik zginął. Te zagadki powinny jednak zostać rozwiązane i dlatego postanowiono, gdy Harbert wróci całkiem do zdrowia, podjąć wycieczkę, której rezultat mógł mieć tak wielkie dla nich znaczenie. Na to jednakże należało poczekać co najmniej miesiąc. Do pokonania korsarzy były bowiem niezbędne wszystkie siły osady.

Harbert był co dzień zdrowszy. Zapalenie wątroby minęło, a rany można było uważać za zabliznione.

W ciągu stycznia wykonano ważne prace na Wielkim Płaskowyżu i uratowano, co się jeszcze dało, ze stratowanych zbiorów jarzyn i zboża. Zebrano nasiona i rośliny, aby mieć z nich zasiew na najbliższy okres. Z odbudowaniem kurników, młyna i stajni Cyrus Smith wolał zaczekać. W czasie, gdy on i jego towarzysze byliby zajęci pogonią za korsarzami, oni mogliby znowu

nawieźć Płaskowyż. Nie należało więc dawać możliwości dokonania następnych zniszczeń. Po unieszkodliwieniu złoczyńców będzie można pomyśleć o odbudowaniu wszystkiego.

Pod koniec stycznia Harbert wychodził już na spacer na Wielki Płaskowyż i wybrzeże. Kilka kąpiel morskich, wziętych w towarzystwie Penkroffa i Naba, bardzo mu posłużyło. Cyrus Smith stwierdził, że może już wyznaczyć termin wyprawy; miała ona nastąpić 15 lutego. Noce, bardzo jasne o tej porze roku, będą sprzyjać zamierzonym poszukiwaniom na całej wyspie.

Wyprawa mogła się przeciągnąć, gdyż jej celem było z jednej strony zniszczenie korsarzy i odszukanie Ayrtona, jeżeli jeszcze żył, z drugiej zaś — odkrycie tajemniczego dobroczyńcy.

Koloniści wcale nie znali do tej pory lasów pokrywających półwysep gdzie z pewnością istniało wiele kryjówek w tajemniczych ostępach. Dlatego zdecydowali się poznać tę część wyspy.

Zastanawiano się, czy nie lepiej byłoby udać się najpierw do zagrody, osadnicy stwierdzili jednak, że albo piraci spustoszyli ją i odeszli lub też — co było bardziej prawdopodobne — uczynili z niej swoje stałe lokum, gdzie możni ich będzie znaleźć później.

Wóz był w doskonałym stanie, wypoczęte onagry nadawały się do dalekiej drogi. Zapasy żywności, przedmioty niezbędne do urządzenia obozowiska, przenośną kuchnię i różne inne sprzęty załadowano na wóz; przygotowaną również broń i amunicję, wybrane starannie z dobrze zaopatrzonego obecnie arsenału Granitowego Pałacu. Ponieważ rozbójnicy mogli błąkać się po lesie, nie należało zapominać o ostrożności i trzymać się razem.

Postanowiono również, że nikt nie pozostanie w Granitowym Pałacu, nawet Top i Jup mieli wziąć udział w wyprawie.

14 lutego, w wigilię odjazdu, wypadła niedziela. Poświęcono ją w całości na wypoczynek i modlitwę. Harbert był już zupełnie zdrow, ale jeszcze nieco osłabiony, miał więc przygotowane miejsce na wozie.

Nazajutrz o świcie Cyrus Smith zabezpieczył Granitowy Pałac przed możliwą napaścią. Drabiny, które służyły kiedyś do wchodzenia do środka, zakopano głęboko w piasku, tak żeby można je było odnaleźć i użyć w razie konieczności; winda bowiem wraz z całym należącym do niej wyposażeniem została zdemontowana.

Pogoda była wspaniała.

— W drogę! — odezwał się inżynier.

Nab prowadził onagry. Cyrus Smith, reporter i marynarz mieli iść przodem. Top podskakiwał radośnie. Harbert zawołał do siebie Jupa, który z ogromną ochotą zajął miejsce na wozie.

Przez pierwsze dwie mile drzewa rosły rzadko i pozwalały na łatwy przejazd; tylko od czasu do czasu trzeba było przeciąć kilka lian lub przerąbywać gęste krzaki, jednak żadna poważniejsza przeszkoda nie powstrzymała dotąd osadników.

Gęste listowie drzew utrzymywało chłodny cień. Gumowce, smokowce i inne gatunki pokrywały niezmierną przestrzeń rozciągającą się przed nimi.

— Zauważyłem — odezwał się Cyrus Smith — że zwierzęta: czworonogi i ptactwo są bojaźliwsze niż kiedyś. Widocznie korsarze niedawno przechodzili przez te lasy i niewątpliwie powinniśmy trafić na ich ślady.

Istotnie, w wielu miejscach rozpoznać można było mniej lub bardziej świeże ślady przejścia gromady ludzi: odciski stóp, popioły wygasłego ogniska. Nic jednak nie wskazywało, aby gdzieś w pobliżu znajdowało się obozowisko.

Inżynier zalecił towarzyszom wstrzymanie się od polowania. Huk broni palnej mógłby zwrócić uwagę zbójców, znajdujących się może w lesie.

Po południu, mniej więcej sześć mil od Granitowego Pałacu, przejazd stał się trudniejszy. Chcąc przebyć niektóre gęstwiny, trzeba było ścinać drzewa i tym sposobem torować sobie

drogę. Cyrus Smith wysłał najpierw w gęstwinę Topa i Jupa; na podstawie ich zachowania wnioskowano, czy w pobliżu nie znajdują się korsarze lub dzikie zwierzęta.

Wieczorem pierwszego dnia wyprawy osadnicy obozowali około dziewięciu mil od Granitowego Pałacu, na brzegu małego dopływu Rzeki Miłosierdzia, dotychczas im nieznanego.

Po obfitej wieczerzy, do której zasiedli z dużym apetytem, przedsięwzięto odpowiednie środki ostrożności na noc. Gdyby inżynier miał do czynienia tylko z dzikimi zwierzętami, kazałby po prostu rozpalić ognie wokół obozowiska i to by wystarczyło do obrony; jednak blask płomienia prędzej przywabiłby korsarzy niż powstrzymał, słuszniejsze więc wydawało się pozostanie w ciemności. Nie zapomniano także o zorganizowaniu straży. Dwóch osadników czuwało razem, a co dwie godziny mieli ich zmieniać inni towarzysze. Ponieważ pomimo gorących protestów Harberta, odsunięto go od obowiązku warty, więc Penkroff i Gedeon Spilett, następnie inżynier i Nab stali kolejno na straży w pobliżu obozowiska.

Noc trwała tylko kilka godzin. Głębokie milczenie zakłócały chrapliwe wycia jaguarów i przedrzeźniające się wrzaski małp, które szczególnie irytowały Jupa.

W następnym dniu osadnicy uszli zaledwie sześć mil, co chwilę bowiem trzeba było wycinać drogę toporem.

W tym dniu Harbert odkrył kilka gatunków roślin, których dotychczas jeszcze nie spotkali na wyspie, jak olbrzymie paprocie i drzewa świętojańskie, których owoce chciwie zajadały onagry. Owoce te zawierały w sobie słodki miąższ o doskonałym smaku.

Co do fauny — nie prezentowała ona innych okazów prócz znanych już myśliwym. Spostreżegli jednakże, ale z daleka, parę wielkich ptaków z rodzaju kazuarów. Miały one wysokość do pięciu stóp, czarne upierzenie i należały do rodziny szczudłowatych.

Ślady pozostawione przez korsarzy w lesie znaleziono jeszcze w kilku miejscach. W pobliżu ogniska, które wydawało się niedawno zgaszone, osadnicy znaleźli ślady stóp. Po zbadaniu wszystkich poznali z łatwością, że te ślady pięciu ludzi.

— Ayrtona nie było z nimi — stwierdził Harbert.

— Nie — odpowiedział Penkroff — a jeżeli go nie było, musieli go już zabić ci nędznicy! Ale czy ci niegodziwcy mają gdzieś na wyspie stałe schronienie, w którym można by ich wytropić jak dzikiego zwierza?

— Nie — odpowiedział reporter. — Najprawdopodobniej przenoszą się z miejsca na miejsce i nie zamierzają tego zmieniać, dopóki nie staną się panami wyspy.

— Panami wyspy?! — zawołał marynarz. — Panami wyspy!... — powtórzył zduszonym z gniewu głosem. A po chwili odezwał się tonem nieco spokojniejszym:

— Czy wie pan, panie Cyrusie, jaką kulą nabiłem moją strzelbę? — Nie, Penkroffie!

— Tą samą, która przeszła pierś Harberta i zaręczam panu, że nie chybi ona celu!

Tego wieczoru założono obóz o czternaście mil od Granitowego Pałacu, a Cyrus Smith uznał, że muszą się znajdować nie dalej jak o pięć mil od Przylądka Węża. Istotnie, nazajutrz dotarli na skraj półwyspu, przeszedłszy całą szerokość lasu; jednak żaden znak nie wskazał im schronienia korsarzy, ani też ukrytej siedziby tajemniczego nieznanego.

ROZDZIAŁ XII

Zbadanie Półwyspu Węża. — Obozowisko przy strumieniu. O sześćset kroków od zagrody. — Gedeon Spilett i Penkroff na zwiadach. — Powrót. — Naprzód! — Otwarte drzwi. — Światło w oknie. — Przy blasku księżyca.

Następny dzień, 18 lutego, poświęcono na zbadanie lesistej części wybrzeża, od Przylądka Gada aż do Potoku Katarakty. Osadnicy starannie zwiedzili ten las, którego szerokość w różnych punktach wynosiła około czterech mil.

Duża wysokość i bujność drzew świadczyły o nadzwyczajnej żyzności gruntu. Jednakże nie podziwianie tych wspaniałości roślinnych było w tej chwili celem osadników. Wiedzieli, że pod tym względem Wyspa Lincoln mogłaby rywalizować z Wyspami Kanaryjskimi, którym początkowo nadano nazwę Szczęśliwych.

Na zachodnim wybrzeżu nie napotkali żadnych śladów, mimo najstaranniejszych poszukiwań. Nie było też nigdzie widać odcisków stóp, nacięć na drzewach, wystygłych popiołów ani opuszczonych obozowisk.

— Nie dziwi mnie to wcale — rzekł Cyrus Smith do towarzyszy. — Rozbójnicy wylądowali w okolicach Przylądka Rozbitków i po przejściu przez Kacze Błota dotarli do Lasów Dalekiego Zachodu. Szli więc prawie tą samą drogą, co my obecnie. Tym można wytłumaczyć ślady, które napotkaliśmy w lasach. Kiedy znaleźli się jednak na wybrzeżu, korsarze zrozumieli, że nie ma tu dla nich odpowiedniego schronienia i wówczas skierowali się na północ i odkryli zagrodę...

— Tam też prawdopodobnie znowu są — rzekł Penkroff.

— Nie wydaje mi się — odpowiedział inżynier. — Powinni bowiem przypuszczać, że będziemy ich tam szukać. Zagroda może być dla nich miejscem zaopatrywania się w zapasy żywności, ale nie stałym obozowiskiem.

— I ja podzielam zdanie Cyrusa — odezwał się reporter. — Według mnie korsarze znaleźli sobie kryjówkę pomiędzy skałami Góry Franklina.

— Ruszajmy więc, panie Cyrusie, prosto do zagrody — zawołał Penkroff. — Trzeba wreszcie z nimi skończyć, bo dotychczas tylko marnowaliśmy czas!

— Nie, mój przyjacielu — odpowiedział inżynier. — Zapominasz, że musimy się dowiedzieć, czy w Lasach Dalekiego Zachodu nie znajdziemy naszego dobroczyńcy.

Tego wieczoru wóz zatrzymał się przy ujściu Rzeki Kaskady. Nocleg przygotowano, jak zwykle, z zachowaniem niezbędnych środków ostrożności.

Harbert, który już całkowicie wyzdrowiał, korzystał z rozkoszą z pobytu na świeżym powietrzu, wśród morskiej bryzy i ożywczej atmosfery lasów. Nie leżał już na wózku, ale siedł na czele wyprawy.

Nazajutrz, 19 lutego, opuściwszy wybrzeże, udali się w górę rzeki jej lewym brzegiem.

Plan inżyniera był następujący: dokładnie zbadać całą dolinę, której dno tworzyło łożysko rzeki i z zachowaniem największej ostrożności dotrzeć aż do nagrody. Jeżeli zagroda będzie zajęta, należy odbić ją siłą; jeżeli zaś nie będzie — obwarować się w niej i zrobić z niej bazę wypadową w rejonie Góry Franklina. Plan ten osadnicy przyjęli jednogłośnie.

Ruszyli wąską doliną między dwoma pasmami gór. Drzewa, które rosły gęsto na wybrzeżu rzeki, w miarę jak pięły się w górę, były coraz rzadsze. Grunt był tu pagórkowaty, dosyć nierówny, sprzyjający zasadzkom, dlatego też zastosowano szczególne środki ostrożności. Top i Jup biegli przodem jako zwiadowcy i buszowali w pobliskich zaroślach. Nic jednak nie wskazywało na obecność ludzi.

Okolo piątej po południu wóz zatrzymał się o prawie sześćset kroków od ogrodzenia otaczającego zagrodę. Przede wszystkim trzeba było przekonać się, czy zajmują ją piraci. Podejście do niej wprost, przez odkrytą przestrzeń było jednoznaczne z narażeniem się na strzał w przypadku obecności korsarzy. Lepiej więc było zaczekać, aż nadejdzie noc.

Tymczasem Gedeon Spilett chciał, nie zwlekając dłużej, przekonać się o stanie zagrody, a zniecierpliwiony Penkroff zaproponował, że będzie mu towarzyszył.

— Nie, moi przyjaciele — odezwał się inżynier. — Czekać aż do nocy. Nie pozwolę żadnemu z was narażać się w ciągu dnia.

O ósmej wieczorem wydawało się, że jest już dosyć ciemno, by można było podkraść się pod zagrodę w celach zwiadowczych. Gedeon Spilett oświadczył, że gotów jest wyruszyć w towarzystwie Penkroffa. Cyrus Smith zgodził się na to.

Top i Jup mieli zostać z inżynierem, Harbertem i Nabem. Szczeknięcie lub krzyk mogły zbudzić czujność nieprzyjaciół.

— Nie zapuszczajcie się zbyt daleko — zalecił Cyrus Smith marynarzowi i reporterowi. — Zadaniem waszym nie jest opanowanie zagrody, ale przekonanie się, czy jest zajęta, czy nie.

— Tak też postąpimy — odpowiedział Penkroff.

Po pięciu minutach obydwaj zwiadowcy doszli do skraju lasu i stanęli na polance, w głębi której widać było zagrodę.

Tu się zatrzymali. Kilka ostatnich promieni słońca oświetlało jeszcze łąkę огоłoconą z drzew. Trzydzieści kroków przed nimi czerniała brama zagrody, jak się zdawało, zamknięta. Te trzydzieści kroków, oddzielające polankę od ogrodzenia, stanowiło niebezpieczny pas. I w istocie, jedna lub kilka kul, wysłanych ze szczytu palisady, mogły zabić każdego, kto by się wysunął na tę otwartą przestrzeń.

Gedeon Spilett i marynarz nie należeli do ludzi cofających się przed podobnym niebezpieczeństwem; rozumieli jednak, że najmniejsza nierozwaga z ich strony mogłaby się zakończyć tragicznie. Gdyby się dali zabić, co stałoby się z Cyrusem Smithem, Nabem, Harbertem?

Mimo tych refleksji, rozdrażniony Penkroff, widząc przed sobą zagrodę, w której, jak przypuszczał, ukryli się rozbójnicy, już miał skoczyć naprzód, gdy silna ręka reportera przytrzymała go na miejscu.

— Za kilka minut zrobi się zupełnie ciemno — szepnął Gedeon Spilett marynarzowi do ucha — i wtedy będzie odpowiednia chwila do działania!

Penkroff, ściskając kurczowo kolbę swego karabinu, pohamował się i pozostał w miejscu, pomrukując.

Wkrótce zaszło słońce. Mrok, wydający się wypływać z gęstwiny lasu, zalał całą łąkę. Góra Franklina zasłoniła horyzont zachodni i w mgnieniu oka zapanowała nieprzenikniona ciemność. Nadeszła właściwa chwila.

Reporter i Penkroff ani na chwilę nie spuścili z oka palisady. Zagroda wydawała się zupełnie opuszczona. Wierzchołek ogrodzenia rysował się jednostajną linią, odrobinę ciemniejszą od otaczającego ją mroku. Jeżeli piraci znajdowali się w zagrodzie, to powinni wystawić kogoś w tym miejscu na straży, dla zabezpieczenia się od niespodziewanego ataku.

Gedeon Spilett ścisnął mocno dłoń swego towarzysza i obydwaj, czołgając się, zbliżyli się w stronę zagrody z bronią gotową do strzału. Dotarli aż do bramy zamykającej ogrodzenie, a ciągle najmniejsze światełko nie przebiło mroków.

Penkroff próbował popchnąć bramę, ale była zamknięta. Jak się jednak przekonał, zewnętrznych rygli nie zasunięto. Można więc było wnioskować, że korsarze znajdują się w zagrodzie i prawdopodobnie zabezpieczyli bramę tak, aby nie można jej było wyłamać.

Gedeon Spilett i Penkroff wyteżyli słuch. Najmniejszy szelest nie dochodził z wnętrza. Muflony i kozy, zapewne śpiące już w obórkach, nie przerywały ciszy nocnej.

Reporter i marynarz zastanawiali się, czy powinni próbować dostać się do zagrody przez palisadę — operacja ta mogła się udać, ale mogła i chybić. Podczas próby sforsowania ogrodzenia mogliby zaalarmować złoczyńców i tym samym wystawić się na strzały.

Reporter uważał, że rozsowniej będzie poczekać, aż zbiiorą się wszyscy i dopiero wtedy próbować wejść do zagrody. Penkroff podzielał to zdanie, po — czołgał się bowiem za nim bez jakichkolwiek uwag. Po kilku minutach inżynier znał już całą sytuację.

— Tak — rzekł po chwili namysłu — a więc wydaje mi się, że korsarzy nie ma w zagrodzie.

— Dowiemy się o tym na pewno, przechodząc przez palisadę — odpowiedział Penkroff.

— Naprzód więc! — krzyknął Gedeon Spilett.

Po chwili wóz wyprowadzony z lasu zaczął się toczyć bez szelestu w stronę palisady. Ciemność była wciąż tak głęboka, jak w chwili, gdy Penkroff z reporterem czołgali się w kierunku ogrodzenia. Gęsta trawa tłumiła odgłos kroków. Osadnicy trzymali broń w pogotowiu. Jup, na rozkaz Penkroffa, szedł w tyle. Nab prowadził Topa na smyczy, żeby nie mógł wyskoczyć naprzód.

Wkrótce ujrzeni polankę; było na niej pusto. Bez wahania maleńka gromadka zbliżyła się do ogrodzenia. W krótkim czasie przebyli niebezpieczny odcinek terenu. Nie padł ani jeden strzał.

Przed samą palisadą zatrzymano wóz. Nab pozostał przy onagrach, trzymając je na wodzy. Inżynier, reporter, Harbert i Penkroff ruszyli do bramy, aby przekonać się, czy jest zabarykadowana od wewnątrz.

Jedna połowa była otwarta na oścież.

— Przecież powiedzieliście, że jest zamknięta? — spytał inżynier marynarza i Gedeona Spiletta.

Na twarzach obydwu malował się wyraz najwyższego zdumienia.

— Jak pragnę zbawienia! — zawołał wreszcie Penkroff. — Ta brama była przed chwilą zamknięta!

Osadnicy zawahali się. Czy korsarze znajdowali się w zagrodzie, gdy Penkroff i reporter zbliżyli się do niej? Z pewnością, gdyż bramę, wówczas zamkniętą, tylko oni mogli otworzyć. Najważniejsze pytanie brzmiało: czy wszyscy piraci opuścili zagrodę, czy też jeden z nich wyruszył na zwiady?

W tej chwili Harbert, który posunął się o kilka kroków w głąb ogrodzenia, cofnął się szybko i pochwycił za rękę Cyrusa Smitha.

— Co się stało? — spytał inżynier.

— Światło!

— W domu?

— Tak!

Wszyscy rzucili się do bramy i w istocie, przez szyby okna położonego naprzeciw nich, ujrzeni drżące, słabe światelko. Cyrus Smith podjął szybko decyzję.

— To jedyna możliwość zaskoczenia korsarzy zamkniętych w mieszkaniu i nie spodziewających się niczego!... — zawołał. — Mamy ich w pułapce! Naprzód!

Na to hasło osadnicy weszli za ogrodzenie, z bronią gotową do strzału. Wózek pozostawiono na zewnątrz pod strażą Topa i Jupa, których przywiązano do niego przez ostrożność.

Po kilku minutach znajdowali się już koło domu, przed zamkniętymi drzwiami.

Wówczas Cyrus Smith dał towarzyszom znak ręką, aby się nie ruszali z miejsca, a sam zbliżył się do szyby, oświetlonej w tej chwili słabo przez jakiś promień wewnątrz. Na stole płonął

latarnia. Obok stołu znajdowało się łóżko, na którym dawniej spoczywał Ayrton; na tym łóżku leżał człowiek.

Nagle Cyrus Smith cofnął się i przytłumionym głosem zawołał:

— Ayrton!

W mgnieniu oka przez drzwi, raczej wylamane niż otwarte, osadnicy wdarli się do pokoju.

Ayrton zdawał się być pogrążony we śnie. Twarz jego świadczyła o długich i okrutnych cierpieniach. Na rękach i na nogach miał szerokie, krwawe ślady więzów.

Cyrus Smith pochylił się nad nim.

— Ayrtonie! — zawołał, chwytając za ramię odnalezionego w tak dziwnych okolicznościach towarzysza.

Na głos ten Ayrton otworzył oczy i wpatrując się w Cyrusa Smitha oraz pozostałych towarzyszy, zawołał:

— To wy!... To wy!

— Ayrtonie! Ayrtonie! — powtórzył Cyrus Smith.

— Gdzie jestem?

— W domu przy zagrodzie.

— Czy sam? — Tak jest!

— A więc oni zaraz wrócą! — zawołał Ayrton. — Brońcie się, brońcie!

I upadł bez sił na łóżko.

— Gedeonie — odezwał się w tej chwili inżynier. — Możemy się spodziewać ataku w każdej chwili!... Wprowadźcie wóz za ogrodzenie. A potem zamknijcie bramę i wracajcie tu wszyscy.

Penkroff, Nab i reporter rzucili się z pośpiechem do wykonania rozkazów inżyniera. Nie było chwili do stracenia. Kto wie, może wóz dostał się już w ręce korsarzy? W mgnieniu oka reporter i dwaj jego towarzysze przebiegli podwórze i dotarli do bramy, za którą usłyszeli głucho warczenie Topa.

Osadnicy pobiegli za nim i za chwilę znaleźli się nad brzegiem potoczka, ocienionego wielkimi drzewami. I cóż tam, w pełnym świetle, ujrzeli?

Pięć ciał rozciągniętych na wybrzeżu. Były to trupy korsarzy, którzy przed czterema miesiącami wylądowali na Wyspie Lincolna.

ROZDZIAŁ XIII

Opowiadanie Ayrtona. — Zamiary jego dawnych towarzyszy. „Bonawentura”. — Poszukiwania wokół Góry Franklina. — Wyższe wąwozy. Podziemne grzmoty. — Odpowiedź Penkroffa. — W głębi krateru. — Powrót.

Co więc się stało? Kto odebrał korsarzom życie? Czy Ayrton? Nie, skoro jeszcze przed chwilą obawiał się ich powrotu.

Ale Ayrton pogrążony był teraz w tak głębokim śnie, że obudzenie go było niemożliwe.

Osadnicy, nękani wątpliwościami, w napięciu przetrwali noc, nie opuściwszy ani na chwilę domu Ayrtona i nie wracając na miejsce, gdzie leżały ciała zabitych korsarzy. O okolicznościach, które towarzyszyły ich śmierci, Ayrton prawdopodobnie nie mógłby im nic powiedzieć; nie wiedział bowiem nawet, że sam znajduje się w domku w zagrodzie. Może umiałby jednak opowiedzieć, co się działo przedtem?

Nazajutrz Ayrton był przytomniejszy i towarzysze wyrazili mu w serdecznych słowach swoją radość, że go znów widzą, prawie zdrowym i całym, po stu czterech dniach rozłąki.

Ayrton opowiedział im wtedy, że 10 listopada — nazajutrz po przybyciu do zagrody — zbójcy zaskoczyli go zniemacka o zmierzchu, przeskakując ogrodzenie. Związali go i zakneblowali, a następnie uprowadzili ze sobą do jakiejś jaskini u stóp Góry Franklina, gdzie mieli schronienie. Następnego dnia postanowili go zabić; gdy nagle jeden z rozbójników poznał go i nazwał imieniem, jakie nosił niegdyś w Australii. Nędznicy ci byli gotowi zamordować Ayrtona, lecz dla Bena Joyce'a poczuli pewne względy!

Od tej jednak chwili Ayrton stał się przedmiotem nieustannych prześladowań ze strony dawnych współników. Chcieli, by przystąpił do nich, liczyli, że pomoże im opanować Granitowy Pałac i że przy jego pomocy staną się panami wyspy, wymordowawszy najpierw osadników.

Ayrton opierał się. Dawny korsarz, skruszony i bezgranicznie wdzięczny za okazaną mu życzliwość, raczej umarłby, niż zdradził nowych towarzyszy. Związany, skrupowany i czujnie strzeżony, przeżył w tej jaskini cztery miesiące. Tymczasem piraci, którzy odkryli zagrodę prawie natychmiast po swoim wylądowaniu na wyspie, korzystali ze zgromadzonej tam żywności, ale jeszcze nie mieli odwagi w niej zamieszkać. 11 listopada dwóch spośród tych zbójców, zaskoczonych niespodziewanym przybyciem osadników, strzeliło do Harberta; jeden z nich po powrocie przechwalał się, że zabił któregoś z mieszkańców wyspy. Wrócił jednak sam. Towarzysz jego, jak wiemy, zginął od sztyletu Cyrusa Smitha.

Można sobie wyobrazić niepokój i rozpacz Ayrtona na wieść o śmierci Harberta. Osadników było już tylko czterech, a i tych mogli wkrótce dosięgnąć kule morderców.

Z powodu tego zdarzenia przez cały czas, w którym choroba Harberta zatrzymywała kolonistów w zagrodzie, korsarze nie ruszyli się ze swojej jaskini i po spustoszeniu Wielkiego Płaskowyzu nie opuszczali tej kryjówki.

Położenie Ayrtona stawało się z dnia na dzień trudniejsze; w każdej chwili oczekiwał śmierci, gdyż korsarze obchodzili się z nim coraz gorzej.

Tak było aż do trzeciego tygodnia lutego. Rozbójnicy, czatując wciąż na pomyslną sposobność, rzadko opuszczali swą kryjówkę i zrobili zaledwie kilka wycieczek myśliwskich w głąb wyspy i w stronę jej południowego wybrzeża. Ayrton nie miał żadnej wieści o swoich towarzyszach i stracił wszelką nadzieję zobaczenia ich kiedykolwiek. Wreszcie, osłabiony nieludzkim traktowaniem, zapadł w głębokie ośpienie i nic już nie widział ani nie słyszał. Od tej też chwili, to jest od dwóch dni, nie mógł powiedzieć, co się działo.

— Jednakże, panie Spilett — dodał — byłem uwięziony w jaskini, więc jak to się stało, że jestem tu, w zagrodzie?

— A jak się to stało, że korsarze leżą martwi na zewnątrz ogrodzenia? — odpowiedział reporter.

— Zabici? — zawołał Ayrton, zrywając się z łóżka mimo całego osłabienia. Towarzysze go podtrzymali. Chciał się koniecznie podnieść, na co mu wreszcie pozwolono i wszyscy udali się do strumyka.

Nastał już dzień.

Na wybrzeżu, w pozycji, w jakiej ich zaskoczyła śmierć, leżało pięciu korsarzy.

Na znak dany przez inżyniera Nab i Penkroff zabrali się do oglądania ciał.

Nie było na nich śladu żadnych widocznych ran.

Dopiero po bardzo uważnym badaniu zwłok, Penkroff spostrzegł, że każdy z nich ma na czole, piersiach i szyi, krzyżu lub łopatkę, małą, czerwonawą plamkę.

— Tu ich ugodzono! — rzekł Cyrus Smith.

— Ale jaką bronią?...

— Bronią, uderzającą z siłą piorunu, której pochodzenia nie znamy!

— Któż ich zabił? — spytał Penkroff.

— Ten, który przeniósł tutaj Ayrtona — odpowiedział Cyrus Smith. — Ten, którego dobroczynną moc znowu poczuliśmy, który robi dla nas to, czego sami nigdy nie zdołalibyśmy dokonać, a zrobiwszy, ukrywa się przed nami.

— Szukajmy go więc! — zawołał Penkroff.

— Tak, szukajmy go — odrzekł Cyrus Smith — ale nie znajdziemy tego człowieka, dopóki on sam na to nie pozwoli.

Ta niewidzialna opieka, która tak wyraźnie ingerowała w ich życie, drażniła i zarazem wzruszała inżyniera.

— Szukajmy — ciągnął dalej — i daj Boże, abyśmy kiedyś mogli dowieść mu wspianiałemu opiekunowi, że nie miał do czynienia z niewdzięcznik. Ileż bym dał za sposobność odplacenia mu się jakąś wielką przysługą, choćby z narażeniem naszego życia! ,

Po kilku chwilach osadnicy powrócili do domu, gdzie ich starania przywróciły wkrótce Ayrtonowi zdrowie. Nab i Penkroff przenieśli trupy do lasu, dość daleko od zagrody i pogrzebali je głęboko.

Następnie opowiedziano Ayrtonowi o wszystkim, co zaszło podczas jego uwięzienia. Dowiedział się o przygodach Harberta i o wszystkich próbach, przez jakie przeszli osadnicy. Co do nich, stracili już zupełnie nadzieję zobaczenia go kiedykolwiek znowu, sądząc, że go spotkała okrutna śmierć z rąk korsarzy.

— A teraz — odezwał się Cyrus Smith, kończąc swoją opowieść — pozostaje nam jeszcze jeden obowiązek do spełnienia. Korsarzy obawiać się już nie musimy, ale nie sobie to zawdzięczamy!

— Zbadajmy więc — rzekł Gedeon Spilett — cały labirynt skał i kotlin Góry Franklina. Wszystkie jaskinie, wydrążenia, najmniejsze jamy i rozpadliska.

— I nie wracajmy do Granitowego Pałacu — odrzekł Harbert — póki nie znajdziemy naszego dobroczyńcy.

— O tak! — rzekł inżynier. — Nie zaniedbamy niczego, co tylko jest w mocy ludzkiej... A jednak powtarzam wam, że nie znajdziemy go, póki sam tego nie zechce!

— Czy pozostaniemy w zagrodzie? — spytał Penkroff.

— Tak — odpowiedział Cyrus Smith. — Mamy tu pod dostatkiem zapasów,; a co najważniejsze, jest to niejako centrum naszych poszukiwań. Zresztą, jeśli zajdzie potrzeba, możemy podjechać wozem do Granitowego Pałacu.

— Dobrze — powiedział marynarz. — Ale jeszcze jedna uwaga...

— Jaka?

— Nadchodzi piękna pora roku, a nie trzeba zapominać, że mamy przed sobą wycieczkę morską...

— Wycieczkę morską?... — spytał Gedeon Spilett.

— A tak! Na wyspę Tabor — odpowiedział Penkroff. — Konieczne jest, by zostawić tam notatkę wskazującą położenie Wyspy Lincoln, na której znajduje się obecnie Ayrton, a to na wypadek, gdyby jacht szkocki przybył po niego. Kto wie, czy już i tak nie jest za późno?

— W jaki sposób, Penkroffie — spytał Ayrton — zamierzasz odbyć tę wycieczkę?

— Na „Bonawenturze”!

— Na „Bonawenturze”! — zawołał Ayrton... — Już go nie ma...

— Co, mojego „Bonawentury” nie ma?! — krzyknął Pencroff, podskakując w górę.

— Niestety! — odpowiedział Ayrton. — Korsarze odkryli go w małej zatoczce przed ośmiu zaledwie dniami, wypłynęli na morze i...

— I!?!... — zawołał Penkroff z bijącym sercem...

— I nie mając sternika wpadli na skały, tak że statek rozbił się zupełnie!...

— Ach, nędznicy! Zbóje! Podłe łotry! — krzyczał Penkroff.

— Penkroffie — odezwał się Harbert, biorąc go za rękę. — Zbudujemy drugiego „Bonawenturę” i to znacznie większego. Przecież mamy do dyspozycji całe okucia i ożaglowanie brygu!

— Czy wiecie jednak — zapytał Penkroff — że trzeba co najmniej pięciu do sześciu miesięcy na zbudowanie tak dużego statku?

— Znajdziemy czas — odpowiedział reporter. — W tym roku zrezygnujemy z wycieczki na wyspę Tabor.

— Cóż robić — powiedział inżynier. — Trzeba się poddać konieczności, a mam nadzieję, że opóźnienie to nie przyniesie nam żadnej szkody.

— Ach, mój „Bonawentura”! Mój biedny „Bonawentura”! — rozpaczał Penkroff, mocno dotknięty stratą statku, z którego był tak dumny.

Zniszczenie „Bonawentury” było równie smutne dla pozostałych osadników i dlatego postanowili jak najszybciej naprawić tę szkodę. Zdecydowawszy o tym, wszyscy zajęli się tylko wyprawą w góry.

Rozpoczęto poszukiwania już tego samego dnia, 19 lutego i prowadzono je przez cały tydzień. Podnóże góry stanowiło labirynt dolin i wąwozów, rozrzuconych bardzo kapryśnie. A jednak właśnie w głębi tych wąskich rozpadlin, kto wie, może nawet w samym środku góry, należało rozpocząć najdokładniejsze poszukiwania. Żadna część wyspy nie nadawała się bardziej na kryjówkę niż ten rejon góry z bogactwem zarośli i wąwozów.

Osadnicy zwiedzili więc najpierw całą dolinę, rozpościerającą się w południowej części wulkanu, gdzie wypływała Rzeka Kaskady.

Tutaj Ayrton pokazał im jaskinię, w której ukrywali się korsarze i gdzie go trzymali aż do chwili przeniesienia do zagrody. Jaskinia wyglądała tak, jak w momencie, gdy Ayrton ją opuścił. Znalezione w niej jeszcze pewną ilość amunicji i zapasów żywności, które rozbójnicy zabrali z zagrody.

Cała przylegająca do grotty dolina, ocieniona pięknymi drzewami, pomiędzy którymi przeważały iglaste, została zbadana z jak największą dokładnością. Następnie, po okrążeniu

ściany południowo–zachodniej, osadnicy zapuścili się w węższy wąwóz, kończący się owymi malowniczymi bazaltami na wybrzeżu. Tu drzewa rosły rzadziej. Kamienie zastępowały roślinność. Dzikie kozy i muflony przeskakiwały po skałach. W tym miejscu rozpoczynała jałowa część wyspy.

Jedna z tych trzech dolin, gdzie nie brakowało wody, mogła służyć za schronienie samotnikowi, mogącemu w niej znaleźć wszystko, co niezbędne życia. Zbadawszy je jednak starannie, osadnicy nigdzie nie znaleźli najmniejszego śladu obecności człowieka.

Czyżby więc schronienie nieznanego miało znajdować się w głębi tych jałowych wąwozów, wśród skał, szorstkich głazów i zastygłych potoków lawy na północy?

Z północnej strony rozchodziły się u podnóża Góry Franklina dwie doliny szerokie, niezbyt głębokie, pozbawione zieleni, usiane odłamkami skał. Ta część wymagała długich i żmudnych poszukiwań. Istniało tu mnóstwo zagłębień doskonale ukrytych i trudno dostępnych. Osadnicy zwiedzili te tunele, pochodzące z epoki aktywności wulkanu, przyczernione jeszcze od ówczesnych ogni, a prowadzące w głąb samej góry. Koloniści przy pomocy łuczywa zajrzeli do najmniejszych zagłębień, sprawdzili każdy otwór. Wszędzie panowało milczenie i ciemność. Nie wydawało się, żeby kiedykolwiek jakaś istota ludzka stąpała po tych korytarzach, żeby czyjeś ramię usunęło jeden z tych głazów. W tym stanie, w jakim były obecnie, zostały wyrzucone ponad wodę przez wulkan, w epoce powstania wyspy.

Jednak, chociaż te podziemne przejścia były zupełnie puste i bardzo ciemne, nie panowała w nich zupełna cisza, jak się o tym przekonał Cyrus Smith.

Dotarłszy do końca jednej z mrocznych rozpadlin, rozciągających się na wiele stóp wewnątrz góry, inżynier usłyszał ze zdziwieniem głuchy grzmot, którego odgłos wzmagalo jeszcze dźwięczne echo otaczających go skał.

Towarzyszący mu Gedeon Spilett również usłyszał ten daleki huk, wskazujący na uaktywnienie się podziemnych ogni. Obydwaj kilkakrotnie pilnie nadsluchiwali i zgodzili się, że we wnętrzu ziemi odbywa się jakaś reakcja chemiczna.

— Wulkan, jak się okazuje, nie wygasł zupełnie? — zapytał reporter.

— Być może od czasu, gdy badaliśmy krater, zaszła jakaś zmiana w jego niższych warstwach. Widocznie każdy wulkan, pomimo pozornego uspienia, może zbudzić się na nowo — odpowiedział Cyrus Smith.

— Jeżeli jednak zanoszą się na wybuch Góry Franklina, czy nie zagraża to bezpieczeństwu całej wyspy? — spytał Gedeon Spilett.

— Nie wydaje mi się — odpowiedział inżynier. — Krater to kłapa bezpieczeństwa, więc nadmiar gazów i lawy wyleje się, jak dawniej, swoją pierwotną drogą.

— Żeby tylko lava nie utorowała sobie nowego przejścia ku żyznym częściom wyspy.

— A to dlaczego, mój drogi Gedeonie? — zapytał Cyrus Smith. — Dlaczego nie miałyby popłynąć naturalnie wyznaczoną drogą?

— E!... Wulkany są kapryśne! — rzekł reporter.

— Zauważ tylko — odpowiedział inżynier — że pochyłość Góry Franklina sprzyja wylewowi lawy wulkanicznej w stronę dolin, które obecnie zwiedzamy. Chyba, że jakieś trzęsienie ziemi zmieniłoby środek ciężkości góry.

— Ależ w podobnych warunkach zawsze można się obawiać trzęsienia ziemi — zauważył Gedeon Spilett.

— Zawsze — odpowiedział inżynier — a szczególnie, gdy siły podziemne zaczynają się budzić, a krater wulkanu jest zatkany masami mineralnymi na skutek długiej bezczynności. Dlatego też, Gedeonie, wypada nam życzyć sobie, aby wulkan nie budził się z uspienia. Nie

jesteśmy jednak w stanie temu przeciwdziałać, prawda? W każdym razie nie wydaje mi się, aby naszej siedzibie na Wielkim Płaskowyżu naprawdę coś mogło zagrażać.

— Dotychczas jednak nie widzieliśmy na szczycie góry najmniejszego dymu zapowiadającego bliski wybuch — odezwał się Gedeon Spilett.

— Istotnie — odparł Cyrus Smith. — Z krateru nie unosi się nawet dymek, a właśnie dzisiaj obserwowałem jego szczyt. Możliwe jednak, że w niższych częściach komina nagromadziły się skały, popiół i stwardniałe lawy, które podczas silnego działania wulkanu zostaną wypchnięte na zewnątrz. Jednakże powtarzam, że byłoby lepiej, gdyby nie było wybuchu.

Cyrus Smith i Gedeon Spilett zawiadomili towarzyszy o swych spostrzeżeniach.

— A to dobre! — zawołał Penkroff. — Wulkanowi zbiera się na figle!...

Niech no tylko spróbuje! Znajdzie się ktoś, kto mu w tym przeszkodzi!

— A któż to taki? — spytał Nab.

— Nasz duch opiekuńczy, Nabie; nasz geniusz, który mu zaknebluje paszczę, jeżeli zbyt szybko będzie chciał ją otworzyć!

Od 19 do 25 lutego rozszerzono zakres poszukiwań na całą północną stronę Wyspy Lincoln i przetrząsnięto każdy jej zakątek. Nasi osadnicy opukiwali nawet skaliste ściany jak mury podejrzanego domu. Inżynier sporządził bardzo dokładny plan całej góry i przesunął poszukiwania aż do najdalszych krańców jej podnóża.

Osadnicy weszli także do otworu krateru, w głębi którego wyraźniej dawał się słyszeć huk. Ani śladu dymu, ani najmniejszego rozgrzania ściany — nic nie wskazywało na bliski wybuch...

W końcu, rozdrażnieni stratą czasu i bezskutecznością swych poszukiwań, postanowili przerwać wyprawę.

Dnia 25 lutego, osadnicy powrócili do Granitowego Pałacu, a w miesiąc Później, 25 marca, obchodzili trzecią rocznicę swego przybycia na Wyspę Lincoln.

ROZDZIAŁ XIV

Upłynęły trzy lata. — Sprawa odpłynięcia. — Rozwój osady. — Rozpoczęcie budowy okrętu. — Zima. — Góra Franklina.

Choć upłynęły już trzy lata od ucieczki więźniów z Richmond, często jednak wspominali swoją ojczyznę. Nie wątpili, że wojna domowa musiała się już skończyć i wydawało się im niemożliwe, aby Północ, broniąca słusznej sprawy, mogła być zwyciężona. Jak przebiegała w czasie ich nieobecności ta okrutna wojna? Ile krwi kosztowała? Kto z ich przyjaciół poległ w walce? Wiele było tematów, które poruszali w rozmowach. Nie wiedzieli, kiedy znowu zobaczą swój kraj. Pragnęli tam powrócić choćby na kilka dni, nawiązać kontakty z resztą świata, zorganizować stałą łączność między Ameryką a wyspą, a następnie spędzić najdłuższy, może najlepszy okres swego życia w osadzie, którą stworzyli i która wówczas należałaby już do posiadłości amerykańskich. Ale czy to pragnienie będzie kiedykolwiek spełnione?

Były tylko dwa środki urzeczywistnienia tych nadziei: albo jakiś statek pojawi się pewnego dnia u brzegów Wyspy Lincoln, albo też osadnikom uda się zbudować okręt odpowiednio mocny, by dopłynąć na nim do najbliższego lądu.

— Chyba że — mawiał Penkroff — chyba że nasz geniusz dostarczy nam innych środków umożliwiających powrót do ojczyzny!

Z pewnością, gdyby ktoś przyszedł do Penkroffa i Naba z wieścią, że trzystonowy okręt oczekuje na nich w Zatoce Rekina lub w Przystani Balonowej, nie wywołałoby to ich zdziwienia. Jeżeli chodziło o tajemniczego dobroczyńcę, spodziewali się po nim wszystkiego.

Ale Cyrus Smith, nie podzielający ich ślepej wiary, radził, by myśleli realnie, zwłaszcza o zbudowaniu statku, sprawie istotnie naglącej, ponieważ trzeba było jak najszybciej złożyć na wyspie Tabor dokument wskazujący nowe miejsce pobytu Ayrtona.

Ponieważ „Bonawentura” został zniszczony, trzeba było co najmniej sześciu miesięcy na zbudowanie nowego statku. Tymczasem zbliżała się zima, więc podróż nie mogła się odbyć przed nadejściem następnej wiosny.

— Mamy więc dosyć czasu na przygotowania do żeglugi przed nadejściem tak pięknej pory roku, jaką jest wiosna — rzekł inżynier, rozmawiając właśnie o tej sprawie z Penkroffem. — Sądzę też, mój przyjacielu, że skoro musimy budować na nowo nasz statek, powinniśmy mu nadać większe rozmiary. Przybycie jachtu szkockiego na wyspę Tabor jest rzeczą bardzo niepewną. Może być i tak, że przybył już przed wieloma miesiącami i odpłynął, nie znalazłszy Ayrtona. Trzeba więc zbudować statek, który w razie potrzeby mógłby nas zabrać na archipelagi polinezyjskie lub do Nowej Zelandii. Co o tym sądzisz?

— Sądzę, panie Cyrusie, że potrafi pan tak samo zbudować wielki statek, jak i mały. Drzewa ani narzędzi nam nie zabraknie. To tylko kwestia czasu.

— A ile czasu wymagałoby zbudowanie statku o wyporności od dwustu pięćdziesięciu do trzystu ton? — spytał Cyrus Smith.

— Najmniej siedem do ośmiu miesięcy — odpowiedział Penkroff. — Nie trzeba jednak zapominać o tym, że nadchodzi zima i przy silnych mrozach obróbka drewna jest trudna. Trzeba więc będzie zaprzestać prac na kilka tygodni, i jeżeli nasz statek będzie gotowy w listopadzie przyszłego roku, będziemy mogli uważać się za bardzo szczęśliwych.

— Doskonale — odpowiedział Cyrus Smith. — Będzie to najpomyślniejsza pora do podróży na wyspę Tabor lub do jakiegoś dalszego lądu.

Cyrus Smith zajął się opracowaniem projektu i zrobieniem modelu statku. W tym czasie jego towarzysze zabrali się do wyrębu i zwózki drzewa, mającego służyć do budowy kadłuba. Pracowali gorliwie przez cały kwiecień, podczas którego nie zaszło nic ważnego prócz kilku dosyć gwałtownych nawalnicy w okresie zrównania dnia z nocą. Jup zręcznie im pomagał, przynosząc dzięki swej sile pozbawione gałęzi pnie. Następnie całe drewno złożono pod obszernym zadaszeniem z desek, zbudowanym w pobliżu Kominów, gdzie miało czekać do chwili użycia go do budowy statku.

Kwiecień był bardzo piękny, tak jak często bywa październik na półkuli północnej. Jednocześnie zabrano się gorliwie do pracy na roli i wkrótce wszelkie ślady spustoszenia zniknęły z Wielkiego Płaskowyżu. Młyn odbudowano, a na miejscu dawnych kurników wzniesiono nowe. Trzeba było je koniecznie powiększyć, ponieważ ptasia gromada rozrastała się w szybkim tempie. W stajenkach mieściło się obecnie pięć onagrów, z których cztery silne i dobrze wyćwiczone, pozwalały się już zaprzęgać, a piąty właśnie się urodził. Inwentarz osady powiększył się o jeden pług i wykorzystano onagry do orki jak prawdziwe woły z Yorkshire lub Kentucky. Każdy z osadników miał przydzieloną część pracy i ręce ich nie próżnowały. Toteż robotnicy mieli świetne zdrowie i niezrównany humor ożywiał wieczory w Granitowym Pałacu, gdy układali tysiące projektów na przyszość.

Nie zanedbywano także zagrody. Co dwa dni jeden z osadników, wózkiem lub wierzchem na onagrze, jechał nakarmić stado muflonów i kóz i powracał z zapasem mleka do spiżarni Naba. Wycieczki te stanowiły okazje do polowania. Najczęściej więc odbywali je Harbert i Gedeon Spilett wraz z Topem.

Rzecz jasna przywrócono łączność telegraficzną pomiędzy zagrodą a Granitowym Pałacem i osadnicy znowu mogli porozumiewać się ze sobą, choć obecnie nie trzeba było obawiać się napaści.

Mimo iż czuli się bezpiecznie, nie przestawali zwracać czujnej uwagi na miejsca odpowiednie do lądowania na wyspie i co dzień badali dokładnie przez lunetę cały obszar morza. Nic podejrzanego się nie pojawiało, jednak należy mieć się wciąż na baczności.

W związku z tym inżynier przedstawił pewnego wieczoru przyjaciółom plan obwarowania zagrody. Uważał, że należy podnieść jej ostrokołowe ogrodzenie i zabezpieczyć ją rodzajem baszty, gdzie w razie potrzeby osadnicy mogliby się bronić przeciw nieprzyjacielskiej sile.

Ostatnie dni maja upłynęły przy brzydkiej pogodzie. Wiatr wiał ze wschodu, chwilami z gwałtownością huraganu. Inżynier niepokoił się, czy wichur ni przewróci szopy, w której było złożone ociosane drewno.

Penkroff i Ayrton gorliwie pracowali przy budowie statku. Przez długi czas nie zwracali uwagi na pogarszającą się pogodę, ale gdy na skutek zimna drzewo zaczęło twardnieć, zmuszeni byli zawiesić pracę.

W czerwcu zaczęły się tak dotkliwe mrozy, że koloniści bardzo rzadko mogli opuszczać Granitowy Pałac. To kolejne podczas pobytu na wyśpi przymusowe zamknięcie dawało się im bardzo we znaki. Szczególnie niezadowolony był Gedeon Spilett.

— Słuchaj — rzekł pewnego dnia do Naba. — Ustąpiłbym ci chętnie aktem notarialnym prawa do wszystkich spadków, jakie mi kiedykolwiek mają przyspaść, gdybyś mógł zaprenumerować dla mnie jakikolwiek dziennik! Jednej tylko rzeczy brak mi do szczęścia, a mianowicie wiedzieć każdego dnia rano, co się wczoraj wydarzyło na świecie!

— Jeżeli chodzi o mnie — odrzekł Nab z uśmiechem — to interesuje mnie najbardziej codzienna praca!

Rzeczywiście, pracy nie brakowało nikomu. Jednak dzięki tym niestrudżonym wysiłkom osada kwitła. Zwłaszcza materiały znalezione na rozbitym statku ku pirackim były prawdziwym

skarbem: osadnicy nie musieli już wyrabiać ubrań filcowych, bo mieli pod dostatkiem innych, znacznie lepszych; nie musieli także kłopotać się o broń i narzędzia.

Tak przeszły miesiące zimowe: czerwiec, lipiec i sierpień. Były one bardzo przykre, bowiem temperatura znacznie spadła. W związku z tym tęgi ogień huczał bezustannie w kominkach Granitowego Pałacu, zostawiając długie, czarne smugi dymu na granitowych ścianach. Nie oszczędzono opału. Ludzie i zwierzęta czuli się doskonale. Tylko Jup źle znosił mrozy i trzeba było mu uszyć ciepły szlafrok, podszyty wełną muflonów.

Przez siedem miesięcy, które upłynęły od ostatnich poszukiwań wokół góry i przez cały wrzesień, odznaczający się już piękną pogodą, tajemniczy opiekun wyspy nie zdradził swojej obecności.

Zagadkowe warczenia psa nad studnią, jak również i niepokoje orangutana ustały całkowicie. Cyrus Smith nie wiedział, czy tajemnicza istota zerwała już z nimi wszelkie stosunki, czy też obserwuje ich z oddali.

Nareszcie skończyła się zima, a w pierwszych dniach wiosny miało miejsce zdarzenie, które mogło przynieść poważne konsekwencje. 7 września Cyrus Smith, przypatrując się uważnie szczytowi Góry Franklina, spostrzegł snujący się nad kraterem dym.

ROZDZIAŁ XV

Przebudzenie się wulkanu. — Wiosna. — Powrót do przerwanych prac. — Wieczór 15 października. — Telegram. — Odpowiedź. — Wyprawa do zagrody. — List. — Przyływ i odpływ morza. — Pieczara. — Oślepiające światło.

Na znak dany przez inżyniera osadnicy przerwali pracę i długo w milczeniu obserwowali szczyt Góry Franklina.

Wulkan więc przebudził się i jego wyziewy przebiły warstwę mineralną nagromadzoną w głębi krateru. Czy jednak te podziemne ognie wywołają jakiś gwałtowny wybuch? Tego nie można było przewidzieć.

Jednakże nawet w przypadku wybuchu, niebezpieczeństwo prawdopodobnie nie zagrażałoby całej Wyspie Lincoln. Potoki law wulkanicznych nie zawsze bywają niszczące. Wyspa już raz przetrwała coś podobnego, o czym świadczyły smugi zastygłej lawy na północnym stoku góry. Oprócz tego zapadnięcie wyłobione na wyższym skraju krateru powinno było poprowadzić ognisty wylew w stronę jałowych części wyspy.

Z drugiej jednak strony wydarzenia z przeszłości nie gwarantowały takiego samego przebiegu w przyszłości. Nieraz bowiem na szczycie wulkanów zamykają się dawne kratery, a nowe stają otworem. Przypadki takie miały miejsce na obu półkulach, dowodem czego jest Etna*, Popocatepetl* i Orizaba*, a w przededniu wybuchu wulkanu wszystkiego się można spodziewać. Wystarczy bowiem trzęsienie ziemi, zjawisko towarzyszące czasami wybuchom wulkanicznym, by zmienić wewnętrzny układ góry i otworzyć nowe drogi dla rozżarzonej lawy.

Odtąd nad szczytem góry ciągle unosiły się dymy, coraz gęstsze i cię — niejsze; płomień jednak się nie pokazywał, gdyż ogień najwidoczniej rozpnB strzeniał się w niższej części czeluści.

Mimo obaw, po nadejściu wiosny podjęto na nowo przerwane prace. Śpieszono się z budową statku, tym bardziej że Cyrusowi Smithowi udało się zbudować na wodospadzie hydrauliczny tartak, tnący bardzo szybko pnie na deski i belki. Mechanizm tego urządzenia był tak prosty, jak w wiejskich tartakach Norwegii*.

Pod koniec września szkielet okrętu stał już w warsztacie. Oklepkowanie było prawie skończone, ale całkowite wykończenie statku wymagało czasu i pracy.

Prace przy statku przerwano na tydzień na żniwa, sianokosy i zwózki Aby nie marnować czasu, koloniści zmienili godziny posiłków: obiad jedli o dwunastej, a kolację dopiero, gdy się całkiem ściemniło.

Po powrocie do Granitowego Pałacu często rozmawiali o przyszłości związanej przede wszystkim ze zbudowaniem statku. Byli jednak pewni, że kiedyś wrócą na swoją wyspę. Penkroff mianował nawet inżyniera jej przyszłym gubernatorem.

* Etna — czynny wulkan we Włoszech, na Sycylii. Najwyższy i największy w Europie; wys 3323 m; z krateru na szczycie wydobywają się pary i gazy. Ma ponad 270 kraterów bocznych.

* Popocatepetl — czynny wulkan w Meksyku, ok. 70 km od miasta Meksyk; wys. 5452 m. Od 1347 zanotowano 19 erupcji; ostatni wybuch w 1947; w kraterze złoza siarki.

* Orizaba — czynny wulkan w Meksyku, najwyższy szczyt tego kraju i jednocześnie najwyższy czynny wulkan w Ameryce Północnej; wys. 5700 m. Od 1537 zanotowano 8 silnych erupcji, ostatni wybuch miał miejsce w 1941.

* Tartak typu norweskiego składa się z jednego koła oraz dwóch walców i odpowiednio ustawionych bloków; koło, obracając się porusza jednocześnie piłę i podsuwa pod nią kłoc drewna.

Pewnego wieczoru, 15 października, rozmowa dotycząca różnych planów przedłużyła się nad zwykłą miarę. Wybiła już dziewiąta i chcieli udać się na spoczynek, gdy nagle telegraf odezwał się ostrym dźwiękiem.

Wszyscy znajdowali się na miejscu: Cyrus Smith, Gedeon Spilett, Harbert, Penkroff, Ayrton, Nab. Nikogo z osadników nie było w zagrodzie.

Cyrus Smith wstał. Jego towarzysze spoglądali na siebie sądząc, że się przesłyszeli.

— Co to ma znaczyć? — wykrzyknął Nab. — Może to diabeł dzwoni?

— Mamy dziś burzę — zauważył Harbert. — Może wpływ elektryczności... Urwał i nie dokończył. Inżynier, na którego zwróciły się oczy wszystkich, potrząsnął przecząco głową.

— Czekajmy — odezwał się wówczas Gedeon Spilett. — Jeżeli to sygnał, ten który go nadał, znowu go powtórzy!

— Ale któżby to mógł być? — zapytał Nab.

— Ba! — odparł Penkroff. — Ten, który...

\V tej chwili jego słowa przerwał nowy głos dzwonka. Cyrus Smith podszedł do aparatu telegraficznego i przesłał do zagrody następujące zapytanie:

— „O co chodzi?”

Po kilku minutach wskazówka, obracająca się na tarczy z alfabetem, przekazała następującą odpowiedź:

— „Przyjdźcie jak najszybciej do zagrody...”

— Nareszcie!... — zawołał Cyrus Smith.

O tak. nareszcie!... Tajemnica miała się wyjawić! Zaintrygowani wiadomością, zapomnieli o znużeniu i potrzebie odpoczynku. W kilka chwil opuścili Granitowy Pałac i szybko znaleźli się na wybrzeżu. Tylko Jup i Top zostali w domu.

Noc była ciemna. Ale ciemność, choćby najgłębsza, nie mogła powstrzymać kolonistów, tak dobrze znających drogę do zagrody. Przeszli na lewy brzeg Rzeki Miłosierdzia, doszli do płaskowyżu, przebyli most Potoku Glicerynowego i ruszyli dalej lasem. Szli szybkim krokiem, mocno wzruszeni. Nie ulegało już wątpliwości, że mieli wreszcie poznać rozwiązanie zagadki, imię owej tajemniczej istoty, która tak głęboko była związana z ich życiem, tak wspaniale z nimi postępowała, tak potężnie działała. Wszyscy, pogrążeni w myślach, przyspieszali kroku.

Milczenie panujące przez pierwszy kwadrans drogi przerwała jedynie uwaga Penkroffa:

— Należało wziąć z sobą latarnię.

— Znajdziemy inną w zagrodzie — odpowiedział inżynier.

W tej chwili olbrzymie, jaskrawe błyskawice zajaśniały nad wyspą i zarysowały na czarno koronę liści. Powietrze było duszne i ciężkie.

Osadnicy szli naprzód, jakby popychani jakąś niewidzialną siłą.

Kwadrans po dziesiątej w świetle błyskawicy ujrzeni palisadę zagrody, a zaledwie weszli do bramy, piorun zahuczał z wielką siłą. W mgnieniu oka przebiegli podwórko i znaleźli się przed domem mieszkalnym.

Prawdopodobnie tutaj musiał się znajdować nieznajomy, gdyż telegram mógł być wysłany tylko stąd. Żadne światło jednak nie odbijało się w oknach.

Inżynier zastukał. Nie było odpowiedzi. Wówczas Cyrus Smith otworzył i i osadnicy weszli do pokoju, w którym panował głęboki mrok.

Nab skrzesał ognia i w chwilę później latarnia oświetlała wszystkie kąty Pokoju.

Nie było nikogo. Każda rzecz znajdowała się w tym samym miejscu, w jakim ją ostatnio zostawiono.

— Czyżbyśmy padli ofiarą złudzenia? — szepnął Cyrus Smith.

— Nie!... Tak nie mogło być!... Telegram brzmiał przecież wyraźnie: „Spieszcie do zagrody!”

Zbliżyli się do stołu, na którym umieszczony był aparat telegraficzny. Wszystko znajdowało się na miejscu.

— Kto tu był ostatnim razem? — spytał inżynier.

— Ja, panie Smith — odrzekł Ayrton.

— A kiedy to było?

— Przed czterema dniami.

— Ach!... Notatka!... — zawołał Harbert, wskazując jakiś papier leżący na stole.

Na kartce widniały następujące słowa, napisane po angielsku: „Idźcie w ślad za nowym drutem.”

— W drogę!... — zawołał Cyrus Smith, zrozumiał bowiem, że depeszę wysłano nie z zagrody, ale z tajemniczego schronienia, które dodatkowy drut przyczepiony do dawnego, łączył bezpośrednio z Granitowym Pałacem. Nab pochwyił zapaloną latarnię i wszyscy opuścili zagrodę. Burza właśnie rozszalała się z niezmierną gwałtownością.

Na dziedzińcu przed zagrodą nie było dodatkowego drutu, ale kiedy wyszli za bramę, inżynier, podbiegając do pierwszego słupa, spostrzegł przy świetle błyskawicy nowy drut, ciągnący się od izolatora do ziemi.

— Chodźmy za nim! — zawołał Cyrus Smith.

I częściowo przy świetle latarni, częściowo przy błyskach piorunów, osadnicy posuwali się wskazaną przez drut drogą.

W tej chwili grzmoty dawały się słyszeć bez przerwy, a natężenie ich było tak wielkie, że nie można było zamienić między sobą słowa. Cyrus Smith i jego towarzysze wspięli się na ścianę góry, wznoszącą się między zagrodą, a doliną Rzeki Kaskady. Drut, leżący na niskich gałęziach drzew, bądź też wlokący się po ziemi, prowadził ich pewnie.

Inżynier sądził, że ta metaliczna nić zatrzyma się gdzieś w głębi doliny i że tam znajduje się schronienie nieznanego. Mylił się jednak. Trzeba było wejść na południowo-zachodnią ścianę góry, a następnie zejść na ów jałowy płaskowyż, który zamykał mur z malowniczo zgrupowanych bazaltów.

Od czasu do czasu któryś z osadników schylał się, dotykał ręką drutu i wskazywał kierunek drogi. Nie ulegało jednak wątpliwości, że drut prowadził prosto w kierunku morza. Tam zapewne, w głębi jakichś wulkanicznych skał, znajdowało się schronienie, tak na próżno dotychczas poszukiwane.

Niebo było całe w ogniu. Błyskawica wyprzedzała błyskawicę. Niektóre z piorunów uderzały w szczyt wulkanu i wpadały w krater wśród gęstych kłębow dymu. Chwilami można było sądzić, że góra bucha płomieniem.

Kilka minut przed dziesiątą osadnicy przybyli do położonego wysoko krańca góry, panującego nad oceanem od zachodu. Wiatr się zerwał; fale oceanu huczały pięćset stóp poniżej.

W tym miejscu drut zakręcał między skały, schodząc po dosyć stromej pochyłości wąskim wąwozem.

Ruszyli jego śladem i choć była to bardzo niebezpieczna droga, nasi osadnicy nie zwracali już na to uwagi, przestali być panami swojej woli, nieodparta siłą ciągnęła ich do owego tajemniczego celu jak magnes przyciąga żelazo.

Drut poprowadził ich dalej wzdłuż bazaltowej skały, o którą rozbijało się morze. Tak uszli zaledwie sto kroków po umiarkowanej pochyłości do samego morza. Inżynier pochwyił drut i spostrzegł, że zagłębia się w wodzie.

Okrzyk ciężkiego zawodu, prawie krzyk rozpaczony wydarł się z piersi kolonistów. Czy wypada im rzucić się w fale i szukać jakiejś podmorskiej jaskini? W stanie, w jakim się znajdowali, uczyniliby to bez wahania. Powstrzymały ich słowa inżyniera.

— Zaczekajmy — rzeki. — Teraz trwa przypyływ. Skoro nadejdzie odpływ, droga się otworzy.

— Dlaczego...? — spytał Penkroff.

— Nie wezwalby nas, gdyby nie było możliwości dostania się do niego.

Cyrus Smith wypowiedział to z takim przekonaniem, że nikt nie odważył się zaprotestować. Zresztą jego uwaga była logiczna. Należało przypuszczać, że u stóp skały znajdował się otwór dostępny w czasie odpływu, choć obecnie zalany przez fale.

Chodziło więc tylko o kilka godzin cierpliwości. Schronili się w zagłębieniu wyżłobionym w skale. Tymczasem zaczął padać deszcz i wkrótce chmury rozdarte gromami zamieniły się w istne spadające potoki. Echo powtarzało huk piorunów i nadawało mu majestatyczny rozdźwięk.

Poruszenie osadników sięgało zenitu. Tysiące dziwnych myśli przychodziło im do głowy, gdy wyobrażali sobie opiekuna wyspy.

O północy Cyrus Smith, zabrawszy z sobą latarnię, zszedł aż nad samo morze dla zorientowania się w położeniu skal. Dwie godziny wcześniej zaczął się odpływ.

Poprzednie przypuszczenie inżyniera było słuszne. Sklepienie obszernej jaskini poczęło się zarysowywać nad wodą. Drut, skręcając pod kątem prostym, zagłębiał się w tę czeluść.

Cyrus Smith powrócił do towarzyszy i powiedział:

— Za godzinę można będzie wejść w otwór...

— A więc istnieje?... — spytał Penkroff.

— Czy wąpiliście o tym? — odpowiedział Cyrus Smith.

— Ależ ta pieczara będzie napełniona wodą do pewnej wysokości — zauważył Harbert.

— No cóż, albo wysycha całkowicie — odrzekł Cyrus Smith — i w takim razie przejdziemy ją piechotą, albo nie wysycha, a wtedy niezawodnie znajdzie się jakiś środek transportu do naszej dyspozycji.

Minęła następna godzina. Wszyscy zeszli w ulewnym deszczu nad samo morze. W ciągu trzech godzin poziom wód obniżył się o piętnaście stóp. Szczyt haku zakreślonego przez sklepienie pieczary wznosił się nad poziomą falą co najmniej na osiem stóp. Była to jakby arkada mostu, pod którą kotłowała się spieniona woda.

Schyliwszy się, inżynier spostrzegł jakiś czarny obiekt, unoszący się powierzchni morza i przyciągnął go do siebie. Była to łódź, przywiązana na nie do jakiegoś miejsca wewnątrz jaskini. Dwa wiosła leżały na dnie, pod ławkami.

— Wsiadajmy — rzekł Cyrus Smith.

Po chwili osadnicy siedzieli już w łodzi. Nab i Ayrton zaczęli wiosłować — Penkroff usiadł przy sterze; Cyrus Smith, stojąc na dziobie i opierając latarnię o burtę łodzi, oświetlał drogę.

Sklepienie, z początku bardzo niskie, poczęło się nagle podnosić, ale ciemność dokoła była zbyt głęboka, a światło latarni tak słabe, że niemożliwe było zorientowanie się w wielkości pieczary. W tej bazaltowej budowlu panowało głuche milczenie. Żaden szelest z zewnątrz tu nie przenikał i nawet huk piorunów nie mógł się przedrzeć przez masywne ściany.

Pieczara, w której znaleźli się osadnicy, ciągnęła się aż do środka wyspy. Od kwadransa łódź posuwała się naprzód, pokonując zakręty, które inżynier wskazywał Penkroffowi.

Wtem zawołał:

— Bardziej na prawo!

Łódka zmieniła kierunek i zbliżyła się do prawej ściany pieczary. Inżynier pragnął przekonać się, czy drut również szedł wzdłuż tej ściany.

Był tam, istotnie, przyczepiony do występów skalnych.

— Naprzód! — krzyknął Cyrus Smith.

Tak płynęli jeszcze około kwadransa i od chwili wejścia do pieczary musieli już przepłynąć z pół mili, gdy nagle rozległ się znowu głos Cyrusa Smitha.

— Stójcie!

Łódź zatrzymała się i osadnicy spostrzegli jaskrawe światło, zalewające olbrzymią jaskinię, głęboko wyżłobioną we wnętrzu ziemi.

Ponad ich głowami zaokrągliło się sklepienie położone na bazaltowych słupach, które wyglądały jak odlane z jednej formy. Nieregularne łuki i oryginalne gzymsy wspierały się na tych kolumnach, wzniesionych przez naturę w najdawniejszych czasach. Odłamki bazaltowe, osadzone jedne na drugich, miały wysokość od czterdziestu do pięćdziesięciu stóp, a woda spokojnie, pomimo wzburzenia panującego na zewnątrz, obmywała ich podstawy. Jaskrawy blask światła, na które wskazał inżynier, lśnił i przenikał ściany jak gdyby były przezroczyste, zamieniając w lśniące, nie szlifowane klejnoty wszystkie występy skalne.

Nic można się było mylić co do źródła światła, którego ostre i złożone z linii prostych promienie załamywały się na każdej ścianie, każdym występie olbrzymiej pieczary. Było to światło elektryczne i już sam jego biały kolor przekonywał o tym.

W hm miejscu szerokość wodnej płaszczyzny wynosiła około trzystu pięćdziesięciu stóp i można było dojrzeć poza olśniewającym ogniskiem olbrzymi bazaltowy mur, zamykający wyjście z tamtej strony. Pieczara rozszerzyła się więc znacznie i morze utworzyło w niej rodzaj małego jeziora. W samym środku jeziora jakiś długi przedmiot wrzecionowatego kształtu unosił się nieruchomo na powierzchni wód. Z jego boków wydobywał się niesamowity blask, jak z dwóch otworów hutniczego pieca, rozpalonych do białości. Obiekt ten, podobny do olbrzymiego wieloryba, był długości około dwustu pięćdziesięciu stóp, a wznosił się od dziesięciu do dwunastu stóp nad poziomem morza. Łódź zbliżyła się powoli. Stojący na dziobie Cyrus Smith wstał i patrzył, ulegając gwałtownemu wzruszeniu. Nagle odwrócił się i chwytając reportera za ramię, zawołał:

— Ależ to on! Nikt inny tylko on! On!

I upadł na ławkę, wymawiając szeptem jakieś nazwisko, które usłyszał tylko Gedeon Spilett. Niewątpliwie reporter także znał to nazwisko, bo wywarło na nim zadziwiające wrażenie i przytłumionym głosem odpowiedział:

— On! Człowiek wyjęty spod prawa!

— Tak to on! — odrzekł Cyrus Smith.

Na rozkaz inżyniera łódź zbliżyła się do tego osobliwego statku i przybiła do jego lewej burty, z której przez grubą szybę tryskał snop światła.

Cyrus Smith i towarzysze weszli na platformę. Przed nimi była otwarta kłapa. U spodu drabinki otwierał się wewnętrzny korytarz, na całej długości oświetlony elektrycznie. Na jego końcu znajdowały się drzwi, które Cyrus Smith otworzył. Bogato zdobiona sala, którą spieszenie przemierzali osadnicy, przylegała do rzęsiście oświetlonej biblioteki. Znajdowały się tam skarby z dziedziny mineralogii, dzieła sztuki i wytwory przemyski.

Na pięknej sofie ujrzeni leżącego człowieka, który zdawał się nie dostrzegać ich obecności.

Wówczas Cyrus podniósł głos i ku niesłychanemu zdziwieniu towarzyszy powiedział:

— Kapitanie Nemo, pan nas wzywał? Oto jesteśmy.

ROZDZIAŁ XVI

Kapitan Nemo. — Pierwsze słowa. — Historia bohatera walk o niepodległość. — Nienawiść do najeźdźców. — Jego towarzysze. — Życie podmorskie. — Samotność. — Ostatnie schronienie „Naiitilusa” na Wyspie Lincoln. — Duch opiekuńczy wyspy.

Na te słowa człowiek leżący na sofie podniósł się i jego twarz ukazała się w pełnym świetle. Była to piękna głowa o wyniosłym czole, dumnym spojrzeniu, ze śnieżną brodą i bujnymi włosami odrzuconymi do tyłu.

Oparł się o poręcz kanapy, z której wstał. Spojrzenie miał spokojne. Widoczne było, że jakaś groźna choroba stopniowo go wycieńczała, ale jego głos wydawał się jeszcze silny, gdy powiedział po angielsku, tonem wyrażającym; najżywsze zdziwienie:

— Ja nie mam nazwiska, proszę pana.

— Znam pana, kapitanie! — odpowiedział Cyrus Smith.

Kapitan Nemo wpatrzył się palającym wzrokiem w inżyniera, a potem osuwając się na poduszki sofy szepnął:

— Cóż mnie to zresztą obchodzi — niedługo umrę!

Cyrus Smith zbliżył się do kapitana Nemo, a Gedeon Spilett dotknął jego rozpalonej ręki. Ayrton, Penkroff, Harbert i Nab stanęli z uszanowaniem w rogu tej wspaniałej sali, której powietrze przesycił zapach baterii elektrycznych.

Kapitan Nemo cofnął jednak natychmiast rękę i skinieniem poprosił inżyniera i reportera, aby usiedli.

Wszyscy spoglądali na niego z podziwem i wzruszeniem. To więc był ów tajemniczy człowiek, którego nazywali swoim dobroczyńcą, potężna istota, której pomoc w tylu okolicznościach ich uratowała; opiekun, któremu zawdzięczali tak wiele! Przed sobą mieli człowieka i to człowieka bliskiego śmierci, tam, gdzie Penkroff i Nab spodziewali się znaleźć prawie bóstwo.

Jakże się to jednak mogło stać, że Cyrus Smith znał kapitana Nemo? I dlaczego kapitan zareagował tak żywo, słysząc swoje imię, sądząc, że było ono tajemnicą dla wszystkich?...

— Zna więc pan nazwisko, które nosiłem? — zapytał kapitan, wpatrując się w inżyniera.

— Znam je — odpowiedział Cyrus Smith — tak jak i nazwę tego godnego podziwu podmorskiego statku.

— „Nautilus”? — rzekł z uśmiechem kapitan. — Wie pan może... wie pan, kim jestem?

— Wiem także....

— Przecież od trzydziestu lat nie mam już żadnego kontaktu ze światem; trzydzieści już lat żyję w głębinach morza, jedynym miejscu, gdzie znalazłem swobodę! Kto więc mógł zdradzić moją tajemnicę?

— Człowiek, który nie miał nigdy wobec pana, kapitanie Nemo, żadnych zobowiązań, a więc nie można go oskarżać o zdradę.

— Więc to ten Francuz, którego przypadek rzucił na mój pokład szesnaście lat temu?

— Tak, to on.

— A więc on i jego towarzysze nie zginęli przy brzegach Norwegii?

— Nie, a w dziele pod tytułem *Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi* została opisana pańska historia.

— Historia tylko kilku miesięcy — odrzekł żywo kapitan.

— To prawda — powiedział Cyrus Smith. — Ale kilka miesięcy owego osobliwego życia wystarczyło, by pana poznać.

— Jako wielkiego zbrodniarza, prawda? — dokończył kapitan Nemo i uśmiechnął się wyniośle. — O tak, jako buntownika, potępionego przez ludzkość.

Inżynier nic na to nie odpowiedział.

— Cóż, czy tak nie jest, proszę pana?

— Nie do mnie należy sąd o kapitanie Nemo — odezwał się wreszcie Cyrus Smith — przynajmniej w tym, co dotyczy jego dawnego życia. Nie znane mi są, jak i całemu światu, powody tego osobliwego życia, nie mogę więc sądzić o skutkach, nie znając przyczyn. To jednak wiem, że dobroczynna ręka dopomagała nam od chwili przybycia na Wyspę Lincoln, że wszyscy zawdzięczamy życie istocie dobrej, wspaniałej, potężnej, i że tą istotą potężną, dobrą i wspaniałą jest pan, kapitanie Nemo!

— Tak, to ja — odrzekł z prostotą kapitan.

Inżynier i reporter wstali. Towarzysze zbliżyli się, żeby wyrazić wdzięczność, ale kapitan Nemo powstrzymał ich skinieniem i głosem bardziej wzruszonym niż tego chciał, powiedział:

— Wysłuchajcie mnie najpierw*!...

I tak zaczynając, w kilkunastu pospiesznych zdaniach opowiedział im całe swoje życie. ,

Jego historia była krótka, a jednak musiał zebrać resztę sił, aby móc ją dokończyć. Widoczne było, że walczy z wielkim osłabieniem. Kilkakrotnie Cyrus Smith prosił go, aby odpoczął, ale kapitan potrząsał głową jak człowiek, który jest pewien, że nie doczeka jutra; a gdy reporter ofiarował mu swoją pomoc, powiedział:

— Nic by to nie pomogło; moje godziny są policzone.

Kapitan Nemo był Hindusem, księciem Dakkar, synem radży z terytorium Bundelkund, wówczas niepodległego i siostrzeńcem bohatera Indii Tipoo-Sahiba. Kiedy miał sześć lat, ojciec wysłał go do Europy, aby tam zdobł wszechstronne wykształcenie; chciał go przygotować do wyrównanej, przelanej walki z tymi, których uważał za gnębieli swego kraju.

Od dziesiątego do trzydziestego roku życia książe Dakkar, obdarzony wyjątkowymi zdolnościami, kształcił się w naukach ścisłych, humanistycznych, artystycznych; osiągnął wspaniałe wyniki.

Książę Dakkar zwiedził całą Europę. Jego urodzenie i majątek sprawiały, że zajmował wysoką pozycję w towarzyskich elitach, ale uroki „wielkiego świata” nigdy go nie pociągały. Młody, przystojny i atrakcyjny pozostał poważny, ponury, stale łaknący wiedzy, z nieubłaganą nienawiścią w sercu.

Książę Dakkar nienawidził. Nienawidził kraju, którego jako jedyne nigdy nie odwiedził — nienawidził Anglii i to tym silniej, im bardziej musiał ją podziwiać. Hinduś ten żywił zaciętą nienawiść zwyciężonego do zwycięzcy. Syn jednego z tych władców, nad którymi Zjednoczone Królestwo uzyskało tylko tytularne zwierzchnictwo, książe, wychowany w duchu odwetu i zemsty, żywiący wielką miłość dla swej egzotycznej ojczyzny w angielskich kajdanach, nie chciał nigdy zobaczyć kraju, który narzucił Indiom niewolę.

Książę Dakkar był artystą, na którym dzieła sztuki wywierały głębokie duchowe wrażenie; uczyonym, któremu nie były obce żadne dziedziny wiedzy; mężem stanu przyjmowanym na europejskich dworach. W oczach wszystkich, którzy obserwowali go powierzchownie, uchodził może za jednego z owych kosmopolitów ciekawych nowinek, lekceważącego pracę; za jednego z bogatych podróżników, którzy przemierzają cały świat, nie będąc tak naprawdę obywatelem

* Historia kapitana Nemo była w istocie wydana pod tytułem: *Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi*; należy także podkreślić, umieszczone już raz w momencie relacjonowania przygód Ayrtona sprostowanie, co do niezgodności niektórych dat; Czytelnicy zechcą łaskawie zajrzeć do powyższego przypisu (przyp. aut.).

żadnego kraju. A jednak były to tylko pozory. Ten artysta, ten uczonec, ten światowiec pozostał Hindusem w sercu, Hindusem wierzącym, że kiedyś zdoła upomnieć się o prawa swego kraju, wypędzić z niego najeźdźców i przywrócić mu niepodległość.

Książę Dakkar powrócił do Bundelkundu w roku 1849. Poślubił szlachetną Hinduskę, której serce krwawiło, tak jak jego własne, nad niedolą ojczyzny. Miał z nią dwoje dzieci, które bardzo kochał. Nawet szczęście rodzinne nie pozwoliło mu jednak zapomnieć o niewoli Indii. Czekał tylko na sposobność — i ta się nadarzyła. Jarzmo angielskie ciążyło już zbyt mocno ludności Indii. Książę Dakkar dołączył do niezadowolonych, przekazując im całą nienawiść, jaką żywił wobec najeźdźców. Przemierzył nie tylko niezależne prowincje na Półwyspie Indyjskim, ale także kraje bezpośrednio podległe Koronie Brytyjskiej. Przywołał pamięć i działalność Tipoo — Sahiba, który poległ bohatersko pod Sermgapatam w obronie rodzinnego kraju.

W roku 1857 wybuchło powstanie sipajów*. Jego duszą był książę Dakkar. Oddał swoje talenty i bogactwo dla sprawy powstania. Nie oszczędzał także siebie; walczył w pierwszych szeregach, ryzykował swoim życiem jak każdy, z tych prostych żołnierzy, którzy powstali, aby wyzwolić kraj z niewoli. Otrzymał dziesięć ran w dwudziestu starciach i nie znalazł śmierci, nawet wówczas, gdy ostatni żołnierze niepodległości padli pod angielskimi kulami.

Nigdy władza angielska w Indiach nie była tak zagrożona i gdyby sipajowie, na co liczyli, otrzymali pomoc z zewnątrz, możliwe, że byłby to koniec panowania Zjednoczonego Królestwa w Azji.

Imię księcia Dakkara stało się wówczas sławne. On sam walczył otwarcie, nie krył się. Wyznaczono cenę za jego głowę — nie znalazł się zdrajca, który wydałby go Anglikom. Ci jednak wzięli odwet, zabijając jego rodziców, żonę i dzieci wtedy, gdy on sam nie zdawał sobie sprawy z niebezpieczeństwa grożącego jego bliskim.

Kolejny już raz w historii okazało się, że prawo ulega sile. Powstanie sipajów zostało krwawo stłumione, a rządy Anglików w krajach radżów jeszcze bardziej bezwzględne.

Książę Dakkar po daremnym poszukiwaniu śmierci powrócił w góry Bundelkundu. Po przeżyciu osobistej tragedii, gdy pozostał sam, pełen nienawiści do cywilizowanego świata i rządzących nim ludzi, zapragnął opuścić go na zawsze. Sprzedał resztę swego majątku, zebrał dwudziestu najwierniejszych towarzyszy i pewnego dnia wszyscy zniknęli.

Gdzie książę Dakkar pragnął znaleźć wolność niedostępną dla niego wśród ludzi na ziemi? Pod wodą, w głębi mórz, gdzie nikt nie mógłby go dosięgnąć.

Wojownik stał się uczonym. Na jednej z bezludnych wysp Oceanu Spokojnego zbudowano według jego planów statek podwodny. Elektryczność, której niezmierną siłą mechaniczną umiał wykorzystać, zaspokoiła wszystkie potrzeby okrętu: jako siła poruszająca, oświetlająca i ciepłodajna. Morze, ze swymi niezliczonymi skarbami, ławicami ryb, z obfitością ziół i wodorostów, z olbrzymimi ssakami i tym wszystkim, co nie tylko przyroda dostarcza, ale i ludzie utracili, wystarczało w zupełności do zaspokojenia potrzeb księcia i załogi. Odpowiadało to jego życzeniom; nie chciał już bowiem mieć żadnego kontaktu z ziemią. Ochrzcił swój podwodny okręt mianem „Nautilus”*, sam nazwał się kapitanem Nemo* i zniknął pod powierzchnią morza.

Przez wiele lat przemierzał wszystkie oceany od jednego do drugiego bieguna, a podczas tych podróży zebrał skarby godne podziwu. Miliony zatopione w zatoce Vigo w roku 1702 po

* Sipajowie — żołnierze hinduscy, którzy w roku 1857 wystąpili przeciwko kolonizującym Indie Anglikom. Powstanie zostało krwawo stłumione.

* Nautilus (łac.) — pływak.

* Nemo (łac.) — nikt.

katastrofie galeonów hiszpańskich, stały się dla niego niewyczerpaną skarbnicą, którą rozporządzał, przeznaczając je anonimowo dla ludów walczących o niepodległość swego kraju*.

Przez wiele lat kapitan nie miał najmniejszego kontaktu z ludźmi, gdy nagle, pewnej burzliwej nocy, przypadek rzucił trzech rozbitków na pokład jego statku. Byli to: francuski profesor, jego służący i kanadyjski rybak. Ci trzej ludzie wypadli za burtę podczas zderzenia „Nautilusa” z fregatą „Abraham Lincoln”, należąca do Stanów Zjednoczonych, a ścigającą okręt podwodny.

Od profesora kapitan Nemo dowiedział się, że na „Nautilusa” — którego jedni uważali za olbrzymiego ssaka z rodziny wielorybów, a inni za statek podwodny z załogą korsarzy — zarządzono pościgi na wszystkich morzach.

Kapitan Nemo mógł zwrócić oceanowi tych ludzi, których los postawił na jego tajemniczej drodze. Nie uczynił tego jednak, ale zatrzymał ich jako więźniów i przez siedem miesięcy dał im możliwość podziwiania cudów tej podmorskiej podróży.

Po siedmiu miesiącach ci trzej ludzie, nie znający przeszłości kapitana Nemo, zdołali uciec w szalupie należącej do „Nautilusa”. Ponieważ „Nautilus” walczył wtedy z niezwykle niebezpiecznym wiatrem, który pędził go w stronę wybrzeży Norwegii, kapitan sądził, że zbiegowie, pochwyceni przez gwałtowny prąd, znaleźli śmierć w głębinach morza. Nie wiedział o tym, że Francuz i jego dwaj towarzysze, cudem prawie wyrzuceni na wybrzeże, zostali uratowani przez rybaków z wysp Lofot, a profesor po powrocie do Francji napisał książkę, w której przedstawił dwadzieścia tysięcy mil tajemniczej żeglugi „Nautilusa”.

Długo jeszcze kapitan Nemo żył w podobny sposób, pływając po morzach. Powoli jednak jego towarzysze powymierali i spoczęli na koralowych cmentarzach na dnie Oceanu Spokojnego.

Kapitan Nemo miał wówczas sześćdziesiąt lat. Zdołał doprowadzić swego Nautilusa” do jednego z podmorskich portów, w których się kiedyś zatrzymywał. Port ten znajdował się pod Wyspą Lincolną.

Od sześciu lat kapitan pozostawał tutaj oczekując śmierci, to jest chwili połączenia się z towarzyszami, gdy przypadek sprawił, że był świadkiem upadku balonu. Ubrany w kombinezon nurka, kapitan przechadzał się pod wodą właśnie w chwili, gdy inżynier wpadł do morza. Szlachetność, którą zawsze miał w sercu, nakazała mu ocalić życie Cyrusowi Smithowi.

Początkowo kapitan postanowił uciec przed tymi rozbitkami, ale jego port był zamknięty na skutek ruchów wulkanicznych i statek nie mógł się już wydostać z pieczary. Było jeszcze dosyć miejsca, aby przez otwór przepłynęła lekka łódź, ale za mało dla szerokiego „Nautilusa”.

Kapitan Nemo musiał więc pozostać, a następnie zaczął przypatrywać się tym ludziom, wyrzuconym bez żadnych narzędzi na pustą wyspę. Widząc, że są tak uczciwi, energiczni i przywiązani wzajemnie do siebie, zaczął interesować się ich działaniami. Wbrew swojej woli przeniknął wszystkie tajemnice ich życia. Dostawał się łatwo na dno studni Granitowego Pałacu, a stamtąd, wchodząc po występach skalnych aż do jej wyższego otworu, słyszał osadników opowiadających o swojej przeszłości i planujących przyszłość. Dowiedział się od nich o wysiłku Ameryki w celu zniesienia niewolnictwa. O tak! Ci ludzie mogli pogodzić kapitana Nemo z ludzkością, gdyż byli jej najszlachetniejszymi przedstawicielami.

Kapitan Nemo ocalił życie Cyrusowi Smithowi. On również doprowadził psa do Kominów, on podrzucił skrzynię wyładowaną tak wieloma użytecznymi przedmiotami, on zepchnął łódź na wody Rzeki Miłosierdzia, on zrzucił linę z progu Granitowego Pałacu podczas napadu małp, on dał znać o obecności Ayrtona na wyspie Tabor przez umieszczenie dokumentu w butelce, on wysadził bryg wybuchem torpedy założonej w głębi kanału, on uratował Harberta od pewnej

* Mowa tu o powstaniu Kandyjczyków (czyli mieszkańców Krety), którym także anonimowo pomagał kapitan Nemo.

śmierci przynosząc siarczan chininy, on wreszcie poraził korsarzy kulami elektrycznymi, których tajemnicę budowy znał i używał ich w swoich podmorskich łowach.

Kapitan skończył swą opowieść. Wówczas Cyrus Smith przypomniał wszystkie zdarzenia, które wywarły tak zbawienny wpływ na życie osadników, i w imieniu zarówno towarzyszy jak i swoim własnym, złożył podziękowanie wspaniałomyślnemu człowiekowi, któremu tyle zawdzięczali.

Ale kapitan Nemo nie wymagał jakiejkolwiek podziękowań za oddane przysługi; zanim uścisnął rękę, podawaną mu przez inżyniera, powiedział:

— A teraz, teraz skoro poznał pan moje życie, proszę mnie osądzić!

Mówiąc to, kapitan miał widocznie na myśli tragiczny wypadek, którego świadkami byli trzej cudzoziemcy, znajdujący się na pokładzie „Nautilusa”; wydarzenie to francuski profesor musiał niewątpliwie przedstawić w swoim dziele. Na kilka dni przed ucieczką profesora i jego dwóch towarzyszy, „Nautilus”, ścigany przez jakąś fregatę na północy Atlantyku, uderzył w nią jak taran i bez miłosierdzia zatopił.

Cyrus Smith zrozumiał myśl kapitana, lecz powstrzymał się od odpowiedzi.

— To była fregata angielska! — zawołał kapitan Nemo, na chwilę stając się znowu księciem Dakkarem. — Angielska, czy mnie pan rozumie? Uderzała na mnie! Znajdowałem się wtedy w ciasnej i niezbyt głębokiej zatoce! Musiałem się z niej wydostać i wydostałem się!

A po chwili dodał, spokojnym już głosem:

— Po mojej stronie była słusność i prawo. Wszędzie robiłem tyle dobrego, ile zdołałem, i tyle złego, ile powinienem. Sprawiedliwość nie polega tylko na przebaczeniu.

Kilka chwil milczenia nastąpiło po tej odpowiedzi i kapitan Nemo powtórzył po raz drugi:

— Cóż więc myślicie o mnie, panowie?

Cyrus Smith wyciągnął rękę do kapitana i odpowiedział uroczyście:

— Kapitanie! Całą pańską winą jest to, że walczył pan przeciw nieuchronności postępu. Był to jeden z tych błędów, które jedni podziwiają, drudzy ganią; ale tylko sam Bóg może być ich sędzią, a rozum ludzki musi je uznać. Błąd twój należy do takich, które nie wykluczają podziwu, a imię twoje nie potrzebuje się obawiać niczego od sądu dziejów. Lubią one bowiem bohaterskie szaleństwa, choć jednocześnie potępiają ich skutki.

Pierś kapitana Nemo uniosła się westchnieniem, a ręka wyciągnęła się ku niebu.

— Miałem czy nie miałem słusność? — szepnął. Cyrus Smith ciągnął dalej:

— Wszystkie wielkie czyny powracają do Boga, bo od niego pochodzą! Kapitanie Nemo, zebrani tutaj uczciwi ludzie, którym tyle razy pomagałeś, nigdy nie przestaną cię oplakiwać.

Harbert zbliżył się do kapitana. Przyklęknął, ujął go za rękę i pocałował. Łza stoczyła się z oczu umierającego:

— Niech cię Bóg błogosławi, moje dziecko! — wyszeptał.

ROZDZIAŁ XVII

Ostatnie chwile kapitana Nemo. — Wola umierającego. — Wspomnienie o przyjaciółach. — Grobowiec kapitana Nemo. — Kilka rad dla osadników. — Wzruszająca chwila. — W głębi morza.

Tymczasem nadszedł dzień. Najmniejszy promyk światła nie przenikał do tej głębokiej jaskini, której wejście całkowicie zalało morze. Ale sztuczne światło, wytryskające długimi snopami ze ścian „Nautilusa”, nie słabło ani na chwilę, toteż woda otaczająca statek błyszczała ciągle jednakowo.

Kapitan Nemo był tak wyczerpany, że opadł znowu bez sił na sofę. Nie było mowy o przeniesieniu go do Granitowego Pałacu, gdyż oświadczył wyraźnie, iż chce pozostać wśród skarbów „Nautilusa” i oczekiwać tam na nieuchronną śmierć.

W ciągu dość długiego osłabienia, które pozbawiło chorego świadomości, Cyrus Smith i Gedeon Spilett zbadali go uważnie. Widoczne było, że kapitan powoli umierał. Inżynier i reporter odbyli cichym głosem naradę, czy można było jeszcze coś uczynić dla umierającego. Czy było możliwe, jeżeli już nie ocalić go, to przynajmniej przedłużyć mu życie o kilka dni? Nie, on sam oświadczył, że nie ma już dla niego żadnego ratunku i oczekiwał ze spokojem śmierci.

— Jesteśmy bezsilni... — rzeki Gedeon Spilett.

— Dlaczego on umiera? — spytał Penkroff.

— Gaśnie jak dopalająca się świeca; jego siły wyczerpują się powoli — odpowiedział reporter.

— A gdybyśmy spróbowali — ciągnął dalej marynarz — wynieść go na świeże powietrze i na słońce, może przyszedłby do siebie?

— Nie, Penkroffie — odparł inżynier. — To by nic nie pomogło. Zresztą kapitan Nemo nie zgodziłby się nigdy na opuszczenie statku. Od trzydziestu już lat żyje na „Nautilusie” i na „Nautilusie”, a nie gdzie indziej, chce umrzeć.

Zapewne kapitan Nemo słyszał słowa Cyrusa Smitha, ponieważ podniósł się i rzekł głosem słabym, ale jeszcze zrozumiałym:

— Ma pan słuszność. Chcę umrzeć tutaj... Mam jeszcze prośbę do panów...

Cyrus Smith i towarzysze zbliżyli się do sofy i poprawili poduszki, aby umierający miał lepsze oparcie.

Kapitan powiódł wzrokiem po wszystkich cudach tego salonu, oświetlonego elektrycznym światłem przenikającym przez arabski ażurowego sufitu. Popatrzył na obrazy zawieszane na przepięknych obiciach ścian; były to arcydzieła mistrzów włoskich, flamandzkich, francuskich i hiszpańskich; na wspaniałe, wznoszące się na postumentach rzeźby marmurowe i z brązu; następują na rozstawione wokół basenu szklane naczynia, w których błyszczały najbardziej godne podziwu skarby morza: morskie rośliny, jamochłony, bezcenne koralowce, a wreszcie jego oczy zatrzymały się na dewizie „Nautilusa”:

*Mobilis in mobili**

Zdawało się, że chciał po raz ostatni objąć pieczołliwym spojrzeniem arcydzieła sztuki i przyrody, do których ograniczył swój świat w ciągu długo letniego pobytu w otchłani mórz.

* *Mobilis in mobili* (łac.) — ruchome w ruchomym.

Cyrus Smith uszanował milczenie kapitana Nemo. Oczekiwał, aż umierający sam przemówi. Po kilku chwilach, w ciągu których musiał zapewne uprzytomnić sobie w myślach całe swoje życie, kapitan Nemo zwrócił się do osadników i rzekł:

— Czy wydaje się wam, panowie, że jesteście mi winni pewną wdzięczność?...

— Kapitanie, oddalibyśmy nasze życie, aby przedłużyć twoje!

— To dobrze — ciągnął dalej kapitan Nemo — to dobrze! Przrzeknijcie mi wypełnić moją ostatnią wolę, a odwdzięczycie się za wszystko, co dla was zrobiłem.

— Przrzekamy! — odpowiedział Cyrus Smith. Obietnicą tą wiązał zarażeń siebie i swoich towarzyszy.

— Panowie — podjął kapitan. — Jutro już mnie nie będzie.

I powstrzymując ruchem Harberta, który chciał zaprzeczać, powiedział:

— Tak jest, jutro już mnie nie będzie, a nie pragnę innego grobu niż „Nautilus”. To grobowiec, który mi się należy! Wszyscy moi przyjaciele spoczywają na dnie mórz i ja tam pragnę spocząć.

Głębokie milczenie było odpowiedzią na te słowa kapitana Nemo.

— Wysłuchajcie mnie uważnie, panowie — mówił dalej. — „Nautilus” jest uwięziony w tej grocie, której wejście się zmniejszyło. Skoro jednak nie może opuścić swojego więzienia, to może przynajmniej zapaść się w otchłań, która znajduje się pod nim i pochować w jej głębi moje ciało.

Osadnicy w milczeniu słuchali słów umierającego.

— Jutro, po mojej śmierci, panie Smith — mówił dalej kapitan — opuście panowie „Nautilusa”. Wszystkie bowiem skarby, które się w nim znajdują, powinny zniknąć wraz ze mną. Jedna tylko pamiątka pozostanie po księciu Dakkarze, którego historię obecnie poznaliście. Ta oto szkatułka zawiera diamenty wartości wielu milionów, w większości pamiątki z epoki, gdy będąc ojcem i małżonkiem prawie wierzyłem w szczęście. Oprócz tego znajduje się w niej także zbiór pereł wydobytych przeze mnie i moich przyjaciół z głębi mórz. Dzięki tym skarbow możecie kiedyś dokonać wielu pożytecznych rzeczy. W takich rękach jak pańskie, panie Smith i twoich towarzyszy, pieniądze nie mogą sprowadzić złych następstw. Będę więc tam spoza grobu współnikiem waszych poczynań!

Po krótkim odpoczynku spowodowanym niezmiernym osłabieniem, kapitan Nemo ciągnął dalej:

— Jutro zabierzecie szkatułkę i opuście ten salon, zaniknąwszy za sobą drzwi; następnie wyjdziecie na platformę „Nautilusa” i spuście klapę, którą starannie zanitujecie.

— Zrobimy to wszystko, kapitanie — odpowiedział Cyrus Smith.

— Dobrze. Później wsiądziecie do łódki, na której tu przyplłynęliście. Przed opuszczeniem „Nautilusa” udacie się na jego rufę i otworzycie tam dwa wielkie kurki, na linii zanurzenia. Wówczas woda dostanie się do zbiorników i „Nautilus” opadnie powoli, żeby spocząć ostatecznie w głębi oceanu.

A gdy Cyrus Smith zrobił gest, jakby chciał zaprzeczyć, kapitan dodał żywo:

— Nie obawiajcie się o nic. Pochowacie zmarłego.

Ani Cyrus Smith, ani żaden z jego towarzyszy nie sprzeciwili się kapitanowi Nemo. Była to jego ostatnia wola, chcieli ją sumiennie spełnić.

— Mam więc wasze przyrzeczenie, panowie? — dodał kapitan Nemo.

— Maje pan, kapitanie — odpowiedział inżynier.

Kapitan wykonał gest podziękowania i poprosił osadników, aby go zostawili samego na kilka godzin. Gedeon Spilett chciał koniecznie pozostać przy nim na wypadek, gdyby nastąpiło przesilenie choroby, ale umierający odmówił:

— Umrę jutro.

Opuścili więc salon, przeszli przez bibliotekę, salę jadalną i dostali się wreszcie do sali maszyn, gdzie znajdowały się prądnice elektryczne. Stąd osadnicy przeszli na platformę, wznoszącą się na siedem do ośmiu stóp nad poziom wody. Ujrzeni tam grubą, soczewkowatą szybę, z której padał snop światła. Za nią widać było kabinę mieszczącą koło sterowe.

Cyrus Smith i jego towarzysze milczeli, żywo poruszeni tym wszystkim co przed chwilą widzieli i słyszeli, a serce im się ścisnęło na myśl, że człowiek, który pomagał im tyle razy, dobroczyńca, którego znali zaledwie kilka godzin — znajduje się na progu śmierci. Jakikolwiek mógł być sąd przyszłych pokoleń o czynach tego niezwykłego człowieka, książę Dakkar pozostanie na zawsze jedną z tych niezwykłych postaci, o których pamięć nigdy nie zginie.

— To mi człowiek! — zawołał Penkroff. — Wprost trudno uwierzyć, żeby żył w ten sposób na dnie Oceanu!

— „Nautilus” — zauważył Ayrton — mógłby nam chyba pomóc w opuszczeniu Wyspy Lincolna i dotarciu do jakiejś zamieszkałej ziemi.

— Do tysiąca diabłów! — krzyknął Penkroff. — Ja nie odważyłbym się kiedykolwiek kierować podobnym statkiem. Po morzu płynąć — zgoda! Ale morzem — nigdy!

— Moi przyjaciele — rzekł inżynier. — Dyskusja o tym statku jest bezprzedmiotowa, bo nie należy do nas i nie mamy prawa nim rozporządzać. Żresz nie moglibyśmy go użyć w żadnym razie. Po pierwsze, nie można się wydobyć z tej jaskini, a po drugie, kapitan Nemo żąda, aby statek zatonął razem z na po jego śmierci. Wola jego jest wyraźna i spełnimy ją!

Cyrus Smith i towarzysze po dłuższej rozmowie zeszli znowu w głąb „Nautilusa”. Tam posilili się nieco i weszli do salonu.

Kapitan Nemo odzyskał nieco sił i jego oczy zapłonęły dawnym blaskiem. Lekki uśmiech zarysował się na jego ustach. t

— Panowie — powiedział kapitan. — Jesteście ludźmi odważnymi, uczciwymi i dobrymi. Poświęciliście się wszyscy dla wspólnej sprawy. Przyglądałem się wam często i uważnie. Pokochałem was i kocham was... Proszę mi podać rękę, panie Smith!...

Cyrus Smith wyciągnął rękę do kapitana, który ją uścisnął z uczuciem.

— Jak to dobrze! — szepnął. A potem dodał:

— Ale dosyć już o mnie! — rzekł. — Pomówmy o was samych i o Wyspie Lincolna, na której znaleźliście schronienie. Chcecie ją opuścić?

— Aby jednak powrócić na nią znowu, kapitanie! — odparł żywo Penkroff.

— Powrócić na nią? W istocie, Penkroffie — odrzekł kapitan, uśmiechając się. — Przecież wiem, jak kochasz tę wyspę. Wasze starania zmieniły ją zupełnie i jest niezaprzeczalnie waszą własnością!

— Zamiarem naszym, kapitanie — odezwał się Cyrus Smith — jest ofiarowanie jej Stanom Zjednoczonym i założenie na niej bazy dla naszej marynarki.

— Wciąż myślicie o swoim kraju, panowie — odrzekł kapitan. — Pracujecie dla jego pomyślności, dla jego sławy. O, macie słuszość. Ojczyzna!... Tak, należy wrócić do niej!... Tak, w niej się powinno umrzeć!... A ja umieram z dala od wszystkiego, co kochałem.

— Czy ma pan może do przekazania jakieś ostateczne rozporządzenie — zawołał żywo inżynier — może jakąś pamiątkę do wręczenia przyjaciółom, których pozostawił pan w górach Indii?

— Nie, panie Smith. Nie mam już przyjaciół! Jestem ostatnim z mojego rodu i dawno już umarłem dla wszystkich, którzy mnie znali. Powróćmy jednak do was. Samotność i odosobnienie to są rzeczy smutne, przechodzące ludzkie siły. Ja umieram, gdyż wierzyłem, że można żyć samotnie. Wy natomiast powinniście starać się o możliwość opuszczenia Wyspy Lincolna i

powrotu do ziemi, gdzie się urodziliście. Wiem, że ci nędznicy zniszczyli zbudowany przez was statek....

— Obecnie budujemy okręt — odezwał się Gedeon Spilett — dość wielki, aby nas mógł przewieźć do najbliższych ziem; ale jeśli nawet zdołamy opuścić Wyspę Lincolna, powrócimy tutaj. Zbyt wiele wspomnień wiąże nas z wyspą, abyśmy mogli kiedykolwiek o niej zapomnieć.

— Tutaj poznaliśmy kapitana Nemo — odezwał się Cyrus Smith.

— I tylko tutaj możemy odnaleźć wspomnienie o nim! — dodał Harbert.

— I tutaj ja spocznę snem wiecznym, jeżeli... — odpowiedział kapitan, zawahawszy się; i zamiast dokończyć rozpoczęte zdanie, poprzestał na stwierdzeniu:

— Panie Smith, chciałbym pomówić z panem na osobności! Towarzysze inżyniera, pełni szacunku dla życzenia umierającego, opuścili salę.

Cyrus Smith pozostał tylko kilka minut z kapitanem Nemo. Wkrótce przywołał przyjaciół, ale nie zdradził im ani słowa z tych tajemnic, które powierzył mu umierający. Gedeon Spilett przyjrzał się bacznie choremu. Widoczne było, że kapitana podtrzymywała już tylko niezwykła siła ducha, która jednakże wkrótce już nie wystarczy do zwalczenia osłabienia fizycznego.

Dzień się skończył, nie przynosząc żadnej ważnej zmiany. Osadnicy nie opuścili ani na chwilę „Nautilusa”. Nadeszła noc.

Kapitan Nemo nie cierpiał, ale powoli gasł. Jego twarz, okryta bladością zbliżającej się śmierci, była spokojna. Z ust wyrwały mu się niekiedy prawie niezrozumiałe słowa, odnoszące się do różnych zdarzeń z jego niezwykłego życia. Każdy czuł, że życie uciekało powoli z tego ciała; ręce i nogi były już zupełnie zimne.

Wreszcie, nieco po północy, kapitan Nemo zrobił ostateczny wysiłek i zdołał skrzyżować ręce na piersiach, jak gdyby pragnął umrzeć w tej pozycji.

Okolo pierwszej nad ranem całe życie ześrodkowało się w jego spojrzeniu. Usta jego wyszeptaly: „Bóg i Ojczyzna!” — i wydał ostatnie tchnienie.

Wówczas Cyrus Smith, schyliwszy się, zamknął powieki człowiekowi, który był niegdyś księciem Dakkarem, a w tej chwili przestał być nawet kapitanem Nemo.

Harbert i Penkroff płakali, Ayrton ukradkiem ocierał łzy. Nab klęczał skamieniały obok reportera.

Wśród tej ciszy Cyrus Smith, podniósłszy rękę nad głowę zmarłego, zawołał:

— Niech Bóg ma w opiece jego duszę! — i zwracając się do przyjaciół, dodał — Módlmy się za tego, którego straciliśmy!...

W kilka godzin później osadnicy spełnili obietnicę daną kapitanowi, wykonując ostatnią wolę umierającego.

Cyrus Smith i towarzysze opuścili „Nautilusa”, zabrawszy z sobą jako jedyną pamiątkę pozostawioną im przez dobroczyńcę, szkatułkę mieszczącą w sobie majątek wart kilku fortun.

Cudowny salon, wciąż zalany powodzią światła, zamknęli starannie. Zanitowali otwór klapy tak, aby ani jedna kropla wody nie mogła przeniknąć do! środka „Nautilusa”. Następnie zeszli do łódki przywiązanej do burty statku: podwodnego i podpłynęli do jego rufy. Tam, nad linią zanurzenia, znajdowały się dwa ogromne kurki połączone ze zbiornikami. Po otwarciu kurków, zbiorniki wypełniły się wodą i „Nautilus”, zagłębiając się powoli, zniknął wkrótce pod powierzchnią wody.

Koloniści długo jeszcze widzieli statek poprzez warstwy wody. Jego potężne reflektory oświetlały przejrzystą otchłań, podczas gdy pieczara stawała się coraz mroczniejsza. Wreszcie to silne światło zniknęło i „Nautilus”, zamieniony w grobowiec kapitana Nemo, spoczął na dnie morza.

ROZDZIAŁ XVIII

Rozmyślenia osadników. — Budowa okrętu. — 1 stycznia 1869 roku. — Pierwsze oznaki wybuchu. — Ayrton i Cyrus Smith w zagrodzie. — Poszukiwania w Grocie Dakkara. — Co kapitan Nemo powiedział inżynierowi.

O świcie osadnicy przybyli w milczeniu do wyjścia z groty, której nadali miano Groty Dakkara na pamiątkę kapitana Nemo. W tej chwili trwał odpływ, więc łatwo im było przepłynąć pod arkadą, o której bazaltowe stropy uderzała fala.

Cyrus Smith i towarzysze, opuściwszy Grotę Dakkara, udali się z powrotem do zagrody. Po drodze Nab i Harbert zajęli się zwijaniem drutu, przeciągniętego przez kapitana między zagrodą a grota.

W drodze osadnicy mało mówili. Niecodzienne przejścia tej nocy z 15 na 16 października wywarły na nich silne wrażenie. Ten nieznamy, który tak skutecznie im pomagał, opiekuńczy duch wyspy, jak go sobie wyobrażali, kapitan Nemo — już nie istniał. Wraz z „Nautilusem” spoczywał w głębi morza. Czuli jeszcze większą samotność niż dawniej. Przyzwyczaili się liczyć na tę poważną pomoc, której miało im teraz zabraknąć. Nawet Gedeon Spilett i Cyrus Smith nie mogli się otrząsnąć z takiego wrażenia. Około dziewiątej rano osadnicy znaleźli się znowu w Granitowym Pałacu.

Nieodwołalnie postanowiono, że trzeba się jak najszybciej zabrać do pracy przy budowie okrętu i Cyrus Smith poświęcił temu zadaniu cały swój czas i wszystkie starania. Nie wiedzieli przecież, co im gotuje przyszłość. Posiadanie sprawnego okrętu, zdolnego utrzymać się na wodzie nawet w czasie burzy i dostatecznie dużego, aby można było popłynąć na nim w dłuższą podróż, stało się dla nich bardzo ważne.

Gdyby po skończeniu budowy okrętu osadnicy nie chcieli jeszcze opuszczać Wyspy Lincoln, to w każdym razie ich obowiązkiem było popłynąć na wyspę Tabor, aby zostawić tam zapiski dotyczące Ayrtona. Był to konieczny środek ostrożności na wypadek, gdyby szkocki jacht zjawił się znowu na tych morzach — pod tym względem nie wolno było niczego zaniedbać.

Zabrano się więc gorliwie do pracy i jeżeli nie przeszkadzało jakieś inne ważne zajęcie — pracowano bez przerwy. Należało skończyć budowę nowego okrętu w ciągu pięciu miesięcy, to jest do początku marca; inaczej bowiem osadnicy nie zdążyliby odwiedzić wyspy Tabor przed burzami, występującymi w czasie zrównania dnia z nocą. Nie tracili więc ani jednej chwili. Zresztą nie potrzebowali się troszczyć o maszty i ożaglowanie, bo wszystko to posiadali w spadku po „Speedy’em”. Chodziło głównie o ukończenie kadłuba okrętowego.

Koniec roku 1868 upłynął wśród tych ważnych zajęć. Po dwóch i pół miesiącach całe rusztowanie statku było już złożone i rozpoczęto oklepkowanie. Można już było poznać, że plany Cyrusa Smitha były doskonale i że statek dobrze się będzie trzymał na morzu.

Pogoda była przez cały ten czas brzydka. Przez kilka dni trwały nieznośne upały, po których następowały gwałtowne burze. Rzadko kiedy nie słychać było dalekich grzmotów.

1 stycznia 1869 roku rozszalała się niezwykle gwałtowna burza, w czasie której pioruny uderzyły kilkakrotnie w wyspę. Olbrzymie drzewa zostały roztrzaskane. Czy wicher ten miał jakiś związek ze zjawiskami zachodzącymi we wnętrzu ziemi? Cyrus Smith był skłonny uwierzyć w coś podobnego, ponieważ takie nasilenie burz łączyło się zawsze z większą aktywnością wulkanu.

Jednakże dopiero 3 stycznia Harbert, wspiąwszy się o świcie na Wielki Płaskowyż, by osiodłać onagra, spostrzegł olbrzymi pióropusz dymu wznoszący się ponad szczytem wulkanu; niezwłocznie zawiadomił o tym towarzyszy.

— Ho! ho! — zawołał Penkroff. — Tym razem to już nie jest zwykła para. Wydaje mi się, że olbrzym nie poprzestaje już tylko na oddychaniu, ale zaczyna palić fajkę!...

Przenośnia ta, użyta przez marynarza, charakteryzowała doskonale zmianę, jaka zaszła w kraterze. Od trzech miesięcy wulkan wyrzucał mniej lub bardziej gęstą parę, ale pochodzącą widocznie tylko z wewnętrznego wrzenia składników mineralnych. Tym razem jednak, miejsce pary zajęły gęste kłęby dymu, unoszące się w postaci szarej kolumny, szerokiej u podstawy na więcej niż trzysta stóp, a rozszerzającej się jak potężny grzyb na wysokości siedmiuset do ośmiuset stóp ponad szczytem góry.

Cyrus Smith obserwował z uwagą gęsty dym, wydobywający się z Góry Franklina i uważnie nasłuchiwał, chcąc uchwycić oddalone grzmoty. Po chwili, zwracając się do towarzyszy, stwierdził:

— Faktycznie, moi przyjaciele, zaszła tu ważna zmiana — nie możemy się łudzić. Materiały wulkaniczne nie tylko wrą, ale zajęły się już nawet ogniem i na pewno grozi nam bliski wybuch!

— A może — zapytał marynarz — może w tym wulkanie znajduje się jakaś drogocenna i pożyteczna substancja, którą potrafimy zużytkować?

Cyrus Smith potrząsnął głową, gdyż wiedział, że ten niespodziewany wybuch nie wróży nic dobrego. I choć erupcja nie zagrażała bezpośrednio częściom zalesionym i uprawnym wyspy, mogły się jednak pojawić inne niebezpieczeństwa. Często się bowiem zdarza, że wybuchom wulkanu towarzyszy trzęsienie ziemi.

— Wydaje mi się — rzekł Ayrton, który leżał dotąd na ziemi i nasłuchiwał — że słyszę głuchy turkot, jak gdyby wozu wyładowanego sztabami żelaza.

Osadnicy nasłuchiwali z wyteżoną uwagą i wkrótce przekonali się, że Ayrton się nie mylił. Z wspomnianym hałasem łączyły się co chwilę podziemne ryki. Wszystko to sprawiało takie wrażenie, jak gdyby jakiś gwałtowny wichur przelatujący we wnętrzu ziemi. Ale nic podobnego do huku, we właściwym te — ; go słowa znaczeniu, nie dawało się dotąd usłyszeć. Można więc było mieć nadzieję, że gazy i dymy znajdowały wolne ujście przez główny komin i na razie nie należało się obawiać wybuchu.

— Ha!... — zawołał, słysząc te wnioski Penkroff. — Wróćmy więc do pracy! Niech sobie Góra Franklina pali fajkę, ryczy, jęczy, miota ogniem i płomieniem — my powinniśmy pracować... Chcę, aby przed upływem dwóch miesięcy nasz nowy „Bonawentura” pływał już po wodach Przystani Balonowej! A więc nie ma ani godziny do stracenia!

Pracowali gorliwie przez cały ten dzień 3 stycznia, nie troszcząc się więcej o wulkan, którego zresztą nie można było dostrzec z wybrzeża koło Granitowego Pałacu. Raz czy dwa, czarne chmury przesłoniły słońce, co było wskazówką, że gęsty obłok dymu przeszedł między tarczą słoneczną a wyspą. Wiatr wiejący od morza unosił wszystkie dymy na zachód. Cyrus Smith i Gedeon Spilett dostrzegając te niepokojące zjawiska dyskutowali o nich, nie przerywając pracy. Zresztą dokończenie budowy okrętu w jak najkrótszym czasie było sprawą najważniejszą.

Wieczorem, po kolacji, Cyrus Smith, Gedeon Spilett i Harbert weszli znowu na Wielki Płaskowyż.

— Krater w ogniu! — zawołał Harbert, który będąc zwinniejszy od swoich towarzyszy, pierwszy wbiegł na płaskowyż.

Góra Franklina, odległa mniej więcej o sześć mil, wyglądała jak gigantyczna pochodnia.

— Wszystko to postępuje bardzo szybko! — odezwał się inżynier.

— Nic w tym dziwnego — odpowiedział reporter. — Wulkan obudził się już dość dawno. Przypominasz sobie, Cyrusie, że pierwsze gazy pojawiły się mniej więcej w okresie naszych poszukiwań w okolicach Góry Franklina, gdy próbowaliśmy wysledzić kryjówkę kapitana Nemo. Było to, jeżeli się nie mylę, około 15 października.

— Rzeczywiście — dodał Harbert. — A od tego czasu minęło już dwa i pół miesiąca!

— Czy nie odczuwacie lekkiego drżenia ziemi? — zapytał Cyrus Smith.

— Tak — odrzekł powoli reporter — ale od drgania do trzęsienia ziemi...

— Ja też nie twierdzę, że zagraża nam trzęsienie ziemi — odpowiedział Cyrus Smith — i niech nas Bóg od niego zachowa! Nie. To drżenie jest wynikiem wrzenia ognia wewnętrznego. Skorupa ziemska jest niczym innym jak ścianą kotła parowego, a wiadomo wam, że ściana kotła pod naciskiem gazów dźwięczy jak metalowa płyta. Takie to właśnie zjawisko mamy w tej chwili przed sobą.

— Co za wspańnięte słupy ognia! — zawołał Harbert.

W tej chwili wytrysnął z krateru rodzaj fajerwerku. Tysiące iskier i ognistych odłamków rozpryskiwało się na wszystkie strony. Niektóre, przebijając kopułę dymów, pękały gwałtownie. Wybuchowi temu towarzyszyły następujące po sobie bez przerwy wystrzały, przypominające odgłos całej baterii armat.

Cyrus Smith, reporter i Harbert, spędziwszy godzinę na Wielkim Płaskowyżu, wrócili do Granitowego Pałacu. Inżynier był zamyślony i przygnębiony do tego stopnia, że Gedeon Spilett zapytał go, czy przeczuwa jakieś niebezpieczeństwo związane z wybuchem wulkanu.

— Tak i nie — odpowiedział Cyrus Smith.

— Czyż jednak — podjął znowu reporter — największym nieszczęściem, które by nas mogło spotkać, nie jest trzęsienie ziemi? Wydaje mi się, że nie musimy się tego obawiać, ponieważ gazy i lava znalazły naturalne ujście.

— Toteż — odparł Cyrus Smith — ja nie obawiam się trzęsienia, w rozumieniu, jakie nadaje się zwykle wstrząsom, wywołanym przez wybuch gazów podziemnych. Obawiam się zupełnie czegoś innego...

— Ale czego, mój drogi Cyrusie?

— Nie potrafię jeszcze dokładnie na to odpowiedzieć — muszę zwiedzić górę i dokładnie się jej przyjrzeć. Po kilku dniach będę mógł konkretnie odpowiedzieć na to pytanie.

Upłynęły trzy dni: 4, 5 i 6 stycznia. Praca przy budowie okrętu nie ustawała — inżynier, nie wdając się w bliższe wyjaśnienia, przyspieszał prace. Góra Franklina otoczona była w tej chwili kapturem z ciemnego dymu o groźnym wyglądzie; z jej wnętrza wraz z płomieniami wydobywały się rozpalone skały, z których wiele wpadało z powrotem do krateru.

Prócz intensywnej pracy przy budowie okrętu osadnicy nie zaniedbywali innych obowiązków. Przede wszystkim trzeba było udać się do zagrody, aby odnowić zapas karmy dla zwierząt.

Postanowiono więc, że Ayrton pójdzie tam nazajutrz; ponieważ zawsze radził sobie sam z pracą, Penkroffa i innych ogarnęło zdziwienie, gdy usłyszeli słowa inżyniera:

— Skoro idzie pan jutro do zagrody, będę panu towarzyszył.

Mimo sprzeciwu Penkroffa, pragnącego, by wszyscy pracowali przy budowie statku, Cyrus Smith i Ayrton, na wózku zaprzężonym w dwa onagry, udali się do zagrody.

Nad lasem unosiły się grube chmury, pokryte sadzą z krateru Góry Franklina. Był to rodzaj popiołu wulkanicznego o groźnych właściwościach — po wybuchu wulkanu na Islandii w 1783 roku podobny popiół przez prawie rok zatrzymywał atmosferę.

Najczęściej jednak takie pyły opadają na ziemię i tu właśnie zaszło coś podobnego. Cyrus Smith i Ayrton po przybyciu do zagrody stwierdzili, że spadło coś w rodzaju czarnego śniegu i zmieniło w mgnieniu oka wygląd otaczającego ich terenu. Drzewa, łąki i wszystko dokoła

zniknęło pod przykryciem, mającym grubość wielu cali. Na szczęście jednak nadszedł wiatr od północnego wschodu i największe chmury rozsypały się nad morzem.

— Dziwnie to wygląda — odezwał się Ayrton.

— I sprawa jest ważna — odrzekł inżynier. — Ten pył wulkaniczny, ta cała mineralna kurzawa wskazuje, jak straszne zaburzenia odbywają się w niższych warstwach wulkanu.

— Czy można coś na to poradzić?

— Nie, jedynie sprawdzić postęp tego zjawiska. Zajmij się więc, Ayrtonie, pracami w zagrodzie. Ja w tym czasie pójdę do źródeł Czerwonego Potoku i zbadam północny stok góry. A potem...

— A potem... panie Smith?

— A potem odwiedzimy Grotę Dakkara... Muszę zobaczyć... Zresztą przyjdę po pana za dwie godziny.

Ayrton wszedł do zagrody i w oczekiwaniu na powrót inżyniera zajął się muflonami i kozami, które wydawały się zaniepokojone oznakami wybuchu.

W tym czasie Cyrus Smith doszedł do grzbietu wschodniej ściany, okrążył Czerwony Potok i dotarł wreszcie do miejsca, gdzie jego towarzysze podczas pierwszej wycieczki odkryli źródło siarki.

Od tego czasu wszystko uległo wielkiej zmianie. Zamiast jednej kolumny dymu naliczył ich aż kilkanaście, strzelających z ziemi, jak gdyby wypierała je ogromna siła. Widać było, jak skorupa ziemską poddawała się w tym miejscu przerażającemu ciśnieniu. Powietrze było przesycone siarką, wodorem, kwasem węglowym i parą wodną.

Dotychczas jednak inżynier nigdzie nie spostrzegł żadnego śladu świeżej lawy. Sprawdził to dokładniej, obserwując cały północny stok Góry Franklina. Kłęby dymu i płomienie wydobywały się z krateru, grad żużlu i szczątków metalicznych spadał na ziemię; jednak lawa nie wylewała się z otworu, co dowodziło, że poziom materiałów wulkanicznych nie dosięgnął jeszcze wyższego poziomu głównego komina.

— Wolałbym, żeby to już nastąpiło! — rzekł sam do siebie Cyrus Smith. — Miałbym przynajmniej pewność, że lawa popłynęła swoją zwykłą drogą. A kto wie, czy nie przeleje się przez jakąś nową szczelinę? Nie to jednak stanowi największe niebezpieczeństwo! Kapitan Nemo doskonale to przeczuwał! Nie, niebezpieczeństwo tkwi w czymś innym!

Wracając, Cyrus Smith uważnie nasłuchiwał podziemnych huków, brzęczych jak nieprzerwany grzmot, akcentowany tylko mocnymi wystrzałami.

O dziewiątej rano był już z powrotem w zagrodzie. Ayrton czekał na niego.

— Zwierzęta są oporządzone, panie Smith.

— Bardzo dobrze, Ayrtonie.

— Są niespokojne, panie Smith.

— To nic dziwnego, ostrzega je instynkt — odrzekł inżynier. — Chodźmy, Ayrtonie; weź latarnię i krzesiwo.

Ayrton spełnił polecenie. Bramę zamknięto z zewnątrz i Cyrus Smith, wyprzedzając Ayrtona, skreślił ku zachodowi wąską ścieżką wiodącą do wybrzeża. Szli po ziemi pokrytej grubo popiołem opadłym z chmur. Nie pojawiło się żadne zwierzę...

Było po dziesiątej, gdy dotarli na szczyt skał bazaltowych i porfirowych, które tworzyły północno-zachodnie wybrzeże wyspy. Ayrton i Cyrus Smith zaczęli schodzić z tego stromego wybrzeża, idąc mniej więcej tą samą trudną drogą, która owej burzliwej nocy zaprowadziła ich do Groty Dakkara.

Bez trudu odszukali wejście do Groty i zatrzymali się pod ostatnią skałą, tworzącą rodzaj nadmorskiego progu.

- Łódź z żelaznej blachy powinna tam być? — odezwał się inżynier.
- Jest, panie Smith — odrzekł Ayrton, przyciągając do siebie łódź ukrytą pod arkadą.
- Wsiadajmy, Ayrtonie.

Dwaj osadnicy wsiedli do łodzi. Lekkie kołysanie fal wprowadziło ich nieco głębiej pod pochyłe sklepienie grotu, a tam Ayrton, skrzesawszy ognia, zapalił latarnię i postawił ją na dziobie łodzi, tak aby oświetlała drogę; następnie pochwycił za wiosło. Cyrus Smith ujął ster i skierował łódź w mrok pieczary.

Nie było tu już „Nautilusa”, który oświetlałby tę ponurą jaskinię. Światło latarni, jakkolwiek niewystarczające, pozwalało jednak inżynierowi posuwać się naprzód. Grobowe milczenie panowało pod tym sklepieniem, ale tylko w jego pierwszej części, ponieważ wkrótce Cyrus Smith usłyszał wyraźny pomruk wydobywający się z wnętrza góry.

- To wulkan — stwierdził.

Za chwilę do tych odgłosów dołączył jeszcze ostry zapach związków chemicznych i duszące opary siarki chwyciły za gardło inżyniera i jego towarzysza.

- Oto, czego obawiał się kapitan Nemo! — szepnął Cyrus Smith i twarz mu lekko pobladła.
- A jednak trzeba dojść aż do końca.

— Dalej więc — odrzekł Ayrton, pochyliwszy się nad wiosłami i skierował łódź w głąb pieczary.

Dwadzieścia pięć minut po wpłynięciu do grotu łódź przybiła do zamykającej ją ściany i zatrzymała się. Inżynier, obejrzawszy dokładnie mur przed sobą, postawił latarnię na końcu wiosła i zaczął ją prowadzić na większej wysokości, wzdłuż bazaltowej ściany. Stamtąd, przez ledwo widoczne szczeliny, wydobywał się gryzący dym, zatruwający powietrze jaskini. Cyrus Smith trwał kilka chwil w głębokiej zadumie. Potem zaś wyszeptał:

- O tak! Kapitan miał słuszość! Tu się kryje niebezpieczeństwo i to niebezpieczeństwo straszliwe!

Ayrton nic nie odpowiedział, tylko na znak Cyrusa Smitha chwycił znowu za wiosło, i w pół godziny później wydostali się z Groty Dakkara.

ROZDZIAŁ XIX

Opowiadanie Cyrusa Smitha o wyprawie. — Przyspieszanie prac przy budowie okrętu. — Ostatnie odwiedziny w zagrodzie. — Walka ognia z wodą. — Co jeszcze zostało z wyspy. — Trzeba odpłynąć. — Noc z 8 na 9 marca.

Nazajutrz rano, 8 stycznia, Cyrus Smith i Ayrton wrócili do Granitowego Pałacu.

Natychmiast po przybyciu inżynier zebrał towarzyszy i oznajmił im, że Wyspie Lincolną zagraża wielkie niebezpieczeństwo, któremu żadna potęga ludzka nie zdoła zapobiec.

— Moi przyjaciele — dodał głosem zdradzającym gwałtowne wzruszenie — Wyspa Lincolną nie należy do takich, które dotrwać mogą do końca świata.

Skazana jest prędzej czy później na zniszczenie, którego przyczyna mieści się w niej samej i od którego nic nie może jej uratować. Osadnicy nie mogli go zrozumieć.

— Proszę wytłumaczyć to dokładniej, Cyrusie! — zawołał Gedeon Spilett.

— Wytłumaczę, albo raczej powtórzę tylko to, co na osobności przekazał mi kapitan Nemo.

— Kapitan Nemo! — wykrzyknęli osadnicy.

— Tak. I była to ostatnia przysługa, jaką nam chciał oddać przed śmiercią.

— Ostatnia przysługa?! — zawołał Penkroff. — Ostatnia przysługa! Przekonacie się, że chociaż zmarł, odda nam jeszcze niejedną przysługę!

— Ale co takiego powiedział ci wtedy kapitan Nemo? — spytał reporter.

— Wyspa Lincolną zbudowana jest inaczej niż pozostałe wyspy na Oceanie Spokojnym. Pewna jej właściwość, o której mi opowiedział kapitan Nemo, musi doprowadzić kiedyś do jej unicestwienia.

— Unicestwienie Wyspy Lincolną?! Cóż znowu! — zawołał Penkroff, nie mogąc się powstrzymać od wzruszenia ramionami mimo całego szacunku dla Cyrusa Smitha.

— Posłuchaj mnie, Penkroffie — odparł na to inżynier. — Oto co odkrył kapitan Nemo i co ja sam sprawdziłem podczas oględzin w Grocie Dakkara. Grota ciągnie się pod wyspą aż do wulkanu, a od centralnego komina oddzielona jest tylko ścianą. Ściana ta jest obecnie w wielu miejscach popękana, a przez szczeliny przedostają się już gazy siarczane, wytworzone we wnętrzu wulkanu.

— Co z tego wynika? — spytał Penkroff, starając się zrozumieć tok myśli inżyniera.

— Otóż stwierdziłem, że owe pęknięcia powiększają się pod naciskiem wewnętrznym, a bazaltowy mur rozstępuje się powoli i po pewnym czasie przedrą się przez niego wody morza, wypełniające obecnie pieczarę.

— Brawo! — zawołał Penkroff, usiłując raz jeszcze wszystko obrócić w żart. — A więc morze ugasi wulkan i już po całym kłopotcie!

— O tak, i już po wszystkim! — odrzekł Cyrus Smith. — W dniu, w którym morze przedrze się przez tę ścianę i dostanie się poprzez komin środkowy aż do wnętrza wyspy, gdzie kipi lawa, w dniu tym, Penkroffie, cała Wyspa Lincolną wyleci w powietrze, tak jakby wyleciała w powietrze Sycylia, gdyby Morze Śródziemne dostało się w głąb Etny!

Osadnicy wysłuchali w milczeniu słów inżyniera. Zrozumieli już, jakie niebezpieczeństwo im grozi. Bo też Cyrus Smith miał całkowitą słuszość.

Wielu osobom wydaje się, że można ugasić wulkany, które prawie zawsze wznoszą się na wybrzeżach mórz i jezior, przez zalanie ich wodą. Czyniący podobne przypuszczenia nie wiedzą, że naraziliby w ten sposób część kuli ziemskiej na wysadzenie w powietrze, podobnie jak eksploduje kocioł przez zbytne naprężenie pary. Woda, wpadając do wnętrza, gdzie temperatura

wynosić może tysiące stopni, zmieniałyby się w parę tak gwałtownie, że rozsadziłyby każdą powłokę.

Nie ulegało więc wątpliwości, że wyspie zagrażało bliskie i straszne niebezpieczeństwo. Nie było to już nawet kwestią miesięcy ani tygodni, ale dni, a kto wie, może nawet godzin.

Pierwszym uczuciem osadników był głęboki żal. Nie myśleli o zagrażającym niebezpieczeństwie, ale o zniszczeniu tej ziemi, na której znaleźli schronienie — tej wyspy, którą pokochali, którą chcieli kiedyś doprowadzić do kwitnącego stanu! Tyle trudów daremnie poniesionych, tyle straconej pracy! Penkroff nie mógł powstrzymać łez.

Rozmowa przeciągała się; rozważano wszystkie możliwe środki ratunku. Ostatecznie uznano, że nie ma godziny do stracenia i że budowę i urządzenie wnętrza okrętu należy wykonać z nadzwyczajnym pośpiechem, gdyż jedyną nadzieją ocalenia było obecnie opuszczenie wyspy.

Wszyscy zabrali się więc do tej pracy. A zresztą na co, w zaistniałej sytuacji, przydałoby się zwiększanie zapasów w Granitowym Pałacu? To, co zawierały jeszcze magazyny i spiżarnia, mogło zaopatrzyć okręt choćby na najdłuższą podróż. Chodziło więc tylko o to, aby mieć ten okręt do dyspozycji, zanim wydarzy się nieunikniona katastrofa.

Około 23 stycznia okręt był już prawie ukończony. Dotychczas nie pojawiła się żadna zmiana na szczycie wulkanu. Wciąż widać było nad nim dymy pomieszane z płomieniami i rozpalone kamienie wylatujące z krateru. Ale w ciągu nocy z 23 na 24 nacisk lawy, która doszła już prawie do szczytu wulkanu, rozsadził stożek, tworzący jakby jego kapelusz. Dał się słyszeć straszliwy huk. Osadnicy myśleli z początku, że wyspa się rozsypuje. Wszyscy wybiegli z Granitowego Pałacu.

Było około drugiej nad ranem. Niebo stało w ogniu. Wyższy stożek, masa kamienna wysoka na tysiąc stóp, a ważąca miliardy funtów, został strącony na wyspę, która zatrzęsała się pod jego ciężarem. Na szczęście stożek upadł na płaszczyznę piasków i drobnych kamieni, rozciągającą się między wulkanem a morzem. Krater, szeroko otwarty, rzucał ku niebu potężne światło. Jednocześnie zaś potok lawy rozlewał się w długich kaskadach.

— Do zagrody! Do zagrody! — zawołał Ayrton.

W istocie, na skutek utworzenia się nowego krateru lava kierowała się w stronę zagrody i żyznym części wyspy; źródłom Czerwonego Potoku i lasom zagrażało natychmiastowe zniszczenie.

Na krzyk Ayrtona osadnicy rzucili się do stajenki onagrów. Zaprzężono je do wózka. Wszystkich ożywiała tylko jedna myśl: biec do zagrody i uwolnić zamknięte w niej zwierzęta.

Przed godziną trzecią rano przybyli do zagrody. Straszliwe ryki świadczyły o przerażeniu, jakie przejmowało muflony i kozy. Potok roztopionej lawy i płynnych minerałów spływał już ze ściany góry na łąkę i niszczył z tej strony ogrodzenie. Ayrton otworzył gwałtownie bramę, a wówczas zwierzęta, oszalałe z trwogi, rozbiegły się na wszystkie strony.

W godzinę później kipiąca lava wypełniła zagrodę, zamieniła wodę z małego strumyka w parę, zapaliła dom mieszkalny i zniszczyła wszystko aż do ostatniego kołka z ogrodzenia. Nie pozostał żaden ślad po zagrodzie!

Osadnicy chcieli walczyć z żywiołem, próbowali się opierać, ale były to daremne usiłowania — człowiek bowiem jest bezsilny wobec podobnych kataklizmów.

Z nadejściem 24 stycznia Cyrus Smith i jego towarzysze, postanowili zbadać kierunek potoku lawy przed powrotem do Granitowego Pałacu. Ogólna pochyłość gruntu obniżała się od Góry Franklina do wschodniego wybrzeża i należało się obawiać, że pomimo gęstwiny lasów strumienie lawy sięgną aż do Wielkiego Płaskowyzu.

— Jezioro nas zasłoni — odezwał się Gedeon Spilett.

— I ja mam tę nadzieję — odrzekł Cyrus Smith.

Osadnicy chcieli dostać się aż na płaszczyznę, na którą runął stożkowaty szczyt Góry Franklina, ale lawa zatarasowała im drogę. Nie było najmniejszej możliwości przedostania się przez ten potok.

Okolo siódmej rano koloniści musieli wycofać się z tego miejsca. Rozżarzone kamienie zaczęły się sypać wokoło nich, a lawa, przelewając się z koryta Czerwonego Potoku, groziła im odcięciem drogi odwrotu. Ruszyli więc w kierunku zagrody. Tymczasem, na skutek naturalnej pochyłości gruntu, potok lawy gwałtownie posuwał się ku zachodowi i ledwo dolne warstwy nieco stwardniały, już zalewały je następne wrzące fale.

Osadnicy zatrzymali się w pobliżu jeziora, o pół mili od ujścia Czerwonego Potoku. Tutaj miały rozstrzygnąć się ich losy: życie czy śmierć.

Cyrus Smith, przyzwyczajony do jasnego przedstawiania trudnych sytuacji, a przy tym wiedząc, że mówi do ludzi nie bojących się prawdy bez względu na to jaka ona jest, odezwał się:

— Albo jezioro powstrzyma lawę i wówczas część wyspy zostanie ocalona od zupełnego zniszczenia, albo ten potok lawy zaleje Lasy Dalekiego Zachodu i ani jedna roślina nie przetrwa na powierzchni. Wówczas czeka nas śmierć, która po eksplozji wyspy nadejdzie szybko.

— A więc — zawołał Penkroff — nie warto już pracować przy statku, prawda?

— Penkroffie — odrzekł Cyrus Smith. — Należy spełnić obowiązek aż do końca!

W tej chwili rzeka lawy, przedarłszy się przez piękne drzewa, niszcząc je, doszła aż do granicy jeziora. Tu znajdowało się małe wzniesienie, które, gdyby było tylko troszkę wyższe, mogłoby powstrzymać ognisty potok.

— Do dzieła! — zawołał Cyrus Smith.

W mgnieniu oka wszyscy pojęli myśl inżyniera. Należało zbudować tamę i tym sposobem zmusić lawę do wiania się w jezioro.

Osadnicy pobiegli do warsztatu. Wynieśli stamtąd rydle, motyki, topory i w kilka godzin zbudowali zapórę wysoką na trzy stopy, a długą na kilkaset kroków. Gdy skończyli, zdawało im się, że pracowali zaledwie kilka minut!

Był to najwyższy czas! Gdy tylko grobla stanęła, lawa dotarła do niższej części owego naturalnego wzniesienia. Wyglądała jak prawdziwa rzeka w czasie największego przyboru i groziła przekroczeniem jedynej zapory, nie pozwalającej jej wtargnąć do Lasów Dalekiego Zachodu. Na szczęście tama wystarczyła do powstrzymania ognistych nurtów i po kilku chwilach cały potok stoczył się w jezioro z wysokości dwudziestu stóp.

Cóż to było za widowisko ta walka ognia z wodą! Woda syczała, ulatniając się przy zetknięciu z kipiącą lawą. Kłęby pary, wznoszące się w powietrze, wirowały w przestrzeni, jak gdyby ktoś otworzył klapy ogromnego parowego kotła. Lecz jakkolwiek jezioro zawierało ogromne masy wody, musiały one w końcu zostać pochłonięte, ponieważ się nie odnawiały; tymczasem potok lawy, wypływający z nieprzebranego źródła, toczył wciąż nowe strumienie roztopionej materii.

Pierwsze potoki lawy, które wpłynęły do jeziora, natychmiast zastygły, wystając z wody. Po ich powierzchni toczyły się inne, które także skamieniały, ale już głębiej w kierunku środka. Tym sposobem wytwarzała się powoli masa gruzu, zagrażająca zasypaniem jeziora, którego wody zamieniały się w parę. Masa stężonych minerałów zwiększała się. bryły lawy gromadziły się jedno na drugich. Tam, gdzie rozciągały się niegdyś spokojne wody, obecnie widać było kupę dymiących skał. Tym razem ogień zapanował nad wodą.

Szczyściem dla osadników strumienie lawy skierowały się do Jeziora Granta; zapewniało im to kilka dni bezpieczeństwa. Wielki Płaskowyż, Granitowy Pałac i warsztat były na chwilę ocalone. Tych kilka względnie spokojnych dni należało wykorzystać na dokończenie okrętu i staranne zasmołowanie go. Następnie można było zwodować statek i szukać na nim schronienia, odkładając na razie założenie masztów i ozaglowanie. Wobec prawdopodobieństwa wysadzenia

wyspy w powietrze niemożliwe już było pozostanie na lądzie. Granitowy Pałac przestał być bezpiecznym schronieniem.

Przez następnych sześć dni, od 25 do 30 stycznia, osadnicy pracowali przy okręcie praktycznie bez przerwy. Wypoczywali zaledwie przez kilka godzin, a blask płomieni buchających z krateru umożliwiał im pracę dniem i nocą. Wybuchy wulkanu następowały ciągle, chociaż z mniejszą gwałtownością.

Zupełnie inaczej było po zachodniej stronie wyspy.

Tam bowiem drugi strumień lawy, toczący się szeroką doliną Rzeki Kaskady, nie znalazł żadnej przeszkody. Ognisty płyn zalał więc Lasy Dalekiego Zachodu. O tej porze roku, gdy gwałtowny upał wysuszył żywice, ogień objął w mgnieniu oka cały las i to w ten sposób, że drzewa płonęły jednocześnie przy nasadzie pnia i przy najwyższych gałęziach.

Przerażone zwierzęta: jaguary, dziki, kapibary i ptactwo, szukały schronienia na brzegu Rzeki Miłosierdzia i w okolicy Kaczyc Błot. Ale osadnicy za bardzo byli zajęci pracą, aby zwrócić uwagę na najgroźniejsze nawet zwierzęta. Opuścili Granitowy Pałac, nie chcieli nawet szukać schronienia w Kominach, obozując pod namiotem, w pobliżu ujścia Rzeki Miłosierdzia.

Co dzień Cyrus Smith i Gedeon Spilett wchodzili na Wielki Płaskowyż. Niekiedy towarzyszył im Harbert, nigdy zaś Penkroff, który nie chciał patrzeć na zniszczenie jego ukochanej wyspy.

— Ależ to strasznie wygląda! — odezwał się pewnego dnia Gedeon Spilett.

— O tak, Gedeonie — odpowiedział inżynier. — Oby tylko niebo pozwoliło nam na skończenie okrętu, naszego jedyne schronienia!

— Czy nie uważasz Cyrusie, że wulkan wydaje się uspokajać? Miota jeszcze lawę, ale chyba mniej obficie!

— Wszystko jedno — odpowiedział Cyrus Smith. — Ogień jednak wciąż gorzej we wnętrzu góry, a wody oceanu mogą się wdrzeć do jej środka lada chwila! Nie możemy więc tracić ani godziny!

Przez osiem dni, to jest do 7 lutego, lawa nie przestawała się wylewać, utrzymując się jednakże w dotychczasowych granicach. Cyrus Smith obawiał się najbardziej, aby płynne materiały nie przelały się na wybrzeże; w takim bowiem przypadku warsztatu nie można by uratować. W tym samym czasie osadnicy poczuli wyraźne drgania, które zaniepokoiły ich w najwyższym stopniu.

Nadszedł dzień 20 lutego. Dopiero za około miesiąc okręt mógł być spuszczone na morze. Czy wyspa wytrzyma do tej pory? Zamiarem Penkroffa i Cyrusa Smitha było przystąpienie do wodowania statku, gdy tylko jego kadłub stanie się dostatecznie szczelny. Pokład, urządzenie wewnętrzne i ożaglowanie można było skończyć później, najbardziej zaś nagłą rzeczą było opuszczenie niebezpiecznej wyspy. Może nawet trzeba będzie odprowadzić okręt aż do Przystani Balonowej, czyli jak najdalej od wybuchu, bowiem przy ujściu Rzeki Miłosierdzia, mógł być narażony na zgniecenie w razie rozstąpienia się wyspy. Wszystkie wysiłki osadników skoncentrowały się więc obecnie na dokończeniu kadłuba okrętu.

Nadszedł 3 marca, a koloniści obliczyli, że mogą zwodować statek za dwanaście dni.

Nadzieja powróciła do serc osadników, którzy w czwartym roku pobytu na Wyspie Lincolna byli narażeni na tyle prób! Nawet Penkroff był mniej ponury. W obecnej chwili zajmował go tylko okręt, który był ich jedyną nadzieją.

— Skończymy go — mówił do inżyniera. — Skończymy, panie Cyrusie, a czas już na to, bo dni mijają i wkrótce będziemy mieli już zrównanie dnia z nocą. No!... Jeżeli będzie taka potrzeba, to zatrzymamy się na zimę na wyspie Tabor! Ale wyspa Tabor po Wyspie Lincolna!... Ach, dobry Boże! Czy mógłbym kiedyś pomyśleć, że doczekani czegoś podobnego!

— Spieszmy się! — odpowiadał mu na to zawsze i niezmiennie inżynier. I pracowano bez wytchnienia.

— Mój panie — zapytał Nab w kilka dni później. — Czy sądzi pan, że gdyby kapitan Nemo żył jeszcze, zdarzyłoby się to wszystko?

— Niewątpliwie, Nabie — odpowiedział inżynier.

— A ja nie sądzę! — szepnął Penkroffdo ucha Nabowi.

— Ani ja! — odrzekł poważnie Nab.

W pierwszym tygodniu marca Góra Franklina znowu stała się groźna. Tysiące nici szklanych, powstałych z płynnej lawy, spadło jak ulewa na ziemię. Krater napelnił się znowu lawą, która wylała we wszystkich kierunkach po stoku. Główny strumień przeszedł teraz poza Potok Glicerynowy i wtargnął na Wielki Płaskowyż. Ten ostatni cios zadany dziełu osadników był straszliwy. Z młyna, budynków dla drobiu, ze stajni nic nie pozostało. Ptactwo rozpierchło się we wszystkich kierunkach. Top i Jup wykazywali oznaki największego przerażenia, instynkt ostrzegał ich o zbliżającej się katastrofie. Znaczna część zwierząt na wyspie zginęła podczas pierwszego wybuchu. Te, które go przeżyły, schroniły się na Kaczyczych Błotach, niektóre uciekły na Wielki Płaskowyż. Ale i ten ostatni zakątek przestał być dla nich bezpieczny, gdy rzeka lawy, staczając się z grzbietu granitowej skały, zaczęła spływać na wybrzeże.

Osadnicy znaleźli się w strasznym niebezpieczeństwie: na całej wyspie nie było już żadnego schronienia; więc chociaż wyższe spojenia kadłuba okrętu nie były jeszcze dobrze uszczelnione i zalane smołą, postanowili spuścić go na morze.

Penkroff i Ayrton przystąpili więc do niezbędnych przygotowań, a sama operacja miała nastąpić rano, 9 marca.

Ale w ciągu nocy z 8 na 9 marca olbrzymi słup pary wydobywający się z krateru wznosił się wśród przerażających huków na trzy tysiące stóp w górę. Ściana Groty Dakkara musiała widocznie ustąpić pod naciskiem gazów i morze, wpadając nagle w ognistą przepaść głównym kominem, zamieniło się nagle w parę! Wybuch, który zapewne słyhać było na setki mil wokoło, wstrząsnął powietrzem. Kawały gór runęły do Oceanu Spokojnego i po chwili fale morskie zalały miejsce, gdzie niegdyś znajdowała się Wyspa Lincoln.

ROZDZIAŁ XX

Osamotniona skała na Oceanie Spokojnym. — Ostatnie schronienie osadników. — Perspektywa śmierci. — Niespodziewany ratunek. — Skąd przybywa? — Ostatnie dobrodziejstwo. — Wyspa na lądzie. — Grób kapitana Nemo.

Osamotniona skała, długa na trzydzieści stóp, a szeroka na piętnaście, wystająca z wody ledwo na dziesięć — oto wszystko, co pozostało z Granitowego Pałacu.

Mur skalny runął, potem rozsypał się, a kilka większych odłamków spiętrzyło się i utworzyło ten wystający punkt. Wokoło wszystko zniknęło w przepaści: wyższy stożek Góry Franklina rozdarty wybuchem, szczęki Zatoki Rekina, Wielki Płaskowyż, Wysepka Wybawienia, granity Przystani Balonowej, bazalty Groty Dakkara, długi Półwysep Węza, chociaż tak oddalony od miejsca wybuchu! Z Wyspy Lincolna pozostała tylko ta wąska skała, dająca obecnie schronienie sześciu osadnikom i Topowi.

Wszystkie zwierzęta zginęły w katastrofie, nawet nieszczęśliwy Jup znalazł śmierć w jakiejś rozpadlinie.

Cyrus Smith, Gedeon Spilett, Harbert, Penkroff, Nab i Ayrton temu tylko zawdzięczali życie, że zebrani pod namiotem, zostali razem wyrzuceni w morze, gdy szczątki wyspy rozpryskiwały się we wszystkich kierunkach.

Wypływając na powierzchnię, ujrzeni tylko tę gromadę skał i schronili się na niej.

Na tej nagiej skale żyli już dziewięć dni. Mieli jedynie trochę zapasów żywności wydobytych przed katastrofą ze składu w Granitowym Pałacu i trochę słodkiej wody, która po deszczu zebrała się w wydrążeniu skały. Ostatnia ich nadzieja — okręt — został roztrzaskany. Nie było możliwości opuszczenia skały, na której się znajdowali. Nie mieli ognia ani sposobu zdobycia go. Ich przeznaczeniem była śmierć.

18 marca pozostało im żywności zaledwie na dwa dni, jakkolwiek ograniczali bardzo ściśle jej spożycie. Cała ich wiedza, cała inteligencja była bezużyteczna w tym położeniu. Los ich zależał jedynie od woli Boga.

Cyrus Smith okazywał zupełny spokój. Gedeon Spilett, bardziej nerwowy, i Penkroff, miotany gwałtownym gniewem, biegali tam i z powrotem po skale. Harbert nie opuszczał inżyniera i spoglądał na niego, jakby czekając na pomoc, której ten nie był w stanie udzielić. Nab i Ayrton pogodzili się już ze swym losem.

— O nędzo! O nieszczęście!... — powtarzał wielokrotnie Penkroff. — Gdybyśmy mieli choć łupinę orzecha do przeprawienia się na wyspę Tabor! Ale nie, nie!

— Kapitan Nemo jest szczęśliwy, że umarł! — odezwał się pewnego razu Nab.

Przez pięć następnych dni Cyrus Smith i jego nieszczęśliwi towarzysze jedli tylko tyle, aby nie umrzeć z głodu. Byli już tak wycieńczeni, że Harbert i Nab zaczęli gorączkować.

Czy w takim położeniu można się było jeszcze ludzi nadzieją? Jaką mieli — możliwość ratunku? Że jakiś okręt przepłynie w pobliżu ich skały? Wiedzieli przecież dobrze z doświadczenia, że okręty nie odwiedzały nigdy tej części Oceanu Spokojnego. Mogli liczyć na to, że przez zbieg okoliczności, prawdziwie opatrnościowy, jacht szkocki pojawi się właśnie o tej porze w celu zabrania Ayrtona z wyspy Tabor. Było to jednak bardzo mało prawdopodobne, a poza tym nie zostawili na wyspie Tabor żadnej notatki. Nie mogli mieć już najmniejszej nadziei ratunku. Oczekiwała ich na tej skale przerażająca śmierć z głodu i wycieńczenia. Leżeli więc tylko na niej bez sił, nieświadomi, co się wokół nich dzieje. Tylko Ayrton mógł jeszcze ostatnim wysiłkiem unieść głowę i spojrzeć na to samotne, puste morze.

I oto rano, 24 marca, ręce Ayrtona wyciągnęły się w przestrzeń, podniósł się najpierw na klęczki, potem powstał i ręką zdawał się robić jakieś znaki...

Na widnokregu pojawił się okręt. I widać było, że nie przypadkiem zawinął w te strony. Gromada skał była celem, do którego dążył w prostej linii — i nasi nieszczęśliwi dawno by go już spostrzegli, gdyby mieli dosyć sił do obserwowania horyzontu.

— „Duncan”! — szepnął Ayrton i padł bez zmysłów.

Gdy nareszcie, dzięki troskliwym staraniom, jakimi ich otoczono, Cyrus Smith i jego towarzysze powrócili do przytomności, nie mogli pojąć, jakim sposobem uniknęli śmierci, i jak znaleźli się w kajucie parowca.

Jedno słowo Ayrtona wystarczyło do objaśnienia im wszystkiego:

— „Duncan”! — szepnął.

— „Duncan”! — powtórzył Cyrus Smith. I podnosząc dłonie do nieba, zawołał:

— Ach! Wszechmogący Boże. Dzięki ci za cudowne ocalenie.

Był to faktycznie „Duncan”, jacht lorda Glenarvana, którym dowodził Robert, syna kapitana Granta. Jacht wysłano na wyspę Tabor, aby zabrał z niej Ayrtona po dwunastu latach pokuty!...

Osadnicy byli uratowani i wracali do ojczyzny.

— Kapitanie Robercie — zapytał Cyrus Smith — gdy nie znalazł pan Ayrtona na wyspie Tabor, skąd przyszedł panu do głowy pomysł, aby płynąć o sto mil dalej, w kierunku północno-wschodnim?

— Panie Smith — odrzekł Robert Grant — spieszyłem nie tylko po Ayrtona, ale po pana i po pańskich towarzyszy!

— Po moich towarzyszy i po mnie?

— Niewątpliwie! Na Wyspę Lincolna!

— Na Wyspę Lincolna! — zawołali jednogłośnie Gedeon Spilett, Harbert, Nab i Penkroff z najwyższym zdumieniem.

— Skąd pan wiedział o Wyspie Lincolna, skoro nie ma jej na żadnej mapie?

— Dowiedziałem się o niej z listu, który pozostawiliście na wyspie Tabor — odrzekł Robert Grant.

— My? List? — zawołał Gedeon Spilett.

— Bez wątplenia! — odpowiedział Robert Grant, podając im dokument, na którym była wskazana długość i szerokość geograficzna Wyspy Lincolna, jako „obecnego miejsca pobytu Ayrtona i pięciu amerykańskich osadników”.

— To kapitan Nemo!... — zawołał Cyrus Smith, przeczytawszy dokument pisany tą samą ręką, co list znaleziony w zagrodzie.

— Ach! — zawołał Penkroff — więc to on używał naszego „Bonawentury”, on odważył się popłynąć nim aż na wyspę Tabor!...

— Żeby zostawić tam list! — dokończył Harbert.

— A więc miałem słuszną rację, mówiąc, że nawet spoza grobu, kapitan odda nam jeszcze ostatnią przysługę! — zawołał marynarz.

— Przyjaciele — odezwał się Cyrus Smith głęboko wzruszonym głosem — niech Bóg najwyższego miłosierdzia przyjmie duszę kapitana Nemo, naszego wybawcy!

W tej chwili Ayrton, zbliżywszy się do inżyniera, zapytał z prostotą:

— Gdzie umieścić tę skrzynkę?

Była to szkatułka z klejnotami, ocalona przez Ayrtona z narażeniem życia w chwili zagłady wyspy — skarb, który wszyscy uznali za stracony, a który Ayrton wręczył w tej chwili inżynierowi.

— Ayrtonie! Ayrtonie! — odezwał się do niego Cyrus Smith z głębokim wzruszeniem.

A potem zwrócił się do Roberta Granta:

— Zamiast winowajcy, odnajduje pan dzisiaj człowieka, który odpokutował za swoje grzechy i zmaszał swym postępowaniem dawne winy. Dumny jestem, podając mu rękę.

Następnie wtajemniczono Roberta Granta w zadziwiające dzieje kapitana Nemo i osadników na Wyspie Lincolna.

W piętnaście dni później, koloniści dopłynęli do Ameryki i odnaleźli swoją ojczyznę uspokojoną po okrutnej wojnie, która skończyła się triumfem sprawiedliwości i prawa.

Największa część bogactw zawartych w szkatułce, przekazanych w spadku przez kapitana Nemo osadnikom Wyspy Lincolna, użyta została na zakup obszernego majątku w stanie Iowa. Najpiękniejszą perłę przesłano lady Glenarvan, w imieniu sześciu rozbitków zwróconych ojczyźnie przez „Duncana”.

W swej posiadłości, osadnicy zapewnili pracę i możliwość powiększania majątku tym wszystkim, których pierwotnie zamierzali sprowadzić na Wyspę Lincolna. Założyli obszerną osadę, której nadano imię wyspy, zaginionej w głębinach Oceanu Spokojnego.

Znajdowała się tu rzeka nazwana przez nich Rzeką Miłosierdzia, Góra Franklina, jezioro ochrzczone Jeziołem Granta, lasy nazwane Lasami Dalekiego Zachodu. Była to jak gdyby wyspa na stałym lądzie.

Tutaj pod sprawną ręką inżyniera i jego towarzyszy wszystko rozkwitało. Dawni osadnicy Wyspy Lincolna postanowili, że nigdy się nie rozłączą — żyli więc wszyscy razem. Nab zawsze w pobliżu swego pana, Ayrton gotów do poświęcenia przy każdej sposobności, Penkroff zapomniał o morzu, stając się rolnikiem, Harbert ukończył studia pod kierunkiem Cyrusa Smitha, a Gedeon Spilett, założył gazetę New Lincoln Herold, najdokładniej poinformowany dziennik na świecie.

Tutaj Cyrus Smith i jego towarzysze gościli kilkakrotnie lorda i lady Gle — narvan, kapitana Johna Manglesa i jego żonę, siostrę Roberta Granta, a także samego Granta, majora MacNabbsa — tych wszystkich, którzy byli związani w jakikolwiek sposób z podwójną historią kapitana Granta i kapitana Nemo.

I choć żyli bardzo szczęśliwie, nigdy nie zapomnieli o wyspie, na którą rzucił ich los, a która przez cztery lata zaspokajała wszystkie ich potrzeby. Dziś z tej pięknej i żyznej wyspy pozostał tylko odłam granitu sterczący wśród fal Oceanu Spokojnego, w którym znalazł grób człowiek, zwany niegdyś kapitanem Nemo.

KONIEC